LA
ERA

# JÓZEFA KREMERA.

## PODRÓŻ DO MEKKI.

# DZIEŁA

# JÓZEFA KREMERA.

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I ROZBIORU PRAC KREMERA
ORAZ NOTATEK UZUPEŁNIAJĄCYCH,

PRZEZ

HENRYKA STRUVEGO.

TOM VI.

## PODRÓŻ DO WŁOCH.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr. 39.
1878.

JÓZEF KREMER.

# PODRÓŻ DO WŁOCH.

Z DRZEWORYTAMI.

TOM I.

**Droga z Krakowa do Tryestu. — Opisanie Wenecyi.**

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy-Świat, Nr 39.
1878.

18/Z : 7.01 : 7.03(438)(091)

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Nr 6032/71
W Białymstoku
CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH
KOMPUTER

913(450).."18"(438)Kraszewski J.I.:Podróż do Włoch

6693
Białymstok
S

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Декабря 1877 года.

77
74

K. 1089
R. 1089
13.12.46r.

# PODRÓŻ DO WŁOCH.

# PRZEDMOWA. (*)

Składając obecnie pod sąd życzliwych czytelników tom *piąty* i ostatni mojéj „*Podróży do Włoch*“ (**) pragnę przywieść jeszcze na pamięć cel a zadanie téj całéj wieloletniéj pracy; bo tym trybem zapewne wytłómaczę się najjaśniéj z postępowania mojego w tomie niniejszym.

Jakoż zaraz na wstępie do „*Podróży*“, dopełniając powinności mojéj, otwarcie wyznałem, że nie mam bynajmniéj zamiaru opisania Włoch, ani nawet skreślenia przewodnika, coby zwracał uwagę na wszystkie piękne i ważne przedmioty Italskiego półwyspu. Oświadczyłem, jako sobie jedynie życzę obeznać młodszych czytelników z historyą sztuki, zwłaszcza z dziejami architektury, rzeźby i malarstwa, wyświecając ich rozwój na ważniejszych pomnikach i dziełach artystycznych istniejących we Włoszech — wyraziłem przytém, iż w téj mierze będę miał zarówno na względzie sztukę starożytną (grecką i rzymską) jak i artyzm, który się rozwinął w chrześcijańskich wiekach na italskiéj ziemi.

Czytelnik życzliwy przyzna, iż zadanie takowe nie ustępowało nigdy z myśli mojéj wśród téj całéj pracy i nadało jéj cechę właściwą. Jakoż naprzód w każdém włoskiém mieście, które odwiedzałem z czytelnikiem, ograniczałem się do opisów skromnéj liczby zabytków i artystycznych dzieł, przedstawiających atoli dokładnie styl sobie właściwy i charakter epoki, w któréj powstały. Następnie, idąc ściśle za tym celem sobie wytkniętym, nie wspomniałem czytelnikowi bynajmniéj o wszystkich miastach, które rzeczywiście

---

(*) Przedmowę niniejszą Kremer dołączył do *ostatniego* tomu *Podróży do Włoch*. Podajemy ją jednak w obecném wydaniu już w tomie *pierwszym*, jako wstęp do całego dzieła, objaśniający dokładnie cele i zamiary autora. — St.

(**) Pierwsze wydanie *Podróży do Włoch* wyszło w Wilnie u Zawadzkiego w pięciu tomach. T. I r. 1859. T. II r. 1860. T. III i IV r. 1861. T. V, część pierwsza r. 1863, część druga r. 1864. — St.

w „*Podróży*“ mojéj poznałem, ale przestawałem na tych kilku ale najważniejszych stolicach, których pomniki i dzieła sztuki nawzajem się uzupełniając i wyjaśniając, wystarczały, by złożyć całość i obraz dziejów sztuki, który, choć ogólny, odpowiada atoli mojemu założeniu.

Ta powyżéj wymieniona potrzeba przestawania na nie wielkiéj ilości przedmiotów stała się jeszcze konieczniejszą a wymagającą jeszcze więcéj zrzeczenia się siebie — gdy mi przychodziło w niniejszym tomie skreślić zabytki wieczystego miasta. W téj albowiem stolicy dwóch olbrzymich epok świata przedmioty wysokiego znaczenia a wspaniałego majestatu otaczają wędrowca tak odurzającym tłumem, iż mu się trudno zrazu upamiętać a nawrócić do siebie. Przecież, mając na troskliwéj baczności zamiar téj książki, opisuję w Rzymie jedynie zabytki, będące unikatem na całéj ziemi, i takowe których poznanie jest potrzebne dla uzupełnienia sobie naszych poprzednich wiadomości o sztuce i jéj dziejach.

Tak się działo, iż w mojéj pielgrzymce po Rzymie zwróciłem jedynie pełną uwagę na przedmioty następujące.

Rozpocząłem przedewszystkiém od ruin starożytnego Rzymu. Bo przecież to jego kultura i sztuka stała się ważnym czynnikiem cywilizacyi i artyzmu nowożytnych czasów. Zabytki i gruzy pompejańskie, które w tomie przeszłym były osnową naszych uwag, są zaiste tylko wstępem przygotowawczym do spuścizny, czekającéj wędrowca w nieśmiertelnym grodzie. Ztąd też zwaliska dawnego Rzymu, zwłaszcza objęte wewnątrz jego starożytnych murów, zajmują pierwszą a nierównie obszerniejszą część naszych obchodów po wieczystém mieście.

Drugą część poświęcam „kościołom i muzeom rzymskim“.

Tutaj przeto staje z razu na pierwszém tle kościół św. Piotra, będący najwspanialszym Bożym przybytkiem w całym świecie chrześcijańskim, a dziełem architektoniczném najwyższego znaczenia.

Następnie odprawiwszy dłuższe pielgrzymki do najstarszych rzymskich bazylik, skreślam krótkim pobieżnym zarysem dzieje architektury w Rzymie w wiekach średnich i nowoczesnych.

Z kolei odwiedzam katakumby, owe święte tajemnicze podziemia, będące kolebką naszéj wiary a zarazem zawiązkiem rzeźby i malarstwa pierwotnych chrześcijan.

Gdy w katakumbach Rzymu zabłysły pierwsze iskry chrześcijańskiego artyzmu, w tym samym Rzymie chrześcijańska sztuka zapłonęła najwyższą chwałą w geniuszu Rafaela Sanzio z Urbinu — reju szkoły rzymskiéj. Mistrz ten i dzieła jego stają się więc treścią obszerniejszych rozpraw naszych.

Oddawszy hołdy Rafaelowi wstępujemy do kaplicy Syxtyńskiéj Watykanu, w któréj Michał Anioł Buonarotti na podziw wszystkim pokoleniom roztoczył pierwsze dzieje ludzkości, — postacie proroków i sybill — i Sąd ostateczny.



Na uzupełnienie naszych rozpraw o sztuce chrześcijańskiéj wspominamy jeszcze o niektórych najważniejszych obrazach, przechowanych w Rzymie, i o kilku znakomitych mistrzach sztuki.

Kończąc zaś już całą naszą *Podróż*, odprawiamy wędrówki po zbiorach papiezkich i prywatnych, kędy przechowane nieprzebranym światem cuda starożytnéj skulptury. W tych muzeach napotykamy imiona jakiém jest Myron, Fidias, Polyklet, Skopas, Praxiteles, Lysippus i te wszystkie wielkie chwały, których dłuta tak potężnie przyczyniły się do uzacnienia naszego rodu.

Tak więc stawiam przed oczy czytelnika wielkie pomniki Romy, które w połączeniu z dziełami sztuki, rozebranemi w poprzednich tomach, składają całość, wystarczają dla naszego zamiaru.

Atoli już dawniéj zwróciłem uwagę naszą, iż nam koniecznie wypadnie dodać jeszcze do téj „*Podróży*“ wskazówkę, ułatwiającą czytelnikowi dopatrzenia się ładu dziejowego w zabytkach artystycznych, przez nas oglądanych.

Wszak zamierzyliśmy w całéj téj „*Podróży*“ naszéj uwidocznić na dziełach sztuki historyczny rozwój artyzmu, więc jego epoki i okresy w kolei jak po sobie następowały w czasie. Jednak — „*Podróż*“ nasza właśnie dla tego, że jest podróżą nie zdoła nam przedstawić zabytków sztuki w takowéj pożądanéj kolei dziejowéj. Bo w czasie naszego pobytu w jakiémś mieście, lub w jakiémś muzeum, możemy się jedynie zajmować temi dziełami, które nam dostarcza właśnie to miasto lub muzeum nam obecne — a co więcéj, zajmować się niemi tylko koleją, którą nam nastręcza sama miejscowość, więc często bez żadnego względu na ich następstwo historyczne.

Tak się więc niekiedy dzieje, że zabytki, należące do późniejszego jakiego okresu, opisujemy wcześniéj i na odwrót, iż zabytki wcześniejsze opisujemy po dziełach późniejszéj epoki. Co więcéj! Często dzieła zrodzone we dwóch zupełnie różnych czasach, lecz znajdujące się w jedném i tém samém miejscu stają się osnową naszych uwag współczesnych — gdy przeciwnie znowu dzieła jednego i tego samego okresu, lecz przechowane w różnych muzeach, a nawet po różnych miastach bywały przez nas opisane w oddalonych od siebi ustępach a nawet w różnych tomach naszéj *Podróży*. Ztąd też wynikało, że charakterystyka ogólna jednéj i téj saméj epoki artystycznéj bywa niekiedy rozrzucona po różnych miejscach dzieła naszego.

Gdym dawniéj zwrócił uwagę na trudności takowe, orzekłem, że łatwo je sprostować zdołamy, dodając do końca *Podróży* naszéj choćby najogólniejszy szkic historyczny artyzmu, zwłaszcza byłem przekonany, iż najwięcéj przydatnym będzie zarys sztuki starożytnéj; bo sądziłem — jak mniemam słusznie, iż pogląd czytelnika na rozwój chrześcijańskiego artyzmu we Włoszech już nie mało ułatwiony był w saméj Podróży naszéj. Jakoż wśród niéj, gdzie wypadało, przypominałem już w porządku epok dzieła nowoczesnéj architektury przez nas uprzednio widziane, a mówiąc o mistrzach nowożytnego

malarstwa w głównych jego ogniskach (w Wenecyi, Medyolanie, Neapolu i Rzymie) trzymałem się historycznego następstwa; nakoniec skreśliłem już zarys dziejów wszystkich trzech rodzajów sztuki w Toskanii, zatém historyą artyzmu téj krainy tak zamożnéj w twórczą fantazyą i we wielkich mistrzów. Lubo zapewne takowe postępowanie nasze jest jak mniemam nie małą pomocą dla czytelników do uchwycenia kolei dziejowéj sztuki nowoczesnéj, przecież rozumiem, że im się przysłużyć zdołam, gdy uzupełnię pierwotny zamiar mój, to jest, gdy jeszcze dodam do niniejszego tomu zarys sztuki nowoczesnéj na ziemi italskiéj, choćby ten obraz był wielce i ogólny i nader skrócony w porównaniu do bogactwa swojéj osnowy. Tym trybem albowiem złoży nam się w zarys całość historyi sztuki, będącéj przeważnym przedmiotem téj całéj *Podróży*.

Aby zaś szkic takowy wystarczył celowi naszemu, oznaczam wszystkie najgłówniejsze epoki artystyczne w ich następstwie dziejowém — skreślam choć ogólnie ich cechy i styl im właściwy — przytaczając zarazem miejsca w *Podróży*, w których każda z tych epok była scharakteryzowana; — podobnie przy każdéj epoce przypominam jéj najcelniejszych mistrzów i przedstawców — nadewszystko przytaczam dzieła do niéj się odnoszące, a przez nas w czasie *Podróży* w różnych miejscach oglądane; wskazuję zarazem stronice w dziele, określające bliżéj charakter mistrzów lub dzieł przytoczonych.

Rozumiem przeto, jako zarys takowy nie tylko jest streszczeniem (niby rekapitulacyą) całéj naszéj *Podróży* i wszystkich pięciu jéj tomów, ale stanie za przypomnienie jéj głównéj osnowy, a to już w sposób chronologiczny, historyczny.

Ufam więc, iż cała ta praca moja, używająca pełnéj swobody i wszystkich korzyści, które jéj nastręcza forma *Podróży*, jeszcze przez dodanie do niniejszego tomu owych zarysów odpowie zarazem głównemu celowi a zadaniu swojemu.

Z tego téż powodu oprócz spisu illustracyj wedle kolei, którą są umieszczone w *Podróży*, podałem ich spis drugi, w którym uporządkowane są wedle epok i okresów sztuki.

Podobnie w końcu tomu niniejszego czytelnik znajdzie **poczet alfabetyczny** artystów, tak starożytnych jak nowoczesnych, wspomnionych we wszystkich pięciu tomach tego dzieła z przytoczeniem stronic, na których o każdym z nich była mowa. Nadto przy każdym mistrzu ważniejszym dodaję najpotrzebniejsze o nim wiadomostki.

Ofiarując teraz całą tę pracę życzliwéj publiczności, pragnę, aby korzyść, którą z niéj odniosą młodsi czytelnicy, odpowiadała choć w części uczciwéj woli i wytrwałości mojéj.

Jakie myśli i uczucia, obawy i nadzieje mnie przenikają w chwili, gdy się rozstaję z tą wieloletnią pracą, o tém prawię w końcu téj *Podróży* naszéj, żegnając się w obec Rzymu z cnym czytelnikiem moim.



Tutaj atoli niechaj mi wolno będzie dopełnić ścisłéj i sumiennéj powinności i oświadczyć najszczersze podziękowanie mojemu szanownemu wydawcy panu Adamowi Zawadzkiemu, którego firma nie litowała ani trudu, ani żadnych starań, ani wielce znacznych ofiar w wydawaniu téj książki — pragnąc aby się stać mogła i najużyteczniejszą a przystępną dla czytelników naszych (*).

Kraków w Listopadzie, 1862.

---

(*) Jak zaś znaczne były ofiary Firmy Zawadzkich, łożone na tę książkę, widać z tego, iż koszta wykonania drzeworytów z rysowaniem ich na drzewie, tudzież z freską do tomu IV-go i Sądu Ostatecznego Michała Anioła do tomu V-go, wynosiły górą złp. 10,000.

*Z Krakowa do Wiednia.*

Był to ranek letni, przeczysty i pogodny; natura do koła tak sobie była rada w tym stroju swoim zielonym, że pełna uciechy umizgała się do niebiańskiego błękitu, co ją téż nawzajem bawił, składając jéj z lekkich różowych obłoczków dziwne kształty, postaci magiczne, i znów je rozwiewając, z kolei sadził się na nowe koncepta a coraz to wymyślniejsze figury i obrazki.

Póki nasz pociąg jeszcze okrążał łukiem miejskie obejście, póty wśród hałaśnego gwaru i turkotu dolatywał głos któregoś z dzwonów krakowskich. A głosy dzwonów — to nielada muzyka! Te głosy — to niewidzialne czarodziejskie nitki, co nas wiążą z miastem ojczystém. Schiller onéj cudnéj pieśni swojéj „o Dzwonie“ dodał godło: „*Vivos voco. Mortuos plango. Fulgura frango*“. A cóż dopiéro dzwony rodzinnego miasta, gdy się z niego wyprawiamy na czas przydłuższy! Ulisses marzył niegdyś z miłością o dymach z chat ojczystych, bo on nie znał dzwonów, co prawią miedzianemi usty o życiu krajów, o życiu ludzi i o różnych ich kolejach. Wszak trzema tysiącami lat późniéj, Napoleon, jak mówią, słysząc dzwony, wzywające na wieczorne nabożeństwo, zatrzymał się w przechadzce samotnéj — stanął i rozrzewnił się do dna duszy swojéj; bo mu te dźwięki zagrały całym światem wspomnień z dziecięcych lat. Mówią téż, że owe wspomnienia, w duchu jego wywołane, miały mu poddać myśl o konkordacie ze Stolicą Apostolską. Czyli się rzecz iście tak ma, nie wiedzieć z pewnością; to jednak niewątpliwa, że skoro mąż, jak Napoleon, który dosłyszał zegaru historyi, co wybija, jakby godziny, wielkie epoki w dziejach świata, mógł jeszcze być poruszony głosem dzwonu, będącego dziełem marnych rąk śmiertelnego człowieka — tém więcéj zrozumieć można, że nam, ludziom powszednim, tak się dziwnie serce rozbiera na tony dzwonów domowego grodu. Te ich wołania, to niby uczucia pokoleń wszystkich, co przepłynęły długiém następstwem wieków; te tony nietylko głoszą ludziom Boże i ziemskie sprawy, lecz one nawet tak się splotły z życiem, tak prze-

jęły duszę każdego z nas, jako to powietrze ojczyste, jak tchy naszych borów i powiewy naszych łąk.

Podobnie tedy jak wszystkim się zwykle dzieje, tak i mnie się stało, gdy pędem pary oddalałem się od rodzinnego gniazda. Ów głos, dolatujący z wieżyczki ubocznego kościołka, choć tak skromny, wskrzesił w pamięci tony wszystkich innych dzwonów, znanych nam od dawnych, od bardzo dawnych lat. Zdawało się, jakoby te wieszcze śpiżowe, to zlewały dźwięki swoje w jeden wspólny akord; to znów, jakoby każdy grając z osobna, z kolei budziły w sercu wspomnienia rzewne, a treść przeszłości całéj. Bo wiecie dobrze, że głosy dzwonów krakowskich tak zestroiły się do kamertonu serc naszych, iż każdy z nich, gdy przemówi, już obudzi w głębiach piersi wtorującą im strunę. W tych dźwiękach napowietrznych słyszymy jakby symbolikę naszego żywota i wszystkich kolei jego.

Ów ton tak przeciągły, głęboki, a przecież tak rzewny, towarzyszył ci, gdyś szedł za trumną ojca lub przyjaciela od serca; tamten wołał za dziecięcych lat i jakby gromił i burczał, gdy nam jakoś nieradno było zabrać się do książek; ten znowu zwierzyniecki, od wielu lat pęknięty, pod wieczór klekotem suchym, jakby drewnianym, lecz bolejącym i przenikliwym, przypomina pacierze za utonionych w Wiśle; ów znowu głosi święta radośne miastu, bo w nocy wigilii Bożego Narodzenia zwołuje na mszę pasterską, lub na Wielkanocną rezurekcyą Pańską. Więc też zmartwychwstają radośne obrazy, lube, serdeczne wspomnienia z porannéj młodości życia naszego. Inny zaś przywodzi dźwiękiem swoim one noce długie, nieprzeczekane, gdyś czuwał u łoża drogiego ci człowieka, licząc tchy umierającego i straszące miejskiego zegaru uderzenia. I znów inny, ów okropny dzwon złowrogi, co z wysokości wieży Maryackiéj do dna przeraża duszę, krzycząc na miasto, że demon pożaru stanął wśród spokojnych mieszkań ludzkich, — jego to wołanie straszliwe mieszało się z chmurami czarnych dymów i z morzem płomienistém, ze słupcami ogniów, gdy gorzały domy, ulice, pałace, rynki i kościoły krakowskie. A dymy te, urosłszy w olbrzymów potwornych, kroczą po mieście, głowy chowając w obłoki, to znów się tarzają po ziemi i wiją się i gramolą, jakby węże stugłówne, piekłów wysłańce. Ten dzwon jęczał jakby w mękach, gdy promienne słońce lipcowe, patrząc przez pożogę, świeciło niby bladą księżycową poświatą; i wołał dzwon ratunku, gdy noc zapadła, gdy one dymne widma potworne paliły się krwawym płomieniem, a dźwigając się po nad wieże, po nad jęki ich dzwonów, chodziły w tryumfach po wałącym się grodzie naszym; te widma potrząsały pochodnie, miecąc pożogę pod obłoki. Więc pytasz, czyli się roje nowych światów zapaliły na niebie? czy to głównie lecące, czy może gwiazdy co się gonią wśród chmur ciemnych i czerwonych? Już pożar przetrzymał rozpaczliwe wołania dzwonu, pożar rozhukany szaleje, a dzwon oniemiał; oniemieli ludzie i patrzą w osłupieniu na własnego nieszczęścia majestat! I patrzą na strzaskane sprzęty, długoletnie świadki domowych losów rodzinnych, na wizerunki ojców, matek swoich, co teraz porozstawiane niby śmieci po ulicy błotnistéj. I nie wierzą swoim zmysłom, co im majaczą jakby gorączkowym, złowrogim snem!



Słuchaj teraz brzmią inne tony; brzmią pełne, głębokie akordy, niby archaniołów arfy, i płyną harmonie po morzu powietrznem i bije nad miastem powódź tonów wspaniałą falą, śpiewając żywym i umarłym, — niby to chóry milionów, co przebolały już żywot ziemski, którym nie dojmie już doczesne cierpienie — to Zygmunt stary! To dzwon nad wszystkie dzwony; na jego wołanie tak wdzięcznо, uroczysto i świąteczno ci w duszy a spokojnie w sercu; te tony — to z innych światów muzyka; one goją i koją co w sercu tęskni i boli; na głos Zygmunta i ochoty weselne, gwarne, poważnieją, a maleje, biednieje, co w chwili, co ziemską boleścią zrodzone.

Otóż takowe uczucia, wspomnienia i obrazy przelatywały poprzez duszę moją, gdy dźwięki jednego z krakowskich dzwonów, jakby na ostatnie pożegnanie doścignęły nas wśród wartkiego pędu a turkotu na kolei żelaznéj; te tony, jakby szybkością błyskawicy, przywiodły na myśl one wszystkie niegdyś przebyte, to jasne, to posępne, to radośne, to ciemne sceny żywota naszego. Bo, jak dobrze wiecie, gdy dusza w napięciu, potrzeba tylko lekkiego potrącenia, a już na dnie istoty naszéj ożyją wszystkie postaci, wszystkie obrazy niby dawno wygasłe, dawno ogłuchłe, i wszystkie staną przed duszą w barwach świeżych, w wizerunkach wydatnych, jak gdyby się działy w żywéj obecności naszéj. Pożegnaj się z rodzinną strzechą, z krajem twoim, a długo jeszcze będziesz patrzał na świat sercem wstecz zwróconém, i obaczysz całą przeszłość za sobą zostawioną, wszystką obecność, co się wplotła w życie i w duszę twoją.

Już minęły linie łagodne, faliste i tak wdzięczne góry świętéj Bronisławy, i mogiły i gaje i lasy u jéj stóp rozesłane; minęły łąki i role, potoki, wioski i dworki, i dwory i kościoły sielskie, i już przesunął się cały ten świat domaszny, każdemu z nas z przechadzek dalszych tak dobrze znany. Wtedy już widoki coraz mniéj poufałe, coraz to więcéj obce, cudze, zbliżały się i przemykały pędem. Więc teraz już, Bogu polecając i dom i swoich i miasto i kraj, mogłem jakoś upamiętać się chłodem; i zostałem sam na sam z myślami mojemi.

Wiemy jednak wszyscy, jak to zwykle z nami bywa! Choćbyś już najpilniéj u siebie rozważył zamiar jakiéjś dalszéj podróży, przecież znowu i znowu nawracać będziesz myślą na cel, który cię ma uprowadzić w dalekie strony. A to tém częściéj będziesz rozbierał te ochoty twoje, im ci trudniéj przyjdzie odstać od powszednich trybów życia i porzucić na czas przydłuższy te swojskie a ciche kąty domowe. A może czytelnicy moi i tego doświadczyliście na sobie, że to właśnie w pierwszych chwilach już rozpoczętéj podróży zwykle najrzadziéj rozpatrujemy się raz jeszcze w zamiarach, których doko-

nać chcemy tą wycieczką naszą, a dzieje się to, jak myślę, z téj przyczyny, że w chwilach takowych z jednéj strony nie wabi nas jeszcze świat nowy, ciekawy, a z drugiéj strony już jakoś są ukołysane uczucia, które zakipiały w nas przy pożegnaniu się ze swojemi i z domową strzechą i z krajem rodzinnym; a nadto, rozpocząwszy już drogę, widzimy jak ta podróż, która dopiéro niedawno była pomysłem, stała się naprawdę rzeczywistością.

Zrozumie tedy czytelnik życzliwy, że i u mnie podobnie się zdarzyło. Jakoż, w pierwszych godzinach oddalenia się od Krakowa, gdy mnie już odbiegły ojczyste strony, spoufalone od pierwszéj młodości mojéj; gdy już daleko za mną zostały owe cudne natury dekoracye, co obstąpiły w koło dziejowy dramat starego naszego grodu; gdy już wieżyce i kościoły krakowskie utonęły gdzieś w dalekiém morzu powietrznem; wtedy przeprowadziłem przed oczy, niby na przegląd, te wszystkie życzenia moje, które ziścić pragnąłem w téj podróży mojéj, i uobecniłem sobie wszelkie cele, których w niéj dosięgnąć zamierzyłem.

Ufam, czytelniku mój, że nie policzysz mi za jakąś próżnostkę natrętną, jeżeli ci szczerze wypowiem wszystko, com sobie wtedy roił i marzył; myślę, że nawet zeznania takowe będą ci na rękę. Bo, choć prawda, że każdemu wolno jeździć kędy i jak mu się podoba, toć przecież, jeżeli się zabiera do opisania drogi swojéj, już każdy czytelnik słusznie się zapyta, mówiąc: „powiedz, po cóś jeździł, abym mógł wiedzieć, czyli twój opis pójdzie mi w smak i rym, abym mógł ocenić, czyli ci się pisanie twoje udało“. Dla tego, czytelniku mój, zapraszam cię w myśli z sobą do wagonu i zwierzę ci się ze wszystkich zamiarów, które mnie wiodły do Włoch, a dopełnię tego tém chętniéj, że w tych pierwszych chwilach drogi mojéj już miałem zamysł pisania téj książki. Tak więc już wtedy miałem przed oczyma czytelnika, jakby obecnego sobie, i prawiłem mu w myśli o rodzaju opisu téj wycieczki mojéj. Otóż, chcąc być zupełnie szczerym, nietylko przytoczę czytelnikowi łaskawemu te cele podróży mojéj, które mają jakieś znaczenie ogólne, a więc odnoszą się do publiczności, lecz wyspowiadam się nawet i z takowych, które są li osobiste i mnie samego się tyczą. Myślę albowiem, że jeżeli w rozbiorach ściśle naukowych pisarz winien roztoczyć sam przedmiot swój, a nie występować bynajmniéj z osobistemi chętkami, uczuciami swojemi, tedy przeciwnie ze saméj istoty opisu podróży wypływa, że tam, krom rzeczy, koniecznie widać autora z całém osobistém usposobieniem jego.

Zaczynam przeto owe wyznania moje!

Któż z nas nie zna pana Longina Siekierzyńskiego, Skarbnikowicza Czerskiego, z którym nas niedawno zaprzyjaźnił Kraszewski (*).

(*) Zob. *Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego*, tom XXXI: *Ostatni z Siekierzyńskich*. — St.



Pamiętamy wszyscy, jak to zacnego pana Longina co rano witał grzyb ogromny, który z kilku mniejszemi w ocienionym kątku pokoju przez noc wyrastał i jak to biedny skarbnikowicz, skoro tylko ujrzał grzyba, leciał i dusił go nogą z całéj siły, rozrzucając starannie szczątki nieprzyjaciela. Lecz wiecie także, że uparty grzyb, choć stokroć gnieciony, zawsze się pojawiał, i że ta walka skarbnikowicza z owym grzybem rozpoczynała się dzień każdy, bo przez każdą noc ten wróg jego tak się uwinął, że co ranek musiał powiedzieć gospodarzowi szyderskie „dzień dobry“.

Otóż, widzicie, ja mniemam, że każdy człek, póki żyw, jest takim biednym Siekierzyńskim. Bo, jak świat długi i szeroki, nie ma zaiste nikogo, choćby i najszczęśliwszego, coby mu dzień w dzień nie wyrastał w życiu jakiś grzyb, lub przynajmniéj jakiś grzybek mały, a to w kształcie jakiegoś kłopotu lub kłopotku, biedy lub biedki drobnéj. Lubo prawda, że nam nie zawsze tak łatwo, jak panu Longinowi, zgnieść tych gości natrętnych!

Cóż wtedy w tém osobliwego, że każdy radby, choć od czasu do czasu, uwolnić się od tych codziennych fechtunków z życiem i ze światem. Nie ma tedy i dziwoty żadnéj, że i ja zapragnąłem pofolgować sobie na chwilę i ochłonąć troszkę z pracy a codziennego trudu. I to jest pierwsza przyczyna, która mnie wiedzie w dal.

Domyślam się atoli, że każdy z nas chętnie przyzna, iż samo usuwanie się z pod biedek powszednich jeszcze w tym względzie nie wystarczy, bo takowe jest tylko istną negacyą. A wiecie dobrze, że sama goła negacya, sama potęga ujemna, nigdy i nigdzie jeszcze na nic się nie zdała; aby złe uleczyć, trzeba koniecznie jeszcze pierwiastków budujących i twierdzących, dodatnych. Więc zgodzicie się ze mną, że nie tylko wypada oswobodzić się od stosunków ciasnych, dusznych, ale potrzeba na miejsce ich przeniknąć się jeszcze treścią wielką a głęboką, tudzież napełnić duszę stosunkami na wielką, na ogromną stopę. A czyliż jest na całéj ziemskiéj kulicy kraj, coby w téj mierze sprostał ziemiom włoskim! W nich przejmują myśl wędrowca powiewy dziejorodne świata. Zaiste, jak lud każdy, co ciężko napracował się z historyą, co twardą walką zdobywał wśród wielu stuleciów chorągwie zwycięzkie i dosługiwał się wieńców chwały, rad zawiesza te wieńce swoje i zatyka sztandary w świątnicy bóstwa swojego; tak dla dziejów całego ludzkiego rodu, dla wszystkiéj jego chwały i zasługi podobną świątnicą, podobnym przybytkiem są — Włochy.

Wszak owe prawdy, których się historya powszechna dobiła w latach tysiącznych, owe, że tak rzeknę, potęgi wiekuiste, które ona krwawym trudem wyważyła z głębin ducha ludzkiego, łączą się to dalszém, to bliższém przymierzem z włoskim półwyspem, więc zostawiły oznaki swoich tryumfów na téj ziemi wybranéj, co jest trzech części świata sąsiadą. Na niéj to dzieje stare, na niéj baje pradziadowe, pierwsze zawiązki kultury i historya nowa i stulecia średnie



Biblioteka w Białymstoku

odprawiły żywot swój; tutaj sileniem lat tysiąców wykluwała się największa część owych wielkich wypadków, co nadawały zwrot ludzkim myślom i jéj rozwojom; tu rodził się ów długi szereg wielkich mężów, owych olbrzymich postaci, co, jakby wyobraźniki a wysłańce mocy historycznych, stanęły w galeryi ludzkich dziejów. Dla tego też zaiste sama natura, owa tak chętna duchów służebnica, całym wdziękiem, całym urokiem najwyższym ustroiła, uposażyła tę ziemię, czyniąc ją zacną widownią dla dramatów historyi. Czyliż więc dziwno, że skurczą się w drobiazgi owe małe troski życia, gdy odetchniesz tutaj pełnemi piersiami tém powietrzem, którém same ludzkie dzieje oddychały. Tutaj zaprawdę rozpłyną w nicestwie owe powszednie życia zabiegi obok rozmiarów olbrzymich, któremi historya wymierza trudy i pańszczyznę rodowi ludzkiemu. Tutaj na téj ziemi italskiéj, w obec spraw Bożych, w obec ważących się losów świata, serce wędrowca wznosi się, rośnie, bo przeczuwa zadanie duchów stworzonych, a tak się dźwignie nad te mgliste, mroczne, codzienne poniża, że się już brata z tém, co wielkie, co święte — a to co drobne, maluchne, gdzieś pod sobą w głębi zostawia. Wtedy duch człowieka, uznając, że z dzielnicy nadzmysłowéj rodem, zmiata z siebie ślady doczesności ziemskiéj. W takich to chwilach maleje życie tuteczne i pierzchają mgłą wszystkie troski i wszystkie biedy światowe.

Tak przeto od wielu, od bardzo wielu lat Włochy nęciły mnie ku sobie, ku tamtym stronom zwracając chęci moje i serdeczne życzenia. Więc w chwilach, gdy trud i mozoły powszednie życia, zachody i prace nużyły i trawiły siły, wtedy, w tych szaroburych chwilach, zapalałem sobie na pociechę niby świeczkę w duszy, samemu sobie przyrzekając, że się wyprawię kiedyś do Włoch. W tych obietnicach, sobie samemu czynionych, byłem niejako podobnym do onego dziwaka, co go wymyślił ów genialny *Hoffman* szalonéj pamięci (*). Ów dziwak, o którym on prawi, choć już był staruszkiem siwym, tak lubił marzyć o latach pacholęcych swoich i o tych ich pociechach i radościach, że, ile razy był zadowolniony z siebie, sam sobie obiecywał w nagrodę niespodzianki jakieś. Więc w wigilię imienin swoich skupował sam sobie, niby bez wiedzy własnéj, jakieś cacka, obrazki, złociste jabłuszka, jasełka i bawidełka, a to wszystko rozkładał wieczorem na stole i obstawiał stoczkami, niby zupełnie w sposób, jak to ongi przed wielu, wielu laty czyniła dla niego matka jego. A gdy nazajutrz wstał i obaczył te wiązania i obrazki, jasełka i jabłuszka złote, już nie było końca radości i pociechy jego.

(*) Ma tutaj Kremer na myśli znanego niemieckiego poetę, kompozytora i rysownika *Ernesta Hoffmana*, ur. w Królewcu 1776 r., † w Berlinie 1822. Pisma jego, pełne dowcipu i bujnéj fantazyi, na nowo wydane zostały w r. 1871. W latach 1802 do 1806 Hoffman przebywał za rządów pruskich w Płocku i Warszawie. — St.



Podobnie i ja sobie czyniłem, obiecując odbyć tę podróż włoską. Choć, po prawdzie mówiąc, owe jabłuszka złociste, które wędrowca na owéj włoskiéj ziemi czekają, są to istne hesperyjskie jabłka życia naszego, które, wedle starego greckiego mytu, strzeżone są przez „troski trudu pełne, owe siostry ponure, co je zrodziła ciemna noc, a zrodziła je bez małżonka, bez miłości“. Jakoż te jabłka złote zdobył Herkules długim szeregiem niesłychanych prac, znojem krwawym i poświęceniem bez granic. A nie lada też są owe obrazki i bawidełka, które Italia dla wędrowca przechowuje, boć to są dzieła piękności, bo to są arcydzieła wielkich mistrzów w sztuce!

Więc też mnie, jak każdego innego, nęciły ku sobie Włochy i tameczne sztuki pięknéj cuda, bo kogoż one nie urzekną lubém czarodziejstwem swojém! One, jak wyleczają umysł życiem codziennem zbolały, tak promieniem wdzięków swoich rozświecają, ogrzewają uczucia nadziemską jasnością, uprowadzając je z ckliwéj tutecznéj doliny w świat radości przeczystych.

Bo przecież „człowiek nie tylko samym chlebem żyje!“ jest jeszcze inny chleb — chleb idealny, co umaczany w winie niebiańskiéj poezyi wzmacnia siły duchowe, by dotrwały do ostatka, a gdy pożyjesz chleb ten, już się związesz przymierzem z tém, co zacne i wielkie, i pogodzisz się ze światem i z życiem i z sobą.

Zaiste! we Włoszech możesz odświeżyć, odkąpać duszę widokiem dzieł arcy-mistrzów cyrkla, dłuta i pędzla. Italia jest piękności obiecaną ziemią, w niéj zebrane, jakby w muzeum a galeryi, pomniki a zadatki najważniejszych okresów sztuki. Tam w rozwaleniu, krzewem i zielem porosła, wdzięczy się architektura grecka, tak pełna uroku i cichéj harmonii; tam patrzy na wędrowca owo harde, pełne grozy a wzniosłego majestatu budowanie starego Rzymu. Na ziemi italskiéj artystyczny Hellenów duch skamieniał nieprzeliczoną ludnością rzeźbionych postaci, które, rodząc się w przeróżnych okresach rozwijającéj się, kwitnącéj i umierającéj sztuki, jakby przez usta marmurowe opowiadają nam całą historyę i wszystkie epoki klassycznéj skulptury. I znowu owe obrazy malowane, owe mozaiki i waze, przechowane w miastach i grobowcach zapadłych, ziemią i popiołem zasypanych, lawą niby wiekiem trumny przywalonych, uczą nas czém było malarstwo w starożytnym, klassycznym świecie.

Lecz skoro już na włoskiéj ziemi nauczyć się możesz, jak się rodziła, żyła i umierała starożytnych mistrzów twórcza fantazya, témci więcéj tam na pomnikach czasów chrześcijańskich zrozumieć zdołasz, czém była sztuka w stuleciach w Chrystusie wychrzczonych. Tam na żywe oczy widzisz, jak budowania staro-rzymskie zwolna przeistaczają się na przybytki Boże, jak na zuchwałych zwaliskach pogańskiego przepychu wyrasta architektura domów Zbawiciela, jak ona, nabierając własnego tętna i własnego oddechu, staje się osobną, nową, nigdy dawniéj niewidzianą sztuką. Tak architektura odbywa

we Włoszech przemienienia swoje. Tutaj snuje się nić duchowa fantazyi artystycznéj przez pokolenia wszystkie i przez stulecia wszystkie, a bylebyś dojrzał téj nici, niby tajemniczéj duchów przędzy, a obaczysz jak to z siebie następnie się znienacka rodziły wszystkie architektoniczne formy i style chrześcijańskich ludów.

Wiecie téż, że gdy nastała godzina, już ona wskrzesiła we Włoszech skulpturę, co rosła i rozwijała się pięknością pod wodzą zacnych mistrzów, aż się nie stała przedmiotem tytanicznéj miłości Michała-Anioła, onego arcy-mistrza Włoch; ona wtedy, wzmógłszy się kochaniem jego w ducho-władną moc, zatrzęsła do dna sercem człowieka.

Lecz jeżeli architektura, jeżeli rzeźba czasów chrześcijańskich tak świetnie promieni się na ziemi italskiéj pomnikami zacnemi, cóż dopiéro rzec o sztuce malowania? Ona, obrawszy sobie we Włoszech ojcowiznę swoją, roztuliła się tutaj pięknością jak już nigdzie w żadnym narodzie, jak już nigdy w żadnym dziejowym okresie. Bo powiedzcie, czyli wszystkie inne ludy europejskie razem wzięte, w całém długiém pasmie swojego żywota, zdobyły się na tak wielką liczbę tak wielkich geniuszów w malarstwie, jak ta jedna ziemia italska! A malarstwo jest sztuką chrześcijańską, a malarstwo włoskie zrodziło się i rozwinęło o własnéj mocy i potędze. Bo gdy architektura i rzeźba ludów nowożytnych, w pierwotnych zaczątkach swoich, oparły się na wzorach klassycznych, póki nabrawszy własnego polotu fantazyi, nie zrodziły, zwłaszcza w budownictwie, nowych i odrębnych stylów; przeciwnie, malarstwo urosło i wzmogło się we Włoszech prawie bez wzorów i przykładów, spuścizną ze świata klassycznego przekazanych. Wiecie, jak to włoskie malarstwo rozkwitło w różnych odrębnych szkołach, z których każda zapłonęła właściwą sobie dążnością, właściwą zaletą, a przecież one wszystkie, nawzajem się uzupełniając, złożyły jedną wielką całość, jedną wielką sztuki wszechnicę, mając za wspólne serce swoje piękność najwyższą z bezśmiertnych światów zrodzoną. I dotychczas, po świątnicach Pańskich, po pałacach, po przybytkach sztuki promienieją pięknością te dzieła malowane i patrzą na nie pokolenia późne, a podziwienie przejmuje je dreszczem, gdy widzą jak przed ich oczyma, przed ich zmysłami, a w żywéj obecności na doczesnym jawie, owe tajemnicze ducha wróżby, co były przy stworzeniu wszech-rzeczy w serce człowieka włożone, przybierają na siebie formy cielesne, stając się pięknością. I oddają późne pokolenia hołdy geniuszowi ludzkiemu, i składają dziękczynienia nadniebnemu Siewcy, co posiał te gwiazdy ludzkie wśród śmiertelnego świata.

Zważ zatém, jeżeli w tych Włoszech szczęśliwych nauczyć się możesz, czém architektura, rzeźba i malarstwo starożytności klassycznéj, i czém jest architektura, rzeźba i malarstwo w historyi chrześcijańskiéj; jeżeli tamtych trzech rodzajów sztuki wypatrzyć zdołasz najgłówniejsze zwroty i epoki w ich historycznym rozwoju, więc podobno jest nam po co odwiedzić te Włochy!



Wyznaję jednak, iż prócz téj ogólnéj ponęty, wabiącéj wszystkich pod niebo italskie, miałem jeszcze osobny i osobisty powód. Jakoż, właśnie pod owe czasy, zabierałem się do skreślenia obrazu „dziejów artystycznéj fantazyi“ w historyi powszechnéj ludzkiego rodu (Tom II Listów z Krakowa); więc nietylko miałem nadzieję, że ta wycieczka moja do Włoch pokrzepi umysł i nastroi go usposobieniem stosownem do pracy tego rodzaju, lecz ufałem, że mi ona dostarczy na czas długi wspomnień, niby duchowego chleba, i że będę miał znów na kilka lat czém żyć umysłowo, a nakoniec rokowałem sobie, że ten przelot, choć pośpieszny przez Włochy, poda mi zaiste sposobność uzupełnienia wyobrażeń moich o wielu jeszcze dla mnie wątpliwych szczegółach historyi sztuki we Włoszech; co nawet w pewnym względzie było obowiązkiem moim (*).

Choć atoli tuszyłem sobie, że ta wędrówka moja pójdzie na korzyść owéj książki, którą skreślić miałem; mogłem jednak przewidzieć, że tylko drobna cząstka spostrzeżeń i notat, w podróży mojéj poczynionych, umieścić się zdoła w tém dziełku, bo ono miało być tylko ogólnym, pobieżnie rzuconym szkicem dziejów artystycznéj fantazyi. Tak się tedy stało, że mi się czepiła myśl skreślenia osobnego opisu téj wycieczki, któryby, obok treści tyczącéj się scen natury i ludzi owych stron, *wyjaśnił zarazem ogólnym zarysem historyą architektury, rzeźby i malarstwa a to tak w czasach chrześcijańskich jak i w starożytnośei klassycznéj.* Ta myśl tak mocno mnie zajęła, iż postanowiłem u siebie wykonać ją wedle sił moich. Przewidywałem, że książka takowa mogłaby być właśnie uzupełnieniem owego szkicu dziejów artystycznéj fantazyi (w II T. Listów z Krakowa), bo co w nim winno być jedynie ogólną zasadniczą teoryą, znalazłoby w takowym opisie podróży swoje udowodnienie, unaocznienie i praktyczne zastosowanie. *Tak przeto złożyłaby mi się w formie wędrówki przez Włochy, niby historya sztuki, wykazana na pomnikach rzeczywistych, istniejących na ziemi italskiéj.* Lubo atoli wiem, że sztuka roztoczyła się we Włoszech właściwym i wyłącznym sobie trybem, a więc różnym od jéj historyi w innych krajach Europy, jednak nikt téż zaiste nie wątpi, że dokładniejsze wyświecenie różnych epok sztuki włoskiéj wystarczy, aby nabrać nie lada wyobrażenia o jéj dziejach u najcelniejszych ludów Europy. Wszak nawet owe właściwości włoskiéj sztuki, o ile one rzeczywiście miejsce mają, wła-

(*) Jakoż, do moich dawniejszych obowiązków w uniwersytecie, miałem właśnie świeżo sobie powierzone wykłady estetyki i historyi sztuki (mianowicie architektury, rzeźby i malarstwa) w Szkole Sztuk Pięknych. (Professorem estetyki i historyi sztuki w Szkole Sztuk Pięknych, Kremer mianowanym został w r. 1850; podróż do Włoch zaś odbył w r. 1852. Zob. życiorys. — St.).

śnie podać mogą pożądaną porę do porównań i wyjaśnienia tego, co się w innych krajach działo.

Otóż przełożyłem szanownemu czytelnikowi — *cały zamiar i cel téj książki.*

Z tego założenia mojego nie trudno poznać, że w téj pracy będę miał głównie na względzie tę część publiczności naszéj, która ani podróżowała we Włoszech, ani chce odbywać podobnéj wędrówki, wszelako, pilnując drogiéj strzechy domowéj, rada przecież zapoznać się nieco z historyą architektury, rzeźby i malarstwa. Jednak, mimo to, zdaje mi się, iż nie zbłądzę, gdy w pracy téj, ile się da, zwrócę baczenie moje i na tych czytelników, którzy albo już byli we Włoszech, albo się do nich wybierają. Proszę atoli i najuprzejmiéj ostrzegam, aby nikt nie mniemał, jakoby ta książka mogła mu zastąpić przewodnik. Bo nie tylko dziś nie brak już doskonałych przewodników, ogłoszonych w różnym języku, więc téż nie ma czego powiększać ich liczbę; lecz nawet ich przeznaczenie jest inne, a inne będzie przeznaczenie książki niniejszéj. Jakoż, gdy przewodnik winien z natury swojéj wymieniać i wyliczać wszystko, co piękne a ważne, nic w tym względzie nie opuszczając, przeciwnie, obecna książka moja, założywszy sobie skreślenie dziejów sztuki, winna głównie wybiérać sobie, małą liczbę z tych pomników i dzieł artystycznych, które są przedstawieniem sztuki i jéj stylu w pewnéj epoce i pewnéj miejscowości; lecz za to takowe wybrane pomniki i dzieła winny być w naszéj książce ile możności dokładnie opisane, aby czytelnik mógł z nich nabrać wyobrażenia o typie współczesnego okresu sztuki.

Rozumie się atoli, że mimo tych wszystkich chęci i życzeń moich, ten zarys wycieczki mojéj nie będzie sobie rościł prawa, aby miał uchodzić za istną historyę sztuki; bo ta historya wymaga dzieła systematycznego, z osobna ku temu zakrojonego, a nie opisu podróży, w któréj przedstawienie dzieł sztuki, wedle następstw po sobie idących epok, nie zawsze od woli naszéj zależy; a nadto, obraz mojéj wycieczki, właśnie dla tego, że nim jest, obejmie zapewne wiele przedmiotów innych, nastręczonych przez podróż, a niemających żadnego związku z historyą sztuki. Prócz tego, nie braknie téż, jak myślę, ustępów, będących wypływem osobistego nastroju duszy, bo uczucia nasze, nawet mimo woli naszéj, zabrzmią w nas i zadygocą, gdy się pojawią cuda natury i dziwa ludzkiego geniuszu, a trudno téż, by ci nie zawtórowała w piersiach obca radość i obca boleść.

Otóż tak ułożywszy sobie pomysł do całéj téj książki, jakoś nie lękałem się już czyjego z boku zarzutu, jakobym bez potrzeby pomnażał tłumy setek opisów Włoch, których i tak już bez liku na świecie. Bo najprzód dość wiedzieć, jak to się dzieje w innych literaturach europejskich! One choć tak są obfite w książki tego rodzaju, jednak im rok-rocznie przymnażają się podróże do Włoch,



a przecież nikt się tam nie krzywi na przybytek takowy. I arcysłusznie! Bo nigdy do syta napatrzyć się nie możesz temu, co z istoty swojéj wielkie i piękne i treści głębokiéj; owszem, im częściéj do dzieł sztuki nawrocisz, tém silniéj w sobie spotężniejesz i duchem urośniesz; bo piękność, podobnie jak prawda, jest bez granic i niewyczerpana nigdy; więc ktoby w przedmiocie nieskończonym a bez granic widział jakieś granice i rzecz oddawna wyczerpaną, to chyba dla ograniczenia swojego własnego umysłu, a wyczerpanéj treści ducha swojego. Widać tedy, że już dla tych powodów ogólnych nie miałem się czego lękać zarzutu, jakobym, zabierając się do skreślenia podróży włoskiéj, imał się osnowy zużytéj i jakobym powtarzał dawno ogadane rzeczy. Owszem mniemam, iż na takowe przymówki tém mniéj zasłużę, że, mając zamiar w opisie mojéj wycieczki skreślić zarazem historyę sztuki, już tém samém chwyciłem się trybu zupełnie nowego, różniącego tę pracę moją od wszystkich innych znanych mi włoskich podróży, tak swojskiéj jak i obcych literatur.

Łaskawy czytelnik niechaj raczy nie liczyć mi niniejszego oświadczenia na karb zarozumienia zakochanego w sobie a próżności śmiesznéj, bo ja najmocniéj przekonany jestem, że nie wszystko, co nowe i oryginalne, jest zarazem trafne i szczęśliwe. Owszem, ponieważ wiem, że wiele już jest prac tego rodzaju dokonanych z najwyższym talentem, ponieważ wiem, że z temi pracami, pełnemi świetności, moja książka na żaden sposób mierzyć się nie zdoła, otóż właśnie dla tego pragnę, aby ona przynajmniéj odznaczała się inną a właściwą sobie cechą, aby miała choć na myśli oswojenie kształcącéj się młodszéj braci z historyą tego, co jest piękne i zacne na świecie, rozszerzając ile możności upodobanie w dziełach mistrzów sztuki. I dałby Bóg żeby mi się w tym względzie powiodło! Albowiem upodobanie w piękności nie jest przecież bynajmniéj zaletą przyczepioną z zewnątrz do człowieka, ale raczéj jest pewną oznaką, że we własném sercu naszém już rozniecilo się i rozgorzało przeczucie o przyszłém nadziemskiém przeznaczeniu człowieka, o jego wyższości nad tém wszystkiém, co tuteczne i marne. Jakoż, już sama miłość do promiennych a przeczystego uroku form sztuki jest jawném świadectwem, że w nim samym wzmogły się zacne pragnienia i chęci przeczyste; bo to tylko może się stać jego kochania przedmiotem, co mu jest z istoty pokrewném, i co uznaje być krwią i kością własnego ducha naszego. Upodobanie nasze w tém co piękne jest zaiste świętym talizmanem w świat; bo jeżeli, jak słusznie ktoś rzekł, miłość a hodowanie kwiatów ziemskich przemijających strzeże uczucia młode, niewinności pełne, tém ci więcéj, jak myślę, obroną od niedobrego będzie miłość do arcydzieł sztuki, do onych nieśmiertelnych kwiatów, które hoduje anioł piękności w życiu tutecznem.

Otóż takowe były wyznania moje względem téj książki, z których ci się zwierzałem w myśli w pierwszych chwilach rozpoczętéj

drogi. Bo, jak wiesz, już wyjeżdżając z Krakowa miałem zamiar skreślenia téj książki, i jużem w tych chwilach wyobrażał sobie, jakobyś, czytelniku życzliwy, wraz ze mną siadł do wagonu i słuchał cierpliwie tych powodów moich, tudzież planu książki i trybu jéj traktowania. Właśnie takie fantasmagorye najczęściéj piszących nachodzą! Spytaj któregobądź autora, a najpewniéj mi poświadczy i przyzna, że ile razy w nim zrodzi się myśl napisania nowéj jakiéj książki, rozmawia w duszy z czytelnikiem, jakby z kimś przytomnym; więc mu prawi, tłómaczy się i pyta o rady, i chwali się troszkę, i rozbiera wątpliwości i t. d. i t. d.

Nie rozumiéj atoli, szanowny czytelniku mój, żem już teraz na piękne i do czysta wyspowiadał się z powodów, które mnie nęciły do owego kraju „kędy cytryny kwitną“. Bynajmniéj; jeszcze we mnie działała jedna przyczyna, któréj, choć jest najosobistszą ze wszystkich, zataić nie mogę, chcąc stanąć z czytelnikiem zupełnie na szczere i pragnąc go już z początku oswoić z barwą całéj książki, którą trzyma w ręku. Oto, krótko mówiąc, jeszcze mnie wabiła do Włoch nadzieja odświeżenia w sobie uczuć młodzieńczych i wrażeń, których doznałem niegdyś — niegdyś, przed bardzo wielu laty! Ufam bowiem, że ta wycieczka przeniesie mię, choć na krótkie chwile, w dawno upłynione czasy. Jakoż, będąc ongi jeszcze studentem Jagiellońskiego Uniwersytetu *(vulgo* akademikiem), zwiedziłem pierwszy raz te Włochy, patrzałem na ten kraj cudów pełen, mając lat dwadzieścia; więc to było w tym wieku, w którym, jak wiecie, cały świat gra nam skocznego tana, gdy gwiazdy i ludzie, drzewa i wody, gdy natura cała zdają się być jedynie na to stworzone, by z nami jakby zapustne grajki huczały, śpiewały, by razem z sercem naszém hasały radośnie. Było to w tym wieku upojenia, gdy życie całe, gdy świat wszystek, a cóż dopiéro Włochy, były czarnoksięzkim ogrodem poezyi, oświeconym magicznemi świeczkami fantazyi. Lecz od tego czasu minęło lat dwadzieścia sześć, więc ćwierć stulecia z górą! Cóż dziwnego, że teraz pragnąłem cofnąć się w owe lata złocistych marzeń i lubych choć mającznych dziwadeł; zdawało mi się, że warto doświadczyć na sobie, czyli powtórny widok onych miejsc, niegdyś za młodu zwiedzanych, nie zabrzmi na tych samych duszy klawiszach, co dawniéj przed laty, i czyli może choć kilka z onych tysiącznych świeczech nie zapali się jeszcze magią swoją?

Jednak upraszam jak najmocniéj czytelnika mojego, aby nie rozumiał, jakobym miał dziecinnie żałować ubiegłych, młodocianych lat. Bo ta młodość, toć przecież tylko wiosna pełna kwiatów, w których tak rzadko zawiązuje się owoc, a marzenia młodości mają tylko dla marzącego wartość swoją; są to słodkie kłamstwa ułudne i pieścidła bez znaczenia! Kto zbyt żałuje téj młodości, tedy albo sam sobie daje smutne świadectwo, że nie rad z trybu, którym skwitował się z życiem; albo téż te żale nie są ani szczere ani prawdziwe.



I zaiste, gdy kto z zacnych ludzi sam w siebie wmawiał, iż radby z duszy wrócić do młodocianych lat, niechaj, położywszy rękę na sercu, szczerze powie, czyliby się podjął to życie już przeżyte odpracować raz jeszcze? czyliby chciał przenieść na sobie raz jeszcze te wszystkie zwodne ułudy i te męki serdeczne, palące, i te nadzieje zdradne, co tylekroć nie dotrzymały danego nam w młodości słowa, a pierzchły za lada powiewem światowym. Niechaj pomyśli co przecierpiał, co przebolał, ile walk przemógł ze światem i z sobą — a mniemam, że bez wahania cofnie życzenia nierozważne. Lecz jeżeli tak się rzecz ma, czémże się znów dzieje, że wspomnienia młodocianych lat tak są w nas rzewności pełne? Zkąd nam tak lubo a dźwięczno usłyszéć znowu te struny, co nam śpiewały na wiosnę życia naszego, a dziś milczą, niby lutnia pęknięta, dawno zapomniana? Zkądże tedy ta sprzeczność we własnéj duszy naszéj, zkąd ta dwoistość uczuć we wnętrzu naszém?

Nie wiem czyli czytelnik życzliwy zna ową powiastkę o „staréj pannie“, wymyśloną już nie pamiętam przez którego z poetów? Opowiem ją wam choć krótkiemi słowy, bo ona może nieco wyjaśni nam ową zagadkę własnego serca. Wszak widzicie, że ku temu ma się już nawet sam tytuł onéj zagadki, bo przecież, podobnie jak nam wszystkim, tak i pannom starym szczęścia nadzieje nie dotrzymały przyrzeczenia danego w młodości, i im rzeczywisty świat wyrządził krzywdę, i im niegdyś kłamne młodociane ułudy, niby wróżki zwodne, prawiły o wielkiéj a pewnéj wygranéj na stawce ziemskiego żywota.

I mogę śmiało się rozgadać, bo czyli wyjrzemy prawém, czy lewém okienkiem z wagonu, okolica już jakoś równa, ckliwa, niby zlewna i nudna.

Otóż nasz poetka gadatliwy maluje nam, jak tam może, izdebkę swojéj heroiny. Więc na oknie klatka, w niéj para ruchawych kanarków i doniczka z różą, a druga z cyprysem; na kominku ogień, na ścianie obraz Zbawiciela na krzyżu, uwieńczony żywą passiflorą, i znowu wizerunek przenajświętszéj Matki bolesnéj, za nim palmów wiązka. Szyby w oknach ustroiły się w gałązki i kwiatki z lodu, bo na dworze zima, więc mroźno i śnieżno. Pod oknem stolik, na nim książki, jako: „Ołtarz Złoty, Chleb Duchowy, Wieniec Różowy, Matka Świętych Polska“. — Obok na krześle „stara panna“ — ona trzyma w ręku książkę o zżółkłych kartach i czyta spłowiałe pismo; bo w téj książce od pacholęcych lat zwykła zapisywać wszystkie trudy a boleści, długiéj a ciernistéj pielgrzymki swojéj na ziemi. Ona atoli oddawna pogodziła się ze światem i z sobą, uczucia jéj już wychorowały się z doznanych cierpień, oddawna życie jéj jest życiem miłości i poświęcenia; kędy głód zaboli a nędza trawi, tam „stara panna“ zjawia się aniołem pocieszycielem; więc ona nie jest sierotą samotną na ziemi, — a oblicze siwéj niewiasty rozpromienione jest niebiańskim pokojem. Bo choć zimno, mroźno wśród

ludzi, — w jéj sercu goreje już promień nadziemskich nadziei. To serce było także niegdyś na krzyżu rozpięte i passiflorą uwieńczone; na miejscu weselnych róż, wyrosły jéj na téj drodze doczesnéj cyprysy smętne. Dziś wszystko co ziemskie przeminęło jak zły sen. I czyta niewiasta siwa w tych zapiskach swoich, niegdyś łzami pisanych, a uśmiech jakby o rajskich ogrodach wykwitł na zapadłych licach bladych. I dziwi się niewiasta, że się uzbierał, przez jedno życie, tak długi szereg tych bolów piekących, tych cierpień krwawych. I ona cieszy się tym długim przeciągłym szeregiem nawiedzeń Bożych. Bo to przecież każdém cierpieniem zerwała się jedna nić onéj siatki, co ją do ziemi wiązała; więc coraz swobodniéj unosiły się w górę oczy duszy jéj; każda serca rana uczyła wyższéj a wyższéj mądrości; z każdą boleścią palącą, niby ogniem czyśćcowym, wytopiła się jako zuzelica jedna z żądz samolubnych i pragnień zwodnych; aż tak wyzdrowiony, tak przezroczysty stanął niewiasty duch, że obaczyła życie swoje i wszechrzeczy ziemskie na tle świętych, nigdy niezmiennych prawd, że patrzała w pokoju na doczesny i tameczny świat, jakby na stykające się z sobą części jednéj i téj saméj całości. Więc dla téj niewiasty szczęsnéj skon jest tylko, jak ktoś rzekł, rozebraniem się wieczorném z szat tutecznych, by się obudzić w promienistém zaraniu.

I czyta „stara panna“ w tych zapiskach swoich i rozpatruje się z rzewnością w latach dawno pogrzebionych, — aż znagła zaćmiło się jéj w oczach, — owe litery spłowiałe spłynęły z sobą, bo po szkle okularów pociekła łezka. Wśród kartek zżółkłych pojawił się listek barwny. On niegdyś był listkiem róży, dziś jest próchnem martwém. Przez łzy uśmiechnęła się spokojem cichym niewiasta zgrzybiała. Ten listek był niegdyś liściem z róży, darowany jéj miłości zadatkiem od ulubieńca serca jéj, gdy się wyprawiał na wojnę, z któréj już nigdy nie wrócił. I utonęła duszą w tym listku umarłym, — długo w niego patrzała, aż ów listek biedny, spróchniały w jéj oczach żywych rozwinął się różą pełną, żyjącą; ale róża nie była z tego świata, bo ona oblana purpurą, jakby użyczoną z nieba palącego się zachodem, i róża odetchnęła wonią nadziemską, a promienie jasności płonęły w kwiecie; niewiasta ujrzała nieskończoność Bożą w kwiecie gorejącym; ten listek spróchniały, niegdyś ziemskiéj miłości upominek, przeistoczył się w nadgwiazdną różę, co zadatkiem miłości niebiańskiéj. Na dworze biły śnieżne płaty i srożyła się burzą zima mroźna. Wtedy niewiasta... „Panowie! Szczakowa! — Prosimy o pasporty“.

Te słowa przerwały rojenia moje! Pociąg się zatrzymał. To zaiste nieszczęsna Szczakowa, któżby jéj nie poznał? Dworzec kolei żelaznéj, — na tém koniec — a w około, jak okiem daleko zasięgniesz, piaski i piaski, wysadzane, jakby czarnemi płatami, bukietami z jałowcu; za piaskami lasy — a za lasami znów piaski. Nie dziw, że taka natura martwa wypłoszyła mi wyobraźnię z pokoiku



onéj zacnéj niewiasty; bo zawsze rzeczywistość jałowa lubi nas wyganiać z krain pieszczotliwych marzeń w piaski i pustkowia życia. Nie kończę przeto już owéj rozpoczętéj powiastki, którą bez trudności w myśli czytelnik uzupełni i odgadnie jéj sens moralny.

Któż wie, może też dobrze, że mnie tak przebudziła Szczakowa, bo niewiedzieć jak długobym się jeszcze był rozwodził nad myślami, które mnie nachodziły w czasie pierwszych chwil po opuszczeniu Krakowa.

Lubo atoli jest rzeczą pewną, iż tym trybem opowiadając wycieczkę moją niedalekobyśmy zajechali, skoro w tych kilku godzinach drogi tyle się nagadałem; przecież mnie to nie korci i nie wykreślę nic wcale z tego wszystkiego, com powyżéj napisał. Bo godzi się, zwłaszcza na początku podróży i książki mojéj, abym, ile razy mi się pora nadarzy, przestrzegł czytelnika, pokazując mu, co go czekać może w dalszym ciągu opowiadania mojego. Niechajże tedy już z góry wie, że często-gęsto znajdzie rzeczy, bez których, ściśle mówiąc, obeszłoby się wcale w opisie podróży, a zwłaszcza w takiéj podróży, która mu dość zuchwale zapowiedziała, że ma pretensyę być niby wycieczką artystyczną. Tak to zwyczajnie, gdy autor zbyt ufa życzliwości czytających, już mu się często gada, co mu chwila na pióro przyniesie. Jeżeli tedy taki nader mowny towarzysz podróży nie odstraszy odważnego czytelnika, więc proszę z sobą w dalszą drogę.

---

*Szczakowa.*

Szczakowa! Ten budynek niewielki, ale schludny i gładki, jest dworcem kolei, w nim urząd pograniczny. Wkoluteńko piasek czysty, biały, poplamiony krzewami ciemnego jałowcu, co tu stanęły jakby ostatnie stracone pikiety roślinnego życia. To pustkowie istnym rajem zajęczym, lecz rozpaczą dla człowieka, któremu przyjdzie tu zamieszkać. Bo nasze Krakowskie do połowy prześliczne i pełne widoków cudnych. Więc pagóry w gaje odziane, więc skały fantastyczne i ciemne lasy, mogiły i łąki, i potoki i role chleborodne — a zdaleka niekiedy na widnokręgu zaświecą srebrem i błękitem jasnym Tatrów harde budowania. Słowem, ta połowa, to iście obiecana ziemia, a tak malownicza, jak gdyby naumyślnie dla pejzażystów a poetów stworzona. Druga zaś połowa, to piaski, i pustki jałowe i ckliwe. Wszak proszę sobie z niéj nie żartować! Małoż to ludzi na świecie nudnych i jałowych i ckliwych? Gdy atoli ich bliżéj poznasz, gdy im zajrzysz w głowę i serce, toć znajdziesz skarby duchowe, co drugich bogacą, i uczujesz ciepło duszy, co nie jednego ogrzeje. Otóż widzicie, pod tą zewnętrzną jałowizną, poniżéj tych jałowców i piasków nudnych i ckliwych, chowają się

skarby cynku i węgla, co bogacą i ogrzewają blizkich i dalekich, i swoich i obcych.

Dziwna to rzecz z tą siłą żywotną! — na tych piaskach głuchota i śmierć, — ale gdzie tylko w dołkach woda deszczowa dłużéj się zatrzyma, kędy jest ślad choć wyschniętéj strugi, tam puściły się trawki i zioła, niekiedy nawet coś *per modum* kwiatka się wyświęci. I nie ma czemu się dziwić! — bo przecież i duch ludzki, co to inném życiem żyje, niż ta bezduszna roślinność, biednieje atoli wśród jałowizny świata, i nie rozwinie się wiedzą ani wykwitnie w nieśmiertelne kwiaty swojéj zacności i wrodzonéj swobody; lecz dodaj mu choć troszkę lepszéj ziemi, troszkę pożywienia, a puści się wonném zielem, a kwiatem umiejętności i sztuki Bogu na chwałę.

Do samego boku dworca przytulił się ogródeczek mały, otoczony sztachetami; łatwo ci proroczyć, jak się biedakowi na pustyni wiedzie. Natura o tyle przyczyniła się do niego, że dostarcza już gotowych ścieżek piaskiem wysypanych, które też broni, by nie zarastały niepotrzebną trawką. Wśród ścieżek — grządki; na grządkach goździki, a klują się też jak ich stać georginie — ba, nawet kilka krzewów różanych. Wszystkie te krzewy niepomału się dziwią, zkąd one się tu wzięły. Jest tu jeszcze altanka zgrabnie z żerdzi i obręczy związana. Z jednéj strony altanki pnie się wyczka, z drugiéj pnie się groszek, znać jak się silą i męczą, by jakoś się w górę dostać. Widać wyraźnie, że wyczka i groszek pałają do siebie nieszczęśliwą miłością, więc radeby się zejść nad altanką i ucałować nawzajem, — ale cóż, gdy im brakuje soków pożywnych! — Przecież na ich listkach biednych świeci rosa rzęsista, więc piją tę rosę ulubieńcy, nie tracąc nadziei, i pną się jak tam mogą. Rzekłbyś, że to para ubogich kochanków, co tęsknią miłością do siebie; — przecież im nie wystarczy na życie, patrzą tedy w górę, spodziewając się pomocnéj rosy niebiańskiéj.

Zacna to była myśl założenia sobie tutaj tego ogródka; bo ona uczy, że nie ma tak jałowego położenia w życiu, któregoby sobie nie można umaić i ustroić, byle nie brakło odwagi i chęci dobréj, byle mieć tyle rozumu, by przestać na małém. Jestem pewien, że te biedne nierozwinięte kwiaty tak są kochane od tego, co je sadził i pielęgnuje, i taką mu są pociechą, jak gdyby świeciły najwyższą siłą i najbogatszą pięknością. Wszak matka kocha właśnie najwięcéj to dziecię, które wychowała wśród najboleśniejszych trosk i trudów — a tylko źli ludzie miłują więcéj swoje dzieci urodziwe i silne, niż ułomne i niedorodne.

---



*Dworzec kolei w Mysłowicach.*
(Pogranicze pruskie.)

Cóż to się stały za dziwy! Te tłumy podróżnych, co z nami przeleciały koleją do Mysłowic, takie jakieś rozmowne, giestykulujące, uprzejme i gładkie. Mieszkańcy chwilowi wagonów, tak dla siebie usłużni, poufali, jak gdyby byli jedną, dobrze wychowaną rodziną! — Wszyscy względem wszystkich przesadzają się w grzecznościach; zwłaszcza też piękna płeć odbiera od mniéj pięknéj dowody kornego hołdu. Ten przywleka stołki dla dam, ów objuczył się górą szalów, mantylek, torb i torebek podróżnych, haftowanych, ów przybiega z limoniadą, a znów inny skrapia chusteczki wódką kolońską. Wszak i sami panowie podróżni między sobą nader uprzejmi — a do tego gwar — rozmowy — a czasem i uśmiechy skryte. Te uprzejmości i grzeczności, iście cudem w naszym przecywilizowanym, samolubnym świecie. Dziwniejsza atoli jeszcze, że cała geometrya wystąpiła na twarzach i twarzyczkach figurami czarnemi jak węgiel; — koła, elipsy, trójkąty, trapezy, prostokąty i t. d. wykwitły to na skroniach, to na czołach lub brodzie.

Widzę jednak, że tych zjawisk dziwnych nikt sobie bez komentarza nie wyjaśni. Więc wytłómaczę, co się święci. Pociąg nasz, wyruszywszy ze Szczakowy, już już dosięgał saméj miedzy krakowskiego a Prus, gdy szereg wozów, naładowanych podobno cynkiem, umocowany z tyłu pociągu, odczepił się jakoś. — „Stój! stój!“ — wołają konduktory — maszynista, nie żałując sobie, jak zakręcił, tak osadził w miejscu nasz pociąg, który też stanął jak wryty. — Lecz one wozy z cynkiem, rozmachane pierwotnym rozpędem, choć odczepione, goniły jeszcze śpiesznie za nami; dopędziły więc i ogromnym co się zowie szturchańcem dały znać o swojém przybyciu. Rozumie się, że podróżnym, siedzącym w wagonach, ani śniło się o całéj téj historyi. Jedni dumali spokojnie, inni ćmili cygara, a inni drzémali snem prawego; aż tu hałas i szturchaniec ów straszliwy, zamaszysty — więc niektóre szyby pękły, kalecząc choć zlekka — więc zderzenie głów naprzeciw siebie umieszczonych; — byli i tacy, co się z siedliska zesunęli; a jeszcze na dobitek skrzyneczki, cybuchy, pudła, zawieszone nad głowami, znienacka spadały na przestraszonych wojażerów. To wszystko odbyło się szybkością gromu. — Wrzask i hałas. — Wśród burzy a zamętu słychać tylko na różne głosy gammy: „Uciekajmy!“ „Ja wyskoczę!“ „Otworzyć wagony!“ Daléj wezwania i modlitwy. — I znów: „Nic to! nic to! Bądźcie spokojni!“ — Ale daremnie — „Gwałtu!“ Wrzask, krzyk się wzmaga — „Uciekajmy! Ratujcie!“ „Ja wyskakuję!“ woła jakiś otyły jegomość, wciskając się w okno. „Otwierajcie wagony!“ ktoś huknął głosem grzmiącym. — „Daję słowo honoru, że nie ma obawy“ krzy-

czy co gardła jeden z oficyalistów pociągu. — „Co mi tam po pańskim honorze!“ — „Otwierać!“ — „Wody! wody! Dama zemdlała! — Doktora! Doktora!“ woła drugi. — Nakoniec przecież się uspokojono, bo całe towarzystwo, wydostawszy się z wagonów, przekonało się, że nie ma czego się obawiać. Już i kilku skocznych kawalerów pobiegło do blizkiéj strugi i do swoich kaszkiecików podróżnych nabrawszy wody otrzeźwili zemdlone damy. I wszystko już się jakoś uspokoiło, gdy, niby znów na przyczynek, jakaś pani, co inne trzeźwiła i uspokajała, z wielkiego poruszenia sama doznała spazmów — nowe hałasy. Znów woda ze strugi, znowu wódka kolońska w robocie.

Teraz już burze hałaśniejsze ucichły, żwawy tylko gwar słychać. Podróżni, stojąc gruppami około wagonów, nawzajem sobie opowiadają, co każdy myślał i o czém nie myślał w chwili zderzenia. Każdy zapewnia, iż odrazu był przekonany, że nie ma niebezpieczeństwa. Przecież dana wzajemna pomoc i wspólny strach zbliżyły ludzi do siebie; ztąd wywiązała się ta grzeczność i uprzejmość, tak rzadka na kolejach żelaznych. Nawet owo zderzenie się osób jakoś spoufaliło ludzi. Ten pan, co z guzem po lewéj stronie czoła i ta dama, co z guzem po prawéj stronie czoła, to pewnie *vis-à-vis* z wagonu. Przeprosiwszy się nawzajem, patrzcie jak teraz się prowadzą, miląc się do siebie. Ochłódł też i ów jegomość gruby, co to gwałtem chciał wyskakiwać, i z wielkim trudem ledwie zdołał uwolnić się napowrót z uściśnienia okna, w które się był zrazu wtłoczył. On to, stojąc wśród grupp, najżywiéj rozprawia, a dobywszy z pugilaresu nożyczek i kitajki angielskiéj, któréj ogromny zapas z sobą woził, wystrzyga owe figury geometryczne, stosując się niby do formy ran, czyli plasterski, potrzebne lub nie, wszystkich niemi częstuje, dyrygując ich ulokowaniem; a co który plasterek szczęśliwie umieści na twarzy, przy każdym powtarza: „Wiecie państwo, że ja miałem naprawdę wyskoczyć; jakże kontent jestem z tego małego przypadeczku.“—„Jabym się był zupełnie i bez najmniejszego przypadeczku obszedł“— odpowiedział jakiś pan, który, jak znać z wymowy, berlińskiego rodu. — „Gdzie tam, mój panie, przecież będziemy mieli o czém mówić, gdy wrócimy do domu.“ — „To pewnie Sas“ — rzekł z cicha do mnie ów pan z Berlina. — „A to dla czego?“ — „Bo oni wszyscy tacy, polują na awantury, aby się czém mieli przed żoną i dziećmi pochwalić, a najczęściéj arcy dziwacznie się do tego zabierają. Czyli pan nie słyszałeś co się niedawno stało w Dreznie z onym murzynem?“—„Nie słyszałem, ale wielce radbym słyszéć.“ — „Otóż jedna z najgłówniejszych kawiarń drezdeńskich, dla dodania sobie splendoru, przyjęła za garsona murzyna. Jakiś jegomość przybywa z prowincyi do stolicy, a słysząc o tém, co tchu śpieszy do kawiarni i każe, aby mu murzyn podał kawy. „Otóż, prawi sam do siebie, będę mógł już powiedzieć w domu, że mi istny murzyn usługiwał; — trzebaby go jeszcze jakoś zaczepić i wdać się z nim w rozmowę.“



I wiesz pan jak on sobie w tém począł? oto rzekł do murzyna: — Waszeć zapewne nie tutejszego pochodzenia?“...

Tak mi rzecz opowiedział ów pan z Berlina. Co do mnie, ja tyle tylko wiem, że trudno o ludzi grzeczniejszych, rozumniejszych, pracowitszych, jak Sasi.

---

*Dworzec kolei w Raciborzu.*

Podobno nie wiele stracimy, mój czytelniku, gdy opuściwszy tę salę pełną dymnych cygar, kuchennych zapachów, wyziewów piwnych, much i gwaru, odetchniemy na powietrzu świeżém, wolném, czekając zanim dzwonek na nas zawoła, że już czas wsiadać. Tuż obok dworca most, a wprost tego mostu, nieco poniżéj, początek jednéj ze skrajnych ulic starego historycznego Raciborza. Ulica ta się skręca — więc tylko kilkanaście jéj domów na widoku naszym. Znać, że te domy po większéj części świeżéj daty, bo ich styl, jeżeli to stylem nazwać można, jest najczęściéj prawie ten sam, który za naszych czasów tak się rozgospodarzył w Niemczech Północnych, a mianowicie w Prusach. Wszak on, po pożarze krakowskim nawet do nas przywędrowawszy, wyziera natrętnie z wielu odbudowanych domów. Ba! ten styl w mieście naszém pojawił się najprzód w owym rozłożystym krakowskim dworcu kolei żelaznéj, celującym raczéj techniką doskonałą żelaznego wiązania dachu, niż polotem artystycznéj fantazyi. Ten styl, raz nazawsze wykoncypowawszy sobie proporcye, te same przekroje gzemsów, te same formy okien, drzwi i t. d., już je ciągle powtarza, nie łamiąc sobie głowy nad nowemi wymysłami. Więc dla tego, wedle mojego zdania, jest raczéj „manierą“ jak stylem; bo rysunek form jego, w ogóle ciągle się powtarzający, mniéj wypływa z natury rozumowéj rzeczy, jak raczéj ze smaku przelotnéj epoki. Styl ten zrazu ujmuje — bo niby lekki, czysty, chędogi i zgrabny — jednak w rychle się nam zeckliwi, bo tak trzeźwy, rozsądny, prozaiczny, jak rachunek kupiecki. Czasem się on wprawdzie rozochoci, napada go niekiedy jakaś chwilowa chętka udawania fantastyka, mianowicie, gdy mu przyjdzie postawić dom wiejski; wnet atoli ochłodnie i wytrzeźwi się, niebawem wraca do rozsądnéj, codziennéj prozy, — tak jak panienka, co radaby sobie poskakać, pobiegać, lecz sznurówka ciasna, trzewiczki cisnące, a mianowicie spojrzenie pedanckiéj guwernantki angielskiéj przypominają formy sztywnéj, nienaturalnéj przyzwoitości. Styl ów z istoty swojéj nie ma wydatnego charakteru, jest prawdziwym synem naszych czasów; bo i teraźniejsi ludzie mają wprawdzie twarze, lecz brak im fizyognomii. Te domy raciborskie, które tu widzim, tém się niby od siebie różnią, że jedne są nieco wyższe, a drugie nieco niższe, te

szersze owe węższe, te malowane niby na cielisto, tamte na piaskowo i t. d. — i toć cała indywidualność tych facyat nowożytnych.

Jakże się atoli spodziewać po dziełach rąk ludzkich swobody indywidualnego piętna, gdy przyroda sama tak jest już wzięta w prawidła utylitarności trzeźwéj, że, ściśniona w karby cyrkla, ledwie dyszy, stając się naturą sztuczną. Choć pędem po kolei żelaznéj przeleciałeś ze Szczakowy do Raciborza, widok tak zwanych lasów, które dojrzałeś w drodze, jest tego dostatniém, głośném świadectwem. Wszystkie w nich drzewa tak są do siebie podobne, ich formy tak stereotypowe, jak dwie krople wody. Stoją te biedne drzewa obok siebie w wymierzoném oddaleniu, wszystkie wszerz i wzwyż jednéj miary nawzajem się kopiując; nie rozumiem, jak te drzewa nie usychają z nudów! Ta jednostajność tych drzew, to ich ciągłe stereotypowe powtarzanie się jest tak okropne, że, bez przesady mówiąc, mogłoby o szał przyprawić każdego człowieka o sercu żywém, o ciepłéj wyobraźni, gdyby mu przyszło przez taki wrzekomy las wędrować. Pomyślcie sobie, że téj strasznéj jednostajności nie urozmaica wcale światek krzewów i gęstwin, co się niegdyś składał w wdzięczne bukiety i w mroczne, tajemnicze państeweczko ptasiéj ludności. Tych krzewów tutaj nie ma wcale; las dzisiejszy — to nie las, to fabryka drewna, więc to przezroczysty zbiór kijów prostych, w ziemię wbitych, nagich, jadnakich, udających u góry, że mają gałęzie i konary. Prawda, że tak nakazują reguły gospodarstwa leśnego, że to użyteczne; lecz niechajno utylitarność stanie się jedynym bożkiem tegoczesnych ludzi, a przyjdzie im na to, że, jak ktoś rzekł, ich własne wnuki, trzymając się zasady swoich poprzedników, uprawiać będą grunta zwłokami starszych pokoleń. Europa cywilizowana zapomniała już, co są lasy. Dziś nie obaczysz już tych szarych, mchem obrosłych praszczurów roślinnego świata, co, wśród potężnych konarów, otulając kapliczkę z obrazem Matki bolesnéj, sięgały wierzchołem powyżéj kniei całéj. W koło otoczone młodszą generacyą drzew prawiły im o starych czasach: więc o pustelnikach, co w odsadzeniu od świata, wśród tchów wonnych borów, w ciszy świętéj oddani Bogu, życie pokutne, samotne ofiarowali za winy swoje. Te stare olbrzymy kniei prawiły niegdyś ludziom o królach i bohaterach, co w czasie łowów na dziki i niedźwiedzie odpoczywali pod tą zieloną kopułą bujnego ich liścia, opowiadali o strachach puszczy, o czarnoksiężniczkach, o rozbójnikach, rycerzach i pielgrzymach błędnych. Te baje wszystkie, tak lube i urocze, zniknęły jak sen. W tych dzisiejszych wrzekomych borach, nie ma gdzie skakać wiewiórka „tanecznica“, ani nie ma się gdzie podziać zając, ani, trwożliwszy od niego, przemycarz. Wolę ja te lasy fantastyczne, z całym dziwem natury bujnéj, wolnéj, które okryły Karpaty w sąsiedztwie Tatrów naszych. Do nich wprawdzie nie zajrzała jeszcze przemądra cywilizacya — ale za to w nich jesteś samnasam z Bogiem i naturą Jego.

Na téj ulicy Raciborza cicho, spokojnie, porządnie i schludnie —



w oknach doniczki z kwiatami, powiew rusza sztorami; w przeciągu całego kwadransa, przesunęła się przez ulicę jedna tylko figurka, podobno zgrabna kuchareczka z koszyczkiem na ręku, zadzwoniła, drzwi same się otwarły, a figurka zniknęła. Znów cicho, odludno, zdawałoby się, że patrzymy na dekoracyą teatralną, przedstawiającą ulicę miejską, na któréj już swobodnie, jakby wśród puszczy, knują się intryżki miłośne, a kochanek, rozwodząc się nad swoim afektem, układa projekta ucieczki z ulubienicą w oknie stojącą, póki jakaś ciotka lub wrogi opiekun nie przerwie miłośnych adaggiów rozkochanéj parki. Patrząc się na tę ulicę cichą i tak bezpieczną, jakoś, niby siłą przeciwieństwa, mimowolnie nasuwają się sceny z owych burz i zamieci społecznych, które zatrzęsły miastami w stuleciach średnich. Otóż ten Raciborz, tak dziś pewny siebie, siedzący jakby na przypiecku głębokiego pokoju i kultury, patrzał przed wiekami na dziwne rzeczy.

Któż nie wié, jakie to czasy smętne i ciężkie były u nas, gdy ów biédny Leszek Czarny panował; nie weseléj téż było tutaj na Szlązku, bo one rycerskie a ciepło-głowe Piasty Szlązkie, to szamotały się z Polską, to najeżdżały się między sobą. A podobno nad nich wszystkich celował butnością i zuchwalstwem Henryk Wrocławski (Probus); był to człowiek uparty a hardy, i zbyt gorąco kąpany, jak wszystkie Szlązaki, a przytém bitny i mężny, jak wszystkie Piasty. Prawda jednak, że jakoś bliżéj serca swojego trzymał obcych niż swoich, co mu wcale nie idzie na pochwałę. A lubo był poetą i składał wiersze wdzięczne, rozpieszczone i niemi gruchał o miłości, i lubo go nawet przezwali „Łagodnym“, był przecież czasem, a mianowicie dla swoich, dość twardym. Po co nam atoli tutaj tych rozpraw dłuższych, znany i bez tego dobrze wizerunek jego z historyi Polski. Tutaj tyle tylko o nim wspomnę, o ile jego żywot awanturny wiąże się z tym Raciborzem.

Otóż wszyscy wiemy, jak temuż Henrykowi pewnego razu zachciało się zabrać Wielkopolskę dla siebie; więc najechał kraj znienacka, a mając tajne konszakty ze Sędziwojem, kasztelanem kaliskim, dostał Kalisza zdradą. Niedługo się przecież w nim usiedział; bo choć się w nim na twardo bronił, wyparli go w rychle z niego Wielkopolanie. A tak Henryk, nic nie wskórawszy, zmarnowawszy daremnie pieniądze i mężne hufce, ze smutkiem ruszał napowrót do Wrocławia. Tutaj, nie na wielką pociechę swoją, znalazł pustki w skarbcu. Przeto gniewny sępił się, dumając jakby znów podłatać zasoby swoje i powetować szkody. Nie trudno mu było o sposób. On już oddawna się krzywił, widząc, jak Tomasz biskup wrocławski, rósł w zamki, miasta i włości bogate. Pokusa tedy była nielada, a przytém dufał, że mu przecież gładziéj pójdzie z biskupem, niż z bitnymi Wielkopolanami. Więc znienacka rozesłał groźne rozkazy, aby nie Tomaszowi, ale jemu płacono dziesięciny kościelne; a na domiar nacierał twardo na biskupa, aby mu

złożył grubą summę w gotówce. Tomaszowi nie kwapiło się z pieniędzmi. Ztąd książę najechał mu miasta i dobra katedralne i zagarnął to wszystko, jakby swoje (*).

Takie zuchwalstwo nie mogło ujść płazem; jakoż Świnka, arcybiskup gnieźnieński, ujmując się za Tomaszem, zwołał zbór biskupów do Łęczycy, którzy też po niezbyt długich naradach, wyklęli jednomyślnie Henryka, lecz nietylko jego, ale i Wrocław; co większa, obłożyli klątwą wszystkie majętności księcia i wszystkie pomocniki jego i poradniki w téj sprawie. Henryk atoli tém wcale nie skruszał, nawet wziął jeszcze bardziéj na kieł; bo, nie namyślając się długo, wygnał z Wrocławia Tomasza i duchowieństwo. Duchowieństwo schroniło się do zawsze gościnnéj Polski, a biskup Tomasz wśród mnogich niebezpieczeństw przedarł się tutaj do Raciborza. Temu miastu naonczas rozkazywał zacny Władysław, książę na Opolu; ten będąc człowiekiem wielkiego serca, z całéj duszy rad był wygnańcowi, ofiarując mu przytułek w Raciborzu. Uczciwi tutejsi mieszczanie warci też byli swojego pana, otaczali biskupa tułacza czcią, zasługując mu się, jak który z nich mógł najlepiéj.

Jednak Henryk wrocławski tak się zajadł i zaciął na Tomasza, że mu nawet i w Raciborzu nie chciał dać spokoju. Więc pisze ostre listy do Władysława, więc wyprawia butne posły do niego, czyniąc mu wyrzuty i cierpkie wymówki, że biskupa trzymał w Raciborzu, żądając, by bez zwłoki wypuścił wygnańca ze swéj opieki. Zacne książę opolskie, choć niezbyt potężne, choć wróżył dla siebie złe, które się już dla niego wyświęcało, przecież uczciwie stał przy biskupie i daném mu słowie; w niczém tedy Henrykowi nie folgował i hardo mu się stawiał, pogardliwie na one wyrzuty i żądania jego odpowiadając.

Książę wrocławski uwziąwszy się, bądźcobądź, swojego dokazać, zbiera co tchu szlązkie chorągwie, i licznym zastępem ciągnie na Raciborz. Oblega miasto, nie żałuje taranów, kusz, i bije mury, ciska kamienie i przypuszcza szturmy. Lecz nie tak mu była miękka sprawa z Raciborzanami, bo ci wcale nie od bójki, a pycha i przechwalania się Wrocławiaków od starych lat stały im solą w oku. Mężnie przeto a ochoczém sercem odpierają napastników. I niewiedzieć, jakby się to wszystko jeszcze skończyło, gdyby w samym Raciborzu, czyli raczéj w samychże Raciborzanach nie pojawił się nieprzyjaciel wewnętrzny, — głód. To wróg straszniejszy, niż on Henryk za murami i wszystkie Wrocławczyki jego; bo mniejsza o bitkę, choćby i o guza, mniejsza o tarany, bo i na to sposób, lecz jakże im było wojować z własnym żołądkiem!

Zrazu nie przykrzyli sobie w niedostatku; gdy się atoli głód

(*) *Klose*, Breslau I, 2, str. 551. (*Klose*, Documentirte Geschichte und Beschreibung der Stadt Breslau. 5 tomów. 1780 — 1783 r. — St.)



naprawdę wzmagał, mruczeli zcicha, potém coraz donośniéj a donośniéj, aż też naostatek zaczęli wygadywać na tę wojnę i kląć całą sprawę.

W rychle nie żartem zanosiło się na srogą biedę, mór głodowy już coraz głośniéj dobywał się do drzwi rodzin, kędy wprawdzie nie bywało i dawniéj zbytkowo, przecież nigdy nie brakowało powszedniego chleba. A strach okropnego skonu nie jedną mężną duszę zmroził.

Wtedy biskup, któremu już oddawna serce się krajało, patrząc na rozpacz i jęki straszliwe, zwołał do siebie kanoników swoich i, wedle kronikarzy, tym trybem do nich rzecz miał: „Patrzcież, najmilejsi bracia moi! To miasto uczciwe, które przez czas tak długi udzielało nam ochrony bezpiecznéj i lubego pokoju, które nas, biédnych ściganych tułaczy, u siebie podejmowało serdeczną gościną, to miasto teraz morzone jest głodem i dręczone obawą śmierci okrutnéj. Nie godzi się już, aby dłużéj jeszcze niewinni ludzie za nas cierpiéć mieli. Lepiéj podobno będzie, jeżeli wyswobodzimy miasto biedne, samych siebie poświęcając. Pójdźmy, oddajmy się sami w ręce srogie okrutnika. Pójdźmy! Choćbyśmy nawet wolnością lub gardłem przypłacić mieli!“ Słowa takowe przejęły jakby promieniem miłości Bożéj serca zacnych kapłanów. Wszyscy gotowi iść za biskupem, sami siebie na ofiarne odkupienie miasta poświęcając. Biskup przywdziewa ornat, jakby na wielkie święto Pańskie, bierze infułę i pastorał; kanonicy w szatach uroczystych idą za pasterzem, który „daje życie za owieczki swoje“.

Lud Raciborza ze łzami patrzy teraz na orszak poważny i święty, co, śpiewając psalmy, Bogu się porucza i zwolna ciągnie ku murom miejskim, by się śmierci zaślubić. Lud klęka, biskup go błogosławi. Teraz już bramy miejskie, od tak dawna zamknięte, roztworzyły się i wypuściły męczeńskie grono.

Tomasz i zacne towarzysze jego już się zbliżają do pierwszéj straży obożnéj nieprzyjaciół. Giermki książęce zdaleka już spostrzegły pochód uroczysty i poznały biskupa. Wpadłszy tedy do namiotu Henryka donoszą, że sam Tomasz, któremu jest tak zaciętym wrogiem, zbliża się do obozu. Nie wierzy zrazu książę, potém uderzony podziwieniem wyskoczył z namiotu, rzuca się śpiesznie naprzeciw biskupowi i, jakby tchnięty niebiańskim promieniem, pada twarzą na ziemię, i woła: „Ojcze! zgrzeszyłem!...“ — Biskup podnosi go, przytula do siebie i łza spłynęła zwolna po wyschłych, bladych licach: przebacza mu z całego serca. A ów Henryk, twardy i hardy, teraz z całych piersi na głos zapłakał. Gdy takie łzy na ziemię padną, uśmiechają się anieli w niebie.

Obaj ci ludzie, co niedawno gorzeli nienawiścią ku sobie, teraz ściskając się i całując w zachwyceniu radośném wzięli się pod rękę, i sami, bez świadków, weszli do kościoła św. Mikołaja. I Bóg wysłuchał ich modlitwy, i łaską swoją pojednał ich na życie całe.

Biskup i książę wystąpili ze świątnicy z rozjaśnioném obliczem, a Henryk poznał, jak to ludzkie serce ubogie, gdy nienawidzi, jak bogate, gdy miłuje.

Henryk wrócił biskupowi wszystko, co mu był dawniéj zabrał, owszem uczynił nowe, hojne nadania dla katedry wrocławskiéj. Wszak nam prawią kronikarze, że nawet późniéj sam Wrocław odstępował Tomaszowi, co atoli kapłan zacny oddalił od siebie, nie pragnąc władzy światowéj. Rozumie się też, że arcybiskup gnieźnieński zdjął rzucone klątwy swoje.

Lecz wróćmy do Raciborza. Tam było huczno i radośno, gdy od ust do ust puściła się wiadomość weselna, że biskup ocalony, że go sobie książę przyjął za brata od serca. Więc już wszystkie bramy na oścież roztwarto, a we wszystkich bramach teraz zgłodniałe biedaki witają zapasy dawno niewidziane. Więc brzmią wesołe ochoty i świetne festyny; więc z za muru wezwane do miasta na biesiadę Wrocławiaki ucztują teraz z Raciborzanami, i piją kolejnego na wieczne braterstwo i wzajemne, nieustające kochania.

O Henryku nie ma czego dłużéj prawić; chybabym przypomniał jeszcze, że mieszczanie krakowscy po śmierci Leszka Czarnego, 1289 r., wezwali tego Henryka do Polski; że on umarł niby jako książę krakowski i sandomirski. Przecież te tytuły z imienia i z rzeczy należały się, jak wszyscy wiemy, raczéj Władysławowi Łokietkowi.

Henryk zaś, choć otoczony świetnością i odziany chwałą, smętnie dobił kresu żywota swojego; był bowiem, jak piszą, otrutym przez własnego lekarza. Wszak też było w one czasy bardzo szaro i chmurno, i na Szlązku i w Polsce, ba, na całym świecie nie było lepiéj. Możnaby wyliczyć cały szereg szlązkich książąt, co nie swoją śmiercią skonali. Napady, zdrady, uwięzienia, gwałty, toć było naonczas prawie rzeczą powszednią. Dość wspomnieć na dzieje następcy po tymże samym Henryku.

Temu następcy także było na imię Henryk (V). On na dworze swoim chował Pakosława herbu Habdank, i wielce mu był łaskaw, hojnemi darami i dobrodziejstwy go obsypując. Zdarzyło się, że on Pakosław, niewiedzieć czyli z niebaczności, czyli z trafu ślepego, popełnił mężobójstwo. Pokrewni zabitego stanęli przed Henrykiem, czyniąc skargę i żądając sprawiedliwości. Przywołany Pakosław przed oblicze księcia nie taił czynu, lecz nie przywiódł ani jednego słowa ku obronie swojéj; znając bowiem skłonność księcia do siebie, ufał więcéj przyjaźni i sprawiedliwości jego. Henryk z żalem widział upór zuchwalca, atoli szczerze miłując obwinionego radby był z serca, aby go ocalić; więc go odprawił, wyznaczając mu czas do namysłu a obrony. Poczém powtórnie Pakosław staje przed księciem. Lecz on, ciągle trwając w uporze swoim, ani teraz nie otworzył ust na odparcie żałoby mu zadanéj. Wtedy książę po raz trzeci odprawia go, dając raz jeszcze czas do głębszego namysłu i porady z przyjaciołmi. I po trzeci raz stanąwszy wobec księcia Pakosław pychą stwardniały odrzuca od siebie wszelką myśl obrony. Tak to on dufał Henrykowi i życzliwości jego. Jednak książę ze sercem bolejącém i drżącemi usty tak do niego przemówił: „Gdy nie masz, cobyś mógł przywieść za niewinnością twoją, niechaj ci uczyniona będzie sprawiedliwość!“ I przystąpiły zbrojne pachołki, i sprowadziły po zamkowych schodach na dziedziniec książęcego grodu. W osłupieniu stanęli w koło szlązcy rycerze, dworzanie i służba zamkowa. Głowa Pakosława spadła od ręki katowskiéj (*).



Wśród całéj téj sceny tragicznéj, któréj było tak krwawe rozwiązanie, stał na boku młodzieniec dwudziestoletni, i słuchał mów zuchwałych Pakosława, i przestróg książęcych — i on w ciżbie zeszedł na dziedziniec, i widział jak się potoczyła po bruku głowa skrwawiona. Milczał młodzieniec, bladość na jego twarzy bledszą była od oblicza onéj ściętéj głowy. W piersiach zapłonęły ognie uczuć i krew warem zakipiała w sercu. Młodzieniec milczał. Gdy już było po wszystkiém, zniknął w korytarzach ciemnych, długich zamku. Tym młodzieńcem był Lutko, rodzony syn nieszczęsnego Pakosława.

Książę Henryk, człek otwarty, szczerém a całém sercem ufając młodzieńcowi, o niczém złém nie myślał. Przecież był ktoś z dworzan jego, co w czasie onych tragicznych, smętnych chwil, miał Lutkona na baczném oku. Bystrém spojrzeniem zajrzał w głąb' serca młodzieńca; a potém, wraz z innymi powiernikami księcia, udał się do Henryka, przywodząc mu niebezpieczeństwo, mogące urość dla niego, gdyby dłużéj przy boku swoim trzymał syna Pakosława, — zaklinając i błagając, by go wydalił z domu swojego. Książę na to wezwał do siebie Lutkona, i w obecności rycerstwa, dworzan, tak do niego mówił: „Widziałeś na własne oczy twoje, jako ojciec twój samowolnie wyzwał na siebie sprawiedliwości miecz. Teraz dajęć z dwojga do wyboru: albo wyrzuć ze serca uczciwie a do czysta pamięć skonu rodzica swojego i wszelkie nienawistne uczucie, albo opuść dom mój i służbę moję. Masz ośm niedziel do namysłu!“

Po ośmiu tygodniach Lutkon z gronem przyjaciół przyszedł do księcia, i padłszy przed nim klęczkiem, tak do niego przemówił: „Widziałem na własne oczy moje, jak ojciec mój samowolnie wyzwał na siebie sprawiedliwości miecz! Swiadcząc się Bogiem, przysięgam, że ani w słowach, ani w czynach, nie będę chował w sercu żadnych uczuć nienawistnych ku tobie panie.“ I płacze młodzieniec, zaklinając się na wszystko, co jéno najświętszego na niebie i ziemi. I woła: „Panie! pozwól, bym był sługą twoim.“ Henryk, na to do

(*) Klose, Breslau I. 2. str. 571.
Stenzel, Chronica Princip. Polon. Script. str. 116 i następ.

łez rozrzewniony, odwrócił twarz wzruszoną od klęczącego, i na wieczną zgodę podał mu prawicę drżącą, i rzekł: „Jać od téj godziny będę ojcem twoim!“

I od téj chwili téż, zacne książę nie litował ani upominków, ani szczodrych darów dla młodzieńca, by mu umaić życie jego. Przecież więcéj, niż dary i upominki, ważyły uczucia serdecznéj miłości, któremi otoczył Lutkona, i miał go zawżdy i wszędzie za syna swojego, strzegąc od szwanku i chroniąc od złego, a powierzając mu późniéj najważniejsze sprawy.

Zdarzyło się wtedy, że książę Henryk miał śmiertelnego wroga w Konradzie, księciu na Głogowie, co oddawna knując zdradę w sercu stroił zasadzki, by umatnić wrocławskiego księcia i dostać go w moc swoją. A jak zwykle dobry człek dobrego, tak i zły przeczuwa złego. Niecny Konrad wywróżył sobie ciemnego ducha, co się czaił w złém sercu Lutkona. Gładkiemi tedy słowy i podarki kusząc młodzieńca, przywiódł go do tego, że tenże bez wiedzy pana swojego wymknął się z Wrocławia i cichaczem udał się do Głogowa. Tutaj Konrad, jakby mistrz sztuk piekielnych, słówkami palącemi jadem, wskrzesił pamięć straconego sromotnie Pakosława, budząc zemsty i nienawiści szatany w sercu synowskiém. I dokazał swojego!

Jakoż, gdy Henryk, nie przeczuwając nieszczęścia żadnego, kąpał się w Odrze, tuż przy zamku swoim, słudzy jego zrazu zoczyli na drugim brzegu Lutkona na czele jeźdźców, rzucającego się wpław przez rzekę. Pobiegli śpiesznie do pana swojego, przestrzegając o tém co widzieli, a czego sobie wytłómaczyć nie umieli. Lecz książę rzekł: „Wszak to Lutko, mój najwierniejszy sługa, co go kocham jak syna! Gdzie Lutko — tam nie ma dla mnie szwanku ani obawy!“ Ledwie atoli Henryk wyrzekł te słowa, a już Lutko niecnota, dopadłszy księcia, pojmał go. Szamotali się uczciwi słudzy ze siepaczami; jednak, bez broni będąc, wnet byli powaleni; jeden nawet z dworzan książęcych rzucił się na Henryka, osłaniając go własném ciałem, lecz w chwili zarąbali go łotrowie; potém śpiesznie wsadzili przemocą księcia bez sukni na konia, i cwałem, ile konie wyskoczyć mogły, uprowadzili. — Pędzili z nim cały dzień, okrywszy go jakimś płaszczem starym, pędzili noc całą, aż nie stanęli w miejscu, kędy ich czekał Głogowczyk. On już był przygotował dla wrocławskiego księcia męczarnie wymyślne; bo sporządziwszy skrzynię drewnianą, zewsząd żelazem okutą, w niéj uwięził nieszczęsnego Henryka. A skrzynia tak była ciasna, że książę pojmany nie mógł ani stanąć, ani usiąść, ani się położyć. Bo on się uwziął, aby go katuszami zmusić do odstąpienia księztwa. Sześć długich śmiertelnych miesięcy, długich jak wieczność, przetrwał w mękach skonania więzień; ciało jego za życia się psuło, jakby już był umarł. Nakoniec okupił ostatki dni, które mu zostały na świecie, dając darem Głogowczykowi wielką część dziedzictwa swojego.



Dzieje takowe, pełne ohydy szkaradnéj, powtarzały się w dziejach szlązkich; zabójstwa, zdradne uwięzienia w turmach ciemnych, męki zadane nieprzyjaciołom, morzenia śmiercią głodową posłów, gwałty i nadużycia okrutne władzy — toć były jakby wypadki codzienne, powszednie. Dodajcie do tego jeszcze stosy, na których płonęły czarodzieje, prześladowania za wiarę, ludożercze wojny Hussytów — a będziecie mieli naprędce obrazek ówczesnéj historyi. Wszak wszędzie tak bywało, wszędzie broiła rozkołysana, bezuzdna chuć zemsty i dzikość żądzy zmysłowéj. A choć późniéj się nieco ustały rozniecone namiętności, ujęte w karby potężniejsze rządów, toć przecież w czasach, gdy się rozszalały wojny, znów dzikość a surowizna barbarzyńska, chwilowo ugłaskana, występowała z całą ohydą, pokazując zwierzęce szpony swoje. Wszak to półczwarta stulecia minęło od onych dziejów Henryków wrocławskich, gdy Szlązk po wojnie trzydziesto-letniéj stał się pustym, umarłym cmentarzem. Kronikarze nam prawią, że po tym Szlązku, co dziś tak spokojny, ruchawy, bogaty i wesoły — naonczas przez cały dzień jeździć można było nie spotykając żywéj duszy. Pożogi, potwór zarazy śmiertelnéj, morderczy najeźdzca, głód, chodziły od powiatu do powiatu, wytępiając ludzki rodzaj. Wsie i miasteczka spalone sterczały w głuchéj niemocie, z pod gruzów tu i ówdzie wyzierały trupy. Trzeba było jakby przez pustynie Wschodu przebywać ówczesny Szlązk, jednocząc się w zbrojne karawany; bo nawet psy, niegdyś wierne towarzysze człowieka i stróże potulne wiejskiéj zagrody, łącząc się z wilkami w stada, napadały samotnych wędrowców, rozdzierając i pożerając człowieka, któremu miały być towarzyszem i obrońcą. Mówią téż, że od tego czasu Szlązk nie wrócił więcéj do zamożności dawnéj.

Niechaj się święci cywilizacya! — Ona lubo nie zdołała jeszcze wyzwolić zupełnie istoty ludzkiéj z pod demona złych chuci, przecież uszczupliła mu potęgi — a co więcéj, zrodziła rumieniec wstydu w ludziach, co choć jest jedynie mocą negacyjną, przecież jest tak silnym sprzymierzeńcem idei moralnéj, iż nawet zło jest rade przecież ubrać się w pozory słuszności i prawa; a choć kłamie, jednak udaje, że mu idzie o zakon boży i ludzki. Ztąd nadużycie przemocy, gwałty wyrządzone prawu, z każdym lat dziesiątkiem traciły pierwotny bezwstyd swój, a społeczność we wszystkich względach coraz to więcéj zaczęła dbać o cześć a uczciwe imię, a tak stawała się sama uczciwszą, moralniejszą i coraz to więcéj z istoty swojéj chrześcijańską.

Niechaj się święci cywilizacya, co w tryumfach obchodzi uzacnienie natury ludzkiéj! Te tryumfy tak są świetne, że jéj przebaczyć można, choć nam i popsuły trochę malowniczość lasów! — Cofam i ja chętnie moje jakieś fochy, którem wyjawił, patrząc na one wrzekome bory cywilizowane. Nie widać tu wprawdzie puszczy, onych wspaniałych świątnic przyrody, lecz je może w części wynagradzają owe tak miłe a przeraźne zjawiska, które wszędzie spostrzeżesz,

choćby przelatując parą kraj. Oto naprzykład te proste stróże kolei żelaznéj: to przecież ludzie niezamożni i nie wykwintni, a jednak ustroili sobie najczęściéj, jakby wiankiem, ogródkami budki swoje, wzdłuż kolei stojące. W tych ogródkach światek kwiatów pysznie rozwiniętych, z których wiele wcale niepospolitych — a nawet kosztowniejszych i wymyślniejszych; znać, że je hoduje ręka umiejętna a miłująca wdzięki natury. Nie dziwiłbym się nawet, gdyby się w tych budkach znalazły i lepsze jakieś książki. Wszakże niedawno, chcąc się rozpatrzyć w starożytnym i okazałym ratuszu wrocławskim, i obaczyć miasto i okolice, wstąpiłem na wieżę ratuszową i tam u stróża widziałem troszkę klassyków niemieckich i tragedye Shakespear'a. Coś to bardzo się zmieniło od czasów onych wrocławskich Henryków.

Lecz gdy już każdy, nieobrany spełna z rozumu i ze serca, odda z duszy całéj cześć téj cywilizacyi, niechaj sobie na myśl przywiedzie dawne barbarzyńskie czasy, a przyzna, że to właśnie nauka gruntowna i głęboka umiejętność były jéj potężnémi czynnikami. Rozumie się, że to nie owa nauka, będąca li błyskotném bawidłem, nie umiejętność z amatorstwa hodowana, ale sumienna praca około wiedzy, która życie całe chłonie; ta jedynie dała światu treść i wagę, umacniając go w prawdy najświętsze, wedle których toczy się piasta wszech-rzeczy stworzonych. Nauka i umiejętność takowa wysyła na wszech-strony duchy swoje, co choć niewidzialne, choć słuchem, ręką i okiem ludzi nie ujęte, wszędzie są obecne, wszędzie przytomne. One panują nad człowiekiem choćby nieukiem, władają jego sercem — one wypuszczają na niego sny w nocy, a przeczucia we dnie; bo te duchy żyją w powietrzu, którém oddycha, w zdroju, w którym gasi pragnienie. Tych duchów jest pełen świat, ich nie zaklnie czarodziéj żaden, ani urzecze żaden guślarz ciemno-głowy. A wszelki przemysł, wszelkie silenie się praktyczne, posuwające świat, są jedynie wyrobnikami, czeladzią w służbie prawd wyważonych z głębi nauki i prawdziwéj a nie kłamliwéj teoryi.

---

*Wiedeń.*

Tu byłoby zaiste o czém pisać a nawet pod względem sztuki i pod względem życia; dotykając wszelako tym razem Wiednia w przelocie tylko prawie kilkogodzinnym, nie wspomnę o żadnym z tych przedmiotów, mogących być treścią tak bogatą dla uwagi naszéj. A będąc zajęty zakupnem kilku jeszcze drobiazgów, co niby fraszki, ale gdy nimi wzgardzisz i zapomnisz, one w drodze, jakby złe demonki, mszczą się za takowe lekceważenie i zaniedbanie. Trudno atoli było nie wstąpić, choćby na chwilkę, do właśnie otwartego kościoła Augustyanów, i nie przypatrzyć się znów grobowcowi arcyksiężniczki Krystyny, który jest iście arcydziełem Kanowy, — a trudniéj jeszcze nie wejść do poważnego a mrocznego wnętrza Św. Szczepana i obejść go w koło, bo ta średniowiekowa architektura gotycka staje przed nami jakby kamienna epopeja, a epopeja śpiewana przez stare wieki. Pojawienie się kościołów, jakim jest Św. Szczepan wśród współczesnego nam czasu, działa jakby *memento mori*, jakby wystąpienie proroka, co wśród tańców i wrzawy powszedniéj, wśród pląsów, śpiewów i biesiad wesołych wieczność przypomina. Patrząc na takie budowanie, dziwna potęga zawładnie sercem człowieka; każdy uczuje na ten widok, jakby naprzemiany, to kurczenie się duszy swojéj w karła, to znów dźwiganie się jéj w olbrzyma, bo każdy w obec budowy takowéj to maleje, to rośnie w nieskończoność, czując, że to sprawa zacna człowieka. Taka architektura, wyrabiana w ciosowce dziergane, jest jakby książką sybillińską, któréj się odczytać, któréj się i doczytać nigdy spełna nie zdołasz.



Śpiesząc przez te ulice tłumne, gwarne, ludne, świecące bogactwem składów i sklepów, nabitych wymysłami elegancyi nowoczesnéj a błyszczącego zbytku, już prawie minąłem kościół Franciszkański (Minorytów), gdym sobie przypomniał, że w nim właśnie umieszczona jest owa przesławna kopia, sławniejszéj jeszcze „Wieczerzy Pańskiéj“ przez *Leonarda da Vinci* (*).

Jak to niekiedy bywa, dziwacznym splotem okoliczności zawsze tak mi się wydarzało, że w czasie moich dawniejszych pobytów w Wiedniu, nigdy mi się jakoś nie zeszło, abym obaczył tę mozaikę. Wiedziałem, że oryginał tego arcydzieła, czekający mnie w Medyolanie, tak zbezczeszczony gwałtami żywiołów, a więcéj jeszcze barbarzyństwem ludzi, jest dziś jedynie upiorem pierwotnéj swojéj piękności. Znałem ja wprawdzie obraz ten z owéj głośnéj w świecie ryciny *Raffaela Morghena* (**); dziś atoli już jest rzeczą niewątpliwą, że lubo dzieło Morghena jest samo najwyższém arcydziełem rylca, przecież jest tylko niewierną kopią oryginału. Więc jakże nie korzystać ze sposobności! Wstąpiłem tedy do kościoła. W nim cisza uroczysta, bezludna, dziwnie ukołysała duszę po wrzawie głośnéj, turkotnéj ulicy. Mozajka ta wykonana jest w wielkości oryginalnego obrazu, umieszczona we właściwéj wysokości, w trafnie dobraném świetle. Mógłbym się tedy tu rozwodzić szeroko i długo nad genialną koncepcyą Leonarda, nad tą jego kompozycyą, mogącą być modłą dla wszystkich kompozycyj artystycznych, a zatém nawet nauką głęboką dla wieszczów; rozprawy takowe tém więcéj byłyby mi na rękę i tém więcéj zrozumiałe, iż wizerunki „Wieczerzy Pań-

---

(*) Kopię tę w rozmiarach oryginału wykonał znakomity artysta na polu mozaiki *Giacomo Raffaelli*, ur. 1770. — St.

(**) *Raffael Morghen*, pierwszorzędny rytownik włoski, ur. 1758 we Florencyi, umarł tamże jako professor Akademii sztuk pięknych r. 1833. — St.

skiéj“, najgęściéj rozpowszechnione po świecie, są właśnie kopiami obrazu Leonarda; wszak nawet rycinki, znajdujące się w zwykłych książkach do nabożeństwa, są przypomnieniem tego arcydzieła, a ztąd już ułatwiłyby nam niemało rozbiór wszelki. Jednak wolę zachować się z tém wszystkiém do stosowniejszego miejsca, bo do chwili, gdy obaczę sam oryginał w Medyolanie; tutaj ośmielam się jedynie wyznać, że wrażenie, jakiego doznałem patrząc na tę mozajkę, nie wyrównało oczekiwaniu. Może moja własna w tém była wina, może nadzieja moja była zbyt wygórowaną – temu nie przeczę, zataić atoli nie mogę, że koloryt zdawał mi się niby przygasły, omdlały, a mimo to kontury przecież jakieś szorstkie i twarde. Obraz ten uczynił wrażenie, jakobym się patrzał na kobierzec cudnéj roboty, ale oddawna spłowiały i poszarzany. Jednakże ta mozajka jest wyrobiona z taką miłością, z taką prawie pobożnością dla arcymistrza, który ją w głębiach ducha pojął, że liczyć się zawsze będzie między klejnoty sztuki swojego rodzaju. Wiadomo téż, iż w czasie, gdy wicekról Lombardyi Eugeniusz Beauharnais polecił mozaiście *Raffaelliemu* wykonanie téj pracy (za 400,000 franków), dzieło oryginalne było natenczas tak zniszczone, że Raffaelli już nie wiele zdołał się go radzić i trzymał się głównie kopii olejnéj, stworzonéj pędzlem sumiennym malarza *Bossi*, który był wszystkie poprzednie kopie najtroskliwiéj porównał, i wykonał pracę swoją ile mógł najwierniéj (*). Bądźcobądź, mimo nieskończenie licznych rycin, kopij olejnych, a nawet kartonów tu i owdzie zachowanych, dzieło wielkie wielkiego mistrza już nie będzie wskrzeszone dla ludzi. Smętne szczątki, pozostałe dziś z tego obrazu, są dowodem, jaką ogromną, niepowetowaną stratę poniósł piękności świat. Napoleon, za czasu pierwszéj bytności w Medyolanie, odwiedzając refektarz klasztoru w Santa Maria delle Grazie, uderzony był cudnością tego arcydzieła, napisał na kolanach rozkaz, aby klasztor był wolny od załogi wojskowéj; daremnie — obraz zniszczał, a światu dostały się spuścizną jedynie kopie, ryciny i mozajki.

Samotność cicha świątyni, uroczystość głęboka saméj treści obrazu, zasmucający los arcydzieła sztuki, i znowu koleje tragiczne tego samego człowieka, co wśród rodzącéj się własnéj wielkości uczcił niweczące się wielkie dzieło dawno zmarłego geniuszu — toć jakby rożne tony żałobnego akordu uderzyły na duszę moją i zajmowały myśl, gdy już oddawna znowu byłem wśród gwaru tłumów, cisnących się przez ulice.

Znienacka przeto obaczyłem się w obec sążnistych afiszów przy-

(*) Giuseppe *Bossi*, jeden ze znakomitszych lombardzkich malarzy nowszych czasów (ur. 1777 † 1815), wsławił się głównie swoją kopią *Wieczerzy Pańskiéj* Leonarda da Vinci. Studya swoje nad tym przedmiotem ogłosił w nader pouczającém piśmie: *Del cenacolo di Leonardo da Vinci*. Milano. 1810. — St.



lepionych do rogu domu; między innémi odznaczyło się olbrzymie uwiadomienie: że dziś wieczorem, w jednym z ogrodów na przedmieściu, młodszy Strauss będzie się popisywał świéżo skomponowanémi walcami. Nie słyszałem jeszcze dawniéj *Straussa* młodszego; miałem atoli przeczucie, że i jego granie będzie mi lekarstwem na myśli zbyt melancholiczne; więc patrzę na zegarek — sam czas! — siadłszy zatém do dryndulki pojechałem do onego ogrodu.

I tutaj, jak zawsze i wszędzie, pełno ludzi wesołych, łatwych do zabawy, nie pogardzających nigdy onémi przyjemnostkami, które życie powszednie daje; stoliki przy stolikach, ba — cały ród stolików! a w około każdego to gronko przyjaciół, to wianek jakiéjś rodziny — tu podwieczorek, tam kolacya, a wszędzie rozmownie i domaszno, dymno-apetyczno; — a gdy się już zmierzcha, więc na każdym stole i stoliku świéca pod dzwonem, i na drzewach wśród liści migocą się latarki różnobarwne. Na uboczy estrada *à la rustica*, na niéj pełno świéc. Tam stoją muzykanty — wśród nich Strauss młodszy — niedawno temu współzalotnik świato-głośnego ojca o berło smyczkowe, dziś samoistny jego władca. To jeszcze człowiek bardzo młody, fizyognomia jego nie tuzinkowa, wtóruje wyrazistą grą twarzy dźwiękom ulotnych melodyj; postać jego, niby cała muzykalna, rusza się z pewną gracyą; ale cóż kiedy znać, że jéj właściciel wprowadził w rzeczywistość tę filozofią życia, co skacze, śmieje się i hula w tych lekko-duchych walcach jego. Śmiga żwawo po skrzypcach, przytém daje takt smyczkiem i ręką i nogą i brwiami i twarzą.

Nie znam się dostatecznie na muzyce, bym chciał rozstrzygać między Straussem I a Straussem II, więc powiem jedynie, jak każdy z nich na mnie działał. Słysząc dawniéj starego Straussa, zdawało mi się, że każdy z tych walców jest iście poemacikiem małym, ale ukończonym w sobie, że każdy z nich żyje jakby głębszą myślą, rozkręcającą się wirem kołowrotnym tańca. Były to myśli jakby wytrawnego ucznia Epikura, co wiele się nadoświadczał w życiu, wiele w świecie zgłębił, wiele się naubiegał, namozolił, a nakoniec rzucił to wszystko o ziemię, wołając: furda świat i kłopoty biédy! bajka ambicye i wielkości jego — to wszystko „wielkie nic“! używajmy życia póki się da, bawmy się i kochajmy, hulajmy, bo reszta i tak nic nie warta! — W Straussie młodszym wiele melodyi i dźwięku; przecież te tony jego — to tylko fale drobne z wierzchu duszy zebrane; i one brzmią i oddychają lekko-duchem poniewieraniem trosk i świata — ale przecież w téj jego muzyce wyraźnie dosłuchać się możesz, jako ten wesoły pogląd na życie i losy jego, jest raczéj pociągiem przyrodzonym, smakiem naturalnym autora, że jest raczéj temperamentem wrodzonym, niż summą ostateczną i rezultatem najwyższym filozofii żywota. Demonek, żyjący w tych jego walcach, już nie szuka, jak u starego Straussa, zapomnienia biedek i kłopotków, bo

ich nigdy nie doznał, nie poniewiera światem, bo nie wié o nim. Dusza młodszego Straussa już nucąc i walcując na świat się zrodziła.

Ten stary Strauss — toć podobno był jednym z najgłośniejszych ludzi na całym ziemskim planecie; gdy zagrał na zaczarowanych skrzypkach swoich, już tańcowali w Sztokholmie i Neapolu, w Warszawie, w Lizbonie, w Konstantynopolu, w Moskwie, w Nowym-Jorku, w Paryżu. Wszak podobno nawet królowa jéjmość Pomare, hasała i puszczała się kręconego, wedle przykazu Straussa. Cały świat tańcował na tę nutę jego. Słysząc tę muzykę zdawało się, że widzisz na oczy te walce, że widzisz jak wylatują ze skrzypków jego rojami gnomki skrzydlate, pokusne, urodne geniuszki, coby rade udawać aniołków, ale im się to nie wiedzie, bo ich ojczyzna i królestwo wcale z tego świata. Więc téż wśród tych tonów skocznych, hulających, lekkomyślnych, szalonych, słychać drwinki demonków i ich wyśmiechy ironiczne. Więc po całym świecie szaleją, tańcują młodzi i starzy, i mężowie i niewiasty, tańcują bogaci i ubodzy, szczęśliwi i strapieni — tańcują wśród biedy i skonu, we dnie i w nocy, tańcują na kwiatach i na własnych grobach — rzekłbyś, że to on taniec ze śmiercią, co go wyrysował ów fantastyczny drwiarz Holbein, co był także facecyonistą straszliwym. I tańcowali na zabój, do upadłego ze śmiercią, aż téż ona wzięła w taniec i samego grajka. I ponieśli biedaka — i zagrzebali; — oniemiały skrzypki jego — dziś one tak potulne, niewinne, jak każde inne skrzypki ze zwyczajnego drewna strugane; w nich pusto, i już na piękne wytępione w nich gniazdo djablików, co uleciały szukać sobie innéj gospody.

Jednak te skrzypki, choć dziś nieme i potulne, bezduszne zwłoki, jednak one nie grały daremnie! Demonki, djablątka dokazały swojego!

Nie wdawajmy się tym razem w rozprawy szerokie nad wpływem tych walców na historyą muzyki, ale wejdźmy pod strzechę domową i patrzmy, czyli one goście nie zostawili śladu po sobie. Mniejsza o stękających na zepsucie świata onych trzęsi-głowych obłudników, o tych płaksów z okiem wywróconém, którym każda radość, każda ziemska wesołość zdaje się być sprawą szatańską — o nich mniejsza; jeżeli atoli przyznajecie, że dziś muzyka stała się chlebem powszednim, że dziś w każdym domu, na każdém piętrze rzępoli i stęka i jęczy, jak w czyśćcu od rana do nocy, jakiś nieszczęśliwy fortepian, jeżeli przyznajecie, że muzyka stała się dziś koniecznym czynnikiem wychowania i towarzyszką nieodstępną życia, czyliż nie warto bliżéj zajrzéć w oczy téj jéjmości, czyli tutaj nie stosowniéjby było, niż w innych razach pytać się o pochodzenie téj pani i o to „kto ją rodzi“? — Może to zły duch! — Więc nie zawadziłoby zakląć ją i przywitać starowieczném słowem: „wszelki duch Pana Boga chwali“! — Wszystkie oczy starsze, niby strażniki kontrabandy, pilnują, by jakiś romans Kocka, śpiewka Bérangera, albo kto inny z téjże wsi nie wmięszał się między panienki młode. Ale romans Kockowy



a śpiewka Bérangera, toć przecież z góry, uczciwie składają na progu domu wyznanie swojéj wiary; tymczasem zdaje się rzeczą bardzo gładką, gdy panienka podlotek, nauczywszy się ledwie stawiania palców na klawiszach, zrywa się do wygrywania samych walców zawrotnéj namiętności, do polki (*), co nie polskim ale czeskim tanem, co hasa rozhukanym szałem zmysłów.

Ba! nie radbym uchodzić za przesadnego pedanta, i ja wiem, że nuty do tych walców i polek nie koniecznie już są krogulczym pazurkiem pisane; co więcéj, ja wierzę, że nawet w saméj polce-tremblante nie koniecznie zawsze djabeł tańcuje w pierwszéj parze, — ja w to wierzę (a to niemała grzeczność z mojéj strony), ale niechajże i inni nie przesadzają, niechaj się zgodzą, że sama ta płocha, lekka muzyka, pewnieć nie przyczynia się do głębokości uczuć, do uszlachetnienia duszy młodych osób. Że takowa strawa muzykalna bardzo mało pożywna, to znać już z ogromnéj ilości tych kompozycyj Straussowskich. Strauss pisał i pisał, co mu papieru stało, co mu palców starczyło, i wyrzucał te nuty swoje w świat tak gęsto, tak często, jak ptaków stada — a co który nowy walec — to piękniejszy, dźwięczniejszy. I pisał i pisał, a to wszystko świat pochłonął, połknął, strawił, przegrał, przetańcował do szczętu — i zapomniał na piękne. Jednak choć je strawił i zapomniał, toć przecież i to prawda, i to jest *factum*, którego nikt nie zaprzeczy, że smak do téj lekko-nogiéj, płocho-sercéj muzyki tak się zagęścił, tak się rozsiadł po domach i rodzinach, jak o tém ani myśli było przed Straussem. Lecz temu wszystkiemu warto bliżéj się przypatrzyć.

Pyta może kto: o cóż tedy mi chodzi w téj muzyce? Łatwa odpowiedź! byleby pytający pierwéj odpowiedział, poco młodzież uczy się muzyki, dając téj nauce na ofiarę tyle godzin wiosennego życia swojego? Powiadają nam, że uczą się muzyki naprzód: bo taki zwyczaj powszechny, tak już przyjęto w świecie! Zgoda — bo wszelka chęć odróżniania się jest dziwactwem, a świat przestał już kochać się w oryginałach, a może go już nie stać na nich, jak go nie stać na samodzielne fizyognomie, bo dziś w tym świecie nikt już nie jest samym sobą, a każdy zawołać może: „ja jestem milion!“ choć tym razem nie w tym sensie, jak to niegdyś wyrzekł ów wielki nasz wieszcz! — Daléj prawią, że dzieci uczą się muzyki, bo toć przecie miłe rozerwanie się po pracy; grający, śpiewający zabawi siebie i rozweseli drugich. I na to zgoda, bo i to nielada argument. Daléj mówią: może téż w jakiéjś panience okaże się talent świecisty, a wtedy byłoby czém nie na żarty zabłyskotać przed światem. — To już dalibóg trudno! Wszak z graniem, które przed 30 laty zwano koncertem, już dziś nie odezwie się nawet panienka kilkonasto-letnia, choćby w kółku większém przyjaciół, zebranych na jakie imieniny w domu rodziców, choćby wiedziała, że każdy z nich sutą gościnę na pewne oklaskiem zapłaci. Wierzajcie

(*) Właściwie „holki“.

atoli, że to twarda, że nie łatwa sprawa, zwłaszcza w tym czasie wirtuozów, których muzyka najczęściéj wyprawia sztuki łamane, magając koziołki, jakby już wszystkie kości miała zgruchotane. I nie dziw; bo ci panowie najczęściéj całe pojęcie muzyki do góry nogami przewrócili. Bo nam ludziom zwyczajnym a profanom gospodarski rozum powiada, że mechanika, że technika muzyczna, jako zewnętrzna forma, jest potrzebna, aby było czém wyrazić treść duchową. Powiadamy przeto, że wykonanie — to środek, a treść — to cel; lecz ci ichmoście wołają: „Przepraszamy, nie znacie się, treść — to bajka, a szaty, forma — to grunt. Duch — to żarty; palce — to rzecz; w to nam grać! — Tu nie chodzi o myśl, która się wykonywa, ale o wykonanie samo.“ Nie ma tedy dziwoty, że palce bawią się w bajaców, skacząc, poliszynelując i udając, że ich jest 20, ba 40!

Niechaj nam tedy żyje mistrz Karol Lipiński! Niechaj nam żyją wszyscy jemu podobni wirtuozy, artyści, których, chwała Bogu, jeszcze nie braknie. Pókiż to jednak będzie jeszcze tych przekupniów, co założywszy stragi swoje szarlatańskie w przedsionkach świątyni muzyki kupczą, frymarczą i szachrują tonami? — Wszak szczęść Boże, już niemylne oznaki nam wróżą, że czas wirtuozów już przemija, więc może — już przeminął.

Wróćmy atoli już do pytania naszego. Mała nadzieja, jak widzim, aby grą świetną, zuchwałą, olśnić salony.— Ale powiecie: niechajby się rzeczywiście w pacholęciu mniéj zamożnéj rodziny pojawił jakiś talent promienny, czyliby to pacholę, choć tak małe, nie mogło wygrać dla siebie sławy, a dla rodziny całéj stać się potuchą a ulgą w ciężarach materyalnych życia? — Niechajże człek każdy uczciwy a bez uprzedzenia powié, czyli już nie dość tych biednych dzieciuchów koncertujących po świecie, które, nie zaznawszy nigdy uroków lat dziecięcych, wśród twardéj pracy zaprzedają się nadziejom tak często zawodnym, i to wczesną starością umierają z trudów, to zapóźném rozczarowaniem poznają, że owe talenta zawczesne nie dostały swoim przyrzeczeniom świetnym a tak kłamliwym. Wyznajmy, że idąc na popisy takich pacholąt, chodzim raczéj na dziwowisko, niekiedy dla dobroczynności i jałmużny, ale nigdy, lub bardzo rzadko, dla muzyki. Biedne to dzieci! Wszyscy je niby uwielbiają, a nikt im nie zazdrości.

Więc pocóż młodzież uczy się muzyki, zkąd potrzeba téj nauki, wymagającéj tyle mozolnego zachodu, a tak kosztownéj, zwłaszcza pod względem czasu, który jéj dajemy na ofiarę? — Jużcić jasna rzecz, że tu nie sama czcza moda jest potęgą niewolącą; moda, zwyczaj nie miałyby téj siły wskróś przenikającéj, tak wytrwałéj i upornéj, bo z każdym prawie rokiem więcéj się wzmagającéj między ludźmi. Znać, że powód tu jest głębszy i tkwiący w samym duchu i społeczności nowożytnéj. Ja myślę, że ta potrzeba, to pragnienie instynktowe muzyki ztąd się rodzi, że jakby wróżbą wewnętrzną czujemy, że dla wychowania chrześcijańskiego środkiem pomocniczym



jest ta sztuka, która właśnie przed wszystkiémi innémi jest sztuką chrześcijańską.

Tak jest, muzyka jest sztuką najwięcéj odpowiednią duchowi chrześcijańskich ludów. Gdy wiara zbawienia promieniem swoim rozświeciła tęskne, ciemne serca tajniki, wtedy przebudziły się anioły w piersiach ludzkości, anioły, co ciężkim snem przez całe te długie stulecia, przez te długie lat tysiące staréj pogańskiéj historyi spoczywały nieme w duszy człowieka. One się ocknęły na wołanie wiekuistości i zaśpiewały hymny o Bogu, o wyższém pochodzeniu człowieka, o zacności jego i nieśmiertelnym żywocie. Człowiek cofnął się w siebie, zwrócił oczy duchowe w łono własnego ducha, a wtedy materya i ciężkość, i cała natura, więc i śmierć cielesna straciły swoją moc. Odtąd zaczęły się dzieje wewnętrzne, dzieje uczuciowe dla świata. A natura, a materya oniemiała dla niego, barwy zewnętrzne świata przygasły, oślepły, straciły znaczenie swoje.

Tak tedy z jutrznią wiary chrześcijańskiéj, na miejsce sztuki materyalnéj, zewnętrznéj, pojawiły się sztuki uduchownione, idealizujące. A gdy przestrzeń jest podstawą wszelkich jestestw materyalnych, obejmując cały świat zmysłowy, zatém też w miarę uduchownienia się form piękności, znika zarazem z materyą znaczenie przestrzeni w dziełach sztuki. Nie dziw tedy, że za chrześcijańskich ludów rzeźba zestąpiła z panowania nad państwem piękności, że jéj miejsce zajęło malarstwo a mianowicie muzyka. Bo rzeźba, owa ukochana sztuka Grecyi i starego Rzymu, jest jeszcze sztuką materyalną; jéj posągi wymierzają wszystkie kierunki przestrzeni, ich wątek jest materyą bezwładną, ciężką; zatém rzeźba ma na względzie ciężkość téj materyi, a co więcéj ta sztuka liczy jeszcze na światło rzeczywiste, które znajduje w naturze, więc jeszcze nie stwarza sobie światła idealnego, uduchownionego. Inaczéj czyni malarstwo.

Malarstwo o tyle jedynie ulega rzeczywistéj przestrzeni, o ile uwzględnia wymiary samego obrazu swojego; samo jednak dzieło malowane, ujęte w granicach obrazu, jest wolne i wyswobodzone od tych rzeczywistych wymiarów, bo ma własne oddalenie swoje (perspektywę), własne wymiary, skrócenia, a tak stwarza własne idealne zmyślone przestrzenie; obraz ma i własne światła i cienie swoje, własne oświecenie idealne; a ciężkość, ta zupełnie znikła, bo przedmioty malowane nie ważą — została sama ciężkość zewnętrzna: płótna i farb. A cóż dopiéro dzieje się z muzyką! — Ona jest sztuką nad wszystkie sztuki dla chrześcijańskiego świata. Tu ulotniła się przestrzeń, rozpłynęła się tchem materya; ze wszystkiéj materyi zostało jedynie drganie powietrzne, niewidzialne, rozpływające się falą dźwięku. A jak uczucia, myśli, wizerunki niewidome fantazyi, radości i trwogi, nadzieje i tęsknoty, słowem wszystkie dzieje wewnętrzne duszy rodzą się i przepływają w czasie, tak też i muzyki tony, jéj akordy i jéj melodye i harmonie ulatują w czasie, do wiekuistości się unosząc. W muzyce historya wewnętrzna ducha i jego przeczucia

ubierają się w dźwięki; w niéj duch słyszy samego siebie, słyszy własne zachwycenie swoje, widzi siebie w chórze aniołów, czuje, jako mu wyrastają skrzydła promienne cherubinów, a te skrzydła, z harmonii i tonów złożone, unoszą go w niebo na rozcież otwarte. Spadły zwłoki materyi. Poniżéj — na dole, na ziemi została materya i ciężkość jéj, a barwy i jéj światła i cienie przygasły — umarły (*).

Tak muzyka, jako sztuka, odnosząca się najwięcéj do wnętrza człowieka, idealna, duchowa, uznaną téż była przez świat chrześcijański za sztukę, zrodzoną z własnéj krwi, własnego ciała jego, bo przecież ten świat chrześcijański także żyje życiem wewnętrznem, idealném, duchowém. Człowiek, krzyżem na świat wychrzczony, słysząc proroki wiekuiste we wyrocznicy serca swojego, tonąc we własnym duchu swoim, tym wróżbom wewnętrznym, tajemniczym dał posłuchanie; on, słysząc muzykę Bożą, brzmiącą w sercu jego, party był niewymownem rozrzewnieniem, aby téj treści ducha swojego, będącéj nieskończoności odgłosem, nadał ciało i wyraził ją tonami muzyki zewnętrznéj, doczesnéj.

A jak w historyi powszechnéj uczucie siebie, uczucie własnéj osobniczéj indywidualności mogło dopiéro pojawić się na łonie wiary chrześcijańskiéj, co uświęciła głębokie znaczenie i ogromną wagę każdego pojedyńczego człowieka, tak téż muzyka, owa sztuka, od uczuć chrześcijańskich wybrana i najwyżéj ukochana, jest właśnie sztuką, która najbardziéj jest stosowną do wyrażenia téj osobniczéj indywidualności każdego człowieka, różniącéj go od wszystkich innych ludzi. Bo w muzyce, więcéj niż w ktoréjkolwiek innéj sztuce, mienią się barwą właściwą uczucia i myśli i tęsknoty wewnętrznéj treści naszéj. A jak ten kontrapunkt, będący duszą chrześcijańskiéj muzyki, zestraja dźwięki i tony różne i odwrotne w jedność harmonii, tak serce, przepełnione wiarą, zlewa w akordy dźwięki doczesne i wiekuiste, tony niebios i ziemi, śmierci a zmartwychwstania; tak ślubem świętym łączy osobniczą, indywidualną cechę, pojedyńcze piętno każdego człowieka z prawdami, które są zakonem wszech-duchów, i które im Bóg napisał przed światów stworzeniem.

Człowiek muzyką niedosłyszaną serca swojego rozmawia z Bożą miłością na dźwięki, na tony; i nawzajem światów harmonia, wieczności gra, ma wtórowanie swoje w sercu znikomego człowieka; bo on sam jest dźwiękiem, co rodzi się na ziemi, na grobach, na mogiłach, a płynie falą melodyi przez wieczność — przez wieczność całą, pod Boży tron.

Nie dziwmy się tedy już, zkąd się bierze ów instynkt nowożytnych czasów, co tak potężnie ciągnie serca wszystkie do muzyki.

---

(*) Nie ma tutaj czego obszerniéj się rozwodzić nad istotą muzyki i stosunkiem jéj do innych sztuk, boby mi przychodziło powtórzyć to, co w Listach z Krakowa powiedziałem, mianowicie w Liście XXVIII. Tam tedy odsyłam czytelnika.



Wszak w zawiązkach wiary, srogie ciemięzce, barbarzyńcy surowi stopnieli, gdy o ich serca uderzyły pieśni pierwszych chrześcijan, pełne uczucia i tkliwości rzewnéj. Więc rosła i rosła ta muzyka, ta wiary zbawczéj córa.

W wiekach średnich, obok piosenek światowych i śpiewów kościelnych, zradzają się pierwsze początki kontrapunktu, a w szesnastém stuleciu rozkwitła odrodzona muzyka w całym uroku i wdzięku. Anioł muzyki siał po ziemi, jakby gwiazdy niebiańskie, geniusze muzykalne, co świeciły i sobie i światu na chwałę, aż czas nam współczesny, jakby powiewem wiosennym tchnąwszy po sercach wszystkich, rozbudził je muzyką, a ochota do muzyki puściła się w tysiącznych sercach, jak się puszczają tysiączne kwiaty po polach, po łąkach, co nie sadzone, nie siane, kwitną kobiercem nieprzeliczonych barw. Ta miłość do muzyki nie jest modą, bo ona choć pewnie nabierze innych a innych form, przecież już nie przeminie nigdy i na zawsze pozostanie z nami na ziemi.

Jeżeli atoli jest prawdą, że w najgłębszych toniach serca, i w historyi ludzkiego rodu śledzić nam wypada téj przeważającéj skłonności naszéj do muzyki; jeżeli się przekonywamy, że ta ochota nasza do téj sztuki właśnie rodzi się z uczuć, wlanych nam w serca przez wiarę chrześcijańską, więc już teraz nie trudno wyjaśnić i znaczenie prawdziwe muzyki dla nas. Widać, że ona iście ważnym czynnikiem w chrześcijańskiém wychowaniu. Ale tém samém znać już, że jéj rzeczywiste przeznaczenie być powinno, aby rozrzewniała uczucia, przejęła serce zacnością i tém, co wielkie i szlachetne; by skąpała duszę w krynicy przeczystéj tonów, by ją umocnić niewinnością nieskalaną, by do niéj nie miało już przystępu to, co małe i niegodne, co żądzą brudną skażone. W tém znaczeniu pojęta muzyka obudzi sprzymierzeńca wychowania w samém sercu młodém, sprzymierzeńca, co już ułatwi sprawę wykształcenia moralnego. Przecież z tego samego już łatwo zgadnąć, jaki rodzaj muzyki odpowie wielkiemu jéj znaczeniu.

Widzimy tedy, że nie popisywanie się błyskotne, tumaniące jest celem téj sztuki z nieba zrodzonéj; widzimy, że już bynajmniéj o to nie chodzi, by ją koniecznie doprowadzić do mistrzowstwa w wykonywaniu przetrudnych muzycznych kompozycyj; boć właśnie takowe kompozycye nie zawsze (a może nawet rzadko) należą do tych, które najsilniéj i najrzewniéj przemawiają do duszy, prorocząc jéj o tém, co zacne i wzniosłe w uczuciach człowieka. Tém mniéj atoli zdaje się być stosowną ta przerażająca dziś ochota do muzyki tańców, która zaprawdę w niektórych rodzinach tak się zagęściła, że już krom niéj rzadko inną jaką posłyszysz. Tu nowoczesna zapamiętała ochota do téj muzyki tak się rozszerzyła, że już kąkolem a chwastem przydusiła myśl do muzyki głębszéj, treściwszéj; wszak ta wietrznica, wstąpiwszy na kościelne chóry, odzywa się wśród uroczystości nabożeństwa. Trudno nam przypuścić, aby nadużycie takowe przeszło

bez znaku, aby muzyka tak pusta i płytka, stawszy się nieustającą towarzyszką młodzieży, nie ochuchała jéj serca, zwłaszcza dziewic młodych.

Ja tu mówię atoli jedynie o nadużyciu! Bo jestem tego przekonania, że tańce, i im właściwa muzyka, tak wypływają z najgłębszéj istoty człowieka, jak płacz, jak boleść, jak nadzieja i radości jego. Ba! przyznaję się nawet do téj wiary, że rzadko i jedynie za osobliwą łaską Bożą się zdarza, aby młodość, smętnie i bezradośnie spędzona, nie odezwała się późniéj charakterem nieużytym, jałowym i samolubstwem w sobie zamkniętém. Jestem najmocniejszego zdania, że człowiek, który się ani serdecznie śmiać, ani się z całéj duszy bawić nie umie, pewnie najczęściéj także nikogo krom siebie samego kochać nie zdolen.

Owszem raczéjby się żalić przystało, że się już dziś bawić od serca nie umieją; a jakże im się bawić! skorupa na duszy, uczucia sztywne jakby jasełka na drutach, a krew zimna niby u gadów— ale za to pretensyj i wymagań co niemiara. Czas dzisiejszy o zmarszczoném, bezochotném sercu, ciska się w taniec jakby w desperacyi, i nie chodzi mu o zabawę, lecz o przechodni szał upojenia. Ztąd téż zaledwie muzyka się przerwie, znów wszyscy skrzepli jakby pośmiertne Piotrowiny! Zazdrość nas bierze, gdy od starych słyszymy, jak się starsi od nich niegdyś bawili, jak się to oni umieli lada czém ucieszyć, jak mało im trzeba było do serdecznéj ochoty. Prawda, że to i owo może być przyczyną téj na szaro odmiany, ale i to prawda, że dawniéj jakoś ciepléj było w sercu, że było więcéj w duszy prostoty, a więcéj wzajemnéj, życzliwéj miłości, a mniéj fochów i mniéj wymysłów — więc dużo pokoju i przyrodzonéj wesołości w charakterach; — wszakże nie rzadko starzy umierali z facecyą na ustach. Więc téż każdy całego siebie oddawał ochotnéj zabawie; ale bo téż muzyka była mniéj zagmatwaną, mniéj sztuczną, a krom muzyki świeckiéj i światowéj, żyła po domach, po rodzinach, jakby aniołstróż, muzyka nabożna, którą śpiewała matka z dziećmi, dziadek z wnukami. Prosta to była muzyka i nieuczna, a jednak przejmowała duszę do dna, poruszając najzacniejszą jéj treść!

„To staroświecczyzna!“ zawołacie. Być może, lecz ja myślę, że w téj staroświecczyźnie, obok pobożności tkwi instynktowa mądrość, nad którą żadna metafizyka głębszéj już nie wymyśli. Mniemam, że się z tego wytłómaczę.

Wszędzie pełno utysków, pełno gorzkich żalów, że zgasła dawna świętość rodziny, że nie ma w niéj serdecznego spoju. Pod blichtrem kłamliwych form towarzyskich i udanéj spokojności, uczucia nie jednéj niewiasty kurczą się boleścią na chłód, mrożący życie jéj rodziny; a pod przymilaniem się, wewnętrzną męką wymuszoném, serce nie jednéj matki umiera na suchoty, gdy je przez długie ckliwe lata zdręczy śmiertelnie obojętność oschła i jałowość własnych dzieci jéj; gdy to serce jéj tak niegdyś pełne bogatéj treści, teraz, choć niby



wśród swoich, znajdzie się samotne, osierociałe jakby w głuchéj pustyni.

Ten rak, co się wżarł w najświętsze stosunki ludzi, jest zaiste ponurym płodem naszego czasu — lecz ufajmy, że się mu obronić zdołamy. Ale ratowanie od niego społeczności jest zaprawdę w rękach niewiast i matek samych, boć to one są ludzkości sercem; one zdołają cudów dokazać proroctwem uczuć swoich; gdy one staną na straży ogniom świętym miłości rodzinnéj, gdy kapłanić będą cnym obyczajom domowym — wtedy — lecz jedynie wtedy znów się zjednoczą ogniwa serdeczne, od Boga uświęcone, a będzie pojednane, co chwilowo od siebie odstało.

Ja rozumiem, że podwaliną pierwszą miłości rodzinnéj a domowego obyczaju jest jedność, łącząca matkę z dziatwą swoją, i że jedność takowa potęguje się stopniem potrójnym, niby trzema następującemi po sobie epokami życia. Pierwszym stopniem jest owa jedność pierwotna, cielesna, gdy życie dziecięcia nie oddzieliło się jeszcze od osoby matki, gdy dusza matki przepromienia sobą duszę dziecięcia, co, jeszcze pączkiem duchowym będąc, ma się rozwinąć na Boży kwiat. Tutaj już sama natura poślubiła dusz dwoje jednością; właśnie atoli gdy tutaj dopiéro sama natura, sama fizyczność dokonywa téj jedności, dla tego téż ten związek, będąc niby mimowolny, jest najmniéj duchowym, więc najniższym. Gdy wszelako w następnéj epoce matka już piersiami karmi niemowlę swoje, gdy własném życiem dzieli się z życiem dziecięcia swojego, już wtedy nastaje stopień drugi onéj jedności; bo lubo zasadą i tego stosunku jest jeszcze zakon natury, przecież wykonanie jego od zacnéj woli matki zależy, jest tedy już na poły duchowém, jest to przeto związek fizyczno-duchowy, więc prawdziwie ludzki, bo i człowiek jest jestestwem zmysłowo-duchowém. Lecz w rychle następuje stopień trzeci i najwyższy téj jedności, gdy święte to ogniwo, łączące matkę i dziecię, uzacnia się, uświęca, przemieniając na czysto duchowe przymierze; gdy nastaną one święte chwile, gdy matka ducha swojego, rozjaśnionego wiekuistą światłością, wlewa w ducha dziecięcia — owe chwile, gdy matka uczy dziecię swoje poznawać Boga, gdy je uczy pacierza.

Owa jedność pierwsza, pierwotna, cielesna, lubo od natury dana, choć mimowolna, niechaj przecież będzie uzacnioną od matki myślą świętą — niechaj matka wszędzie i zawsze ma obecne sobie, jako talizman, nieodstępne przekonanie, że się stała nadziemskich, nieśmiertelnych światów powiernicą, że Bóg powierzył jéj własnéj osobie, jéj opiece, jéj bez granic miłości zawiązek bezśmiertnego ducha; to przekonanie, ta myśl obroni duszę matki od skalania, od chęci nizkich, od gwałtów namiętności własnych—; ta myśl, jakby pierwszy promyk niebiański, zwróci ów pączek ducha do wiekuistości słońca. Niechaj późniéj w następnéj epoce matka nie zrzeka się świętego prawa żywienia niemowlęcia swojego; wszak to zjednoczenie jak jest utwierdzeniem a odnowieniem onéj cielesnéj pierwotnéj jedności,

tak jest również wstępem a przepowiednią ostatniéj najwyższéj jedności, bo onego jéj przymierza z dziećmi, gdy matka nauką swoją o Bogu złączy dziecię swoje z wiekuistą prawdą. Niechaj matka nie zrzeka się nigdy owego najświętszego prawa uczenia dzieci swoich zasad cnoty i uczciwego obyczaju i uczenia ich pacierza. Jak dawniéj krwią swoją, jak następnie piersiami swojemi żywiła dziecię swoje, tak przeto teraz duszę duszy własnéj wlewa w duszę pacholęcia swojego, i karmi je wiekuistości piersiami; a matka doczesnego żywota stanie się matką żywota, co nie ma granic. Gdy przemówi w imieniu wiekuistości do pacholęcia swojego, już stanie się w obec dziecięcia jakoby wysłannicą Bożą i ksienią prawd najwyższych; wtedy dusza matki i dusza dziecięcia złączą się z sobą miłością nadziemską, któréj nie przezwyciężą burze, któréj nie przemoże śmierć. A cóż dopiéro, gdy pacierz, gdy modlitwa spotęgują się wspólną pieśnią, wspólnym śpiewem, muzyką! — Już wtedy stopnieje wszystko, co święte i wielkie w sercu matki i w sercu jéj dziatwy, spłynie w tonach i akordach wspólnych; i dusze ich, jeszcze za żywota, po tonach, po dźwiękach wspólnie unosić się będą w Niebo przed oblicze Boże — i tam, choć na ziemi zrodzone, spłyną w jedność niebiańskich harmonij — a zawtórują tym harmoniom cherubiny, i zawtórują im harmonie gwiazd, co dźwięczą i grają miłością wiekuistą. A przymierza matki i dziatwy będzie Niebo i ziemia świadkiem, i będą mu świadkiem prawa, co są wszech-światów piastą; — i matka i dzieci jéj, choć jeszcze na ziemi, już będą miłością na wieczność całą połączone. A ta miłość matki i dzieci, jakoby anioł jasności, świecić będzie nad domem, nad obyczajem rodzinnym; a wtedy bajka już klęski zewnętrzne, bajka ludzka zawiść; — zamieci światowe rozbiją się o ściany domowe, a te ściany, choćby najbiedniejszéj lepianki, dostoją jako opoka wśród morskich bałwanów.

Taka jest wedle mnie potęgująca się jedność matki i dzieci, co będzie utwierdzeniem miłości rodzinnéj i uczciwości obyczaju, a zetrze złowrogą moc, co toczy szczęście ciche, domowe; takie jest wedle mnie najwyższe, najświętsze zadanie muzyki pod domową strzechą.

A znać, że do muzyki takowéj nie potrzeba wiele sztuki ani wiele zachodu; ona prostoty pełna i niewymyślna, łatwa; ona tylko serca pragnie, więc staje wdzięcznym gościem i w chacie biednéj i w złocistym pałacu, a wszędzie darem niebiańskim za gościnność zapłaci.

Przecież, com wyrzekł powyżéj, nie ma pójść na niekorzyść muzyce światowéj, sztucznéj, artystycznéj; miéjmy serce szerokie, otwarte na wszystko, co jako piękne, zacne i wzniosłe z ducha ludzkiego poczęte; bo wszystko idzie na chwałę jego a uzacnienie najwyższe. Nie kurczmy się w sobie ślimakiem bezmyślnym, gdy nas dolatują tony i dźwięki obce z dalekich stron, na dalekiéj ziemi zrodzone. Wszelako — niechaj pomną mistrze tonów, że ich muzyka wtedy dopiéro w głębie serca przejdzie i stanie się krwią i oddechem



duszy wszystkich, gdy będzie jakoby śpiewaniem owego pradziadowego dzwonu nad rodzinnym grodem; więc gdy téj ich kompozycyi zawtórować zdoła cała ojczysta natura, gdy ją zrozumieją domowe lasy i góry i mogiły i rzeki, gdy cała w koło przyroda słuchać będzie téj muzyki, jakby dźwięków onego śpiżowego wieszcza nad katedrą naszą, gdy na jéj głos zadrży natura, jakby na własne tony swoje, jakby na pieśń kiedyś przed wieki słyszaną — wtedy na taką muzykę roztworzą się serca żywych, roztworzą się groby umarłych.

---

*Z Wiednia do Tryestu.*

Wczesny poranek. — Wyjeżdżam z Wiednia. — Ulice jeszcze spokojne, bezgwarne; ci tylko uwijają się po bruku, których konieczność wygnała z komnat sypialnych, domasznych.

Lokomotywa ochoczym pośpiechem wydziera się na południe. Otóż już na prawdę jestem na drodze do Włoch!

Po kilko-godzinnym pędzie pociąg zatrzymuje się w Glognitz; bo tu już wzdyma się tytaniczna góra Semering, a koléj przez Semering jeszcze nieskończona. Więc jakby z całego stada istnych koni trojańskich wysypują się z wagonów podróżne tłumy, aby już *more antiquo*, bo uczciwie końmi przemódz górę, co nam tak zuchwale drogę zawaliła. Na uboczy téż czeka w pogotowiu cały naród powozów, kolas, karet, karetek, dryndulek, karyolek, rozmaitych kształtów i formy i kroju; jedne istne dzieci najnowszego czasu, inne zarwały z klassycyzmu, inne znów romantyczki fantastyczne. Kolorów i kształtów na wybranie, bo żółte, błękitne, tabaczkowe, czerwone seledynowe, pękate, wązkie, rozkraczyste, piętrzaste, poziome i już niewiedzieć jakie. Znać, że panowie pocztmistrze nielada sobie zadali pracę, by zebrać te reprezentantki wszystkich czasów mód i smaków. Jak zawsze w życiu i na świecie, tak i tutaj, kto czujny a nie guzdrze się, ten pierwszy, a kto pierwszy, ten lepszy; doświadczyłem i ja tego przysłowia na sobie; bo nie dopilnowawszy się w konkurach zaledwie uzyskałem dla siebie jakąś prababczyną karetkę na cztery osoby. Za młodych czasów swoich była ona podobno buraczkowa, dziś trudno za tę barwę słowem zaręczyć; po obu jéj bokach znać atoli jeszcze wyraźnie dwa bukiety róż malowanych, przewiązanych białą wstążką; może ona ongi przed laty była ślubną karetą! Teraz, chwiejąc się, jakby kościami klekocąc, niepewna siebie, więc téż jéj na stare lata i nie bardzo radno pójść w taniec pod górę. Rumaki jéj, bez wątpienia pełnoletnie, zwiesiły głowy; zapewne one tak się zadumały nad nauką o wędrówce dusz, którą mędrcy tegocześni wznowili na pociechę i zbudowanie wszelkich zwierzątek i zwierząt. Kwadruje téż do tego garnituru i woźnica siwy, a z miną jakby do pogrzebnego karawanu.

Ruszono, zaczęła się tedy ruszać potrochu i nasza buraczkowa karetka. Prócz nas miała jeszcze dwóch lokatorów, bo w niéj już zajął miejsce jakiś jegomość i jakaś pani czy panna. Ruszyliśmy naprawdę, przed nami sznur pojazdów, za nami sznur pojazdów. Przecież się nie najeżdżają zbyt poufale, a to dla straszliwych tumanów; bo każdy pędzi otulony tajemniczym, gęstym obłokiem kurzawy, aż jakiś wielkogęby zefir, z boku dmuchnąwszy, rozgarnie mistyczne opony i odsłoni maść koni i kolaski. Gościniec, arcydzieło swojego czasu, pnie się ślimakiem pod górę; więc ciągle się spinając biegnie naprzód wprost na południe, potém się skręci i nawróci na północ, potém znów na południe i tak daléj a daléj, wyżéj a wyżéj, a za każdym zwrotem dosięga nowego górskiego piętra. Zwyczajnie byleś sobie nie przykrzył a drapał się do góry, choć wężykiem to w lewo, to w prawo, to naprzód, to w tył; byleś ruszał się a ruszał, choć zwolna, lecz zawzięcie, toć dokażesz swojego i w końcu staniesz u szczytu.

Turkot, klekot powozów, trzask z biczów, wołanie za nami, przed nami, pod nami, nad nami; słychać całą karawanę, choć jéj nie widać. Niekiedy atoli z poniższego górskiego piętra tuman kurzawy biegnący zwiastuje, że tam na dole przed jakąś arką ruchomą gramoli się para szkapiąt dyszących, sapiących. Od czasu do czasu ktoś z czupurniejszych pocztylionów to zdala, to zbliż weźmie się trąbić; łatwo atoli poznać, że ta ochota najczęściéj takich napada, którzy mniéj obdarzeni od natury muzykalném uchem. Niekiedy nas z tyłu najeżdża dryndula, w niéj jakiś jowialny wąsal, co głośno rozpowiada niestworzone facecye, więc grzmią śmiechy hałaśne, i znów gdzieś za nami pozostali, cicho. I znów daléj a daléj, wyżéj a wyżéj. Czasem na skręcie widać tam gdzieś na dole poniższe dryndulki; patrzymy się tedy na nich z góry; jednak inne, co już powyżéj nas jadą, oddają nam wet za wet, także z góry na nas samych poglądając.

Widok z karetki najczęściéj żaden, przed szybami, co nieznośnie brzęczą, snują się kłęby kurzu, który przepływa jakby morze bałwanami. Gdy się te ćmy na chwilkę rozstąpią, z jednéj strony widać tuż obok nas spinający się do góry bok jałowego Semeryngu. Te jego schyły spleziste, porośnięte trawskiem długiém, ostrém, twardém, chudemi pokrzywami, spalonemi ostami. Jestem pewny, że ta roślinność wrzekoma, gdyby deszcz lunął, okazałaby się w szacie to buréj, to brunatno-granatowéj; teraz zaś, pokryta warstwami kurzu, jest jednostajna, popielata. Za to jednak z drugiego okna przepyszne panorama na poblizkie góry; poniżéj nas w głębi łąki i bory i role. A już oddawna mam na oku dolinkę, którą z trzech stron obstąpiły góry i skały zuchwałe; dno doliny równinką, po któréj rozesłana majowa prześliczna murawa, jakby sukno jasnozielone. Na téj łączce jakby cacko stanął kościół bieluchny z czerwonym dachem, tuż przy nim dzwonnica, w koło kilka potężnych starych



drzew; daléj domek schludny o szybach świecących i okiennicach zielonych, i on dachówką pokryty; zapewne to plebania. Obok niéj sad; daléj na łączce kilka krów i owiec, za niemi potok, przez potok mostek, za nim pola, potém ściany skalne a powyżéj góra stroma, w gęsty las ubrana. Obrazek to był wdzięczny i luby, jakby wycięty z illustrowanéj Delilowéj sielanki, co to na poły wiejska dziewczyna, na poły dama salonowa. To światek dla siebie osobny. Jakto tam świeżo, domaszno, zielono, powiewno, spokojnie! A tu nam w téj ciasnocie tak parno, tak piekielnie a dławno od kurzu. Dziwna rzecz! że tam, prócz onych krówek, ani widać duszy żyjącéj; może nie dojrzę; więc dobywam szkieł, ale jeszczem nie wytarł téj nieszczęśliwéj perspektywki, gdy, jakby sztor gęsty, zazdrościwy tuman zakrył sobą okno, a ciągle biegnąc natrętnie przy powozie zasłonił na piękne i łączki i kościół i plebanią i góry. Trzeba było więc myślą cofnąć się wewnątrz siebie, czyli wewnątrz karetki i obejrzéć się w koło. Przez szparę do odwiecznéj naszéj dryndulki wpada promień jaskrawego słońca, więc pyłki kurzawy na tym promyku tańcują, igrają, pląsają, wirują, to uciekają od siebie, to się przyciągają, to gonią za sobą, a tak te pyłki przedstawiają starą historyą attrakcyi i repulsyi, kochania i nienawiści w milionowych przeróżnych zjawiskach! Szkoda tylko, żem nie atomista, albo nowożytny jaki molekulista, bo nie brakłoby obserwacyj. Ale cóż tu robić! Jeszcze daleko do stacyi kolei żelaznéj, a ten Semering na złość się garbi a garbi. Obawiam się bym się nie począł nudzić na dobre. Może mię podratują obserwacye moich towarzyszy, i może w niedostatku czegoś innego, podadzą choć treść do domysłów, by mnie ochronić od nudów. Może te obserwacye przyprawią o ziewanie czytelnika, tém lepiéj! wszak to właśnie zaleta każdéj relacyi podróży, jeżeli wędrowiec zdoła udzielić czytelnikom własnych uczuć swoich. Przyznaję atoli, że w chwili, gdy się zabierałem do tych obserwacyj, nie miałem nic lepszego do czynienia; jeszcze nie przeczuwałem wcale, że ten kościołek na równince, że ta igra pyłków w promieniu słonecznym, i ci nasi podróżni mieli się do siebie w jakimś związku symbolicznym, mistycznym.

Otóż zaczynam! Na stronie przeciwnéj, przy drugiém oknie buraczkowéj karetki siedzi ów jegomość, młody on blondyn, oczy jego siwe, faworyty misternie ostrzyżone łączą się pod brodą, a tak oprawiły twarz niby ramą owalną; rysy dość regularne, choć nieruchome. Kaszkiet popielaty, *per modum bonnet de police;* właściciel jego lubi się nim bawić; ta czapeczka wcale praktyczna, bo wedle woli i okoliczności może być włożona na głowę, to wzdłuż, to wszerz, to spuszcza daszek z przodu, to z tyłu, to z tyłu i z przodu; więc gotowa na słoty i na słońce; na tym kaszkieciku nawet i przespać się można, można go i od złego razu do kieszeni schować. Już nie będę się silił na sumienny opis dalszéj garderoby naszego towarzysza, przemilczę więc nawet owo paletot o przelicznych i prze-

różnych kieszeniach, o jego kroju i formie; bo ta czapeczka niech nam będzie próbką, że pod nią mieści się dusza, co jest uosobionym komfortem wymyślnym, który też odbił się w całéj zewnętrznéj osobie. Tyle tylko jeszcze powiem, że zacząwszy od góry, bo od kaszkiecika do kamaszów, cały ubiór jest jednéj i téj saméj barwy popielatéj, ba, i z téj saméj materyi. Gdym jeszcze obaczył kołnierzyki i łapki od koszuli, jakby odcyrklowane w najściślejszéj symetryi, daléj kaletkę skórzaną arcymisterną, takąż cygarniczkę i pugilares i zegarek i paszport, co urosł w grubą książeczkę, słowem gdym spostrzegł, że wszystkie te drobiazgi, co zwykle są jakie-takie u innych ludzi, u niego były spotęgowane dogódkami wyrafinowanéj doskonałości, a wykończone z bezprzykładném u nas mistrzowstwem; gdy przytém jakieś coś odezwało się w spojrzeniu, w ruchach jego, co łatwo dojrzéć, lecz trudno wypowiedzieć, wtedy już zawołałem sam u siebie: jużcić to Anglik, a pewniéj jeszcze kuzyn jego, Amerykanin północny! Ten domysł silniéj się jeszcze u mnie utwierdził, gdy nasz wędrowiec, przypadkowo odwróciwszy się, pokazał, że nie ma occiputu, więc, że głowa jego jajkowata!... I doprawdy zgadłem, jak się to późniéj okaże. Widać tedy z przyrządów, że to był wojażer z fantazyi, lecz wcale nie taki jak np. ja, ale na ciężki kamień; widać, że to człek, co się w czepku rodził, a któremu, jak to mówią, nie brakło nigdy na łyżce ani za łyżką, że to... nie wiedzieć jakibym sobie jeszcze wyroił domysł podobny i równie niepotrzebny, gdy znagła słyszę: „Widzisz pan księdza? To on sam! Ot tam w ogrodzie!“ Tak zawołała po włosku na Amerykanina owa panna czy pani, którąśmy razem z nim zastali w buraczkowéj naszéj karetce. I prawda! od czasu kiedym lustrował młodego blondyna i bawił się wróżbami, wdrapaliśmy się znów o kilkadziesiąt stóp na Semeryng, i znowu widać i kościołek i plebanią, one tylko jeszcze głębiéj poniżéj nas zostały; lecz choć teraz obrazek ten niezmiernie zmalał, przecież łatwo nam już zajrzéć z góry wprost do ogródka, i wyraźnie obaczyć przez szkła kilka osób, siedzących wśród drzew około nakrytego stołu, a choć samego księdza trudno było rozpoznać, słusznie atoli wnosiła ta dama, że przy obiedzie nie brakuje zapewne i samego gospodarza. Teraz wprawdzie już zgadywałem, dla czego tak mnie się pierwéj zdawało odludno i pusto około kościołka i plebanii; przecież od téj chwili już mniéj mnie obchodziły te sielanki, odbywające się gdzieś daleko na dole, bo przeczuwałem, że tutaj tuż przedemną roztacza się romans w najzupełniejszéj formie. Zkąd téj damie tak uderzające zajęcie się księdzem! któremu zaiste przy obiedzie ani przez myśl nie przeszło, że tam u góry wśród kurzów tak silnie jakieś młode serce poruszył! Zkąd téj damie ten rumieniec, co tak niedyskretnie wystrzelił na licach, zkąd ten lekki uśmiech przelotny, co opłynął usta naszego panicza?

W téj młodéj damie pewnie nie ma ani kropelki anglo-saksońskiéj krwi, bo choćby mniejsza o tę parkę oczu, co mimo wilgoci swojéj palą się płomieniem wśród długich mownych rzęsów, toć już znać, że ten koloryt ciepły twarzy ochuchany był powiewem południa, a te kilka słów, które jéj z duszy wytrysły, wyrzeczone były organem pełnym harmonii, i tą mową, co się rodzi w krajach, kędy kwitną i pieśni i pomarańcze i muzyka. Jakiż stosunek wzajemny tych państwa do siebie? Oni niekiedy tak dziwnie na siebie patrzą, a spojrzenie tak głębokie, że zdaje się rzeczą dość wątpliwą, żeby to było małżeństwo, a przynajmniéj dawniejsze, lecz niewątpliwą wcale, że to nie brat i siostra.



Już oddawna zawiązało się między tym panem a mną jakieś przymierze milczące; oba pragnęliśmy bowiem równie bronić się tak od kurzawy jak od zaduchy skwarnéj; więc siedząc u dwóch drzwiczek karetki, tuż wedle strony, z któréj biły tumany, to on przymykał swoje okno a ja otwierałem moje, to on otwierał swoje a ja moje zamykałem. Z tych wzajemnych manewrów *pro publico bono* łatwo już przyszło do rozmowy, choć ten panicz zamorski dość był zrazu małomówny a zamknięty w sobie. Na początku, jak to bywa, treść gawędy czcza, bo mowa się cedzi to o drodze, o Semeryngu, o kolei, więc o nadziei, że w rychle będzie dokończona droga żelazna przez te góry tak olbrzymich rozmiarów. Opowiadał, jako przed kilku tygodniami z umysłu wyprawił się z Wiednia, by się przypatrzyć tym pracom niesłychanym. Twierdził, co bardzo wiele z jego strony, że nawet w saméj Ameryce nie widział nigdzie robót, łamiących się z takiemi upornemi trudnościami, jak te prace około Semeryngu. Rozpowiadał, ile tam gór skalnych na wylot przewierconych, ile sążni tych tunelów, jak pociągi, wydobywszy się z ciemnicy podziemnéj, lecą między niebem a ziemią, po wiaduktach przeskakujących szerokie przepaście. Prawił, jak prochem rozsadzają się wśród dymnych gromów urwiste ściany, żeby według nich uzyskać jakąś ściankę dla kolei; jak to robotnicy, niby jaskółki zawieszeni na sznurach nad otchłaniami, murują podpory dla przyszłéj drogi żelaznéj; jak to tam całe mrowiska ludzi się krzątają, przecinając parowy, piętrząc filary olbrzymie na filarach, przywlekając ciosy, równając wydolenia; jak tam pociąg śpieszy po tak straszliwych wysokościach, że już same konduktory nie obronią się zawrotowi, chyba odwracając twarz od przepaści, lub zamrużając oczy. Opowiadał nam, jak to tam przez wiele mil cała ta droga będzie światem niezliczonych wiaduktów, tunelów, otchłani i wysokości pełnych zgrozy. Słowem, prawił nam o tém wszystkiém, coby zapewne mogło zakrawać na mitologią lub bajeczki arabskie, gdybym już o tém poprzednio nie był wiedział z opisów i doniesień publicznych, i gdyby świat nie znał, że mocą milionów a milionów można cudów dokazać, i że warto téż pokusić się o te cuda, gdy idzie o tak ogromną wygranę, jak jest przecięcie Europy na dwie

połowice i połączenie Tryestu i Hamburga, więc dwóch morz, bijących o dwa przeciwne brzegi téj staréj naszéj części świata.

Co chwila ta nasza rozmowa stawała się cieplejszą, poufalszą; bo wiecie jak to jedna godzina wspólnéj podróży, a do tego jeszcze w takiéj ciasnocie, jak ta nasza, ściśléj zbliża ludzi do siebie, niż miesiąc znajomości zwyczajnéj, i stanie za korzec soli razem zjedzonéj. Im więcéj się rozochociła nasza gawęda, tém piękniéj świecił umysłem wyrobionym nasz młody towarzysz; rozpatrzył się on dobrze w najgłówniejszych literaturach Europy i potoczysto mówił ich językami, wiedział co się święci tu i owdzie po świecie, i wiedział zkąd się co kluje, a obejrzawszy wielki kawał naszego planety, prawił mądrze o tém i o owém a bez junakieryi. Jużci to wszystko razem to niemało na dwudziesto-kilko-letniego młodzieńca, a to jeszcze takiego, co widział u swojego ojca rzędy beczułek z dolarami; prawda, że i gdzieindziéj niekiedy taki młodzieniec się uda, jednak takowy najczęściéj krukiem białym.

Tak się tedy działo, iż zjeżdżając z ostatniego piętra Semeryngu jużeśmy się jak najlepiéj nawzajem oswoili z sobą; co do mnie przynajmniéj, życzyłem im z serca najszczęśliwszego powodzenia w świecie. Pytacie atoli, cóż to za romans, na który się już nie na żarty zacinało w początku relacyi mojéj? Otóż pókim był z nimi na Semeryngu, mistyczność mglista osłaniała mi tajemnice téj całéj historyi; przecież gdy jeszcze całą drogę do Tryestu odbyliśmy w towarzystwie téj parki, więc gdyśmy sobie towarzyszyli i cały ten dzień, i całą następną noc, i znów nazajutrz dzień cały, więc nie brakło sposobności rozmówienia się z sobą. W tych też chwilkach czynili nam ci młodzi zwierzenia z tajemniczek swoich, zwyczajnie gdy serce przebierze szczęściem, to i zakipi a przekipi. Opowiem tedy już teraz czegośmy się dowiedzieli. Czytelnik pozna, że weszła mi przypadkowo w rękę najprześliczniejsza osnowa do długiéj a treściwéj powieści, bylebym zdołał z niéj coś zgrabnie urobić. Lecz ja nic nie urobię! Co innego gdyby mi nasz Kraszewski lub Korzeniowski, lub Kaczkowski pożyczył kałamarza swojego, kędy w atramencie promienią się barwy tęczowe miłośnych historyj, i pluskają się intrygi i rozpacze i tęsknoty kochania! Toby było co innego! Lecz bez takiego przyrządu wypadnie mi opowiedzieć wszystko najprozaiczniejszą prozą.

Ten młody blondyn zwał się panem Jonatanem i był synem przebogatego ojca w Bostonie, nie wiem z pewnością, ile ten ojciec miał pieniędzy jednak z tego, com dosłyszał późniéj, *kalkuluję*, wyrażając się po amerykańsku, *kalkuluję*, że był *wart* jakie milion dolarów. Otóż ten jegomość, dawszy synowi najstaranniejsze wychowanie, postanowił wyprawić go na wojaż, rozumie się nie po naszemu, bo podróż nie miała się kończyć na troszce Niemiec, troszce Paryża, a na dodatek na szczypcie Anglii lub Włoch. Stary Yankee inaczéj tę rzecz pojmował. Przywołał syna, rozłożył na stole mappę ogromną dwóch połowic świata, popodkreślał czerwonym ołówkiem miejsca, które, wedle niego, warto było odwiedzić, a przy każdéj czerwonéj kresce polecał synowi, by go przypomniał nieustającéj przyjaźni panów korrespondentów, i na każdą kreskę czerwoną wystawił spory weksel lub list kredytowy od złego nieprzewidzianego razu.



I pojechał tedy pan Jonatan; więc zapolował sobie trochę w Indyach Wschodnich na tygrysy, w Egipcie wdrapał się na Piramidy; przypatrzył się jak tańcują na balach ambassadorskich w Paryżu, a jak znowu na Hotentotach; zazierał w krater Etny, zachwycał się Apollinem belwederskim, a z Holendrami łowił śledzie; odwiedził jarmark w Niżnym Nowogrodzie, a nocą chodził z gitarą po ulicach Sewilskich. Słowem, widział wszystko co było do widzenia; a gdy właśnie już wszystko obaczył i gdy już się miał z powrotem do swojéj Ameryki, wtedy ono licho skrzydlate, co je poganie zwali bożkiem, dla niego stało się istnym djablikiem, bo go zaprowadziło... dokąd... niktby nie zgadł, gdybym nie powiedział, ot zaprowadziło go wprost do Grefenberga, więc do Prisnica, który tę troszkę ciepłéj krwi, co jeszcze w sercu ludzi się plątała, do krzty rozczynił w wodzie, jako w uniwersalném lekarstwie na wszystkie cielesne strapienia ludzkie.

Otóż ta sama biéda, co parła pana Jonatana do Grefenberga, zaniosła tam także z pod Padwy starego wysłużonego kapitana z wnuczką jego, niby z tą samą damą o wilgotnych a palących oczach i onych długich rzęsach, znanych nam z buraczkowéj karetki. Kapitan od dawnych lat był wdowcem i po żonie i po służbie i po całéj rodzinie, po któréj tylko oni dwoje pozostali na świecie.

Obaczyli się ci młodzi państwo, i, już nie pomogły zimne grefenberskie *dusze*, i cebry wody nie przygasiły zabójczych płomieni, ani Prisnicowe mokre koce nie przytłumiły żarów. Więc oświadczenia się formalne o rączkę młodéj damy; więc miłe przyjęcie onychże sentymentów. Bo staremu wiarusowi oddawna na sercu kamieniem myśl, komuby miał wnukę powierzyć, gdyby jemu samemu przyszło głowę położyć. Powziąwszy tedy języka o młodym zamorszczyku, oburącz chwycił za *quinterno* w téj stawce życia. Od téj chwili dla rozkochanych chłodne pagórki grefenberskie przybrały się we wdzięki Edenów a skopowina, wieprzowina i kapusta, i mleko, któremi Prisnic zwykł był raczyć bez braku swoich pacyentów, zamieniły się w istne ambrozye i nektary olympijskie. Bo miłość, jak wszystkim od początku świata wiadomo, cuda działa.

Ochłonąwszy z pierwszego zachwytu, nasz pan Jonatan wyprawia epistolę do ojca, nadziewając ją afektami wrzącemi, wiele prawiąc o aniołach, rajach, ideałach i innych osobliwościach. Stary Yankee trzymał ten list w ręku, czytał i czytał, nie mogąc pojąć zkąd znowu synowi jego, co to przecie rodowity Amerykanin, takie bluźnierstwo przeciw złotemu cielcowi. Nakoniec mruknął: „nie ma

o czém gadać, chłopcu się w głowie skręciło! żenić się z panną co *nic nie warta!* wnuka jakiegoś tam chudego kapitana!“ Ba, gdyby to była jakaś księżniczka, choćby nawet hrabianka, byle staréj daty i brzmiącego imienia, niechby już nawet nie była posażną, niechby jéj brakło nawet kilku z pięciu *P*, toby jeszcze jako-tako. Lecz wnuczka jakiegoś kapitana, którego i żywa dusza nie zna!

Bo całemu światu dobrze wiadomo, jak to owi republikanie nowego świata wcale nie są obojętni na stare rody staréj Europy; wiadomo jak to każdy Yankee, wróciwszy z Europy do swoich, częstuje ich relacyą o Miladych, u których bywał na herbacie, o dukach, o których się ocierał, o gwiazdach i parach, z któremi był sobie brat za brat, o rautach „of high life“, na których tak było tłumnie i prześwietnie, że połowa zaproszonych gości stała na schodach, a gdy wojażerowi historycznych faktów nie stanie, nakłada poezyą.

„Wnuczka jakiegoś tam kapitana“ pomrukiwał stary Yankee, „oczywiście chłopiec oszalał, to istny romantyk“. Pisze tedy do jedynaka, a ofukawszy go i natarłszy uszów, co się zowie, każe wracać do domu. Na takie *dictum* młody wyprawia do Ameryki jeszcze czulsze desperacye, błagając, zaklinając, przysięgając. Na to ojciec huczniejsze grzmoty i gromy wpieczętował w list swój; na co znów syn potęguje swoje prośby i rozpacze. Tak przez wiele miesięcy latały listy przez Atlantyk i przylatywały z powrotem. Na nieszczęście i bohater nasz nie miał już matki, coby, jak to bywa, łagodziła, nadrabiała, pocieszała. Nakoniec sckliwiła się ta czcza korrespondencya ojcu, więc się zaciął, i nie odpowiadał więcéj ani słowa na listy jedynaka; ale za to napisał do Europy do przyjaciela swojego, który był posłem czy konsulem Stanów Zjednoczonych u jednego z państw niemieckich, aby mu syna bałamuta bez straty czasu do Ameryki dostawił. Ten konsul był starym kolegą jego, jemu ufał jak samemu sobie, uważając go za drugą a poprawną edycyą samego siebie.

Gdy się to dzieje, pan Jonatan, nie otrzymując odpowiedzi od ojca na listy swoje, wziął się także na zuchwałe, i postanowił u siebie żenić się choćby bez pozwolenia. Z taką tedy desperacką propozycyą staje przed kapitanem. Jak piorun atoli uderzyła w niego odpowiedź starego rębajły, który mu rzekł: „Wiesz, panie Jonatanie, iżbyś mi był miłym synem, ale ja nikomu nie narzucam wnuki mojéj, ani się cisnę w obce rodziny. Niechaj twój ojciec cieszy się dolarami, a ja, mospanie, zachowam u siebie dziewczynę. Uważam stosunki nasze za zerwane, i na tém kwita!“ Znać, że ten stary wiarus, człek dawnego autoramentu, bo harda dusza w ubogiém ciele; przecież się w tém pomylił pan kapitan, że myślał, iż, płatnąwszy słowem jak pałaszem, rozciął na piękne mienie się ku sobie serc dwojga. Lecz młody strętwiał zrazu na owe srogie wyroki, przecież nie uważał wcale onych stosunków swoich za zerwane. Widywał się, choć bez wiedzy dziadunia, z połowicą duszy swojéj;



więc nawet spotęgowały się westchnienia, dumania, sentymenta i t. d.; słowem, te wszystkie przyrządy i przybory, które czytelnik znajdzie w najlepszym gatunku pod firmą: „Dumas et fils“.

Lecz właśnie wtedy, gdy serca kochanków grały najczulszym trenem, pan konsul, po wielu miesiącach korrespondencyi wysyłanéj w różne strony, dotropił się nakoniec śladów młodego wyrodnego Yankee, a opasawszy się ojcowską grozą, rozkazał mu się stawić przed sobą. Pan Jonatan pojechał natychmiast, by nie pogorszyć jeszcze więcéj swojéj sprawy. Zaledwie atoli się pojawił przed panem konsulem, gdy ten huknął obcesem na niego, jak grad leciały na biednego chłopca wymówki i bury; wyrzucał mu stary, że samą myślą żenienia się z panną, która nie ma złamanego grosza, okrywa sromotą Amerykę całą. Słuchał pokornie młody, bo nie chciał z nim zadrzéć do ostatka; gdy jednak tamten, uniesiony zbytnim rankorem, następował na uczciwość tych, których młodzieniec kochał i poważał, gdy stary zrzęda zaczął się kląć na czém świat stoi, że nigdy nie zezwoli, aby jakieś tam awanturniki mieli uwikłać w sidła jednego z najznakomitszych synów Zjednoczonéj Ameryki; wtedy zabrakło cierpliwości młodemu, rozperzył się i stawił mu się dumnie i zuchwale. Burza ogromna słów. Gdy atoli w końcu szanowny opiekun wyrozumiał, że przecież sam stary żołnierz odpycha już od siebie myśl tych związków, wtedy rozdarł szeroko oczy z podziwu na tę niespodziankę; więc już cierpliwiéj słuchał, co mu prawił pan Jonatan o owym aniele, co mu się pojawił w niewieściéj postaci u Prisnica, o szczęściu bez miary, którego się spodziewa jeszcze tu na téj ziemi doczesnéj i t. p., coraz cierpliwiéj a cierpliwiéj stary słuchał, aż się i udobruchał. A gdy pan Jonatan z niechcenia natrącił mu, że kapitan zapewne teraz bawi w Dreznie, dokąd z Padwy dla jakichś tam interesów przyjechał, wtedy stary rzekł, zapalając spokojnie hawanna: „jutro biorę koléj i jadę do Drezna, by tych twoich fenixów obaczyć“.

Teraz podobno i mój urząd historyografa na schyłku, bo każdy już domyśla się zwyczajnego rozwiązania komedyi. Poseł obaczył się z dziadkiem i skończył na tém, że serdecznie pokochał wąsala, więc i wnuka zdała mu się niczego, a nareszcie tak go samego za serce chwyciła, iż stanął sam po stronie kochanków, i napisał list wielce rogaty do ojca, do Ameryki, burcząc i łając go z kolei. I przyszło więc na to, że pan poseł sam, zastępując ojca, formalnie i ceremonialnie dla pana Jonatana prosił o rękę owego anioła o długich rzęsach. Z tego wszystkiego znowu wypadła jazda owa przez Semeryng, kędy młodych państwa prowadziła droga z Drezna wprost na ślub do kościoła św. Antoniego w Padwie. Dowiedziałem się téż, że ów stary wąsaty jegomość, co z kolei, jak może pamiętacie, za nami jechał w najbliższéj kolasce, tak tam czegoś dowodząc, rozprawiając i śmiejąc się i gadając facecye, dowiedziałem się, mówię, że ów jegomość był właśnie owym dziadkiem historycznym.

Tak tedy zjednoczyła się półkulica zachodnia naszego planety z półkulicą wschodnią, świat nowy ze starym, a to jeszcze z najstarszą jego cywilizacyą, bo z włoską; a co rozdzieliły morza, to zjednoczyła miłość, bo dla niéj oceany, to furda! I zaiste, ona więcéj dokazała jak owo zaślubienie mórz, bo połączyła ubóstwo z milionami dolarów, i dla tego to wszystko warto było wspominki i dla tego umieściłem tę nieosobliwą historyą wśród osobliwości mojéj podróży, a to tém chętniéj, że jest na prawdę prawdziwą historyą.

I jak się to dziwnie rzeczy splotły! i owe atomy pyłków, igrające z sobą i przyciągające się nawzajem, i ta karetka exślubna z bukietem u boków, i ten kościołek z księdzem w dolince! Wszystko jakoś dobrze już pojęłem; tylko tego tak nadzwyczajnego wzruszenia téj damy na widok kościołka i księdza, tego, mówię, nigdy jasno nie zrozumiałem!

---

Jesteśmy w Mürzzuschlag. Słychać brzęk talerzy, szczęk łyżek, widelców i nożów, „a półmiskom dzieje się wedle własnego ich prawa“ jak ongi wyraził się wśród wieczerzy Hegel, a powtarzał nazajutrz pełen podziwienia bałwochwalski Berlin cały. Jeszcze zajeżdżają przed restauracyą ze Semeryngu niektóre powozy, spóźnione marodery, a z każdéj wykluwają się różnojęzyczne pasażery; mówią to ze słowiańska, to po niemiecku, to po madziarsku lub po wołosku; lecz jakąkolwiek mową się kto odezwie, każdy posypany gęstym pyłem, każdy szpakowaty; więc, choć głodny, śpieszy przecie do sąsiedniéj izby, kędy długim szeregiem czekają miednice i ręczniki, i szczotki, i miotełki. Nakoniec wszyscy sobie podjedli.

I osobliwa to rzecz, każdy jak wszedł, to niezmiernie jakiś miękki i potulny, a teraz po półmiskach strasznie zuchowaty i zuchwały!

I znów wszyscy na kolei, i nuż daléj strzałą w świat. Dobre nam dano wagony! Bo długie i pełne okien, niby długie wązkie salki; wzdłuż przez środek między ławkami miejsce wolne, a gdy nam tych wagonów tym razem nie skąpili, więc nam przestronno, zatém możesz zmieniać swobodnie miejsca i wyzierać to z tego, to z przeciwnego okna, by się nacieszyć rozlicznym wdzięcznym widokiem. Wszak już jesteśmy w czarodziejskich dolinach Styryi, w dolinie Murycy, a późniéj czeka nas równie wdzięczna dolina rzeki Mury.

Tutaj przyroda, ta cudna malownica, jakby w natchnieniu szczęśliwém ustroiła nam w koło ten świat. Tu z lewéj i z prawéj roztaczają się obrazy alpejskiéj przyrody; lecz ona tutaj bez zgrozy i lęku, a przymilająca się i luba. Ta natura i tu jest panią okazałą, wielemocną, ale nie hardą, nie dumną; bawi się niby w pasterkę lub śpiewa piosenki z dawnych lat. Prawda, że na tylném tle pejzażu dźwigają się góry potężne i piętrzą się butném budowaniem pod obłoki, a na czole swojém noszą jakby ukoronowane od przeszłości stare zamczyska, co siwe i dumne. Te góry odziały boki od szczytu w hale zielone, a poniżéj otuliły się w gęste, bogate, bujne lasy stare, u samego spodu zaś postawiły stopy swoje jakby na podnóżu haftowaném w ogrody, łąki co świecą w pałacyki i zameczki nowoczesne, bo tym schludnym budynkom tu na dole bliżéj ludzi, wygodniéj, domaszniéj jak onym odwiecznym rozsypiskom na szczytach, kędy sejmują chmury i hulają błyskawice i gromy.



Gdzieniegdzie od bioder gór wyzierają skały po nad las, dziwacząc się we fantastyczne, rozpustne, wymyślne postaci. Czasem i wśród niziny i łąk a mieszkań ludzkich stanie takowy opocznéj natury kaprys, udając to basztę, to ogród olbrzymów, to potwór przedpotopowy, to mnicha klęczącego; rzekłbyś, że tu sen fantastyczny skamieniał. Bliżéj, bliżéj rozstawiły się wioski o czerwonych dachach, na poły zakryte cieniem gęstych sadów, a od wioski do wioski biegną drzewami wysadzane drogi wśród łanów dojrzewających złotem, na tych drogach toczą się wozy drabiniaste, lub pędzą karyolki lekkie, lub dziewcząt grono śpieszy od miasta. I znowu łąki i domki osobne, krzewy i kapliczki samotne, ówdzie zaś w pobliżu kolei gruppami ustawiły się krowy, a tak im ładnie na téj łączce, jak gdyby je na niéj wymalował jaki Paweł Potter; znać atoli, że i te krówki już wyrobione na cywilizacyi współczesnéj; bo jak niegdyś uciekały na widok téj strasznéj dla nich lokomotywy i całego pociągu, co z hukiem i grzmotem przelatywał, tak teraz one już zaledwie głowy od trawki podniosą, spojrzą, i znów skubią łączkę z niezamąconym duszy pokojem.

Królową atoli téj doliny, jéj duszą i rusałką jest ta rzeka Muryca; ona z daleka pod górami świeci niebem i jasnością słoneczną, a bliżéj nas pieni się wężykiem przebiegając doliny i, jakby chciała powitać w tym domu swoim tłumy jadące, postępuje pod koléj i towarzyszy nam; czasem nawet droga żelazna przeskakuje lekkim mostem przez jéj wody, a naówczas Muryca niby spłoszona ucieka od nas, lecz wnet znowu przesadza pociąg jéj nurty przeczyste, a wtedy dziwnie świecą te jéj śnieżne piany obok długiéj, brudnéj kity dymów, które wleczemy za sobą; a dziwniéj jeszcze błyszczą te iskry węglane czerwone, piekielne, wytryskujące z komina machiny, obok iskier dyamentowych rozsianych od słońca po krystalicznych falach rzeki, która teraz tak wdzięcznie obok nas płynie, by znów pobiedz w dal i pohulać wśród łąk i sielskich sadów.

Przecież czarodziejskie natury uroki wzmagają się jeszcze samym pędem szalonym naszéj jazdy; potęgują się nawet i ciągłemi zakrętami, któremi bieży koléj żelazna. Ztąd ciągła i wiecznie ruchawa zmiana całéj przyrodzonéj dekoracyi. Tło przednie, więc bliższe nas, zatém większych wymiarów i silnych wyrazistych barw a głębokich cieniów i jasnych świateł, tylko się mignie i ucieka błyskawicą, jak przemyka chwila obecna, dotykalna, co na nas bije tak jaskrawą barwą i tak mocnym cieniem a światłem rażącém. Tło

środkowe przepływa już mniéj śpiesznie, i wolniéj unosi z oczu one wioski, kościoły i role zbożne, i wieńce sadów; słowem te światki ciche, co gospodarzą w dolinie, jakby ubiegłe lata, jakby dawne obrazy znikają, zachodzą, a na ich miejscu pojawiają się świeże formy, coraz nowsze widoki. Owe zaś na tylném tle góry i bory ich, i szczyty ich skalne, ochuchane kolorytem eterycznym, dygocąc w światłach, cieniach lekkich, przejrzystych, kroczą już zwolna, wspaniale, uroczysto, jakby pamięć bohaterów zmarłych, a choć one w końcu przeminą, jeszcze z daleka żegnają nas wzniosłym przyczołem swoim i wołają na wędrowców zwaliskami dawnych grodów. I ciągle — i w każdéj chwili pobliższe pagóry i skały i gaje zesuwają się i rozsuwają, niby ruchome kulisy tego przecudnego teatru natury. A te obrazy wszystkie, ujęte oknami wagonu, jakoby w ramy, zamieniły go w galeryą, kędy na ścianie porozwieszane pejzaże, malowanie wielkich mistrzów, z tą tylko różnicą, że te widoki natury tutaj ciągle się zmieniają a rozpromienione są słońca jasnością.

Nad tą widownią nieustających przeobrażeń unosi się inny dramat, również pełen ruchu i życia, bo gra napowietrznych potęg. Niebo czyste; lecz przecież na nim, jakby wyspy, płyną i pędzą obłoczne budowania, rozłożyste a gęste i kipiące; i one to piętrzą się w góry i grodziska zwalone, to udają orłów olbrzymich, to rozwieszają się sztandarem śnieżnym w purpurowe rąbki; więc płyną i ścigają się te postaci obłoczne na niebie; więc i po ziemi, po dolinach, siołach, lasach i górach płyną, pędzą i ścigają się ich cienie. A kędy cienie padną, tam jakieś posępne dumanie natury, tam rozlany smętek i żal; ale gdy znów cienie przelecą, gdy jasności niebiańskie rozświecą napowrót przyrodę, tam ona się uśmiechnie radością, tam ona ochocza ubiera się w barwy weselne, jakoby w wigilią swojego ślubu.

Tak widoki ciągle zmieniają swoje oświecenie i koloryt, a te przeistoczenia tak wyraziste i tak częste, że się zdaje jakoby sama natura rada pokazać jak to malować pejzaże, jak zestrajać do siebie cienie i światła, i barwy. Natura to mistrzyni nie lada! Przez owo okno wagonu widzimy światek osobny: domki o czerwonym dachu i śnieżnych ścianach, i łączkę jasno-zieloną, i wodę błękitną, przysypaną ogniem słonecznym, i tuż nad nią wianek wierzb ubranych w liście srebrzyste, i daléj rolę poszytą zbożem żółtawém, a natura powleka każdy z tych przedmiotów farbą jemu właściwą, zachowując pilnie prawidła cieniów i świateł. Lecz czyliż na tém przestaje już ona boża malownica? Bynajmniéj! Obłok zasłonił od słońca ten nasz pejzaż mały, a w oka mgnieniu zmieniły się barwy jego; wszak ten dach jest jeszcze czerwony, ale on już inaczéj się czerwieni, inaczéj teraz mieni się i woda i inaczéj barwy żółte, zielone, błękitne, inaczéj grają teraz cienie i światła. Lecz choć grają inaczéj światła i cienie, i barwy, przecież i teraz one wszystkie nawzajem do siebie nastrojone, i zlewają się w harmonijny akord kontrapunktem widomym. A gdy po tym mroku znów promienie zaświecą jasnością słońca, już, jakby struny lutni silnie uderzone, podwyższają się i potęgują tony wszystkie natury, płonie ogniem paląca czerwoność, lśnią srebrem drżącém wierzby, łąki mienią się teraz zielonością złocistą, a obok żółtych fali chleborodnego łanu błękit też wody zaświeci atłasem haftowanym w gwiazdki błyszczące. Treść obrazu ta sama, wyraz atoli a fizyognomia jego się zmienia; muzyka natury ta sama, ale ona już śpiewana z innego tonu.



Często spotkasz się z pejzażem, stworzonym przez mistrza niepospolitéj zasługi, a jednak w tym obrazie odzywają się jakieś obce dla nas dźwięki, przemawia z niego do nas jakby człek chorobą znękany, co nie jest sobą samym, nie możemy się w tym pejzażu jakoś pochwytać i poznać. Aż tu obok nas stanął znawca z czuciem artystyczném w oku, przemówił i rozwiązał zagadki. W tym obrazie, rzecze, brak harmonii w oświeceniu; ten dom i te drzewa różnią się od siebie kilku godzinami pory dziennéj; bo jeżeli w naturze te skały tak silnie zabrzmią światłem, jak tu na tym obrazie, już tu i owa woda malowana koniecznie zajaśniałaby w innych barwach. Teraz już snadno nam pojąć, zkąd ten obraz jakoś obcy dla nas, zkąd on w oczach naszych tak niby nie swój. Bo, zważ, duch nasz sam jest akordem a jednością różnych tonów i dźwięków, co brzmią w treści jego; on sam jest jakby cichym odgłosem owéj harmonii, co żyje we wszech rzeczach stworzonych; więc też duch nasz dopiéro wtedy rad sobie, więc jemu dopiéro wtedy domaszno, swojsko i lubo, gdy i na zewnątrz znajdzie tę harmonią i wewnętrzne akordy własnéj treści swojéj, gdy on w dziele piękności sam siebie znajdzie jako we zwierciedle a odgłosie swoim. Wtedy przeczucie niewymowne, nieogarnione, a jednak niby oddawna znane i poufałe, zawróży stworzonemu duchowi o harmonii, którą Bóg zestroił światów wszechnicę.

Chcemy jedności w charakterze człowieka, zestroju rozumu i uczuć, wiary i myśli, pragniemy téj jedności w każdém dziele poezyi; chciéjmy ją również widzieć i w malowanym widoku natury w całéj jego kompozycyi, więc pod każdym względem, więc nawet w jego światłach i barwach. Niechaj malarz w téj mierze nie pogardza starą radą, niechaj patrzy przez szyby farbowane na świat, gdy się na nim rozlewa powódź światłości słońca; a już i młody uczeń sztuki nauczy się jak przyroda gospodarzy w państwie barw i świateł, zestrajając je z mistrzowska do wzajemnéj zgody. Szyba ciemna czerwona okaże mu świat w żarach palących, a zieloność drzew, biel domów, błękit nieba, wody, trawy, góry rozpłomienią ogniów pożarem; rzekłbyś, że wulkany rozwarły otchłanie swoje, że straszliwa katastrofa, niwecząca Herculanum i Pompeję, znowu się powtarza przed oczami twojemi, że niebo zaszło pożogą krwawą, że

natura cała ochłoniona płomieniem. A znowu z kolei spojrzyj przez szybę żółtą. Niebo, ziemia w jaskrawém świetle zdają się przedstawiać pustynię głuchą, grobową Sahary, gdy morderczy Samum, unosząc w podniebne wysokości gęste chmury piasków, tchnie śmiercią na wszystko, co żyjące. Albo gdy znowu z kolei weźmiesz szkło błękitne do ręki; świat ten, dopiéro co palący, gorący, południowy, nagle przeistoczył się na noc jasną przecudną, zalaną morzem księżycowych świateł. Chłód północnych powiewów tchnął jakby na ciebie samego; spokój uroczysty, mistyczny otulił te drzewa i domy i góry i sioła: tak tu lubo, tajemniczo, iż co chwila oczekiwać będziemy, że się pojawi z czystych jeziora nurtów grono rusałek o postaciach rozwiewnych, stające do nocnych lekkich tanów.

Czyli jednak owym palącym żarem purpury rozogni się świat, czyli zaświeci jaskrawą żółtą światłością, czyli opłynie błękitem modrym księżyca — zawsze i zawsze barwy wszystkie, i światła i cienie wszystkie, zestroją się zgodą i jednością harmonii pełną. Dla tego i mistrz prawdziwy pejzażów nawet w obrazku bez treści bogatéj, bez rozmaitości odmian, w przedmiocie jednostajnéj ckliwości zdoła okazać dziwy sztuki swojéj. Niechaj np. stworzy nam obrazek z tych błoni krakowskich wśród jesiennego wieczoru, gdy kłęby tumanów zakrywają miasto, i budowanie wieżaste, harde Wawelu, i górę św. Bronisławy i mogiłę jéj; gdy wśród tęsknéj a ckliwéj równiny, kilka krówek, biedny mostek, gruppa wierzb, a nadewszystko, gdy lekka zamglona poświata zachodzącego słońca będą całą treścią pejzażu. Niechaj malarz przedstawi nam ten obrazek tak prostéj treści; a jeżeli jest istnym mistrzem, już na jego malowaniu gra saméj atmosfery, mgły, blade mistyczne światła i żałobne tęsknoty natury, jakby duchy błoniów, poświadczą mu, że jest prawdziwym malarzem. A jeżeli tę jedność i zestrój w przyrodzie zrozumie, spotęguje harmonią i własnego ducha kontrapunktem, jeżeli — co jeszcze więcéj, zaważy — jeżeli wleje w to dzieło swoje jedność własnéj istoty swojéj, jeżeli z miłości udzieli mu własnéj duszy swojéj, własnego nastroju uczuć, który w nim grał gdy się na tę naturę patrzał, gdy malował to dzieło swoje, — wtedy ta natura malowana nie będzie już tą rzeczywistą naturą, ale stanie się własną duszą mistrza; więc te jéj tchy i pulsa przejdą w nasze serce, w piersi widza, i my patrzéć będziemy na tę naturę jak patrzał na nią mistrz, i będziemy czuli jak on czuł, bo on nas oczyni urokiem czarodziejskim swojego geniuszu, zmagnetyzuje potęgą swojego wejrzenia, co na nas patrzyć będzie z głębi obrazu jego. I w tém właśnie cała tajemnica pejzażysty, by wlał ducha swojego w naturę, a ona mu odda siebie niby ulubieńca i narzeczona, sercem ukochana; a kto tego dokaże, już stworzył dzieło, w którém żyć będzie jedność a harmonia najwyższa duchowa. Wszak uważmy, że harmonia świateł i barw w malowanym obrazie nie jest jeszcze jego całą jednością, całą harmonią; w kompozycyi po dziele mistrza wymagamy jeszcze innéj



jedności, któréj albo wcale nie znajdziemy w naturze, albo znajdziemy ją wielce niedostatecznie a biednie wyrażoną.

Lecz patrzmy w te obrazy natury rzeczywistéj, które wglądają przez okna wagonu; patrzmy się im w serce, a wyznamy, że one nie mają téj jedności najwyższéj, duchowéj, bo nie są zamknięte, okończone w sobie, bo są jedynie dziełem przyrody a nie artystycznéj piękności. Każdy z tych obrazów okazuje, że jest tylko wykrawkiem całéj nieogarnionéj okiem naszém okolicy, że jest tylko ułamkiem jéj jako całości. Ba! wszak sama ta okolica jest tylko ułamkiem całéj natury, całéj powierzchni ziemi. Przy każdym obrazku, który tu przez okno wagonu na nas patrzy, myślimy o dalszym ciągu okolicy, pytamy cobyśmy jeszcze obaczyli, gdyby tych ram nie było. Podobnie żaden z tych obrazów natury rzeczywistéj, nie jest całością, jednością duchową. Inaczéj w pejzażu prawdziwego mistrza! Obraz jego, jego natura jest całością, jest dla siebie całym światem; więc gdy patrzymy na niego, już nas nie nęci ciekawość, co z lewéj, co z prawéj strony jest ukryte, nie pragniemy dalszego ciągu; — ba, nawet czujemy, że wszelki taki dalszy ciąg zepsułby nam doskonałość całości! Otóż widzicie, jak to każdy pejzaż doskonały, będąc piękności dziełem, jest wyrazem całéj idei, więc jest całością zupełną w sobie. Pamiętajmy atoli jeszcze, że widoki rzeczywistéj natury, choć często tak urocze, tak wdzięków pełne, przecież nie dosięgają najwyższéj piękności artystycznéj. Bo piękność jest w naturze li szczęśliwym trafem. Przedmioty natury, właśnie dla tego, iż nie są duchem, zależą od przypadku. Wszak urocze i wdzięczne są te widoki styryjskie; lecz gdy właśnie pierwiastki, które je złożyły, są z istoty swojéj niezawisłe od siebie, więc jest zaiste szczęśliwym przypadkiem, że się one tutaj tak zeszły i związały w całość tak piękną; jest to szczęśliwą wygraną, że ta Muryca srebrna, i te łąki, i dąbrowy, i te góry razem się spotkały i że się złożyły w te obrazy lube. Mimo to, choć te szczegóły tak szczęśliwie się sprzymierzyły z sobą, toć mistrz prawdziwy i tak nie odmaluje ich żywcem, ale jeszcze je usamowolni, wyswobodzi od śladów téj przypadkowości ślepéj i nie jedno doda lub ujmie, a co więcéj, jakeśmy rzekli, tchnie w tę naturę uczucie i duszę swoją.

Wszak o tém wszystkiém nie teraz nam prawić; dodajmy raczéj jeszcze słów kilka, niby na przyczynek do onéj harmonii świateł i barw, która, jak się rzekło, nie jest bynajmniéj jeszcze całą kompozycyą pejzażów. Patrzmy na ten świat cały tych dolin i alp styryjskich, i nieba i ziemi i wód; on jest oblany dźwiękiem powietrznym, jest ochuchany jakby duchem natury; ztąd też łagodzą się ostrości jego konturów, różnice barw, przeciwieństwa świateł i cieniów; ztąd tutaj nie ma szorstkich linij, ani rażącego światła i cienia, ani krzykliwych barw; te wszystkie bóle, tony fałszywe ukoiła natura, zestrajając je wszystkie do zgody, do miłości wzajemnéj. A są przecież oczy, co patrzą a nie widzą! Bo zkądby się już miały wziąść

owe malowane widoki, co nam pokazują świat tak bezpowietrzny, żebyś rzekł, iż te góry i drzewa i grody zamknięte były pod szklanym dzwonem, z którego machiną wypompowano wszelką atmosferę! Kontury twarde, barwy i oświecenie suche, a tak jaskrawe, że aż oczy bolą; nie ma tu metalu w tych dźwiękach, obraz nie ma kontrapunktu. Zważ kwiaty żywe, rosnące obok siebie; choć są o przeróżnych barwach, tak się wdzięcznie zestroją, że nie obaczysz fałszywych, piskliwych dźwięków; one choć wyrosły tuż obok siebie, jednoczą się, spływają z sobą, bo ich ześlubia natura lubą harmonią, — a potém porównaj te kwiaty z bukietami, co się wylęgły z pod pędzla jakiego wrzekomego mistrza! Więc i téj harmonii niechaj się uczy mistrz od natury; lecz niechaj przecież zawsze pamięta, że dzieło sztuki nie jest dagerotypem i że, jak się rzekło, piękność natury, jak pod każdym względem, tak również i co do świateł i barw powietrza, jest tylko szczęśliwym trafem, że natura, nawet w najpomyślniejszym razie, nie dosięgnie nigdy duchowéj piękności dzieła mistrza prawdziwego.

I długo, długo jeszcze ten dramat świateł na ziemi wtórował obłocznym scenom na niebie — a długo jeszcze nęciły ku sobie oczy te tany rzeki po dolinie, rozwijające się w linie tak wdzięczne i urocze, a od rzeki znów ku sobie unosiły myśl owe harde szczyty styryjskich gór; bo już prawie każdy z nich uwieńczył się grodziskiem zuchwałém i butném, co mu zostawiły w upominku czasy dawno umarłe, wieki rycerskie, co już na zawsze przepłynęły światem. Często mocą szkieł zajrzéć mogłem w samo tajemnicze wnętrze onych murów starych; widać w nich powiewne krzewy, spinające się po ścianach drzewa. Tam cicho i pusto; okna, odrzwia zamienione w bezkształtne otwory, któremi odwieczne zamczyska, jakby trupie czaszki, patrzą się w dolinę, poglądając na tłumy młodych pokoleń, co się mrowią pod ich stopami. W tych twardych czaszkach wysechł mózg, owo dziwne ducha podścielisko, a na miejscu dawno zmarłych, niegdyś tak żywych i kipiących uczuć, a śmiałych, groźnych myśli, orzeł się gnieździ lub lęgnie zwierz drapieżny; a jakby cienie i dusze pokutne dawno pogrzebionych, dziś snują się po rozsypiskach legendy i podania dziwne, i powieści cudotworne. One same jedne pilnują tych gruzów, a miłością stanęły im na straży, broniąc od zniszczenia i poniewierki. Tak lud miejsca dawnéj grozy i lęku otulił wdziękiem poezyi.

I cóż już dziś po onych starych rycerzach, cóż po tych uczuciach wrzących, gorących, w naszych czasach prozy, rozsądku i cyfer? Gdy te zamki żyły jeszcze pełném życiem, wtedy człek opierał się sam na sobie, i dufny w siebie stał o własnéj mocy. Prawda, że wtedy nie miał zapory zbawiennéj, ani oporu w ładzie i w węgłach społecznych; bo społeczność młoda nie była jeszcze ujęta w karby ustaw i obyczaju; więc prawda, że wtedy broiła ostateczna swawola obok ostatecznéj bezwoli; jednak za to każdy brał na własny ciężar losy losów swoich, więc w harcie a dzielności osobistéj widział przeznaczenie żywota swojego. I nie było prawd ogólnych, tętniących w wspólném sercu towarzystwa ludzkiego; więc każdy sięgał do własnych piersi po natchnienie, a co mu wywróżyła chwila, do czego parło go osobiste uczucie, co w duszy zakipiało, to wykonał w świecie, to wprowadził w rzeczywistość. Ztąd ten czas był tak poezyi pełen, ztąd życie każde było pieśnią całą, ztąd każdy z osobna w indywidualności swojéj był całością dla siebie, był prawdą ostateczną. Dziś potęgi ogólne ujęły w jeden szyk społeczność całą; sama tylko społeczność jest prawdą, całością, indywidualne barwy zaś zbladły; więc są tacy co człowieka rozumieją być tylko jedynką głuchą.



Wszak dzwonek zawołał a tłumy już we wagonach; dzwonek zawołał a tłumy już wysiadły.

Więc tym zamkom przedwiecznym, co na wierzchołkach górskich stróżują nad krajem, tak dziwno gdy na dole, w głębi, przelatuje potwór o ślepiach iskrzących, dyszący iskrami i dymem, jako niegdyś stare smoki starych powieści i legend — i przelatując sapie, syczy, gwiżdże i grzmi, porywając z sobą w zapamiętałym pośpiechu jakby całą ludność potępieńców. Zaledwie się zatrzyma i popasie węglem, i znowu gwizdnie, syknie i sapnie, i znów leci na złamanie karków. A są tacy, których nawet i te kilka minut przestanku mierzi; bo im biedakom tak śpieszno z tém życiem, minuta stracona cięży grzechem — czas płaci, czas traci. Dwóch towarzyszy młodości, co razem się uczyli w izbach szkolnych, a których długie lata i szerokie przestrzenie rozdzieliły, spotykają się na rozstajnych kolejach; — ledwie się poznali, ledwie uścisk pierwszy, ledwie pierwsze wysunęło się słowo, już dzwonek rozkazał — i już każdy porwany w inną stronę. Więc każdy z osobna, ukrywszy się w kącie wagonu, duma, a wyobraźnia zmiotła kurzawę z zapylonych obrazów młodości, — i znów ożyły dawne wspomnienia, i ruszają się i mówią postaci dawne, w zapomnieniu uśpione! I żal mu rozstania!

Inny zaś gniewa się na ten dzwonek, bo nie dojadł kotleta!

Dziś zginęła dawna poezya podróży, zniknęły te tęsknoty słodyczy i oczekiwania pełne, co żyły w wędrowców sercu; bo dziś, jakby w cudacznéj bajeczce, niegdyś od niańki słyszanéj, zaledwie pomyślisz, a już para czarodziejska uchwyci, unosi cię wichrem i składa u celu zachcianek twoich.

Przecież nie żałujmy onych czasów starych! Bo wyższą mają wagę ład i ustawy powszechne i prawa i sprawiedliwość, będące węgłem i trzonem społeczności, niż one działanie od chwilowego natchnienia, od jednostkowéj woli zawisłe. Nie żałujmy onych czasów starych, bo choć zginęła dawna poezya podróży, choć zniknęły dawne wędrowców tęsknoty, przecież zbiera się ludzkim dziejom na nową, dawniéj nigdy niesłychaną, poezyą; świat się ma zaiste ku epopei olbrzymiéj, któréj nie przeczuwał ów cały szereg

pokoleń pradziadowych. Wszak oddalenie, więc przestrzeń, owa stara macierz materyi, co cięży klątwą pierworodną na wszystkiém, co z ziemi zrodzone, dziś pokonana duchem; duch położył stopy swoje na materyi, bo przemógł pierwszy jéj warunek, bo jéj przestrzenie i jéj rozmiary. Teraz, co w sercu się zajmie zacném uczuciem, co w myśli błyśnie natchnieniem, tego już żaden naród nie chowa ślimakiem w sobie, nie ukrywa w ciasnocie samolubstwa, lecz jakby tchem duszy swojéj wyśle światem dalekim, napełni powietrze, którém oddychają inne ludy, przepromieni ich serca i spotęguje ich moc. A tak, wiecznie działając i oddziaływając, wzmoże się jasnością ów pierwiastek, będący posagiem, danym ludzkiemu rodowi i zaświeci płomieniem nad historyą narodów, na znak, że duch sprawiedliwości i miłości stanął pomiędzy niemi na ziemi, i przejął na prawdę ich życie i serca ich.

Wszak i ludy pierwotnéj historyi dokonywały dzieł olbrzymich; wszak nad Gangesem świętym i nad Nilem starym stanęły budowania na podziw późnym lat tysiącom; przecież to mocowanie a silenie się tych robotników czasów praszczurowych nie poszło na zdrowie ludzkiemu rodowi. Duszę tych ludów, jeszcze nocną śpiączką złożoną, nawiedził przez sen duch; więc to nie ich myśl była czynną, ale ich fantazya, owiana tchem gościa z nadświetnéj dziedziny, rozpłomieniona ogniem, wzmogła się w olbrzyma, rozbujała bez granic. Tak tedy ludy owe, jakby miotane marzeniem, pasowały się i siliły, by stworzyć dzieła olbrzymie a fantastyczne, do sennych obrazów podobne, podobne z ogromu do dzieł natury, która trzymała jeszcze ducha tych ludów w jęctwie swojém. Więc we wnętrznościach gór kują świątynie labiryntne, stawiają ciosy granitowe na ciosach, piętrzą zuchwale bałwany marmurowe i dźwigają budowania bezmierne. Przecież i Egipt i stare Indye przemogły jedynie hart nieżyty materyi, zwalczyły brzemię ciężkości jéj; jeszcze atoli nie odniosły tryumfów nad potęgą, co jest wszelkiéj materyi warunkiem a podwaliną, bo nie pokonały przestrzeni, jéj odległości i wymiarów, — a tak duch człowieka, nie będąc usamowolniony jeszcze w zupełności od więzów zmysłowych, jeszcze nie rozwiązał zagadek własnéj istoty swojéj. Brzask niepewny, poranny jedynie na poły oświecił mu tajemnice własnéj bytności; więc to przeczucie, na poły zrozumiane proroctwa były mądrością jego, a symbolika dwójznaczna jego wiarą.

Dopiéro duch chrześcijańskich ludów, pod tchnieniem wiekuistości zrodzonych, starł moc materyi i wstał z martwych i odetchnął w zaraniu. Wiara Chrystusowa wybawiła człowieka z pod przemocy bezmyślnéj przyrody i dodała mu swobody.

Lecz, choć inny się czas w dziejach święci, choć inna poezya, niby orlę młode, na świat się kluje, przecież nie zatracajmy poezyi przeszłości. Bo ten jedynie mądry, rządny a zacny, który, przy własnym bogatym dorobku, umie czcić dziadów swoich puściznę.



A od lat wielu już wyrzeczona jest prawda, iż co dawno umarło w doczesności, co już oddawna w życiu pogrzebane, to zmartwychwstaje odziane pięknością i nadziemskim sztuki urokiem; o czém rzeczywisty, obecny świat zapomniał, to przytula do siebie miłością poezya, to stroi i mili wdziękiem niebiańskim. Te stare zamki, te odwieczne świątnice i grody i pomniki, one to zaiste są ową „arką przymierza między dawnemi i nowemi laty“, one są otulone „wieścią gminną“ jakby szatą z bluszczu i mchu wonnego. Te budowania, te pomniki pradziadowe, dźwigane w różnych stuleciach, w różnych kolejach narodu, one są dla każdego ludu jakby słupce milowe, wskazujące ile wieków już przeszedł drogą przez świat; one mu prawią ile przecierpiał boleści, ile sobie liczy zasług i wieków służby w ludzkości sprawie.

Patrząc na te zamki styryjskie nawróciłem myślą w nasze domowe strony; tam mniéj tych grodów, a zastęp ich z każdym lat dziesiątkiem rzadszy a rzadszy; znikają po jednemu. To burze i słoty trapią siwe mury, to je mrozy lub rośliny rozsadzą, albo pożar pochłonie, lub piorun w nie uderzy. Ale mniéj żałości gdy żywioły, gdy gromy biją na dziedzictwo, co nam je przeszłe, dawno umarłe pokolenia przekazały; gorzéj gdy je zbezcześci ręka gburowata ciemno-głowych ludzi. Jaki-taki zakupi ziemi kawał, i znajdzie w przyczynku gdzieś na skale zamczysko, co przeszłości kamiennym wróżbitą prawi o nigdy niepowrotnych czasach. Więc się tamtemu biedakowi uwidzi, że wraz z prawem do gruntu i lasu kupił sobie i prawo znieważania przeszłości pamiątek; więc je albo zupełnie zniweczy, albo póty trefni te gruzy niepoczesnym wymysłem, póty się sadzi na bezmózgłe koncepta, póki poważnego świadka umarłych wieków nie wystrychnie na wierny wizerunek umysłowéj biedy samego dziedzica. Ja sądzę, że co ma duchowe znaczenie, to wyjęte z pod ceny pieniężnéj, tego więc nikt z pojedyńczych ludzi nie może być właścicielem; zabytki starych lat są własnością całéj ziemi, na któréj stanęły, są własnością dziejów; do nich nikt z prywatnych nie ma prawa, a kto je znieważa z przyczyny, że przyszedł w posiadanie materyalne téj spuścizny staréj historyi, jest przeniewiercą téj ziemi całéj, jest przeszłości felonem, jest onym niewiernym sługą, co okradł nieobecnego pana swojego!

---

Tak mi się roiło, a roiło po myśli, nie mogąc oderwać oczu od tych gór i zamków, co już teraz, oblane światłem purpurowém wieczora, świeciły nad doliną jakby pochodnie płomienne; już barwy po jednéj gasły, a cienie, choć jeszcze przezroczyste, jasne i błękitne, rozpływały po wioskach, lasach, strugach i łąkach; tak, mówię, mi się roiło, gdy nagle coś, jakby biały motyl olbrzymi, mignęło przez wagon, lecąc wprost ku oknu, którém właśnie do mnie przemawiał ten świat tak uroczy; były to kartki, uniesione wietrzykiem

z książki, którą w ręku trzymała dama, siedząca u przeciwnego okna; kartki już chciały czmychnąć z wagonu, gdy mi się udało w sam raz je uchwycić i oddać pięknéj właścicielce; jéj uprzejme podziękowanie podało téż bliższą sposobność do rozmowy. Obok niéj siedział wielce poważny, okrągły pan, jak się łatwo było dorozumieć, jéj godny małżonek. Dama ta, kształtów wcale nie wymokłych, zdawała się już w pierwszych po-południowych godzinach dość skwarnego żywota; po samym panu zaś znać było, że z kretesem odprawił nieszpory swojéj ziemskiéj pielgrzymki. A gdy oboje ci państwo jaśnieli wystrojeniem, wyświeżeniem nielada eleganckiém, gdy mianowicie dama była istném uosobieniem ostatniego żurnału mód, więc łatwo przypuścić, że nie z daleka i nie daleko jadą. Jakoż ten pan musiał mieć znakomity mir w okolicy, bo z niepospolitym respektem i afektem witali się z nim inni ichmoście, co także na chwilę stali się uczestnikami naszego wagonu; a z rozmówek, które on z nimi prowadził, można było zgadnąć, że jest właścicielem zamożnym młota i dóbr w tych tu stronach, i że teraz właśnie się wybrał z piękniejszą połowicą istoty swojéj w blizkie sąsiedztwo na odwiedziny; i dla tego oboje tak wykrygowani strojnie i zdobnie. Byłbym się zapewne mógł zapuścić w odmęt domysłów daremnych, badając czyli krawata tego pana, tak wielce pękata, jest również czynnikiem tak niezbędnym do elegancyi, jak te jego buty lakierowane. Ale w sam czas przypomniałem sobie, iż często-gęsto w krajach górzystych, więc tak w Styryi, jak i w naszych Karpatach, osoby, choć najmodniejsze, obdarzane niekiedy bywają od natury wolem; więc u nich chustka podsadzista bywa w modzie.

Rzekłem, że wręczenie damie kartki zbiegłéj z romansu było pierwszym początkiem rozmowy, a rychłe poczęstowanie jegomości tabaczką dopełniło reszty. Tak tedy, po zwykłych wstępnych czczych ogólnikach, wprost i dość ze staroświecka zapytałem się tych państwa, czyli téż wiele jest legend i podań przywiązanych do tych zamków, których tak pełno w całéj Styryi. „Jest ich na biedę co niemiara“, westchnął ten pan, „więc na te legendy poluje téż chmara romansistów, poetów i innych chudeuszów; więc te pismaki włóczą się po górach i dolinach i zbierają między chłopami plotki, śpiewki, — a co im lada stara niewiasta nagada, to sobie mają za klejnot najwyższéj wartości.“

„Ale, mój mężu najdroższy, toć jest właśnie powołanie poety, aby podania żyjące wśród gminnéj i prozaicznéj rzeczywistości wznieść w dziedziny nadziemskich ideałów“, rzekła z cicha i sentymentalnie dama o owych arcy-rzeczywistych i arcy-ziemskich, a nieidealnych formach.

„Co mi ta ich poezya, mój aniele“, odpowiedział pan w krawacie, „na bajkach świat nie stoi! Ci ichmoście poeci durzą swojemi legendami ludzi, zawracając młode głowy i bez tego już nie nazbyt utwierdzone, i im który z nich niedorzeczniejsze plotki wymyśli, tém



za sławniejszego człowieka uchodzi; a ręczę, że gdybym którego z nich do rachunków moich zasadził, okazałoby się, że to człeczek do niczego, że nie pojmie najprościejszéj rzeczy.“

„Wybacz, drogi mężu, ale téż poetów żywiołem nie jest ten świat codzienny, praktyczny, realny.“

„Tak jest“, zauważył zacięty w swojéj prozaiczności małżonek, „ci ichmoście, niby wzniesieni nad praktyczny, realny świat, a przecież mają pretensyą pobierania z niego dochodów realnych i bardzo rzeczywistych! Niechby już sobie gryzmolili, byleby te ich piśmidła miały jakiś cel, jakieś praktyczne zastosowanie; ale ze wszystkich legend, pieśni, poematów, których się mimowolnie a do znudzenia w życiu nasłuchać musiałem, żadna z tych ramot nie ma sensu prócz jednej! — a tą jest owa powieść, któréj ty, aniele mój, właśnie nie lubisz — ona powieść o beczce.“

„A która się tak nie estetycznie kończy! — Biedna Kunegunda!“ przerwała wzdychając dama i wietrząc się wachlarzem.

„Czy estetyczne lub nie, mój aniołku, to obojętna — lecz to pewna, że pan Reimprecht gracko sobie poradził!“

„Przebrzydły okrutnik! jakże go nie cierpię“, zawołała z oburzeniem małżonka!

„Co do mnie, mój aniele, jestem zdania, iż sobie postąpił jak najsłuszniéj!“

„Nieszczęsna Kunegunda!“ znów westchnęła dama, zapinając sobie jasną glansowaną rękawiczkę na pulchnéj rączce.

Z ciekawością niepospolitą patrzałem to na jedną, to drugą połowę tego dziwacznego stadła, nie mogąc wyrozumieć o co tu istotnie chodzi. Nakoniec małżonek zwrócił się do mnie i rzecze: „Pan nie znasz historyi o beczkach?“

— Żałuję nieskończenie, że nie mam téj przyjemności — odpowiedziałem.

„Więc ją panu opowiem, a pan sam osądzisz.“

„Przed niewielu już wiekami żył w tych tu naszych stronach na zamku Frauenburg rycerz Reimprecht, a miał żonę Kunegundę von Dürrenstein...“

„Lecz dodaj także drogi mężu“, przerwała dama, „lecz dodaj, że ona go nie kochała nigdy, że była prawie zniewoloną gwałtem oddać rękę temu złośnikowi!“

„To obojętna, mój aniołku“, odparł pan z dużą krawatą. „Otóż pewnego razu niewiedzieć zkąd zjawia się na zamku frauenburskim jakiś stary włóczęga z lirą; niby to zarywał na trubadura, niby to coś nakształt minnesingera; więc śpiewał i grał i wywodził trele o kochaniach, tęsknotach, rozpaczach i niedorzecznościach, które podobały się niewymownie pani Kunegundzie, a które były tak nudne, iż za każdym razem najniezawodniéj usypiały pana Reimprechta...“

„I nie dziw“, znowu przerwała małżonka, „bo ten Reimprecht

był człowiekiem grubym, bez uczuć, nie umiejącym ocenić, co tkliwe i rzewne.“

„To obojętna,“ ciągnął daléj jegomość, „dość na tém, iż choć nasz rycerz nie lubił tych brzęków i jęków poetyckich, nie wygonił przecie próżniaka i nawet żywił go dość długo na zamku swoim; bo, jak już wspomniałem, te śpiewki usypiały go najsmaczniéj, a jak usnął, to już na dobre, bo do białego dnia. Czego mu téż wcale nie mam za złe....“

„Daruj, najdroższy mężu, że ci znów przerywam, ale nie zapominaj dodać, że, wedle kroniki, twój rycerz głównie dla tego tak smacznie zasypiał, bo zwykle nie skąpił sobie do poduszki gęstych wiwatów,“ dorzuciła z przyciskiem dama, chłodząc się żywo wachlarzem.

„To obojętna, mój aniele — bądź co bądź, to rzecz główna, że pewnego razu, niewiedzieć już jakim nadzwyczajnym wyjątkiem, pan Reimprecht obudził się przypadkiem długo wprzód zanim świtać miało; — budzi się tedy i przeciera oczy i patrzy, a tu na podłodze siwa broda i łysina, i tym razem one rozstały się na podziw jakoś zbyt daleko od siebie. Więc znowu przeciera oczy i patrzy — a tu nowy cud; bo ów stary włóczęga, co go tyle czasy chował i karmił w domu swoim, przedzierzgnął się w młodego szlachcica, pana von Saurau; a co jeszcze najdziwniejszym cudem, że ten pan von Saurau, choć w téj chwili nie miał siwéj brody, choć nie był łysym, choć nie śpiewał wierszy, lecz mówił prozą, jednak dość ciekawie był od pani Kunegundy słuchanym.“

„Chciéj dodać, serce moje,“ odezwała się dama, „że pan Sarau kochał już Kunegundę za nim poszła za szkaradnego Reimprechta, że ją kochał nie bez wzajemności, że już był prawie z nią po zaręczynach — a zresztą, cóż w tém złego, że chciał raz jeszcze widzieć przedmiot dawnéj miłości swojéj!“

„To być wszystko może,“ odrzekła mniéj piękna połowa téj pary, „lecz koniec końców był taki, że pan zamku daremnie wytrzeszczał oczy, nie mogąc wyrozumieć tych wszystkich dziwów. Chodził długo po komnacie i dumał, i sam się pytał, coby mu wypadało uczynić z tym fantem. Nakoniec przypadkowo stanął u okna, — spojrzał — obaczył przy świetle księżyca dwie beczki niegdyś pełne, teraz wypróżnione, które przypadkiem stały na dziedzińcu. I myśl wielce trafna rozświeciła mu rozum. Więc kazał wcisnąć w jedną beczkę piękną Kunegundę, a w drugą pana von Saurau — i stoczyć obie beczki ze zamku po skałach w rzekę Murę, która, jak państwo widzicie, właśnie płynie wzdłuż żelaznéj kolei.“

„Biedna Kunegunda!“ westchnęła dama.

„Teraz powiedz nam pan,“ rzekł jegomość w pękatéj krawacie, „powiedz pan szczerze, czyliż nie dobrze się znalazł frauenburski dziedzic, i czyli nie słuszny spotkał koniec panią Kunegundę i jéj gaszka?“



„Powiedz pan i osądź sprawiedliwie, czyli się godziło być tak srogim okrutnikiem, jak on ohydny Reimprecht?“ zapytała pani.

Byłem troszkę w kłopocie, jak mi się z tego kompromisu wywiązać, gdy, jak na szczęście, pociąg zwolnił pędu, i wolniał coraz więcéj, — więc stacya blizka. „Przybyliśmy“ zawołały obie połowice. Więc na prędce zbierają mantylki, parasolki i torbeczki, laski, skrzyneczki i inne manatki, — i po lekkiém pożegnaniu wytaczają się z wagonu. Niedaleko przy dworcu już ich czekał powóz; znać, że się w oném sąsiedztwie spodziewano tych odwiedzin. Lokaj galonowany z pewném natężeniem podsadził panią do powozu, potém udało się dźwignąć i pana, — drzwiczki trzasły — ruszyli — pojechali, — zniknęli z oczu. Lekki obłoczek kurzu, poruszonego na gościńcu, był już jedynym śladem tych państwa. Niewiadomo mi atoli czyli w powozie jeszcze nastąpił dalszy ciąg dyskussyi w sprawie pani Kunegundy.

„Wierzaj mi pan, że nasza Styrya bogata w legendy i podania, z których wiele mogłoby być skarbem dla poetów prawdziwych.“ W te słowa odezwał się do mnie głos, należący do jakiegoś pana, który już od Semerynga z nami podzielał nasz wagon. Był to człowiek już letni, a na suchéj twarzy starca malowało się wiele rozumu i łagodności, choć niekiedy lekki ruch ironii przelatywał po tych ustach drobnych i misternych. Ten pan przysłuchiwał się w milczeniu gawędce mojéj z owém osobliwem stadłem; a choć się nie mieszał wcale w rozmowę, znać było, że ta cała scena znakomicie go bawiła.

„Zdawało mi się“ rzekł daléj, „że pana zajmują także tradycye i klechdy i powieści, żyjące między gminem; więc się panu przyznaję“ mówił z uśmieszkiem „że, — jak się ten pan raczył wyrazić — i ja należę do téj „chmary próżniaków, co włóczą się po górach i dolinach, polując na plotki i zbierając bajki między chłopami i staremi niewiastami.“ Lecz ja, jako człowiek podeszły, skwitowałem się z życiem, więc téż już i odpocząć mogę; a gdy kocham ten kraj mój rodzinny, przetoż lubię podsłuchiwać jego uczucia, marzenia i sny, które mu kwitną w tych legendach i powieściach. Bo ja myślę, że lud każdy te jedynie ze swoich podań zachowuje w pamięci i w sercu, które są najwierniejszém odbiciem jego wyobrażeń i pulsem jego duszy. Co więcéj, lud każdy nie przestaje nigdy na podaniach, które wziął dziedzictwem po dziadach, ale chętnie je rozwija po swojemu, wedle własnego uczucia swojego. Tak ta gminna poezya, nieznękana nigdy, pracuje bezświadomie w duszy ludu, bo w nim, póki życie tętni, działa fantazya, choć on sam nie zna potęgi, co w nim prze i robi.“

„Więc zapewne pan sam jesteś poetą i ubierasz treść podań ludowych w postaci artystyczne?“ zapytałem.

„Wyznaję, że niegdyś miałem te słabostki, doświadczałem się, — lecz w końcu zawiesiłem lutnię moją na kołku, bo nabrałem przeko-

nania, iż nie poradzę trudnościom, a znów mam tyle czci dla téj fantazyi gminnéj, że nie śmiem jéj spaczyć, zbezcześcić miernym moim talentem. Bo choć prawda, że póki lud jaki żywy, póki mu ciepło w duszy, zawsze go stać będzie na nowe a coraz nowe powieści i pieśni, które mu wyrosną ze serca, jak rosną krzewy i kwiaty po tych styryjskich naszych górach; lecz gdy jaka powieść lub śpiewka stara żyje od wieków między gminem, gdy się stała jakoby oddechem uczuć jego, wtedy wedle mojego zdania, tylko świetnym talentom wolno szczepić na tych dzikich drzewach gałązkę poezyi artystycznéj."

„Zgoda na te uwagi, rzekłem, widzę z tego, co pan mówiłeś, że obadwaj odróżniamy ściśle trzy stopnie, bo najprzód goły fakt, więc zdarzenie historyczne lub wypadek, albo pojaw natury; potém ten sam fakt, ale przeistoczony już przez fantazyą powszechną gminną; a nakoniec pracę mistrza lub poety, który z téj osnowy stworzył dzieło artystyczne sztuki. Jeżeli zaś obadwaj zgadzamy się na takowe coraz wyższe stopnie, więc sądzę, że pan przyznasz ze mną, iż poeta każdy, biorąc z ręki ludu powieść lub pieśń, już ma łatwiejszą z nią sprawę, bo znajduje osnowę już upoetyzowaną, a tak jego przyszła praca poetycka już jest przez sam gmin na poły dokonaną. Gdy gmin jakąś katastrofę lub jakieś zjawisko natury lub factum historyczne podjął powieścią, legendą, pieśnią, — już, jakby z bałwana marmurowego, dłutem swojéj poezyi rodzinnéj wyrobił z grubego przyszły posąg. Tak tedy poeta ma się do podania gminu w tym samym stosunku, jak gmin do gołego faktu natury lub historyi, słowem do owéj pierwszéj ręki, podającéj osnowę dla dzieła sztuki."

„Otóż w tém właśnie widzę ogromną trudność dla poety," odpowiedział mi ten pan, „bo jeżeli podania gminne już na poły odbyły pracę, jak pan mówisz, toć się téż tém więcéj wymaga po pracy artystycznéj istnego poety. Bo mamy prawo żądać, aby nie tylko nie uronił żadnéj z tych piękności rodzinnych, pierwotnych, ale nadto, aby tę osnowę, już tak przygotowaną, podniósł do wysokości prawdziwéj poezyi. Bo niechaj sobie co chcą prawią, ta twórczość fantazyi gminnéj, choć tak zdrowa i świeża i potężna, nie jest jeszcze poezyą prawdziwą."

„O téj różnicy poezyi gminu i artystycznéj," wtrąciłem, „tyle już za naszych czasów wypłynęło zdań, że radbym wiedzieć, jakie pańskie zapatrywanie się w téj mierze?"

„Prawda, istotna wieża babilońska w téj sprawie w świecie estetyków i filologów i *di tutti quanti;* co do mnie, nie ośmielam się odzywać ze sądem stanowczym; rozumiałbym atoli, że owa różnica wynika już ze saméj istoty rzeczy. Bo jeżeli prawda, że poezya gminu jest twórczością bezświadomą, że jest potęgą natury, pracującą w duszy gminu bez jasnéj nawet wiedzy jego, więc właśnie ta bezświadomość jest charakterystyczném piętnem téj twórczéj fantazyi gminnéj, — to piętno różni ją głównie od twórczości poety-



artysty. Bo ten brak jasnéj wiedzy siebie w stworzeniu czyni poezyą ludową podobną do piękności kształtów, które natura sama z siebie rodzi, a które, o ile są piękne, winny to szczęśliwemu przypadkowi, np. szczęśliwemu położeniu w słońcu, bujnemu gruntowi i t. d. Rzekłbym, że twórczość poetyczna panuje nad duchem ludu, jak twórczość przyrody panuje nad kwiatem. Prawda, że ona włada również i nad poetą we właściwém znaczeniu, lecz przecież i poeta nawzajem nad tą własną twórczością swoją panuje i jest nawzajem jéj władcą. Z téj różnicy zasadniczéj rodzą się, wedle mnie, wszystkie inne. Z téj różnicy najprzód wypływa, że w powieściach, pieśniach ludu, obok ustępów najwyższéj poetyczności, znajdziemy inne wielce niepoetyczne, a to dla tego, że pomysł duchowy nie uwolnił się jeszcze od swojéj przypadkowości, od prochów, któremi go obsypał świat rzeczywisty, słowem, że pomysł poematu nie stał się jeszcze przeczystym ideałem. Nie dziw tedy, że téż ten pomysł nie ma dość potęgi, by sobą przejąć wskróś formę poematu. I dla tego téż każdy, choćby najcieplejszy wielbiciel tych pieśni, zgadza się chętnie, że nie mają właściwéj formy, a bez formy takowéj nie ma prawdziwéj poezyi. Tak jak tańce narodowe, jak je lud tańcuje, nie są jeszcze sztuką piękną; trzeba artysty, aby je podniósł do znaczenia sztuki pięknej, choć to dość rzadko się udaje; bo najczęściéj w skokach i wykręceniach ichmościów baletników ani się dopatrzysz ducha narodowego, który żył pierwotnie w tych tańcach."

„Ja się godzę," odpowiedziałem, „że pieśni ludu nie mają formy ukończonéj, ale to wtedy tylko, jeżeli się zrodziły z fantazyi zwyczajnéj, powszechnej, nie będącéj wyższém natchnieniem, to jest z fantazyi, którą niby wszyscy ludzie mają sobie udzieloną, choć w wielce różnym stopniu (*). Więc z takowém zastrzeżeniem godzę się, jak mówię, na to zdanie, choć nawet myślę, że i ta fantazya zwyczajna może jest w ludzie wiejskim nierównie silniejszą, świeższą, niż w innych warstwach społeczności, których czynność duchowa jest więcéj abstrakcyjną, rozumową, w których raczéj myśli niżeli obrazy rodzą się z duszy. U ludu wiejskiego zaś zmysły i uczucia są świeższe; on całą pierwotną czerstwością patrzy na naturę i świat fizyczny, a myśli swoje rad uosabia, uzmysłowia, nadając im postaci. Otóż, mimo tego wszystkiego, jestem z panem zdania, że i czerstwość ta fantazyi gminnéj nie wystarczy, aby ją uczynić prawdziwie poetyczną. Przecież, czyli pan nie zechcesz przypuścić, że gdy się zdarzy między ludem talent iście poetycki, że gdy się w nim pojawi w całém znaczeniu geniusz, ażali taki już samym natchniony instynktem, samém, że tak rzekę, od natury daném jasnowidzeniem nie zgadnie najwyższéj piękności i nie wywróży sobie formy właściwéj? Sięgnę po ogromne przykłady! Przypominam Homera, który wła-

(*) Ob. Listy z Krakowa T. I, str. 179 i nast. — daléj List. XII i XIII.

śnie urósł na osnowie podań, przywodzę Shakespeara, który pewnie nie studyował estetyków."

„Nie ma co mówić, przykład Homera, Shakespeara — to artylerya oblężnicza najcięższego kalibru. Ale Homer jest Grekiem, a lud taki, jakim byli Hellenowie, nie wróci się drugi raz na świat; ich duszą, ich wiarą, ich tchem było poczucie piękności. A co do Shakespeara — on wcale nie jest poetą gminu, a jego studya zaiste były głębsze, niżby się nam może z wierzchu wydawało; a w końcu czyli nie ma w tym wielkim człowieku wadek, któreby w części pewnie zniknęły, gdyby był żył w naszym czasie i zaczerpnął całéj naszéj wiadomości o sztuce."

„Lecz — widzę, że strach około naszéj dyskussyi; możemy, jak się to tak często zdarza, pogmatwać w porozumieniu się wzajemném, jeżeli — póki czas — nieograniczymy ściśle pytania, o które nam chodzi. Otóż zapewne i pan nie wątpisz, że co innego wcale jest, gdy poeta-artysta odbiera pierwsze potrącenie swoje od poezyi, która żyje w gminie, od fantazyi swojego ludu, gdy ona dla niego jest ziemią pożywną, z któréj bierze potęgę i siłę, które on rozwija właściwym mu kwiatem, a co innego znowu wcale jeżeli on pieśni, legendy gminne już gotowe przerabia, czyniąc z nich dzieło sztuki. Otóż, co się tyczy tamtego pierwszego zachowania się wieszcza do poezyi ludowéj, rozumiem, że takowy stosunek jest wspólny wszystkim prawdziwym poetom. Każdy wieszcz powinien brać potrącenie od poezyi swojego ludu, od uczuć, które w nim pracują, od fantazyi co w nim robi; z tego to źródła wieszcz prawdziwy powinien czerpać siły pożywne; ta fantazya jego ludu niechaj mu będzie powietrzem, w którém oddychają kwiaty jego artystycznéj potęgi, promieniem słonecznym, co barwi je farbą i zaprawia wonią. Tak czyni i czynił każdy wielki poeta każdego narodu. Kto tego nie pojmuje, jest tylko wrzekomym poetą. Poemat jego będzie kwiatem w doniczce chowanym, albo nawet tylko kwiatkiem robionym, woskowym; poeta takowy jest owym pysznym upadłym aniołem, co się zbuntował prawdzie ogólnéj. Czy możemy zaprzeczyć ogromnego talentu klassykom francuzkim; a dla czego ich tragedye takie zimne i martwe, dla czego one tak abstrakcyjne i głuche? Oto ja myślę dla tego, że, krom innych przyczyn, ciążył na nich głównie ten grzech śmiertelny, że nie stanęli w żadnym stosunku do poezyi, do fantazyi gminnéj swojego ludu! Jeżeli atoli takowe jest piętno każdéj istnéj poezyi, toć rzecz jasna, że bywa znowu szczególny rodzaj poezyi artystycznéj, w któréj zachodzi jeszcze bliższy i ściślejszy stosunek między poetą, jako mistrzem sztuki, a fantazyą gminną. Dzieje się to wtedy, gdy mistrz już nie samo potrącenie bierze od fantazyi ludu, ale ima się gminnéj poezyi już gotowéj; przyswaja sobie pieśni, gawędy, legendy ludowe i t. d. a przerabia tę osnowę jedynie o tyle, aby ją uczynił poezyą artystyczną. Jeżeli w ogólności dla każdéj poezyi artystycznéj fantazya gminna jest, jak rzekłem, tylko



ziemią pożywną, rosą, płomieniem słonecznym, atmosferą, słowem żywiołem, w którym rozwijają się, jako kwiaty, poezye artystyczne — toć przeciwnie dla owego szczególnego rodzaju artystycznéj poezyi poezya ludowa sama jest już prawie kwiatem, choć dziko urosłym, na którym mistrz szczepi dzieło sztuki swojéj, i pielęgnuje go i hoduje, aż mu nie wyrosną wieńce chwały jego. I o téjto szczególowéj poezyi toczy się głównie spór nasz, bo trudno oznaczyć kędy się kończy ów główny stosunek, owo ogólne piętno każdéj poezyi, a kędy się rozpoczyna ów szczegółowy rodzaj poezyi, któregoto powołaniem jest podnieść dzieła fantazyi gminnéj do dziedziny sztuki prawdziwéj. Granice są rozpłynne, misterne. Mniejsza jednak o to, bo nam o zasadę chodzi. Po tém wszystkiém zgodzimy się podobno obadwa, że w tym naszym sporze nie nazywamy poezyą gminną takiéj pieśni, która, żyjąc wprawdzie w ustach ludu, jest jednak dziełem jakiego poety-artysty, a przyjęła się w duszy gminu przypadłszy mu do serca."

„Przecież — nawróćmy do naszego pytania," kontynuował staruszek, — „czy poezya gminu rodzima sama przez się może być istném dziełem sztuki? Czyli sam geniusz, jeżeli się zdarzy wśród ludu, może samą potęgą swojego natchnienia utworzyć doskonałe dzieło sztuki? Zdaje mi się, że pytanie takowe już się rozwiązało powyżej; bo zgodziliśmy się na różnicę zasadniczą między poezyą ludową a artystyczną, a ta różnica jest tak głęboka, tak żywotna, że i geniusz rodzimy, choćby najwyższy, nie zdoła jéj przełamać. Czyli pan rozumiesz, że Michał Anioł, że Leonard byliby się dźwignęli w owych proroków sztuki, bez wszystkich owych przygotowań umysłowych, co tak są silną pomocą każdemu mistrzowi? Ja, chodząc po tych górach naszych, gdy usłyszę pastucha grającego na piszczałce, przechodzę z wielkiém uszanowaniem; bo myślę, kto wie, może w tym pastuchu zamaskowany jaki Weber lub Bellini; ale cóż z tego, kiedy ten Weber i Bellini zestarzeje się i umrze niezdemaskowawszy się nigdy. Jeżeli tedy w malarstwie, rzeźbie, w muzyce, w tańcu lub w innej jakiéj sztuce sam geniusz nie wystarczy, aby być mistrzem, dla czegóżby miała sama poezya być wyjątkiem od tego ogólnego prawidła! Wyznaję atoli chętnie, że geniusz jest tak wielkomocny, iż przebije wszystkie trudności, i że on szybkością błyskawicy uzupełni brakujące mu środki; co więcéj, nie taję się panu wcale, iż mnie litość a zarazem śmiech bierze, gdy jakiś wrzekomy mistrz lub niewydarzony poeta tém jedynie nam chce dowieść doskonałości swojego płodu, iż nas zapewni, jaką to ogromną pracą, jakim to trudem srogim, jaką nieprzeliczoną liczbą nocy bezsennych dokonał dzieła swojego. Jeżeli dzieło jego nie ma własnych zalet, toć te wszystkie jego wywody nas nie przekonają, a jedynie wypadnie mu sumiennie poradzić, aby w inną stronę zwrócił usiłowanie swoje; bo ta jego pracowitość wytrwała, pilność nieustraszona, trafniéj użyta, może ogromnych rzeczy dokazać, może mu zjednać poszanowanie

powszechne i wdzięczność kraju swojego, jeżeli wybierze przedmiot właściwy dla siebie. I wtedy z jego pracy więcéj będzie chleba, niż z całéj chmary owych niedowarzonych geniuszów. — Ja mam prawdziwy wstręt do geniuszów!“

Spojrzałem z podziwieniem na mojego towarzysza, lecz widząc go we ferworze, nie przerywałem mu filipiki żarliwéj przeciw geniuszom.

„Ja, mój panie, długo na świecie patrzałem na kilka wzrastających pokoleń, i widziałem jak to z tych tak zwanych geniuszów porobili się ludzie ladaco i nicponie na ciężki kamień. Ja w życiu mojém wzierałem i pod strzechy skromne wieśniaków, i w zamki i pałace, i w domy miast i miasteczek. Gęściéj niżby się zdawało napotykałem po rodzinach chłopięta, co geniusze *in spe*, wielcy ludzie w ziarnku. Taki chłopiec nadzwyczajnych zdolności zwykle był cackiem rodziców i krewnych; z ust do ust latały jego koncepta i dowcipy, nawet drugim ubliżające; chłopiec rósł w lata a zarazem w uprzedzenie o sobie, stając się admiracyą mamy, ciotek, wujenek i stryjenek — a nuż się jaka babcia znajdzie, toć się on do gruntu wykrzywi. Alboż to pan nie zgodzi się na to, że z tych premiantów, co to świecili niby przyszłe luminarze po niższych szkolnych klassach, bardzo rzadko który wyszedł na człowieka, a to dla tego, że ich rozpieszczono, zwichnięto miłością własną za młodu.“

„Myślę,“ odrzekłem, „że uczucia miłości rodziny, a mianowicie pieszczoty rodziców i dziadów są tak naturalne, tak wrodzone sercu, że nie mogą pójść na złe dzieciom i wnukom. Cieszenie się wnukiem jest najczęściéj ostatnią radością, któréj doznają dziady w życiu swojém; ono ściera im z duszy pamięć niejednéj zgryzoty i niejednéj boleści, która ich paliła raną w sercu. Jakże ich potępić, że się rozkwilą, gdy wnuka do serca przycisną i troszkę z nim popieszczą!“

„Ba, niechby się i pieścili, ale niechaj nie psują!“ odrzekł tym razem nadzwyczajnie żywo ten pan cichy.

„Linia graniczna tutaj tak misterna, że trudno jéj nie przekroczyć,“ wtrąciłem z niechcenia.

„Owszem, sądziłbym że bardzo łatwo; póki chłopczyna grzeczny, potulny, pokorny, pracowity, a przedewszystkiém póki na skinienie posłuszny, to znać, że go jedynie pieszczą; jeżeli zaś zacznie być krnąbrnym i leniuszkiem, to znać, że nietylko go pieszczą ale też i psują. I cóż się dzieje? Oto z tego chłopca geniuszka, co to miał być pociechą rodziców, chwałą rodziny, wyrasta zarozumialec nieznośny i próżniak; bo go nadęło pychą przekonanie, że byleby chciec raczył, a już zostawi za sobą całą zgrajęwspółuczniów swoich; ba, niezadługo i nauczycieli mało sobie waży — a gdy mu się uczyć nie chce, więc pomiata tą ich nauką, a nawet wszystkiém czego się przed nim dorobili. On dopiéro będzie prorokiem mądrości! Więc w latach, gdy mu się raczéj trzymać ławek uniwersyteckich i pilnéj pracy, on już przedzierzgnął się w autora; zamiast samemu się uczyć, on rad uczyć kraj cały, a butnością szarlatańską imponuje nie jednemu z kolegów, któremu nie wart rzemyków rozwiązać. Lecz jakiż koniec tego wszystkiego? — taki iż, przemarnowawszy życie młode, zwichnie i późniejsze lata. W nim przebudzone są olbrzymie pretensye, zatém pali go żądza jakiego wielkiego znaczenia między ludźmi; a świat, nie dając nigdy nic na kredyt, pomiata nim i za nic go sobie waży; ztąd późniejsze życie skwaszone i nieszczęśliwe, niekontent ze swojego losu i z siebie samego. Co więcéj, gdy taki niewydarzeniec, niczego porządnie się nie nauczywszy, nie znajdzie często nawet uczciwego wyżywienia dla siebie, nie dziw tedy, iż zakipi niechęcią do ludzi i żółcią w piersiach, że się staje zabitym wrogiem wszystkich szczęśliwszych czyli lepszych od siebie. Więc albo ginie gdzieś pod płotem, albo, co gorsza, nie mogąc stać o pracy zacnéj, odda się na wszystkie podłości, tak że gotów rodzonego ojca i wszystko co święte przefrymarczyć, jak ów Żyd, co sprzedał Chrystusa Pana. Jeżeli zaś taki geniusz już z domu otoczony zamożnością, gdy jego życie nie potrzebuje pasowania się ze światem o chléb powszedni, więc też on nie ma się z kim zmierzyć, nie pozna tedy nigdy jak doprawdy mało wart; a więc będzie istnym Dalaj Lamą, co, oblegany tłuszczą pasibrzuchów, otulony obłokiem dymnych kadzideł, żyje z wiecznym zawrotem głowy.“



„Bardzo to szary i bury ten pański obraz geniuszów,“ rzekłem, „być może, że się niekiedy to dzieje z winy pierwszego prowadzenia; przecież i to prawda, że bez geniuszów świat nie byłby się nigdy dosłużył dzisiejszéj kultury, ani byłby się dobił w naukach i sztukach tak wysokiego stanowiska. Rozumiałbym równie, żeśmy oba w naszéj rozprawie nie dość wyraźnie odróżnili geniuszów, w prawdziwém i ścisłém znaczeniu, od tych, co tak wrzekomo się nazywają. Tamci sami jedni są twórcami postępu i nowych zwrotów w dziejach ludzkich, więc też oni zwykli przezwyciężać trudności zawadne; nie czas ich stwarza, ale oni najczęściéj czas swój tworzą; oni tworzą, bo muszą tworzyć; jest to duch wyższy, który ich posiadał, a któremu oni oprzéć się nie zdołają. — Inaczéj dzieje się z talentami. Talenta, chociażby najświetniejsze, mają jedynie powołanie aby rozwinąć to, co geniusze już stworzyli, aby puścić w świat ich świecące pomysły. Geniusz dobywa z głębin szybu ducha swojego ogromne bryły rudy złota, — a talenta przerabiają je na monetę drobną, szerzącą się między ludźmi.“

„Lecz,“ — przerwał mi mój towarzysz, „bo też takie geniusze, geniusze w ścisłém znaczeniu, jak pan ich nazywasz, nie rodzą się tak często i gęsto jak grzyby; geniuszów tak mało, że chyba na lekarstwo światu! a to właśnie, wyznać należy, z wielkiéj łaski Pana Boga i na wielkie szczęście ludzi! Bo jeżeli potrzeba całego zastępu licznych talentów, zatém wielu lat i wielu pokoleń, aby to, co jeden geniusz sprawi, wyrobić, roztoczyć, wyjaśnić; więc, jak mówię, to wielka łaska Boska, że się geniusze nie pojawiają tak gęsto, jak żabki po deszczu. Bo cóżby się tedy stało? Jeszczeby się świat

w jednym nie rozpatrzył, a tu już zalatuje drugi i trzeci i t. d. A pan przyznasz, że ten duchowy ludzkiego rodu żołądek niezmiernie pomału trawi; długiego więc czasu potrzeba, zanim jaką prawdę jakotako przerobi sobie na soki pożywne i krew.

„Być może," mówił daléj starowina ochłonąwszy z rankoru, „być może, że pan nie podzielasz mojego zdania co się tyczy geniuszów w ogólności. Nawracając atoli do rzeczy po tém długiém a niepotrzebném zboczeniu, myślę że się pan zgodzisz, że i wielki geniusz poetycki nie będzie jeszcze prawdziwym wieszczem, jeżeli nie ma wiedzy sztuki, czyli raczéj wiedzy własnéj swojéj czynności; bo wtedy on sam, jak rzekłem, będzie na poły jakby potęgą natury; zatém jak dzieła przyrody, tak i on nie będzie jeszcze wolnym od przypadkowości, wypływającéj koniecznie z każdéj nieświadomości siebie samego; bo do każdego dzieła sztuki, krom natchnienia rodzącego w nas ideał, potrzeba działania, w którém mistrz i dzieła siebie samego świadom jest. Zgodzisz się pan tedy również, że i najcudniejsze pojawy poezyi gminnéj wymagają artystycznéj ręki; bo,— że skorzystam z pańskiego górniczego porównania — te pieśni gminne, często tak prześliczne co do osnowy swojéj, są zaiste najwyższéj ceny dyamentami, szmaragdami, co, wydobyte z głębokiego szybu fantazyi ludu, wymagają jeszcze szlifowania, formy, która im dopiéro nada ogromną wartość. Przecież do tego właśnie potrzeba ręki lekkiéj, artystycznéj, a o taką wielce trudno. Co więcéj, trzeba jakiéjś pobożności i czci dla tych kwiatów fantazyi, które nie sadzone, nie siane rosną po grobach, po starych murach, i również rade się rozwijają tak po ogródkach jak i po cmentarzach sielskich, a o tę cześć i poszanowanie jeszcze trudniéj. Patrzmyż, co się stało z tém cudnie piękném podaniem o Dziewicy Orleańskiéj! Od czasu, jak téj osnowy tak poetycznéj dotknęła się brudna i cyniczna ręka Woltera już ta bogata treść przepadła na zawsze dla francuzkiéj poezyi. Co zaś do artystyczności, biorę za przykład Bürgera. Proszę pana, któż zdołał już szczęśliwszym talentem przyswoić sobie powieści i pieśni gminne, jak ten arcymistrz; boć to on dokazał nawet téj prawdziwie wielkiéj sztuki, że treści wskróś romantycznéj nadał formę ściśle klassyczną. Wszak cała Europa zna „Lenorę" Bürgera, co, przetłómaczona na wszystkie języki, słusznie się szczyci być „królową ballad." A jednak teraz panowie krytycy polują chciwie na powieści i pieśni gminne, mające jakieś podobieństwo do „Lenory" — i już dowodzą jasno, jak dwa razy dwa — cztery, że nawet pod ręką mistrzowską Bürgera niektóre ustępy straciły urok swój i wdzięk prostoty pełen, i że te ustępy są nierównie piękniejsze w pierwotnéj swojéj postaci, niż w przerobieniu Bürgerowém. Pytam się tedy, jeżeli już taki wielki poeta chybił, cóżby się dopiéro stało nam ludziom tuzinkowym? Czyliż przeto nie jest bezpieczniéj, uczciwie, sumiennie zbierać te pieśni, te powieści, i wiernie je spisywać, by stały się materyałem i osnową dla jakiego prawdziwego śpiewaka



przeszłości, coby dokonał do ostatka dzieła poczętego pod tchem natury?"

„Przyznaję, — odpowiedziałem — że to jest praca wielkich zasług, wymagająca atoli szlachetnego zrzeczenia siebie, zwłaszcza, że to nie tak łatwo powiedzieć sobie samemu: zbywa ci na potrzebnym talencie, więc bądź wyrobnikiem, mozolącym się dla innych, uprawiaj ziemię, na któréj drugim a nie tobie urosną laury!"

„Wierzaj mi pan", odrzekł, „że i ta praca ma swój wdzięk i arcyzajmujący, co pewnie nie ustąpi urokom, których doznaje botanik, zbierający rośliny po górach do swojego zielnika, albo geolog, co, z młotem w ręku, rad wypukać ze skały martwéj, umarłéj, wieści o starych dziejach naszego planety. A dla mnie ta praca jest jeszcze innego niepospolitego powabu. Jakoż, gdy, jak to sam pan wyżéj powiedziałeś, najczęściéj te legendy, powieści i pieśni gminu mają zaczątek a źródło to w jakiémś wydarzeniu natury, w jakiéjś katastrofie sił przyrodzonych, lub też we fakcie historycznym, w jakimś np. wypadku objętym u kronikarzy; otóż jest arcy zajmującą dla mnie rzeczą porównanie téj osnowy historycznéj, tego faktu z przeistoczeniem, jakiego z nią dokonała fantazya gminu; bo właśnie z przeobrażenia tego wywróżyć sobie mogę one moce, co żyją i robią w duszy ludu, boć on zawsze nastraja po swojemu fakta do uczuć własnych. A potém znów lubię śledzić, czyli u innego jakiego ludu nie ma podobnego wydarzenia historycznego; a gdy je znajdę, co dość gęsto bywa — bo ta natura ludzka wszędzie jedna — toć znowu porównywam te legendy różnych ludów pomiędzy sobą, i bawi mnie, gdy widzę, jak jedna i taż sama osnowa rozmaicie się przedstawia, jak ona w legendzie każdego ludu przybrała jemu właściwą fizyognomią, a nawet te same rysy i dążności, które się wybiły w jego losach, w sztuce i uczuciu religijném. Tak np. i my mamy tutaj, w Styryi, naszą Ines de Castro; losy jéj historyczne zupełnie te same jak owéj damy portugalskiéj, a legenda o niéj przecież zupełnie różna.

„Zapewne to Agnieszkę Bernauer?" powiedziałem.

„Przepraszam; Agnieszka — to jest niemiecka Ines; ona téż żyje w pieśniach, powieściach różnych ziem niemieckich; my atoli mamy w Styryi jeszcze naszą własną Ines, co jest słowiańskiego pochodzenia."

„Wyznaję panu, rzekłem, że jéj historya zupełnie mi nieznana."

„Opowiem ją tedy panu po krótce; boć niezadługo przyjdzie nam czas pożegnać się z sobą, gdyż na pierwszéj stacyi opuszczę wagon, by przenocować w poblizkiéj wiosce, a jutro świtem wyruszę między góry. Opowiem rzecz ogólnie, by mi starczyło jeszcze troszkę czasu porównać historyczny fakt z jego przeistoczeniem, którego doznał w poetyzujących ustach ludu."

„Będę słuchał z wdzięcznością i uwagą."

„Otóż, na początku piętnastego stulecia, żył na zamku cylejskim hrabia Herman, — panek hardy i twardy.“

„Przepraszam, że przerwę, wtrąciłem, czyli to nie ten Herman, co był ojcem małżonki cesarza Zygmunta, onéj Barbary tak... nieskromnéj pamięci?“

„Ten sam, i dla tego téż ten ostatni cesarz z Luksemburgskiego domu wplótł się w powieść moją.“

„Rad temu jestem“, zawołałem, „bo w niéj spotykam znajome mi figury. Jakoż, siostrą rodzoną czyli podobno stryjeczną téj Barbary była przecież owa Anna, którą poślubił sobie Władysław Jagiełło, a ten Herman sam znów był zięciem naszego Kazimierza Wielkiego“. (*)

„Tak jest — i, widzisz pan, te to świetne kolligacye z królami i cesarzami właśnie zawróciły pychą głowy cylejskich grafów, a tém samém stały się przyczyną nieszczęścia mojéj pięknéj heroiny! Otóż Herman miał syna Fryderyka, który, jak pan widzisz, był szwagrem cesarza, powinowatym Jagiełły, a wnukiem waszego Kazimierza, ostatniego Piasta; bo nie obca mi historya polska. Więc ten Fryderyk pojął był za małżonkę Elżbietę Frangepan; takowy związek przecież, jak się zdaje, nie liczył się do najszczęśliwszych. Elżbieta umarła a Fryderyk wrychle rozgorzał gwałtowną miłością ku Weronice, córce prostego szlachcica chrobackiego. Wszak ta niewiasta słowiańska była udarowana od natury najwyższym wdziękiem i urokiem. Możnaby tedy przejrzyć Fryderykowi, że ją zaślubił bez wiedzy ojca i zezwolenia cesarza. Niezadługo atoli wydała się tajemnica. Zygmunt zapozwał przed sąd swój Fryderyka, a pojmawszy go, okuł w kajdany i odesłał ojcu. Herman, oburzony do żywego na syna, że śmiał niegodnym związkiem skalać świetność swojego domu, wtrącił go do więzienia i trzymał długo na zamku odludnym, w ciemnicy a ciężkich okowach. Fryderyk był zmuszony do uroczystego zrzeczenia się zamków, włości, miasteczek, danych mu przez ojca. Ten nawet tak się uniósł gniewem, że kazał zrównać z ziemią zamek Friedrichstein, a to jedynie dla tego, że po imieniu syna tak się nazywał.

„Łatwo sobie wystawić, co się działo wtedy z biedną Weroniką.

(*) Wyznaję szanownemu czytelnikowi, że trudna mi rada z pochodzeniem téj naszéj królowéj Anny. — Ta wnuczka Kazimierza Wielkiego była, według Długosza i Bielskiego, córką Wilhelma hr. Cylejskiego, według Hübnera zaś (Genealogische Tabellen, Leipzig, 1837), Naruszewicza, Lelewela, jest córką Hermana Cylejskiego, brata Wilhelma. Ztąd téż Hübner, Lelewel i inni uważają cesarzową Barbarę i naszą Annę za siostry rodzone, a Aschbach (Geschichte Kaisers Sigismund. T. I. str. 261), opierając się na Długoszu, Bielskim twierdzi, że Barbara i Anna były siostry stryjeczne. Aschbach powiada, że Herman, według niego, miał wprawdzie dwie córki, lecz druga została zaślubiona Mikołajowi Góra. Które z tych dwóch zdań ma słuszność za sobą? — Nie wiem, — a choć ta wątpliwość długo mi po głowie chodziła, zostawiłem w końcu rozstrzygnienie jéj naszym historykom.



Gnana trwogą, ścigana przez siepaczy, wysłanych na zwiady od srogiego teścia, ukrywała się, jak pisze kronika, po nieprzebytych puszczach, błąkała się po górach, po gęstwinach bezdrożnych, mając przy sobie tylko jedną ze służebnic swoich. W ciemnych jarach, wśród skał i jaskiń leśnych, zdjęta strachem trawiła życie w modlitwach gorących i łzach, błagając Boga o ratunek i opiekę, zbyt drogo krótkie chwile szczęścia opłacając. Udało się przecież jednemu z jéj przyjaciół wynaléźć jéj przytułek i umieścić ją w zameczku drobnym, ale właśnie dla tego niby bezpiecznym. Krótka pociecha! Sfora siepaczów, rozpuszczona od Hermana, wytropiła jéj zacisze, i okuwszy ją w łańcuchy zawiozła przed oblicze okrutnego teścia. Herman ustanowił sąd, a złożył go z ludzi od niego zawisłych, przed któremi oskarżył Weronikę, jakoby mocą sztuczek szatańskich oczarowała mu syna, jakoby nawet kusiła się o otruciu jego samego. Weronice wedle prawa dodano obrońcę. Herman, który na chwilę nie wątpił o potępiającym wyroku, rad był zachować wszystkie formy ustawami przepisane. Rzecz się atoli inaczéj obróciła. Sędziowie, widząc jéj wdzięki i piękność niewymowną, łatwo zgadli, jakiém to czarnoksięztwem Weronika zjednała sobie serce Fryderyka; uznali ją tedy za niewinną. Tém atoli Herman nie ochłodził gniewu swojego; więc znowu srodze synowę wtrąca do baszty, tu ją męczy i dręczy; nakoniec postanowił przyprawić ją o śmierć pragnieniem i głodem. Gdy się to nie udało, wyprawia morderców; — ci dopiéro uspokoili chuć okrutnika: wiążą biedną i wrzucają do wody i topią (r. 1424).

„Fryderyk, po długich latach odzyskawszy wolność, rozkazał zwłoki nieszczęśliwéj kochanki wydobyć z ziemi i pochować uroczyście w kościele Kartuzów w Geyrach.

„Pan tedy widzisz, że losy biednéj Weroniki słusznie można porównać z historyą Ines de Castro i Agnieszki Bernauer“, rzekł do mnie ten pan, odetchnąwszy głęboko po nielada zmęczeniu, bo wszyscy wiemy, jak to trudno mówić wśród turkotu i brzęku wagonów.

„Zdaje mi się atoli“, odpowiedziałem, „że podanie portugalskie jest szlachetniejszém, bo tu nie sam teść jest wykonawcą morderstwa! Wiadomo bowiem, że Alfons IV, choć uniesiony był nienawiścią przeciw swojéj synowéj, i już w sercu gotował jéj śmierć, przecież, gdy Ines stanęła przed nim, jéj wdzięki anielskie, zacność i szlachetność jéj duszy, tak rozbroiły nieużytego starca, że serce jego skłoniło się do przebaczenia. Ztąd szkarada zbrodni spadła na onych trzech nikczemnych dworaków, co, nie przeczuwając zmiany uczuć w królu, a wiedzeni podłą chęcią niecnéj przysługi, dokonali morderstwa, wśród niewiast dworskich przeszywając puginałami nieszczęśliwą Ines. A tak ohyda nie ciąży wprost na królu, a tém samém zrozumiéć można zupełne pogodzenie się syna i ojca. Ztąd téż i cała powieść jakoś więcéj w sobie zamknięta i skończona, a co

więcéj ta powieść na prawdę jest tragiczną. Bo choć zabójstwo nie było dokonane z rozkazu Alfonsa, choć tedy on sam nie jest zbrodniarzem, toć przecież on nie jest wolnym od winy; bo to właśnie ta pierwotna nienawiść jego i żądza zemsty niesprawiedliwéj była powodem strasznego ciosu, który tak ciężkiém, bolesném brzemieniem przywala serce jego; i w tém właśnie tkwi, jak myślę, tragiczność figury Alfonsa. Wszak w całéj téj powieści włada jakaś tajemnicza karząca potęga, bo żadna z głównych figur nie jest zupełnie bez winy."

„Przystaję na pana zdanie", rzekł nieznajomy, „co więcéj, zgadzam się nawet, że daleko poetyczniejsza, niż o Weronice naszéj, jest historya Agnieszki. Jakoż, wypadek na turnieju, okropne szczegóły jéj śmierci, owe kajdany, które jakby cudem spadają z jéj rąk, obłąkanie jéj małżonka, potęga uleczająca muzyki, — to wszystko czyni z tego podania arcy szczęśliwy przedmiot dla poetow". (*)

„Bądź jak bądź", mówił daléj mój towarzysz, „otóż są trzy niewiasty, których losy smętne tak wielce są do siebie podobne."

(*) Losy smętne Ines de Castro są tak słynne, że zaiste będą znane moim czytelnikom; nie chcę tedy ich trudzić powtórzeniem tego tragicznego wypadku. (*) Wolę raczéj powiedzieć słów kilka o Agnieszce mniéj nam znanéj, gdyż bez tego wyjaśnienia trudno zrozumieć zdanie powyższe mojego towarzysza podróży; a wypiszę tę historyą wprost z jednego z pisarzów niemieckich, nieco ją skracając, ale nic zresztą nie zmieniając.

Prawie w tym samym roku, gdy Jagiełło poślubił sobie Annę Cylejską, Ernestowi księciu bawarskiemu na Mnikowie (München) urodził się syn Albrecht. Elżbieta, małżonka Ernesta (księżniczka Visconti z domu), z najwyższą serca pociechą widziała w wzrastającém pacholęciu uczucia łagodne, pełne szlachetności i słodyczy; znając atoli dzikość i barbarzyństwo swojego małżonka, postanowiła wychowywać ulubieńca swojego z daleka od ojca, — a nawet, gdy dorosł, pragnęła usunąć wszelką porę zetknięcia się syna z ojcem; więc za jéj staraniem dźwignął się na uboczy daleki zamek Vohburg, który przeznaczyła na mieszkanie jedynakowi. Tam młody Albrecht żył w samotności, słodząc sobie ckliwe chwile poezyą i muzyką. Mroźny chłód rozdzielał ojca i syna, tak niepodobnych do siebie. Zdarzyło się nawet, że Ernest w krwawéj bitwie ocalił życie Albrechtowi, a przecież i ten wypadek nie zdołał ich połączyć miłością i wzajemném zaufaniem, — owszem obaj, nawzajem się unikając, widywali się jedynie przy nadzwyczajnych uroczystościach. Tak się rzeczy miały, gdy w Augsburgu odbywano turnieje, na które i Albrecht przybył. Na tych to turniejach, wśród grona niewiast, obaczył postać nadzwyczajnéj urody, dziewicę tak piękną, że się zdawała być zjawiskiem nadziemskiém. Dopytuje się o nią u innych, — odpowiadają, że to Agnieszka Bernauerin, córka chirurga. Albrecht przebiera się za mieszczanina i w tym stroju zapoznaje się z Agnieszką. On albowiem pragnął pozyskać jéj serce samym urokiem swoich uczuć płomiennych i li zaletami osoby swojéj, nie wzywając na pomoc świetności swojego stanowiska i urodzenia. W rychle téż przymioty jego duszy i postać i szlachetność wznieciły miłość namiętną w duszy Agnieszki; a dopiéro, gdy rozkochany Albrecht był pewien wzajemnych uczuć swojéj ulubienicy, odkrył jéj tajemnicę, wyznając, że jest następcą bawarskiego księcia. Jak grom uderzyła ta

(*) Tragiczną historyę miłości Ines de Castro do Don Pedra, syna Alfonsa IV króla Portugalskiego wcielił *Camoens* do swojéj *Luzyady*. Znany zaś poeta portugalski Jan Babtysta *Gomes* (ur. 1770, † 1803) osnuł na téj historyi tragedyą: *Nova Castro*, przełożoną na język francuzki przez Denisa, na niemiecki zaś przez Witticha. — St.



„Wiem ja o czwartéj", rzekłem, „któréj historya śmiało stanąć może obok tamtych. I dziwna rzecz, że i dla mojéj heroiny, równie jak dla Agnieszki i Weroniki, wodne głębie stały się grobem. Przecież skon polskiéj Ines, tak łzawy i okropny, podał treść do poematu jednego z najznakomitszych wieszczów." Wywdzięczając się tedy opowiedziałem mojemu towarzyszowi losy Gertrudy Komorowskiéj, któréj Malczewski w swojéj Maryi postawił pomnik tak cudownéj piękności, że przetrwa wszystkie wieki — jéj na cześć, a niecnym gwałtom na sromotę.

Słuchał opowiadania z wielkiém zajęciem ten pan; — nakoniec rzekł: „Ta powieść tém straszniéj porusza serce, że fakt tak blizko sięga naszych czasów, że ohyda zbrodni niesłychanéj tutaj nie ułagodzona nawet blichtrem jakiegoś sądu i prawa; w skonie Ines, Weroniki, Agnieszki gra nawet jeszcze wzgląd polityczny, — Gertruda zaś stała się ofiarą obrażonéj dumy prostego panka, gdyż ożenienie się syna z córką szlachcica polskiego, wedle mojego zdania, nie byłoby sprawiło żadnéj istotnéj odmiany w rodzinie magnata. A zbro-

wiadomość w Agnieszkę — już teraz obaczyla otchłań bezdenną, rozdzielającą ją od wybrańca jéj serca. Małżeństwo takowe zdawało się być niesłychaném! Rozpacz, która ogarnęła dziewicę, zdjęła boleścią i duszę Albrechta; teraz i on przejrzał i poznał ogrom nieszczęścia swojego! Namiętność paląca bez nadziei to go wyrzucała z miasta na zamek Vohburg, to znów męki serdeczne i szał sprowadzały napowrót do Agnieszki. Te katusze nie dawały mu wytchu ani spokoju; więc jak błyskawicą przejęła go myśl odrzucenia precz od siebie wszelkich względów i uwieńczenia miłości swojéj, pojmując za małżonkę dziewicę nieskalanéj cnoty. I w zaciszy swojego zamku, w gronie kilku przyjaciół, odbył się akt święty ślubów. Już szczęście bez granic objęło sobą małżonków, gdy ojciec Albrechta, srogi książę Ernest, oddawna podejrzywając o te stosunki syna, zapragnął go doświadczyć, by do ostatka się przekonać o prawdzie wieści, które chodziły między ludźmi o zaślubieniu się jego syna z córką wzgardzonego chirurga. W téj myśli naprzód wysyła do niego swatów, ofiarujących mu za małżonkę Annę Brunświcką, pannę cudnéj urody. Albrecht obojętnie odprawił dziewosłębów. Niezadługo potém gotowano świetne turnieje w Ratysbonie, na które zbierało się rycerstwo ze wszystkich krajów ościennych. Pojawił się w szrankach i Albrecht. Wtedy z rozkazu starego księcia w obliczu całego zgromadzenia ogłoszono: że Albrecht, jako żyjący, wbrew obyczajom rycerskim, z wierutną niewiastą w związkach plugawych, nie godzien by z rycerstwem kruszył kopije. Albrecht, słysząc jaki srom rzucono na jego cześć i na kochanie jego, zapalony gniewem, woła, że Agnieszka jest jego małżonką świętym Sakramentem przed Bogiem mu poślubioną — i wyzywa do krwawéj rozprawy każdego, coby śmiał na jéj uczciwość nastawać. Wraca do siebie — uroczyście, publicznie sprowadza małżonkę na zamek Straubing, oddając go Agnieszce na własność a siedzibę, i ogłasza ją za księżniczkę bawarską.

Ojciec tłumił zajadłość w tajemnicy piersi swoich, a tak udało mu się uśpić czujność syna. Późniéj upatrzywszy sobie dogodną chwilę, pod pozorem zdradnym wywabił go z zamku od żony; lecz zaledwie się oddalił z domu Albrecht, a już wpadli do niego wysłańcy Ernesta, ujęli Agnieszkę i okutą w kajdany zawlekli przed sąd. Już dawno puszczone były między lud wieści, że Agnieszka oddaje się praktykom czarnoksięzkim, że za jéj sprawą piekielną książę Wilhelm i nowourodzony synek jego zeszli ze świata. Więc téż już obeszło się bez form sądowych; wyrok śmierci był już wydany, zanim nieszczęsna niewiasta stanęła przed trybunałem swoim. Wśród niesłychanego zbiegowiska ludu zaprowadzono Agnie-

dnia i mord przebrany w maski ochocze, zapustne, jest wedle mnie arcydziełem okropności, — jest to poezya tak demoniczna, iżby sam geniusz Shakespeara nie zdobył się na piekielniejszą ironią. „Nie rozumiéj pan, wtrąciłem, jakoby ów niecny magnat miał wielu panów polskich do siebie podobnych.“ — „Chętnie wierzę i nie chcę téj krzywdy czynić narodowi polskiemu“, dodał staruszek. — „Ale, wracając do naszéj rozmowy, chciéj pan baczyć, że jeżeli przyznaję, iż dzieje Ines, Agnieszki i waszéj Gertrudy są poetyczniejsze od historyi naszéj styryjskiéj Weroniki, toć pan nie rozumiéj, jakoby nasz lud powtarzał sobie jéj losy tak jałowo, jak o niéj prawią kroniki i jak je panu opowiedziałem. Owszem lud je przerobił po swojemu i wyhaftował na niéj, jako na kanwie, poemacik pełen wdzięku. Tak np. Fryderyk, małżonek Weroniki, żyje w sercu gminu jako młodzieniec cudnéj postaci, pełny szlachetności rycerskiéj i uniesień romantycznych; lud wierzy, że wypuszczony po długich latach z kaźni ojca, zrzekł się świata i władzy i świetności doczesnéj, że nawet został zakonnikiem kartuzem, w tym samym klasztorze, kędy jego

---

szkę na most nad Dunajem; tłumy, widząc jéj piękność i wdzięk niebiański, płakały z rozrzewnienia; — oprawcy wtrącili ją w topiele wodne. Ona wśród fal wzywa Bożéj pomocy, — i już się zdawało, że jéj błagania i jęki wysłuchane, bo jakby cudem okowy spadły z jéj ręki, i ona już dopływała do brzegu, gdy jeden z oprawców odrywa szynę żelazną od poręczy mostu, a obwinąwszy o nią długie złote piękne włosy Agnieszki, zanurza ją we fale okrutne. Już wody unosiły tę cudną jéj postać, gdy na brzegu rzeki pędem stanął Albrecht. Na widok bezdennego nieszczęścia, uderzony jakby gromem, wyrywa się z rąk przyjaciół, by już skoczył do Dunaju i we falach utopił życie swoje. Długo trwało pasowanie się jego z przyjaciółmi, aż nakoniec, używszy przemocy, uratowali od samobójstwa. Lecz wtedy na miejsce szaleństwa opanowało go obłąkanie głuche; wpadł w odrętwienie martwe ciała i duszy — bez ruchu, nie widząc, nie słysząc — skamieniał. Już skon miał go połączyć na wieki z miłością jego, gdy jeden z jego przyjaciół wpadł na myśl szczęśliwą, by na nim doświadczyć potęgi muzyki. Więc zaśpiewano mu pieśń z czasów błogiéj miłości i szczęścia. Na te dźwięki utraconego raju, jego dusza wstała z martwych! — Ale zaledwie ocknęła się w nim przytomność, gdy żądza najokropiejszéj zemsty na ojcu, na sprawcy jego nieszczęścia, pożarem ogarnęła serce jego. Właśnie wtedy książę Ludwik bojował z Ernestem; więc do wroga własnego ojca śpieszy młodzieniec, a tak się staje wrogiem własnego kraju, — dziedzina ojca jego płonie pożogą, bitwy mordercze rozniósł syn po ziemi rodzinnéj. A klęski, biedy i jęki, — palące się zamki i sioła, znaczyły drogi Albrechta, jakby anioła zniszczenia. Przecież w końcu po długich latach upamiętał się; demon zemsty go odstąpił. Więc zesmutniał i płakał i nad krajem własnym i nad sobą. A ojciec przywalony nieszczęściem, wiekiem i zgryzotą rozpłynął żalem nad czynem swoim. Mieszczanie monacheńscy wyszli poselstwem przed Albrechta; za ich to pośrednictwem stanęło widzenie się ojca i syna. Obaj, skruszeni nieszczęściem, spojrzeli na siebie, przebaczając sobie nawzajem. Sam ojciec rozkazał wystawić Agnieszce kaplicę grobową, pełną przepychu, — w kaplicy pomnik, na którym w marmurowym posągu widać postać Agnieszki, odzianą osłoną zwykle należącą się tylko niewiastom domów panujących. U stóp jéj wyrzeźbiony był kształt psa i jaszczurki, jako godło wierności i domowego życia. Kaplica uposażona była fundacyą na wieczne czasy na nabożeństwo żałobne, mające się odbywać w każdą rocznicę śmierci Agnieszki.



miłość pochowano; tam w pokucie i smutku modlił się w samotnych nocach przy jéj grobie; legenda nawet prawi, że pewnego ranka znaleziono go bez duszy przy trumnie ukochanéj żony jego. Tymczasem historya ani słowa nie wie o tém skapturzeniu jego, ani o długotrwałym smutku, ani o skonie w nocy samotnéj; owszem zapewnia, że Fryderyk żył jeszcze długo i wesoło i zdrowo, że się pogodził z ojcem i cesarzem Zygmuntem, że go ten nawet już w ośm lat po śmierci Weroniki udarował i mitrą książęcą i uczynił go jednym z najpotężniejszych lenników swoich. Lud zapomniał również o zbrodni, która cięży tak smętném brzemieniem na pamięci ulubieńca jego, na tymże Fryderyku; — powieść gminna nie wspomina bowiem wcale o śmierci pierwszéj jego małżonki Elżbiety Frangepan; a przecież fakt niewątpliwy, że pewnego poranku znaleziono ją zamordowaną w łóżku, — chodziły pogłoski, że to własny jéj małżonek Fryderyk umaczał ręce swoje w krwi jéj.“

„Dziwnie téż“, przerwałem, „dziwnie poplotły się losy niewiast, należących do téj rodziny. Weronika ginie od teścia, Elżbieta od męża, a bratowa Zygmunta, to jest Joanna, małżonka cesarza Wacława, utraciła życie rozszarpana od psa faworyta męża! — Wszak to kundel olbrzymi, co legiwał u nóg Wacława, rzucił się na Joannę w nocy i zagryzł we własnéj sypialnéj komnacie. Okropne podejrzenie, a więcéj nawet niż podejrzenie żyje w historyi, jakoby tego psa poszczuł sam okrutnik Wacław.“

„Dodaj pan“ — zawołał mój towarzysz — „że i Zofia, druga małżonka tego ciemiężcy, nie była szczęśliwszą; a osobliwym trafem ta Zofia była właśnie ciotką Albrechta, męża Agnieszki; na jéj to właśnie dworze wychowywał się i dorósł Albrecht.“

„Najpomyślniéj podobno“, rzekłem, „obróciły się losy Anny, siostry stryjecznéj Fryderyka, zaślubionéj Władysławowi Jagielle. Prawda, że i jéj życie nie zakwitło różami, bo biedactwo tak było szpetne, że Jagiełło, obaczywszy ją, ociągał się ze ślubem, pod pozorem aby się wprzód w Krakowie nauczyła po polsku! — Zdaje się, że Jagiełło, nawykły do wdzięków Jadwigi, przez życie całe nie przemógł odrazy swojéj do Anny; przecież i to pewno, że téż nigdy nie doświadczyła krzywdy żadnéj od niego.“

„Mówiąc o kobietach Cylejskich,“ wtrącił staruszek, „nie zapominajmy przecież i o Barbarze, żonie cesarza Zygmunta, będącéj tak wierutnych obyczajów, że sam Zygmunt, nie widząc innéj na to rady, w żarty hańbę obracał. Jakoż, gdy pewnego razu jeden z dworzan, rozmawiając z kolegami, rzekł, jako słyszał, że kobieta, która przypadkiem połknie sierść lamparta, już na życie całe najgorzéj się prowadzi, Zygmunt, który przypadkiem dosłyszał rozmowy, zawołał śmiejąc się: jeżeli tak jest, toć ani wątpić, że moja Basia nie włosek jeden, ale pewnie całą skórę lamparta połknęła!

„Lecz nawracając znowu do podania o naszéj Weronice, — jak fantazya gminu dodała swoich barw figurze Albrechta, rozświecając

ją magią uczuć swoich, tak w pamięć saméj Weroniki wplotła cudotworność poetycką. Tak np. chwile jéj trwogi i lęku, gdy się kryła po puszczach, stanowią u ludu jakby powieść osobną, w któréj nie braknie pustelników samotnych i rozbójników, i całego romantycznego przyrządu. Podobnie z kroniki nie widać, jakim trybem Weronika uniknęła śmierci tak okropnéj, gdy ją Herman chciał w więzieniu zamorzyć, — a lud wypadkom nadzwyczajnym, prawie cudom, które malowniczo opowiada, przypisuje jéj ocalenie od głodu. Wszak tym trybem się zawsze działo z poezyą rodzimą gminną; ona od wieków lubiła fakta ubierać i stroić po swojemu! Tak np. nie ma może narodu, kędy nie chodzą podania o nienawiści dwóch braci rodzonych: znajdziemy je wszędzie, zacząwszy od mitów greckich, a kończąc na téj naszéj tak skromnéj Styryi, a wszędzie wypadki historyczne mienią się i migocą fantazyą, właściwą każdemu krajowi. — Gdym się już tak rozgadał, opowiem panu naprędce gadkę tego rodzaju, która nam z gór naszych wykwitła.“

„Niegdyś w szarych latach broili tu w naszych górach dwaj bracia, a zwali się panowie von Reichenburg; jeden z nich gnieździł się w zamku na skale, a drugi w zamku pod skałą. Obaj zajedli się od dzieciętwa nienawiścią tak srogą na siebie, że każdy rad czyhał na porę swobodną, by drugiemu zgubę zgotować. Otóż wróg naszéj duszy, co to rad ludziskom stawiać sidła zdradne, tak rzecz sobie urządził, iż pewnego ranka w téj saméj godzinie, ba w téj saméj chwili, każdy z nich niby z przypadku, mając rusznicę nabitą w ręku, wyjrzał oknem, i każdy z nich drugiego obaczył; więc każdy chwycił za strzelbę — wymierzył — wypalił, i każdy trupem legł z ręki bratobójczéj. Złożono ich zwłoki w wspólnéj kaplicy, a nawet w tym samym grobowcu, — co, jak się okazało, nie było myślą zbyt szczęśliwą ani oględną; bo odraza złowroga snać trwała po za skon. Lud sobie szeptał, że w każdą rocznicę ich śmierci, o północy, słychać w kaplicy jakiś gruch, łoskot, zgrzytanie zębów. Ztąd łatwo już domyśléć się można było, że bracia wstają z trumien, że walczą i szamocą się z sobą do pierwszego kura. Więc téż nie darmo, gdy po wielu — wielu latach otworzono ich trumny, znaleziono skielety ich odwrócone od siebie, pięści kościste złożone w kułak jakby w gniewie, a zęby zacięte. Ja sam, będąc pewnego razu w Reichenburgu, widziałem tuż przy ołtarzu niszę; oto w niéj po dziś dzień jeszcze stoją dwie czaszki trupie: są to głowy ichmościów von Reichenburg, — one zwrócone ku sobie, mizdrzą się do siebie. Lud okoliczny atoli najmocniéj przekonany, że w rocznicę śmierci tych braciszków jeszcze słychać on gruch i stuk i hałas, — a gdy kościelny, co jest człowiekiem statecznym a sensatem, nazajutrz zrana wejdzie do kaplicy, co za dziwy! te głowy trupie, co jeszcze wczoraj patrzały się na siebie, teraz od siebie odwrócone.“

„Mocno żałuję“, ciągnął daléj mowę staruszek z uśmiechem, „mocno żałuję, żem nie był nigdy w Reichenburgu w ową rocznicę; nie mogłem tedy uczynić eksperymentu i przekonać się, jakim to sposobem te głowy uskuteczniają to odwrócenie od siebie. Lecz mniejsza o to! patrz pan, wedle starego greckiego mitu zwłoki wrogich braci tebańskich, także bratobójców, złożono na stosie wspólnym. Lecz płomienie, ogarniające stos i ciała bezduszne, rozdzieliły się na dwa ognie osobne, świadcząc o nienawiści trwającéj po za skon. Powiedz pan, czyli to nie istny prawdziwy, najklassyczniejszy klassycyzm? A inaczéj u nas w Styryi, skielety złożone w tym samym grobie pasują się i szamocą, — czaszki odwracają się od siebie — przyznasz, że to znowu romantyzm najczyściejszéj wody!... Ale! tu stacya moja! (patrząc na zegarek) wlekliśmy się jak jakie ślimaki — 10 minut zapóźno — kompletna noc!“



Pożegnał się z lekka ze mną mój towarzysz, wyskoczył z wagonu, raz jeszcze skinął ręką i utonął w ciemności; — raz jeszcze z daleka, gdy mijał latarnię żarzącą dworca, jasne jego paleto mignęło mi się w świetle, a potém już na dobre starowina przepadł w grubéj nocy.

Prawda, anim się w czasie téj gawędy spostrzegł, że już tak późna godzina. Lampy w wagonie już oddawna zapalone oświecały w koło zupełnie nową dla mnie ludność podróżnych, co była wsiadła na ostatnich stacyach w miejsce dawniéj ubytych wędrowców. Tu i owdzie tylko w cieniu, jak wilcze oczy, tlił się czerwony żarek cygara; większa część moich towarzyszy i towarzyszek to drzémie, kołysząc głowami, to śpi smacznie w różnych pozycyach, jak tam kto może. Na dworze ciemno i buro; około okien niekiedy przelatują iskry lokomotywy, a stróże kolei, stojący z rozpaloną pochodnią w ręku wzdłuż żelaznéj drogi, jakby demony przelatują pędem szalonym.

Treściwy to był dzień! Przecież to dziś jeszcze widziałem, choć wczesnym porankiem, kościół św. Szczepana w Wiedniu! Tak jak na przegląd przesunął się w pamięci i Semeryng — buraczkowa kareta — i romans u Prisnica — zamki w dolinach czarodziejskich Murycy i Mury — jegomość z grubą krawatą i wachlująca się jego połowica — Lenora Bürgera, co, wraz z kochankiem umarłym, na koniu pędzi na cmentarz, gdy w koło nich tańcują po księżycu nieboszczyki — pani Barbara, i Weronika, i Malczewski,— skielety, czaszki trupie. Toć wszystko jakby jasełka w szopce przemykało się przed duszą moją; a zamiast muzyki — sztuk, puk, turkot wagonów i z daleka sapanie, a niekiedy gwizd piekielny lokomotywy; wtórowało zaś do koncertu chrapanie dość donośne niektórych wojażerów, a mianowicie tam ktoś pod lampą nie żałuje sobie tego sennego grania. Cień padł na twarz! — Patrzę — a tu poznaję, że to nasz pan Jonatan! — Amor nie przeszkadza Morfeuszowi, onemu geniuszowi sennych marzeń; bo obaj chłopcy skrzydlate, obaj kapryśne stworzeńka; a często i drwiące i łudzące.

Przecież, zkąd téj damie, mówiłem do siebie, to nadzwyczajne

poruszenie na widok księdza! — Nie wiem! — Nie wiem również, czyliby pan Jonatan spał tak smaczno, gdyby, zamiast jechać z tą damą do kościoła św. Antoniego w Padwie, puszczał się bez niéj na statku parowym do Ameryki!

I tak sobie dumałem, gdy maki, rozsypane po moich towarzyszach, i mnie oczy zaprószyły. Więc zaczęła mię nie na żarty śpiączka rozbierać, a obrazy dnia całego zaczęły hulać hasem niedorzecznym, chaotycznym, więc przemykały się wirem zamętnym skielety i krawaty, wachlarze, karety, aż téż to wszystko zamieniło się w istny głęboki sen.

Zasnąłem tedy, a nie myśląc samego siebie budzić przed świtem, korzystam z téj swobodnej dla mnie chwili, by się zwrócić do czytelnika. Istotnie prawda! Od wyjazdu z Wiednia, aż do chwili onego zaśnięcia, upłynął tylko dzień jeden, a jakże ja się sążnisto o nim rozpisałem! Rad sobie jestem serdecznie, że wyrobiłem dla siebie już w pierwszych onych godzinach mojéj podróży prawo do rozgadania się wedle mojéj woli a ochoty. Był to pomysł, jak teraz widzę, istotnie wielce szczęśliwy! Mimo tego, zdaje mi się, żem może i przesadził i nadużył przywileju. Bo gdyby mi przyszło tak rozwlekle prawić o każdym dniu téj mojéj wycieczki, opis napuchłby w cały szereg tomów. Wypadnie mi się tedy powściągnąć i wprowadzić jakiś ład i gospodarstwo w to pisanie moje; że tego dokonam, rozumie się, ile mnie stać będzie, przyrzekam niniejszém uroczyście.

---

*Lublana (Laibach).*

Gdym się z rana przebudził, otóż ja na dworcu kolei w Lublanie! Nie bardzo miłą była dla mnie myśl, że tu skończyła się ta droga żelazna, że znów będzie trzeba staroświeckim obyczajem wsiąść z niepyszna do jednego z tych ogromnych wozów pocztowych, co batalionem całym porozstawiane na dziedzińcu, gotowe do zaprzęgu. Alem się jakoś pocieszył, patrząc w świat. Niebo czyste wróży, że i dzień będzie pogodny. Godzina czwarta — słońce już, już miało się wznosić nad zieloną ziemią, więc wysłało przed siebie na najwyższe niebo gawiedź tłumną małych rumianych obłoczków o złotym, palącym rąbku. Więc téż wszystko, co na ziemi, — bo i pola i wieże i kościoły blizkiéj Lublany — oblane złocistą purpurą. Nad miastem tylko wznosi się góra, i ona w różowém świetle jaśnieje na niebie; na szczycie jéj stary zamek. Te wczorajsze harde szczyty alpejskie gdzieś zniknęły, pozostały za nami, a w ich miejsce pagóry o łagodnych krągłych konturach, porosłe krzewami. Ten widok atoli nie był ckliwy, bo nie brakło ogrodów i ról zbożnych, a gościniec wysadzony topolami przerywał, o ile go stać było, jednostajność



obrazu. Jakaś cisza spokojna, jakieś milczenie głębokie, uroczyste tchnęło po naturze; rzekłbyś, że ona odmawia ranne paciorki swoje. Tu i owdzie grono ludu wiejskiego ożywia obraz; jedni ciągną ku miastu z jarzyną i mleczywem — inni śpieszą na łąki, w ich rękach kosa błyszczy we wschodzącém słońcu. Ten świat, tak spokojny i cichy, był w dziwnéj sprzeczności z wczorajszym, co tak gwarny i huczny i śpieszny. Około dworca, co przecież jest budynkiem rozłożystym, tak bezludno teraz i milcząco, jak gdyby był jakąś „chatą za wsią“ odsuniętą od ludzi. Wstąpiliśmy do sali restauracyjnéj; owa ciżba podróżnych gdzieś się podziała, rozpierzchnąwszy się na wsze strony. Tu i owdzie przy stoliku jedynie zasiadł jakiś gość przy kawie; w drugim pokoju krzątają się inni, by choć na prędce uporządkować swoją toaletę, co nocną jazdą przybrała formy niedbałości, trochę zbyt genialnéj i fantastycznéj. I błogo było na sercu, bo teraz już dość stało czasu do wszystkiego. „Nie ma się państwu czego śpieszyć“, zapewniał konduktor, zabierając się do ogromnych dzbanów kawy i śmietany a do setnéj góry białych rogali z masłem. „Staniemy dobrze przed nocą w Tryeście!“ powtarzał konduktor; a przez okna widać było, jako pocztyliony z flegmą ongi greckich mędrców nabijali krótkie swoje fajeczki. — Każdy z nas czuł, że znów stał się jakby indywidualnością osobną, że cóś znów znaczy na świecie; póki na kolei żelaznéj, póty każdy był głuchą abstrakcyjną jedynką.

W rychle pojawili się nasi towarzysze z buraczkowéj karetki, wraz z ojcem rębajłą, i przysiedli się do nas. Wśród najlepszéj gawędy weszły do sali dwie damy z wysokiéj północy, żaląc się, że im urzędnik pocztowy czyni trudności, nie chcąc przyjąć ich pakunków; nieporozumienie zapewne rodziło się ztąd, jak mi się zdawało, że ani same te damy, ani ich panna, ani sługa nie dość władały językiem. Uważałem ja te damy już od samego Wiednia. Miały one zamiar przez Tryest, Wenecyę przejechać Lombardyę, a ztamtąd nawrócić do Paryża, by tam zimę przepędzić.

Wiadomo wszystkim, że jazda pocztą i tę ma uczciwą zaletę, nieznaną na kolei żelaznéj, że towarzysze podróżni jakoś się więcéj do siebie swoją, że tworzą niby rodzaj korporacyi. Otóż tym chwalebnym duchem korporacyi przejęci, pan Jonatan i ja wyszliśmy, by tym damom rzecz ułatwić i pośredniczyć w téj twardéj sprawie. Zaledwie atoli nastroiliśmy się do figur retorycznych, które miały skruszyć nieużyte serce pana oficyalisty pocztowego, gdy ten jednym giestem pokazał nam miejsce w przeznaczonym na pakunki wozie, a drugą rękę zwrócił do olbrzymich waliz skórzanych, stojących na podłodze niby małe domki. „Osądźcie sami panowie, mogęż ja zabrać te kufry, kiedy one są tak długie, że ich pomieścić nie mogę w wozie pocztowym?“ „Jakaż na to rada?“ odrzekliśmy chórem z panem Jonatanem, „niepodobna, aby te damy pojechały bez rzeczy swoich!“ „Na to tylko ta rada, rzekł pocztmistrz, że dam oso-

bny wóz, który sobie te panie najmą swoim kosztem.“ Na to znów z naszéj strony taki argument: „Te panie zapłaciły w Wiedniu i za siebie i za rzeczy swoje całą drogę do Tryestu i nie są obowiązane kłopotać się o rzeczy swoje w czasie całéj téj podróży, — *ergo* nie mogą być zniewolone do ponoszenia po raz drugi wydatków.“ „Jednak i my znów nie jesteśmy obowiązani dawać osobnego furgonu za tę płacę, która z porachunku na nas wypadnie, — inaczéj przyszłoby nam zbankrutować!“ Nie będę już powtarzał dalszych naszych dyskussyj *pro* i *contra*. Dość, że jakoś nasz kompromis skończył się krakowskim targiem, a co rzadko się zdarza, skończył się z zadowoleniem wszystkich stron.

Dla mnie znowu zaświeciła całą chwałą mądrość starego Arystotelesa, który uczył, aby się trzymać we wszystkiém i zawsze i wszędzie średniéj miary. Otóż, jak wiele tłomoczków, pudełek, walizek, słowem wielka ilość rozosobnionych manatek jest prawdziwą plagą w drodze, — bo trudno jakoś te wszystkie sztuki mieć na pamięci, — tak z drugiéj strony, jako przykład tych dam uczy, warto téż wystrzegać się innéj ostateczności i nie chcieć znów wszystkie rupiecia i szmatki eleganckie i tobołki pakować w olbrzymie tłomoki.

Lecz stary Arystoteles daremnie wyrzekł owo mądrości słowo; ono zostało zamknięte w niemej książce, a na świecie broją i zdarzają się od wieków ostateczności, niepohamowane miarą. Każda ostateczność chwilowo się rozpiera, nie cierpiąc butnie obok siebie odwrotnéj swojéj siostrzycy, żadna z nich nie chce się nastroić do kamertonu ogólnéj harmonii. Pytajcie się historyi wszystkich stuleci, wszystkich lat tysiąców; ona rozwinie wam tragedye łzawe, krwawe, w których figurami są ostateczności, przebrane za historycznych ludzi, a podłogą teatralną ziemnice szerokie, krwią spluskane. I trwa tragedya, póki się nie pojawi w dziejach geniusz wielkiego człowieka, który na grobach, na kruchcie przeszłości wyrzeknie słowo, co samo jest harmonią i kontrapunktem owych ostateczności, łamiących się z sobą. Arystotelesa słowo mądrości pogrzebane jest żywcem w księdze, a przecież to samo słowo, to samo prawo, pismem jarzącém skreślone na niebie, podtrzymuje światy w przestrzeni bez granic. Jakiż zakon prowadzi po ścieżkach płomienistych gwiazdy, ową czeladź radośną, świecistą, owe druhy niekończącego się nigdy wesela? Dla czego nie zderzają się z sobą te słońca w swojéj drodze? Oto, bo ich zakonem, który je wiedzie i trzyma, jest miara. Oklepane to oddawna zdanie, że każda prawda, jeżeli będzie przez zbyteczną logikę rozwiniętą do ostatnich konsekwencyj, stanie się niedorzecznością, absurdum. Dla czegoż? — bo jest ostatecznością! Więc to oklepane zdanie ma słuszność za sobą; prosimy tylko, aby takowego rozwinięcia do ostatnich konsekwencyj nie nazywać logiką, bo logika właśnie rozkazuje godzić, co różne, i ześlubiać, co sobie wręcz przeciwne. Potém prosilibyśmy własném imieniem logiki, aby onego oklepanego zdania nie stosować do prawd, które są trzonem świata, bo tutaj pomylisz się nielada, jeżeli najwyższe stopnie tych prawd absurdum nazwać raczysz.



Patrzcie, do jakich to przemądrych kontemplacyj doprowadziły mię owe ogromy kufrów damskich! Chodziłem sobie po dziedzińcu, sam rad będąc tym salomonowatym wnioskom moim, gdy mnie znienacka przebudził z zadumania pocztylion, co, prowadząc parę koni, z całego gardła wrzasnął tuż koło mnie, wołając na chłopca, by się śpieszył z drugą parą rumaków; a wołał on słowiańskim językiem. Wszakże już od pierwszéj chwili, gdym stanął na tym dworcu, mogłem poznać, że jestem w Karniolii, więc w kraju czysto słowiańskim. — I dziewczęta, usługujące w restauracyjnéj sali, i służba dworca, i włościanie, idący w pole na robotę, rozmawiali między sobą po słowiańsku. Nie brakuje wprawdzie i w Styryi Słowian, przecież oni tam wielce rozsypani, a zresztą i nieprzeważni liczbą; jakoż wedle statystyki (z roku 1846) na jedenastu mieszkańców znajdziemy tam siedmiu narodowości niemieckiéj, a czterech słowiańskiéj. Inaczéj w Karniolii, bo tutaj na stu mieszkańców jest prawie tylko ośmiu Niemców, a blizko dziewięćdziesięciu Słowian (*).

Zaiste, badania historyi języka, poezyi, obyczaju i zwyczaju szczepów słowiańskich długo jeszcze bogatym a nowym plonem wynagradzać będą pracowników uczonych. Byleby atoli nikomu nie pójść śladem jednego ze znakomitych ludzi, co, będąc wieszczem na wielką i wspaniałą stopę, stał się chwałą całéj literatury słowiańskiéj; a przecież, gdy w najnowszych czasach jął się szperania około dziejów pierwotnych i językowych Słowian, zabłąkał się w manowce bezdrożne wyobraźni swojéj, siląc się, aby w łacinie koniecznie wypatrzyć podobieństwo do słowiańskich narzeczy. Albowiem pokrewieństwo słowiańszczyzny, germańszczyzny z mową rzymską lub grecką bynajmniéj nie jest dowodem, jakoby jeden z tych języków brał z drugiego swój początek, lecz raczéj jest wskazówką, że one wszystkie mają jedną wspólną macierz, choć daleką, bo mieszkającą na górskiém pograniczu Indyów.

Wesoło, po staremu brzmiały trąbki pocztarskie; weseléj jeszcze świeciło poranne słońce, gdyśmy, w kilkunastu podróżnych, umieszczeni po wozach, ruszyli wartko w drogę ku morzu. Boć to dziś, a to jeszcze dobrze przed wieczorem, jak zapewniał konduktor, mamy stanąć w Tryeście — dziś znowu obaczę morze.

---

(*) Według nowszéj statystyki z roku 1870 Styrya na 1,137,990 mieszkańców posiada 410,000 Słowian. W Karniolii zaś w ogólnéj liczbie 466,334 mieszkańców, jest tylko około 30,000 Niemców. — St.

*Kras.*

Znasz ty, czytelniku mój, to żałobne a smętne duszy nastrojenie, gdy po ciężkiém nieszczęściu, po straszliwéj klęsce w sercu czczo i głucho, a świat dokoła pustkowiem martwém, bezmierném, — gdy to życie, co dopiéro tak pełne ruchu i ciepłego tętna, zdrętwiało nagle kamieniem, — gdy każdy dzień, jakby bez przeszłości i bez jutra, gdy chwila obecna niby umarła na świat przychodzi? Znasz ty te chwile bezdennéj tęsknoty, gdy uczucia gorące nie mają się gdzie przytulić, a godziny, jak sieroty, rodzą się bez nadziei, a konają bez żalu? — Otóż takowéj głuchoty serca, takich uczuć chorych, takowéj strasznéj negacyi wiernym obrazem a wcieleniem jest *Kras*.

Kras jest to górska wysoczyzna, wzdymająca się do tysiąca stóp nad zwierciadłem morza. (Krasa, pole kamieniste — Krasowiec, mieszkaniec Krasu — das Karstgebirge). Kras jest światem głuchym, martwym, skamieniałym, bez oddechu; — światem, od którego się anioł żywota, cisnąwszy na niego przekleństwo, odwrócił i opuścił go nazawsze.

Przez wiele, wiele mil gościniec bieży temi pustkami do Tryestu, a z prawéj i z lewéj szerzy się rozłogiem wielomilowym ta natura równie umarła, równie martwa.

Gdy przed dwudziestu sześciu laty, puściłem się tą przestrzenią jałową, pamiętam, jak znienacka widok jéj rozpaczliwy chwycił mnie za serce niby zimną, trupią ręką. Dziś, lubo już byłem przygotowany, lubo wiedziałem, co mnie czekało, trudno mi jednak przychodziło obronić się urzeczeniom téj przyrody, co tutaj okiem zgasłém, spojrzeniem zeszkloném umarłego patrzy na wędrowca. Kędy spojrzysz, — wszędzie a wszędzie morze kamienne, nieprzebyte, nieprzejrzane. Głaz przy głazie — i z blizka i z dala świat zasłany okruchem skalnym, to drobniejszym, to sterczącym w ogromne bałwany; bo cały Kras jest kamieniem z wierzchu tylko nieco pokruszonym. Ani z blizka, ani z dala nie obaczysz drzewa; niekiedy tylko, lecz bardzo z rzadka, z pośród kamieni trwożliwie wygląda krzew karłowaty, chudy, suchotny; gałęzie jego jałowe, liście biedne, zgłodniałe — on cały niby roślinności zapomnianym podrzutkiem. Niekiedy znów sterczy jakieś zielsko ostre, walczące ze śmiercią; nigdzie nie widać ani rzeki, ani potoku, ani strugi, ani źródełka. Nie widać nigdzie, jak daleko oczy zalecą, oazy zielonéj, umajonéj łączką lub krzewów bukietem. A straszno posłuchać, co się tu dzieje wśród jesieni, gdy wichry nie znają zapory, wyjąc i jęcząc pędzą po tych pustkach ogromnych; lub gdy w zimie śnieżne zamieci, stanąwszy dębem, hulają cwałem i gonią wędrowców i wozy pocztowe, a straszą ludzi zimnem, lodowém objęciem.

Zdawałoby się, że na téj przestrzeni mieszka demon negacyi, co wywrócił pochodnię nad życiem wszelkiém i nad wszelką uciechą, że



tutaj pogorzelisko każdéj nadziei, każdéj przyszłości. A dziwna to rzecz, że ta natura w téj nieużytéj jałowiźnie swojéj, w tém smętném ubóstwie swojém, w téj rozpaczy, pełnéj ironii, taka jakaś dumna, taka jakaś harda! Ona zerwała z całym światem, a w tém osieroceniu swojém i nędzy bez granic taka pyszna, bo rozwiodła się z życiem; jéj obojętno, co inne ziemie obchodzi, co warunkiem wszelkiéj treści. Ta natura — to pieśń śmiertelna, to poezya bezdennéj głuchoty. Ta natura, pełna ironii, jest jakby komentarzem widomym jednego ze znakomitych wieszczów i najświetniejszych talentów nowożytnéj poezyi naszéj, owego artysty i arcymistrza mowy ojczystéj. Znamy go wszyscy. Wszak to on zerwał ze światem, z całą treścią żywota. On rzucił żarzewie we własne uczucia, niby w dom własny, a pożar ogarnął treść jego życia i ogarnął całą przeszłość i przyszłość, a paliły go promienie jasnéj chwały wyższego od niego wieszcza. I usiadł hardy, dumny poeta na zgliszczach tego wszystkiego, co mu było niegdyś tak drogiém, — usiadł jakby na tronie smętnego państwa negacyi, odziany ponurym majestatem swojéj boleści bezdennéj. I lżył światu i sobie, i skrwawioną pięścią wyrwał serce z piersi własnych i „w szale mąk swoich rzucił to serce swoje na nieszczęście towarzyszów“ — i umarł. Lecz choć umarł, — ta poezya jego jest jeszcze pełną piękności upiorzycą, co, jak widmo grobowe, czyha jeszcze, by wyssać krew ze serc młodych, wyssać z nich nadzieję i miłość i wiarę.

Zaiste, ironią życia jest Kras — świat kamiennych bałwanów; gdzieniegdzie tylko zoczysz dziwne jakieś zapadłe kotliny lejkowate; a te kotliny wydolone najczęściéj ciągną się około siebie wężykiem, a często taka kotlinka otoczona w koło jakby murem cyklopowym, dźwignionym z kamieni surowych, położonych na sobie bez spoju i zlepu. Te murki są tu wzniesione, aby choć po trochu osłonić od wrogiego wichru owe trawki lękliwe, biedne i krzewy mdlejące. Dla tego też w tych tak ogrodzonych miejscach obaczysz niekiedy kilka kózek znędzniałych, pod opieką obdartego, schorzałego pastuszka.

Te murki luźne, — toć jest cały ślad pracy, na który się człowiek zdobył wśród téj opuszczonéj, bezdusznéj natury. Daremnie kuszono się, aby ją zapuścić borami, coby i drzewem niosły pożytek ludziom i chroniły grunta od zawiei i zamieci. Daremnie! wiatry wydmuchały leśne zasiewy, a sadzone drzewka pomarły dotknięte jakby dżumą śmiertelną.

Tak jest, natura Krasu zerwała z całym światem. Bo nigdzie podobno na kuli ziemskiéj nie pojawia się już to samo zjawisko. W tym stopniu dziwnego rozwoju swojego, ta martwica kamienna, ta jałowizna, tak pełna ironii i negacyi, ma powód wewnętrzny, — więc nieuleczony przez ludzkie zabiegi. Bo tym powodem jest budowa geologiczna, podziemna. Cały Kras jest skałą wapienną tak powarstwowaną, tak poprzedzieraną i tak szczelinami poszarpaną,

iż żadna woda nie trzyma się na wierzchu, na jawie, ale przecieka, przesącza się w przepaście podziemne, i tam się zbiera w ogromne zlewiska. Więc otchłanie ciemne, nocne wypijają wszelki żywot światu, co na jawie, co na dniu słonecznym. Rosa, wody deszczowe giną w głębiach, więc i strumienie, potoki, przypływając ze stron ościennych, nikną w Krasie bez śladu. Nawet i znaczna rzeka „Reka“, niby bezimienna, przepada w głębinach téj martwéj przestrzeni, i płynie pięć mil pod ziemią, a nie występuje na jaw, aż pod Duino, niedaleko Tryestu, śpiesząc do ujścia swojego, do Adryatyckiego morza.

Tak w otchłaniach głębokich zradza się świat niewidny, tajemniczy; bo te wody spotęgowane pod ziemią w olbrzymie zlewiska, torują sobie, w ciemnych przepaściach przez skały, koryta i drogi, niby tunele, gościńce tajne. Często tedy, gdy wody podbiorą fundamenta i węgły opoczne, już sklepy przyrodzone, pokrywające te drogi nurtów podziemnych, pękają, zapadają się; ztąd rodzą się owe wydolenia lejkowate, zaklęśnione, tworzące się na powierzchni Krasu; ztąd ich układ wężykowy odpowiada owym krętym biegom wód w głębokościach.

Praca uporna tych mocy wodnych nieznękana, niezmordowana nigdy, tworzy w przepaściach państwo nocne jaskiń, pieczar, grodów. Wszak owe, na cały świat sławne, adelsbergskie groty Krasu są właśnie wypłóczyskiem takowém. Ztąd też natura tego rozłogu, co na jawie tak grobowy i jałowy, chowa w głębinach swoich budowania cudotworne, pełne niemego świecistego przepychu. Siły przyrodzone, te czarodziejskie budowniki, wykopawszy sobie wodnym prądem podziemne przestrzenie, pieczary olbrzymich rozmiarów, bo do 96 stóp wysokie, ubierają je w przystrój bogaty, fantastyczny, świecisty. Krople wody nasycone wapnem, sącząc się przez strop jaskini, cieką zwolna, lecz cieką bez ustanku, bez spoczynku; a tężejąc kryształem rosną to od średniego trzonu pieczary zwolna w dziwne postaci, to znowu wieszają się od góry od sklepienia w sople, w stalaktyty błyszczące. Takto królestwo ciemności, zbudowane trudem przyrodzonych demonów, zdobi się przez długie wieki lasem kolumn, podpierających strop; ztąd pieczary podziemne, zamienione w czarodziejskie pałace, pysznią się okazałością, o jakiéj nie słychać na jawie rzeczywistym. Jakoż w tych nocnych państwach moce natury zradzają formy kapryśne, jakby wymarzone snem gorączkowym; tu widać niby trumny lub grobowce, to wieże gotyckie, to sztandary, to rycerzy lub karłów, to zakonnice pokutne, to jakąś bujną obcą roślinność zwrotnikową, to zwoje kwiatów i owoców. A gdy wstąpisz w to państwo tajemnicze, gdy te ciemnice zaklęte rozświecisz płomieniem pochodni, już cały ten gród podziemny i wszystkie te jego postaci i figury dziwne, krystaliczne, przezroczyste, rozpromienią się wspaniałością niesłychaną, zagrają jasnością i barwą, zabłysną szkarłatem, fioletem, zamigocą światłem



zieloném, żółtém, jakby wysadzane w szmaragdy, rubiny, brylanty, szafiry. Widok to czarnoksięzki, jakby fantazyą kipiącą Wschodu wymyślony, jakby ci na oczy stanęły baje z „Tysiąca nocy i jednéj“ — a przygrywa tym podziemnym dziwom, nakształt huku dalekich organów, potok Poika, co się rzuca z szumem w groty i w nich przepada, by znów o kilka godzin drogi wypłynął na świat widny.

Pytasz, czyliby i w piersiach owego wielkiego wieszcza nie zagrały przybytki cudowne w klejnoty barwnéj jasności, w skarby promieniste, gdyby nie był sam przytłumił w téj świątyni duszy swojéj płomienia wiary, nadziei i miłości; gdyby tych przybytków serca jego, tak bogatych, nie ochłonęły ciemnice rozpaczliwéj goryczy i ironii bezsercnéj? Bo miłość — to życie! Nienawiść, negacya — to skon i grób!

Nie rozumiejcie atoli, jakoby ten świat czarnoksięzki, nocny, podziemny był państwem martwém, bezżywotném. Wszak i tu, w tych otchłaniach wiecznie ciemnych, jest życie; tu gospodarzy jakieś dziwne, dziwaczne stworzenie. Jest to ów prawie zagadkowy *Proteus anguineus*. W tych grotach adelsbergskich dyszy przepaściste, ciemne jezioro (św. Magdaleny). I spokojne i nieme, nieruchome spoczywają te wody jego, niby urzeczone słowem demona. Lecz gdy na wierzchu, na świecie spadnie deszcz ulewą gwałtowną, gdy ogromne bałwany wód rzucą się w otchłanie pieczar skalnych—wtedy jeziora pełne jakiegoś ruchu, zwierciadła jego biją w kręgi po kręgach. Życie wstąpiło w te głuche, umarłe topiele — życie tłumne, ochocze, wesołe, bo po wodzie zwija się ciżbą nieprzebraną Proteus.

Proteus — to mieszkaniec tych ciemnic zapadłych — jest on jakby rybą, węgorzem, jaszczurką. Gdy dorośnie — toć już gruby na wielki palec, a długi na cali piętnaście. Głowa jego jak u węgorza, a tuż pod głową dwie nóżki o trzech palcach, u tylnych łapek zaś ma ich tylko dwa. Zwinny, ruchawy, chybko strzela po wodzie. Widać u niego wprawdzie jakieś początki sześciu żeber, lecz one nierozwinięte. A co więcéj, on ślepy! bo oczy jego jeszcze pod skórą, a tak maluchne, jak na ukłócie szpilki. Wszak to stworzenie ani zna, ani potrzebuje światła; — ono płodem wiecznéj nocy; ztąd téż jest prawie bez barwy, a tak nikłego, bladego koloru. Bo wiemy, że tym trybem bywa zawsze w naturze, iż światłość nie tylko sama w sobie rozszczepia się w promienie różnobarwne i nie tylko oświeca barwy obce, ale sama je zradza; dla tego téż rośliny, chowane po ciemnych miejscach, po piwnicach, są tak bladéj, nikłéj i wątłéj barwy. Podobnie rzecz się ma i z rumieńcem na obliczu człowieka w ciemnościach więzienia; tak rychło zwiędnieją kwiaty na licach, jak kwiaty w sercu jego. Dla tego, gdy Proteus wyniesiony będzie na świat dzienny, staje się jakiś nieradny i smętny, jasność mu dojmuje, więc i ruchy jego mniéj żwawe; za to jednak ta

jego barwa nijaka zwolna ciemnieje, aż w końcu zwierzątko zajdzie barwą ciemno-oliwkową.

Choć Proteusa trzymano nieraz długo w niewoli, nikt podobno nie doszedł, czém się on żywi; niekiedy wystarczy dodanie mu świeżéj wody, a on nie swój i smutny uchowa się jednak przy życiu. Mimo to, że jego żywot jest tak zagadkowy, a tak tajemniczy obyczaj, przecież ciemniejszą jeszcze tajemnicą jest pochodzenie jego. Wszak on jedynie w pewne czasy, zwłaszcza po nawałnicach rzęsistych, okazuje się w tym jeziorze — a do tego w takiéj od razu mnogości. Być może, że słusznie domyślają się geologowie, iż Proteus nie rodzi się w tém jeziorze, ale nierównie jeszcze niżéj, więc gdzieś w najgłębszych otchłaniach zapadłego topieliska; ztąd téż, gdy ulewne deszcze burzą a powodzią zwalą się w głębiny nocne, już ono topielisko się zbierze i napuści jezioro owym dziwnym proteusowym żywotem. Tak się téż często dzieje z człowiekiem. Gdy burze życia w serce uderzą, gdy nawałnice wrażeń gwałtownych rzucą się w głębie duszy naszéj, — wtedy niekiedy wypłyną z ciemnych topieli istoty naszéj dziwne proteusze, zagadkowe, tajemniczego pochodzenia, którym jakoś nieradno, smętno w jasnościach sobie przytomnego rozumu.

---

*Obczyna.*

Z daleka, przez kurze poruszone końmi naszemi, widać po lewéj stronie gościńca jakieś budynki, wzdłuż nich szereg nieprzeliczonych bryk ładownych, a wszystko ku nam zwrócone. Siano rzucone wiązkami przed końmi; tu i owdzie grono skrzętnie uwijających się ludzi. Tymczasem furmany, z powagą uroczystą grandów hiszpańskich, spokojnie rozmawiają z sobą, lub usiadłszy na stosach przydrożnych kamieni, pogrążyli się myślami w dymkach swoich krótkich fajeczek. To Obczyna! To ostatnia stacya przed Tryestem. A Tryest, podobnie jak teraz i Wenecya, jest miastem wolném handlowém, przeto w owych domostwach umieszczony urząd celny; ztąd téż zatrzymał się ów zastęp bryk stękających pod brzemieniem towarów całego świata. Lecz mniejszao to. Obczyna jest imieniem świetném, głośném po wszystkie ziemie i kraje; Obczyna zapisała imię swoje na życie całe w sercu i pamięci każdego, kto ją choć raz obaczył. Tutaj wita nas morze, a wita obrazem tak wspaniałym, tak świetnym i majestatu pełnym, jak już mało gdzie na świecie.

Już oddawna, zbliżając się do Obczyny, zdawało się, że nas zalatuje oddech od morza; a tchnienie morza jest tchem historyi powszechnéj. Choćbyś się wydarł na najwznioślejsze górskie iglice, dźwigające się wśród twierdzy ogromnych obszarów lądowych; choćby się cały kraj pod stopami twojemi mappą rozłożył, — uczujesz



jedynie powiewy dziejów ludu, co się rodził i żył na tym ziemi obszarze, usłyszysz szepty duchów wielkich jego mężów, co mu stanęli na reju wśród pielgrzymki jego przez żywot, obaczysz duchy jego ojczystéj przyrody, co mu zbudowały jego góry, posiały bory i kwiaty i łąki, co mu wodzą potoki rodzinne i rzeki spławne, niby gościńce „wiążące wstęgą kraj z krajem, lud z ludem“. Lecz gdy znienacka obaczysz morze, gdy cię ono uderzy głęboką muzyką fali swoich, wtedy zdaje ci się, że słyszysz organy w domu Bożym, gdy kapłan gotuje się podnieść nad ludem Ciało i Krew Pańską; wtedy myśli i uczucia podniosą się na najwyższe alpy ducha twojego. Morze — to potęga a wysłannik całéj ziemskiéj kulicy; w grzmotach jego bałwanów przemawia cały ziemski planeta; w tych jego chórałach słychać, jakby w akkordach Beethowenowych, wszystkie dzieje rodu ludzkiego, — tych pokoleń, które dawno rozwiały lat tysiące, i tych ludów, które kiedyś wystąpią, jako bohatery w dramacie dziejów.

Już oddawna zdawało się, że na rąbku nieba rysuje się linia eteryczna, niby lekka kreska na kryształowéj kuli przeczystéj. — „Proszę otworzyć powóz!“ wołaliśmy chórem na konduktora, „wyjdziemy na chwilę!“ — „Jeszcze nie czas!“ odpowiedział z flegmą konduktor, „owszem, niechaj się państwo nie patrzą w tamtą stronę, wysiądziemy ot tam, na owym pagórku, tam cierpliwość państwa będzie wynagrodzoną!“ — I zajechaliśmy w rychle, a stanąwszy wysiedli wszyscy. Tuż obok gościńca niby poręcz, stary, nizki murek, ale choć on nizki, choć zewsząd obtargany, obleciały, był atoli stanowiskiem wyższéj ceny, niż jaka pyszna loża teatralna, aksamitem wybita i kobiercem wysłana: bo z tego na poły zburzonego murka patrzysz na tę widownię Bożego świata, roztaczającą się całą wspaniałością swojego majestatu.

Zrazu zaiste trudno ci się tu pochwytać. Zrazu się zdaje, że błękity nieba jaśnieją na dole, głęboko pod tobą, że świecące niebios sklepienie zachodzi aż do podnóża góry, na któréj stanąłeś, że ten pod stopami twojemi ziemi kawał unosi się wśród kuli niebiańskiéj i płynie po wiekuistéj przestrzeni. Bo tutaj tak nieznacznie zlało się morze z niebem, a promieniste szafiry powietrzne i obłoki złociste przeglądają się tak jasno w zwierciadle spokojném wód, żeć się zdaje, że to morze, co w głębi pod tobą, jest dalszym ciągiem nieba samego. To złudzenie pierwszych chwil jest tak magiczne i czarodziejskie, że dłuższego czasu potrzeba, zanim się rozpatrzysz i poznasz, że błękity, które widzisz w głębi, nie są niebem, lecz morską otchłanią; zanim dojrzysz na widnokręgu ową granicę lekką jak włosek, kędy się niebo zetknęło z ziemią, jak się styka doczesności trud z przeczuciem wieczności w sercu dobrego człowieka.

Ten murek nasz jest jeszcze na pełnéj wysokości góry; atoli troszkę daléj już ta góra stroma spada w głąb', przeto gościniec bieży w dół, skręcając się często wężem, by ułagodzić gwałtowność górskiego stoku. Na dole, w dalekiéj głębi, nieco po lewéj, usiadł

Tryest handlowy, ludny, przodem zwrócony do morza. Daléj domy i ulice, i kościoły jego wstępują na górę, piętrząc się w amfiteatr, — a jak ramiona potężne wysyła wśród fal swoje tamy ciosowe. W porcie rzędami długiemi stanęły okręty większe i mniejsze; przez szkło perspektywki widać las masztów i sieć lin potężnych, widać na przybrzeżu ruch żwawy, ochoczy mrowiących się ludzi. A na otwartém morzu przesuwają się, to daléj, to bliżéj, statki o żaglach rozpiętych, niby ptaki o białych skrzydłach, przelatujące głębie powietrzne; niektóre z nich, jak plamki srebrne, prześlizgują się na ostatnim rąbku widnokręgu; one — to przybywają po długiéj wędrówce z różnojęzycznych krajów, to opuściwszy port, pędzą w świat szeroki: na szczęść im Boże. A często gęsto, to z blizka, to zdala, widać na morzu smugę ciemną, czarną, kończącą się w obłok bury, rozwiewny — to statki parowe, owe włóczące się fiakry i dorożki oceanów. Za miastem dolina, co zdaje się być parowem szerokim, w niéj bielą się jakieś bryły, niby porozrzucane olbrzymie kamienie. Lecz gdy przez szkło spojrzysz, widzisz, że to dworki, wille, pałacyki wiejskie, otoczone ogrodami i roślinnością bujną, bogatą; — to mieszkania tryesteńskich kupców. Gdy im się ckliwi wśród komptorów i rachub i cyfer, gdy im duszno i parno w tym gwarze handlowym, wtedy uciekają z miasta, by znowu odetchnąć Bożém powietrzem, wśród drzew i kwiatów, i przypomnieć sobie, że jest i natura na świecie. Szczęśliwi, gdy i w to zacisze ustronne nie pogoni za nimi, jak piorun, telegraf o szwankowaniu milionów, o ważeniu się ich fortuny i wielorakiego nabytku.

---

*Tryest.*

Zahamowano koła, a wóz od Obczyny, kwicząc i stękając, szorował z góry ciągle wężykiem, to tam to tu się skręcając; bo gościniec, podtrzymywany murem potężnym, zwolna, jak już rzekłem, i oględnie spuszczał się ku Tryestowi. Teraz widać, że i na tym tu nawet schyle górskim nie brakuje dworów wiejskich, will i kassynów. Uderzył mnie z nich jeden zwłaszcza pałacyk, stojący tuż nad gościńcem, istny pałac wenecki w miniaturze. Lecz jakoś mu nie do twarzy w tych szatach uroczystych staréj adryatyckiej republiki. Po co mały ma koniecznie naśladować większego od siebie, po co mu tak zuchwale a niepotrzebnie nas wyzywać do porównania z wielkim jego wzorem, po co każdy nie ma być sam sobą? Wszak np. nie jeden poeta byłby wcale luby i wdzięczny, a dorobiłby się oklasku od swoich i wonnego wianku, gdyby chciał być tym, kim go Pan Bóg stworzył i gdyby go zło nie kusiło naśladować kulę w kulę wielkiego arcymistrza, uwieńczonego europejską chwałą; więc te zachcianki, zamiast laurową koroną, kończą się najczęściéj wieńcem grochowym. Podobnie też się dzieje z tym pałacykiem niby weneckim; prawda, że on schludny i strojny, że linie jego brzmią harmonią; jednak kto widział pałace weneckie w Wenecyi, może powié, że ten pałacyk przypomina lokaja, co, przybrawszy na się pokryjomu suknie swojego pana, wymknie się cichaczem w niedzielę na zaściankowy balik. Bo mniejsza o to, że ten pałacyk zbyt mały, nawet mniejsza o to, że mu brak marmurów —, ale, co gorsza, jemu nie dostaje zwierciadeł morskich, z których, jak lilie wodne, wyrastają pałace w Wenecyi; zamiast morza bije tu falą kurzawa gościńca — a już najgorsza, że go nie stać na historyą, na przeszłość wielką, ogromną, pełną chwały a zasług w obliczu dziejów ludzkich i Boga.



Im bliżéj Tryestu, tém téż dokładniéj, zwłaszcza przez szkła, przypatrzyć się mogłem dworkom i willom, co się zebrały w onéj dolinie, o któréj wspomniałem, tak odsadzonéj od wrzawy handlowéj i miejskiego handryczenia. Wyznaję, że i one, póki były widziane z Obczyny, przyrzekały wiele bardzo, a bliżéj nie stawiły się w słowie. Trudno wśród tych kassynów dojrzéć jakąś piękniejszą budowlę; są to najczęściéj sobie kamieniczki prozaiczne, domki bez fantazyi, na hazard obok siebie rzucone. Jedne poglądają na się oko w oko, drugie boczą się na siebie, inne się tyłem odwróciły od reszty kompanów, niby nie chcą słuchać plotek i bajek. Gdy patrzysz na to grono will, nasuwają się twéj wyobraźni owe pudełka zabawek dziecięcych, w których są liczne klocki drewniane w kształcie domków i takoż malowane; więc je pacholę rozstawia na stoliku to tak to owak i klaszcze w ręce, że mu się tak pięknie udało. Słyszałem atoli, że wnętrze tych domów pełne wygód, komfortów (*sit venia verbo*) a nawet przepychów bogatych. Ani wątpię; bo Tryest rośnie prawie na widoku, zamożność jego przybiera bajeczne rozmiary, a wzmaga się tak potężnie i szybko, jak już może mało które inne miasto na świecie. To bogactwo wszelako i ten wzrost nagły jest kwiatem sprzyjających okoliczności; a forma zewnętrzna tych will jest kwiatem właśnie smaku ich dziedziców.

Co się tyczy onego tak bogatego wnętrza tych will, dziwne a nie nader budujące mnie doszły komeraże: np. że w jednym z tych pałacyków sień ustrojona w kolumny pyszne z białego świecącego marmuru. Jednak, cóż z tego? gdy te kolumny są dane wbrew rozsądkowi architektonicznemu, bo one nic nie dźwigają, są niepotrzebném cackiem — a sień jest tak mała, że one napróżno miejsce zabierają. W téj saméj willi wszystko kapie złotem, jakby chciały przypominać przepychy złociste w dawnym kościele Jerozolimskim. W jednym ze salonów z dziesięć obrazów olejnych, potężnych a przytém tak jednakowych rozmiarów, że znać, iż były obstalowane hurtem! — a w drugim salonie, słuchajcie! stoją w środku *dwa* fortepiany: jeden Erarda paryzki, a drugi Streichera wiedeński. To wszystko podobno wystarczy na próbkę, by pokazać czém jest zamożność a napuchła próżność bez wykształcenia!

Rogatka. Urzędnik, odebrawszy pasporty, pyta w któréj oberży stanąć zamyślamy, żeby wiedział, dokąd je odesłać. Ja stanę w „Locanda Grande“ odrzekłem. Wyjaśnię później, dla czego raczéj tę niż inną oberżę sobie obrałem.

Toczyliśmy się dość zwolna i poważnie do miejsca naszego przeznaczenia. Miałem tedy nie mało czasu przypatrzenia się fizyognomii ludzi, którzy tłumnie cisnęli się przez ulice, a dopomagało mi zachodzące słońce, co silnym promieniem oświecało rysy twarzy. Nieliczne to były chwile téj naszéj jazdy, a przecież one wystarczyły, aby poznać tę wyrazistą różnicę szczepowego pochodzenia mieszkańców, z całą dobitnością świeżą, niezamazaną. Przeważały fizyognomie włoskie z tak silnie wybitną cechą właściwą, twarze niemieckie, słowiańskie, greckie, a nawet przemykały się wschodnie.

Jak w szajne-katarynce ten widok wieloplemienny a harmider różnojęzyczny odprowadził nas aż do Locanda Grande. Więc co tchu każdy radby pomyśléć o porządku około swojéj osoby i troszkę się wyprostować. Bo będąc wypuszczonym po 36 godzinach z ciasnoty to wagonu, to wozu pocztowego, miło się jakoś uczuć na własnych nogach i zostać napowrót właścicielem samego siebie.

Wystąpiliśmy na rynek, sąsiadujący z naszą lokandą na Piazza Grande. Zmierzch gęsty już był spłynął na świat, lecz za to cała piazza pełna niezliczonych światełek. Bo już nie wiem, ile rzędów straganów stanęło szeregiem na tym placu, zostawując przejścia między sobą niby drobne uliczki; na straganach goreją latarki, lampki oświecające całe góry brzoskwiń, pomarańcz, cytryn, fig, winogron w ogromnéj obfitości; bo choć na straganach piętrzyły się nieprzeliczoném mnóstwem te wdzięczne dary południowéj natury, toć większa jeszcze ich mnogość kipiała z przepełnionych koszów, stojących przy straganach, lub stosami dźwigała się w piramidy na białych śnieżnych płachtach, rozpostartych na bruku. Przy każdym straganie dwie, trzy przekupki, ubrane nie bez pretensyjki — ba, i nie byłoby o co je karcić, bo najczęściéj wcale nieszpetne i niepodeszłe, choć niekiedy figury może zbyt setne, kolosalne. Zdawało mi się téż, choć nie jestem tego zupełnie pewny, że one lampki, świeczki tak były ustawione, że nie tylko rozlewały silną jasność swoją na pomarańcze, figi i kwiaty — ale i w niepoślednim blasku pokazywały oblicze tych sprzedających dam. Rozumie się, że tu ani myśli o pitagorejskiém milczeniu; zewsząd wrzał żwawy szwargot, to z sąsiadką, to stragan zawiązał krzykliwą konferencyą ze straganem naprzeciw stojącym; a najczęściéj wychwałki owoców wzięły w ogień krzyżowy kupujące panie lub ichmościów, co, przemykając się zwolna i poważnie wśród gwarnego państwa Pomony, znów rozmawiali między sobą po swojemu, więc językami prawie wszystkich końców Europy. Lecz rozumie się, że tu wśród innych przeważa język włoski, a obok niego już illiryjski, i ten dość głośny, bo on, jak to mówią, tu na swoich śmieciach.



Język illiryjski! To mi przypomina przygodę wcale nie tragiczną, która się wydarzyła jednemu z dzieci krakowskich, a szkolnemu koledze mojemu, a którą tu kładę, będąc do tego od niego upoważnionym. — Rzecz się tak miała. Mój kolega, będąc jeszcze studentem, wybrał się ze stryjem swoim, by się troszkę przypatrzyć Wenecyi i Lombardyi. Na samém odjezdném z Krakowa ktoś mu poradził, aby, gdy stanie w Tryeście, wdał się z tamtejszym ludem w rozmowę, zapewniając, że ten lud mówi po illiryjsku, a język jego jest tak podobny do polskiego, iż każdy Polak, byleby miał ucho a zdolność do lingwistyki, bez trudu a gładko rozmówi się z ludem w Tryeście. — Kolega mój, przybywszy do Tryestu, pała gorącą chęcią złowienia jakiegoś Illiryjczyka, by doświadczyć przepowiedni a przekonać się zarazem o swoim talencie filologicznym. Widząc tedy na uboczy przekupnia z płótnami, zbliża się do niego i, pytając niby o ceny towaru, wdaje się w szeroką z nim rozmowę. I o dziwy! najdoskonaléj się rozumieją; gawęda idzie jak z płatka! „Jakże ten język illiryjski podobny do naszego!“ mówi do siebie mój kolega. Przytém jednak cieszy się z serca, że tak z nienacka odkrył w sobie i ucho do języków a tak olbrzymi i nadspodziewany talent do filologii słowiańskiéj; i długo rozkoszuje jeszcze w téj rozmowie. Nakoniec się pyta Illiryjczyka:

„A z których to stron jesteście, mój człowieku?“

„A prosę jegomości, a jużcić z Jędrychowa.“

„Z jakiego Jędrychowa!“ zawołał mój kolega!

„A prosę jegomości, a jużcić z tego, co to pod Krakowem“, odpowiedział wrzekomy Illiryjczyk!

Wróćmy atoli na nasz plac Grande w Tryeście. Otóż ta tak zawrotna, hałaśna babilońska wieża — ciżba, blask tłumnych światełek, woń owoców, niemało nas z razu odurzyły po cichém dumaniu w wozie pocztowym; trzeba tedy było odetchnąć na ustroniu — więc maluchną przechadzką przejrzéć, co się w pobliżu święci.

Bogate sklepy w koło buchają światłem, ale podobno najbardziéj jaśnieje ów pałacowaty dom, co to od dołu i z pięter swoich bił stokiem jasności. To Tergesteum, to zakład handlowy Lloyda, téj kompanii, co jest kupcem na ogromną, olbrzymią i zacną stopę, co przedsiębiercza, śmiała i mądra stała się pulsem handlowego ruchu na lądach i na morzach, a tak zarazem jest pierwiastkiem potężnym cywilizacyi i kultury. W Tergesteum odbywa się giełda: tam schadzki, tam ważą się ogromne summy, a rodzą się przedsięwzięcia, ogarniające wszystkie kraje a przymorza w koło; więc téż nie dziw, że tam na stole rozłożonych pism czasowych bez liku: jest ich podobno półtrzecia sta. Wstąpiliśmy do dolnéj sali, iskrzącéj strojnością i światłem gazowém. Byli z nas goście dość natrętni, bo ani proszeni ani wezwani; a przecież zewsząd przyjmowała nas grzeczność uprzejma. Obejrzawszy na prędce, co nas mogło zajmować, zatęskniliśmy za

naszą oberżą, zwłaszcza, że figi i pomarańcze nie zawsze staną za wieczerzę.

Ta nasza lokanda jedną stroną zwrócona jest do onéj krzykliwéj, gadatliwéj Piazza Grande, a drugą patrzy na morze, co oddalone od niéj jedynie na kilka kroków; tamta strona huczna, szumna, tłumna, iskrząca od świateł, ta druga teraz późnym wieczorem cicha, milcząca, dumająca i ciemna; ku niéj skierowawszy naszą drogę, wnet minęliśmy rzęsisto oświecony Teatro Grande; potém już coraz ciemniéj a ciszéj około nas, i stanęliśmy w końcu tuż na krańcu ciosowego morskiego przybrzeża. Tu tylko odgłosem dolatuje gwar rynku, tu głębokie milczenie; tłumne okręty śpią snem północy, niektóre z nich tak blizkie nas, że je można prawie ręką dosięgnąć. Maszty o zwiniętych żaglach, jakby bure skielety ginęły gdzieś u góry w ciemnościach, a sznury i liny nakształt pajęczéj siatki rysowały się na wieczorném niebie. Tu i owdzie błysnęła na statkach latarka, w jéj blasku siadło kilku majtków, może bających o swoich wodnych przygodach, o chybi-trafi swojego żywota. Te drewniane domy, one tak tutaj potulne, niepyszne a lada chwila zerwą się z wichrem i napasują się z falą i burzą; a lubo najczęściéj przemogą zwycięzko, niekiedy przecież przepadną; a te ich majtki, ta czeladź przemysłu i kultury, skonają w wodnéj otchłani, bez łzy matek i żon i dziatwy, bez krzyża i napisu, i zginą jak ginie żołnierz prosty, bez rozgłosu, bez śladu, nieznany, zostawując innym wawrzyny, co wyrosną z jego grobu.

W restauracyjnéj sali naszéj oberży samotno. Przeszedłem się po niéj. Okna wychodzą na morze, więc tuż przedemną znów te maszty i liny okrętowe. Czyliż-to ta sama sala, którą miałem na myśli?

Wszedł garson — zapytałem: gdzie tu jest Nr. 10? „Na drugiém piętrze tuż prawie nad nami; żałuję, że w téj chwili jest zajęty przez dwie damy. Jeżeli jednak pan zatrzymasz się do jutra, pokój ten będzie wolny i będzie go można widzieć!“ odrzekł garson, zgadując o co mi chodzi.

Otóż ten Nr. 10 był powodem dla czego właśnie stanąłem w Locanda Grande!

W téj izbie pod Nr 10, przed dawnym czasem, bo przed laty 84 (w r. 1768) odbyła się scena straszliwa, zbrodnia haniebna, co ciężkim gromem gruchła po Europie, a boleśniéj jeszcze uderzyła w świat naukowy stratą ciężką, do dziś dnia jeszcze niepowetowaną, jeszcze nieodżałowaną. W téj izbie padł z ręki mordercy Winkelman.

W téj tu sali zapewne zaszło pierwsze jego poznanie się z zabójcą swoim.

Wyznaję, że mimo nocy przeszłéj na kolei żelaznéj przepędzonéj, tak jakoś rozkołysane były myśli moje, że nie czułem jeszcze potrzeby spoczynku; użyłem tedy tych kilku chwil, by je poświęcić pamięci tego wielkiego męża. Te zapiski zapewne są bez wagi dla mojego



czytelnika, ale zdaje mnie się, że się godzi bym tutaj, stanąwszy na progu do Włoch, onéj świątnicy sztuk, nieco obszerniéj się rozpisał o człowieku, który tu właśnie, na téj miedzy dwóch narodów, ba, dwóch różnych światów, życie położył i który właśnie geniuszem swoim rozświecił królestwo sztuki dawnéj; a pierwszy założywszy podwaliny umiejętne jéj historyi, nauczył, jako się patrzyć ma na arcydzieła piękności. On to, zbogacony nieprzebranym zasobem nauki, jasnowidzeniem geniuszu odsłonił przed światem przebrzmiałe dzieje sztuki starożytnéj, a świat przewidział i zrozumiał już duchy zaklęte w ułamkach marmurów, a te posągi, niegdyś nieme, przemówiły o swojém pochodzeniu.

Zaiste, kto staje na granicy Włoch, co nam z taką miłością przechowały spuściznę po starowiecznych ludach, temu trudno, by duszy swojéj nie zwrócił do Winkelmana, i w myśli nie złożył wdzięczności jego ogromnym zasługom. Wszak gdy w opisie podróży wolno piszącemu przemówić czasem o sobie, zatém wyznaję, że to właśnie jego historya sztuki, wpadłszy mi w rękę jeszcze za studenckich moich lat, sprawiła tak głębokie wrażenie na duszy mojéj, że już zostało na życie całe. Prawda, że wtedy ani stać mnie było, abym nawet przeczuł kogo mam przed sobą; przecież, zdawało mi się, czytając te jego karty, jakobym słuchał Kolumba, prawiącego o odkrytych przez siebie światach; a jeżelim w tém czytaniu rósł o ile było sił moich we wiadomość, tak z drugiéj strony malałem, patrząc na te nieznurtowane głębie jego erudycyi, na ten geniusz, umiejący ułamki ze starych pisarzy, pojedyńcze ich domniemania a myśli spleść w całość organiczną. A to zeskromnienie i zmalenie, jak powszechnie wiadomo, zawsze idzie na zdrowie młodemu, bo ściera, zwykłe temu wiekowi, próżność i zarozumienie puste, przypominając, że się nie ma jeszcze z kim zmierzyć. Wielce też dziwnemi niekiedy drogami kroczy kultura przez świat!

Zaiste, uderzy nas podziw, gdy wśród późnego a współczesnego nam narodu obaczymy niespodzianie człowieka, co wyrazem twarzy i fizyognomii przypomina nam żywcem oblicze jednego ze sławnych mężów staréj historyi, zapadłéj już od lat tysiąców. Wtedy się nam zdaje, że marmurowe popiersie, zachowujące nam szczęśliwie od wielu wieków wizerunek dawnego mędrca lub bohatera, przybrało na się krew i życie, że oddycha i myślą i sercem tuż przed oczyma naszemi! — W takowych razach, rzekłbyś, że osobliwą igrą natury powtórzyła się raz jeszcze na świecie dawno umarła postać, że znów wskrzeszone z grobu pojawiły się rysy oblicza, które niegdyś żyło wśród społeczności dawno umarłéj i dawno już pochowanéj! A jakież dopiéro dziwy, gdy już nie zewnętrzne kształty ciała, gdy już nie część materyalna, śmiertelna ponowi się wśród późnego prawnuczego lat tysiąca; lecz gdy nawet sam duch jakiego starożytnego ludu odżyje w duszy współczesnego nam człowieka, gdy w niéj uosobi się cały ten świat dawno pogrzebany, a przebywający jeszcze tylko echem

swojéj sławy w dziejach powszechnych; gdy w tym człowieku żywym, żyjącym wśród nas, w jego chęciach, uczuciach, w jego skłonnościach, znajdziesz znienacka uczucia, chęci, i cały sposób zapatrywania się innéj epoki dziejów ludzkich, innego ludu, innego dawno pogrzebanego świata. Czyli wtedy nie będzie się zdawało, że moce, poruszające niegdyś historyą, zmartwychwstały w tym człowieku, po długim, martwym śnie grobowym? Czyliż wtedy nie pomyślisz, że duch, co stróżuje miłością nad historyą, wywołał tego człowieka, aby nam był prorokiem przeszłości i żywym zwiastunem duszy ludu od wieków umarłego, aby nam tłómaczył jego trudy i sprawy zacne a wielkie dzieła? by one już nie były hieroglifem zagadkowym, ale by te prace a dobytki duchowe poszły na zdrowie światu? Zaiste, taki człowiek będzie się zdawał być na to przeznaczonym, aby współczesnemu sobie pokoleniu wskazał kędy i jak zakląć te skarby, co, niby ukryte pod ziemią, były bezwidoczne dla całego ludzkiego rodu.

Otóż takim nadzwyczajnym i jakby od Opatrzności uświęconym człowiekiem był Jan Winkelman; on stanął wśród ludzi prawie jako anomalia swojego czasu. Na początku XVIII stulecia, wśród epoki oznaczonéj tak właściwém piętnem a silną barwą, urodził się Winkelman z duszą starego klassycznego świata. Co było tętnem i pierwiastkiem umysłowym Greków i Rzymian, toć znów odżyło w piersiach tego męża; on czuł ich sercem, oddychał ich oddechem, myślał ich rozumem; ich obyczaje i chęci odezwały się w jego własnéj duszy, a odezwały się całą wszechwładną, niepohamowaną potęgą. Tak się więc działo, że tęsknota niewymowna, że siła przeczucia, niezależna od jego woli, parła go w stronę, kędy świeciła gwiazda jego przeznaczenia; więc téż dla niego wszystko inne, co bywa przedmiotem ludzkich zabiegów, stało za głuchą, obojętną łupinę; miłość bowiem, przebudzona w młodéj duszy, potęguje się w moc, która ją wiedzie do poświęceń wszystkich, w obec któréj wszystko marne i biédne. Duch starożytnéj klassyczności jakby magią opanował całą istotę Winkelmana, tudzież stał się przyczyną wszelkich jego cierpień i boleści, a zarazem powodem jego promiennéj chwały przed światem.

Tak jest, Winkelman z usposobieniem dawnego Greka, urodził się po dwóch przeszło tysiącach lat, po epoce najwyższego rozkwitu Hellady, a był dla świata przeszłości wieszczem; on wywróżył jéj tajne serca drganie i najskrytsze tęsknoty i tchy jéj duszy; a ta Hellada, tak uroku i wdzięku pełna, oddawna w grobowcu złożona, ocknęła się ze śmiertelnego snu na głos miłości jego — i poznała ukochanego swojego syna, i wypowiedziała mu całą treść duszy swojéj; ona w chwilach jego natchnienia stała mu przed oczyma, szeptając mu dzieje i wesela i tryumfy Hellenów — a on, spisawszy wszystko w księgi jakby testamentem swoim i Grecyi — umarł.

Taka jest istota duszy Winkelmana, takie jego usposobienie umysłowe, takowe jest jedyne prawdziwe stanowisko ocenienia jego zasług i zmierzenia jego prawdziwéj wielkości.



W staréj Brandeburskiéj Marchii, tak niehojnie opatrzonéj od natury, przysiadła do ziemi wśród piasków mieścina Stendal. Otóż w tém miasteczku żył na początku zeszłego wieku pewien majster szewski. Pod nizką strzechą biednego szewca, od wczesnego ranka do późnéj nocy szła żwawo praca szydłem i dratwą i młotem. Lecz chociaż nieborak nie litował ani sił, ani znoju, lubo u niego w izbie było chędogo i uczciwie, a w sercu ciepło i bogobojnie; jednak przez małe szybki okienek często gęsto zaglądała biéda i troska. Znosił atoli majster ubogi i głód i chłód, bo go dźwigała w utrapieniach ufność w Bogu i miłość żony, wiernéj towarzyszki przez szare i bure chwile cierpkiego ich żywota. Rozwidniło się wszelako w sercu smętném biednych małżonków; bo kiedy Bóg w domu, to bywa i pociecha; więc bywa i gość w domu. — I gość zawitał. Jakoż przed samemi godami Bożego Narodzenia, jakby na gwiazdkę, urodził się w onéj nizkiéj izdebce synek. A gdy poszli do kościoła małżonkowie, by ochrzcić pacholę, pan pastor zapisał w księgi swoje, jako 9 Grudnia r. 1717 urodziło się dziecię płci męzkiéj, któremu z imienia i nazwiska: *Jan Joachim Winkelman.*

Jan był już jedyném dziecięciem ojca swojego. Ztąd téż był i jedyną a serdeczną pociechą rodziców, i całą ich w przyszłość nadzieją. Gdy wśród ubóstwa pacholę zasnęło w kolebce, małżonkowie zcicha z sobą gawędząc roili sobie a roili wielkie rzeczy o tym Janku swoim. Serce rodzicielskie widziało promienną aureolę, bijącą jasnością od głowy dziecięcia. A ta jasność promienna była dla ich uczuć wróżbą, że ich mały ulubieniec dosięgnie kiedyś zaprawdę najwyższego szczytu szczęścia, najświetniejszych honorów w życiu, słowem tuszyli, że kiedyś będzie pastorem. Znać, że podobnie, jak u nas tak i u protestantów, w oczach ludzi ubogich najwyższém szczęściem i losem najświetniejszym, którego rodzice pragną dla syna, jest ten, aby kiedyś mieszkał na plebanii jako w domu swoim. Przeto ciągle chodziła biedakom po głowie myśl, jakby tu sobie począć, aby ich jedynak, odbywszy szkoły, mógł późniéj uczęszczać na jaki uniwersytet i słuchać teologii.

Zaledwie malec urósł w pacholę, już ojciec zaprowadził go do nauczyciela szkółki miejscowéj w Stendalu, najserdeczniéj mu ulubieńca swojego polecając. Ten nasz nauczyciel zwał się Toppert; on już się miał bardzo ku starości, lecz chociaż nigdy nie liczył się między luminarzy o świetnych talentach, był przecież człowiekiem z ciepłém sercem, i posiadał dość nauki, a przedewszystkiém umiał gruntownie język łaciński i grecki; nadto w izbie jego na półkach czernili się gęstym szeregiem klassycy starożytni, a krom ich stały tam jeszcze inne przeróżne a przeróżne księgi.

Gdy pierwszy raz przed starcem stanął nasz Janek, ani przeczuł poczciwy Toppert, że temu ładnemu dzieciuchowi z twarzą rumianą zawdzięczy własną nieśmiertelność; a istotnie, gdyby nie to małe pachołę, niktby nie wiedział, że był kiedy jakiś Toppert na świecie.

Pilność nieznękana, bystra pojętność, a przytém jakieś wdzięczne milenie się małego Winkelmana wnet sprawiły, że stary nauczyciel z całego serca go pokochał; nie szczędził przeto pracy, aby rozwinąć umysł młody, który pobłyskiwał już tak uderzającym talentem w téj młodziuchnéj głowie; a najwięcéj dla tego pieścił się Toppert ze swoim wybrańcem, iż ten okazywał tak niezwykłą miłość a pociąg niepohamowany do języków klassycznych i literatury starożytnéj.

Zawiązała się tedy dziwna a rzadka przyjaźń między starym mentorem a młodym wychowankiem; a ta przyjaźń nabrała rzewności głębokiéj i jakiéjś świętości przeczystéj — bo Toppert ociemniał. Wtedy młody Winkelman czytywał, pisywał za ślepego starca i w chwilach wolnych wodził go za rękę na przechadzkach. Za tyle troskliwéj miłości wdzięcznie opłacał się chłopczynie staruszek, ucząc i prawiąc mu, co tylko sam wiedział, o czém tylko kiedyś słyszał i udzielając rad serdecznych, jakie mu podawało własne a tak długie doświadczenie. A te nauki i rady starca były głębsze i świetniejsze niż kiedykolwiek, bo gdy wzrok jego doczesny, zewnętrzny zgasł —, oczy wewnętrzne, duchowe, spotęgowane miłością, zajaśniały widzeniem bystrém i dalekiém. Toppert, poznawszy wzmagającą się dzielność w uczniu swoim, nie bał się już szwanku dla niego i pozwolił mu używać biblioteki jakby własnéj.

I zgadł stary nauczyciel; bo dowolność a swoboda w czytaniu, coby pewnie obałamuciła nie jedną słabszą głowę, poszła Winkelmanowi na potęgę i moc zbawienną. Bo lubo był prawie jeszcze pacholęciem, lubo w tym steku książek rzucał się to w tę, to w ową stronę, przecież instynkt niemylny jego natury, ów duch dawnego klassycznego świata stał mu na straży i opatrznie pokierował jego czytaniem. Ztąd geografia starożytna, historya powszechna, mianowicie dzieje Greków i Rzymian, a przedewszystkiém literatura tych narodów były żywiołem i atmosferą jego duszy. A gdy mu się zdarzyła chwilka wolna, wtedy, zamiast oddać się igrom i zabawom chłopięcym, które zajmowały jego rówieników, młody starożytnik wybiegał za miasto na piasczyste mogiłki i w nich kopał i grzebał, by odkryć urny i stare popielnice, których nie brakło w okolicy Stendalu.

Tak uczył się, tak żył młody Winkelman w swojém miasteczku rodzinném, aż urosł na 16-letniego młodzieniaszka; wtedy, dzielnie wyćwiczony w językach i literaturach starożytnych, udaje się do Berlina, bo miał nadzieję, że się wzmoże w naukach na tamtejszém, wielce słynném gimnazyum, tak zwaném kolońskiém; a co więcéj, tuszył sobie, że pruska stolica nastręczy mu przecież sposobność udzielania tego, co miał, młodszym pacholętom; miał więc nadzieję, że dochód z tych lekcyjek wystarczy i na własne jego potrzeby, i na jaką taką zapomogę dla starego ojca.

Gdy bawił w Berlinie, doleciała go wieść, że w Hamburgu pójdzie na sprzedaż biblioteka Fabrycyusza, uczonego szerokiéj sławy. Ta wiadomość jak iskra elektryczna zatrzęsła młodą duszą; bo wiedział, że ta biblioteka była tak bogata w starych klassyków! Pokusa gwałtowna, ogromna nie dała mu pokoju. Ów geniusz dawnych Greków potężnie zapukał w serce jego, więc mu już niepodobieństwem było oprzéć się tym ponętnym mocom.



Zatém pewnego poranku Winkelman pieszo ruszył z Berlina gościńcem, co wiedzie wprost do Hamburga. Lecz jak tu sobie począć? On nie ma prawie grosza przy duszy! Mniejsza już o niewygody, o nocleg, o głód; ale za cóż tu będzie książek kupić? — A tych klassyków trzeba kupić koniecznie, bo ów duch Hellady i staréj Romy nie daje spoczynku. Młodzieniec tedy wyrzuca z serca wszystkie wątpliwości, wszystkie względy, i po drodze wstępuje do dworów szlacheckich, do probostw, i, bez ogródki, prosi o datek pieniężny, aby miał za co nabyć ukochanych swoich pisarzy. Oblicze otwarte, szczere młodzieńca sprawiło, że tych datków nie brakowało, a może téż nie mało pomagała postać jego szlachetna i wielce nadobna; jakoż, bądź co bądź, stara gadka ma może słuszność, gdy prawi, że gładka postać, to pasport w świat, a powierzchowność miła, to list polecający do ludzi.

Mniéj szczęśliwie po powrocie wiodło mu się w Berlinie, bo z nikąd jakoś nie przychodziły owe lekcyjki z takiém upragnieniem pożądane i z taką ufnością spodziewane. Długo się biedak pasował z głodem; dopiéro, gdy się zerwały wszystkie nadzieje zarobienia sobie na chleb, ruszył do Stendal, i znowu w onéj izdebce nizkiéj, o szybkach drobnych, w rzewném objęciu przytulił się do serca starego ojca.

W roku 1738 widzimy Winkelmana na Uniwersytecie w Halli, zapisanego na wydział teologiczny; wiadomo atoli, jak to w tym wieku XVIII-ym teologia protestancka zaprawiona była pedantyzmem szkolarskim, bezdusznym. Więc nie dziw, że Winkelman, jak sam powiada, na żaden sposób nie mógł smakować w téj strawie jałowéj, niepożywnéj. Coraz tedy rzadziéj a rzadziéj bywał na odczytach suchych teologicznych, a w końcu już prawie i nogą nie postał w tych lektoryach; lecz za to przesiadywał po całych dniach w bibliotece uniwersyteckiéj, tonąc w studyach klassyków starożytnych. A im głębiéj się w nich wczytywał, tém jaśniéj rozwidniał mu się ten właściwy im świat. Figury pojedyńcze, zrazu mgliste i rozpłynne, nabierały konturów wyrazistych, odziewały się ciałem plastyczném, rozwidniały się fizyognomią i barwą; a ta społeczność starożytna, tak dla nas zwyczajnych ludzi niby obca i cudza, swoiła się do Winkelmana coraz to przytulniéj, jak gdyby on ze krwi i z kości do niéj należał.

Młody uczeń akademicki własny swój sposób zapatrywania się ujrzał w téj społeczności starożytnéj, zrozumiał ją wskróś i ukochał, jak kocha i rozumie swój swojego. Bo lubo prawda, że te studya

klassyków rozwinęły i przebudziły w nim wiedzę jasną o stosunkach, obyczaju i całéj duszy dawnoczesnych ludów, przecież nierównie jeszcze słuszniéj powiedzieć wypada, że te studya nie byłyby miały dla niego téj ponęty nieprzezwyciężonéj, gdyby w nim samym nie przemieszkiwał duch pokrewny staremu światu. Całe jego usposobienie umysłowe było, jakem rzekł, wskróś do dawnych Greków podobne; równie jak i oni, ten człowiek nadzwyczajny okazuje się nam być z jednéj sztuki, z jednego odlewu; w nim zupełna harmonia własnéj istoty z sobą.

Przecież, uznając genialność Winkelmana i oddając hołdy jego zasłudze, nie kładźmy zbyt wysoko usposobienia ducha jego i ludzi do niego nastrojem wewnętrznym zbliżonych. Zrozumiejmy się dobrze pod tym względem! — Prawda jest, że Winkelman był całością w sobie, ulaną jakby z jednego odlewu, że jego całe to usposobienie uczyniło go w badaniu starożytnego świata arcymistrzem, pojmującym wskroś duszę dawnéj Hellady i Romy; przecież z drugiéj strony, ośmielam się wyrzec, iż właśnie te nadzwyczajne a charakterystyczne potęgi umysłu jego miały za grunt swój pewną ujemność, pewien brak w jego treści duchowéj. To zdanie moje może nie jednemu z czytelników wydawać się będzie zbyt zuchwałe. Pragnąc się wytłómaczyć do czysta z mojego pojmowania rzeczy, proszę czytelnika, by porównywał ze mną usposobienie duszy, będące ogólną cechą ludów nowożytnych, ze zjawiskiem wyjątkowém, jakie nam przedstawia cała umysłowość Winkelmana. Treść wewnętrzna każdego nowoczesnego człowieka jest nieprzebranéj głębi; w nas brzmią nieustanne dźwięki innego świata, jakaś nieukojona, niespokojna tęsknota, a niewysłowiona rzewność śpiewa nam w duszy i unosi uczucia w dal bez granic, w dal niezmierzoną; w sercu naszém pracuje i pasuje się wiele potęg i mocy; ztąd we wnętrzu naszém jakieś łamanie się, jakieś rozdwojenie istoty naszéj. Żyjemy wśród natury, wśród zmysłowego świata, wśród doczesnego żywota, — i ta natura, i ten świat, i ta doczesność wiążą nas tysiącem nitek swoich, a przecież ani natura, ani ten cały świat zewnętrzny, ani żadne ziemskie szczęście, choćby najwyższe, żadna rozkosz doczesna zaspokoić nas nie zdoła, ani utuli boleści naszego sieroctwa na ziemi; zawsze i zawsze słyszymy tamecznych światów wołanie. Tych upałów serca nie ostudzi też rozumowanie, choćby najgłębsze, ani poezya w promienne szaty ubrana, ani piękność w jasnéj dziedzinie sztuki zrodzona, bo i poezya i sztuka, odziewając się we formy zmysłowe, mają jedynie w sobie o tyle treść duchową, o ile te formy ją pomieścić zdołają, o ile te formy, choć zmysłowe, do ideału podniesione, zdołają być nadzmysłowego świata zwiastunem. Dopiéro na łonie wiary naszéj znajdziemy ukoj owéj bez granic tęsknoty, znajdziemy ukołysanie, uciszenie się potęg i chęci, łamiących się w sercu naszém. Wiara chrześcijańska balsamem niebiańskim zalewa wszystkie bolejące rany, zestraja harmonią dźwięki rażące, godzi przeciwieństwa i otula cierpienia palące piersi naszych; rozświeca co ciemne, co wieczorne w duchu naszym. Tak człowiek, choć jeszcze na ziemi, wśród natury i doczesnego świata, korząc się Panu, godzi się i z ziemią i z naturą i zewnętrznym światem i losem swoim, godzi głębiny wewnętrzne istoty swojéj z rzeczywistością zewnętrzną, i odprawia z cichą, błogą radością przeznaczone sobie w tém życiu mozoły i trudy.



Takie usposobienie ludów chrześcijańskiego świata. Otchłanią nieprzebytą odróżnione są od nich ludy klassyczności starożytnéj. W piersiach i w myśli tych ludów nie roztworzyły się jeszcze owe głębie duchowe z tém nieprzebraném bogactwem treści swojéj. Więc też u nich nie ma wewnętrznych walk, one nie znają owéj bez granic tęsknoty, która nam w sercu płacze, ani słyszą wołania dziedzin nadziemskich, bo ich nie bolą rany rozdwojenia się wewnętrznego i zewnętrznego świata; lecz też one nie znają co błogie, co najwyższe serca radości, rodzące się z ukoju owych boleści palących i owéj niewysłowionéj tęsknoty; im nie rozwarły się bramy szczęśliwości rajskiéj, wiecznéj, bez granic; oni ani marzyli o wiekuistéj miłości! W sercu tych ludów mroczno, głucho; lecz one nie przeczuwają tego mroku serca własnego i téj własnéj głuchoty swojéj. Cóż tedy dziwnego, że im spełna wystarczał świat zewnętrzny, i natura i jéj wdzięki i życie doczesne; że zdołali duszę zestroić do pełnéj zgody z rzeczywistością obecną. Zrozumiemy tedy, że u nich wszystkie tony duszy, że wewnętrzna istota i zewnętrzny świat mogły być łatwo w zgodzie i harmonii; pojmujemy tedy, że w tém ograniczoném znaczeniu można powiedzieć, że to byli ludzie całkowici i z jednego odlewu. Lecz zgadujemy również, że ta całkowitość, ta harmonia a zgoda nie doszła bynajmniéj do najgłębszego swojego znaczenia, że ona nie ma nic wspólnego z owym świętym spokojem i całkowitością, których się dosługuje chrześcijanin, żyjący w pokorze ducha wedle Bożego zakonu, i w ufności w Panu. Za tém też idzie, że najwyższym duchowym szczytem owych ludów były wysokości, na których płonie sztuki piękność, owa córa duchowa ubrana w szaty zmysłowe. Dla nas atoli żadna piękność sztuki nie wystarczy; ona bynajmniéj nie jest szczytem najwyższym duszy naszéj.

Taki był nastrój umysłowy Greków i Rzymian; podobny jemu był nastrój Winkelmana, o ile tylko człowiek nowożytnéj społeczności mógł się stać odrodzeniem żywém Hellady i Romy, onych pogrzebanych przed wiekami światów. A rzekliśmy, że zaiste takim był Winkelman już z samego przyrodzonego usposobienia swojego. Pomyślmy nadto jeszcze, że Winkelman urodził się i wychował wśród wieku XVIII, więc w czasie okropnéj czczości serca a bezwiary! — pomyślmy, iż on nadto urodził się w protestantyzmie, że się kształcił na wykładach jałowych w Halli. Tak jeszcze dokładniéj zrozumiecie, iż Winkelman całą potęgą geniuszu swojego oddał się badaniu starożytnego świata, że całą gorącą miłością rzucił się w objęcie da-

wnéj sztuki klassycznéj, że zrozumiał wskróś te zapadłe światy. Pojmiemy tedy, iż jedynie w tém samém znaczeniu, jak o starożytnym Greku mówić możemy, że był z jednéj sztuki ulany, że był całkowitym w sobie, tak również i o Winkelmanie powiedzieć można, że był całkowitym człowiekiem a z jednego odlewu, zatém, że nie znał rozdwojenia w sobie. Pierwszy Göthe wyświecił ten żywioł starożytnéj klassyczności w duszy Winkelmana, uważając, że w nim nawet przebywał jakiś pierwiastek pogański (*). To spostrzeżenie jest zapewne bystre, dowcipne, lecz ono dla tego, jak się zdaje, błysło Göthemu, że on sam może jest geniuszem nieco pogańskiego nastroju.

To wszystko, cośmy sobie o Winkelmanie w téj chwili powiedzieli, tyczy się jego charakteru już zupełnie ukończonego w sobie, to jest, jakim był wtedy, gdy duch jego już urosł i zmożniał w potęgę i siłę męzką; — przecież zaród téj istoty jemu właściwéj już wyzierał kiełkiem w pacholęcych latach, gdy jeszcze zostawał pod opieką ślepego mistrza swojego w Stendal; ten pierwiastek już śmiało i bujnie roztulił listki swoje w Halli. Widzieliśmy bowiem, jak to on omijał z daleka ckliwe i mdłe lekcye owych oschłych nauczycieli, i jak całemi dniami wertował starych klassyków, a studyował ich i czytywał, żyjąc o samym suchym chlebie i wodzie, jakoby jeden z onych mędrców starożytnego świata.

Jak zaś studya te pożarem ochłonęły duszę jego, znać ze słów uczonego Boysena, który w jednym ze swoich listów powiada: że słysząc Winkelmana, wykładającego Herodota, zdawało się jakoby był w zachwyceniu, jakoby geniusz jaki przez niego przemawiał. Gdy zaś czytał Cezara wojnę z Gallami, do tego stopnia rozognił wyobraźnię swoją, że nie mógł oprzéć się myśli widzenia koniecznie sceny tych wojen, i że sam u siebie postanowił udać się do Francyi i Paryż obaczyć. Wyrywa się tedy z Halli, i rusza pieszo w stronę Zachodu. I tutaj jednak powszednia codzienna prozaiczność ochłodziła zapał i wyobraźnię młodzieńczą. W drodze nie było co jeść — trzeba było wrócić do Halli! Mimo téj nauczki, mimo biedy, która go ściskała zmorą nieubłaganą, Winkelman, żyjąc suchym chlebem, pieścił jednak w sercu projekta zuchwałe, i wśród najdotkliwszego niedostatku sam sobie najuroczyściéj przyrzekł, że odbędzie podróże, naówczas prawdziwie olbrzymich wymiarów; bo mocno postanowił u siebie, że będzie we Francyi, w całych Włoszech, w Egipcie, i nie wiedzieć już gdzie. Wtedy albowiem już nakształt mappy rozkładała mu się przed oczyma cała przeszłość starożytna; on ją miał obecną przed duszą swoją, on wypiastował ją w sercu i ochuchał ją tchem miłości swojéj. Ona téż nawzajem przemawiała do niego

(*) Göthe napisał w roku 1805 krótką charakterystykę Winkelmana, zamieszczoną w zbiorze jego dzieł, wyd. Cotty T. XXIV str. 1 do 36. — St.



z książek, siadała nocą przy łożu, śląc na duszę jego senne obrazy i marzenia pełne zachwytu. Ten student ubogi był tak bogatym, tak zamożnym jakby mocarz, odziany purpurą i panujący milionowym ludom. Ta jego wysepka mała rozszerzyła się światłem ogromném i zamknęła w sobie cały tłum stuleciów wielkich. Gośćmi biednego młodzieńca byli wieszcze, mistrze, bohatery i wszystkie najświetniejsze postaci upłynionych starych dziejów.

Winkelman, chcąc atoli jako-tako obronić się nędzy, pisywał w różne strony, ofiarując siły swoje, a tak zwrócił się listownie i do zacnego *Gessnera* (*), znanego nam wszystkim od lat dziecięcych, jako autora sielanki „Śmierć Abla“. Nakoniec dostał się przecież jako nauczyciel do domu jakiegoś rotmistrza, a późniéj znów wychowywał dzieci jakiegoś urzędnika; a późniéj jeszcze udało się Boysenowi wyrobić mu nauczycielstwo szkółki w mieście Seehausen.

Przyjął to miejsce Winkelman, bo nie pozostawała inna nadzieja. Przez pięć następnych długich lat z całém poświęceniem uczył na elementarzu abecadła, jak się sam wyraża, „zgraję plugawych żaków“. I biedził się i mozolił z nimi wtedy, gdy wiersze Homera i chóry Eschyla lub Sofoklesa grały mu w duszy, i mimowolnie przechodziły z serca do drgających uniesieniem ust. Z gorliwością uczciwą i sumienną dopełniał Winkelman obowiązków wziętego na się urzędu; a przecież owa czerń, któréj nigdy na świecie nie braknie, która zawsze nieśmiertelna a któréj nigdy nie stać na zmysł odgadnienia znakomitego człowieka, zaczęła mruczéć i krakać na „niezdolnego“ Winkelmana, cierpkie czyniąc wyrzuty zacnemu Boysenowi, że, polecając takiego nauczyciela, raczéj dogodność Winkelmana niż dobro szkoły miał na celu. Ten młody człowiek atoli, wśród cierpkich uczuć i niegodnego znoju, nie upadał pod brzemieniem zawistném wstrętnego losu; w chwilach swobodniejszych, wyzwoliwszy się z gwaru i wrzasku a zaduchu izby szkolnéj, pracował i studyował z całém natężeniem sił swoich, niekiedy sypiając tylko trzy, a nawet niekiedy dwie godziny. Uczył się, prócz klassyków, jeszcze języka francuzkiego, włoskiego, angielskiego, a to bez żadnéj obcéj pomocy, używając kilka lichych grammatyk a lichszych jeszcze słowników, których mu był nastręczył szczęśliwy jakiś przypadek.

Mówiliśmy, że pięć lat tak przemęczył w tém piekle bakałarskiém Winkelman; już przeszło 30 lat upłynęło mu życia, — życia tak pięknego, tak pełnego treści duchowéj. Lubo bez środków a widoków, byłby pewnie porzucił i tych żaków, i elementarz i nauczycielstwo swoje, które ssało z ducha jego najszlachetniejszą treść, gdyby nie pamięć na starego osiwiałego ojca. On mógł, jak prawi biograf jego, wszystkie trudności przełamać, przemódz wszelkie zawady — lecz ojca zgrzybiałego opuścić, toć dla niego było niepodo-

(*) Salomon *Gessner*, poeta szwajcarski, ur. 1730 † 1787 r. — St.

bieństwem. Wszak, co uzbierał krwawego grosza, posyłał starcowi, by podtrzymywać ostatnie dni jego.

Niezadługo atoli doszła go wiadomość, że ojciec jego a dobroczyńca śmiertelną niemocą złożony. Pośpieszył tedy do Stendal, ucałował ręce ojcowskie i serdecznie nad łożem umarłego zapłakał. Teraz stanął samotny na świecie; ale czuł się być silnym a potężnym, bo duch jego był zbogacony dorobkiem całéj wielkiéj klassycznéj przeszłości, i posilony błogosławieństwem starca, któremu był pomocą wierną, i pociechą i dumą uczciwą.

Żył wtedy, obok Augusta III, króla polskiego a saskiego elektora, hr. Bünau, minister, mąż rzadkich zalet, bo wspierał artystów i uczonych, a sam był uczony; do niego to udaje się listownie Winkelman, ofiarując mu się za bibliotekarza do prywatnego jego zbioru ksiąg. Bünau odpisuje, że miejsce żądane już jest przez innego literata zajęte, ale zapytuje, czyliby nie zechciał przyjąć sekretarstwa w bibliotece, z pensyą roczną 80 talarów (!) — Winkelman, przeczytawszy list, odetchnął głęboko, odetchnął wolnemi piersiami, i, jak sam się wyraża, przycisnął list zbawczy do ust i przycisnął go do serca. Teraz on wyswobodzony od onych mąk, co mu trzewia wolnym jadem żywotną moc i zdrowie duchowe. Tak biedne 80 talarów zdołały odrodzić siły wielkiego Winkelmana; tak to szczupluchna pomoc dokazać niekiedy zdoła ogromnych rzeczy, dodając otuchy człowiekowi o wielkim geniuszu, otuchy, o któréj się ani śniło tym, którzy, będąc materyalnie niezawisłymi w świecie, ani czuć ani ocenić nie umieją całego szczęścia stanowiska swojego w życiu.

Te ośmdziesiąt talarów, lubo zaiste nierównie więcéj znaczyły w ówczesnym braku pieniędzy niż dziś, były przecież i naówczas wielce pomierną sumką; ona atoli wystarczyła do zaspokojenia wszelkich potrzeb skromnego życia Winkelmana. Jakoż główniejszą rubryką jego wydatków były suknie, bo do charakteryzujących go rysów, jemu właściwych, należy dbałość o powierzchowność a zewnętrzność. I tém właśnie różnił się od wielu współczesnych, a nawet późniejszych uczonych niemieckich i nieniemieckich, którym się zdawało i zdaje, jakoby ubiór rozczochrany i na poły cyniczny był cechą nierozdzielną od literatury i erudycyi. Co więcéj, Winkelman, jak podobno rzekłem powyżéj, był urodziwy, piękny, — a dość też był rad tym przymiotom swojéj osoby. Otóż to dbanie o powierzchowność również, jak mnie się zdaje, czyni go podobnym do onych starożytnych Grekow i estetycznego ich usposobienia.

Winkelman był we czci wysokiéj u hrabi Bünau, rozkoszował w skarbach ksiąg rzadkich i kosztownych, o których dawniéj ani wiedział; oczyma pochłaniał ryciny, przedstawiające arcydzieła starożytnéj sztuki; nadto poblizkie Drezno sprowadzało go często do siebie. Więc rozpatrywał się w onéj przesławnéj galeryi drezdeńskiéj obrazów największych mistrzów; nadewszystko jednak studyował zabytki starożytnéj rzeźby. Grono znakomitych ludzi, bawiących naówczas w saskiéj stolicy, wnet odgadło głębie umysłowe tego nadzwyczajnego człowieka; otoczyli go tedy poważaniem i szczerą miłością. Ich towarzystwo poszło też na korzyść Winkelmanowi, bo rozmowy z uczonymi i artystami ułatwiły mu rozpatrzenie się w pięknościach sztuki, i poznanie jéj wdzięków i uroków ukrytych dla zwyczajnego oka.



Wnet atoli nad losami jego zapłonęła gwiazda, co go miała powieść do celu wszystkich pragnień serca jego, co miała urzeczywistnić dawne marzenia, co mu miała być przewodnicą ujrzenia Włoch i Rzymu. Rzecz tak się miała. W domu hrabiego Bünau bywał często monsignor Archinto, nuncyusz papiezki. On sam, będąc człowiekiem wielkiéj nauki, bystrością właściwą swojemu narodowi, wrychle odgadł geniusz Winkelmana i nadzwyczajną jego uczoność; miłość do chwały własnego kraju podała posłowi myśl, czyliby Winkelmana nie mógł pozyskać dla ziemi włoskiéj. Pewnego razu tedy, wśród poufałéj z nim rozmowy, rzucił pytanie, czyliby nie chciał udać się do Rzymu? dodając, że może nie będzie rzeczą trudną wyrobić mu tam jakie bibliotekarstwo. Zadygotał w sobie radością na tę propozycyę Winkelman, widząc się tuż u celu tak gorących nadziei swoich. Nuncyusz oświadczył, że warunkiem koniecznym do otrzymania téj posady jest wrócenie na łono Kościoła katolickiego. Winkelman okazał się chętnym w téj mierze. Różni różnie tłómaczą gotowość woli jego; są atoli zdania, pełne powagi, twierdzące, że wczytanie się jego w Ojców Kościoła mogło wywrzéć wpływ potężny na umysł jego. Bądź co bądź, to pewna, że wśród całego życia swojego Winkelman doznał najwięcéj pomocnéj życzliwości od katolików; z téj strony przyszły mu wszystkie zwroty szczęśliwe w losie jego.

Zanim się atoli sprawa co do posady rzymskiéj z nuncyuszem ostatecznie ułożyła, Archinto wyjechał do Wiednia, zostawując Winkelmanowi list polecający do ojca Raucha, spowiednika króla polskiego. Ojciec Rauch tak rzeczą pokierował, że król wyznaczył naszemu starożytnikowi 200 talarów pensyi rocznéj na dwa lata, aby przez ten czas mógł żyć w Rzymie niezawiśle, i oddać się w zupełności i z pełną swobodą ulubionym sobie studyom.

Podobno w téj chwili trudno było znaléźć na całym okręgu świata szczęśliwszego człowieka nad Winkelmana. Wnet też uroczyście przyjął wiarę naszego Kościoła (r. 1754).

W roku następnym wydał rzecz „O naśladowaniu dzieł sztuki greckiéj“. Do napisania téj książki skłonili go wielbiciele jego, pragnący, aby już teraz świat nabrał jakiegoś wyobrażenia o geniuszu świetnym ich przyjaciela. Zaiste, pismo to ocuciło wszystkich z letargu, półgłowe niedouki wykrzykiwali na zuchwalstwo jego pomysłów; ludzie głębsi a poczciwsi cieszyli się sławą nowego pisarza i wielką nadzieją, która się już w nim wyświecała. Nakoniec roku 1755 w jesieni Winkelman wyjechał do Rzymu.

I stanął w Rzymie — tém ognisku a sercu starożytnego świata! „Na pierwszy widok olśniał, potém uderzony był podziwem bez miary, a w końcu opłynęło go morze rozkoszy, gdy patrzał żywemi oczami na te przedmioty, którym dawno już był duchem swoim obecny, które ukochał już od wiosennych lat całém pełném sercem“; — tak się wyraża prawie dosłownie o nim jeden z jego biografów, dodając, że uczucia, które przejmowały Winkelmana w Rzymie, nie mogą być oddane piórem; te uczucia, samo tylko serce zrozumiéć zdoła.

Winkelman, zaraz w pierwszych godzinach swojego pobytu w Rzymie, był jakby wśród własnéj rodziny, jakby wśród własnéj ojczyzny swojéj.

Już jedynie polotem dotkniemy się reszty życia jego. Od chwili, gdy stanął w Rzymie, aż do chwili jego zgonu, przepłynęło tylko lat trzynaście; atoli ten nieliczny szereg lat był szeregiem tryumfów i świetnéj chwały, był to czas niewypowiedzianéj rozkoszy duchowéj. W téj to krótkiéj epoce życia swojego Winkelman zbudował sobie pomniki, które już wieki przetrwają. Co mu sam Rzym nastręczył, co mu poddawały kilkakrotne podróże jego — już to do Neapolu, już do Florencyi — wszystko to składał w pismach swoich. Dzieła większe i mniejsze, pisane w szybkiém następstwie w czasie jego pobytu we Włoszech, rodziły się w duszy, wrzącéj i kipiącéj zapałem. Pomijając inne jego prace, wspominam o niektórych, np. jego odkryciach uczynionych w Herkulanum; późniéj pisał o starożytnych pomnikach niewydanych jeszcze (Monumenti antichi inediti) —, daléj o znaczeniu allegoryi, — następnie skreślił myśli swoje „O uczuciu piękności“, a w roku 1764 pojawiła się w Dreznie jego „Historya Sztuki“.

Genialność, ogromna erudycya, były cechą tych wszystkich prac jego, a nadto odznaczyły się one osobliwszym darem kombinacyi, przy zadziwiającéj, obszernéj i wiernéj pamięci. Gdy Winkelman patrzał na jakie dzieło sztuki, już jakby błyskawicą ocknęły się w duchu jego wszystkie ustępy, wszystkie wspominki, odnoszące się do tego przedmiotu a czytane kiedyś, gdzieś, w jakimś starożytnym pisarzu; ale nie dość, że te urywkowe zdania wypłynęły mu z duszy na jaw, lecz one wiązały się w okamgnieniu w całość organiczną. A pamięć jego iście była tak potężna, że jéj zupełnie zaufał; więc najczęściéj przywodził, pisząc na pamięć miejsca autorów, nie zaziérając nawet w źródła, by się przekonać, czy się w téj cytacyi nie pomylił — a pomyłka téż rzadko kiedy się zdarzyła. Im dłużéj, za lat młodości, geniusz jego zazdrościwym losem trzymany był na uwięzi, tém więcéj teraz, czując się swobodnym, wolnym i szczęśliwym, wzmógł się Winkelman w duchu wszechmocną siłą, a parła go nieprzezwyciężona moc, aby myśli swoje, rodzące się w toniach najgłębszych jego istoty, oddał śpiesznie światu. Tak się tedy działo, że zanim jaka książka jego była wydrukowana, już byłby ją pod



wieln względami powtórnie inaczéj napisał, jużby był wiele ustępów inaczéj oddał, inne całkiem odmienił. A najważniejsze dzieła jego bez zwłoki tłómaczone były na obce języki.

Krom zarzutu takowego zbytniego pośpiechu, spotyka zwykle prace Winkelmana jeszcze i ten, że w nich stosunkowo tak mało trudni się malarstwem starożytném; jabym atoli ośmielił się twierdzić, że to chłodniejsze uczucie jego dla malarstwa wypływa z właściwéj cechy jego ducha, bo on kochał i cenił przedewszystkiém rzeźby, a ta przeważająca miłość jego do téj sztuki właśnie rodzi się z jego wskroś klassycznego usposobienia —, i z téj strony Winkelman, mimo wiedzy własnéj, staje się Grekom podobnym.

Takowe podobieństwo jego ze starożytną Helladą, już kilkakrotnie powyżéj przez nas wyświecone, występuje jeszcze pod innym względem w samym Rzymie. Już za pacholęcego wieku przyjaźń idealna, nieznająca granic w poświęceniu, jak ją pojmował świat starożytny, była dla Winkelmana najwyższą potrzebą duszy, najgorętszą żądzą serca; i właśnie ta tęsknota ukochania kogoś całą duszą rzucała go często w objęcia niegodnych go przyjaciół: tak, między innymi, sam ów sławny malarz *R. Mengs* *), któremu się Winkelman całą duszą oddał i całego siebie powierzył, za to przywiązanie serdeczne obraził go w najtkliwszych uczuciach jego i odpłacił mu zdradą.

Wśród takowych bolesnych zawodów, raniących serce jego, nie brakło mu przecież zkądinąd z duszy przyjaciół, a między nimi już pierwsze miejsce trzymali kardynałowie Passionei i Aleksander Albani, co, kochając sztukę i umiejętność, mieli go we czci wysokiéj. Mianowicie Albani uważał go za przyjaciela i brata, i z miłością do serca przytulił. Tak na stopę europejską wielki pan i ubogi uczony połączeni byli ślubem wzajemnego poważania i braterstwa, a kapłanką, łączącą ich przymierzem przeczystém, była ona piękność klassycznego świata, co w koło nich skamieniała w postaci marmuru. Willa kardynała, co pełna przepychu i arcydzieł rzeźbionych, ta willa, co dziś jeszcze jest skarbnicą sztuki, ona była jakby własnym domem Winkelmana; on w niéj tak rządził a gospodarzył, jakoby w domu u siebie; więc téż cały lud rzymski żartem nazywał ją willą Winkelmana.

Lecz inne jeszcze go czekały honory: papież Benedykt XIV (Lambertini) chciał poznać Winkelmana, o którym był tyle już słyszał, a pragnąc zaszczycić go najwyższą oznaką poważania, wezwał go, aby mu odczytał niektóre ustępy z jego dzieła: *Monumenti Inediti*. To się stało. A tak Winkelmana spotkał najświetniejszy za-

*) Rafael *Mengs*, znany przedstawiciel eklektycznego kierunku w nowszém malarstwie, ur. w Czechach 1728 r. um. w Rzymie jako Dyrektor Akademii malarstwa r. 1779. — St.

szczyt, jakiego tylko mogły doznać zasługi autorskie. Gdy zaś przyjaciel jego i dobrodziéj kardynał Albani zajął urząd bibliotekarza Watykanu, już zaświeciła i Winkelmanowi pewna nadzieja otrzymania pierwszéj posady, którąby była opróżnioną przy watykańskiéj bibliotece. Widział tedy zapewnioną przyszłość swoją na całe życie. Nadto przyjechał pod te czasy do Rzymu dawny jego opiekun Archinto i został kardynałem. Więc téż niezadługo przyjaźń zacnych dygnitarzy Kościoła, a więcéj jeszcze własne zasługi wyniosły go na godność, przewyższającą wszelkie nadzieje jego; bo Winkelman był mianowany „Prezydentem wszelkich pomników w Rzymie i koło Rzymu".

Mimo stanowiska tak pełnego zaszczytu i korzyści materyalnych, Winkelman, wiedziony uczuciem powinności, pragnął obrócić siły swoje na użytek własnego kraju; więc ofiarował służby swoje własnemu królowi Fryderykowi II. Zapewne uważał on, że gdy Wolterowi i innym Francuzom, hodowanym w Poczdamie, tak było dobrze i błogo pod bokiem pruskiego króla, toć przecież może się i znajdzie miejsce jakie dla swojego, a mianowicie dla własnego poddanego. Ale układy pod tym względem skończyły się na niczém. Wygoił się atoli wnet Winkelman z téj lekkiéj rany, lecz za to powziął myśl niezłomną zostania na życie całe na téj wdzięcznéj i tak lubéj ziemi włoskiéj; zaczął więc już uważać siebie za przyswojonego syna wiekuistéj Romy.

W życiorysie Winkelmana, umieszczonym na wstępie do jego Historyi sztuki starożytéj, widzimy jak to około owego czasu różne miasta niemieckie, słysząc o uwielbieniu Włochów dla tego męża, rade były okazać światu, że i one nie są obojętne na chwałę a zasługi wielkiego ziomka; zapraszały go tedy zewsząd, ofiarując zaszczytne posady. Szkoda tylko, powiada autor owéj biografii, że się zapóźno na te uprzejmości zdobyły, i że potrzeba zwykle, aby wprzód Hiszpania, albo Francya, albo Włochy poznały się na geniuszu jakiego mistrza, muzyka, lub uczonego niemieckiego, zanim same Niemcy oddadzą mu cześć i uznanie należne.

Lubo atoli Winkelman nie zmienił postanowienia swojego, pragnąc we Włoszech żyć i umierać, nie mógł się jednak oprzéć gorącym życzeniom a prośbom licznych przyjaciół i kolegów z dawnych lat, naglących z całą serdecznością, aby ich przecież odwiedził w stronach rodzinnych.

Wyjechał tedy z Rzymu na te odwiedziny nieszczęsne.

Było to na wiosnę w r. 1768, gdy Winkelman wybrał się z Rzymu w towarzystwie rzeźbiarza Cavaceppi (Bartolomeo), co mu był przyjacielem i chował dla niego wdzięczność prawdziwą, za udzielone mu rady i nauki tak zbawiennie działające na jego pojmowanie sztuki. Droga prowadziła przez Tyrol. Oddech Alp majestatycznych, tchy wiosenne, ubierające naturę w ślubne szaty pełne wdzięku, owiały go w około. Przecież te cudowne uroki przyrody nie zdoła-



ły utulić w piersiach jego żałobnéj tęsknoty; jakieś złowrogie wróżby wewnętrzne, jakieś brzemię ciężkie przycisnęło mu serce kamieniem. A ile razy obaczył budowanie gotyckie o stromych ostrych liniach, serce płakało mu żałośnie, wyrywając się za formami klassycznemi starożytnego świata, a które już był daleko za sobą na południu zostawił. I coraz żałośniéj i coraz smętniéj zachodziło mu serce niepokojem. Daremnie rozweselał go towarzysz podróży Cavaceppi, bo Winkelmana dusza zwracała się do Włoch, do Rzymu, jakby do ojczyzny swojéj, ukochanéj od dziecięcych lat, boć tam unosiły się wszystkie miłości i tchy duszy jego. Widok Augsburga, Monachium nie rozwiał ciemnego obłoku, co ciążył na uczuciach jego. W Ratyzbonie oświadczył swojemu towarzyszowi i przyjacielowi, że już nie zdolen puścić się daléj do Drezna ani do Berlina, że wróci sam wprost do Włoch, do swojego ukochanego Latium i do Wielkiéj Grecyi. Zaledwie Cavaceppi namówił go, że skierował drogę przez Wiedeń. Tu przybywszy osłabł w sobie, jakby trapiony niepokonaném przeczuciem nieszczęścia; a gdy zewsząd nacierano na niego namową, aby w Niemczech pozostał, wtedy, walcząc między tęsknotą do Włoch a miłością rodzinnego kraju, został rzucony gorączką na łożę, i w ciężkiéj niemocy odchorował niepokoje swoje. Gdy wrócił do sił, minister Kaunitz otoczył go życzliwością szczerą i obdarzył bogatemi upominki; niezadługo miał téż Winkelman pochlebne posłuchanie u cesarzowéj Maryi Teressy i również od niéj został zaszczycony darami w oznakę poważania.

Obejrzawszy wszystkie zbiory sztuki i galerye obrazów w Wiedniu, ruszył Winkelman d. 28 Maja 1768 r. z Wiednia do Tryestu; ale tym razem sam jeden bez towarzysza.

Tegoż samego dnia, nawet téj saméj godziny, gdy Winkelman wyjeżdżał z bram Wiednia, śpiesząc ku Tryestowi, przybywa do tegoż miasta człowiek nikomu nieznany, udaje się do Locanda Grande i tam zajmuje na drugiém piętrze małą izdebkę pod Nr. 9. Nikt z ludzi, należących do oberży, nie spostrzegł u niego ani tłómoczka, ani żadnego innego pakunku z rzeczami.

Dnia 1 Czerwca, było to we środę o godzinie 11-éj przedpołudniowéj, zajeżdża poczta wiedeńska do Tryestu; z niéj wysiada podróżny, udaje się do Locanda Grande i zajmuje w niéj pokój pod Nr. 10. Pokój ten ma dwa okna, wychodzące na port wewnętrzny, a jedno okno zwrócone na dziedziniec oberży. Nr. 10 graniczy z numerem 9; drzwi obu tych mieszkań tylko o siedm kroków oddalone od siebie.

Podróżnym z Nr. 10 jest Jan Winkelman; sąsiadem jego w N. 9 jest Franciszek Arcangeli — jego morderca.

Godzina południowa. — Wszyscy podróżni, mieszkający w oberży, zbierają się w sali restauracyjnéj i zasiadają do obiadu około wspólnego okrągłego stołu. Zasiada i Winkelman; tuż przy boku jego Arcangeli.

W czasie obiadu Winkelman pyta gospodarza, czyli nie wie o jakim statku, coby bez zwłoki miał odpłynąć do Wenecyi? Gospodarz odpowiada, że nie ma żadnéj wiadomości w tym względzie. W téj chwili, przerywając rozmowę, odzywa się Arcangeli z zapewnieniem, iż zna okrętowego kapitana, który właśnie zamyśla przeprawić się do Wenecyi. Winkelman prosi nieznajomego towarzysza, aby mu zechciał wskazać ten statek. Arcangeli oświadcza się z chętną gotowością, dodając, że po obiedzie nawet z okna sali będzie mógł widzieć rzeczony okręt, gdyż ten stanął na kotwicy tuż przed oberżą. Winkelman przypatrzył się teraz bliżéj swojemu sąsiadowi. Byłto człowiek, mający około lat 40, wzrostu średniego, twarzy brunatnéj nieco dziobatéj; oczy jego były siwe, brwi i włosy czarne, czoło nizkie. Suknie jego przyzwoite, lubo wytarte i zużyte.

Po obiedzie, Arcangeli i Winkelman wybrali się wspólnie do owego kapitana; ten atoli im oświadcza, że ruszyć nie może, bo jeszcze czeka na uzupełnienie ładunku. Lecz słyszą zarazem o innym okręcie, który ma jeszcze tego tygodnia wypłynąć wprost do Ankony; gdy jednak przypadkiem jego kapitan nie był obecny, więc Winkelman i Arcangeli umyślili późniéj się z nim obaczyć, a tymczasem wracają razem do Lokandy. Winkelman udaje się do swojego pokoju, by sobie nieco odpocząć. O godzinie piątéj znów się oba schodzą, i stojąc przy oknie rozprawiają o podróży Winkelmana; ten dziękuje Arcangelemu za uprzejme przysługi, które mu wyświadczył. Wieczorem poszli wspólnie do kawiarni na kawę, a wrócili razem do domu. Już było ciemno. Winkelman wstąpił do izby Arcangelego, — tam téż przyniesiono świece i dla obudwóch wieczerzę; ale Winkelman, wedle zwyczaju swojego, przestał na chlebie i winie (*).

Tak tedy zeszedł dzień pierwszy pobytu Winkelmana w Tryeście i znajomości jego ze zabójcą swoim.

Gdy na nieszczęście pogoda niepomyślna trzymała statki w porcie, więcz dniana dzień odraczał się odjazd Winkelmana. Coraz téż poufaléj a poufaléj zbliżał się do niego Arcangeli. Widywano ich obudwóch prawie ciągle razem; razem jadali obiad, razem odprawiali przechadzki, razem téż wstępowali na kawę, którą z kolei płacili; coraz téż zabójca ściśléj a ściśléj matnił w sidła ofiarę swoją.

Nie przypisujemy atoli Winkelmanowi jakiéjś nieoględności we wdawaniu się niby z człowiekiem pierwszym lepszym, jaki mu się nawinął; bo otrzymawszy od Arcangelego dowody usłużności, w każdym razie tak miłéj, trudno mu było szorstkiém obchodzeniem się odczepić go od siebie, zwłaszcza, gdy samo sąsiedztwo izb utrudniało już usunienie się od nieznajomego; przytém Arcangeli zdawał mu się być rządnego, skromnego usposobienia. Zważmy także, iż gdy Winkelman zamyślał jedynie w przelocie dotknąć Tryestu, gdy tedy co godzina mógł się spodziewać znalezienia statku, któryby go przeprawił do Wenecyi, więc téż mógł uważać stosunek swój z Arcangelim za chwilowy, przelotny, który lada kiedy się przerwie, a tém samém mniéj miał wstrętu do wdawania się bliższego z człowiekiem nieznanym bliżéj. Dodajmy do tego, że dla spodziewanego krótkiego pobytu w Tryeście żył zupełnie samotnym, nie szukał sobie znajomości w domach tamtejszych i pragnął być niepoznanym w tém mieście. Prawda i to, że zacne i szlachetne z natury serce jego nie przeczuwało téż łatwo w drugim zdrady, jak to widzieliśmy w stosunkach jego z Mengsem. Mimo to, jest rzeczą pewną, że przestając z Arcangelim miał się na baczności, zachowując zwykłą oględność, którą się przestrzega w stosunkach do ludzi nieznanych i w obcym kraju. Tak np. nie pokazywał nigdy większych zapasów pieniędzy, mając zawsze przy sobie tylko nieco drobnéj monety na opatrzenie małych potrzeb bieżących. Zdaje się, że raz tylko odstąpił od zwyczajnéj ostrożności swojéj. Rzecz tak się miała. Naówczas nieznano jeszcze dzisiejszych przepisów policyjnych; więc ani Arcangeli, ani sam nawet oberżysta nie wiedział ani o stanie, ani o nazwisku Winkelmana; nazywano go włoskim zwyczajem po imieniu. Przecież samemu Arcangelemu wiele zależało na wywiedzeniu się o bliższych okolicznościach, dotyczących jego towarzysza, aby tém łatwiéj mógł go oplątać zdradą swoją. Wziął się tedy na podstęp, by dopiąć tego celu swojego. Było to właśnie czwartego dnia miesiąca i bytności Winkelmana w Tryeście, gdy w czasie przechadzki wśród potocznéj a poufałéj rozmowy, Arcangeli, czyniąc niby zwierzenia nieszczęśliwemu, powiedział mu, jakoby oberżysta miał jakieś wątpienia i niepewności co do osoby i stanu Winkelmana. Ten się uśmiechnął i rzekł, że gospodarz może być zupełnie spokojnym, że bynajmniéj nie jest człowiekiem niebezpiecznym; a gdy wrócili do domu, pokazał Arcangelemu pasport swój i listy polecające go różnym włoskim domom kupieckim. Wte-

(*) Sądzę, że rozpisując się nieco obszerniéj nad szczegółami, odnoszącémi się do ostatnich ośmiu dni życia Winkelmana, więc do pobytu jego w Tryeście, przysłużę się może czytelnikowi już to dla saméj wagi wielkiego tego męża, już to dla tego, że bardzo często ten ostatni tydzień żywota jego jest i niedostatecznie i błędnie przedstawiony, nawet przez biografów niemieckich. Opierałem się zaś, co do tych szczegółów, na obszernéj a wielce zasłużonéj pracy szanownego *Rosetti: L'ultima settimana della vitta di Giovanni Winkelman*"; pismo to tém wyższéj jest wartości, iż czerpane było głównie ze źródeł urzędowych, a mianowicie z aktów kryminalnego procesu. Nasz zacny i tak świetnych zasług Stan. Potocki w dziele swojém: *O sztuce u dawnych czyli Winkelman Polski. Warsz.* 1815, wspominając o życiu Winkelmana, dotknął tylko kilku wyrazami zgonu jego (T. I, str. 104), nie mógł atoli uniknąć w téj mierze pomyłek, rozsianych za czasów jego o poznaniu się Winkelmana z Arcangelim.

Wszak to był Rosetti, który pierwszy poruszył umysły w Tryeście do wystawienia grobowego pomnika, choć ten jego zamysł poczęty w r. 1808 nie przyszedł zrazu do skutku.

dy chytromówny łotr, stawiając dalsze zasadzki, miota obelgi na gospodarza, niby oburzony jego ciekawością. Ujęty tym podstępem obłudnym, Winkelman dodaje, że jest nawet osobiście znany ministrowi Kaunitzowi i saméj cesarzowéj Maryi Teressie; że od obojga otrzymał w upominku kosztowne srebrne i złote medaliony. — Wiadomość o kosztownych medalach utwierdziła niezłomnie plan demoniczny w sercu złoczyńcy, poczęty już od pierwszéj chwili zbliżenia się jego do Winkelmana.

Nie przeczuwał zacny ten człowiek potęgi złego, która robiła w duszy jego towarzysza, ani odgadywał, kim to jest ten towarzysz, i że mu właśnie zgubę gotuje w tych chwilach krótkich, w których się od niego oddalał.

Ten Arcangeli był urodzony w Campiglio; będąc jeszcze 16-letim chłopcem, uciekł z domu ojca swojego, ubogiego wieśniaka; udał się do Florencyi, tam służył za kuchcika w domu książęcym; po dwóch latach został kucharzem u hr. Bordi, późniéj dostaje się do Wiednia i służy w domu hr. Cattaldi — wrychle okrada pana swojego z pieniędzy — ucieka do Prezburga, tam przebiera się w strój węgierski, wraca przelotem przez Wiedeń, udaje się ku Włochom. Lecz w Lublanie schwytany przez władzę, ogłocony z pieniędzy ukradzionych, zaprowadzony został napowrót do Wiednia, gdzie był skazany na cztery lata kajdan i pracę publiczną. Tymczasem, właśnie w trzy łata po tym wyroku, z powodu zaślubin arcyksięcia Leopolda, wielu więźniów miało skrócony sobie czas kary, między nimi znajdował się na nieszczęście i Arcangeli. Był to znów ów fatalizm złowrogi, który szedł trop w trop za Winkelmanem w ostatnich czasach jego żywota. Bo gdyby Arcangeli — powiada jego biograf—nie był wypuszczony na wolność, już zamiast spotkania się w Tryeście z Winkelmanem, byłby jeszcze w więzieniu dosiadywał wyroku swojego, a ten wielki człowiek nie byłby padł z jego ręki. Arcangeli uwolniony włóczy się po Wenecyi, z tamtąd wraca do Tryestu, szukając jakiego umieszczenia dla siebie; gdy go nadzieje zawiodły, wraca do Wenecyi. Po niejakim czasie znowu udaje się do Tryestu, a było to jak wiemy, w kilka dni przed przybyciem Winkelmana do tego miasta.

Ze wszystkich okoliczności wykazuje się jawnie, że Arcangeli miał zamiar popełnienia jakiéj zbrodni w Tryeście; bo miejsce było do tego wielce sposobném, zwłaszcza dla napływu cudzoziemców i znakomitego ruchu handlowego. Z tego to właśnie powodu stanął w najcelniejszéj oberży miasta, dla tego właśnie weneckim przyjaciołom kazał pisywać do siebie na ręce niejakiego O. Bosizio, dla tego uczepił się Winkelmana, z którym o ścianę sąsiadował.

Gdy dla Winkelmana był pełen niby dobrodusznych chęci, serce jego zepsute lęgło zdradę ohydną. Aby mógł pokazać w oczach Winkelmana, że mu nie brak pieniędzy, zastawia za kilka reńskich złotą obrączkę i czyni wszelkie przygotowania do mordu. Niedługo



potém tak nieznacznie pokierował rozmowę z Winkelmanem, że się od niego dowiedział o znakomitéj wartości pieniężnéj owych medalionów; chciwość rozpaliła się chucią gwałtowną. Zatém party złym duchem, dnia 7 Czerwca wieczorem poszedł cichaczem do sklepu i kupił nóż na piędź długi, z pochwą. Mając ten nóż w kieszeni udaje się wedle zwyczaju razem z Winkelmanem do kawiarni na wieczerzę i pijąc z nim kawę, z przyjacielska i poufnie gawędzi o jego podróży do Wenecyi. Zdaje się, iż wtedy długa zwłoka już była do tego stopnia zniecierpliwiła Winkelmana, że tego wieczora oświadczył, iż woli swą drogę odprawić lądem, niż czekać dłużéj na wiatr pomyślny. Te wyrazy przestrzegły zdrajcę, że mu się potrzeba albo pośpieszyć z zamysłem, albo go zupełnie zaniechać. Więc znowu opuszcza na chwilę Winkelmana, wstępuje do innego sklepu i kupuje sobie postronek, i znów wraca do kawiarni na gawędę z towarzyszem swoim. Gdy się zmierzchało, pożegnał się z nieszczęśliwym i udał się pokryjomu do domu. Tu skręca stryczek i, uczyniwszy kluczkę, kładzie go razem z nożem na stołku i przykrywa sukniami, by miał wszystko na podorędziu w każdéj chwili.

Winkelman wraca późniéj niż zwykle; wstępuje atoli jeszcze do swojego przyjaciela. — Wieczerza. — Już zbrodniarz miał dokonać zamysłu, ale nikczemną duszę ogarnęły strachy — nawzajem podają sobie rękę na dobranoc — Winkelman udaje się do swojéj izby na noc ostatnią.

Zaświtał nakoniec 8-my Czerwca: była to środa, dzień tak straszny, straszny zwłaszcza, jak się wyraża Rosseti, dla przyjaciół umiejętności i sztuki.

Arcangeli, wbrew zwyczajowi swojemu, zrana nie wita się ze sąsiadem swoim; ale idzie na samotną przechadzkę, zapewne by nabyć odwagi do okropnéj zbrodni. Tymczasem Winkelman, nie znalazłszy towarzysza w jego izbie, poszedł do kawiarni; tam mu powiadają, że Arcangeli właśnie co wyszedł. Winkelman oddala się, mówiąc, że ma nadzieję spotkania się z nim i że pójdzie naprzeciwko niego. Gdy się to dzieje, złoczyńca upatruje u brzegu łódź, którąby mógł zamówić dla ucieczki do Monfalcone; przecież nie mógł dobić targu.

Potém wraca do domu, a mając morderstwo w sercu, stroi żarty ze służącą oberży, zajętą sprzątaniem izby. Następnie, a było to około 9 godziny przed południowéj, wszedł do pokoju Winkelmana. Ten właśnie usiadł był przy stoliku, umieszczonym między oknami, wychodzącemi na port; złożył był suknie zwierzchnie, krawat i perukę, i zajął się pisaniem, jak się zdaje, dodatków do nowego wydania „Historyi Sztuki“. Obaczywszy gościa swojego, wstaje i, idąc naprzeciw niemu, wita go serdecznie i oznajmia, że dziś jeszcze, dziś wieczorem wyjeżdża, a z uniesieniem radośném prawi mu o powrocie swoim do Rzymu. Zaprasza go, aby go odwiedził w téj stolicy świata, prawi jak tam cudnie, jak tam pięknie w pałacu kardynała Al-

bani; obiecuje, że mu wszystko pokaże i że jego przyjaciel obaczy, w jakim on poszanowaniu u ludzi, i jak mu dobrze w tym ukochanym Rzymie. Podczas téj rozmowy służąca, będąca w izbie, ściele łóżko i zamiata izbę; ona, choć słowa nie rozumiała po włosku, widziała atoli, że rozmowa toczyła się trybem przyjacielskim i spokojnym. Gdy skończyła robotę swoją, wyszła, zostawując obudwóch gawędzących poufale z sobą i chodzących razem po pokoju. Niezadługo weszła druga służąca, aby zabrać lichtarz, który został w pokoju; widziała ich jeszcze z sobą rozmawiających wesoło i uprzejmie.

W rychle Arcangeli opuszcza Winkelmana, śpieszy do swojéj izby, bierze nóż, wyjmuje go z pochwy, i razem z postronkiem ukrywszy go w kieszeni, wraca do Winkelmana pod pozorem, jakoby zapomniał chustki do nosa. Przy téj sposobności pyta, jakby z przypadku, czyliby Winkelman nie pokazał medalionów w czasie obiadu wspólnego w sali jadalnéj. „Nie chcę się chełpić przed wszystkimi“, odrzekł Winkelman. Wtedy znowu tamten pyta, dla czego nie chce wyjawić, kim rzeczywiście jest? — Na to odrzekł Winkelman: „nie życzę sobie być znanym“. — A gdy, jak się zdaje, natręctwo mu się nie podobało, zasiadł nanowo do stolika. Wtedy Arcangeli, skoczywszy niby wąż, zarzuca mu z tyłu postronek i ściska, ale Winkelman, zerwawszy się nagle, odpowiada napastnikowi gwałtownem uderzeniem. Morderca dobywa noża i naciera na Winkelmana; ten chwyta jedną ręką śmiało za ostrze, a drugą za gardło zabójcę. Szamocąc się z sobą i szarpiąc, zbliżają się do drzwi niemal na dwa kroki. Nie ma prawie wątpliwości, że Winkelman, będąc czerstwym i silnym, byłby przemógł Arcangelego; ale wśród pasowania się oba powalili się na ziemię, a tak nieszczęśliwie, że Winkelman legł na spodzie; — wtedy Arcangeli, mając już wolną rękę, zadaje mu pięć głębokich ran nożem.

Mimo dwóch okien izby, otwartych na ulicę, nikt z przechodzących nie słyszał hałasu ani krzyku — zdaje się, że wrzawa, panująca przy porcie, zatłumiła wołanie Winkelmana, a to tém bardziéj, że postronek przydusił głos jego. Atoli posługacz oberży Harthaber, zatrudniony na pierwszém piętrze w sali jadalnéj, znajdującéj się właśnie pod pokojem Winkelmana, usłyszał łoskot sprawiony przez wywrócenie obu pasujących się. Przystępuje do okna i słucha — wypada ze sali — i, wybiegłszy po schodach na drugie piętro, słyszy jęk i zdławiony krzyk. Nagle otwiera drzwi i widzi mordercę, jak z twarzą zwróconą ku drzwiom, ciężarem ciała swojego przyległ nieszczęśliwego, trzymając obie ręce na piersiach jego. Arcangeli, spostrzegłszy sługę, skoczył a szybkością błyskawicy rzuca się przeze drzwi, i bez kapelusza, bez surduta, z skrwawioną kamizelką ucieka po schodach.

Harthaber chce podnieść Winkelmana, lecz ten o własnych siłach powstał z ziemi i osłupiałemu słudze pokazując piersi, rzecze: „patrz, co mi uczynił“. Harthaber, który, jak wszyscy ludzie w oberży, przywykł uważać Winkelmana za przyjaciela domu, tak był uderzony strachem i żalem, że nie mógł zrazu przyjść do siebie; prosi jednak zranionego, aby chciał poczekać w izbie, póki mu nie sprowadzi chirurga. I wybiegł.



Winkelman atoli, pragnąc śpiesznego ratunku, powlókł się z nim na pierwsze piętro; chwiejąc się dochodzi do mieszkania gospodarza. Drzwi jednak były zamknięte! Wrychle jedna ze sług oberży, nie spostrzegając go, przebiega korytarzem do kuchni, ale w drodze słyszy wołanie przydławione: „Jezus! Jezus!“ I znów: „Teresso! Teresso!“ Wtedy dopiéro go spostrzega sinego i na twarzy oblanego krwią; lecz traci przytomność i bieży do kuchni z krzykiem oznajmując, że Winkelmanowi puściła się ustami krew. I znów nieszczęśliwy przez długie chwile został sam jeden; lewą ręką trzymał się poręczy schodów a prawą przyciskał do ran na piersiach, z których płynęła krew strumieniem. Co chwila ktoś przybywa, lecz przestrach tak powszechny, że nikt nie zdolen przyjść w pomoc biednemu: jeden rozumié, że jest samobójcą, drugi śpieszy po księdza, inny znów mdleje, widząc tyle krwi. Nakoniec przypadkowo przechodzi krawiec, mieszkający w oberży, i ten dopiéro zdejmuje duszący krwawy postronek z szyi Winkelmana.

Winkelman zaprowadzony do swojéj izby. Chirurgowie na zapytanie jego odpowiadają, że rany są śmiertelne. Umierający, zebrawszy ostatki sił, w krótkich wyrazach opowiada cały akt morderstwa; a czując się blizkim śmierci, przebacza zbrodniarzowi „z całego serca“ i oświadcza, „że podałby mu rękę na znak odpuszczenia winy“. Poczém każe skreślić ostatnią wolę, w któréj, krom mniejszych zapisów, uczynił kardynała Albani, swojego przyjaciela i dobrodzieja, dziedzicem całego majątku swojego. Opatrzony śś. Sakramentami umiera w siedm godzin po dokonanéj na nim zbrodni.

Zaledwie skonał Winkelman, a wiatr, tak długo przeciwny przeprawie morskiéj, nagle się odwrócił i mnóstwo statków wypłynęło do Wenecyi.

Tymczasem Arcangeli, jakeśmy rzekli, bez kapelusza, bez zwierzchniéj sukni, skrwawiony, nie zabrawszy nawet nędznych manatków swoich, wypadł z oberży, i dziwnym trafem, właśnie w téj porze dziennéj, w któréj ulice są najludniejsze, zdołał się wysunąć z miasta. Po wielu strachach i kłopotach, dostawszy zkądciś sukni, dobiegł gościńca, wiodącego do Lublany. Lecz po kilku dniach przytrzymany był przez żołnierzy jako człek podejrzany, odprowadzony do Adelsbergu, gdzie zaraz po pierwszém śledztwie wyznaje zbrodnię swoją. Wsadzony na wózek, dostawiony był do Tryestu. Zaledwie wieść po mieście gruchła, że wiozą schwytanego mordercę, w chwili ciżba tłumna ludu otacza wóz, okrzykami radości dając znać zadowolenie swoje, że prawo zgwałcone pomszczoném będzie. Zapadł wyrok. — Dnia 26 lipca, było to także we środę, na placu przed Locanda Grande Arcangeli skończył życie na kole.

Winkelmana zwłoki były pochowane bez uroczystego pogrzebu; bo on z nikim w mieście nie zabrał był znajomości — a choć dowiedziano się z pasportu o nazwisku jego, nikt w kupieckim Tryeście nie przeczuwał ogromnego znaczenia człowieka, którego chwała już się rozeszła po wszystkich krajach Europy. Pogrzebany był na cmentarzu bez krzyża, bez napisu; a gdy po szeregu lat zabrakło miejsca dla świeżych zwłok, wtedy wykopano wielki dół i w niego bez braku wrzucono kości ze wszystkich starych grobów, więc i kości Winkelmana. Zginęły przeto bez śladu znikome szczątki tego tak ogromnych zasług człowieka, a było to wówczas, gdy już z dzieł jego, przetłómaczonych na różne języki, świat uczył się poznawać arcydzieła sztuki; a było to wówczas, gdy każdy strzępek papieru, popisany jego ręką, przechowywano w pałacu Albani, jako drogi skarb. Tam zostały te pisma jego, póki ich Francuzi, ceniąc je wyżéj złota, nie zabrali, bogacąc niemi bibliotekę cesarską w Paryżu.

Dopiéro w najnowszych czasach wzniósł się pomnik grobowy na cmentarzu katedry Tryestu. Roślinność potężna, owiana tchem południowéj natury, szepce cieniom jego cześć, a fale morskie przygrywają téj cichéj mowie drzew i kwiatów.

Piękne są słowa pociechy i utulenia żalu, które wyrzekł Göthe, mówiąc o skonie Winkelmana: „On zniknął ze świata“ powiada Göthe „w chwili, gdy już stanął na wysokości szczęścia, jakiego tylko mógł zapragnąć. Do niego tęsknił kraj ojczysty, ku niemu zwracały się objęcia przyjaciół, oczekiwały go wszystkie oznaki miłości, któréj tak gorąco pragnęło serce jego; dla niego zgotowano wszystkie dowody, świadczące o uszanowaniu publiczném, które on sobie tak wysoko ważył. Zaiste on był szczęśliwym, bo z najwyższego szczebla doczesnego żywota uniósł się między duchy wiekuiste; bo krótkotrwały przestrach, bo przemijające cierpienia uprowadziły go z doczesności koła. On nie zaznał, czém jest ułomność późnego wieku, ani uczuł, czém ubytek sił duchowych — a nawet owo rozproszenie kosztownych skarbów sztuki w Rzymie już nie odbyło się przed oczyma jego. On żył jako mąż, on pożegnał świat jako mąż w potędze całéj swojéj siły. Tak tedy wszystkie szczęście stało się udziałem jego, że się pojawia potomności w swojéj pełnéj a czerstwéj mocy; — bo w jakiéj postaci człowiek opuszcza ziemię, w takiéj też chodzi wśród cieniów; wszak Achilles będzie dla nas na zawsze młodzieńcem, gorejącym chęcią najwyższéj chwały. I dla nas płynie korzyść z wczesnego zgonu Winkelmana. Bo od grobu jego tchnie na nas powiew świeżéj jego siły, co podnieca w duchu naszym pragnienie, byśmy to, co on począł, rozwinęli dalszém pasmem, z miłością a chęcią czerstwą, a nigdy nieznękaną.“

Zacne to są słowa Göthego. Lecz lubo prawda, że od czasów Winkelmana ze szczęściem i talentem następcy jego budowali umiejętność na węgłach, założonych przez tego wielkiego człowieka, i lubo prawda, że wiedza o dziejach sztuki znakomicie się dziś już



rozwinęła, toć podobno mało kto zbliżył się geniuszem do onego prawie jasnowidzenia przeszłości, co tak promiennie świeciło w duszy Winkelmana. Chętnie oddając hołdy i nowoczesnéj zasłudze, możnaby przecież powiedzieć, że w jakim się mamy stosunku my, powszednie i powierzchowne amatory sztuki, do ludzi, którzy dziś z powołania i talentu poświęcają się badaniu dziejów sztuk pięknych — w takim samym stosunku zostają znów ciż sami ludzie (z małym wyjątkiem) do wielkiego swojego przodka a mistrza — Winkelmana.

A jeżeli pełne prawdy są wyrazy Göthego, gdy mówi, że jest naszém prawem a powinnością, aby od czasu do czasu obchodzić uczciwém wspomnieniem pamięć tych mężów, co duchem stali się fundatorami niewyczerpanych nigdy zasobów umysłowych; więc i czytelnik mój zrozumie, że i ja tém biedném mojém wspomnieniem o Winkelmanie rad byłem oddać pokłon geniuszowi jego i odprawić, wedle możności mojéj, niby uroczyste choć tak skromne egzekwie na cześć pamięci jego.

Wszak Winkelman tak urosł w olbrzyma, że się stał chwałą wszystkich ludów, wszystkich krajów, a gwiazdą przyświecającą całemu naukowemu światu. A nam tém miléj oddać cześć i uwielbienie podobnym mu ludziom, że i Polsce nie braknie takich mężów, których geniusz stał się dziedzictwem całego rodu ludzkiego, którym wszystkie narody uplotły wieniec z niezgasłych nigdy promieni.

Trudnoby mi atoli przyszło ukończyć ten ustęp mój o Winkelmanie, nie wspomniawszy także z wdzięczną uczciwością o mężu, co pierwszy piórem polskiém oddał hołdy swoje zasługom tego człowieka; co szerząc chwałę i naukę jego wśród ziomków swoich, sam tak zacnie pomnożył chwałę własną na ziemi rodzinnéj — a tym mężem jest Stanisław hr. Potocki.

Jeszcze w r. 1803, a zatém przed półstuleciem Stanisław Potocki, potrącony pismami Winkelmana, oświadczył Towarzystwu Przyjaciół Nauk, że ma zamysł skreślenia dzieła o sztuce, przystępnego dla większego koła czytelników. We dwanaście lat późniéj, bo w r. 1815, dojawiło się to dzieło w trzech tomach pod tytułem: „O Sztuce u Dawnych, czyli Winkelman Polski“. — Tę pracę swoją zacny autor poświęcił małżonce swojéj w oznakę „wdzięczności, przyjaźni i szacunku“ (*).

(*) Lubo „Winkelman Polski“ St. Potockiego należy do dzieł ważnych w literaturze, przecież jest w ogóle niezmiernie mało znany publiczności czytającéj; to zjawisko dziwne można w części wytłómaczyć zbyt szczupłą ilością odbitych egzemplarzy, co znów stało się osobliwym trafem.

Rzecz, przynajmniéj jak słyszałem, tak się miała. Wiadomo, że „Winkelman Polski“ wyszedł z drukarni księży Pijarów. Hr. Potocki, sprzyjając całém sercem temu zacnemu zgromadzeniu, mającemu tyle zasług w kraju, darował mu rękopism tego dzieła. Gdy atoli chciano przystąpić do druku, rzecz znalazła opór w braciszku Siekierce. Był to staruszek przeszło 80-letni, siwy jak gołąbek; więc żwały

Lubo téj książce Potocki nie nadał znaczenia, jakie sobie pierwotnie zamierzył, przecież ona jest głośném świadectwem o szanownéj dążności i świetnych talentach autora. Potocki wprost oświadcza, że w dziele swojém „idzie w ślady Winkelmana, mimo odmian, skróceń i dodatków, które uważał za potrzebne“; a tak, obok samodzielności w zdaniach, umiał szanować geniusz swojego wielkiego wzorodawcy.

Prawda, że dzisiejszy świat naukowy może się nie zgodzi w zupełności na zapatrywanie się Potockiego; prawda, żeby już z nim nie podzielał wszelkich jego pojęć estetycznych; ten postęp jednak nie jest naszą osobistą zasługą, lecz raczéj wypływem onych pięciu dziesiątków lat, które świat nie mógł przecież w nieczynności strawić, zostawując ugorem pole ludzkiéj wiedzy. A cześć dla Potockiego tém silniéj wzmaga się w sercu naszém, gdy zważymy w nim tę rzadką potęgę ducha, która, na przemiany, to go czyniła jakby uczonym z powołania, łamiącym się w zaciszu pracowni swojéj, to go wyprowadzała na jaw jako męża stanu w życie rzeczywiste i publiczne. Gdy Potocki z jednéj strony kreśli wymownym językiem cały szereg znakomitych i wielkich dzieł, w tym samym czasie jest czynnym jako prezes rady stanu i ministrów, jako komendant kadetów, i zbiera sobie najpiękniejsze korony obywatelskie, przewodnicząc komissyi edukacyjnéj. Wszakto jemu kraj zawdzięcza wprowadzenie w życie najcelniejszych zakładów naukowego wychowania; więc to ręka Potockiego rozsiała po ziemi rodzinnéj światło, jakby ziarno nauki i zacności. A jednak ten „książę mówców“, jak go nazywano, wśród trudów publicznych zdobywał na życiu jeszcze dość chwil wolnych do podkrzepienia umysłu tém, co piękne i wdzięczne, a idąc torem Winkelmana rozkoszował w dziwach sztuki.

Tak tedy, obok jasnych postaci Staszyca, Czackiego, Lindego, Kopczyńskiego, Ossolińskiego, obu Śniadeckich i innych znakomitych ludzi, stanęła też postać Potockiego w panteonie tych imion świetnych, które będą na zawsze tak wysokim zaszczytem owéj epoki, którą zowią czasami Księztwa Warszawskiego.

Niechaj się święci we czci ta galerya pełnych zasług mężów; niechaj będzie zachętą szanownym ludziom, by się ogrzali otuchą a ciepłem serdeczném; a niechaj zarazem okryje rumieńcem sromu czoła tych, co mogąc dokonać zacnych i uczciwych spraw, wolą, jakby bezrozumne istoty, zejść ze świata milczkiem, i przepaść w nicestwie — bez zasług i śladu!

---

wiele w zgromadzeniu, — był też powszechnie szanowany już to dla wieku, już dla poczciwości swojéj, a z resztą jako spuścizna ze starodawnych czasów. Miał on pod swoją opieką magazyn papierów i książek, wydawanych przez księży Pijarów, i pilnował też tego urzędu z wielką sumiennością i najtroskliwszém staraniem. Temu obowiązkowi całém sercem się oddawał Siekierka, bo on już nie miał innéj rozkoszy na świecie, jak ten skład papierów i książek, a w wolnych chwilach jak gawędy i rozmowy z dawnym przyjacielem swoim, majstrem szewckim, Janem Kilińskim, z którym się od starych lat serdecznie pokochał. Otóż, mimo cnót swoich, braciszek miał i swoje uporne przesądy i uprzedzenia; a okazały się one wielce jawnie wtedy, gdy przyszło drukować *Winkelmana Potockiego*, bo braciszek Siekierka na żaden sposób nie chciał wydać ze składu papieru, wołając: że szkoda papieru, bo tę książkę pisał „wielki pan“, więc pewnie nie wiele warta! — Daremnie nalegali Pijarowie, którym trudno było użyć przewagi nad starcem, stojącym już nad grobem, a który pod wielu innemi względami był tak szanowny i czcigodny. Nakoniec po prośbach i przedstawieniach samego ks. Bielskiego, zacnego prefekta zgromadzenia, niby udobruchał się Siekierka i przyrzekł, że wyda potrzebny papier; ale znać, że to mówił, by się zbyć natarczywych namów i próśb. Drukowała się tedy książka St. Potockiego. Ale zapóźno spostrzegli ci zacni księża, że odbitych było tylko 200 egzemplarzy, a z tych jeszcze wypadło odtrącić 20 wytłoczonych dla autora na lepszym papierze.

Może braciszek Siekierka, co był przecież sam bratem od serca szewca Jana K., mniéjby miał wstrętu do téj książki i do jéj autora, gdyby mu ktoś przed wydrukowaniem książki był szepnął: że ten „wielki pan“ napisaniem tych trzech obszernych tomów właśnie chciał uczcić szewckiego syna — bo Winkelmana.

Lecz tak to bywa na świecie; często uprzedzenia wzajemne czynią ludzi wrogami, a ci sami ludzie, gdyby się bliżéj nawzajem w sobie rozpatrzyli i porozumieli, jużby się pogodzili i ukochali!



## *Wenecya.*

Nasz statek parowy zatrzymał się w pędzie. A jakby powieści czarodziejskie otoczyły nas w koło dziwy Wenecyi. Trudno się zrazu opatrzyć, trudno się upamiętać w tym zupełnie nowym dla nas świecie. Sceny spłowiałe powszedniego życia gdzieś przepadły, jego proza codzienna pierzchła, jak brudne mgły jesienne; natomiast, nakształt bajeczki arabskiéj, wymarzonéj snem młodości, zagrała nam swoją muzyką Wenecya — owa dumna a przecież tak urodna pani mórz.

Zaprawdę, to nie zużyte, sztuczne zachwyty, to nie uniesienia ogadane, uświęcone starym zwyczajem; lecz to istny szczery podziw, co każdego uderza, gdy statek, płynąc od Tryestu, nagle zatrzyma się w Wenecyi. Bo obrazy, tutaj się roztaczające, nie powtarzają się już nigdzie więcéj na świecie. Wśród staréj, tak rozsądkowéj Europy, staje nam tu znienacka czarnoksięztwo wschodniéj fantazyi. Nam ludziom z Północy zwykle bezbarwnie i smętnie upływa życie; wrażenia jego malują się na duszy, jak szare wizerunki na szarém tle; tu atoli, w obec téj Wenecyi, zapalają się w duszy światła błyszczące, barwy mieniące, potężne.

Tam, po lewéj stronie naszego statku, wyrosły z wody dwa szeregi pałaców marmurowych o nadzwyczajnych a tak wdzięcznych formach; wśród nich stanęła wspaniała kopulasta świątnica Panny

Maryi della Salute; to wjazd do Canal Grande. Kędy spójrzysz, już to pałace, już to kościoły i wieże w stroju zdobnym, niedzielnym przezierają się w łamiącém się zwierciedle morskiéj fali, lekkiéj, ruchawéj. Tutaj zewsząd urocza poezya ubrała się w architektury dzieła.

Jakkolwiek zewsząd na nas biją zjawiska, tak wdzięczne i świeże — przecież jakoby oczynieniem ciągle ku sobie nas porywa mniejszy plac Św. Marka, który *Piazzettą* zowią, a który całym czarem roztwiera się przed oczyma naszemi.

Dość nam swobody i czasu przypatrzenia się temu ognisku dawnéj Wenecyi! Bo upłynie pewnie z górą jakie pół godziny, zanim opuścimy statek. Natłok podróżnych nieprzeliczony, a co gorsza, zniewala do stoicznéj cierpliwości owo prawdziwie bajeczne mnóstwo tobołków, tłómoków, pudełek, kufrów, które w téj chwili wyciągają na sznurach z okrętowego składu, niby ze studni głębokiéj; bo choć przy téj robocie dużo pośpiechu, a więcéj jeszcze krzyku i wrzasku, toć nie wiedzieć, kiedy się to skończy; jakoż, dna onéj studni ani widać, choć manaty, już wydobyte, zalegają górami pokład. Nadto, zapowiedziano wszystkim podróżującym paniom i ichmościom, że pierwszeństwo należy się jakiemuś milordowi, podobno posłowi przy jednym z dworów włoskich; a choć nikt tego matadory naocznie nie widział, gdyż przez cały czas drogi nie wychodził z ukrycia swojéj kabiny, toć nikt nie protestuje, bo nikt sobie nie przykrzy, — jest czém się zabawić, jest na co się patrzyć; bo między nami a Piazzettą ledwie paręset kroków przestrzeni morskiéj, co nas od niéj oddziela. Niechajże sobie poczekają cierpliwie gondoły i barki, co stadami około nas się pluskają. Gdy atoli słońce południa nie na żarty dopieka, więc każdy czémprędzéj rozpina sobie namiotek osobny, i w okamgnieniu cały statek pokryty parasolami. Tak i ja uczyniwszy, zdam wierną relacyą z tego, co tu widzimy przed sobą; a pragnąc, ile możności, unaocznić czytelnikowi czarodziejski widok roztaczający się przed statkiem naszym, udzielam mu na fig. 1-széj *wizerunek Piazzety Św. Marka, widzianéj ze strony morza.*

Widzimy tedy, jak to Piazzetta promieni się niby świetlica przepyszna, któréj jeden bok, bo strona zwrócona ku nam, więc ku morzu, jest otwarty; roztworzyła się tedy cała długość Piazzetty którą w ostatniéj dali zamknęła wieża zegaru; nad jéj wierzchem płaskim, lecz wielce strojnym, wznosi się dzwon, jakby w powietrzu zawieszony; po bokach dzwonu czernią się dwa olbrzymy śpiżowe, co wybijając młotem uciekające godziny, dają znać, że na zawsze już i niepowrotnie przebrzmiała starodawna chwała Wenecyi. Nieco bliżéj nas widać po prawéj, boczną stronę kościoła Św. Marka, co wznosi w jasne niebo potężne kopuły swoje, a po lewéj, naprzeciw niego, wzlatuje w górę strzałą jego sławna dzwonnica Campanile, (któréj atoli nie widać na naszym obrazku). A już na przodzie, z prawéj i lewéj strony, jakby ściany Piazzetty, ciągną się na kro-



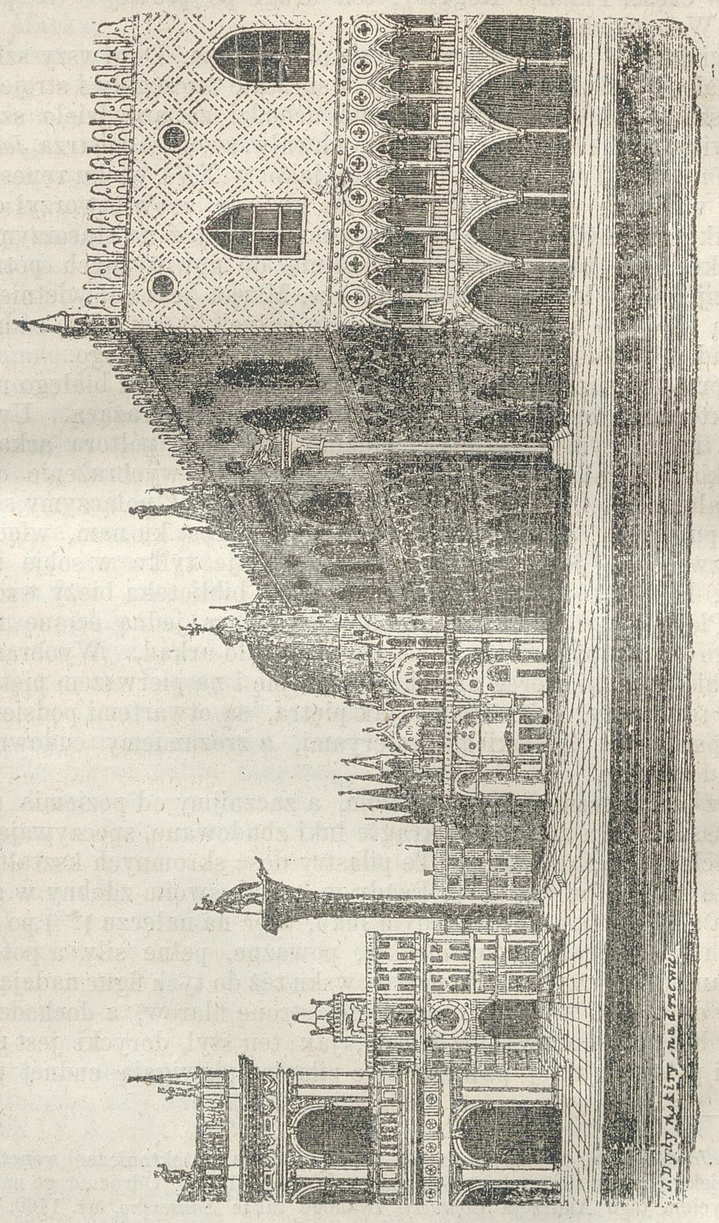


*Fig. 1.* **Piazzetta.**

ków ledwie kilkanaście od morza dwa wspaniałe i przepychu pełne pałace. To po lewéj Piazzetty — to dawna biblioteka Św. Marka (dziś w części Palazzo Reggio); ten drugi po prawéj — to pałac dożów Weneckich.

Chciéjmy najprzód przypatrzyć się pierwszemu. Dobywszy szkieł, doskonale widzieć możemy nawet wszystkie szczegóły i stroje téj przepysznéj architektury, co słusznie uchodzi za arcydzieło sztuki XVI wieku (r. 1536) i za pomnik chwały swojego mistrza *Jakóba Sansovino* (*). Tutaj nam się uczyć, jako w XVI wieku renesans, będący wówczas w swoim najwyższym kwiecie, znów otworzył oczy na sztukę starożytną klassyczną, a mianowicie już na starorzymską architekturę, i zastosował ją genialnie do nowożytnych potrzeb chrześcijańskich ludów. Biblioteka Św. Marka jest najświetniejszą budową swojego rodzaju we Włoszech całych, a zarazem cudnym przykładem późniejszego renesansu, zwłaszcza weneckiego.

Naprzód pamiętajmy, że cała ta architektura jest z białego marmuru, któremu czas i słoty odjęły białość jaskrawą, rażącą. Uważmy, iż na naszym wizerunku widzimy zaledwie półtora arkady; wszelako one jakotako wystarczą, aby nam dać wyobrażenie o téj wspaniałéj całości, zwłaszcza jeżeli ten wizerunek połączymy sobie z następującym. Jakoż, strona biblioteki wprost ku nam, więc ku morzu zwrócona, jest dość wązką, bo obejmuje tylko w sobie trzy arkady, lecz za to całą wspaniałą długością biblioteka bieży wzdłuż saméj Piazzetty. Jakoż ta strona, stanowiąca jedną ścianę tego uroczego placu, pyszni się rzędem 20 przeszło arkad. Wyobraźmy tedy sobie, że taki szereg arkad znajduje się i na pierwszém piętrze, że tedy te arkady, tak poziemia jak piętra, są otwartemi podsieniami, wspaniałemi, szerokiemi galeryami, a zrozumiemy cudowność tego budowania.

Lecz przypatrzmy się szczegółom, a zacznijmy od poziemia (rez de chaussée). Tu arkady, w krągłe łuki zbudowane, spoczywają na pilastrach opartych o filary. Te pilastry dość skromnych kształtów, ale za to łuki pełne wdzięku; każdy w środku swoim zdobny w głowę lwią albo ludzką, a na każdym łuku, więc na nałęczu (**) po obu stronach spoczywają figury męzkie, poważne, pełne siły a potęgi, wyrabiane płaskorzeźbą. Po mistrzowsku też do tych figur nadają się pilastry doryckie, strojące zewnętrzną stronę filarów, a dochodzące już pod brus (architraw); bo wiecie, jak ten styl dorycki jest uroczysty i pełen męzkiéj powagi. Te pilastry dźwigają cudnéj piękności nadbrusie (fryz) doryckie. Fryz ten, jako dorycki, rozdziela się na triglify i metopy. W tych metopach widać rzeźbione sprzęty wojenne, pancerze, hełmy, tarcze i trąby, i medaliony ze lwem Św. Marka.

(*) *Jacopo Tatti*, zwany *Sansovino*, głowa szkoły architektonicznéj weneckiéj w XVI wieku, ur. we Florencyi 1477, um. w Wenecyi 1570. Odróżnić go należy od nauczyciela jego Andrzeja *Contucci*, zwanego także *Sansovino*, ur. 1460, um. 1529 r. — St.

(*) Nałęcz, po fr. archivolte, jest obłączysty brzeg, wystający na czele sklepionego łuku. Ob. K. Podczaszyńskiego *Nomenklatura architektoniczna*.



Lecz jeżeli to poziemie, jako część dźwigająca, dolna jest dorycka, więc silna i męzka, — to znowu piętro lżejsze jest pełne niesłychanego bogactwa i niewieściego wdzięku; tu bowiem styl joński wystąpił w całym uroku swoim. Nasza fig. 2, przedstawia właśnie *całą wyższą część tego piętra biblioteki, wraz z belkowaniem i zakończeniem od góry całego budynku.* Na tém piętrze arkady o wiele węższe a wysmuklejsze i lżejsze; u dołu zdobi je zgrabna balustrada marmurowa. I tutaj łuki krągłe są podobnie w środku ubrane w głowy lwie i niewieście, a wspierają się na bogatych gzymsach, spoczywających na kolumnach jońskich żłobkowanych, Patrzmy, jak tym kolumnom ślicznie i zgrabnie z temi kapitelami o ślimacznicach misternych. Jak na dole, tak i na tém piętrze, po obu stronach arkad, więc na archiwoltach, widzimy opierające się na nich figury; ale one już są zastosowane do stylu jońskiego, więc te figury są niewieście, skrzydlate i pełne gracyi. Oprócz onych kolumn jońskich, dźwigających łuki, jeszcze są inne, większe od nich, jońskie kolumny zdobiące zewnętrzną stronę filarów; one głowicami strojnemi dźwigają fryz ubrany już z całą świetnością płaskorzeźby pełnéj gracyi. Bo ten fryz, jako joński, już nie jest poprzedzielany, jak dorycki, przez tryglify i metopy, lecz jest jednym nieprzerwanym pasem i dla tego też fryz joński nadaje się tak szczęśliwie do płaskorzeźb wdzięcznych, bogatych. Tak też na naszym fryzie widzimy bogate zwoje kwiatów i owoców i wstążek, a trzymają je w rękach chłopięta, amorety dziwnéj lekkości, a nad zwojami — głowy niewieście i lwie. Na tym fryzie pełno radośnego wesela, i tu wszystko jest życiem, grą niewymownéj piękności. Nad tym fryzem, tak bogatym i weselnym, widzisz gzyms, ustrojony spornikami, co są znów zdobne w głowy, liście i t. d. Dachu nie widać, bo cały gmach uwieńczony w balustradę; na niéj unoszą się posągi bogów, co w olimpijskich urokach swoich mają błękity nieba za tło swoje; a po rogach widać obeliski strzeliste. Tak tedy w rytmie muzykalnym unosi się ten gmach, pyszniejszy jeszcze zestrojem i harmonią swoją, niż bogactwem kosztownych marmurów. Ale bo też stanął on w czasie, gdy odmłodnione ludzkości dzieje straciły średniowiekowy swój wstręt do świata pogańskich klassycznych uroków. Proszę atoli czytelnika, aby naszego wyrażenia się o kolumnach doryckich, jońskich i t. d., nie brał ściśle co do słowa, aby nie rozumiał, że ten gmach naśladuje greckie style; owszem to użycie arkad krągłych i pilastrów, to piętrzenie łuków na sobie dowodzi, że tak Sansovino, jak jemu współcześni artyści, mieli przed oczyma swojéj fantazyi budowania starorzymskie, a mianowicie piętrzące się amfiteatra staréj Romy. Przecież to dzieło jest dalekiém od twardéj grozy swych

hardych wzorów; nie jedno tutaj znajdziemy przekroczenie prawideł nawet rzymskiéj architektury. Lecz przecież całość uśmiecha się niewymownym wdziękiem! Znać, że to ta architektura późniejszego renesansu zrodziła się w owym wieku XVI, co podobno wśród całéj historyi chrześcijańskich ludów odznaczał się najpromienniéj zmysłem piękności i natchnieniem artystyczném. Czyli kiedy Europa doczeka się powrotu takiego stulecia? Może — lecz to wtedy dopiéro, gdy się opatrzy w potrzeby cielesne, gdy przestanie łamać się i walczyć o chléb powszedni, gdy zrzuci brzemię cisnące jéj na sercu.

Po drugiéj stronie Piazzety, więc, jak widzimy na naszym wizerunku (fig. 1 str. 133), wprost naprzeciw téj biblioteki, dźwignął się wysłannik innego świata, innego stulecia, bo dwoma wiekami starszy od niéj (r. 1340); jest to ów na świat i na wieki sławny *Pałac dożów* weneckich. On zwrócił się rogiem swoim ku nam; od tego rogu jeden bok pałacu ciągnie się wzdłuż przybrzeża morskiego, a drugi bok bieży wzdłuż Piazzetty, stanowiąc jedną ze ścian tego przepysznego placu. Nikt zaiste nie zdoła, bez głębokiego poruszenia duszy, wpatrywać się w ten gmach, co tutaj stanął jakby murowaną historyą téj staréj republiki. Powaga świetnéj, olbrzymiéj przeszłości taką mocą uderza myśl, że samo uszanowanie i groza broniłyby to budowanie od krytyki zbyt drobiazgowéj, pedanckiéj. Architektura potężna i wspaniała, o olbrzymich rozmiarach, jest iście dobraném tłem dla fantazyi, co urokiem podań i poezyi ubiera pałac dożów. Formy architektoniczne nadzwyczajne tém tu silniéj występują, że się różnią całym światem od biblioteki Św. Marka, owego arcydzieła Sansovina. Stolica dożów jest wyobrazicielką drugiéj połowy średnich wieków Wenecyi; jest ona niby gotycka, ale przytém tak ochuchana tchem fantastyczności maurytańskiéj, arabskiéj, żeć się zdaje, że przybyła niby w swaty od dalekiego bajecznego Wschodu.

Oba boki pałacu, które przed sobą widzimy, są do siebie podobne.

Poziemie (rez de chaussée) jest i tutaj podsieniem, więc długim szeregiem arkad, lecz arkad rozkraczystych, ostrołukich, co spoczywają na podsadzistych, krępych, grubych, okrągłych kolumnach, które nie znają podnożów, uwieńczyły się atoli w potężne a fantastyczne głowice. Gdy całe to spodnie budowanie jest ciężkie i smętne i grozy pełne, — pierwsze piętro jest zupełnie wbrew od niego różnym światem; tu wdzięk i lekkość eteryczna, życie i ruch. Bo to pierwsze piętro jest także podsieniem, więc galeryą otwartą; i tutaj bieży niezmierzony szereg arkad; przecież tych arkad jest dwa razy więcéj niż na dole, więc jednéj arkadzie podziemia odpowiadają dwie na pierwszém piętrze. Ztąd téż one tak wysmukłe, a kolumny śmigłe, lotne; od dołu połączone są balustradą, a od góry dźwigają ostrołuk. Lecz gdy na dole ostrołuki powstają wprost z dwóch



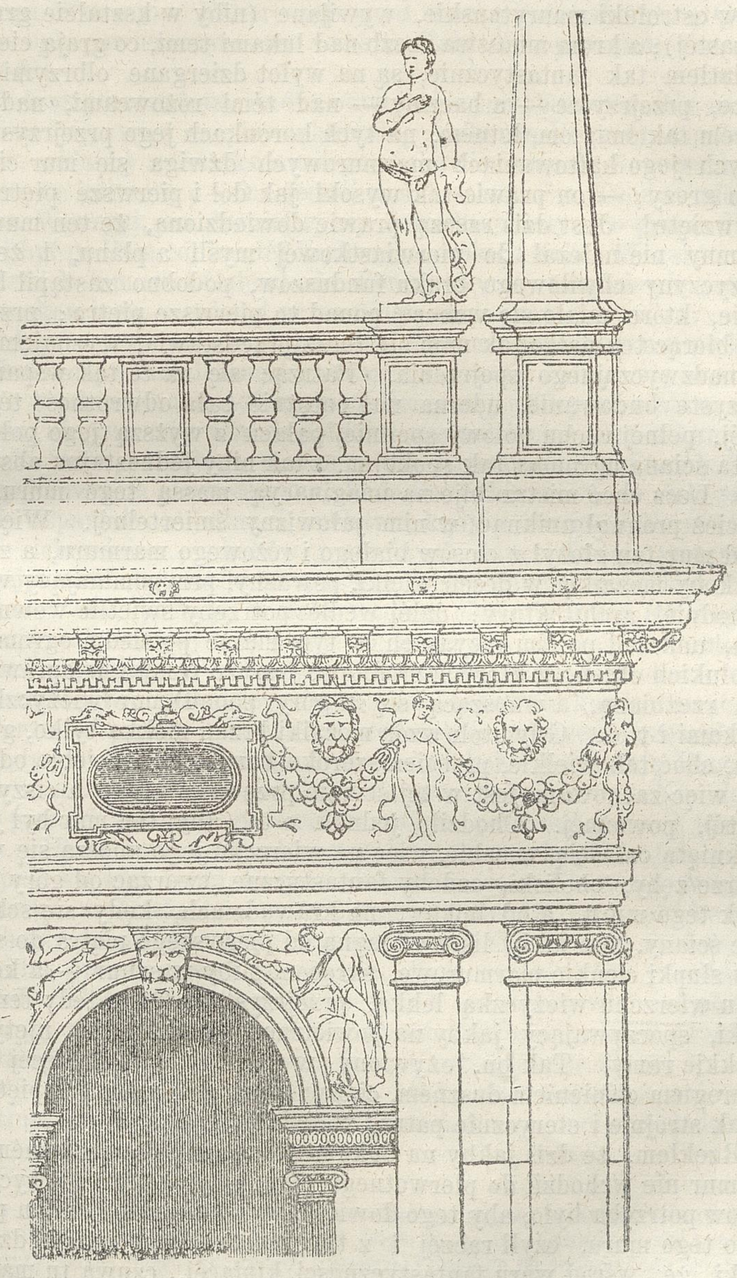


*Fig. 2.* **Wyższa część biblioteki Św. Marka.**

łuków przecinających się z sobą, arkady pierwszego piętra migocą się w ostrołuki maurytańskie, wywijane (niby w kształcie gruszki śpiczastéj); a krom mnóstwa rzeźb nad łukami temi, co grają cieniem i światłem tak fantastycznie, są na wylot dziergane olbrzymie różowce, przejrzyste — a baczmy — nad témi różowcami, nad tém piętrem tak śmigłém, lotném, na tych koronkach jego przejrzystych, na tych jego haftowaniach marmurowych dźwiga się mur ciężki, pełen grozy; — on prawie tak wysoki jak dół i pierwsze piętro razem wzięte! Jest dziś rzeczą prawie dowiedzioną, że ten mur tak ogromny nie należał do pierwiastkowéj myśli a planu, i że on, z przyczyny chwilowego braku funduszów, podobno zastąpił budowanie, które miało się wznosić ponad to pierwsze piętro; przecież my, biorąc ten pałac jak nam się teraz przedstawia, wyznajemy, że jest nadzwyczajnego spojrzenia. Patrząc się na to tak wspaniałe, uroczyste budowanie, uderza nas potężnie cała odwrotność téj gry żywéj, pełnéj ruchu połowy spodniéj pałacu z wyższą jego połową; boż ta ściana ogromna tak spokojna, a tak niby jednostajna abstrakcyą. Lecz choć mistrz bije na imaginacyą massą tego muru, toć przecież pragnął uniknąć w nim jałowizny śmiertelnéj. Więc naprzód mur ten złożył z ciosów białego i różowego marmuru, a złożył je jakoby mozaikę, w deseń wielki, poważny, przypominający wzory wschodniéj architektury; daléj wedle potrzeby świetlic wewnętrznych, umieścił po obu facyatach w tym murze po siedm ogromnych ostrołukich okien, z których środkowe jeszcze wzięte w oprawę bogatą rzeźbioną, a wnoszącą się u góry ponad mur wieżyczkami, igiełkami i t. d. Gdy atoli wzór mozaiki brzmi zlekka tylko, gdy te okna, choć tak wielkie, przecież szeroko bardzo są od siebie oddalone; więc zachowana jest w téj ścianie przewaga grozy a ciszy uroczystéj, poważnéj. Chodziło jednak o to, aby ten mur był jakąś zamkniętą całością w sobie, więc na wierzchu jego unoszą się w powietrze zęby, obeliski, ozdoby fantastyczne, tworząc od góry lekki rąbek tego muru, a od boków, na krawędziach, kędy się schodzą dwie ściany, tam jakby listwy biegną od pierwszego piętra do saméj góry słupki cieńkie marmurowe, skręcone niby w sznur — a kończą się u wierzchu wieżyczką lekką, przejrzystą. Otóż tedy ten mur ciężki, spoczywający jakby na powietrznem budowaniu, ujęty jest w lekkie ramy. Tak on, ożywiony w sobie, nie jest więcéj onem złowrogiem ciśnieniem duszném, ciążącém na tych spodnich piętrach, co tak strojnie i eterycznie patrzą w świat.

Rzekłem, że dziś jakby na dokumentach jest dowiedzioném, że ten mur nie wchodził do pierwotnego planu; że właśnie, iż tych dowodów potrzeba było, aby tego dowieść, wyraźnie znać, że ten pałac, mimo tego muru, czyli raczéj i z tym murem, jest istném dziełem sztuki, że, wśród waru fantastyczności kipiącéj, czuwa tu mądrość artystyczna. Tym mistrzem, który począł w duchu swoim ten pałac, był *Filip Calendario*, a doża, który mu polecił to budowanie,



zwał się Marino Faliero. Obaj wdali się w tajemne związki przeciw rządowi Wenecyi. Faliero zginął od miecza katowskiego, a Calendario był powieszonym (r. 1355). Taki był początek tego pałacu (*).

Jednak jeszcze nam trudno odwrócić się od Piazzetty. Na samym przodzie jéj, więc między biblioteką (pałacem Reggio) a pałacem dożów, widzimy ze statku naszego, jako się wznoszą dwie zuchwałe granitowe kolumny; — na jednéj z nich stanął Św. Teodor, niegdyś patron Wenecyi, na drugiéj ryczy lew skrzydlaty, co przez długie wieki był godłem téj hardéj królowéj morskich fali. Wszakto między temi kolumnami Calendario skończył życie, a sędziowie patrzyli się na skon jego, z galeryi przez niego stworzonéj.

Gdy facyata pałacu dożów, ku morzu zwrócona, ma po lewéj ową kolumnę z tém dumném godłem; po prawéj kończy się ta strona pałacu wązkim kanałem, którego tylko wstęp widny ze statku, a następnie ukrywa się wśród pałaców wspaniałych. Przez kanał ten wiedzie most z białego marmuru na dalszy ciąg pobrzeża, które zowią pobrzeżem słowiańskiém „Riva dei Schiavoni“, co tak szerokie i wspaniałe a ludne i ruchawe, kędy pełno gondolierów i modnych ichmościów, rybaków i strojnych dam. Daléj, jeszcze ku prawéj, sznurują wielkiém prawie niedojrzaném półkolem domy i pałace; one, patrząc w fale wodne, pluskające pod ich stopami, słuchają téj muzyki morskiéj, co niby zawsze jedna, a przecież zawsze wspaniała a niesprzykrzona nigdy; a nad dachami ciżbą wznoszą się owe charakterystyczne, kieliszkowate kominy weneckie.

Teraz olbrzymy śpiżowe na zegarowéj wieżycy poruszyły się, uderzyły w dzwon, a tony srebrne, głębokie przelatują Piazzettę i morze, głosząc, że już godzina dwunasta południowa. Nie darmo tedy powódź jaskrawego światła zalała potopem gorącéj jasności świat. Płoną żarem słonecznym pałace, wieże, kopuły; jak pochodnie palą się nad niemi krzyże złociste — cała Piazzetta w ogniu! Wszystkie architektoniczne linie, rzeźby pałaców, i koronki kamienne, i hafty dziergane, przezroczyste migocą się, ruszają życiem, biją głębokim, prawie czarnym cieniem, obok świecistych, przejasnych świateł. Słońce przeziera się we falach morskich; więc kołyszą się i huśtają po wodach snopy iskier płomiennych, a co która przesunie się gondola, już wyorze za sobą bruzdę roztopionego złota.

Otóż już schodki z pokładu na dół ku morzu spuszczone! — Po nich tłum podróżnych wstępuje do gondol, a za niemi z pokładu wło-

---

(*) Według nowszych poszukiwań okazuje się, że głównym kierownikiem budowy Pałacu Dożów już w r. 1340 był *Pietro Baseggio*. Calendario zaś pracował tylko przy boku swego krewnego Baseggia, i dopiero po śmierci tego ostatniego w r. 1354 został głównym budowniczym pałacu; ale działalność jego trwała tylko do r. 1355, w którym poniósł śmierć przez powieszenie. Zob. dzieło: *O. Mothes*, Geschichte der Baukunst Venedigs. 1860. — St.

ką i rzucają kuferki, tłómoki i wszechkształtne manatki. Wnet też to gondole czarne z domkiem w kir obitym, to szerokie barki, pokryte namiotem barwnym pasiastym, rozlatują się na wszystkie strony. Więc i na nas już koléj; już z gondoli patrzym na statek, co teraz samotny i cichy, rad przecież już odetchnąć po tym gwarze hałaśnym, zanim nową ludność, równie huczną i szumną, zaniesie napowrót do Tryestu.

Gondoliery nasze, widząc obcych, więc nieobeznanych z labiryntem kanałów i uliczek weneckich — podobno, jak się późniéj spostrzegłem, nie powiedli nas najkrótszą drogą do oberży im wskazanéj. Lecz nie było czego żałować ani się gniewać, bo tutaj zaprawdę nie zawadzi schwycić jakiś kwadransik, by się trochę opatrzyć i wrócić do równowagi a wewnętrznego chłodu. Otóż gondola nasza, zlekka i z miękka się kołysząc, prosto płynie do onego kanału, co, jak rzekłem, ciągnie wzdłuż tyłów pałacu dożów. Jużeśmy podpłynęli pod ów most marmurowy. „Jak się zowie ten most?“ „Della Paglia!“ odpowiadają gondoliery. Już nasza gondola w tym kanale. On nie ma chodników po bokach; po obu stronach wprost z wody wznoszą się dwa wysokie ogromne budowania; więc u góry świeci tylko wązki pas błękitnego nieba. Ten gmach po lewéj — to, jak rzekłem, tyły pałacu dożów; ale choć to nice jego, jakiż tu przepych wzniosły i dumny, jaki strój i wdzięk architektury, pełen bogactwa i smaku! Tutaj już nie widzimy fantazyi z gotycka oryentalnéj, jak na tamtych dwóch facyatach tego pałacu — tutaj zupełnie inny styl: to istny *renesans* choć wcześniejszy, to architektura z początku XVI stulecia. Zaraz od wody występują bogato wyrabiane cokuły marmurowe; nad niemi marmury wyrzynane w gęste rzędy mocno wypukłych brylantów niby na jakich szkłach czeskich, — nad niemi okna prostokątne, wyżéj wielkie o arkadach półkolistych; a tak wyżéj, wyżéj pełno strojnych pilastrów, fryzów, gzymsów bogatych i t. d., aż pod sam dach. A gdy się gondola nasza zakołysze, gdy wiosło w wodzie sunie, już fala wytryskuje po tych marmurach, strzela w górę niby wąż między owe rzędy rzeźbionych brylantów i znów kaskadkami po nich spływa.

Ten zaś gmach po prawéj, co utopiony w głębokim cieniu a tak smętny, żałobny i poważny, co patrzy na nas groźnie przez okna o grubych kratach żelaznych — to więzienia, to owe sławne „Prigioni“. Gondolier, stojący na przodzie, pokazując w górę, woła: „il Ponte dei Sospiri“ — to ów most „Westchnień“. On na wysokości dwóch pięter zawieszony jakby w powietrzu; z jednéj strony oparty będąc o pałac dożów, z drugiéj o gmach więzienny, prowadził wprost ze sali sądowéj do kaźni, pod dachy ołowiane. On cały zakrytym jest korytarzem; u boku tylko okna, kędy, zamiast szyb, dziergane płyty kamienne. W téj chwili on cały oblany słonecznym blaskiem, choć wewnątrz niego zapewne ciemno i mroczno.



A jaki to elegancki i strojny ten most żałoby i trwogi — ! On rozpięty łukiem śmiałym i wdzięcznym, a jego linie architektoniczne, pilastry, rzeźby a nadto floressy i essy, ubierające jego wierzch, czynią go istotnie cackiem strojném, świecistém.

Pod mostem wychodzą na wodę z pałacu dożów dwie bramy, tuż obok siebie umieszczone, bo przedzielone jedynie filarem zdobnym; a trochę daléj takaż para dwóch drugich bram. A jakież to one cudne i wspaniałe! Gondoliery, widząc nasze zajęcie, zwolnili ruchy wioseł, wiedzeni bystrym instynktem, tak zwykłym temu weneckiemu ludowi. Około prostokątnych drzwi, z góry i boków, gęsty, szeroki zwój kwiatów i owoców, rzeźbiony z mistrzowska w kamieniu; więc grona winne, róże, liście, figi, tulipany, melony; a powyżéj zawieszone gracyjnie festony; nad niemi znowu krata żelazna przepyszna, co sama licznym wzorem i kompozycyą artystyczną; a to wszystko znów ujęte w półkolistą arkadę bogato ubraną i wsparte na pilastrach o bogatych głowicach. Gdy miniesz te bramy, znów idą te cokuły i brylanty, i arkady i t. d. — powyżéj wspomniane.

Już to prawda, że te przepyszne nice pałacu dożów wyraźnie okazują, że choć także są renesansem, są przecież wcześniejszym niż Biblioteka Sansovina, która tak z mistrzowska umiała połączyć ornamentykę z tém, co ściśle wynika ze saméj istoty architektury. Ta zaś strona pałacu dożów nie zdołałaby się może wytłómaczyć, gdyby jéj przyszło zdać nie na żarty sprawę z tych dekoracyj architektonicznych; pokazałoby się może, że fantazya co stworzyła tę tylną stronę pałacu, igrała sobie lekka, strojna, wesoła, mniéj dbając o surową logikę sztuki saméj. — Ba, bo ten renesans tu jeszcze jest młody a z uczuciem lekkiém i z radością w sercu.

Lecz, bądź co bądź, nie ma co mówić, była to wielka a zamożna pani ta republika Wenecyi! Bo pańskość prawdziwa objawia się właśnie tém, aby było i suto, i bogato, i pięknie nietylko dla oka ludzkiego, ale nawet w zakąciach odwróconych od świata; — a już przedewszystkiém, aby hojność i bogactwo łączyło się zawsze i wszędzie z uczuciem piękności i smakiem artystycznym.

Nie wiem ile już kanałów, ile mostków i mostów, ile zakrętów minęła gondola nasza, aż nareszcie zatrzymała się przed oberżą.

Mając dłużéj w Wenecyi zabawić, trzeba się było, ile możności, w mieszkaniu jakoś rozgospodarować domaszno, swojsko; a chwila po przybyciu naszém właśnie była do tego sposobną, bo na dworze nielada dopiekał upał skwarny, więc ani myśli, aby w téj chwili udać się w jakąś wycieczkę na miasto. Więc z kolei, z głębi tłomoczków pojawiają się manaty, co, od Krakowa nie widząc świata, przybyły do Wenecyi; stanął też ów rządek książek, bo bez nich trudno we Włoszech; a zresztą ten papier drukowany — toć już jest chroniczną chorobą i grzechem pierworodnym literackiego cechu, więc go już niepodobna od siebie odczepić. Wystąpił z głębi kuferka

i zeszycik z notatkami, a za nim i gruby zeszyt niezapisany, i ułożyły się oba obok onéj biblioteki i kałamarza i pióra: to wszystko na biedę mojego przyszłego czytelnika.

Jakoż przystoi zaraz z góry ostrzedz łaskawie czytających tę książkę, że i oni nie tak łatwo wydobędą się z Wenecyi. Rozpiszę się o niéj szerzéj, niż o jakiémkolwiek mieście włoskiém i obszerniéj, niż nawet o Rzymie samym. — A to dla czego? zapyta zapewne czytelnik — odpowiadam: najprzód dla tego, że w téj Wenecyi wypadnie mi porozumieć się z czytelnikiem co do wątków Historyi sztuki, a zwłaszcza pomówić o epokach malarstwa i architektury w wiekach chrześcijańskich, kreśląc choć ogólną charakterystykę stylów budowania i t. d. — Wypadnie mi tedy w Wenecyi założyć fundamenta nie tylko dla tych pomników sztuki chrześcijańskiéj, które się znajdują w Wenecyi, lecz równie i dla tych, które spotkamy po innych miastach włoskich. Otóż jest jeden powód rozpisania się tak szerokiego w téj Wenecyi. Powód drugi właśnie ten, o którym wspominałem na wstępie téj podróży, wyjeżdżając z Krakowa. Jakoż tam rzekłem, że głównym celem téj książki jest chęć, abym dał wyobrażenie o historyi sztuki tym z naszych ziomków, którzy pilnują rodzinnego zagona; dodałem atoli, iż zapewne nie zawadzi, jeżeli będę miał, ile możności, na względzie i tych czytelników, którzy albo już zwiedzili Włochy, albo zamierzają je zwiedzić. — Lecz z takowych podróżujących rodaków naszych bez porównania większa część nie zapuszcza się w głębsze Włochy, lecz przestaje na Włoszech Północnych, a mianowicie na Wenecyi. Bo do Wenecyi wabi i blizkość położenia, i szłuszna ciekawość a często i nadzieja pokrzepienia zdrowia. Zdaje mi się tedy, iż, rozwodząc się tak wielce szeroko i dokładniéj o Wenecyi, dogodzę może życzeniom nie jednego z moich czytelników i czytelniczek (*).

---

(*) Przy téj sposobności atoli powtarzam raz jeszcze prośbę moją, na wstępie do téj podróży uczynioną, aby czytelnik nie rozumiał, jakoby mu ta książka zastąpić mogła jednego z tych przewodników doskonałych a ogłoszonych w różnych językach. Jakoż, gdy celem niniejszéj książki jest oswojenie czytelników z dziejami sztuki, więc téż nie będę prawił o wszystkich najpiękniejszych i najważniejszych dziełach sztuki jakiegoś miasta, jak to czynią dobre przewodniki, ale ze wszystkich pomników wybiorę małą liczbę, bo tylko te, które są najdoskonalszemi przedstawcami swojéj epoki a stylu. — Przy téj sposobności atoli polecam podróżującym choć dwa przewodniki, wielce znakomite, to jest *Manuel du Voyageur en Italie* p. *Ernest Foerster*, — a przewodnikiem przez Włochy, z mistrzowska zwracającym baczność na dzieła sztuki, jest dzieło *Der Cicerone* przez *J. Burckhardt*. Basel 1855. Z téj książki wiele téż korzystać będę, opisując dzieła sztuki. (Szacowne dzieło *Burckhardt'a* wyszło w nowém 3-ciem wyd. r. 1873 w opracowaniu *Zahna* 3 tomy. Dodatek do niego stanowią: *Beiträge zu Burckhardt's Cicerone von Otto Mündler*. 1874. Prócz tego zalecają się jako najnowsze a nader praktyczne i wszechstronne podręczniki dla podróżujących po Włoszech dzieła *Baedekera* i *Gselfelsa*, każde w trzech tomach i w licznych wydaniach. Na wzmiankę zasługują również książki: *M. Nohl*, *Tagebuch einer italienischen Reise* 2 wyd. 1877, i *E. Krieger*, *Reise eines Kunstfreundes in Italien*. 1876. Ta ostatnia szczególniéj praca odznacza się równie umiejętnym jak zajmującym poglądem na sztukę włoską. — *St.*)



Zaledwieśmy się urządzili jako tako z tym domem wędrownym naszym, gdy wstąpił garson pytając, czyli zechcemy należéć do Table d'hôte? Ja zwykle w drodze nie lubię tracić swobody i wolę jadać kiedy i gdzie, i ile mi się podoba, więc niechętnie wdaję się w zobowiązania; przecież, jak w téj chwili, nie było co lepszego czynić.

Z nami do stołu zasiadła niezgorsza liczba dam i ichmościów. Znać było od razu, że prawie całe to towarzystwo jakoś poufaléj się do siebie miało, rozmawiając z sobą jak po dawnéj znajomości. W rychle się okazało, zkąd tym paniom i pannom ta zażyłość, mimo różnorakiéj narodowości. Oni zjednoczyli się w małą koczującą rzeczpospolitę i pod przewodnictwem pana Bulgari puszczali się na oględziny osobliwości weneckich. A trzeba nam wiedzieć, że ten p. Bulgari, gruntownie przewertowawszy wszystko, co ważniejszego w téj wodnéj a przepysznéj stolicy, nauczywszy się z partesu prawić o wszystkiém, uczynił się w Wenecyi mentorem, vulgo Cyceronem ciekawych podróżnych. A nie było z tém źle klientom jego, bo w kilku dniach, bez zachodu i kłopotu, widzieli czyli raczéj patrzyli się na wszystkie przedmioty godniejsze uwagi — , i nie było téż z tém źle i samemu p. Bulgaremu, bo klientela jego składała się codzień z kilkunastu a niekiedy z dwudziestu osób; a gdy każda osoba płaciła dziennie pięć czyli 6 lirów (cwancygierów), więc téż każdego wieczora, gdy p. Bulgari obrachował się z kassą swoją, pokazywało się, że po odtrąceniu wydatków na gondole, na grzeczności brzęczące, które czynił dozorcom kościołów, galeryj, pałaców i t. d., zawsze jakaś nielada sumka zostawała u niego w mieszku; a te nielada sumki, wpływające dzień w dzień przez lato całe, znów dodane do siebie wzrastały w summę dość okrągłą; było się tedy czém jako tako pocieszyć po podjętych trudach i mozołach. I to wielce słusznie. Bo najprzód p. Bulgari wcale, jak późniéj się przekonałem, nie jest tuzinkowym Cyceronem; znał swoją rzecz gruntownie, a wiedział nierównie więcéj niżby się z razu zdawało, słysząc go recytującego oklepane frazesy przy każdym obrazie, przy każdym pałacu lub kościele. On dla zwyczajnych podróżnych, którym tylko o to chodzi, aby jak najrychléj odbyć te nieszczęsne dla nich osobliwości, był zwyczajnym Cyceronem, częstującym zdawkową wytartą monetą; gdy atoli zmiarkował, że ktoś zajmuje się bliżéj przedmiotami, że ma stosowne wyobrażenie o tém, co widzi i słyszy, już p. Bulgari, tknięty poczciwą ambicyą, dobywał z innéj szufladki umiejętności swojéj. Po prawdzie mówiąc, dość rzadką miał ku temu porę; bo w mentorstwie najczęściéj widział potrzebę nie zapuszczania się w żadne głębsze misterye sztuki i historyi, a stosował się

uprzejmie do duchowego wzrostu swoich Telemaków. Ale p. Bulgaremu należą się najpiękniejsze wieńce za cierpliwość zgrabną i chłodną krew, z którą odpowiadał na olbrzymiéj niedorzeczności zapytania, co go opadały to z téj, to z owéj strony; sztuką krzyżową i nieustającym fechtunkiem odcinał się nieucznéj ciekawości, a już najczęściéj niemądrym uwagom i zbyt oryginalnym domysłom. Przecież nie ma się czego i dziwić tym pytaniom, uwagom i domysłom, bo trudno by się niejednemu na piękne w głowie nie zamąciło przy tém życiu, które wiodą tutaj ci państwo, pędząc bez tchu, niby szczuci złym duchem, od pałacu do pałacu, od kaplicy do kaplicy, od galeryi do galeryi. Jak tu biedny człek nie ma stracić siebie, lub nie zgubić jakiéj klepki, gdy wszystko skręca się szalonym wirem w mózgu; gdy Sansovino i Calendario, i Tycyan i Tintoret, i Falieri i Foscari, gdy dzieła architektury i malarstwa, gdy bucentaur i rzeźba, niby szatańskim jakim *steeple Chase*, przehuczy przez duszę, zostawując w niéj jedynie tuman kurzu po sobie.

Nie darmo téż jeden z podróżnych przy stole wylewał swoją biedę, lamentując na stan duszy swojéj. Byłto szlachcic węgierski o czarném oku, kruczych wąsach a świeżych czerstwych licach; a człek serdeczny, ciepły, o zdrowym gospodarskim rozumie, szczerszy od innych swoich towarzyszy; — wypowiedział, wyrąbał z rycerska, otwarcie to wszystko, do czego może żaden z nich sam przed sobą przyznać się nie chciał. „Nie wiem, jak tam państwo, lecz co do mnie, niechaj przepadnę, zawołał, jeżeli aby krztynę wiem z tego wszystkiego, com widział a czegom nie widział; szumi mi w uszach i burczy w myśli. Wierzę, że to piękne rzeczy, które nam pokazywano, ale cóż z tego, gdy to wszystko zlało mi się w głowie mętną lurą. A to istny tyran ten Bulgari! On mi przypomina mojego guwernera, co mnie tyle różnych uczył wiadomości, a tak gwałtownie nadziewał różnemi naukami, żem w końcu nic a nic nie umiał. A wierzajcie mi, państwo, żem wtedy, za onych moich opłakanych czasów chłopięcych, nie pragnął nigdy z taką żądzą wakacyj, jak teraz wyglądam godziny czwartéj, jako chwili zbawczéj, w któréj nas ten bakałarz straszny wypuszcza ze swojéj szkoły, a to jeszcze wypuszcza na obiad. Ani mi się śniło kiedykolwiek abym, na moje stare lata, jeszcze takiéj podpadł biedzie i powrócił do kłopotów pacholęcych. Jednak jeszcze mam dwa dni téj szkoły, trzeba wychylić ten kielich goryczy do dna!“ Temi słowy wychylił Madziar szklankę wina za zdrowie swojéj pięknéj sąsiadki.

Gdybym nawet nie był uprzednio postanowił zwiedzać Wenecyi bez przewodnika, ten przykład żywy, który miałem przed oczyma, byłby mi był przestrogą a odstrachem od wszelkich Cyceronów, więc jeszcze silniéj utwierdziłem się w przedsięwzięciu doświadczenia już własnych sił a szczęścia w téj wędrówce mojéj. Wszak oddawna byłem przekonany, że jedynie dla tych podróżnych cicerone jest niezbędny, którym zbyt śpieszno dla skąpego czasu; kto zaś nie



liczy się tak skrupulatnie z godzinami swojemi, a przytém, już wyjeżdżając z domu, mniéj więcéj wie gdzie mu czego szukać i jak o tém wszystkiém sądzić; toć już lepiéj może uczyni, jeżeli się bez mentora obejdzie. Boć potrzeba pokoju i ciszy a ukołysania, aby treść, w duszy rozpuszczona, skrystalizowała się, aby nabrała kształtu i formy i ładu.

Stanęło tedy między nami na tém, aby już z notatkami, uczynionemi oddawna w Krakowie, i z przewodnikiem drukowanym puszczać się na zwiady a oględziny, z całą swobodą a wygodą; nie zrzekając się atoli myśli, aby kiedyś, za podaną sposobnością, przyłączyć się na jaki dzień jeden do owieczek p. Bulgarego, aby i z téj strony poznać się z życiem wędrownem podróżników po Włoszech.

---

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg.)

A gdzież najprzód pokierować pielgrzymkę, jeżeli nie ku kościołowi Św. Marka, co tak blizko naszéj kwatery. I stanąłem na placu Św. Marka! — Zdawało się, że chóry piękności geniuszów, że całe grona duchów przeszłości zaintonowały pieśń ogromną, pełną wspaniałéj uroczystości i powagi. Żadne inne miasto, żaden inny kraj na kuli ziemskiéj nie ma placu, coby mógł na równi stanąć z tą przestrzenią, tak okazałą i jedyną.

Wierzajcie, że to pewnie nie przesadne, rozbujałe pochwały!

Nie myślę atoli kusić się, bym słowami chciał roztoczyć choć jaki-taki obraz tego słynnego placu, bo na to nie stać pióra, do tegoby pędzla potrzeba; więc tylko słów kilka powiem, odwołując się do wizerunków i rycin, tak gęsto między publicznością naszą rozsypanych.

Słusznie powtarzają a powtarzają ciągle, że plac Św. Marka, to niby olbrzymia, przepyszna sala. I prawda; bo on się najprzód tém już różni od wszystkich innych rynków i placów na świecie, że te jego ściany nie są poprzecinane żadnemi ulicami, uliczkami (bo te uliczki a kommunikacye — to przejścia ukryte). Tak ściany téj sali ciągną się jednostajnie, bez ustępów i przerwy. Prawda, że ten plac jest najcudniejszą i najogromniejszą salą na świecie, a jéj stropem — to sklep włoskiego nieba. Przecież plac Św. Marka jest tak charakterystycznym dla artystycznéj fantazyi tego świetnego adryatyckiego grodu, że go słusznie za prawdziwe dzieło sztuki uważać możemy. On razem z Piazzettą stanowi całość tak czarodziejską, że należy mu się nieco bliżéj przypatrzyć. Dla tego niechaj zechce czytelnik rzucić okiem na naszą Fig. 3 (str. 146). Ona pokazuje nam rozkład budynków na placu Św. Marka (oznaczony P S M.) i na

Piazzettę (P...ta), oraz przyległości najważniejsze. Planik nasz równie podaje jakie-takie wyobrażenie o wzorach strojnych, któremi, jakby kobiercami, wyłożona posadzka marmurowa placu i Piazzety.

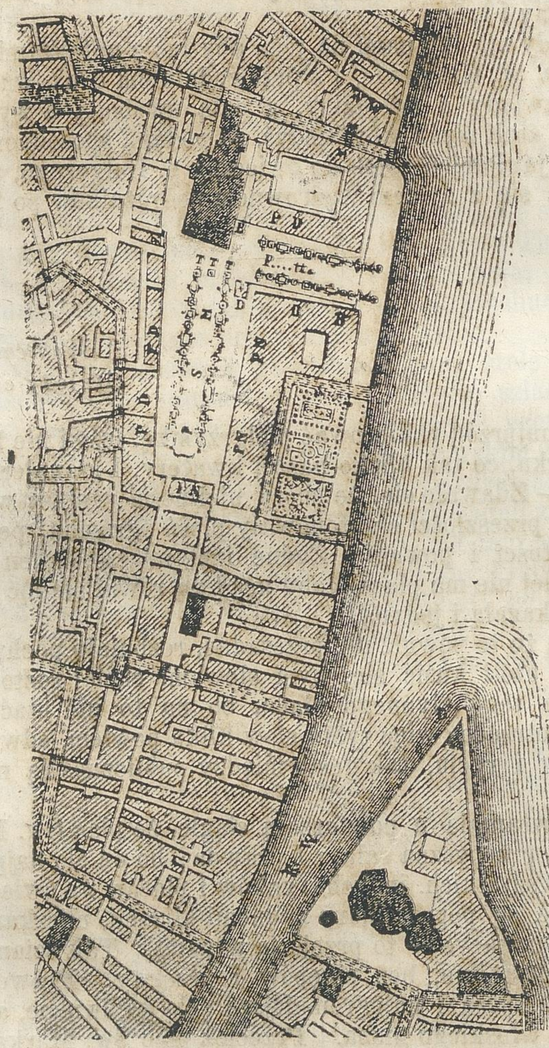


*Fig. 3.* Rzut poziomy placu Św. Marka i Piazzetty.

Stańmy tedy w saméj głębi placu Św. Marka, więc przy krótszéj jego ścianie, którą tworzy pałac zwany *Fabrica Nuova* (ob. F N), a stańmy tak, abyśmy ten pałac mieli za sobą; wtedy wprost naprzeciw nas obaczymy dopiéro w dalekiéj perspektywie główną wystawę (front) kościoła Św. Marka (oznaczony przez S M). Po naszéj



lewéj ręce z Nuova Fabrica styka się pod kątem prostym pałac *Prokuracyj Dawnych* (P D, P D); on bieży długim frontem (bo uliczki, oznaczone na planie, są jedynie korytarzami szerokiemi w samém poziemiu pałacu). Kędy się kończy ten pałac, tam widać cudny budynek, zwany *Wieżą Zegarową*, już przez nas dawniéj wspomniany (Z); na wierzchu jego dzwon i owe dwa olbrzymy śpiżowe, a nieco daléj, w téj saméj linii, widać inne jeszcze okazałe budowania. Po naszéj zaś prawéj ręce, także pod kątem prostym schodzi się z Fabrica Nuova pałac *Nowych Prokuracyj* (P N); on roztacza się prawie tak daleko, jak naprzeciw niego stojące „Dawne Prokuracye"; ale gdzie on się kończy, tam już nie ma licujących z nim dalszych budowli, lecz jest róg pałacu; gdy ten róg obejdziemy, znajdziem się na Piazzetta i obaczymy już po prawéj ręce znaną nam bibliotekę Św. Marka (B B), po lewéj zaś pałac dożów (P D); a wprost naprzeciw nas wspaniałe morze, zwłaszcza miejsce, kędy zarzucił kotwicę statek nasz i z którego rozpatrzyliśmy się w pięknościach nieporównanych Piazzetty. Uważmy, że przy tym rogu Nowych Prokuracyj unosi się w powietrze owa kształtna, tak śmigła dzwonnica (Campanila D) Św. Marka; ona jednak nie dotyka się tego rogu, jest małym ustępem od niego oddzieloną, stanęła więc samodzielnie. U jéj spodu stworzył Sansovino budyneczek prześliczny, ową Loggia, czyli Loggietta, istne cacko marmurowe i wdzięczny żarcik geniuszu jego. Nie trudno zgadnąć, jakto ta Campanila i Loggia stroi i zdobi całe wejrzenie tego cudownego świata.

Widzimy tedy, jak owa wieża zegarowa, ze swoimi olbrzymami, stanąwszy na przedłużeniu jednego z boków placu Św. Marka, patrzy się wprost frontem swoim na Piazzettę. I jeżeli pójdziemy od onego rogu, kędy się kończą Prokuracye Nowe ku kościołowi Św. Marka, już wtedy będziemy mieli za sobą sam plac Św. Marka, po lewéj wieżę zegarową, po prawéj zaś Piazzettę, a w końcu jéj morskie zwierciadła; co właśnie ztąd pochodzi, iż Piazzetta i plac mają się pod kątem prostym do siebie. Widzimy wprawdzie na naszym rysunku, że plac Św. Marka nie jest doskonałym prostokątem, ale tego wcale nie znać w rzeczywistości dla bardzo znacznego rozmiaru jego.

To lekkie wyjaśnienie rozkładu placu tego i budynków, otaczających go w koło, przyda nam się do łatwiejszego zrozumienia tego, co jeszcze w tekście o nim powiemy.

Wszak to wszystko nie stanowiłoby jeszcze czarodziejskich jego uroków, bo i po innych miastach przecież nie braknie rynków i równie wspaniałych pałaców; ale plac Wenecyi jest tylko jednym i jedynym na świecie całym (*).

(*) Fig. 3 oznacza nam jeszcze przedmioty, o których już była mowa, albo o których niezadługo wspomnimy. — I tak na Piazzetta K K oznaczają owe dwie

Tutaj atoli w tych budowaniach żyje harmonia, tutaj całość poetyczna, choć rozmaitości pełna, tutaj to architektura oczynia fantazyą czarnoksięztwem niewymownem, bo, jak rzekłem, cały plac ten może być uważany jako dzieło sztuki. Wszak widzieliśmy już powyżéj owo arcymistrzowstwo, tchnące wdziękiem najwyższym w bibliotece Św. Marka, co ją stworzył Sansovino na Piazzetta; ta biblioteka, jakeśmy powiedzieli, pewnie jest najpiękniejszym i najwspanialszym przybytkiem publicznym we Włoszech całych. Otóż wystawmy sobie, że dwa boki placu Św. Marka, bo Nowych Prokuracyj i tak zwanéj Fabrica Nuova, są właśnie naśladowaniem, prawie kopią téj przecudnéj biblioteki! Sansovino zaiste tą swoją architektoniczną kompozycyą tak uderzył dusze Wenecyan, tak je oczarował, że ta biblioteka już na długie wieki została najwyższym wzorem artystycznéj piękności. Jakoż *Wincenty Scamozzi* wzniósł niedługo po Sansovinie, bo w r. 1584 Nowe Prokuracye, a blizko trzysta lat późniéj, bo na początku XIX wieku, Napoleon Pierwszy kazał zburzyć dawniejsze budynki i zastąpić je pałacem Fabrica Nuova (*). Scamozzi atoli, choć się urodził w kwiecie owego błogiego dla sztuki czasu, co go pełnym, późniejszym renesansem zowiemy, już przecież za życia swojego dotknięty był następną, rodzącą się już, złowrogą epoką, gdy instynkt wieszczy coraz ciszéj a ciszéj odzywał się w piersiach mistrzów; ta epoka dała się uczuć i Prokuracyom Nowym. Jakoż, na piętrze pierwszém stanęło drugie, którego nie ma we wzorze — bo w bibliotece; prawda, że to drugie piętro jest w sobie pełne piękności, że również zestroiło się, ile tylko można było, z pierwszém piętrem i poziemiem; i to niemniéj prawda, że gdy dzieło Sansovina jest istném dziełem sztuki, więc kompozycyą będącą ukończoną całością w sobie — zatém ten dodatek, to drugie piętro psuje tę całość organiczną. Przejrzyjmy atoli téj słabostce. Czyliż się nie zdarza nawet wielkiemu *Szekspirowi*, że już po rozwiązaniu, po ukończeniu swojego dramatu, jeszcze doda akt jeden, który nie łączy się organicznie z całością, który jest tylko

---

kolumny granitowe, dotknięte przez nas powyżéj (porów. Fig. 1). T T T. oznaczają trzony śpiżowe, u których utwierdzone maszty; jeden z tych trzonów przedstawiony na Fig. 5. W tyle Prokuracyj Nowych i biblioteki spostrzegamy oznaczony ogród, należący do Palazzo Reggio. Za pałacem dożów widać kanał ciasny, po drugiéj stronie jego położone więzienia W W, a most M W, łączący więzienie z tyłami pałacu dożów, jest właśnie owym mostem westchnień, o którym mówiliśmy wjeżdżając do Wenecyi, a który, jak nam wiadomo, jest wysoko zawieszony nad wodą, bo prowadzi ze sali sądowéj pałacu wprost pod poddasza ołowiane więzienia. K W oznacza kanał wielki, czyli raczéj wstęp do niego. D znaczy *Dogane*, a S M S wyraża kościół *Santa Maria della Salute*, — o obudwóch tych budynkach będziemy późniéj obszerniéj mówili.

(*) *Vinzenzo Scamozzi* urodził się we Wicency r. 1552, umarł w Wenecyi r. 1616. Dla nas rzeczą ważną, że on w r. 1587 wraz z posłem weneckim Piotrem *Duodo* odwiedził Polskę i dwór Zygmunta III.



zbytecznym do niéj przyczynkiem. Prawda znowu, że téż nie te ułomnostki stanowią o wielkości geniuszu jego. Mimo tego, Fabrica Nuova i Nowa Prokuracya są cudnym odgłosem biblioteki Św. Marka. Jakoż w tych gmachach i poziemie zbudowane jest w arkady, i tu panuje ten poważny styl dorycki, i tutaj powtarzają się owe piękne męzkie figury, i fryze bogate, i balustrady. I tutaj również powyższe piętro wdzięczy się architekturą jońską i kolumnami, co strojne w kapitele gracyjne i żłobki, mieniące się światłem i cieniem, i tutaj łuki arkad ożywione w postaci niewieście, tak lubego, miękkiego wyrazu. A owo drugie piętro, przez Scamozzego dodane, jest już lżejsze od pierwszego, bo się ustroiło w lotne wysmukłe kolumny korynckie.

A teraz naprzeciw stojące Prokuracye Dawne. Te nierównie starsze; one należą do epoki najwcześniejszego renesansu; zbudował je *Bartolomeo Buono* (*) jeszcze przy końcu XV wieku. I tutaj również całe poziemie w arkady, i pierwsze piętro całe w arkady, i drugie piętro całe w arkady; wspaniale, choć wesoło i świątecznie, wznosi się ta budowa w powietrze. Lecz tutaj już architektura znacznie się różni od gmachów wyżéj wspomnianych. Tu nie ma filarów potężnych, które dopiéro stają się lżejsze przez pilastry i półkolumny z niemi się łączące. Jakoż, krągłołuki poziemia spoczywają na filarach czworościennych, jednak cieńkich i śmigłych; a takież łuki na pierwszém i drugiém piętrze wsparły się na kolumnach lekkich, okrągłych, żłobkowanych, których strojne kapitele z koryncka ubrane są w liście. U góry saméj, nad okapem, wieńczą gmach ozdoby: więc wazony i wyrzynania kamienne. Lecz zważmy, że arkady poziemia dwa razy są szersze niż owe, które stanęły na piętrach; zatém na każdą kolumnę dolną przypadają dwie na pierwszém lub drugiém piętrze; łatwo więc sobie wystawić, jak ta całość jest gracyjna, jak ożywiona i ruchu pełna, mimo to, iż żadnych tu nie ma figur, żadnéj płaskorzeźby; tutaj sama weseli się architektura bez wtórowania jéj młodszéj siostrzycy — skulptury, co tak strojna i mowna.

Kędy się kończą te dawne prokuracye, tam się wznosi wieża zegarowa licująca z niemi.—Ona znów dziełem Piotra *Lombardo* (**) (r. 1496), więc także kompozycya wcześniejszego renesansu. Cały budynek strzelił wieżą czworościenną płaską u góry; tam na wierzchu ów dzwon i olbrzymy jego; poniżéj pole błękitne, gwiazdkami złotemi posiane, wpośród nich lew skrzydlaty; poniżéj znów pole a w niém trzy niże; w środkowéj posąg Najświętszéj Panny, a jeszcze niżéj — pole z zegarem — a pod nim już brama potężna, niby

---

(*) Bartolomeo *Buono*, albo *Bono*, budowniczy i rzeźbiarz, umarł 1529 r.—*St.*

(**) Pietro *Lombardo*, znakomity budowniczy i rzeźbiarz XV-go wieku, głowa licznéj rodziny, poświęcającéj się sztuce; umarł 1515 r. — *St.*

brama przechodnia, wiodąca do całego labiryntu uliczek i ulic i kanałów. Po obu stronach téj wieży przystawione pawilony, arcywdzięcznie wiążące się z nią w całość, więc okna krągłe, balustrady i pilastry strojne, zdobne; a niezmiernie też szczęśliwa była myśl Piotra Lombardi, gdy trzecie, więc najwyższe piętro tych pawilonów, cofnął w tył, zostawując z frontu i z boków zewnętrznych szeroki taras; tak bowiem te pawilony same przez się zestrajają się z lotnością saméj wieży, która właśnie owém polem błękitném, gwiaździstém i dzwonem wznosi się nad wierzch tych pawilonów. Choć w oddaleniu znaczném, czytelnik nasz na Fig. 1 mógł dojrzéć ogólnych i charakterystycznych form téj wieży zegarowéj.

Teraz może czytelnik już nieco zrozumie ogromne wrażenie artystycznych piękności tego placu, owych budowań w arkady, — a arkady są niewymownie oryginalne i urocze. Temi arkadami, niby otwartemi galeryami zdołamy odprawić nielada przechadzkę,— ba podróż (*).

Jako zaś żadnéj piękności, jak wiadomo, nie zaszkodzą bogate szaty, tak też i piękności téj architektury nie jest na zawadzie, gdy ona cała, od stóp do głów, ubiera się w kosztowne marmury. A tego pięknego i drogiego jest tutaj na dużą skalę, bo pałace te są ogromne. Oto uważajmy np. pałac Prokuracyj dawnych. Mówiłem dopiéro, że arkady poziemia są dwa razy szersze niż arkady pięter, a że tamtych jest 50, więc na każdém piętrze jest po 100 arkad i po 100 kolumn, bo tu długość pałacu jest 400 stóp. Więc miałem podobno słuszność, gdy wyżéj rzekłem, że to nielada wędrówkę można odbyć wzdłuż tych czterech pałaców, gdy każdy z nich tak znakomitych wymiarów.

Ten plac i Piazzetta, ze swojemi pałacami (wyjąwszy pałac dożów i bazylikę św. Marka), zasługuje już i pod tym względem na hołd estetyka, że ta architektura, budując arkady na arkadach, roztacza nam przed żywe oczy obraz zewewnętrznego kształtu starorzymskich teatrów i amfiteatrów, a nadto uczy, czém był styl renesans we wcześniejszéj, a czém w późniejszéj epoce swojego rozwoju. Tutaj występuje na jaw jasny i w wielkich wymiarach owa epoka odrodzenia klassycznego świata, stanowiąca taki ogromny zwrot w dziejach kultury europejskiéj.

Teraz zbierzmy sobie naprędce w myśli razem, cośmy o tym placu rzekli; zbudujmy sobie w wyobraźni i jego pałace, i bazylikę

(*) Jakoż, zaczynając od końca Prokuracyj dawnych, więc od miejsca, kędy one graniczą z wieżą zegarową —, czy dołem, czy piętrami możemy przebyć całą długość tych Prokuracyj; potém, zwracając w lewo, idziemy wzdłuż Fabrica Nuova —, potém, znów idąc w lewo, ruszamy niezmiernie długą galeryą Prokuracyj nowych; a przybywszy pod Campanilę zwracamy się na prawo, jesteśmy na Piazzetta i śpieszymy wzdłuż biblioteki i w koncu jéj stajemy nad morzem i widzimy już cały przepych wstępu do Canal Grande.



Św. Marka, co świeci oryentalnym przepychem, i wieżę zegarową i Campanilę z prześliczną Loggią swoją; przypomnijmy sobie, że posadzką téj sali, którą placem Św. Marka zowią, są marmury czarne i białe, niby w kobierzec mozaiką złożone, a stropem téj sali jest to gorące, ciepłe, promieniste niebo włoskie; a nadewszystko, że tuż obok, bo 10—12 kroków od biblioteki lub pałacu dożów, igra morze —, to nieskończone, to odwieczne morze —, a przyznamy, że na całym świecie nie ma drugiego placu Św. Marka; przyznamy, że wszelkie podziwienia, choćby najgęściéj słowami ogadane, w ryciny opatrzone, nie wyczerpią nigdy tych piękności. Możemy wracać i wracać do Wenecyi, odwiedzać dzień w dzień plac Św. Marka, a nie przesycimy się nigdy jego widokiem; bo co istotnie piękne, to nie sprzykrzone nigdy; bo piękność, podobnie jak prawda, choć dawna jak świat, nie starzeje się nigdy, jest wiecznie młodą, wiecznie odradza się wdziękiem, jak one bogi Olimpijskie, wzniesione nad krzywdy światowe i ziemskie niedole.

Lecz pamiętajmy, że w tych świetnych dziełach architektonicznéj piękności żyje jeszcze przeszłość, a przeszłość tak promienistéj, tak wielkiéj sławy. Tu na tym placu Św. Marka, w tych pysznych pałacach rodziły się czyny, co już głośne przez świat i stulecia wszystkie; w tych przestrzeniach mieszkał duch historyi powszechnéj; tchem jego uniesiona Wenecya dokonała spraw, które jéj saméj poszły na jasną chwałę a potężną moc, a całemu ludzkiemu rodowi na uzacnienie umysłowe i wieńce urocze. Bo tutaj, wśród błyszczących czynów miecza a laurów mądrości politycznéj, zakwitły też wieńce nigdy niezwiędłe sztuki pięknéj.

Zważmy — człowiek każdy odbiera od natury ciało, by duch jego miał ogniwo, coby go łączyło ze światem fizycznym, z naturą materyalną; lecz choć to ciało jest darem dane duszy naszéj, ona jednak jest jego mistrzynią a panią — a im więcéj duch ludzki urośnie poczuciem samego siebie, im potężniéj wzmoże się w siłę i dzielność; im tedy jaśniéj przepromieni się jaką wielką prawdą, tém też ściśléj weźmie pod swoje władztwo a panowanie i cielesność — tę zmysłową służebnicę swoję, czyniąc ją swoją wyrobnicą wśród materyalnego, widomego świata. Wtedy głuche demoniczne moce, burzące i robiące w człowieku, umilkną; one już korne i potulne uciszą się, i słuchać będą jego skinienia, gdy je duch zakonem swoim a rozkazaniem ujmie w karby swoich rządów; bo to prawo, jeżeli zaiste ze saméj istoty ducha a nie z przemijających namiętności płynie, nieskończenie wyższego jest znaczenia niż to ciało, niż te wszystkie zjawiska natury, tak przelotne i marne. Więc gdy duch przejmie sobą to ciało, wtedy on tak już zajaśnieje w téj cielesności swojéj, że stanie się jego symboliką a hieroglifem, jego na zewnątrz wróżbitą; wtedy duch choć lekkim odgłosem zabrzmi w ruchu całéj postaci, odezwie się w giestach, w chodzie, w téj całéj muzyce a rytmie ciała, w téj indywidualności zewnętrznéj człowieka; wtedy duch sam sobie stwo-

rzy rysy twarzy, fizyognomią, wyraz oblicza, który zwróci do natury i do bliźnich swoich, i który wzniesie do Boga w posępnych lub w jasnych chwilach swojéj pielgrzymki przez świat. I to przez niego stworzone oblicze będzie mu przed Bogiem i ludźmi świadectwem z odprawionego żywota na ziemi. Ztąd też, gdy przez piękność a urodę, od natury daną, przeziera albo czczość i pustkowie ducha, albo, co jeszcze straszniéj, zwichnięcie i zepsucie uczuć — wtedy ta piękność fizyczna, darem dana, sama sobie będzie szyderstwem i własną siebie saméj demoniczną ironią.

Jak z człekiem pojedyńczym, tak podobnie rzecz się ma z ludem każdym; jak człowiek swoje ciało, tak lud każdy bierze kraj swój ojczysty od natury posagiem. — Więc też niwy i góry, skały i lasy i rzeki rodzinne, jeżeli będą przepromienione jego myślą, a przejęte gorącém uczuciem jego duszy, jeżeli będą napojone jego krwią ciepłą, serdeczną — wtedy zapukają własném sercem tego ludu, będą krwią krwi jego; wtedy rzeki i potoki rodzinne staną się iście pulsem rodzimego ducha ludu; wtedy powiewy i tchy staną się jego oddechem a wichry i burze własném westchnieniem i boleścią jego. A im obfitszym znojem twardego trudu, im pełniejszym potokiem krwi uświęci ojczyznę swoją lud, im cięższą pracą, im wyższą myślą przerobi tę ziemię swoją, tém wyraźniéj na niéj wyciśnie piętno własnego ducha; tém wierniejszym ona będzie wizerunkiem a symbolem jego istoty wiekuistéj; tém przeto ściślejsze śluby zwiążą duszę ludu z naturą rodzimego kraju; ta natura, choć martwa, będzie przecież wskróś przeniknioną jego uczuciem a myślą; ta natura, choć głuchoniema, stanie się wymowy pełną i zatętni nigdy niezgasłym żywotem.

A cóż dopiéro ten wenecki lud! On nawet nie miał od natury udzielonéj sobie ziemi rodzinnéj a gruntu dla swojéj historyi; ale on przemógł duchem tę naturę, sam stworzył sobie ziemię a grunt na ojcowiznę swoją! Natura osadziła, wśród adryatyckiéj fali, mielizny z błota i morskiego zielska wodą zalane (Laguny) — a Wenecya na tych błotach i zielskach, wodą zalanych, wbiła miliony a miliony palów, i na nich, jakoby na węgłach dźwignęła 28,000 domów, 41 rynków i placów; ocembrowała ciosem 400 kanałów, i zbudowała półpiętaset marmurowych mostów; wykonała tłumy świątnic Pańskich, ubierając je w przepych zamożności i w urok sztuki pięknéj; wysadziła miasto swoje, jakby klejnotem, nieprzebraną liczbą pałaców świecących wspaniałością i formą artystyczną. Wenecyanie ujęli w karby posłuszeństwa rozhukane bałwany Adryatyku i szał złowrogi żywiołów, dźwigając na morzu pełném, od samego trzonu a dna jego, mur ciosowy — dzieło olbrzymów, co ciągnie się w długości dwóch mil wśród kipiących, pieniących szałów morskich; a gdy dokończyli téj pracy, wtedy zacną, bo słuszną dumą, położyli na niéj napis: że dokonana była „śmiałością rzymską a złotem weneckiém“ (ausu romano, aere veneto).



Tak rósł ten morski gród i rozwijał się w państwo czarnoksięzkiego uroku i potęgi przez wieki długie, świecąc sprawami szerokiéj chwały, rosnąc w sławę z męztwa i przemysłu, z mądrości politycznéj i obywatelskiéj cnoty; a zarazem ta Wenecya stała się ogrodem cudnym, rodzącym złociste owoce sztuki pięknéj i najwyższéj kultury.

Było to w stuleciu piątém, więc w onym czasie tak nocnym i smętnym, gdy wołanie Archanioła historyi zabrzmiało nad ludzkim rodem, zwiastując staremu światu, że nadeszła godzina skonu jego, że nastał poród nowéj społeczności, poród wśród boleści bez granic a mąk, dla których brakło wyrazu w mowie ludzi. W tym wieku piątym tak straszliwym, gdy ją już dożerał śmiertelny rak, a gdy konanie miało być jeszcze tak długie i tak okropne; w tym czasie trwogi i katuszy, o wschodnie bramy cywilizowanego świata biły ciosy najeźdźców, a jakby dalekim gromem rozległy się uderzenia tłuszczy bezmiernéj, téj chmury milionowych barbarzyńców Azyi. I padły zgruchotane, spróchniałe owe bramy, a przez progi ich rzuca się czerń jak wicher Boży, jak potop lub pożar ognisty, jak jakaś moc bezrozumna, bezoka natury — i kroczy czerń przez świat. Kroczyła przez świat demonem zniszczenia ta dzicz, co miała być zasiewcą nowéj historyi i odrodzeniem społeczności nowéj; a kędy noga barbarzyńców stąpiła, tam tumany dymów unosiły ku obłokom grody i miasta, i świątnice i urocze dzieła dawnéj sztuki, i dobytek tysiącoletniéj pracy wszystkich przeszłych pokoleń; tam krew wyciętéj mieczem ludności sprawiała zagony, a posoka ludzka ciekła w państwo podziemne na datek ofiarny tym wszystkim ludom, które niegdyś Rzym poświęcił na ołtarzu Jowisza kapitolińskiego. I stało się, że sąd ostateczny odbył się na oczy doczesne, że trwogi jego a odpłaty, zgrozy pełne, stanęły jeszcze wśród ziemskiéj tuteczności i pojawiły się jeszcze wśród doczesnego żywota.

A demon ślepy zniszczenia, negacyi i wywrotu najął sobie nieprzeliczone a przeróżne rody dzikie za czeladź swoją; dziś nazwy większéj części tych ludów przepadły w zapomnieniu; historya przechowała tylko szczupły szereg imion téj różnojęzycznéj tłuszczy, co mordem i pożogą wytknęła szlaki swoje przez Europę. Na czele ich wyryte płomieniem wrogie imię Hunnów. Jak upiór straszny, jak dławiciel, do szaleństwa opojony wyziewem ludzkiéj posoki, pędził przez kraje szerokie zapamiętały, bezmyślny, bezsercy ród Hunnów; a wodził je, jak sęp, ludobójca Attylla, co sam się zwał królem królów, a biczem bożym. Już ciżba milionowa przepchała się przez śnieżne Alpów zapory; już cudnie piękna a błoga niedawno Lombardya ogłuchłém pustkowiem; ustały pulsa wszelkiego żywota, sterczą jedynie samotne gruzy świątnic, grodów, kopciem zczerniałe; w rozsypiskach zwalonych cuchnie spalenizna ludzkich ciał; zwierz dziki, nęcony trupami, sam jeden teraz gospodarzy w mieszkaniu człowieka. Cywilizacya świetna rozorana tabunem azyatyckim,

a puścizny najszlachetniejsze dawnego świata teraz rozniesione na kopytach końskich.

Lecz wśród krzyku rozpaczy, wśród jęku pożogi i mordów, ucieka gromadka mężów i niewiast i dzieci od włoskich brzegów, ścigana trwogą, pędzona strachem, unosząc życie przed ową dziczą, co się człowiekiem zowie, powierza się na kruchych łodziach morskim bałwanom i przeprawia się ku onym mieliznom błotnym; bo między niemi znalazły się takie, co nieco wystawały nad wierzchy wód. Tam ta garstka ludzi z gałęzi i liści splata sobie strzechy, tam już postanowiła żyć i umierać. — Te są zawiązki a pierwociny téj wielkiéj i sławnéj Wenecyi!

Te plecione z gałęzi i liści strzechy wzmogły się w marmurowy wodny gród — a wnet zdziwiony świat, przestraszony Wschód uznał potęgę ramienia młodego państwa. Wojny Krzyżowe dostarczyły mu zasobów a bogactw, a wojna z cesarzem Fryderykiem Rudobrodym, uwieńczywszy Wenecyą koroną zwycięzką, stawia ją na czele potężnego związku Lombardzkich miast (r. 1180). Wenecyanie zdobywają Konstantynopol — tę świetną stolicę wschodnich cesarzów — i podbijają Kandyą, Moreę, i Cypr, i Zante, i Cefalonią i mnóstwo innych greckich wysp. Równie ciężko zaważyło męztwo Wenecyi na stałym lądzie; z jednéj strony Istrya i Friul, z drugiéj Wicenza, Werona, Belluno i Padwa przyłączone do adryatyckiego grodu, — a na południu Włoch stary Tarent i Otranto i Brindisi korzą się pod przewagą skrzydlatego Lwa Św. Marka. A tak w Wenecyi odbyły się zrękowiny dwóch odwrotnych światów, rozdzielonych czasem i przestrzenią; bo w téj mórz stolicy powiązał się Wchód z Zachodem, a społeczność starożytna z nowoczesną.

Jeżeli atoli były świetności pełne te dzieje, toć one iście nie przyszły darmo temu ludowi.

Czém Wenecya dźwignęła się w moc ową prawie bajeczną dla naszych prozaicznych czasów? Zkąd jéj ta świetność prawie do mitów poetycznych podobna? — Wenecyanie tak ściśle zrośli sercem i myślą z chwałą a potęgą swojéj Wenecyi, o ile tylko lud chrześcijański zróść może sercem i myślą z ideą doczesną. Bo ludy wypiastowane wiarą zbawienia to mają do siebie, że żywot tuteczny, choć promienny i treści pełen, że chwała a błogość ziemska, choć wabna i urocza, nie zdoła jednak wyczerpać całéj duchowéj istoty ludów takowych, i nigdy nie zaspokoi nieskończonéj tęsknoty co ku wiekuistości wiedzie. Atoli lud Wenecyi tak był duchem bogaty, tak zamożny sercem, iż choć tonął okiem w odkupienia godle, co mu od Syonu jaśniało nieskończoności jutrzenką, choć go proroctwa wiary przejmowały wiekuistości dreszczem, jeszcze go przecież było stać, by siłą olbrzymią duszy osiągnął tak wysokie przyczoła ziemskiéj chwały. Lud wenecki w tém się zbliżał do klassycznych ludów starożytności, że powinność jego względem własnego kraju była zarazem skłonnością uczuć a osobistém pragnieniem jego; więc ofiary, które składał ukochanéj swojéj Wenecyi, były potrzebą jego duszy i nieprzemożonym instynktem jego serca. I toć jest całą tajemnicą wielkości i zacności tego grodu!



Jakoż człowiek dosługuje się wtedy dopiéro błogiego, szczęsnego pokoju duszy swojéj, gdy chęci jego osobiste nastroją się do zakonu przez Boga mu danego, gdy skłonności serca jego pogodzą się z ustawami prawa, a zacnego obyczaju, co przebywają żywcem w głębiach własnéj jego istoty. Bo wtedy człowiek nie będzie więcéj złamanym na dwoje; on wtedy już nie zazna onego, tak pełnego boleści zwycięztwa, gdy uczucie powinności bierze górę nad gorącém, choć błędném serca pragnieniem; bo wtedy co święte, co wielkie i zacne stanie się własném pragnieniem, własną chęcią jego; a co uzna być powinnością swoją, to nie będzie mu więcéj trudem krwawym, bo stanie się nawet potrzebą jego serca, jego duszy kochaniem.

Zważmy, że czém dla człowieka, jako dla jestestwa o przyszłym, wiecznym żywocie, jest życie ziemskie, posłuszne prawdom Bożym, czém dla niego jest zaślubienie się zasadom prawa i obyczaju, tém dla niego, jako żyjącego w doczesnym świecie, jest oddanie się powinnościom względem kraju, w którym żyje. Lubo prawda, że nawet obie te strony, choć różne w człowieku, przecież w ścisłym są z sobą związku; bo im zacniéj człowiek wyrobi z siebie uczucia obywatelskie, tém ściśléj zjednoczą się jego osobiste dążności i chęci i pragnienia z powinnością, którą ma dla kraju swojego. Trudy i łamanie się, dokonane z ciepłą miłością, przestaną być poświęceniem ciężkiém, staną się rozkoszą, gdy w człowieku żywioł indywidualny, ludzki ześlubi się z obywatelstwa poczuciem.

Ta właśnie jedność żyła pełném tętnem w duszy ludu Wenecyi. Wenecyanie dokonali ogromnych spraw, a historya ich jest pasmem dziwów i cudów. Ale te dziwy i cuda były tutaj naturalne, one płynęły z własnéj przyrody wewnętrznéj tego ludu, i dla tego nie były opłacane twardém szamotaniem się z sobą, ani bolesném zrzeczeniem się i trudem serdecznym. Ku tym pracom a sprawom wielkim parła go własna istota jego i sama gorąca kipiąca duszy żądza, więc one nie były mu trudne. Czyliż jest poświęceniem dla róży, gdy roztula liście swoje i oddycha wonią? Czyli dla młodego serca, rozjaśnionego miłością, poświęcenia są doprawdy poświęceniem? Ta jedność osobistych dążności i ofiar, łożonych przez ten lud dla Wenecyi, nie były mu goryczy pełném zrzeczeniem siebie; i dla tego, jakeśmy rzekli, Wenecya z onych biednych i zaledwie dojrzanych początków dźwignęła się tak świetnie, tak okazale w dziejach ludzkiego rodu.

Lecz pytamy, jakiż to złowrogi czar urzekł tę promienną a wdzięczną panią mórz, i złożył niemocą i zaprawił zarodem śmierci jéj życie, co tak świeciło chwałą wśród innych ludów?

Długi i liczny jest ów poczet smętny chorób, co trawi i pojedyńczych ludzi i państwa! Owa straszliwa, tajemnicza kwoka czarna,

co ją nieubłaganém przeznaczeniem zowią, wysiaduje różne rodzaje skonu mocarstwom, i potęgom na ziemi i z ziemi zrodzonym.

Przeliczne też są choroby państw. Patrząc na ich omdlewanie, że jedne są podobne roślinom zimotrwałym, które, choć wśród mrozów stają się straszącym skieletem własnéj postaci, choć gubią liście swoje i tętna swoich żywotnych soków, przecież w rdzeniu a korzeniach, w ziemi ukrytach, przechowują moc tajemniczą, co czeka wiosny powiewów i jéj ożywczego tchu. I znów są inne państwa, co umierają niby roczna roślina ; jak każdy jéj kwiat, gdy raz przekwitnie, nie obudzi się nigdy więcéj, skoro przejdzie jego pora, tak i cała roślina kona, by umrzéć na zawsze.

A jak każda roślina usycha śmiercią albo dla własnéj, wewnętrznéj niemocy, albo gdy jéj niedostaje zewnętrznych warunków, gdy jéj brak ciepła lub chłodu, dżdżu lub posuchy, cienia lub światła; tak i Wenecya skonała z obu tych powodów, bo jéj poszła śmierć z własnéj, wewnętrznéj niemocy, a zarazem uległa pod brzemieniem wielkich zwrotów historyi świata.

Atoli najczęściéj prawie tak bywa, że obie te przyczyny równocześnie biją na umierające państwa. Drzewa północy tracą liście swoje nie tylko dla tego, że jesień nastaje, ale i dla tego, że są znużone na mocy wewnętrznéj.

Jéj wielkość a potęga roztoczyła się właśnie w onéj epoce, gdy duch dziejów średniowiekowych w całéj pełni swojéj panował nad światem, gdy czas romantyczny, fantastyczny, rycerski przejmował wskróś duszę Europy; więc też Wenecya urządziła się wedle ducha onego wieku, czyniąc wyobrażenia jego węgłem domowych swoich stosunków. Tak się stało, że szczupłe koło przeważnych rodzin, jaśniejących prapradziadową zasługą, ważyło w rękach swoich władztwo Wenecyi. Lecz gdy na ujściu wieku piętnastego, a przy zawiązkach szesnastego stulecia inny nastał czas, gdy się historya zabierała w nowe drogi, w nowy zwrot duchowy; wtedy Wenecyą opuściła czujność mądra, stojąca jéj od wieków na straży. Wenecya, trzymając się onych ustaw a zasad od praojców jéj przekazanych, uważając możnowładztwo za piastunę i paiżę swojéj wielkości a sławy, lekko sobie brała one zwiastuny, co zwolna już pukały pod fundamentem jéj potęgi; nie wierzyła oznakom, co się pojawiały i dniem i nocą na niebie i na ziemi; przesłyszała godziny, co jéj wybijały nowe epoki świata; i, jakby przez sen, dosłuchując się jedynie jakby z daleka wołania czasu, trwogą a przestrachem na wewnątrz wywieranym chciała uprzedzić pękające się podwaliny społeczności swojéj. Ale trwogi i przestrachy były li negacyjną, więc bezżywotną mocą! — Ocknęła się Wenecya dopiéro przy samym schyłku ośmnastego stulecia, gdy uderzyły gromy w dawny świetny dom ; zerwała się z długiéj śpiączki, chcąc naprawić dawne zaniedbanie. Przecież już było za późno — Wenecya umarła! — Wenecya umarła, umrzéć musiała, bo była przeżyta, bo pierwiastek, którym



ona stała, już nie był na czasie. A choć żal głęboki przejmie serce na skon téj mórz królowéj, toć przecież skon ten był wyrokiem nieubłaganéj logiki ludzkich dziejów.

Wtórym powodem skonania téj dumnéj mistrzyni mórz była przyczyna zewnętrzna. I dziwném zrządzeniem historyi, ta sama epoka, ten sam zawiązek szesnastego stulecia, co zrodził z siebie owe wielkie zwroty w dziejach Europy, był zarazem początkiem, choć jeszcze niewidnym, śmiertelnéj niemocy Wenecyi; co więcéj, nawet jeden z tych pojawów i wypadków ciężkiéj wagi, które były właśnie czynnikami i wysłańcami onego zwrotu, stał się główną przyczyną jéj skonu. Tym wypadkiem było odkrycie nowéj półkulicy świata, i wytropienie nowéj drogi do Indyj, do onego kraju marzeń całych ludzkich dziejów; do Indyj, co, jakby bajeczka czarodziejska, wabiły od wieków złotemi jabłkami wszystkie narody i stulecia. Te wypadki jak roztworzyły oczy historyi i odemknęły na oścież serce Europy, tak zarazem zostawiły Wenecyą na uboczy tych szlaków, któremi miały chodzić przyszłe kultury i handlowe stosunki świata, a które zarazem bogacą zamożnością ludy i nie pozwalają zdrzémać się wśród ogólnego ruchu dziejów. Wtedy dawne gościńce na morzach i lądach, których była panią Wenecya, opustoszały, ogłuchły, a z każdym dziesiątkiem lat, słabła na znaczeniu stolica Św. Marka, co była dotąd pośrednicą między Wschodem i Zachodem. Co więcéj, owe nowe zwroty w dziejach, wywracając feudalizm europejskich państw, zbierając w jedno ognisko ich moc, nadało im odrodzoną siłę, która znów wyrażała się na zewnątrz potęgą wojsk w karności wyćwiczonych. Gdy zaś tak na Zachodzie i Północy liczne zastępy wojenne otaczały europejskie trony, na Wschodzie też urosł Wenecyi potężny wróg. W témże piętnastém stuleciu runęło cesarstwo Greckie, a na rozsypiskach jego zaświecił półksiężyc — godło islamizmu, a z nim zuchwalstwo butne i chuć podbojów. Aby Wenecya teraz utrzymała się przy posiadłościach z dawnych lat, trzeba było sił lądowych, a ona była przedewszystkiém mocarstwem handlowém, morskiém; wrychle stanęła jéj przed oczy straszna prawda, że najemniki, złotem zaciężne, że krew obca a kupna nie stanie za wojsko z własnych synów. Historya Wenecyi odtąd zamienia się na historyą klęsk i strat. To konanie trwa lat trzysta. Napoleon zadał jéj tylko cios zewnętrzny, dobijający; lecz śmiertelny rak toczy już od trzech wieków serce Wenecyi, a konieczność jéj śmierci była zapisaną oddawna, bo wielkość tego państwa była osadzoną na szczupłych a przemijających fundamentach, zastosowanych do położenia świata, które koniecznie zmienić się musiało.

Tak jest, trzysta lat umierała Wenecya — a nieznacznie, zwolna, bo historyi powszechnéj się nie śpieszy. A jak najwyższym szczytem tutecznego żywota jest miłość, i jak ten szczyt a najpiękniejszy kwiat jest zarazem pierwszym zawiązkiem dalekiego skonu; tak też czas, gdy pierwszy tajemniczy zaród choć dalekiego upadku puści

pierwsze niewidome kiełki w życiu państwa, jest zarazem epoką, w którém ono zwykle świeci najwyższą promieniejącą jasnością; wtedy właśnie to państwo, choć z robakiem śmiertelnym w sercu, staje się podziwem i czcią świata. W téj tedy jakby pierwszéj południowéj godzinie swéj chwały a wielkości, ludy wykwitają urokiem swéj sztuki pięknéj.

Tak to piętnaste i szesnaste stulecie jest epoką najzacniejszych mistrzów Wenecyi, których imiona, jakby wieńcem olimpijskich bogów, jaśnieją miłością nad tym cudnym morskim grodem. A dzieła tych mistrzów żyć będą na długie, długie wieki. Choć Wenecya sama umarła śmiercią doczesną, choć ona jedynie przebywa już wśród duchów w świecie elizejskich cieniów; toć jéj malowane obrazy, jéj architektura i marmurowe postacie żyją nieśmiertelnym wdziękiem; bo one pochodzenie swoje wiodą z dziedziny nadświatnych ideałów; one, lubo na ziemi zrodzone, są poczęte w duchowych dziedzinach twórczéj fantazyi; ich nie dotknie więcéj fala zawistna ani żywot ziemski, a ich uśmiech nadniebiański zwiastuje, że są bez cierpień, bo one same są bez skazy a tutecznéj winy. Te dzieła sztuki, te piękności córy, co przeżyły swojém życiem bezśmiertném historyą swojéj Wenecyi, jawnie świadczą, że dzieje powszechnéj historyi, choć są arcydziełem naszego doczesnego żywota, nie są jednak jeszcze najwyższém dziełem ducha ludzkiego.

Wszak prawda, że w dziejach państw i ludów także się dopatrzyć możemy potęg pracujących w duchu ludzkim, ale ten wizerunek nigdy nie będzie dostatecznym a wiernym. Bo choć lud każdy przędzie z miłością tę nić swoich dziejów, i zwilża ją łzami swojémi, i skrapia krwią serdeczną milionów swoich synów, lubo dniem i nocą wirem pędzi kołowrót onéj nigdy nieznękanéj prządki, którą historyą zowiemy, przecież nie braknie przeszkód z zewnątrz, matwających a psujących te prace krwawe. Czasem nawet parka zawistna przedwcześnie utnie żywota nić. Gdy atoli już dzieje żadnego narodu nie wystarczą, by były jego ducha wiernem odbiciem, tém mniéj dzieje powszechne świata zdołają być wizerunkiem ogólnym ducha ludzkiego. Bo historya świata oddana jest ustawom przestrzeni i czasu. Jéj sceną są kraje, — jéj aktorami są stulecia i lat tysiące. Lecz scena rozszerza się bez końca, ciągle a ciągle zmieniają się dekoracye, a akta dramatu mnożą się bez końca: ten dramat nigdy nie ukończony, w nim nigdy nie spada zasłona. Tak i wizerunek, który nam podają dzieje, będzie wizerunkiem nigdy nie skończonym. I dla tego człowiek tęskni do sztuki pięknéj; bo on w jéj dziełach widzi, choć w zmysłowych formach, duchową swoją istotę. W swoich tradycyach, legendach, w swojéj poezyi, muzyce, w swoich budowaniach, rzeźbach i malowanych obrazach, naród każdy głębiéj samego siebie pozna, niż we własnych dziejach swoich.

I zacznie sobie téż Wenecya poczęła w téj tęsknocie swojéj; ona stworzyła piękności dziwy; z łona jéj złocistéj wodnéj toni poczęły



się mistrze, co się stały hasłem, wzorem osobnéj a nowéj szkoły w dziejach sztuki pięknéj. Tak tedy wśród silenia się z ciężkim trudem rzeczywistego świata, wśród łamania się smętnego a klęsk, któremi ją nawiedzał duch historyi powszechnéj, Wenecya była zwrócona geniuszem do nadziemskiéj dziedziny piękności, zkąd jéj grały tony jakby harfy nadobłocznéj.

Pomnąc na takowy dwoisty żywot tego ludu, bo z jednéj strony na owo pasowanie się w rzeczywistości z historycznemi mocami, a z drugiéj strony na to jego oddanie się sztukom pięknym i ideałom anielskiego uroku; rzekłbym, że w téj Wenecyi powtarzały się dzieje biblijne patryarchy Jakóba. Wszak i tego męża nawiedził na zaraniu duch, wysłannik Boży, i mocował się z nim Jakób na jawie, i mocował się ciężkiém pasowaniem i rzeczywistym trudem aż do świtu. Ale Jakób miał i sen błogi, i on we śnie widział Niebo otwarte i zstępujące po szczeblach Anioły — ideały nadświatnego uroku.

Te ideały Wenecyi obecne są na tym placu Św. Marka. Bo, nie wspominając już o skarbach sztuki, zwłaszcza o malowanych obrazach, które w tych pałacach znalazły tak świetne przytulenie swoje; dość patrzyć na te same architektury dzieła, by zrozumieć myśli i uczucia, które władały tym nadzwyczajnym ludem. Te galerye i arkady, te kolumny i stroje rzeźbione są jakby brzmiącą epopeją jego żywota.

Prokuracye stare i nowe — to są pałace stołeczne urzędu i rządu; tu przebywały korporacye, które władały państwem, tu zatém mieszkał duch ogólny, bo abstrakcyjny, bo jeszcze nieuosobiony téj staréj republiki —; on w tych architekturach dumnie pogląda na świat i prawi o dziejach świetnéj wielkości.

Lecz jeżeli w tych Prokuracyach Wenecya uczciła ogół swojego ducha, ona w pałacu dożów, na przyległéj Piazzecie, oddała hołdy swoje jednemu, pojedyńczemu mężowi, który był téż jednostką uosabiającą jéj ducha i wcieleniem jéj chwały. A lubo często były tak łzawe i smętne losy tych książąt Wenecyi, lubo ta ich złocista mitra stawała się często boleści koroną; toć jednak doża na zewnątrz państwa, bo względem obcych mocarzy, był ogniskiem i wyobrazicielem potęgi i weneckiéj sławy; on był narzeczonym, kochankiem adryatyckiéj fali; on rok w rok zaślubiał się obrączką téj miłośnicy swojéj — a te śluby uroczyste jak były pełne wysokiéj poezyi, tak chowały w sobie myśl głębokiéj politycznéj mądrości.

I znowu inny pierwiastek weneckiego ducha zamieszkał w pałacu biblioteki, w owém cudnie pięknem dziele Sansovina. Tu dawno archiwa państwa i księgi, umiejętność i historya królują w tym przybytku, jako w domu swoim; one wiążą człowieka z państwem wiedzy, a są mistrzynią całego ludzkiego rodu; ich władztwo i panowanie trwa, choć zapadają się mocarstwa a umierają ludy.

Wszystkie atoli te pałace, lubo tak różnego znaczenia dla ducha Wenecyi, będąc pałacami, są dopiéro pojawem doczesnych idei; ale

iest jeszcze jeden przybytek na tym placu prześwietnym. W tym przybytku, jakby na stolicy swojéj, królowała idea, wiążąca historyą Wenecyi z niebem: jest to Bazylika Św. Marka. Ona nie jest katedrą, lecz domem, w którym zamieszkał Patron opiekuńczy Wenecyi, a Orędownik jéj przed Bogiem. Tutaj już Niebo samo i wiekuistość stanęły wśród doczesnego żywota, a Opatrzność sama pojawiła się wśród ludzi. Czyli tedy dziwno, że lud ten składał świętemu Ewangeliście najbogatsze dary zamożności swojéj, że mu poświęcał w ofierze zasoby, zdobyte przemysłem i mieczem? Kościół Św. Marka jest jakby apoteozą najświętszych uczuć dawnéj Wenecyi, jest jéj miłością ojczyzny w niebo się wznoszącą. Jéj życzenia serdeczne, jéj obawy i nadzieje, jéj tęsknoty, przetłómaczone na modlitwy, stały się czcią Św. Marka i nabożeństwem w świątnicy jego. Św. Marek — to Wenecya modląca się a szukająca opieki w Niebie.

Jakże on nadzwyczajny, jakichże dziwnych form ten kościół! Jego kształty i zarysy tém silniéj uderzają fantazyą, że się główną wystawą zwrócił do pałaców architektury szesnastego stulecia, tchnącéj oddechem klassycznego świata. Więc téż on wśród tych pałaców jest jakby gościem z dalekiego Wschodu, i znów jakby wysłannikiem starych lat chrześcijańskiéj historyi. Więc téż najwięcéj jeszcze zestraja ze stykającym się z nim pałacem dożów; bo i ten zdaje się opowiadać o innym świecie, kędy inne dzieje, inna natura, inne pokolenia ludzkie.

Wiem, że zapewne większa część czytelników moich zna tę sławną wenecką bazylikę, choćby z rycin tak gęsto rozsypanych po świecie. Przecież uważałem za rzecz wielce potrzebną, byśmy im podali na fig. 4 *wystawę główną (facyatę) kościoła Św. Marka*, bo ta budowa tak jest oryginalną, a zrazu tak niby obcą, i ona tak wielce różna od kształtów, do których przywykliśmy od lat dziecięcych, iżby nam trudno było poradzić jéj samym gołym opisem, nie mając zarazem przed oczyma jéj wizerunku; a następnie rysunek ten będzie dla nas tém korzystniejszym, że mimo różnych stylów, które się w téj budowie migocą, przeważającym w niéj tonem jest styl bizantyński, tak ważny dla nas, a o którym właśnie tak rzadko będziemy mieli porę rozprawiania w téj podróży naszéj. Za drugim nawrotem do tego kościoła, przypatrzmy się bliżej wnętrzu jego, a wtedy znowu udzielimy czytelnikowi widok wewnętrzny i plan gruntowy téj świątnicy weneckiéj.

Spojrzawszy na kościół Św. Marka, zrazu zawołałbyś, że to cerkiew kopulasta, naśladująca bizantyńskie kroje, błyszcząca kosztownym marmurem, i malowana w złociste obrazy; lecz obok tego znów spostrzegasz wywijane linie kapryśne maurytańskie, i znowu igrające floresy, wieżyczki i ozdoby gotyckie. Nakoniec znowu imię samo natrąca myśl, że może ta architektura założona wedle stylu staro-chrześcijańskiéj bazyliki. Słowem, zdaje się być trudném zadaniem, abyś zrozumiał mowę i niby giesta fantastyczne tego nadzwyczajnego budowania; zdaje się, jakoby była na poły zagadką w historyi sztuki; a przecież, mimo fantastyczności i samowoli tego budowania, trudno znów zaprzeczyć, że ta dziwna a prawie dziwaczna jego rozmaitość zestrojona jest w doskonałą harmonią, że tu jakiś



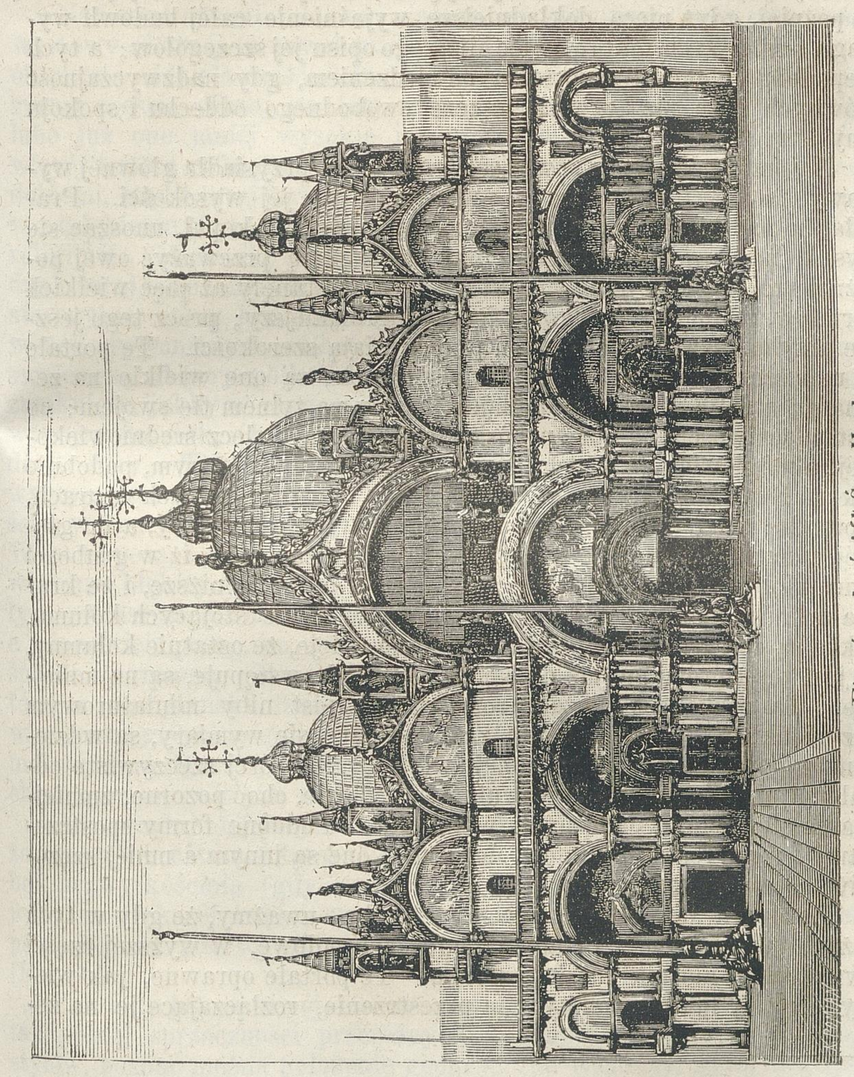


*Fig. 4.* **Kościół Św. Marka.**

duch niewidzialny pogodził i zlał te przeciwieństwa w jedność, pełną wdzięku i przepychu. I ten duch jest zaprawdę tu obecny; jest to duch historyi weneckiéj. Chcąc poznać czém był ten lud, jakie jego dzieje pierwotne i żywot młody, wczytajmy się w ten przybytek,

jakby w symboliczną księgę, a wyproroczą nam się wszystkie tajemnice jego. Dla tego ten kościół Św. Marka mógł tylko zrodzić się w Wenecyi; tak on jest tylko jéj saméj właściwym, i on jedynie z jéj życia wytłómaczonym być może. To zrozumienie głębsze téj architektury jest zaiste wielce zajmującém i uczącém; odłóżmy je atoli na późniéj, gdyż nieco dokładniejsze wyjaśnienie całéj budowli wymaga ściślejszych faktów, więc bliższego opisu jéj szczegółów; a tych niepodobna objąć za pierwszém odwiedzeniem, gdy nadzwyczajność głównych form nie dozwala jeszcze swobodnego oddechu i spokoju umysłowi (*).

Najprzód uderza nas szerokość przeważna, przysiadła głównéj wystawy (facyaty), zwłaszcza w porównaniu do jéj wysokości. Prawda, że nad tym frontem dźwiga się pięć hardych kopuł, unosząc się wysoko nad światem; przecież one nie zdołają przeważyć owéj potężnéj szerokości wystawy, w któréj rzędem stanęły aż pięć wielkich portalów, z których środkowy jest najogromniejszy; prócz tego jeszcze przybudowania z obu stron przyczyniają szerokości. Te portale są umieszczone jakby w głębokich niżach; są one wielkie na zewnątrz, a mają nierównie mniejsze bramy na tylném tle swojém; co jest właściwością nie bizantyńskiéj architektury, lecz średniowiekowéj, a mianowicie jest cechą romańskiego stylu, w którym, podobnie jak u Św. Marka, portal umieszczony bywa w grubych murach, z przodu; więc od ulicy ma szerokie i wysokie wymiary, a im głębiéj w mur, tém się one więcéj zwężają i zniżają, tak, iż w grubości muru z obu stron umieszczone kolumneczki coraz są niższe, i że krągłe arkady, łączące każdą parę naprzeciw siebie stojących kolumn, także są coraz niższe a niższe. Tak się dzieje, że ostatnie kolumny, to jest te, któremi się już do samego kościoła wstępuje, są najmniejsze. Ta głębokość portalu romańskiego jest niby miniaturowym przysionkiem. A owe, coraz zmniejszające się wymiary, są wdzięczną zapowiedzią wnętrza saméj świątnicy, w któréj rzeczywiste oddalenia okażą w perspektywie ułudnéj podobne, choć pozorne, zmniejszania się architektonicznych wymiarów. Podobne formy spostrzegamy i u gotyckich portalów, lecz tutaj one są innym a mniéj szczęśliwym krojem wymyślone.

Lecz wracając do portalów Św. Marka, uważmy, że gdy w tych niżach umieszczone portale zajmują ich połowę, w wyższéj części świeci świat mozaiki na dnie złotém. Te portale oprawne, jak wiemy, od góry łukiem kolistym, a przestrzenie, rozłączające je na zewnątrz od siebie, tudzież wnętrze samych niż, aż do wysokości onych złocistych obrazów, są ustrojone we dwa rzędy cienkich kolumn, z których dolne potężniejsze; a wyższe, nad niemi stojące, lekkie i misterne. Jest tedy tych kolumn tłum cały, a one najczęściéj z nadzwyczaj bogatych i wielce rzadkich materyałów.

(*) Zasługuje na uwagę, że w ostatnich latach zajęto się restauracyą kościoła Św. Marka. Restauracya ta uskutecznioną została nie na korzyść wielkiego pomnika sztuki; przeciwnie, wiele szczegółów zmieniono samowolnie, bez należytego względu na wymagania artystyczne, na charakter i styl wspaniałego dzieła. Wykazuje to niestety zbyt dowodnie hrabia *A. Zorzi* w dziele swojém: *Osservazioni intorno ai Ristauri interni ed esterni della Basilica di San Marco.* Venezia. 1877. — St.



Nad temi niżami i łukami ciągnie od góry przez całą szerokość wystawy głównéj (a nawet wzdłuż boków kościoła) ganek poważny; on przeto oddziela część dolną facyaty, która nierównie wyższa od górnéj części. Tutaj, na tém niby piętrze, widać równie pięć niż, lubo już one mniéj wysokie i mniéj głębokie od dolnych; one też więcéj wstecz cofnięte. Gdy one atoli umieszczone są wprost nad dolnemi, ztąd i tutaj arkada środkowa jest najogromniejsza; i tutaj w zagłębieniu tło złote, a na niém mozaikowe świeciste obrazy treści religijnéj. W środkowéj tylko niży nie ma tych obrazów, za to jednak tutaj osadzone jest okno olbrzymie, a przed niém owe sławne starożytne cztery konie śpiżowe, stojące tu na równi z gankiem powyżéj wspomnianym. Choć atoli i na tém piętrze niże we wnętrzu swojém są od góry półkolistą arkadą zasklepione, toć te arkady są zamknięte, jakby w ramach, łukiem niby gotyckim, z maurytańska wywijanym, tak, iż w szczycie swoim tworzą ostrze kończyste, niby dziób ostry. Tak tedy te pięć łuków składają zewnętrzne kontury, wyrzynające się na niebie, a cały rąbek tych łuków wysadzany w liście, w figury, nastrzępiony floresami, a na owym dziobie stoi posąg. Więc te posągi a liście, floresy, fryzury podlatują fantastycznie w powietrzne błękity grą i ruchem dziwacznym, a przecież miękkim i miłym, zwłaszcza już na łuku środkowym, kędy te wszystkie przystroje, a mianowicie posąg, na ostrym szczycie stojący, przybierają wymiary śmiałe i ogromne. Przecież na tém jeszcze nie koniec, bo między témi, z maurytańska fantastycznemi, łukami i floresami wznoszą się wieżyczki gotyckie przejrzyste: jest ich sześć, a w każdéj z nich umieszczona figura rzeźbiona, a każda z tych wieżyczek okryta dachem śpiczasto ostrym, na którego szczycie powiewa chorągiewka.

Odpowiednie téj facyacie są dwa boki kościoła; i tu arkady i niże wyższe i niższe, i tutaj ganek i wieżyczki, z tą tylko różnicą, że bok prawy kościoła (gdy staniemy obliczem, zwróconém do facyaty jego), w większéj części swojéj zasłoniony przez graniczący z nim pałac dożów, jak to widać było na naszym wizerunku Piazzetty. (Fig. 1.)

Tak tedy już ze saméj strony zewnętrznéj, tak fantazyi pełnéj, tak pełnéj sprzeczności przeróżnych a migocącéj się rozmaitością stylów, poznać można położenie geograficzne Wenecyi, bo jéj niegdyś pośrednictwo między Wschodem i Zachodem, Południem i Północą. Z téj zewnętrznéj facyaty zgadnąć możesz stanowisko téj mórz mistrzyni w rozwoju kultury europejskiéj; podobnież tu widać, że to blizko 800 lat pracowała, by sobie wystawić ten pomnik własnéj chwały i nabożności serdecznéj. Jakoż, zaczęło się budowanie téj

bazyliki w dziesiątém stuleciu, więc prawie w chwili, gdy polski Mieczysław kruszył bałwany. I stroiła, złociła, ubierała Wenecya ten kościół swój aż w późne lat dziesiątki siedmnastego wieku; zatém do czasu, gdy trzeci z Wazów umierał.

A cóż dopiéro się działo, gdym wstąpił we wnętrze przybytku téj świątnicy! Tu najprzód przysionek ustrojony w najkosztowniejsze marmury i mozaiki i złoto. Skorom przekroczył progi, nowy a niezwykły świat zaczął grać w koło mnie — świat błyszczący niesłychanym przepychem, złocisty i pełen blasku, ale poważny i posępny.

Trudno się tu oprzéć myśli, że nas owiał duch tchnący ze Wschodu, od Carogrodu, od onéj złocistéj stolicy bizantyńskiego stylu. Tu cicho, bogato, smętno a świecąco! (*).

Filary potężne czworograniaste dźwigają sklepienia, kopuły i silne koliste arkady; lecz między temi wielce podsadzistemi filarami stanęły w głównéj nawie po trzy kolumny okrągłe, złączone arkadami; one oddzielają tę nawę środkową od pobocznych, a od góry na tych arkadach biegną ganki, co są niby nadpowietrzną widownią, z któréj patrzysz i w środek kościoła i w poboczne przestrzenie jego. Ściany, filary odziane są w płyty kosztownych marmurów czerwonawo brunatnych, co się świecą i błyszczą niby kamienne zwierciadła. W téj atoli wysokości, kędy ściany i filary już się mają zamienić na łuki, arkady, sklepienia, kopuły —, w téj, mówię, wysokości już nie widać więcéj tych marmurów, lecz błyszczy i żarzy się wciąż złoto. Te wszystkie sklepienia, te arkady, kopuły powleczone są jednostajnie złocistém tłem, na którém już rozpoczyna się świat mozaikowych obrazków. Całe niebo figur świeci tu i lśni w barwach, a te postaci tak są grozy pełne, tak poważne! One dalekie od ziemskiego żywota, co tętni krwią ciepłą, oddechem doczesnym, gdzie serce drga tutejszą radością i światowém cierpieniem. Te postaci bezczułe, bez pulsów, patrzą nieruchome i z mrozem ze złocistego nieba swojego na nas żyjących, jako na mieszkańców innego świata. One tak samotne, ich nie otacza zielona natura ziemska, ani drzewa, ani góry, ani kwiaty — one na tém złotém tle, tak abstrakcyjném, oddzielone są od doczesnego żywota.

Długo jeszcze wpatrywałem się w te złote przestrzenie, co zajmując całą część wyższą kościoła, świecą i błyszczą ludem świętym, ale tak groźnym, nieruchomym i martwym. — I znów nęciły oczy ku sobie te blaski marmurowe ścian, co tak dumne posępnym przepychem. I znowu trudno oderwać spojrzenie od posadzki, co drobną mozaiką kosztownych kamyków haftowała się w kobierzec różnobarwny i wymyślnych wzorów i wzorków! Te dziwoty wszystkie potęgują się, gdy, zwolna przechadzając się, zmieniasz widownią; zwolna

(*) Tutaj jedynie zlekka popatrzymy na wnętrze tego nadzwyczajnego kościoła; w tomie drugim ściśléj rozbierzemy jego architekturę.



kryją się, zesuwają dopiéro co widziane perspektywy, arkady, filary, kolumny, i zwolna zachodzą na swém złotém niebie postaci owe — a zwolna występują nowe widoki, nowe arkady i wychyla się inne nowe niebo, inny ród figur świętych martwych i samotnych. Lecz choć zmienia się dramat, choć na miejscu dawnych nowe wysuwają się sceny, zawsze okazałość prześwietna, bogactwo niesłychane i przepych towarzyszy tym wszystkim scenom. A lubo przyrzekłem czytelnikowi wrócić się do téj dziwnéj świątyni i wypatrzyć z niéj duszę okresu, który ją stawiał, przecież nie mogłem wyzwolić się z pod oczynienia téj architektury nadzwyczajnéj, i nie wiem jak długo byłbym się wpatrywał w ten świat, tak dla nas nadzwyczajny, gdyby nagle nie ożył jakiś ruch osobliwy po kościele —; to temi, to owemi drzwiami wstępują ludzie różnego stanu, różnego wieku a śpiesznie zwracają się do wielkiego ołtarza, szepcąc żwawo, lubo z cicha, i giestykulując żywo z sobą. Lecz wśród téj rozmowy przytłumionéj słychać co chwila wyraz: *Pala d'oro —! Pala d'oro!*

I było im czego się śpieszyć, bo dość trudno obaczyć ten dziw, co zowią Pala d'oro; bo aby go ujrzéć, trzeba do tego albo zbyt wiele zachodów, albo téż przejazdu jakiéjś wielce znakomitéj osoby. Dziś podobno przybył do Wenecyi jeden z książąt, należących do rodzin panujących w Niemczech, i dla tego wystąpiła na jaw Pala d'oro.

Czémże atoli jest to Pala d'oro? Oto, jest to dzieło niezmiernie uczące pod względem dawnéj sztuki chrześcijańskiéj, a oraz prawdziwe cudo pod względem kosztowności, skarbów niesłychanych i prawdziwie bajecznych. Pala d'oro — to obraz, czyli raczéj zbiór przelicznych obrazków i wizerunków; jest to pomnik i wzór staréj sztuki bizantyńskiéj, a zwłaszcza malowania i rzeźby i złotnictwa. A trudno téż zrazu objąć okiem tę gęstą ciżbę drogich kamieni prawdziwie sennego ogromu; więc olbrzymie turkusy, gigantyczne szmaragdy i rubiny, onyxy i t. d. i t. d.; więc niepodobieństwem opisać te wszystkie światłości barwne, któremi wysadza i oświeca natura swoje niewidzialne, podziemne, nocne pałace, a które, wyszedłszy z głębin tajemniczych ziemi, błyszczą się na téj „Pala“, migocą jakby w bajeczce arabskiéj; wśród nich mienią się perły zadziwiającéj wielkości, których dostarczyły głębie dalekich obcych mórz. Pomijając atoli już te nieocenione skarby, na które długie stulecia się składały, dla nas ważniejsza, że to Pala d'oro jest iście pracą starego Konstantynopola. W r. 976, gdy potęga i przemysł Wenecyi roztulały dopiéro pierwsze młode listki swoje, pobożność rodzącego się miasta, chcąc niebu złożyć w ofierze zacny dar, zamówiła ten obraz w Carogrodzie, kędy stara cywilizacya wlokła już życie swoje wśród długiego smętnego konania. Prawda, że ten zbytek niewypowiedziany drogich kamieni dodany był w późniejsze wieki —, i to prawda, że nie wszystkie obrazki, składające ten obraz, w jednéj epoce powstały; mimo to jednak całość nadaje się do siebie, nie zawierając sprzeczności w sobie. Na prędce licząc, dostrzegłem, że siedmdziesiąt

przeszło obrazków stanęło tutaj to nad sobą. to obok siebie długiemi rzędami, a każdy z tych wizerunków jest wzięty w osobne architektoniczne ramy, więc od góry łukiem, od boków filarami od innych oddzielony; a każdy z tych oddziałów zdobny zwojem liści, kwiatów, gałązek, a te wszystkie floresy i zwoje i filarki wysadzane owemi olbrzymiemi perłami i bezcennemi klejnotami. Cały zaś obraz wielce bogato otoczony oprawą, to jest ramą złotą czyli srebrną a pozłacaną, i dziwnie troskliwie a misternie wyrabianą. Te wizerunki roztaczają sceny, wzięte to z Nowego i Starego Testamentu, to z żywota Św. Marka; to znów widać całe szeregi archaniołów, z których każdy osobnym obrazkiem. Wszakże i tutaj, jak zwykle w bizantyńskiéj sztuce, uderza nas owa symetryczność nieużyta, geometryczna, daléj chudość i sztywność figur, a brak życia; figury twarde, smętne, bez wdzięku i ruchu. A na całość tchnęła jakaś groza i smętek; przedewszystkiém niedostaje tutaj indywidualności w rysach twarzy; więc te twarze martwe i głuche, a wszystkie tak podobne do siebie, jak gdyby były architektonicznemi ozdobami — więc znać, że jakaś umarła, beztreściwa abstrakcya przycisnęła tu duszę artysty. Słowem, okazuje się jawnie, że to dzieło jest pracą przeżytego, niedołężnego Carogrodu, którego nie stać było na śmiałą twórczość artystyczną, więc jéj brak pokrywał kosztownym materyałem: złotem, émalią, ciżbą pereł i kamieni drogich, a tak stworzył modlitwę z klejnotów niesłychanéj ceny. Lecz z drugiéj strony nie sądźmy lekko o téj sztuce malarskiéj bizantyńskiéj i chciéjmy wiedzieć, że na téj Pala d'oro, jak na wszystkiém malarstwie bizantyńskiém figury miały być właśnie symetryczne, bez indywidualności, bo one nie mają być wizerunkiem ziemskiego życia; one są nadziemskie, wzniesione nad tuteczność a istniejącemi w sobie i dla siebie. I to jest właśnie głębokie znaczenie bizantyńskiego malowania, więc zrozumiemy, że dowolność ludzka nie miała miéć tutaj pola dla siebie — bo te postaci, tak twarde i bez krwi, są usymbolizowaniem uczuć pełnych grozy i smutku, których nie owiały tchy doczesnego żywota. Lecz o tém malowaniu jeszcze w inném miejscu powiemy.

Już się szarzał wieczór, gdyśmy wystąpili z kościoła Św. Marka; słońca już nie było na niebie wysokiém, ale rubinowe obłoki, palące się żarem zachodu, oświecały plac główny, a ich wizerunki świeciste, szkarłatne, kąpały się w morzu za Piazzettą. Lubo strudzony umysłowo tém wszystkiém, com był widział, i jakby zagłuszony wołaniem dawnych wielkich stuleciów, trudno mi przecież było oddalić się od kościoła i nie zatrzymać się na chwilę przed trzema masztami, utkwionemi rzędem przed świątnicą. Te maszty — to świadki dawnych prawiekowych tryumfów; z ich szczytów powiewały trzy olbrzymie sztandary, na oznakę zgromienia Cypru, Morei i Kandyi One wysoko sięgają w niebo, jako trafne godła a zwiastuny morskiéj potęgi Wenecyi. Jakoż i tutaj chwała wojenna i orężna moc szlachetnie poślubione wdziękom sztuki pięknéj.



Maszty te są utwierdzone w podnóżach na trzonach bronzowych, które są iście arcydziełem artystycznéj kompozycyi. Nasza fig. 5-ta *przedstawia jeden z tych trzonów śpiżowych* tak cudnie pięknych. — Patrząc na niego, rzekłbyś, że to podnóże jakiego olbrzymiego kan-

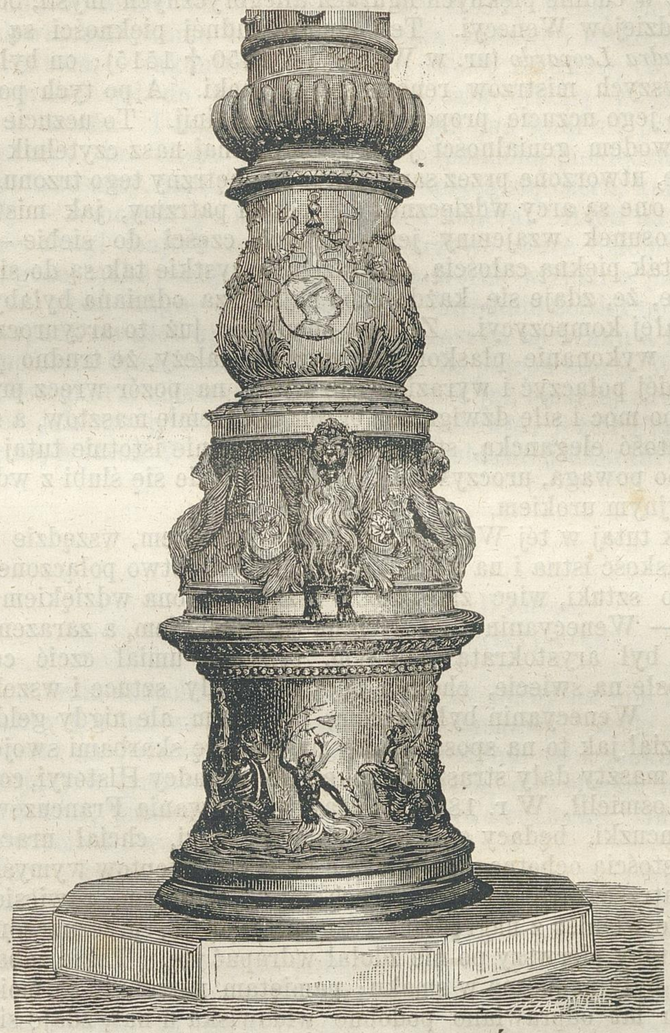


*Fig. 5.* **Trzon śpiżowy masztu na placu Św. Marka.**

delabru, lub lampy, wymyślone wyobraźnią prawdziwego mistrza onéj starodawnéj klassycznéj sztuki — tak ta kompozycya jest cudnie zestrojona, tak te formy są przeczyste! Różne ich części to uśmiechają się wieńcem i liściem, to są z kolei zdobne w zwoje kwia-

tów lub owoców, wśród których zawieszone pęki broni i sprzętów wojennych — i świecą się wizerunki dożów i wodzów republiki. Na innéj znów części podnóża widzisz cztery lwy skrzydlate; one głową i piersią występują z wnętrza podnóża, jakby dźwigając brzemię masztów; a poniżéj znów inna część ustrojona w płaskorzeźby, roztaczające w cudnie pięknych figurach allegorycznych myśli, odnoszące się do dziejów Wenecyi. Te podnóża cudnéj piękności są dziełem *Aleksandra Leopardo* (ur. w Wenecyi r. 1450 † 1515); on był jednym z pierwszych mistrzów renesansowéj epoki. A po tych podnóżach znać to jego uczucie proporcyi i pięknych linij. To uczucie właśnie jest dowodem genialności jego. Bo niechaj nasz czytelnik spojrzy na linie, utworzone przez sam kontur zewnętrzny tego trzonu, a przyzna że one są arcy wdzięczne! A potém patrzmy, jak mistrzowski jest stosunek wzajemny jego różnych części do siebie — każda z nich tak piękną całością, a zarazem wszystkie tak są do siebie nastrojone, że, zdaje się, każda choć najlżejsza odmiana byłaby zepsuciem całéj kompozycyi. Zresztą pomijając już to arcyurocze i poetyczne wykonanie płaskorzeźb, wyznać należy, że trudno już było genialniéj połączyć i wyrazić dwie myśli, na pozór wręcz przeciwne sobie, bo moc i siłę dźwigającą ogromne brzemię masztów, a zarazem strzelistość elegancką, strojną. A to zadanie istotnie tutaj rozwiązane, bo powaga, uroczystość i potęga dziwnie się ślubi z wdziękiem i gracyjnym urokiem.

Tak tutaj w téj Wenecyi, jak już raz rzekłem, wszędzie spotyka się pańskość istna i na wielką stopę, bo bogactwo połączone z miłością do sztuki, więc zamożność uszlachetniona wdziękiem duchowym. — Wenecyanin był wielkim wojownikiem, a zarazem politykiem; był arystokratą dumnym, przecież umiał czcić co zacne i wzniosłe na świecie, chętnie oddając hołdy sztuce i wszelkiéj zasłudze. Wenecyanin był kupcem, bogaczem, ale nigdy geldhabem; a wiedział jak to na sposób zacny pysznić się skarbami swojemi.

Te maszty dały straszną naukę świętokradcy Historyi, co ją skalać się ośmielił. W r. 1811, za czasów panowania Francuzów, admirał francuzki, będący gubernatorem Wenecyi, chciał uraczyć lud uroszystością ochotną; więc wśród innych konceptów wymyślił i ten, aby natrzéć dwa z onych trzech masztów łojem, zawiesić na ich szczycie wieniec z nagrodami różnemi rodzaju, przeznaczonemi dla tego, ktoby pierwszy po nie zdołał wdrapać się. Takie zabawki rubaszne były naonczas w smaku; pamiętam nawet, że za moich chłopięcych lat odprawiano podobne widowiska u nas, zdaje się, że na uroczystościach zaprowadzenia wolnego miasta. Ale w Krakowie używano zwyczajnego kija sosnowego; więc téż ów zuchwalec, co się pokusił o nagrodę składającą się, o ile pamiętam, z nowéj karazyi, z pistoletu, butelki wina i dukata, przypłacał to w najgorszym razie niemocą kilkodniową. Inaczéj się stało w Wenecyi. Tu gubernator poniewierał starożytną chwałą, a czyniąc sobie igraszkę



z zabytków pełnych sławy, użył tych masztów do niepoczesnych swoich pomysłów. Sakiewki z pieniędzmi zawieszone u szczytu czekają śmiałków łakomych. I nie brakło ich. Wielu doświadcza swoich sił, lecz zaledwie który spiął się łokci kilkanaście, już omdlewając na mocy i nie mogąc się utrzymać na śliźgich i łojem pomazanych słupach, mimowolnie spuszczał na ziemię wśród śmiechu i świstu drwiącego tłumu ludu, a na wielką zabawę i krotochwilę pana gubernatora. Nakoniec znalazło się dwóch majtków, co, zręczniejsi i wprawniejsi do takiéj roboty, z całą otuchą wygranéj wzięli się do dzieła. I naprawdę jeden z nich już spiął się pod samiuteńki szczyt; już sięga po sakiewkę napełnioną pieniędzmi — wtém maszt trzeszczy, łamie się i wali na gapiącą się czerń, kaleczy wielu z niéj — a majtek po kilku godzinach umiera. Atoli na drugim maszcie drugi majtek szczęśliwszy: drzewo stare dzielnie się trzyma, dygoce tylko; majtek już, już ma worek w ręku z pieniędzmi, lecz — wtém nagle omdlewają ręce, daremnie ściska nogami drzewo — spada na głowę; wnet rozbita czaszka na bruku a mózg sposoczył podnóża bronzowe. Lud wierzył, że patron staréj Wenecyi, Marek Św. ukarał zniewagę starożytnéj choć już umarłéj chwały. Niewiedzieć jakiego pochodzenia byli ci majtkowie; jeżeli Francuzi — słusznie, a jeżeli Wenecyanie — jeszcze słuszniéj ukarani!

---

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg).

Prawiłem wam dotychczas o placu Św. Marka, jakby na nim życia nie było, jakby ten lud włoski, co tak ciepły i ruchawy, rześki i bystry, nie istniał na świecie; — i zaiste sam jedynie duch piękności, przemieszkujący w tych okazałych budowaniach, dawał nam wyłącznie posłuchanie; przecież na tym placu żwawo i ruchawo, tłumnie i gwarno, świecisto i wesoło.

Gdy drzewo kona, usychają najprzód liście i drobne gałązki, potém więdnieje życie w tym i owym konarze, nakoniec całe drzewo jest istnéj śmierci obrazem; lecz lubo to drzewo stało się wizerunkiem skonu, jeszcze w głębi jego pnia, jeszcze w jego rdzeni, w jego sercu żyje ostatkami życie; podobnie, gdy człowiek umiera, skrzepną naprzód członki od serca odległe; zmrok, wysłannik nadchodzącéj nocy, zalewa oczy; zmysły, wiążące nas z materyalnym światem, gasną po jednemu; lecz choć już śmierci godzina wybiła, przecież serce dygoce, i puka uczuciem, miłością i ostatniém świata pożegnaniem, a zarazem to umierające serce drga w sobie wiekuistości tęsknotą. Wszak i w epokach historyi, gdy cnota schodziła ze świata, gdy rak zepsucia już toczył mniéj zacne społeczeństwa członki;

jeszcze wtedy szczupłe grono najszlachetniejszych ludzi przechowywało cześć dla tego, co uczciwe, co dobre i święte na ziemi; w ich piersiach, niby na ołtarzu Bożym, gorzał jeszcze płomień wiekuistych prawd, i świecił jasnością nieumierającego nigdy zakonu. Podobnie dziś dzieje się z Wenecyą. Dalsze jéj ulice, uliczki, kanały i wyspy dziś ciche i samotne, bezduszne, dalsze domy i pałace, rynki stoją martwém pustkowiem; lecz na placu Św. Marka, na tém starém forum Wenecyi, w tém jéj sercu wre życie ciepłe, i kipi rześkość ochocza, tu gwarnie i radośnie.

Patrzmyż, co się święci tu na ziemi, na tym placu sławnym, gdy wieczór zapala gwiaździste lampki swoje i zaczyna stroić niebo mroczne w te tysiączne nocne kagańce swoje. Arkady, poziemia prokuracyj starych i nowych i téj nowéj Fabrica, co je łączy z sobą, goreją światłem, istnym żarem jasności. Bo sklep przy sklepie bucha światłością gazu; więc jakby powódź słonecznych promieni zalewa arkady, a rozpływa się jeszcze po za arkady, po posadzce marmurowéj samego placu. Krom tego atoli jeszcze na samym placu, bo od wieży zegarowéj, stanęły gęstym nieprzejrzanym rzędem wysokie strojne i zdobne bronzowe świeczniki, kształtu starożytnych kandelabrów, a każdy z nich pali się snopami gazowego ognia, a każdy, sadząc się by był świetniejszy niż sąsiady jego, rad udawać jakieś małe promieniste słońce. Więc téż i niedziw, że tutaj późnym wieczorem tak widno jak wśród południa, tylko że oświecenie fantastyczniejsze, poetyczniejsze. Sam tylko kościół Św. Marka, tworzący czwartą stronę placu, otulił się lekkim przejrzystym mrokiem: jego niże, olbrzymie jego wieżyczki i floresy i cały ród kolumn kosztownych, i stare złociste mozaiki migocą się w cieniu, igrają niby fantasmagorye magiczne, niby wspomnienie z dalekich lat, niby widzenia, co się niekiedy we śnie pojawiają biedakowi znękanemu dziennym trudem. Zresztą cała przestrzeń placu przystrojona, oświetlona jasno, rzęsisto, bogato jako istna sala balowa.

A jaka to sala balowa! O okazalszą trudno na świecie całym. Brak turkotu pojazdów i koni, których niezna Wenecya, uczyniłby złudzenie zupełne, gdyby okrom téj wrzekomej sali nie przypominał że to rynek, choćby rynek najwspanialszy na ziemi.

Goście już od dawna zebrani — wszak od pierwszych chwilek, gdy słońce zabierało się do snu, przypływały na plac Św. Marka liczne a strojne tłumy pięknego a wykwintnego świata. Boć to tak się dzieje co wieczór od wielu wieków, o ile tylko zawistne słoty i owe wszystkie ślepookie potęgi natury nie zdarzą się ze zwyczajem ludzi i nie zniweczą ochoty serdecznéj. I pod kolumnami i od ściany pałaców dłuży się rząd nieskończony krzesełek — i znów drugi ich rząd — a wśród nich rozsypany cały ród stołów i stolików; wszak i za filarami, niby już na placu samym, jeszcze cisną się wiankami krzesełka i stoliki.

A stoliki wszystkie, i wszystkie te setki krzesełek zajęte już od-



dawna przez ludność elegancką — a garsony skoczne, czupurne wylatują z kawiarń, niosąc stosy lodów, sorbetów, czekolady i inne płody gastronomicznéj sztuki. A przy stolikach krzyżują się gawędy wielojęzycznéj Europy. Tu słyszysz szeplenienie piękności angielkiéj, o dużych błękitnych oczach, włosach złocistych a płci lśniącéj bieli; tam znowu płonie głębokie wejrzenie dumnéj córy Wenecyi; marmurowy jéj profil tak blady, szlachetny, a przecież tak wrzący życiem pełném treści serdecznéj.

Gdy tak jedna część publiczności usiadła gruppami pod sklepieniem arkad, część druga, a nierównie liczniejsza, przechadza się ich środkiem, a przechadza się zwolna, poważnie, bo tak składniéj i miléj, tak zręczniéj im odprawić przegląd siedzących i widzieć wszystkich i być widzianym. Zresztą w tym tłumie wszelki pośpiech byłby niepodobny. Dla tego ta ludność, tak zdobna i modna, w téj wędrówce podzieliła się na dwie rzeki, mijające się nawzajem: jedni posuwają się w dal; a tamci, ciągnący się wzdłuż filarów, z powrotem wracają, aby, doszedłszy do końca arkad, zmienić role swoje. Jednak i te kolumnady, choć tak szerokie, choć tak długie, bo obejmują trzy strony placu całego, przecież nie starczą; więc i na placu samym jeszcze w koło ustawione stoliki; tam siedzą gruppami lub stoją, lub się zwolna przechadzają wśród tych placów tak okazałych, pod tém niebem tak czystém i spokojném. Więc grona po gronach i dam i ichmościów. Damy, jak wszędzie i zawsze, w stroju co do barwy i kroju mniéj więcéj zgodnym z estetyką a artystyczną fantazyą; ichmoście zaś, jak wszędzie w dzisiejszéj Europie, w ubraniu potwornem, bezbarwném, abstrakcyjném. Niekiedy tylko wesoły rybak wenecki, lub ktoś inny z ludu, zabłąkawszy się w te wytworne towarystwo, odznacza się fantastyczną zwiesistą czapką czerwoną, pyszniąc się herkulesową postacią; lub madziarskie huzary, co gdzieś na lądzie zostawiwszy konie, czamarowani złotem, brzęcząc ostrogami i szablą na posadzce marmurowéj, przerywają ckliwość ubiorów, właściwych dziś płci męzkiéj, więc mniéj pięknéj połowie ludzkiego rodu. Czasem przesuwa się głośne grono niewiast z ludu, a ich opalona lecz radośna, śmiejąca się twarz, a charakterystyczny strój dodają ciepła i życia tym zastępom ruchomym wytrefionéj publiczności. Ale już najdzielniejszym pierwiastkiem tego życia i ruchu są owe wrzaskliwe, nigdy nie milczące, nigdy nie spoczywające demonki, co się niby w przekupniów bawią, — a jest ich gatunków bez liku i miary. To jakby podsadziste i kolosalne motyle migocą się kwiaciarki; na głowie kapelusz słomiany ogromnych wymiarów, z niego powiewają długie wstążki; na lewym ręku koszyczek zgrabny, w nim cały skład kwiatów wonnych, barwnych, w prawym ręku kwiat i bukiet; więc skoczy, sunie, dygnie, uśmiechnie się i zanim się obaczysz, już masz kwiat w ręku; przecież ten bukiet nie ochroni ciebie od drugiéj a nawet od trzeciéj córki Flory, zwłaszcza w razie, gdy jaką białogłowę prowadzisz. Lecz nie ma się bardzo

srożyć, bo to zwyczaj i miły i wdzięczny — a te kwiaciarki, choć najczęściéj same setnych i niezbyt lekkich kształtów, tak się gładko i lekko sprawują, tak sobie zgrabnie poczynają, że nie żal, choćbyś z całą kollekcyą bukietów do domu wracał. Zaledwie mignęły ich kapelusze słomiane, zaledwie furkły wstążki i uleciały fartuszki jedwabne, a już znowu staje przed nami drab jak posąg, z czapką wenecką czerwoną na kruczych kędziorach, i ofiaruje gondolę w miniaturze, z drzewa misternie wyrobioną: jest tam i owa buda czarna i dziób żelazny i ławeczki, nawet dwa wiosła, a nawet w budce poduszki skórzane i szybki w oknach; więc deklamuje co gardła i perswaduje, że to najprześliczniejsza pamiątka z Wenecyi, którą zabrać możesz do kraju swojego. Jeszcze ten nie skończył buńczucznych panegiryków swoich, a już obok niego chłopiec trzyma na wyfiochowanéj desce suche konfitury, nadziane na białe strugane drewienka; a pokazuje jakto, niby brylanty i dyamenty, na owocach świeci i migoce cukier; a chłopiec dowodzi, że to iście owa ambrozya, którą niegdyś król wysokiego Olimpu zajadał w gronie wesołych śmiejących się bogów, popijając nektarem. „Zapewne pan skosztujesz moich pomarańczy“, woła trzeci, niosąc przed sobą na ramionach kosz pełny tych złocistych darów południa; ten sobie jakoś praktycznie postąpił, bo w koszu kilka przedziałów, a nad każdym z przedziałów sztandarek papierowy z ceną owoców w nim objętych. Kupiłeś pomarańcze. „Mam prześliczne nożyki, których doskonałość *stupenda* nadaje się do pomarańczy“, woła znów inny, pokazując znów zbiorek dość licznych scyzoryków. Ten jego sklep chodzący obejmował wszystkie materyały do pisania. A choć ten towar jego nieosobliwy, tak jednak umiał smacznie ułożyć i tak artystycznie ugruppować, a tak wie jakto pokazywać i zachwalać ten biédny handelek swój, żeć się iście zdaje, jakobyś widział utwory najwyższego ukończenia; a był to ładny chłopczyna, a tak mu téż jakoś mądrze i figlarnie z oczu patrzało, że trzeba było koniecznie bliżéj rozpatrzyć się w jego magazynku wędrownym. Ze zwinnością Pinettego pokazuje wielobarwne i różnowonne laki i ołówki, kałamarze, nożyczki, pieczątki, piaski złociste, noże ze słoniowéj kości, a nadewszystko już rozwodzi się nad wyborem swojego papieru listowego. Więc najprzód roztasował listy z przyczołkami widoków weneckich — ale znać, że ich artysta miał więcéj odwagi jak szczęścia: *honneur au courage malheureux!* Nie kupisz. — Więc rozkłada nasz Włoszek cały zbiór innego papieru, i milczy — ale oczy mu się coś śmieją — to nie bez kozery, bo to iście papiery symboliczne. Jakoż nie tylko znajdziesz żółtawe, zielonawe, zlekka różowe, i szare i błękitnawe — a każda barwa, jak wiecie, coś gada, coś znaczy — lecz, co więcéj, każdy list na czółku ma jakiś kwiatek lub ziółko.

Te roślinki, te istotki, tak nieśmiało niewinne, mistyczne, idą jednak w posły od serca i niby giest, lub rumieniec, lub westchnienie z cicha prawią, czego usta wymówić się lękają. Rozpatrz się w tych listach zagadkowego przeznaczenia! Rozumie się, że najprzód klassycyzmu nie braknie, więc zaraz na pierwszéj kartce w pełnym przepychu rozkwitła róża — w jéj liściach, jak w wonném łóżeczku, całe gniazdo śpiących amorków, co się otuliły, niby w kołderki, w motyle skrzydełka swoje. Na innéj ćwiartce ogadane oddawna niezapominajki — mdłe biedaczki mają łezkę rosy w oczku i milczą i czekają. Daléj fijołek, co to wstydliwą główkę pod trawkę chowa, a za to nęci mocnym zapachem, jakby wołając, żeby przecież o nim pamiętano; — i znów przedpotopowy sztywny klassyk — tulipan, co egoista dumny swoją barwą i starożytnym rodem, lecz bez zapachu i wdzięku. Tuż po nim na żółtawym papierze chwiejąca się i niestała w swoich sentymentach trzcina wodna; znać że ją jakiś nowy wiatr zawiał, bo się zwraca obcesem w inną stronę — to będzie istny przytyk do kogoś! Na innéj ćwiartce welinu jakiś nieszczęśliwy słonecznik z ciemném opaloném obliczem, o żółtych płomienistych liściach — on cały jakby w sznur powykręcany, widać jakto on zwracał się za miłością swoją, za jakiémś tam słońcem swojém. Słońce jednak na niebie wysokiém nie wié nawet o jego czułościach, które niedostępne dla niego — a on nieboraczysko ze swojém kochaniam bez nadziei umrze na ziemi, wśród ubogiéj zagródki swojéj. A to znów nowa czyli stara myśl, bo arcy prozaiczna, arcy praktyczna — jakoż ten tu list, nie ofiaruje kwiatów żywota, lecz za to zwój kłosów zbożnych, z których będzie chleb, a może i z masłem. I znów inna winietka romantyczno-fantastyczna — pokrzywa kwitnąca!... I jeszcze inne, i jeszcze inne godła. Dziwna przecież, że nie mogłem nigdzie znaléźć białéj lilii! Kto wié, może wszystkie już wykupione. Co do mnie nie będąc już młodym, nie mając już potrzeby onych rozmów na hieroglify, ani żadnych malowanych dragomanów dla afektów i sentymentów, nie kupiłem tych listów; lecz, wynagradzając jako tako filutkowi czas stracony, nabyłem wielce od niego zachwalony kałamarz podróżny, zamykany niby arcy szczelnie. Przecież ten kałamarzyk, jak się późniéj w drodze pokazało, nie odpowiadał wcale swojemu zadaniu; złośliwy zdrajca zawsze podstępnie się roztwierał. Zwyczajnie jak łotrzyk, nie wierzył, że każdy prawy kałamarz jest na to, aby służył, jak może, poczciwéj sprawie, aby nie czernił, nie walał, nie plamił. Zatém téż między nami na tém się skończyło, żem mu wypowiedział urząd — a tak poszedł w rupiecie wymietne.



Iście bal najzupełniejszy! Teraz nawet zabrzmiała muzyka. Prawda, gdym się zatapiał w towarach koczującego sklepu, kapela wojskowa stanęła na środku placu Św. Marka. Lud, co tak kocha muzykę, otoczył ją gęstém kołem. Więc nie widać grających, ale ich stanowisko odznaczają latarnie świeciste, wysokie, ustawione teraz wieńcem wielkim oświecając im nuty. Muzyka wyborna. Kapela gra jedną z tych starych melodyj madziarskich, co tak dziwnie, tak głęboko przejmują. Zrazu grzmi dzikością ognistą, szaleje na-

miętnością wrzącą, zmysłową, porywa zapomnieniem siebie; przytém zuchwała, butna i sroga. Wnet atoli te tony straszne miękną i rzewną żałością płaczą; — znów dźwięki przenikliwe, niby rozpacze czystéj miłości, niby jęki niewieście przeszywające serce wskróś— i szlocha i skarży się ta muzyka, i boli i kwili, przedzierając się w głąb' duszy słuchacza. Aż oto, jakoby anioł pociechy, powiewając skrzydłami nad grobem miłości, ochładza rany i bóle, i łagodzi cierpienia i goi żale — już anioł zcałował łzy gorące. Kończy się ta dziwna melodya jakimś tryumfem uroczystym, pogodzeniem ducha z sobą i z niebem, i zaślubieniem go z tém, co nieskończoném, nadświatném. Tak, zdaje się, że to tutaj sztuka rodzima, że uczucia natchnieniem zgadły, że pathos, — ta moc, co unosi człowieka do czynów, co nim włada wszechmocnie a porywa urzeczeniem, — znajduje ukojenie swoje i ukołysanie w prawdach przedwiecznych; że dźwięki pojedyńcze fałszywe, rażące serca, spływają i topnieją harmonią w muzyce wiekuistéj!

Bo zawsze a zawsze w téj sztuce tonów schodzą się dwa światy, bo nie tylko ducha i natury, ale myśli i dźwięków. Wszak ta sama muzyka jeszcze okazuje, że, wcielając się w tony, godzi ziemskie uczucia, życie doczesne z żywotem wieczystym, z zakonem, co króluje nad światem. A to jest właśnie jednym z najważniejszych pierwiastków każdéj muzyki prawdziwéj.

Choć ta tu muzyka wojskowa należy do pierwszych swojego rodzaju w Europie, choć wykonywa po mistrzowsku najwyższe kompozycye; przecież myślę, że dla rodzajów melodyj węgierskich nie ma nad muzykę cyganów, jak ją to słyszéć można po kąpielach na Węgrzech. Te tony przenikające, te przeszywające jęki tych skrzypców cygańskiéj muzyki, podobno nazawsze każdemu w pamięci zostaną, kto je raz w życiu posłyszał.

Czas atoli i na nas, byśmy, opuściwszy te nieruchome stanowisko nasze, doświadczyli z innymi wędrówki wzdłuż tych okazałych arkad. Więc prawie od zegarowéj wieży ciągniemy zwolna kolumnadą Prokuracyj Starych —, potém, zwróciwszy się na lewo, idziemy wzdłuż kolumnady owéj Nuova Fabrica, i znów puszczamy się témi prześlicznemi, tak pełnémi okazałości, podsieniami Prokuracyj Nowych. Lubo jednak tu zawsze i wszędzie świecisto, bogato i modnie i strojnie; przecież widać, że publiczność w różnych miejscach różną przybiera fizyognomią. Bo choć ona mięsza się z sobą i splata, jednak, rozpatrzywszy się bliżéj, zgadniesz, że są kawiarnie przeważnie ulubione przez cudzoziemców, a inne znów przez swoich, że w jednych dawną tradycyą zbiera się historyczna arystokracya Wenecyi, a znowu w innych skromna, średnia warstwa społeczności. Gazet w tych późnych chwilach już nikt nie czyta, bo tę pańszczyznę nowożytnéj cywilizacyi każdy już odbył w przedpołudniowych godzinach, schował siwą głowę między nowinki gadatliwe i plotki, co mu je baje jakiś dziennik-sroka. Więc zwolna wśród tłumów posuwając wędrówkę naszą, puszczamy mimo nas coraz inne a inne sceny i figury, jakby cienie chińskiéj latarni. Aż téż stanęliśmy na końcu Prokuracyj Nowych, więc tuż obok dzwonnicy Św. Marka, co lekka niby dziewica, eteryczna jak miłosne westchnienie, wzbija się w niebo ciemne. Obchodzimy ją w koło — a u jéj podnóża patrzy na nas przez noc ta Loggietta, świecąc bielą marmurów i wdziękiem linij swoich, i prawi nam o mistrzu swoim Sansovinie Florentczyku, co stworzył to cudowne cacko dla Wenecyi, przybranéj ojczyzny swojéj (*). A tak stanęliśmy na Piazzecie. Jak tu cicho i spokojnie! Tutaj oświecenie, lubo dostateczne, zdaje się przecież mdłe i blade obok onéj jasności jaskrawéj, która nas dopiéro co opływała na placu Św. Marka. Te kilka płomyków, co się migocą w latarniach, oświecają tylko własną samotność swoją. Gwary tłumów i tony muzyki, przypływając z placu Św. Marka, jedynie stłumioną falą zalewają Piazzettę, a wtóruje im rytmiczny szum morskiéj fali: ona coś szepce i gada, niby przez sen coś prawi.



Tutaj tak cicho i spokojnie, tu można odetchnąć głęboko, szeroko — odetchnąć oddechem morza. W półcieniach rozpoznać zdołasz gruppy samotne, przemykające, jak duchy, po podsieniach pałacu dożów —; inne znów postaci stanęły w środku gronem i gawędzą; bo tu tak miło i swobodnie, tutaj nikomu się nie śpieszy. Te marmury pałacu dożów, dziergane fantastycznie, otuliły się zagadką na poły przejrzystéj nocy, i niby występują z ciemności i znów się chowają i znów się jawią jakby myśl wielka, co, blizka zrodzenia, porusza się w duchu wielkiego człowieka. Zbliżamy się do pobrzeża — akkordy morskie z każdym krokiem silniejsze a głębsze. Tuż pod stopami naszemi to morze, ten stary sfinx stworzenia; czyli on drzémie w pokoju, czyli się miota gniewem wśród burzy, czyli pląsa radością pod pocałowaniem lekkich powiewów, znać iżby rad przemówić — bo on kronikarzem dziejów ducha ludzkiego, bo on się patrzał gdy Bóg rozdzielał suchę od wód, gdy pierwszy człek się rodził, gdy pierwsza krew płynęła po ziemi; z jego łona pojawiły się dzisiejsze części świata, on zamknął w swoich głębiach stare lądy pradziadowe. I rad przemówić stary sfinx, a sili się i biedzi. Nikt atoli z ludzi nie zrozumie już téj mowy jego, bo przeczucie duchowe a natura już rozwiodły się na wieki od siebie. Tylko nauka a mądrość prawdziwa znów zdoła ześlubić i połączyć oba te bieguny odwrotne.

Owe granitowe kolumny nad brzegiem wzlatują w noc. Jednak Św. Teodor i Lew Ewangelisty niewidne na tych strażnicach swoich. Na stopniach marmurowych, zstępujących do morza, zasiedli gondoliery i gwarzą z sobą — inny prowadzi się z kochanką swoją; mimo ciemności atoli rozpoznać możesz ciżbę czarnych gondoli, uwią-

---

(*) Zob. powyżéj str. 134.

zanych niby trumny pływające. Naprzeciw nas — tam za wodą — na wyspach di Giorgio i Giudecca goreją ogniska rozpalone na brzegu; te ogniska przezierają się w morzu, więc ich wizerunki niby światełka błędne pląsają po falach, migocą się, mienią i gasną w wodzie, i znów się zapalają, i znów nikną, i znów się jawią.

Idąc zwolna, wzdłuż pałacu dożów, zbliżaliśmy się napowrót do placu Św. Marka. Wtedy mimowolnie przez duszę przesunęły się wspomnienia dziejowe z dawnych, bardzo starych lat — i te wspomnienia ulotne, migotne były niby błędne światełka, co hulają po grobach historyi, po cmentarzach przeszłości. Tutaj, na tym placu odbyły się, jako na forum, wielkie zdarzenia Wenecyi; tu grały czarne i jasne jéj losy, tu odbywały się jéj trwogi i tryumfy, jéj radości najwyższe; tutaj na tym placu podrzucały ją ostatnie konwulsyjne konania.

Jest temu bez mała pięć stuleciów, gdy na tym tu placu świątecznie ubranym, przystrojonym brzmiała radość i świetne turnieje, uczty, muzyka i tańce. Bo doleciała przez morze wiadomość, że Kandya, owa wyspa bogata, potężna, zdobyta i połączona z dziedzictwem Św. Marka. A zewsząd płynęli tłumnie książęta obce, by obchodzić uroczystość. Tu przed Bazyliką urządzono wysokie podniesienie, na niém stał doża i senat, patrząc na te uciechy szczęśliwéj Wenecyi. A obok doży stał gość, co choć nie książęciem, ani mocarzem, ale był gościem nad goście — bo to był Petrarka.

Ot tam znów nad morzem, właśnie wśród onych kolumn granitowych, właśnie pod Lwem Św. Ewangelisty, tam w r. 1625 przybiły bogato wystrojone gondole, z nich wysiadły liczne grona mężów obcych w świetnych strojach. To królewicz polski Władysław IV, otoczony dworem i ludem weneckim, udający się przez Piazzettę do Bazyliki Św. Marka. A znowu pod sam koniec tegoż stulecia (1699 r.), dama w czarnym stroju przyklękła w Bazylice, modląc się za zmarłym małżonkiem; tylko szczupłe grono otacza żałobną niewiastę. Bo ona, unikając natłoku cisnącego się ludu, w tajemnicy odwiedza świątynię. Zaledwie atoli wystąpiła z kościoła i stanęła, by się przypatrzyć tym przepychom jego głównéj wystawy, gdy poznana i już otoczona była okrzykami przywitania; już ze sklepów, z domów, z gondoli śpieszy lud ciżbą tłumną, by obaczyć, by uczcić królowę polską, wdowę po onym bohaterze, co zgromił wrogów wspólnych Polsce i Wenecyi i całéj kulturze europejskiéj (*).

Gdym tak przebierał w pamięci obrazki ze starych wieków, mocniéj a mocniéj przypływała muzyka z placu Św. Marka; muzyka, przegrawszy przeróżne kompozycye najcelniejszych mistrzów włoskich, teraz kończy serbską melodyą. Z nienacka, jak gdyby na

(*) Co do pobytu Maryi Kazimiry, małżonki Jana III, w Wenecyi, ob. Viaggo a Roma della S. R. M. Maria Casimira i t. d. przez A Bassani. Roma 1700.



dobranoc, kapela zaniechała bezdusznych narzędzi muzycznych, zmienia muzykę instrumentalną na śpiew — jak gdyby szło o prym między sztuką, co się rodzi z drewna i metalu a głosem ludzkim. Z kolei słychać to granie, to śpiewanie — a ta melodya serbska, lubo tak tęskna i prostoty pełna, przecież pełna potęgi i do dna porusza duszę człowieka. I słuchają Włosi tych tonów obcych i cudzych a z milczenia i bacznéj ich uwagi, ze słów kilku, które przemawiają do siebie, widać, że zrozumieli tę muzykę, że im trafiła do serca. Bo muzyka jest językiem wspólnym, powszechnym wszystkich krajów, wszystkich ludów.

Niezadługo olbrzymy śpiżowe na wieży zegarowéj uderzyły północ. Północ — a tu przecież dzień pełny, jasny na tym placu czarodziejskim, oświetlonym i tysiącem płomieni i jasnością duchową, co mu promieni z dawnych lat. Więc téż tak trudno go zażegnać i uwolnić się z pod urzeczenia magicznego, w którém nas trzyma. Zatém raz jeszcze puścimy się wzdłuż tych jego arkad wszystkich, raz jeszcze go obejdziemy w koło — a potém — czytelniku szanowny „Dobra noc!“

---

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg.)

Od progu oberży naszéj zaledwie masz trzy kroki do schodów ciosowych, o które się pluska morze. Tutaj o każdéj godzinie widać tłum gondoli, co z sobą pogmatwane jakby kłębkiem chaotycznym. Gondoliery, czekając na gości jakich im bogowie sprowadzą, złożyli wiosła swoje, i, to leżąc, to stojąc, lub siedząc, bawią się w ukochane far niente. Ci z sobą radzą i gwarzą, ów zajada melona lub brzoskwinie, a tamten znowu wśród ciepła drzémie, a kołysze go miękka fala. Zaledwie atoli kto z podróżnych wystąpi z hotelu, już przerwane gawędy, sny i zajadanie, zewsząd wrzawa, zewsząd głośne hałaśne polecanki i wychwałki; wszyscy mają do ciebie przemowy, każdy cię przekonywa, że to on właśnie być winien owym choćby „z tysiąca wybranym“. Ten się chełpi, że jego gondola nowiuteńka, tamten się zaklina, że już w całéj Europie nie ma tak pulchnych poduszek jak te, któremi się szczyci „barka“ jego; inny pokazuje z fanfaronadą olbrzymie ramiona, pytając czyli wątpimy, że polecim strzałą przez wodę, bylebyśmy się jemu powierzyli. Kto z nich bliższy już wyskoczył na schodki, przytrzymując gondolę łańcuszkiem; albo już przygotowaną deskę położył niby mostek jednym końcem na schodku, a drugim na brzegu swojéj gondoli. Wśród ogólnego rajwachu dostrzegam, w rzędzie gondoli najwięcéj od nas odległych, staruszka — on widać nie przegada, nie przekrzyczy

młodszych kolegów o herkulesowych piersiach; więc fizyognomią, ruchem rąk, giestami wszelkiego rodzaju zachęca, nęci, wabi do swojéj gondoli. Czapka jego niegdyś ponsowa, teraz spłowiała, zżółkła, i on sam biedaczysko spłowiał od lat i trudu; z pod téj czapki w rzadkie kosmyki wyślizgują się włosy białe — a opalone jego ręce i ramiona tak chude i biédne!

Gdy jakoś hałaśne samochwalne panegiryki przypadkiem na chwilkę zapauzowały, starzec korzystając co tchu ze sposobnéj pory, woła: „Niechaj mnie państwo wezmą, jam człek dawnéj daty, ja znam Wenecyą jak siebie samego, ja wszystko państwu opowiem!“ Wtém zewsząd, jak roje komarów, uderzyły na niego żarty i drwinki i, zwracając się do nas, chór cały woła: nie bierzcie go państwo, bo on zbutwiały i barka jego zbutwiała, on nic nie wié, on do niczego! — Dałem mu znak żeby podpłynął, i od téj już chwili ustał harmider jakby uciął, zamęt gondoli się rozgmatwał — deska podana — i my już w gondoli. Lecz gdy rzekłem do starego, że na „Canal Grande“ jedziemy, jeszcze jeden z towarzyszów jego przemówił, a byłto właśnie ten co najwięcéj hałasił, szumiał i huczał, szczycąc się siłą swych ramion. A teraz on już poważnie z cicha przemówił: „Canal Grande“ tak długi, wypadałoby państwu wziąć „due Cavalli“ co znaczy: dwa konie, alias dwóch gondolierów. Prawda — miał słuszność! Zaledwie atoli obaczył, żem się zastanowił, a jużcić skoczył do naszéj gondoli i uchwycił wiosło — skinął na starego, ten giestem zadowolenia odpowiedział — i ruszyli. Nasze oba gondoliery teraz przyjaciółmi od serca. „Jedźcie jak najwolniéj“ poleciłem im „i zatrzymujcie się przed każdym kościołem, przed każdym osobliwszym pałacem!“

Zaledwie ruszyliśmy, gdy gondola nasza przemykała się około ogrodu, zwanego Reale, co tuż pod pałacem Reggio. Ten ogród, czyli raczéj ogródek, jest iście dziwnych uroków. On to styka się z hardą, pełną przepychu marmurową architekturą — to niby płynie na morskich zwierciadłach, co igrają u stopni ciosowych tego zielonego światka wdzięków magicznych. W tym ogrodzie natura cała bujna, kwitnąca całą pełnią swoją; ten ogródek jest iście jakby cudownem widzeniem w téj Wenecyi z fali zrodzonéj. Gdy te pałace jéj tak dumnie patrzą, mierząc świat daleki, gdy morze wtóruje im starowiecznym hymnem swoim — tu, na téj drobnéj przestrzeni, drzewa wiążą się gęstym splotem liści w nieprzejrzyste sklepienie; krzewy wonne, ród wdzięczny kwiatów, ubrany w różnobarwne szaty, zebrały się w bukiety strojne, a ścieżki, lśniącym piaskiem wysypane, śpieszą w gęstwiny mroczne, kędy roje ptaszków wyśpiewują chórem piosenki miłosne. Złącz te wszystkie wrażenia razem i stanie ci zaprawdę przed duszą wyspa czarodziejska Armidy. Cesarz Napoleon I założył to miejsce rozkoszne. On Wenecyi darował ogródek za Wenecyą. Mówią także, że pani Sand, co tak często lubi czynić Wenecyą światem powieści swoich, w nocach pogodnych polecała swojéj gondoli płynąć ku ogrodowi temu, — i siadała na stopniach jego, prowadzących ku morzu — i, odprawiwszy łódź swoją, w cichéj samotności podsłuchiwała pieśni ptaków i szeptów liści, kwiatów, i morskich gaworów. Wśród tego koncertu, dumając i marząc, trawiła długie godziny. Dopiéro, gdy gwiazdy jedna po drugiéj gasły, a niebo na wschodzie zadygotało rodzącym się dniem, wtedy gondola czekająca z daleka zbliżała się, zawołana tonem piszczałki małéj.



Wierzę, że to nielada były myśli i obrazy, które występowały z duszy poetki wielkiéj, gdy w tych godzinach, w tych miejscach dawała posłuchanie naturze i historyi; że to były nielada uczucia, które jéj przynosiły i magiczne mocy przyrody i duch dawno minionych wieków. W tych chwilach geniusz poezyi zwierzał się jéj z tajemnic swoich.

Lecz jeżeli sama pani Sand, z talentem tak potęgi pełnym, nie pomijała sposobnéj pory, którąby ją mogła natchnąć twórczą siłą i poruszyć struny spoczywające w jéj duchu; więc niechaj nie będzie wstydem żadnemu z poetów lub artystów, jeżeli chętnie duszę podda wrażeniom zewnętrznego świata, by go potrąciły zachwyceniem wieszczém, i by, użyczając treści dla fantazyi jego, rozpaliły w nim potęgę twórczą, co płodzi i rodzi.

Kto atoli od saméj przyrody nie uświęcony na mistrza, w takim nie zagoreje nigdy święty płomień natchnienia. Ten nie będzie miał oczu i uszu i serca dla zjawisk zewnętrznych, i nawzajem świat w koło niego tak bogaty i pełny osnowy, będzie mu stepem głuchym i martwym. Bo wiecznie waży dawna prawda, że każdy tyle widzi i słyszy w świecie zewnętrznym, ile sam w sobie ma wartości, ile sam w sobie ma treści. Nie przeczę atoli, że téż istny poeta i prawdziwy artysta także miewają chwile, w których duch ich niby zjałowieje i ogłuchnie w sobie — i będzie pusto i bezdźwięcznie w sercu; aleć i temu trudno zaprzeczyć, że wytrwałość uporna, że ćwiczenie się i wprawa, że nieustające stróżowanie nad sobą, zdołają przemódz tę ducha jałowiznę, dokazać, że coraz rzadziéj a rzadziéj nawiedzać będą te chwile bezsilne, bezrodne. Wszak jest również zasadą, już przez nas wspomnianą w inném miejscu, że pierwsze potrącenie do dzieła sztuki nie powinno nigdy iść z wnętrza własnego ducha mistrza, ale od zewnętrznego świata, więc od zjawisk w życiu ludzi, lub w życiu bezdusznéj natury. Takowe zjawisko, uderzając o fantazyą mistrza, natchnie ją twórczą siłą; fantazya zaś, objąwszy gorącém kochaniem przedmiot, co jéj w ofierze złożył zewnętrzny świat, przerobi, przeistoczy ten przedmiot, oswobodzi go z ułomności doczesnéj, a, tchnąwszy w niego pierwiastek wiekuisty, tém samém już nada mu formy i kształty wdzięków nadziemskich. Przecież o tém wszystkiém rozprawiałem już przy sposobności innéj, dawniejszéj (*);

(*) Listy z Krakowa. List XI.

— więc tutaj tylko przypomnijmy sobie, że wszelkię dzieło sztuki wylęgnie się powtórnym kaleką, lub nawet prawdziwym trupem, jeżeli początek jego pójdzie od wnętrza artysty; bo wtedy będzie tylko myślą, myślą abstrakcyjną, bezcielesną; wrzekomy mistrz będzie naówczas chodził po świecie zewnętrznym, szukając dla téj myśli szat, postaci, szukając form obrazu; lecz co on znajdzie, będzie to zawsze wymuszoném, bo wyszukaném, — więc dziełem bez prawdziwéj wartości artystycznéj.

Czyliż z tego wszystkiego nie wypływa już wniosek, że poeta-artysta chętnie zapragnie potrącenia od zewnętrznéj rzeczywistości, że odda ucho i serce gawędom o starych latach, że podziękuje z serca gdy mu ktoś nastręczy przedmiot. Wszak nawet podane muzykowi libretto, przedmiot obstalowany u rzeźbiarza, malarza, byle nie czczy, jest takiém potrąceniem szczęśliwém.

Właśnie téż dla tego poeta, artysta, pragnąc tych ożywiających wrażeń, chętnie się puści niekiedy w drogę dalszą, zatęskni do scen życia i natury, mniéj opatrzonych i osłuchanych, do wrażeń dla niego świeższych, więc silniejszych; zostawując swoją dzwonnicę rodzinną innym, dla których ona ma cały urok świeżości. Cóż dziwnego, że np. dla wielu Krakowianów, jako zrodzonych wśród grodziska starego, natura jego i pomniki mniéj już silnie działają, niż na pielgrzyma z Litwy lub Ukrainy? Przecież jak ta zasada iści się co do przestrzeni, tak i co do czasu. Niechaj grono znakomitych pisarzy roztoczy liczne powieści na tle jednéj i téj saméj epoki historycznéj, np. na czasach Stanisława Augusta; a wnet ta osnowa się opatrzy, te studya stracą na świeżości wrażeń, i dla pisarzy samych i dla czytającego ogółu, a odezwą się głosy przeważne, że już trzeba szukać innych przedmiotów mniéj wyczerpanych. Lubo i to prawda, że przedmioty same są prawie niewyczerpane nigdy, że mogą poddać różne, nieprzeliczone strony swojéj istoty, że zatém nie tak w nich samych tkwi powód zobojętnienia, jak raczéj, że takowe rodzi się w samym duchu ludzkim, który, oswoiwszy się z niemi, staje się mniéj tkliwym na potrącenie, które mu z nich płynie. Wszak niejeden, obaczywszy znienacka niewiastę pełną piękności i wdzięku, stał się poetą i wyśpiewał hymnem uczucia swoje i chwałę ulubienicy; ale, choć jéj zawdzięcza poetycką wenę swoją, choć jéj nawet winien, że pierwszy raz poczuł w sobie zachwyt wieszczy, — jednak przestał opiewać sonetem i odą ową piękność, gdy się z nią ożenił; wówczas zwrócił natchnienie swoje do innych przedmiotów; więc już natura i dzieje ludzkie stały się treścią jego pieśni.

Czy myślicie, iżby Petrarka był nam zostawił tak liczny, tak długi szereg owych przecudnych pieśni, uwielbiających Laurę, gdyby ją był pojął za małżonkę?

I to jest rzeczą niewątpliwą, że choć przedmiot jaki, np. okres historyczny, ustąpi miejsca innemu przedmiotowi, innemu okresowi, nawet innemu opracowaniu artystycznemu — toć przecież dzieła, do niego się odnoszące, pewnie nigdy nie zaginą i zostaną spuścizną potomkom, o ile w rzeczy saméj są dziełami artystycznemi, o ile są wyrazem sztuki prawdziwéj, a nie wypadkiem maniery i osobistego zwichnionego poglądu lub czasowéj dążności.



Tak sobie roiłem i marzyłem i o Napoleonie i o pani Sand, i o pisarzach naszych; bo podobno do rojeń a marzeń nie ma jak jazda w gondoli weneckiéj — rozumie się jednak po Wenecyi saméj, a nie tam gdzieś po stawie północnym. Jazda ta iście duchowym jest sybarytyzmem. Patrząc się na tę gondolę z wierzchu, niktby nie odgadł zalet jéj wewnętrznych. Budka wprawdzie tak nizka, iż trzeba się mocno nachylić, by się dostać do jéj siedzenia; lecz już usiadłszy i oparłszy się na tych skórzanych poduszkach, puchem nadzianych, miękkości arcyepikurejskiéj, możesz skąpać duszę w marzeniach i rozkoszować w cudnych obrazach. Po prawéj i po lewéj okno, które, wedle pogody a pory dziennéj lub własnego kaprysu, możesz mieć albo otwarte, albo zamknąć to szybą, to oponką, to żaluzyą. A okno tak nizkie, że nie trudno ręką pogłaskać morskie kędziory. I płynie gondola z miękka i wdzięcznie się kołysząc — i unosi, jako ptak wodny, wysoko nad falą swój dziób o żelaznych zębach, — a lubo on się lekko kokietując, to w tę to w owę stronę się nachyla, wskazuje przecież linią idealną przez powietrze kierunek swojéj wodnéj drogi. Tymczasem przez okno z prawéj i lewéj i przez drzwi wchodowe snują się występujące z morza przecudne obrazy czarodziejskiéj Wenecyi; a fale, to samorodnym ruchem, to wiosłem pobudzone, pluskają taktem rytmicznym o boki gondoli. Więc wpatrujesz się w lekkie tany tych płynnych szmaragdów, w igry słonecznych płomieni, co na nich się palą i świécą, i we formy obłoków, co po nich pływają, łamiąc się w stokrotne kształty; to znów po morzu, po falach, po tych igrach wszystkich oczy śpieszą ku budowaniom, co często tak okazałéj, wspaniałéj, a zawsze i wszędzie tak oryginalnéj architektury.

„*Ecco! la Dagana di Mare!*“ woła nasz gondolier, i prawda! stanęliśmy już na wstępie do Canal Grande. I tu na lewym jego brzegu wznosi się la Dogana, niegdyś urząd celny przebogatéj Wenecyi, téj pośrednicy handlu Zachodu i Wschodu — a tuż za tą Doganą wznosi się w przepychu swoim kościół *S. Maria de la Salute*, dźwigając strojną a potężną kopułę swoją. Niechaj sobie odpoczną gondoliery, a ja znajdę chwilkę do bliższego rozpatrzenia się w tych dziełach budowanych.

Dogana jest nielada dziełem, choć cała fizyognomia jéj jest już wyraźną metryką czasu, w którym się rodziła: stało się bowiem w roku 1680, więc w okresie, kiedy styl *barocco* (niby rococo, choć nie to samo) wydziwiał po świecie artystycznym, strojąc fiochy i spazmatyczne grymasy. O stylu barocco nieraz jeszcze mówić będziemy, więc jak na teraz pamiętajmy, że w nim główną cechą jest samowolność epoki, i kaprysy osobiste współczesnego mu czasu.

W tym stylu nie widzimy stosowania się do tego, czém jest rzecz sama, więc do praw architektonicznych, wypływających ze saméj istoty sztuki, owszem ten styl jest raczéj gwałceniem téj logiki architektury. Gzymsy zbyt potężne łamią się i nagle urywają, mury się krygują i wycinają, jakby były nożycami w tekturze wykrawane; kolumny, pilastry najdziwaczniéj są użyte, a one same często niby w sznur, w śrubę skręcone i t. d. i t. d. Jakoż, jeżeli w innych stylach, np. w renesansie wcześniejszym, zwłaszcza weneckich, widujemy niekiedy, że dekoracye architektoniczne nie odpowiadają naturze rzeczy i nie łączą się wskróś organicznie z budynkiem, toć się to dzieje jakby z przypadku; mistrz, w zachwyceniu swojéj młodéj fantazyi, stroi i zdobi, więc téż się zdarza, że odstępuje od onéj logiki. Co innego w barocco; tutajbyś rzekł, że mistrz raczéj z całą pełną wiedzą gwałci rozsądek, logiczność, by samowolę swoją pokazać; ztąd téż przesada, ztąd szukanie effektu jest cechą téj architektury, ztąd téż tak często w niéj spotykamy, że szczegóły zanadto wiele mają pretensyi zwrócenia na siebie uwagi, że tedy potężniéj występują, niżby im się z prawa należało. Wszelako te cechy są tylko właściwe barocco w najwyższym jego rozwoju. Że atoli styl ten ma i swoje wielkie zalety, okaże się nam również z budynków w jego duchu wykonanych.

Dogana — to gmach długi; czołem jego czworościenna baszta ku nam zwrócona. Od razu uderza nas, że do niéj z trzech stron przybudowane facyaty: są to przysionki na filarach i kolumnach; tak tedy kokietuje i mizdrzy się ta Dogana w trzy różne strony. A jak narożniki saméj wieży zdobne w silnie występujące ciosy, tak te filary i kolumny przepasane są dwa razy niby pierścieniem z ciosów, występującym potężnie z grubości tych słupów, są to przeto takie kolumny, któreby nasi mularze „baniastemi“ nazwali. Dach wieży, który spoczywa na wspornikach (krokształynach) zamaszystych i strojnych bogato w płaskorzeźby, kończy się, zamiast wierzchołka, sześcianem kamiennym. Od czterech rogów dachu aż do tego sześcianu ciągną się essy ciosowe z lekka wywijane. Na tym sześcianie klęczy dwóch olbrzymów, dźwigających na barkach swoich ogromną kulę, a znowu na téj kulicy stanęła na jednéj nodze Fortuna, trzymająca w rękach żagiel rozpięty.

Wszak to wszystko dziwne i nadzwyczajne, a to tém więcéj, że Fortuna i ta kula i te olbrzymy są zaiste niezmiernych wymiarów, w porównaniu do wysokości całéj budowy; bo, o ile stojąc w gondoli ocenić mogę, razem wzięte pewnie zajmują trzecią część całéj wysokości gmachu, licząc od samego podnóża owych filarów aż do głowy Fortuny. Przytoczyłem te szczegóły, aby czytelnik mógł przeczuć, jakiém wrażeniem silném uderzają te formy, tak dziś niezwykłe. Lecz właśnie ta Dogana wyrosła Wenecyi wtedy, gdy lekko-duchy Jakób II król angielski, wyprawiał na dworze swoim nieustające



zapusty, a Ludwik XIV przebierał się za Apollina, przystrajając głowę w promienie złociste bez liku.

Nie rozumiejmy atoli, jakoby téj Doganie nie było pięknie w tym jéj przystroju choć tak kapryśnym, choć tak wymyślnym. Tutaj widzisz wprawdzie i wady stylu barocco, ale téż znajdziesz i zalety jego, np. te szczegóły architektoniczne silnie występujące, i wybujałe i wydatne i potężnie się rozpierające, wyzywają téż nielada cienie i światła, które, pozwalając sobie niemało, i czernią się i jaśnieją z całą czerstwością, z całém zuchwalstwem; więc téż effekt tego wszystkiego niepospolity, niepowszedni. Prawda, że ten styl jest kokietą, zapominając o godności sztuki, a tylko dbając o dekoracyą miejsca; ale on ma przeczucie, jak się zastosować do tego miejsca, w którym buduje, i mą wykwintny instynkt, jak korzystać z perspektywy i z danego sobie otoczenia. Tego wszystkiego przykładem ta Dogana. *Józef Bennoni* wystawił tę architekturę. Trzeba wyznać, że trudno sobie wyobrazić jakiekolwiek inne budowanie, coby było więcéj stosownem i do morza i do otoczenia całego, jak ta Dogana.

Tuż za Doganą wznosi się kościół *Santa Maria della Salute*. Popatrzcie się na załączony tu obraz tego kościoła (Fig. 6, str. 184), lecz zarazem pomyślcie sobie te olbrzymie wymiary téj świątnicy, a zwłaszcza tę kopułę tak wzniosłą, tak hardą, a nadto to zwierciadło morskie, z którego ta świątnica wyrasta i dźwiga się wspaniałością czarodziejską; wystawcie sobie obrazy błękitów nieba i obłoków, opływające jéj podnóża, a może nie będziecie się dziwili, że obaczywszy to budowanie zawołałem: ba! warto było w trzęsawiska wodne wbić milion dwakroć sto tysięcy palów, aby na nich dźwignąć tę świątynię, tak przepychu pełną i okazałą! — Dumnie i potężnie stanęła jéj bania na ośmiościennym bębnie (tambour) swoim (*), a za taką kopułą w głębi, więc daléj od wschodu, siadła, jak widzicie, jeszcze druga mniejsza kopuła, a obok téj jeszcze dwie dzwonnice śmigłe wzlatują ku niebu.

Gdy zaś temu budowaniu, jak i sąsiadce jego Doganie, chodzi o to, aby ze wszech stron było wspaniałém a pokaźném; więc prawie na wszystkie strony ma przybudowane facyaty (wystawy, fronty). Jakoż, na naszym wizerunku, oprócz głównego frontu, widać ich jeszcze dwa. Tak gdy opływasz w gondoli ten kościół to z téj, to z owéj strony, zawsze prawie on zwraca się niby obliczem do ciebie. Przecież jeden tylko jest główny front, a w nim główny wchód.

---

(*) Kopuła każda składa się z dwóch części: z kubła, to jest, z graniastosłupa lub walca wznoszącego się pionowo nad budynkiem, i ze sklepienia, które go pokrywa. Wyraz *kubeł* jest polecony przez Podczaszyńskiego, przecież zdaje się, że lepiéjby było użyć wyrazu *bęben*, bo ten dobitniéj maluje formę téj części architektonicznéj, a nadto jest swojski. — Kubeł zaś pochodzi od wyrazu niemieckiego *Kübel*.



*Fig. 6.* **Santa Maria della Salute.**



Więc od morza samego wstępują szerokie wspaniałe schody: one prowadzą na przestrzeń równą, na plac dość obszerny, — a od niego znów powtórnym zawodem z trzech stron wznoszą się jeszcze wspanialsze schody do głównych drzwi kościoła. Wierzajcie, że nie ma pewnie stolicy w Europie, któraby nie była rada przenieść tę Santa Maria della Salute do siebie na ozdobę i zacną sławę. Bo téż i tutaj znać, że ta Wenecya — to istna wielka pani, co nie żałowała sobie, gdy umyśliła uczcić Boga, i że lubiła się pokazać przed światem, gdy chodziło o wyjawienie swojéj zamożności i potęgi.

Atoli i to budowanie wspaniałe ma swoje wady i niemało błędów estetycznych. I nie może téż być inaczéj, bo ta świątynia rodziła się właśnie w téj saméj epoce, która wydała na świat Doganę, więc w czasie, w którym duch przeczystéj piękności już nie rozświecał, nie rozcieplał serca artystów. A lubo ta architektura nie jest jeszcze bynajmniéj pełną wyobrazicielką stylu *barocco* zwanym; toć przecież znać, że on ją już z lekka ochuchał, a nadewszystko dał się we znaki w szczegółach i ornamentach.

Wenecyanin *Baldassare Longhena*, który wymyślił plan téj świątyni (r. 1630), miał głównie na celu, aby ubrać, udekorować jak najokazaléj ten wstęp wspaniały do Canal Grande. I widzieliście, że mu się téż to udekorowanie świetnie udało; dla ozdobienia miejsca przybudował np. tak wiele frontonów, a tak zepsuł jedność całego budynku; dla chęci dekorowania poświęcił artystyczność prawdziwą. I właśnie tém Longhena dowiódł, że już nie był jednym z tych wielkich mistrzów XVI wieku. On uważał sztukę jako środek, jako służebnicę mizdrzącą się do zachcianek ludzkich — a nie pojmował w duchu swoim sztuki pięknéj w najwyższém jéj znaczeniu — jako córy przeczystéj, córy idealnych światów, owéj dziewicy swobodnéj, wolnéj, co ród swój z głębin ducha ludzkiego wiedzie, co nikomu nie służy, lecz sama żąda dla siebie czci, hołdu i miłości nieskalanéj. Epoka Longheny była już wiekiem ciężkiego, ciasnego oddechu.

Ztąd tak liczne grzechy estetyczne w tém budowaniu, co ubliżyło sobie, chcąc być jedynie przystrojem miejsca, i zrzekając się wartości artystycznéj, istniejącéj saméj przez się i dla siebie.

Pierwszym błędem jest zaiste ten, gdy patrzysz na kościół ze strony głównych drzwi, kopuła celna zasłania sobą zupełnie drugą pomniejszą za nią stojącą. Owe liczne facyaty (wystawy, fronty) jak same przez się są wadą, tak na domiar grzeszą dziwaczną i przesadzoną strojnością i przyborem; tak np., jak widzimy, dźwigają one na wierzchu swoim olbrzymie ciężkie ślimacznice (essownice), łącząc je niby z kubłem kopuły. Te wierzchy frontów, ślimacznice zaludnione mnóstwem figur — bo ich jest przeszło sto dwadzieścia — te posągi paradują to stojąc wyżéj, to niżéj, to daléj, to bliżéj. Na téj głównéj kopule stanęła druga maluchna kopułka, i tutaj powtarzają się owe essownice, choć w miniaturowych rozmiarach; ale na

każdéj z nich jeży się obelisk, z których znowu każdy dźwiga na szczycie swoim kulę — a na wierzchu saméj téj kopułki posąg Najświętszéj Panny.

Owa druga pomniejsza kopuła, która się niby kryje za tamtą główną, także na szczycie ma taką kopułkę maluchną, i tutaj podobne ślimacznice, i tutaj na szczycie figura. Zapomniałem jeszcze zwrócić baczność czytelnika, jako na samym wierzchu ośmiościennego kubła kopuły, tam kędy się już zaczyna wznosić właściwa bania, widać balustradę kamienną obiegającą go w koło. A gdy pilastry, zdobiące na wysokościach kubeł są doryckie, więc poważne, podsadziste, męzkie, — tymczasem, wbrew logice, pilastry zdobiące fronty (facyaty), znajdujące się tedy w niższéj części budowy, są korynckie, więc lekkie, strojne! Tak styl, okazujący siłę i ciężkość, spiął się niewłaściwie do góry i stanął nad stylem wysmukłym, strzelistym, zdobnym i mniéj silnym.

Obejdzie się bez dalszego wyliczania tych szczegółów; com tu rzekł naprędce wystarczy, aby przeczuć nietylko wady i zboczenia estetyczne w téj kompozycyi całéj, lecz aby zarazem nabrać wyobrażenia, jaki tu niepokój w tych szczegółach, jaka ruchawość, wrzawa tych wszystkich linij łamiących się i krzyżujących z sobą, — jaka tu bitka i hałas tych linij i płaszczyzn, to kolistych, to prostych, tych figur, ślimaków i essownic wielkich i małych, tych niż, obelisków, pilastrów, płaskorzeźb, gzymsów, kapitelów, zwojów kwiecistych i t. d. i t. d. Ta architektura — to jakby dama bogata, lecz bez przyrodzonego smaku i taktu, która radaby na balu pokazać wszystkie kosztowności jakie posiada; więc ponawieszała najrozmaitszych świecidełek na sobie i chodzi niby żywy sklep jubilerski, sama sobie rada, że jéj się tak pięknie udało.

Lecz, jak powiedziałem, i radbym to jeszcze najczęściéj powtarzać, że to budowanie jest ogromnego wrażenia, mimo błędów, mimo dziwaczenia się swojego, zwłaszcza w szczegółach, — a to tém więcéj, że niedostatki jego pojawiają się dopiéro za dokładnym, trochę pedantyczniejszym rozbiorem. Ale nic nie zdoła wyrazić świetności téj kopuły tak wspaniałéj, potężnéj, tego ogromu i bogactwa, całości wielkiéj, gdy się patrzymy z pewnego oddalenia na tę architekturę okazałą, na te schody szerokie, co mnóstwem stopni prowadzą do progów kościelnych. Dodajmy jeszcze, jakem rzekł, w wyobraźni miejsce, w którém stoi, więc ten żywioł wodny, wiecznie poruszający się u stóp téj świątyni — więc obraz jéj, co w wielkich zarysach pływa na falach rozświeconych jasném, czystém niebem południa; a zrozumiemy, jak łatwo przebaczyć tym usterkom i ułomnościom, które występują dopiéro za bliższém a krytyczniejszém rozpatrzeniem się w téj budowie.

A czyliż z ludźmi inaczéj się dzieje? Ileż to razy bywa, że chwalimy jakiegoś człowieka, że całém sercem uznajemy świetność jego talentów i zasług; a choć go osobiście nie znamy, cieszymy się



jednak szczerze, że takiego nam Pan Bóg nadarzył; czyliż wtedy, gdy się późniéj do niego zbliżymy i gdy spostrzeżemy, że i on ma swoje „ale“, że i on nie święty — czyliż, mówię, wtedy wypadnie go już całego potępić? czyliż za to się godzi przepomnieć o jego zaletach i lekce sobie ważyć przymioty jego? — Kto jedynie ujemną stronę w drugich widzi, już sam pisze sobie smutne świadectwo, że i w sercu i w głowie jego ujemnie; o takim nawzajem łatwiéj powiedzieć, czego on nie wie i czego nie czuje, niż orzec, czém on jest z rozumu i czém jest z uczuć własnych. I nie trudno wytłómaczyć sobie to zjawisko ze saméj natury ludzkiéj. Duch właśnie dla tego, że jest duchem, rad obaczyć siebie samego w świecie zewnętrznym jakby w zwierciedle, więc rad się uzupełnić i rozszerzyć własną treść swoją; więc pragnie znaléźć dalszy ciąg własnéj istoty w rzeczywistości, która go w koło otacza. Jeżeli więc jest zacny i szlachetny, wtedy już samym instynktem będzie party, aby podobnież to zacne i szlachetne w drugich wypatrzył; jeżeli jest rozumnym, już téż rozum obcy, a talent będzie mu ponętą a urzeczeniem lubém, — tak odwrotnie człeka płonnego, nie mądrego, o robaczliwém sercu, własna niedobra natura już do tego prze, aby również wyszukał w drugich niemądrość, lub niedostatek talentu, lub słabość moralną. Jakoż ta chęć, czyli raczéj ta konieczna potrzeba rozszerzenia duszy i uzupełnienia istoty własnéj, będąc ogólném i powszechném prawem, objawia się we wszystkich kierunkach duchowego życia. Dreszcze rozkoszy przechodzą człowieka, gdy patrzy na dzieło sztuki, gdy w niém poznaje pierwiastek idealny, wzniesiony wysoko nad rzeczywistość, nad naturę ułomnostki doczesnego życia; te dreszcze idące z idealnych, nadzmysłowych światów, ztąd zaiste się budzą w duszy człowieka, iż ona sama przeczuwa, że jéj własne przeznaczenie nie kończy się na tym świecie, że jéj istota wzniesiona nad tuteczną śmierć. Ztąd téż ludy, którym wzrok duchowy zalegla jeszcze pogańszczyzny ćma, w tym swoim śnie na jawie marzą o rozkoszach, radościach cielesnych pośmiertnych. To oczekiwanie ich, lubo żądzą zmysłową zbrukane, nieocknęłoby się w ich piersiach, gdyby w nich nie zamieszkała istota wyższa nad światy zmysłowe, nad żądze cielesne. A cóż dopiéro człowiek wiarą zbawienia wychrzczony! Miłość, rozpłomieniona w jego sercu, tak rozgrzeje całą istotę jego, że on wszędzie miłość Stwórcy obaczy; on ją pozna w harmonii barw tęczowych, co wstęgą przymierza między niebem a ziemią, i posłyszy ją w grze morskiéj fali, w spiewaniu gajów i w szumie borów, i ujrzy tę miłość, jak odziewa w szatę lilią polną i jak o ptaszkach pamięta, i o robaczku świecącym, jak piastuje gwiazdy i słońce na dłoni swojéj, jak czuwa opatrznie nad dziejami ludzkiego rodu. Człowiek z miłością chrześcijańską w sercu, w każdém sercu miłość obudzi; on będzie wszechmożny tą miłością swoją; za jéj tchnieniem ciepłém roztopi skorupę skamieniałą na sercu zbrodniarza; a to serce oddawna stwardniałe, odwrócone od Bożych prawd, znów

zapłacze żalem, i zapłacze wiarą i nadzieją w Boże miłosierdzie, i znów zatęskni za miłością, jak dziecię od matki zbłąkane (*).

(*) Mniemam, że dla łatwiejszego porozumienia się z czytelnikiem, nie zawadzi jeżeli sobie tutaj położymy uwagę, wyjaśniającą bliżéj nasz sposób zapatrywania się na stosunek sztuki pięknéj do natury i do całéj rzeczywistości. Jakoż, gdy w ciągu tego niniejszego dzieła dość często jeszcze potrącimy o stosunek takowy, więc będzie korzystną rzeczą, jeżeli już w tém miejscu, więc z góry zapobieżymy mylnemu pojmowaniu stanowiska naszego. Otóż właśnie powyżéj mówiliśmy, że „dzieło sztuki jest wzniesione nad naturę a rzeczywistość“, — w jakimże sensie mamy to wzniesienie rozumiéć? — Uważmy, iż nawet w życiu codziennem, powszedniém, prawie co chwila sądzimy o piękności rzeczy przyrodzonych, mówiąc np. że ta róża piękniejsza od tamtéj, że koń piękniejszy od gadu, że wczoraj był dzień piękny, że pięknie była oświecona natura, że dziś dzień jest słotny, brzydki, że okolica oświecona mniéj pięknie, że tu i owdzie natura jałowa i t. d. Z tego znać, że jednym przedmiotom natury przypisujemy piękność wyższą niż drugim, a przecież takowe orzeczenia nikogo nie rażą, nikt nie widzi w nich zarozumiałości wyrokującéj o doskonałości rzeczy przyrodzonych, bo każdy czuje, że takowe sądy pochodzą ze stanowiska li ludzkiego, że tym trybem sądząc myślimy, mimo wiedzy nawet, o piękności czysto-artystycznéj, z którą te przedmioty przyrodzone porównywamy, niby z ideałem swoim — więc téż żaden człowiek dobréj wiary i zdrowego rozsądku nie weźmie sądów takich za ubliżenie rzeczom stworzonym.

Otóż z temiż powszedniemi, codziennemi sądami, w blizkim związku jest orzeczenie nasze, że dzieła sztuki są wzniesione nad rzeczywistość i naturę; to wzniesienie nad naturę rozumiemy li pod względem *czysto-artystycznéj piękności*, to jest pod względem téj piękności, którą człowiek w ograniczeniu swojém ma sobie od Boga przekazaną, jako dzielnicę swojéj ludzkiéj twórczości. Z tego atoli widać, iż nam wypada ściśle rozróżniać tę piękność artystyczną, będącą ideałem człowieka (należącą do jego duchowego świata), od piękności a doskonałości przyrody. Widzimy téż, iż mieszając w myśli te dwa rodzaje piękności, moglibyśmy dojść do wypadków bezrozumnych i szalonych, do zarozumiałości obłąkańców. Piękność, właściwa naturze, jest, jakeśmy dopiéro rzekli, zupełnie innego rodzaju, niż piękność artystyczna. Naturze wcale nie chodzi o tworzenie ideałów w znaczeniu artystyczném, jéj celem jest zupełnie inna piękność. Każdy mistrz, choćby był największym geniuszem, uchodziłby słusznie za obłąkańca, gdyby chciał dzieła swoje mierzyć z doskonałością jestestw natury, które przecież wyszły z rąk Bożych. Zatém znać, że pod względem artystycznym mówimy słusznie, że Wenus Medycejska, że kobiety jak je maluje Tycyan, Rafael, nie mają, ani miéć mogą równych sobie niewiast wśród rzeczywistości. Pominąwszy atoli to stanowisko artystyczne, które właśnie jest ludzkie, powiemy natychmiast, że owe świetne arcydzieła sztuki będą zawsze tylko kobietami malowanemi i wyrzeźbionemi z marmuru, i wyznamy, że nad wszystkie dzieła wszystkich największych geniuszów artystycznych, wyższéj doskonałości jest jeden listek rzeczywisty; bo wszyscy ci mistrze, którzy byli, są i będą, takiego listka zrobić nie zdołają. Lecz téż ta niemoc nie ubliża wcale ich geniuszom, bo oni właśnie, jako jestestwa ograniczone w swojéj mocy twórczéj, nie stwarzają rzeczywiście, nie stwarzają w rzeczywistości, ale w dziedzinie ideałów i ułudy. Łatwo téż zrozumiéć, dla czego mówimy, że np. jedna róża piękniejsza niż druga, i dla czego, pod względem artystyczności sądząc, mówimy, że dzieło piękności wzniesione jest nad rzeczywistość. Bo sztuka, również jak i sądy takowe, postępuje sobie ze stanowiska ludzkiego, i bierze przedmioty z osobna, w odosobnieniu jako jednostki, więc w odłączeniu od całości, do któréj w rzeczywistéj naturze należały. A sztuka nie może sobie inaczéj postąpić, ona nie może brać całości natury za osnowę właściwą dla niéj; jéj osnową są tylko rzeczy jednostkowe. Tym trybem zaś sztuka, biorąc rzecz, spostrzega na tém jednostkowém jestestwie, przez siebie wybraném, wiele znamion, które nie należą wprost do własnéj natury jego, które go szpecą i ujmują piękności form przyrodzonych, np. słoty albo upały przeszkodziły róży do pełnego rozwoju; robaczek się w niéj zagnieździł i t. d. Słowem, fantazya twórcza mistrza porównywa przedmiot sam z sobą, to jest z tém, czémby on wedle jéj stanowiska być powinien. Takowe cechy przeto, jako niby obce względem własnéj istoty jestestwa, uważa sztuka za przypadkowe, więc je wszystkie odrzuca, i dopiéro to jestestwo, tak oczyszczone z przypadkowości, czyni wzorem dla siebie i wznosi je do ideału piękności. Z tego téż wprost wynika, że jeżeli, mówiąc o dwóch przedmiotach tego rodzaju, powiadamy, że jeden jest piękniejszy niż drugi, toć znaczy, że tamten pierwszy szczęśliwym trafem ma na sobie mniéj cech przypadkowych, przeszkadzających mu do rozwoju własnéj istoty swojéj, a drugi ma więcéj cech takowych. Takie jest stanowisko estetyki ludzkiéj.

Teraz uważmy, czém toż samo jestestwo będzie w rzeczywistości, a prawdzie swojéj! Ono w rzeczywistości należy do wielkiéj całości, a należy do niéj wraz z nieprzebraną liczbą innych i różnych od niego jestestw i pojawów natury. Otóż te jestestwa i pojawy, istniejąc z tamtém jestestwem razem i spółcześnie, działając nawzajem na siebie, wpływają i na owo jestestwo (słoty, robaczek w róży, jeden kwiat drugi zasłania, ciśnie go; niedostatek, cierpienia fizyczne i moralne wpływają niekorzystnie na piękność niewiasty i t. d.), a od tych wpływów i działań obcych, zewnętrznych, właśnie pochodzą owe cechy, które estetyczność oddala, nazywając je przypadkowemi, a dla tego je tak nazywa, bo uważa przedmiot, jakeśmy rzekli, tylko idealnie, bo w zupełném odosobnieniu od całości natury. Jeżeli atoli ten sam przedmiot weźmiemy prawdziwie umiejętnie, to jest w najgłębszéj prawdzie jego, już przyznamy, że on winien być wzięty w łączności z tą naturą, i wraz ze wszystkiemi tamtemi jestestwami i pojawami; przyznamy tedy, że te cechy, które są w oczach mistrza czémś przypadkowém, są owszem koniecznym wpływem praw odwiecznych natury, a tém samém nie są trafem, nie są przypadkiem, lecz mają swoje głębokie, pełne mądrości powody. A tak widzimy, że w naturze, w jéj prawdzie uważanéj, nie ma przypadków. Jeżeli ze stanowiska sztuki a artystycznego poglądu, uważającego przedmioty w odosobnieniu, te cechy okazują się być obce, cudze, naleciałe względem przedmiotu, więc nie należące do jego własnéj istoty, przeciwnie ze stanowiska prawdy i ściśle rozumowego pojmowania, te cechy właśnie do istoty jestestwa należą; bo warunkiem koniecznym jego natury jest właśnie ten stosunek jego do tych innych jestestw, do tych innych potęg natury, które właśnie przez swoje wpływy stały się przyczyną tych cech. Gdy już do saméj istoty każdego jestestwa należy, aby się zachowało do całości natury, jako jéj cząstka, więc téż właśnie do istoty tego jestestwa koniecznie należą i skutki tego zachowania się jego, to jest cechy, idące mu od innych jestestw. Ztąd znowu wypływa, że sztuka, biorąc w odosobnieniu przedmiot, już tém samém tworzy dzieło, które nie należy do rzeczywistości, które ma tylko pozory rzeczywistości, ale nią nie jest. Tak tedy i pod tym względem zrozumiemy bliższe znaczenie naszéj zasady: jako dzieło sztuki wniesione jest nad rzeczywisty świat; ono jest nad niego wniesione w tym sensie, iż do niego nie należy, bo należy do sfery duchowéj ideałów. Jak rzeczywistość nie jest artystycznością, tak artyzm nie tworzy rzeczywistości. Jego dzielnicą jest właśnie państwo wdzięcznéj ułudy. Dzieło sztuki wznosi się nad rzeczywistość, chroniąc się w świat magicznych uroczych pozorów. Lecz na tém nie kończy jeszcze zadania swojego fantazya twórcza. W naturze, rzeczywistości, drzewo jest drzewem, okolica okolicą i t. d. Każda rzecz ma tu znaczenie odpowiednie swojemu przeznaczeniu i własnéj swojéj istocie. Te same atoli przedmioty natury, gdy będą przemienione w dziedzinie sztuki, przeistoczone bywają i pod tym względem, że one tutaj przybierają inne i nowe znaczenie. Mistrz kładzie w przedmioty takowe myśl swoją, ideę artystyczną; a tak takowe przedmioty stają się już wyrazem duchowego pierwiastku, a tém samém przybierają i inne formy, bo formy dopiéro artystyczne. A tak i pod tym względem mówić



Przecież coś nadto rozpuściłem myśli i niepotrzebnie zboczyłem od przedmiotu mojego! Chciałem jedynie powiedzieć, że wytykając

wadki i ułomnostki w tym tak wspaniałym kościele S. Maria della Salute, nie mamy bynajmniéj na myśli ubliżenia jego okazałości płonném ogadywaniem. A mniéj jeszcze było celem naszym popisywanie się niewczesną jakąś krytyczną mądrością. Pragnąłem jedynie wskazać na wzorze, co się koniecznie dzieje, jeżeli mistrz, wieszcz, artysta, pisarz, przestanie wyłącznie służyć saméj czystéj idei piękności; jeżeli, mizdrząc się albo do smaku, albo do panujących powiewów swojego czasu, stanie się przeniewiercą kapłaństwa swojego, jeżeli, ubiegając się za efektem, za poklaskiem tłumów, samego siebie odbiegnie. Pisarz, artysta co poniża sztukę do tego, aby była mu sługą a środkiem dla obcych jéj celów, już spaczy własny, choćby świetny, talent swój i skręci w karykaturę własne dzieło swoje. Otóż budownik, co ten kościół chciał miéć dekoracyą, paradą, próżnym przystrojem, już za karę, za to ubliżenie sobie, zwichnął, zeszpecił tutaj te formy architektury swojéj. Niechaj mistrz stwa-

---

można, że dzieła sztuki wznoszą się nad rzeczywistość; np. w rzeczywistości, obłoki, skały, drzewa, wody są w naturze jestestwami bezdusznemi; w pejzażu zaś malowanym te obłoki, skały, drzewa stają się wyrazem duchowego nastroju mistrza, są uduchownione.

W najbliższym związku z tém wszystkiém, cośmy dopiéro powyżéj powiedzieli, jest jeszcze inny wzgląd na naturę. Jakoż mówimy np. koń jest doskonalszém stworzeniem niż np. robaczek; czyliż takowe zdanie miałoby znaczyć, jakoby w naturze, będącéj dziełem Bożéj mądrości, mogły być jestestwa mniéj doskonale stworzone? Takowa bezmózgła myśl nie przechodzi przez głowę żadnemu badaczowi natury, ani żadnemu estetykowi, ani filozofowi, byleby im nie brakło choć trochę zdrowego sensu. Oni widzą w naturze stopniowanie coraz wyższe jestestw i mówią, że im wyższy jest stopień, tém doskonalsze na nim stają jestestwa. Ta wyższa lub niższa doskonałość jest przeto względem ludzkim, odnosi się li do zapatrywania samego człowieka, który z jednych jestestw, łatwiéj i doskonaléj nauczy się poznawać doskonałość natury, niż z innych jestestw stojących niby na niższym szczeblu organizmu. Otóż to pojęcie o wyższéj lub niższéj doskonałości jestestw natury ma tylko miejsce ze względu na jednostkowe poznanie człowieka. W tém znaczeniu tedy winno téż być brane wyrażenie używane przez filozofią, gdy mówi np. o idei, która w naturze dopina coraz wyższych szczeblów i stopni doskonałości. W tém téż znaczeniu mistrz-estetyk powie, że im wyższéj doskonałości jest jestestwo, tém doskonalszą będzie osnową dla twórczéj fantazyi. Jeżeli atoli uważać będziemy naturę, czém ona jest sama w sobie, czém są jestestwa w całości i związku uważane, już wtedy każdy człowiek, nieogołocony z rozumu, powie, że natura, uważana sama przez się, więc w prawdzie swojéj, nie zna niedoskonałych jestestw; że robaczek jest również doskonałym, jak organizm człowieka; bo każde jestestwo jest właśnie tém, czém ma być i czém powinno być w skutek swojéj własnéj istoty, i w skutek stosunku swojego do całości natury. Zrozumiemy téż z tego, że wyraz szpetność, równie jak niedoskonałość, ma tylko znaczenie ze względu ludzkiego; są to więc wyrazy, których nie ma w dykcyonarzu nauk przyrodniczych.

Przestajemy na tych pobieżnych wywodach, mając nadzieję, że w inném miejscu jeszcze dotkniemy téj saméj treści, choć z innéj strony. Cośmy tu rzekli wystarczy dla czytelnika do zrozumienia głównéj myśli naszéj o sztukach, w jakichkolwiek formach ona będzie wyrażona w ciągu niniejszego dzieła. Uwaga powyższa przyczynia się nawet do rozjaśnienia ostatecznego niektórych trudności, które czytelnika może napotykały w innych moich książkach, a mianowicie w Listach z Krakowa.



rza budowy z czystéj czci dla piękności artystycznéj, niechaj ją uznaje być wyłącznie bóstwem swojéj fantazyi a kochaniem swojém; wtedy strój, ozdoba miejsca sama się znajdzie, a dzieło jego już samo przez się zbudzi podziwienie i cześć.

Przy téj krytyce mojéj powyższéj towarzyszyła mi atoli i ta myśl, aby unaocznić, co się działo w końcu wieku XVI ze sztuką, gdy uczucie prawdziwe więdniało w piersiach artystów, gdy barokizm już — już świat nachodził; a do tego zamiaru wielce się nadawał kościół ten, bo on, jak wyżéj rzekłem, nie należy jeszcze bynajmniéj do tego nieszczęsnego stylu, a jednak uczuwa już zbliżenie się jego — on zcicha już wróży, co się to dziać będzie niezadługo w dziedzinie sztuki pięknéj.

Drzwi do kościoła były właśnie otwarte. Wstąpiliśmy tedy po tych stopniach i schodach tak wspaniałych, uroczystych, prowadzących do progów świątnicy. Wnętrze uderza zrazu podziwieniem najwyższém. Ta kopuła olbrzymia, tutaj taka harda, spoczęła na łukach krągłych, na grupach kolumn korynckich, przypartych do potężnych filarów; a oświecenie tutaj czarowne, przepychu pełne!

Rozbierzmy jednak nieco bliżéj rozkład wewnętrzny téj budowy! Prawda, że i tutaj dopatrzyć się można niedostatków, przecież, w ogólności mówiąc, trzeba wyznać, że wnętrze téj świątnicy jest przy danych warunkach arcyumiejętną i szczęśliwą kompozycyą.

Zwracając uwagę na załączony tu *rzut poziomy tego kościoła S. Maria della Salute*, skreślony *na figurze 7-méj*, widzimy, że główna część budowania tego jest ośmiokątem. Jeden z boków tego ośmiokąta tworzy wstęp główny do kościoła, a drugi, leżący naprzeciw niego, objął wstęp do presbiterium. Pozostałe zaś sześć boków ośmiokąta, (więc po trzy z każdéj strony), umieściły w sobie, niby niże, kaplice. Te przeto właśnie na zewnątrz tworzą owe facyaty i fronty poboczne. Przecież w ten główny ośmiokąt wbudował się niby drugi; bo dźwignęły się ośm potężnych filarów, odpowiednich ośmiu kątom owego zewnętrznego ośmiokąta, one przeto tworzą ten idealny ośmiokąt wpisany. Od tych filarów do ścian owego większego ośmiokąta zbudowały się sklepienia; — tak więc w koło biegną podsienia (portyk) wspaniałe, potężne. Te filary są ozdobne w kolumny korynckie, a ze strony swojéj, do środka kościoła zwróconéj, dźwigają znowu rząd pomniejszy filarów, niby piętro, a na tych powyższych filarach, na tém piętrze, unosi się hardo owa przepyszna kopuła.

Rzekliśmy, że bok naprzeciw wchodu, prowadzi do presbiterium. Więc przez wspaniałą arkadę przechodzisz do tego presbiterium, które, zaprawdę, jest nieco osobliwego rysunku, bo tworzy niby owal. Jakoż z obu boków łączą się półkoliste niże olbrzymie (absydy). Longhena użył tutaj pomysłu wykonanego, jak obaczymy, w jednym z kościołów zbudowanych przez Palladia, — bo za wielkim ołtarzem, umieszczonym na głównéj stronie presbiterium, wznoszą się arkady, a po przez te arkady widać wspaniałą przestrzeń zakrystyi. Widok

ten jest arcyokazały, czarujący, tajemniczy, jakiś mistyczny, zwłaszcza przy téj różnéj a magicznéj grze światła.

Otóż mamy rozkład wewnętrzny. Trudno zaprzeczyć, że on jest pomysłem oryginalnym i wielce szczęśliwym. Jednak i tutaj wynajdują i słusznie, błędy, tak np. owo łamanie się ścian w ośmiokąt sprawia jakiś niepokój, a to tém więcéj, iż znowu każdy z owych po stronach leżących 6-ciu boków łamie się jeszcze dwa razy, two-

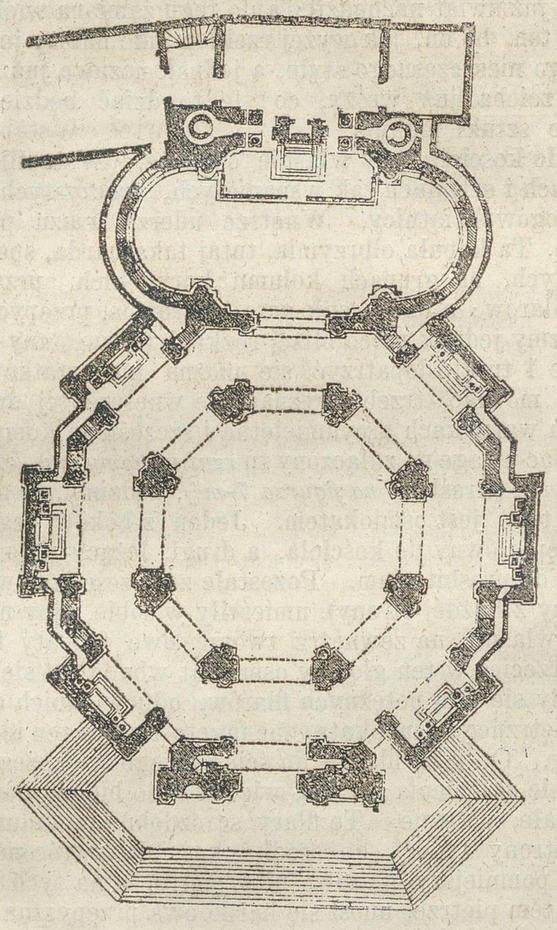


*Fig. 7.* **Kościół S. Maria della Salute. — Rzut poziomy.**

rząc owe kaplice. Następnie ganią, że owe filary i pilastry stojące na dolnych filarach a dźwigające kopułę, są daleko cięższe od nich, bo nawet porządek tych wyższych jest dorycki, a niższy jest lżejszy, bo koryncki. Jest-to błąd spostrzeżony przez nas i zewnątrz kościoła. Daléj uważmy jeszcze, że trudno powiedzieć, czyli te linie krągłe w presbiterium nadają się do linii głównéj części kościoła, składającéj się z samych linij prostych i t. d. Lecz jeżeli już



zewnętrzne kościoła jest wspaniałe, uderzające, a dopiéro przy ściślejszém przypatrywaniu się odsłania niedostatki swoje,— toć jeszcze potrzeba surowszéj, ściślejszéj krytyki, by wytropić błędy tego wnętrza, co zaiste jest pełne majestatycznéj okazałości a ogromnego wrażenia.

Nie będę wam prawił o obrazach arcymistrzowskich w tym kościele, bo o malarstwie weneckiém chowam rzecz do innéj sposobności. Powiem tylko, że pogodziłem się znowu z Longheną, gdy wyszedłem z kościoła, zatrzymałem się na najwyższym stopniu i spojrzałem na ten Canal-Grande. Istotnie, rodzaj architektury Longheny nie jest wielkim rodzajem, ale sam Longhena wielkim jest mistrzem w tym rodzaju.

---

Jakże, nie dziwnaż, nie cudownaż ta Wenecya! W téj chwili, gdy niby ukończywszy jako tako rzecz i z Doganą i ze Salute, które nam urosły jakby na pokaz fantazyi XVII-go wieku — a tu na drugim, bo na prawym brzegu Canal Grande, tuż naprzeciw nas widzę gościa ze starych lat — wysłannika wieków średnich! Wszak to niegdyś *pałac Giustiniani*, dziś „Oberża Europy“ (*). — Budynek ten ubrał się w formy niby maurytańskie, niby gotyckie, więc pełen fantastyczności i poezyi; więc jakby prawił o zdobyciu Konstantynopola przez bohaterów Wenecyi, jakby śpiewał o turniejach, o wojnach krzyżowych i prześlicznych tęsknych damach, i o zbrojach i o tarczach, o olbrzymach i o karłach. Ten pałac niby rycerzem i trubadurem, co tu wygrywa piosenkę z dawnych czasów tak wdzięczną a tak butną i zuchwałą, o tych czasach, w których jeszcze była prawdą owa pieśń-modlitwa do Najświętszéj Panny:

Faites reine immortelle!
. . . . . Qu'aimé de la plus belle —,
Je sois le plus vaillant.

Lecz mimo to opisywać nie będę tego pałacu, bo ten styl jego ciągle a ciągle wyrasta w Wenecyi, rośnie po wszystkich ulicach, kanałach, pobrzeżach i placach; jest to kwiat iście wenecki, który się tutaj roztulił całym urokiem swoim. On, będąc gotyką z maurytańska przystrojoną, głównie sprawia, że ta Wenecya nabiera tak oryentalnego spojrzenia, jakby odaliska kąpiąca się w morzu. Nie wdamy się atoli teraz w bliższe jego opisy, bo znajdziem do syta takich pałaców; nie braknie nam tedy i wspanialszych jeszcze i wydatniejszych wzorów tego stylu. A potém ten biedny pałac Giustiniani został teraz oberżą! — Jużci on temu nie winien! Prawda!

---

(*) *Palazzo Giustiniani* po najnowsze czasy pozostał siedzibą *Hotelu Europejskiego*. — St.

Wszelako wolę wybrać inne jakie budowanie, będące wyobrazicielem téj saméj epoki, a noszące zarazem imię historyczne rodziny, któraby wielkiemi sprawami, zacném poświęceniem dla ogółu, zapisała się w księgi dziejowe swojego grodu.

Lecz zaledwie gondoliery uderzyli kilkakrotnie wiosłem po falach, gdy na lewym brzegu, bliziuteńko kościoła della Salute, uśmiecha się i wdzięczy miniaturowy pałacyk *Dario*. On znowu z innéj epoki; on istnym synkiem pierwszego najwcześniejszego renesansu (z r. 1450). On stroi sobie figle ze symetryi, żartuje sobie z reguł poważnych; więc ubrał się i wystroił po swojemu, a tak mu zgrabnie i ładnie w téj kapryśnéj tualecie, że go nikt nie skarci za tę swawolę a fioczki wdzięczne. A znów niedaleko od niego, na tym samym lewym brzegu kanału, stanął sobie pałac *Manzoni Angarani*. Znać, że on współcześnie się rodził z pałacykiem Dario; one obadwa tegoż stylu, one obadwa z czasów *Lombardi*, téj rodziny mistrzów, którzy wyobrażają pierwsze lata epoki odrodzenia sztuki, tego okresu fantazyi tak butnéj, wdzięcznéj i młodéj. Architektura jednak pałacu Angarani mniéj sobie pozwala niż jéj sąsiad, jest o wiele stateczniejszą; już się jakoś więcéj zastanowiła nad prawidłami sztuki klassycznéj. A lubo jéj szaty z najkosztowniejszego marmuru, toć ona jednak wcale nie harda i dumna; bo kolumny jéj, fryzy i gzymse gracyjne i eteryczne, a spojrzenie pełne radości i ochoty; a te zwoje kwieciste, które porozwieszała na sobie, tak lube i wdzięczne, iż rzekłbyś, że w tych ścianach nigdy nie zamieszkała troska, nie spłynęła łza, że tu obchodzą wieczne, nieustające wesele.

Pokołysawszy się nieco, gondola nasza poniosła nas wprost naprzeciw pałacu *Cornaro* (*a San Maurizio*). On dużo późniejszy niż tamte dwa —; stworzył go w r. 1530 znany nam już *Jakób Sansovino* (*); jest to tedy architektura w stylu późniejszego *renesansu* (**). Widać przecież, że Sansovino, w chwili poczęcia w duszy tego pałacu, był jeszcze wskróś oczyniony wspomnieniem poważném starego Rzymu. Jakoż, lubo te dźwięki, idące mu od pogromców świata, już nastroiły się do uczuć nowoczesnéj, chrześcijańskiéj historyi; jednak cała kompozycya tego pałacu tchnie jeszcze taką uroczystością i grozą, jak gdyby w nich przebywał duch dawnego rzymskiego senatu, co rozkazywał wszech ludom ziemi i sprowadzał w tryumfie na Kapitolium pojmane ich bogi. Prawda, że fantazya artystyczna Sansovina późniéj łagodnieje, że nabiera uśmiechu i wdzięku, jak to

(*) Zob. powyżéj str. 134.

(**) Czytelnik z samego opisu budynków, należących do wczesnego lub późniejszego renesansu, poznać mniéj więcéj zdoła różnicę tych dwóch epok renesansowych, przecież bliższe i wyraźniejsze ich ocechowanie będzie mimo to konieczne; zachowujemy się atoli z tą charakterystyką dokładniejszą do późniejszego czasu, bo przypatrzywszy się wprzód architekturze tych epok, łatwiéj téż zrozumiemy na czém one zależą.



okazuje nad wszelki wyraz piękna jego biblioteka Św. Marka; jednak w czasie, w którym on w toniach ducha swojego widział ten pałac Cornaro, jeszcze był prawie pod wyłącznym wpływem form starorzymskich, co to patrzą na świat jakby arcykapłan-wojownik. Nie myślmy atoli, jakoby ten pałac Cornaro był smętny i ponury; bynajmniéj, on tylko męzki, uroczysty, cichy, spokojny i bez namiętności; tutaj ani cienia nie ma kokieteryi, nie ma strojów przesadnych, ani popisywania się ozdobami; a lubo wiem, że ścisła krytyka gani niektóre szczegóły, np. proporcyą kolumn, rysunek gzémsów i t. d.; jednak nam mniéj o szczegóły chodzi, jak raczéj o ogólne wrażenie, które sprawia ten pałac.

Dół, to jest poziemie (rez de chaussée), jak przystoi, jest ciężką, potężną rustyką; więc buduje się z ciosów niezmiernie silnych, występujących, wydatnych; a cokuł, więc część tego dołu najniższa, przeto ta, która się spuszcza od progów głównéj bramy aż do powierzchni wody, jeszcze z ogromniejszych, jeszcze z zuchwalszych ciosów złożona. Bram głównych jest trzy; one tuż stoją przy sobie, i one rustyką potężną. Aby jednak ułagodzić to budowanie twarde, butne i surowe, Sansovino w téj dolnéj części pałacu ubrał okna pięknie rzeźbionym fryzem doryckim, i nakrył ten fryz od góry łukiem zdobnym; lecz gdy takich okien jest tylko dwa z każdéj strony, gdy te fryze ich są skromne, więc téż nie psują grozy poważnéj tego dolnego budowania.

Nad tą rustyką unoszą się dwa piętra, każde o siedmiu oknach. Te okna w łuk krągły sklepione, — jakkolwiek wielce poważne, przecież nie ciężkie —, unoszą się śmiało, wysoko, a dochodzą u spodu do saméj posadzki pokojowéj, więc są raczéj drzwiami, które się otwierają na galeryę o pięknéj balustradzie kamiennéj. Między każdą parą okien świecą dwie kolumny; na pierwszém piętrze te kolumny są jońskie, na drugiém korynckich kształtów (*), a między krągłemi łukami okien i kapitelami tych kolumn widać w płaskorzeźbę wyrabiane pancerze, hełmy, tarcze, miecze i inne godła wojennych spraw. Toć wszystko dziwnie pięknie się nadaje do całego estetycznego dźwięku téj architektury tak męzkiéj, poważnéj i świątecznéj. Gzémsy poziemia i pierwszego piętra silnie występują na zewnątrz, a tém samém téż potężnym biją cieniem. Tymczasem cienie pionowe, które się rodzą od kolumn samych, są lekkie i tylko na pół mroczne. Kolumny zaś drugiego piętra, jako korynckie wysmukłe, wzlotne unoszą lekki brus (architraw), nad którym fryz szeroki; lecz w tym fryzie, prócz siedmiu małych okienek owalnych, otoczonych wieńcem, nie ma ozdób żadnych; więc choć on sze-

(*) Już powyżéj prosiliśmy czytelnika, aby wyrazów: *greckie, jońskie, korynckie* nie brał w ściśle greckiém znaczeniu; lecz raczéj trybem, jak te porządki były przerobione przez Rzymian, a których to form znów po swojemu użył i zmienił renesans.

roki, nie jest jednak ciężki, tylko spokojny i wyrazisty. Dopiéro nad nim kończy facyatę gzéms zdobny i wielce bogaty, podtrzymywany szeregiem sporników misternych (krokształynów).

Tak tutaj całość brzmi cudną harmonią. Od ciężkiéj rustyki, która legła na dole, dźwigając całość, aż do szczytu, architektura ta, unosząc się w górę, staje się coraz lżejszą, eteryczniejszą. Lecz to unoszenie się nie jest rozpłynne, rozwiewne, owszem oznaczone wyraźném odstopniowaniem. Bo najprzód uderza potęgą rustyka aż do pierwszego piętra —, na niéj stanęło pierwsze piętro już lżejsze, — a na górze owo drugie jeszcze eteryczniejsze. A tak te trzy części następują po sobie niby trilogium poetyckie; — nadto dach, jako pokrycie a najwyższa część całości, ma jeszcze odpowiedni sobie na dole ów cokuł tak potężny, co, jakem rzekł, spoczął poniżéj bram pałacowych.

Tak w téj kompozycyi widzimy w pięknym zestroju wyższe części architektury do dolnych, a siły dźwigające do brzemienia ciążącego.

Jeżeli atoli spostrzegamy taką troistość logiczną artystyczną, idąc od dołu do góry, zatém w kierunku pionowym, również znajdziemy taką troistość i w kierunku poziomym, zatém od ręki jednéj ku drugiéj. Wszak na dole w rustyce, w samym jéj środku są trzy bramy; widzicie zatém, że one tworzą ognisko i części środkowe. Otóż dla zachowania zestroju z tém dolném budowaniem, mistrz i na pierwszém piętrze i na drugiém zbliżył nieznacznie trzy okna środkowe do siebie, a tak utworzył z nich z lekka całość osobną, będącą środkiem a ogniskiem pięter. Gdy to zbliżenie atoli mogło być jedynie bardzo misterném, ledwie dostrzeżoném, więc trzeba mu było jeszcze mocniéj wyrazić ową część środkową, zatém genialny mistrz połączył jeszcze te trzy środkowe okna wspólnym gankiem, zostawując dla każdego z pozostałych czterech okien osobną galeryjkę i balustradę. Rozumie się, że środkowe trzy okna na fryzie górnym w tym samym stosunku są przysunięte do siebie.

Widzieliśmy tedy w tym pałacu troistość kompozycyi zachowaną i w kierunku pionowym i poziomym; — ztąd ta architektoniczna całość, choć niema i kamienna, tak śpiewa i gra w duszy naszéj, mimo to, że, jakośmy rzekli, to i owo w szczegółach zasługiwałoby na naganę.

Zważmy, że ta wystawa pałacu wcale nie olbrzymia, bo, jak wiemy, prócz poziemia ma tylko jeszcze dwa piętra, za całą szerokość objęła w sobie tylko siedm, lubo arcy dużych, okien; a przecież i najściślejszy krytyk nie zaprzeczy, że ten pałac zdaje się większy niż rzeczywiście jest a ogromne czyni wrażenie. Pochodzi to ztąd, że te jego linie i formy budzą w duszy harmonię. Zaiste dla uczuć naszych nie potrzeba materyalnych ogromów, szerzących się potężnie w przestrzeni, lecz potrzeba spokrewnionych nam pierwiastków duchowych.



Dusza nasza tęskni do harmonii ziemi z niebem, myśli z rzeczywistością; człowiek się łamie przez całe życie z sobą, żeby zestroić serce i rozum, przeszłość i przyszłość, skłonność uczuć z zimnym powinności majestatem; więc téż duszy człowieka tak błogo, tak radno i miło, gdy znienacka, niespodzianie, obaczy w dziele sztuki obraz tego zestroju a zgody. Aby jednak tego dokazać, niechaj się dzieło zbuduje w kompozycyę prawdziwą, w trilogium, będące istotą każdéj kompozycyi. Znajdziem je zaś wszędzie i wszędzie, kędy zawłada prawdziwa artystyczna fantazya. Znajdziem to trilogium w odzie i w malowanym obrazie, i w postaci dłutem rzeźbiarza z marmuru wywołanéj; znajdziem je w dramacie jak i w budowania arcydziele, i w muzyce wielkiego mistrza; znajdziem je równie i w całym żywocie zacnego człowieka, co sam siebie uczynił arcydziełem swojém, i umiał zestroić życie ze śmiercią, młodość i starość zgrzybiałą, i doczesne wesela z przyszłością zagrobową. O téj harmonii nieskończoności człowieka z duchem żyjącym w dziele sztuki już i dawniéj mówiłem, i nieraz mi jeszcze o niéj mówić przyjdzie.

I do tego pałacu łączą się historyczne wspomnienia. Jakoż dnia 12 marca 1625 roku z wieczora pałac Cornaro jaśniał światłem żarzącém — światło łamało się w ruchawém zwierciadle ciemnéj fali. Tłumy gondoli zanosiły do pałacu co przedniejszych mieszkańców. Kto świecił starą zasługą, wdziękiem lub znaczeniem, wezwany do Cornaro; — samych niewiast zebrało się sto trzydzieści, one są najwyższym przystrojem świetlic bogatych. Bo tego wieczora w pałacu był festyn wielki — do tańców brzmiała muzyka, rozpływając się daleko w nocnych cieniach po falach Laguny; zastawiano uczty kosztowne. Cała Wenecya pragnęła uszanować gościa z dalekich stron — bo królewicza polskiego, przyszłego Władysława IV.

Natłok gmachów jest tutaj na tym Canal grande tak przeważny, a tak gęsto przesuwają się pałace po pałacach, z których każdy prawie inny a inny, — że braknie oczu, braknie i słuchu, by ująć wzrokiem ten świat architektury i zatrzymać imiona świetnéj przeszłości, które głośno wywołują z dumu gondoliery, pokazując to w prawo, to w lewo, to przed siebie, to wstecz. Bo zaledwie puściłeś okiem za kierunkiem, wskazanym ręką gondoliera, zaledwie zrozumiesz o który to pałac mu chodzi, gdy znów brzmi nowe imię i występuje nowe budowanie z za kulis téj jedynéj w świecie całym jazdy wodnéj. Więc gondolier woła, wskazując na prawo Palazzo Treves, Tiepolo, Cavalli, Mocenigo, Corner, Spinelli, Contarini, — i znowu wyciąga rękę ku lewemu brzegowi, zaklina, byś podziwiał pałac: Foscari, Balbi, Pisani, Barberigo. Tymczasem drugi gondolier, stojący na przodzie, odwraca od tych cudów baczność twoję, bo przestrzega, byś się przecie odwrócił ku prawemu brzegowi, bo właśnie mijamy pałac Farsetti, Bembo, Manin i t. d. i t. d.

Myślę atoli, że mnie nikt nie posądzi, abym wśród tego magicznego świata mógł zostać zamkniętym w téj budce ciemnéj. Jakoż,

mimo deszczyku, który od czasu do czasu pokrapiał oddawna, porzuciłem jéj poduszki puchowe, i stanąwszy przed nią rozkoszowałem w tém wolném, swobodném wejrzeniu w koło; bo budka nizka, więc nie zasłania wcale widoku. Wszak nasz gondolier stary, co stał u steru na tyle gondoli, zaledwie spostrzegł o co mi chodzi, gdy jako gospodarz gościnny, ze zwinnością i zgrabnością niespodzianą, przebiegł po krawędzi brzegu gondoli, trzymając się ręką zlekka budki, i, stanąwszy przy mnie, w okamgnieniu narządził siedzenie pod gołém niebem — i znów tą samą sztuczką gimnastyczną wrócił na swoje miejsce. Prawda, że za każdym takim manewrem łódź nie lada się ku wodzie pochyliła, lecz uprzejmość ta z jego strony, a uznanie jéj z mojéj, roztworzyły mu serce; więc już jak strumień ciekły mu słowa z ust, opowiadał historyjki, anegdotki, wypadki odnoszące się do tych różnych pałaców i domów, któreśmy mijali. Szkoda tylko, że tak niewiele z tych wiadomości jego korzystać mogłem; a to z trzech przyczyn, z których każda z osobna byłaby dostateczną. Jakoż, tak niezmiernie szybko mówił, że moja niewprawna włoszczyzna nie starczyła wcale; — powtóre, mój gondolier rozgadał się dyalektem ludu weneckiego, który ogromnym parowem rozdzielony od języka włoskiego książkowego —, a nakoniec biedakowi nie stawało zębów! — Za to jednak wynagradzał te braki i wady grą fizyognomii nad wyraz ożywioną; wesołość, gniew, filuterne koncepta i domysły, smutek, strach, jakby dekoracye teatralne przesuwały się z całą wyrazistością po téj zwiędłéj, chudéj twarzy, i błyszczały, migotały w tych oczach, co choć z dawnych lat, nie przygasły atoli, nie omdlały, a wtórowały im z mistrzowska potężne zwieszone brwi, co nigdy nie spoczęły, lecz albo się zbliżały ku sobie, albo się podnosiły lub spuszczały, lub znów wyginały już jednym już drugim końcem, już środkiem i t. d. Bo dawny to lud; stara jego cywilizacya wyrobiła mu fizyognomię — a jest to nie lada rzecz, gdy człowiek się dosłuży fizyognomii — a większa jeszcze, gdy się stanie jéj panem.

Gdy staruszek mowliwy nie żałował sobie słów, zwłaszcza, że mówiąc często gęsto mógł wiosłem odpocząć, jego kolega stojący na przodzie, ów olbrzym, co pracował za siebie i za tamtego, mało mówił; niekiedy tylko, jak rzekłem, wskazuje na budowania pobrzeżne, wołając ich imiona; przytakiwał tylko uprzejmie starcowi, wywdzięczając mu się niejako, że na jego gondoli wydarzył mu się zarobek.

Roztaczał się tedy w koło mnie widok otwarty, rozłożysty; wystąpiwszy z po za zakrętów kanału, przypływały wspaniałe pałace i kościoły i długie rzędy domów — i znów ginęły zwolna, uroczyście w dali, niby rodząca się przyszłość a żegnające nas przeszłe czasy. Te ciągłe zmiany i przeistoczenia widoków tém tu cudniejsze, że Canal Grande bynajmniéj nie bieży w linii prostéj, ale, przecinając sam kadłub miasta, snuje się wężem mającym formę głoski S, któréj końce zwinięte; a dodajcie, że szerokość kanału odpowiada szerokości wielkiéj a wspaniałéj rzeki. Tak przeto i z blizka i z daleka możesz przypatrzyć się tym poetycznym architekturom, i porównywać w jednéj i téj saméj chwili formy kilku pałaców; możesz objąć jedném spojrzeniem oka długą przeciągłą perspektywę tego kanału, co jest jakby osobnym światem dla niego. Dodajmy w myśli, że lubo tu nie pulsuje już zapewne życie pełne energii i treści, jak było dawniéj za świetnych czasów Wenecyi, toć w żadnéj chwili nie braknie to mniejszych, to większych statków o rozpiętym żaglu, co przybywając przynoszą mieszkańcom różne życia potrzeby. Ten objuczony beczkami wina, ów dźwiga stosy owoców: więc arbuzy, melony, brzoskwinie, — tamten przypływa ze świeżą wodą, — ów z paliwem, inny znów z rybami i t. d.



Niekiedy, lubo rzadziéj, przesunie się około nas gondola, lub łódź rybacka niekryta. A nie mało téż rozmaitości, gdy spojrzymy na podnóża pałaców i kamienic; są ustępy kędy wzdłuż ich ciągną się chodniki z ciosów (trotoary) — są znów inne kędę ich nie ma, a szereg długi budynków wprost występuje z wody, kąpiąc swe stopy w falach. Niekiedy znowu widać małe place, zwłaszcza przed kościołami; więc na tych chodnikach i placach grona ludzi przeróżnie ugruppowane, zajęte to gawędą, to targiem. Niekiedy się zdarza, — bez czegoby się obeszło, — że tu i ówdzie na murach porozwieszana suszy się bielizna, — a co chwila to po prawéj, to po lewéj widać kanały większe lub mniejsze, wychodzące na Canal Grande; a więc na nich bliżéj i daléj mnóstwo mostów i mostków marmurowych, co przeskakują zlekka, zgrabnie od chodnika na chodnik, a one wszystkie śmiało w górę wygięte, żeby pod sobą przepuścić gondole i nawet wyższe łodzie. Prawda, że są miejsca, kędy na tym przecudnym kanale okropnie głucho i martwo. Niektóre pałace stoją pustką oddawna; mieszkańcy innych, jak to w porze letniéj, bawią gdzieś na wsi, na willach, więc wszędzie bramy i okienice wspaniałych okien zamknięte — nie widać żywéj duszy. Nie dziwiłbym się gdyby mówiono, że w tych budynkach straszy. Ale właśnie ta cisza i głuchota ma nieskończony urok, choć smętny. Jak pieśń żałoby, jak elegia, śpiewa tu anioł architektoniczne piękności i śpiewa jak słowik nad grobami. Smutek i żałość są przecież równie poezyi pełne (*).

(*) Nasz *Michał Wiszniewski* w swojéj arcypięknie napisanéj „Podróży do Włoch“ 1848 r., mówiąc (w T. I, str. 73) o powodach strasznego zubożenia szlachty weneckiéj, tak się wyraża: „Za czasów rzeczypospolitéj, panowie weneccy żyli nieoglądając się na jutro i majątki swoje odłużali; rząd bowiem arystokratyczny ich długi i niedopłaty skarbowi często mazał ogólną amnestyą, a podupadłemu panu weneckiemu dawał urzędy, gubernatorstwa lub poselstwa, które nastręczały sposobność podźwignienia się z upadku majątkowego. Francuzi, objąwszy Wenecyą kazali im wnosić wszystkie zaległości do skarbu niegdyś rzeczypospolitéj należące; wielu, mając zapłacić dwakroć, do trzykroć sto tysięcy franków, odsunięci wreszcie od wszelkich zyskownych urzędów, musiało za bezcen posprzedawać swoje obrazy,

I trudno było nasycić się tym widokiem nadzwyczajnym; niekiedy, dołożywszy szczyptę wyobraźni i patrząc się na tę powierzchnią wody, piastującą obraz błękitów niebieskich i obłoków budowanie, zdawało się, że te szeregi domów same unoszą się wśród powietrza, wśród lazurów i fantastycznych grodów chmur. Jakoż zaiste i sama natura tutaj ma takt artystyczny i wieszcze natchnienie; bo nie wiem czyli do tych scen, które się rozsuwają tu na ziemi i wodzie, można dobrać szczęśliwszych barw i świateł, i nieba więcéj odpowiedniego, jak to co gospodarzy nad nami. Wśród jasnych a przecież mocnych błękitów kipią obłoki, piętrzą się, dźwigają fantazyą młodzieńczą, zuchwałą —, malując to miasto i zamki, to głowy ogromne w kaskach i piórach, to zwalone świątnice, to węża co dęba stanął, to umarłego wywróconego w znak. A owe widziadła obłoczne od góry palą się złotem ciemném, od dołu zaś wyrastają z podstaw burych, czarnych niby noc, co rodzi fantastyczne sny i widzenia gorączkowéj imaginacyi. Ciągle majaczy owo mienienie się i migotanie cieniów i jasności na niebie; od czasu do czasu rozświeca kościoły i pałace światłem tém jaskrawszém, że ich kontury znów niekiedy mają za tło swoje chmurę ciemną, brunatną.

A już najdziwniejszym urokiem tych architektonicznych dzieł, któremi przeszłe stulecia jakby klejnotem wysadziły ten Canal-Grande — jest zaiste przekonanie, że te pałace i Boże przybytki nietylko są jakby wielką wystawą sztuki saméj, ale zarazem wielką wystawą historyi. Tu bowiem każda epoka ma wysłannika swojego w jakiém dziele architektoniczném, które symboliczną mową opowiada, co się działo niegdyś w sercu ludzi. Tu historya wewnętrzna, duchowa wcieliła się w architekturę. Lecz nie tylko dzieje Wenecyi, nie tylko dzieje Włoch budzą się w pamięci naszéj, ale jak nić pajęcza przędzie się z piersi i snuje się pasmo, co wiąże wspomnienie ze wspomnieniem, uczucie z uczuciem; — i po tém pasmie duchowém, po téj swojéj nici pajęczéj duch przelatuje ku Północy, w rodzinne dalekie strony. Tak nad tym Canal-Grande Wenecyi, na tém morzu europejskiego południa jedne dzieła architektury budzą myśl o czasach, gdy pierwsze Bolesławy, z butnością i poezyą rycerzy średniowiekowych, roznosiły szeroko, daleko sławę i potęgę szabli swojéj; — inne dzieło przenosi w epokę pierwszego Wazy, co jeszcze dojadał ostatki chwały poprzedników swoich. A ów kościół, co tak poważny i ciężki, nasuwa myśli owe dzieje, co jeszcze upiorem wspomnień cisną duszę naszą; bo przywodzą one tak długie, długie lata, gdy niebo czerwieniało pożogą i krwią od tatarskich najazdów. Obok téj świątnicy znów zrodził się późną

posągi i pałace, i całkiem zubożało. Tych tylko majątki ocalały, którzy przed rozwiązaniem rządu arystokratycznego byli małoletniemi; opiekunowie bowiem nie robili i nie mogli robić nadzwyczajnych wydatków i do tego rzędu należy familia Pizanich, Mocenigów i Korrera.



epoką różny całkiem od niego gmach, co dziwacząc rysunkiem, wydziwiając formą, gada jakby makaronizmem skamieniałym — i prawi o owém stuleciu, gdy czcze koncepta uchodziły za rozum, a burda za męztwo dzielne, gdy ciemnopióry obskurantyzm zesłał śpiączkę na umiejętność prawdziwą i naukę życiorodną. Atoli, jakby na pociechę, naprzeciw niego dźwignął się kościół o kształtach zacnych i szlachetnych; on zwiastunem owéj kaplicy krakowskiéj, kędy złożone Zygmunty.

Gdy tu przepływa pałac za pałacem, świątynia za świątynią tak licznym zastępem, że mnie się ani kusić, abym choć imieniem o nich wspomniał; więc wystarczy, jeżeli się dotknę jeszcze zlekka jedynie tych architektonicznych dzieł, co mogą być pomocą do naszego celu, więc dobitnemi wyobrazicielami właściwego sobie stylu i właściwéj sobie epoki — a to odrysowanie ich pobieżne, słowami naprędce rzuconemi, tém jest dla każdego z nas łatwiejsze, iż te pałace weneckie najczęściéj stanęły zupełnie w odosobnieniu od sąsiedzkich budowli; tworzą więc niby całość oddzielną, samoistną — a tém samém zbierają baczność naszą jakby w ognisku; żadne przytykające do nich budowanie nie wtrąca się w naszą uwagę, nie przerywa nam myśli naszych niewczesną ponętą. Lecz widać, że i pod tym względem tchnęły te budowniki instynktem artystycznym; bo jak każde dzieło sztuki z istoty swojéj, więc ze saméj kompozycyi, winno być całością w sobie zamkniętą, — więc i dobrze i trafnie się dzieje, gdy ta jego dzielność i całkowitość wyraża się jeszcze i zmysłowo, materyalnie, zewnętrznie, bo oddzieleniem rzeczywistém. Wszak tę właśnie myśl np. wyrażają ramy, ujmujące sobą obraz malowany; one odosobniają go od rzeczywistości prozaicznéj, a tak czynią go i na zewnątrz całością; a ztąd wynika, iż temu celowi właśnie odpowiadają ramy, co nie łączą się z samym obrazem malowanym (np. barwą jaką), a nawet z drugiéj strony oddzielają go od rzeczywistego świata, który w koło otacza obraz malowany (a to się wtedy dzieje, gdy ramy są złocone). Czyliż nie dziwacznie wygląda posąg, kopiujący jakieś dzieło starych klassycznych mistrzów, jeżeli tuż obok niego znajdują się kanapy, stoły i inne graty osobliwéj formy nowożytnych czasów?

Otóż te dwa pałace, co niezbyt daleko od pałacu Cornaro, a tak wspaniale patrzą w niebo i wodę, warte są, by się przed niemi zatrzymać. One stanęły po lewym brzegu, a właśnie w miejscu kędy „Kanał Wielki“ się skręcając, nabiera szerokości arcywspaniałéj i ogromnéj. Ten, co bliżéj nas — to pałac *Balbi*. Mistrzem jego *Alessandro Vittoria* (*) uczeń Sansovina. A choć już czas nadchodził, w którym uczucie zdrowe i zmysł artystyczny miał się ku schyłkowi, przecież w tym pałacu Balbi jeszcze nie widać przesady ani samowoli —; jeszcze on jest późniejszym renesansem, choć spóźnio-

(*) Ur. 1525, † 1608 r.

nym i nieco spaczonym. Dół potężny, wysoki, bo sam o piętrze — nad nim dwa piętra, z których każde ma w środku loże o trzech arkadach krągłych — po obu stronach po dwa od siebie oddalone okna kształtne. Rysunek okien, forma gzémsów, pilastrów, wszystkie szczegóły są jeszcze dalekie od dziwactwa, są czyste i pełne prostoty. Mimo tych wszystkich zalet, wyznajmy atoli, że to budowanie nie zdolne bratać się z cichym majestatem daleko wcześniejszego Cornaro, co tak uroczysty a tak jednak wdzięków pełny.

Obok tego pałacu Balbi stawiano niegdyś ów rodzaj świątniczki czyli lodżiettę złocistą, drewnianą, pokrytą baldakimem, ustrojoną w figury, kolumny, floressy błyszczące, kędy za dawnych czasów rozdzielali nagrody zwycięzcom w Regata, więc w onych tak sławnych na świat cały wyścigach wodnych. Przecież niezawsze gondolierowie z rzemiosła wyprawiali te igry na wodach. Gdy królewicz polski Władysław, wracając z Rzymu do kraju, nawiedził Wenecyą, wówczas senat, by uczcić świetnie gościa, wybrał kilkaset młodzieży z patrycyuszów weneckich, którzy przed młodym królewiczem popisywali się zręcznością i siłą w gonitwach wodnych. Wassenberg, mówiąc o kosztownem ubraniu, o przepysznym stroju téj młodzieży, zapewnia, że te zabawy zaiste w niczém nie ustępowały starożytnym Naumachiom, odbywanym niegdyś z rozkazu rzymskich imperatorów.

Ten pałac Balbi gaśnie atoli obok przepychu fantastycznego swojego sąsiada, pałacu *Foscari*, który jest dziełem, wedle jednych, mistrza *Bartolomeo*, architekta sławnéj Porta della Carta, o któréj poniżéj mówić będziemy, a wedle drugich budownikiem pałacu Foscari miał być *Zuanne Buono* (*). Przecież większość mniema, że rzeczywiście Bartolomeo był jego twórcą. Wątpliwości zaś nie ma, że ten pałac stanął w końcu XIV stulecia.

Ten pałac jest z maurytańska gotycki, on cały dziergany we wzorki wdzięczne, lekkie; zdawałoby się, jakby sobie drwił z ciężkości nieużytéj materyi; te marmury jego spinają się idealnością piosenki; owo prawo zwyczajne wszechmateryi, co to ciągnie głazy ku ziemi, jest dla nich bajką. On zaiste jakby jedną z powieści z czasów Al-Raszyda, o których gada i baje Arabia. Tu ustała proza zwykłego życia, rozwaga rozsądkowa, oględność uleciała; a na miejscu jéj igrają sny, zesłane przez wróżkę dobroczynną. Tutaj nie widać jednostajności ścian, one zamieniły się w wyrabiane przezroczyste hafty (**). Jestto niby gotyk średniowiekowy, jednak zideali-

(*) Obecnie w pałacu *Foscari* mieści się wyższa szkoła handlowa, Scuola Superiore di Commercio. — St.

(**) Estetycy niemieccy w tym stylu widzą li budowanie gotyckie, które germańskiém zowią. Nawzajem znawcy włoscy, np. *Cicognara* (Hrabia Leopoldo *Cicognara*, znakomity historyk sztuki, autor licznych dzieł na tém polu, prezes Akademii sztuk pięknych w Wenecyi, ur. 1767 † 1834 r. Jego gruntowne dzieło: *Le Fabbriche e i Monumenti cospicui di Venezia*, wyszło w nowém wydaniu, zbogaconém licznemi notatkami i wizerunkami, przez *Fr. Zanotto*. Venezia. 1858. — St.) twierdzą, że to budowanie jest czysto maurytańskie. Ośmielam się mniemać, że i tu, jak to często bywa, środek między dwiema ostatecznościami jest prawdą. W tych pałacach zeszły się, jak sądzę, oba te style, co już nie tylko się tłómaczy ze stosunków historycznych i z geograficznego położenia, ale zdaje się, że obok zasad ogólnych gotycyzmu widzimy najczęściéj szczegóły, a mianowicie ornamentykę arabską.



zowany fantastycznością śmiałą, lotną Wschodu, przesadzoną na grunt europejski.

Bo w téj architekturze gotycko-maurytańskiéj często przeważa o wiele fantazya oryentalna nad właściwym gotycyzmem. Jakoż obie te fantazye, bo średniowiekowéj chrześcijańskiéj Europy a Wschodu, podobne są do siebie; więc łatwo się kumują a krewnią z sobą. Bo obie wykwitły na nieskończonéj swobodzie indywidualności pojedyńczego człowieka, obie są dowodem, że wiek, który je stawiał, waży sobie jedynie własne osobiste natchnienie, nie oglądając się na prawa, co zewnątrz niego istnieją; że sobie żarty stroi z ustaw, które władają w naturze, a butna fantastyczność jest mu wyłącznie prawem i zakonem. Rzeczone połączenie się tych dwóch fantazyj, mimo ogromnéj różnicy, rozdzielającéj świat mahometański a chrześcijański, pojawia się wszędzie, kędy się stykają te dwa światy z sobą, w Sycylii jak w Hiszpanii, a mianowicie już w Wenecyi (*).

Galarom weneckim, niosącym w laguny skarby dalekiéj oryentalnéj natury, towarzyszyły niewidzialnie duchy Wschodu, i oczarowały tchem swoim tych rycersko-szlacheckich kupców dawnéj Wenecyi; proza licząca, rachująca, rozsądkowa handlu poswatała się z czarnoksięzką Arabów fantazyą.

Gdy atoli, jak już rzekłem, w tym stylu gotycko-arabskim, o ile go spotykamy w Wenecyi, pierwiastek maurytański przeważnie panuje nad gotykiem właściwym; nie dziw przeto, że nadaje, jak już powiedziałem, temu nadzwyczajnemu miastu owo wejrzenie wschodnie, tak urocze a niezwykłe w naszéj staréj Europie; zwłaszcza, że, jak wiemy, styl ten często-gęsto powtarza się w architekturze tutejszych pałaców.

Nie zawadzi tedy może, gdy kilku słowami bliżéj tę architekturę oznaczymy. A co ogólnie o niéj powiemy, będzie już powszechną modłą, odzywającą się, lubo przeróżnym odcieniem, w pojedyńczych budowlach i stanie się dla nas cechą do zrozumienia stylu, który zwykle „stylem (gotyckim) pałaców weneckich“ zowią.

Przedewszystkiém nie rozumiejmy, jakoby ten lub ów pałac miał być niegdyś pierwszym wzorem, potrącającym inne do naśladowania.

(*) Obacz Listy z Krakowa, zwłaszcza listy o fantazyi ludów mahometańskich w T. I, List XVIII (str. 371 i nast.) i Listy o fantazyi średniowiekowéj ludów chrześcijańskich w T. II, List XXVI, XXVII, XXVIII (str. 151 i nast.).

Ze sprawami lżejszéj wagi ma się rzecz zupełnie, jak z wielkiemi zwrotami w ludzkich dziejach. Gdy epoka nowa nastaje w historyi świata, już oddawna ona się gotuje w sercach ludzkich. Zrazu ten pierwiastek przyszłości pracuje w tajnikach uczuć, a szepce i gada zagadkową mową. Zwolna i zwolna atoli ten sfinx w piersiach ludzi zaczyna prawić zrozumialéj. Tu i owdzie w jaśniejszych głowach zaczyna dnieć przekonanie, mające być piastą nastających dziejów; tu i owdzie pojawiają się oznaki, zwiastujące zwrot w rzeczach ludzkich. Lecz jak nikt nie zgadnie na wiosnę, który kwiat pierwszy się ocucił pod ożywczym, ciepłym powiewem budzącéj się natury, tak téż trudno odgadnąć, gdzie i kiedy ocknęła się najprzód jasna wiedza o tém, co nastać ma. Coraz więcéj budzi się młode przekonanie w umysłach, coraz więcéj niesmak, przesyt świadczy, że dawny stan rzeczy nie wystarcza. W takich chwilach najczęściéj występuje człowiek historyczny, co pomaga do porodu nowszéj epoce. Wszystko, co dotychczas żyło w uczuciach, w myślach, co się objawiało nieśmiałemi oznakami, to wszystko teraz przez słowo, czyn historycznego człowieka staje się jawem, rzeczywistością. Prawda téż, iż jeżeli takowy człowiek zawcześnie wystąpi na scenę, jeżeli mu zbyt śpieszno z rolą, którą ma odegrać, już wtedy on swojego nie dokaże i sam przepadnie. Lecz po nim, poczekawszy trochę, zjawi się człowiek nierównie mniejszych rozmiarów i dokona tego, co się owemu pierwszemu, choć prawdziwie wielkiemu człowiekowi, nie udało. I nie dziw, bo czas późniejszy przysporzył mu sprzymierzeńców, a zguba tamtego wyrównała mu drogę. Rozumie się, że nigdy nie braknie i takich, co, choć mają oczy — nie widzą, choć mają uszy nie słyszą tego, na co się zanosi w świecie; tacy niby strusie zamrużą oczy w tém mniemaniu, iż czego widzieć nie chcą, tego nie ma na świecie. Znajdą się téż inni, co się opierać będą nowemu zwrotowi rzeczy, i ci czasami się przydadzą; oni niby hamują rydwan historyi, by niezbyt gwałtownie staczał się na nowe drogi; lecz gdy one ślepo-głuche zuchwalce zechcą naprawdę wstrzymać ów tryumfalny wóz dziejów, nic nie poradzą; koła przejdą po nich, a ich tułowy bezduszne zostaną na samotnym, opuszczonym gościńcu. Takowe téż jest prawo władnące w artystycznych formach sztuki; one lubo daleko mniéj ważą przed sądem ostatecznym historyi świata, są przecież ducha rumieńcem, błyskawicą oczu jego, zwiastującą co się wyświęca w sercu pewnéj epoki. Styl gotycko-maurytański, tak fantastyczny, przebywał zaiste w uczuciu, w dziejach, we krwi, w powietrzu dawnéj Wenecyi, był symboliczną mową jéj duszy. Znać tedy, że pałac dożów nie był koniecznie wzorem i powodem pojawienia się tego stylu wśród tych lagun morskich. Jakoż ten styl puścił się kwiatem bujnym w pałacach, które stanęły dawniéj, niż sam przepyszny pałac dożów; lubo z drugiéj strony nie przeczę, że on, zaświeciwszy w całéj okazałości swojéj, mógł się przyczynić do ogólniejszego jeszcze rozpowszechnienia téj bogatéj, fantastycznéj a tak niezwykłéj architektury.



Pamiętajmy, że ów ostrołuk, złożony z dwóch łuków koła, a który zwyczajnie u nas nazywa się gotyckim, często zapewne pojawia się i w tym stylu; przecież on nie jest bynajmniéj formą w nim przeważającą; owszem najwięcéj charakterystyczną cechą jego okien, drzwi, bram i wielu ozdób jest ostrołuk, mający formę gruszki ze szczytem ostrym u góry (czyli formy serca śpiczastego, wywróconego ostrzem do góry). Takie są linie zewnętrzne tego łuku. Wewnątrz zaś, podobnie jak to często spotykamy w stylu gotyckim, wprawiony jest trójliść (trifolium, trèfle, dreiblatt, trefoil), to jest ozdoba w kształcie olbrzymiego koniczu.

Widzimy tedy, że kształt tego łuku jest zaiste wyrazem fantastyczności igrającéj, bujającéj, co nie dba o prawidła prozą podane. Jakoż, sklepienie normalne, toć zawsze mniéj więcéj koliste, krągłe, niém się téż cieszył on rozsądek rzymski, baczący głównie na to, co praktyczne a udatne do celu; — wszakże ostrołuk zwyczajny nasz, najzwyklejszy u chrześcijańskich ludów w drugiéj połowie średnich wieków, choć już więcéj sobie pozwala, choć już jakiś butny i samowolny, przecież jest ważnym pierwiastkiem technicznym, a jak w inném miejscu dokładniéj obaczymy, jest cechą gotycyzmu, a cechą, wynikającą z koniecznością z jego konstrukcyi. Tak, zaiste, ten ostrołuk jest warunkiem niezbędnym tych form śmiałych, wzlotnych, tych ścian przezroczystych, czyniących gotyckie budowanie do szklarni podobném; on tedy jest warunkiem koniecznym tych sklepień zuchwałych, których zniesiona prawie zupełnie siła rozpierająca, a niemal cała sprowadzona do siły ciążącéj pionowo. Lecz ten łuk wywijany, powyżéj wspomniony, żartuje sobie wręcz z prawideł, które sama ciężkość materyi podaje, i w téj mierze wyrównywa prawie owym łukom „w podkowę“, co są rozkoszą maurytańskiéj architektury. Bo przecież owa forma sercowata, gruszkowata łuku, pewnie się nie przyczynia do dzielniejszego dźwigania ciężaru, spoczywającego nad nim, i nie można téż sobie wytłómaczyć, z prozaicznéj, technicznéj potrzeby, owego trójliścia danego na wewnątrz, co nie podpiera ale raczéj jeszcze ciąży. On, co właśnie jest może najswobodniejszą myślą gotycyzmu, przyjęty był chętnie w tych poetycznych pałacach Wenecyi.

Znać tedy, że to iście fantastyczność, romantyczność z pierwszéj ręki. A to wszystko tém więcéj uderzające, gdy je porównywamy np. z architekturą dopiéro co widzianego pałacu Cornaro, co świeci prawie cały klassycznością starożytną, rzymską. A wiemy, że w klassyczności prawdziwéj, więc greckiéj, wszystkie ozdoby i stroje dadzą się niemal wytłómaczyć rozumowo z techniki, z potrzeby, z natury saméj każdego budowania. W niéj fantazya ściśle wypływa z prawideł mocy i siły budowania, a dźwigająca siła i ciążące brzemię zestrojone są z sobą w harmonii.

To jednak bujanie romantyczne, fantastyczne, wyrażające się w samych tych ostrołukach wywijanych, potęguje się i wzmaga, gdy spojrzysz na to, co się dzieje powyżéj tych łuków. Bo między szczytem a szczytem każdéj pary łuków, więc niby nad łukami i niby między niemi, widać ogromny pierścień z marmuru rzeźbiony, a we wnętrzu tego pierścienia kształt kwiatu o czterech liściach.

Może mi powiesz, że przecież to wszystko spotykamy w stylu gotyckim, a mianowicie w oknach katedr, w portalach i t. d. Prawda! ale w gotyce zwykle te figury utworzone są z lasek kamiennych, splatających się z sobą niby tkanką; gdy przeciwnie, w tych pałacach weneckich, te figury są dziergane a raczéj wykrawane na wylot jakby w ścianach, w płytach marmurowych; tak tedy tworzą niby ściany przezroczyste. Gdy tedy najczęściéj w stylu gotyckim więcéj jest przestrzeni otwartéj, przezroczystéj a kamienia mniéj, w Wenecyi raczéj tłem przeważającém jest kamień, a mniéj nierównie jest przestrzeni dzierganéj. Co, wedle mnie, jest nierównie fantastyczniejsze, bo to niby nie okna, nie odrzwia, ale mur jest przezroczysty, hulający. Gotycyzm, choć tak idealny, jest przecież rozsądny w porównaniu z tą fantazyą wdzięczną Wenecyi; bo ornamentyka gotycka, powtarzająca się na ścianach, wieżach i t. d. ma przecież źródło swoje w tych ogromnych oknach katedr gotyckich, które, właśnie dla możności oszklenia, podzielone są takim właśnie splotem kamiennym na drobniejsze części.

Na tém atoli nie koniec téj fantazyi weneckiéj, bo często nad tym wzorem, nad temi pierścieniami, nad ich zetknięciem się z sobą, znów drugie nowe dziergane hafty. A jeżeli już rysunek samego łuku jest tak fantastyczny, samowolny i nieoglądający się na rozsądkowe przepisy techniki, jakże dopiéro te wyrabiania wdzięczne, te przezroczyste ściany, tak śmiałe a hulające, przypominają ową arabską fantazyą, gorącą, czarodziejską, co żyje w bajeczkach i powieściach poezyi Wschodu! Bo i w tych poezyach fantastyczność rozkołysana za nic sobie ma prawa, któremi się zwykle rządzi świat; na jéj skinienie pojawiają się smoki i zaczarowane panie, i miasta zaklęte i węże rozmowne, i drzewa grające, a cały rzeczy ład wywraca się figlem czarnoksięzkim.

Otóż takowe dziergania, tkanki, hafty są chlebem powszednim w lodżiach pałaców weneckich. Lecz te pałace i lodżie, jakby chciały na przekór pójść z prawidłami przyjętemi, wbrew sprzeciwiają się i pod innym względem architekturze klassycznéj. Jakoż, podsienia, kolumnady greckie i rzymskie tak się zawsze obliczyły, iż kolumn jest liczba parzysta, że tedy ustępy między kolumnami są nieparzystéj liczby; taki téż skład rzeczy ma swoje powody, z których najgłówniejszy jest ten, iż w ścianie znajdującéj się za kolumnadą, umieszczone były drzwi, a umieszczone były w samym środku téj ściany; gdyby tedy liczba kolumn była nieparzysta, właśnie kolumna środkowa w kolumnadzie zasłaniałaby te drzwi. W lodżiach



weneckich odwrotnie się ma, bo arkady są najczęściéj parzyste, więc bywa ich 4, 6, 8 i t. d.

Nie rozumiéjcie atoli, że taka fantastyczność, czy ona żyć będzie w poezyi lub w architekturze, jest tylko czczym, szczerym nierozsądkiem; nie mniemajcie, jakoby lada kto bający trzy po trzy, prawiący jakby na mękach, już tém samém miał być fantastycznym poetą. Owe bajeczki, choć niby plotą a plotą koszałki opałki, choć nawet w nich nie dopatrzysz się żadnéj dążności rozumowéj, ani nawet przenośni lub allegoryi, albo sensu moralnego — przecież równie chętnie są słuchane od pacholąt małych, jak czytane z rozkoszą od człeka starszego, co dojrzał rozumem i otarł się o całą grozę życia. A zkądże tym bajeczkom, powieściom ten dziwny powab? zkąd im ta moc urzekająca starych, młodych, mądrych i prostych na duszy? Zkąd? — Oto, w tych andronach, w tym wrzekomym nierozsądku tchnie artystyczny, instynktowy geniusz, w tych poezyach żyje wdzięk i urok niewymowny. Tak téż i w tych budowaniach, niby przeciwnych rozsądkowi techniki i materyi, odzywa się najwyższa gracya i piękność; a na dnie swawoli tych marmurów jest iście natchnienie poetyckie. Bo inaczéj każda głowa bez sensu i klepki zarobiłaby sobie na wieszczowe korony, i dośćby było zbudować murowaną niedorzeczność, by zarobić sobie na imię wielkiego architekta (*).

---

(*) Ob. O fantastyczności, Listy z Krakowa, Tom II, List XXVI i XXVIII. (str. 151 i nast.).

Przyda się może, abyśmy skreślili ogólną modłę i szczegóły tego „*stylu* (gotyckiego) *pałacowego Wenecyi*"; a tak obaczymy, jako powyższe zasady bywają stosowane w rzeczywistości. Najprzód, zgadnąć możemy, że temi łukami i koronkami architektura dokazuje dziwy przepychów, a przecież nie przesadza, nie nuży, lecz umie stosować z mistrzowska i prawdziwie artystycznie. Poziemie (rez de chaussée) pałacu jest zwykle pełne prostoty, przecież nie ubogie; jest dopiéro jakby przepowiednią wyższych pięter. Podobnie téż na każdém z pięter, całe bogactwo, cała fantazya zebrana jest w środku; tu albowiem jest łuk przy łuku, więc arkada przy arkadzie, oddzielone tylko lotną, lekko podpierającą kolumną — a tak ten środek staje się otwartą galeryą (lodżią). Tutaj tedy w całéj świetnéj grze swojéj okazują się owe hafty w kamieniu, owe wyrabiania okazałe, mieniące się, migocące. Rozumie się, że piętra różnią się często i pod względem bogactwa, wzorów koronki. Gdy tedy w środku każdego piętra, bo w lodżiach, spotęgowany jest cały strój, przeciwnie, po obu stronach lodżiów włada spokój i prostota: tutaj widać tylko pojedyncze okna, których ozdoby i wyrabiania odpowiednie są środkowi tego piętra— ale okna te oddzielone są od siebie dość szeroką jednostajną ścianą, często ubraną w różnobarwne kamienie. Toć już widzimy, że na obu stronach fantazya ma gdzie spocząć w ciszy po téj brzmiącéj przepysznéj galeryi środkowéj — a nawzajem znów potęguje i podwyższa wspaniałość téj lodżyi saméj, do któréj obie te strony tak się mają, jak dół do samych pięter. A tak stworzyła się zarazem rozmaitość zestrojona w całość.

Dodaj jeszcze na ukończenie téj całości, że ostateczne linie téj wystawy, bo krawędzie samego pałacu, są obrąbione od góry do dołu lekkim pilastrem, a częściéj jeszcze cieńkim sznurem marmurowym; że u saméj góry wzdłuż okapu ciągną się zęby maurytańskie, fantastyczne; że nie brakuje najosobliwszych inkrustacyj

Chciéjmy atoli teraz już nawrócić do pałacu *Foscari*, i obaczmy jak sobie w nim prawdziwie artystycznie począł *Bartolomeo*, ów mistrz budownik. *Fig 8.* unaoczni i wyjaśni bliżéj opisanie nasze.

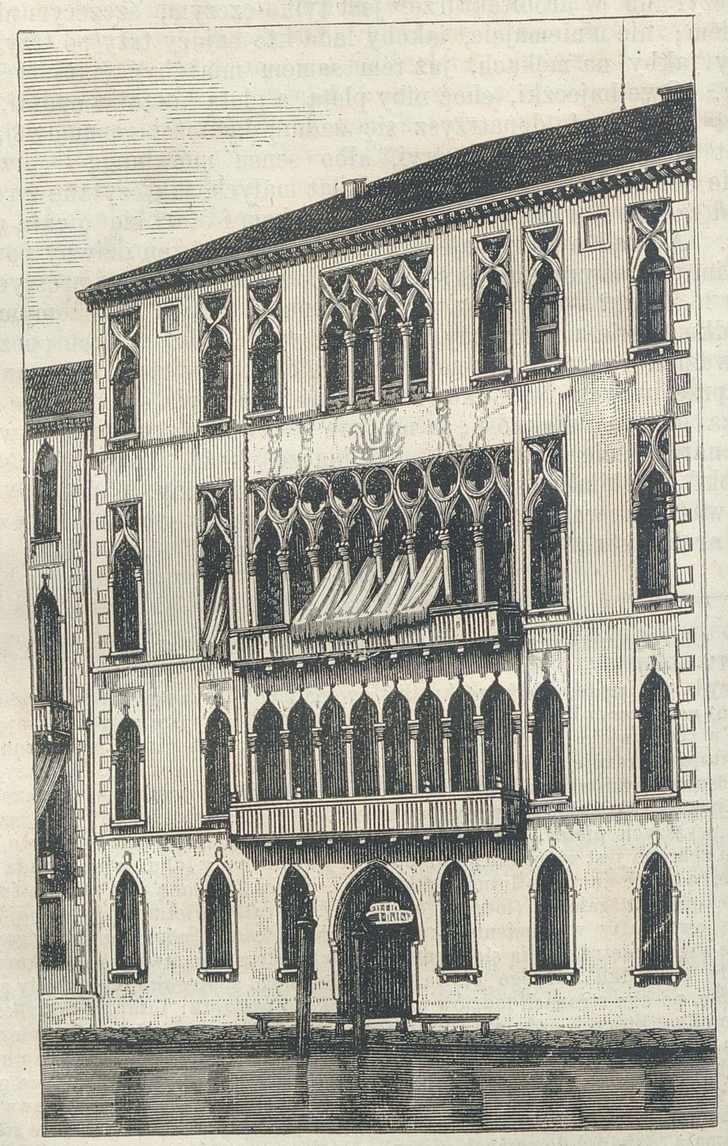


*Fig. 8.* **Pałac Foscari.**

różnobarwnych niby mozaiki, a będziemy mieli całość z mistrzowska dokończoną i zamkniętą, a jednak najwyższéj fantastyczności artystycznéj. Lecz jakże ta ca-



Od spodu samego tło pałacu cokułem potężnym. Na niém zbudowane poziemie (rez de chaussée), skromne, ciche. W środku jego ostrołuka ale rozkraczysta brama. Po każdéj jéj stronie po trzy tegoż kroju okna. Ostrołuki i bramy okien spoczywają na kolumnie ze zdobnym kapitelem; szczyt ich kończy się w kwiat butny gotycki; od spodu tego kwiatu spuszcza się sznurek cieńki kamienny i obwodzi na zewnątrz łuki, aż do miejsca, kędy one już dosięgają kapitelów kolumn. Z jednéj i z drugiéj strony bramy, okna, sąsiadujące z nią, są do niéj blizko bardzo przysunięte; oraz wraz z bramą tworzą środek, mający odpowiadać lodżiom wyższych pięter. Lekki gzyms odgranicza poziemie od pierwszego piętra.

łość śmiejąca się, strojna, niedzielna! Jakże ona się raduje i cieszy! Ona tak ochotna, jak gdyby tu nigdy nie postała troska smętna, jak gdyby tutaj i morze i niebo przygrywały nigdy nieustającém życia weselem. Trudno atoli nie zwrócić czytelnika, choćby naprędce, jeszcze na dwie cechy, które spotykamy w tym stylu weneckim, a które, jak mnie się zdaje, wielce go charakterystycznie odróżniają od stylu ściśle gotyckiego. Najprzód, styl gotycki, jako właściwy fantazyi romantycznéj średniowiekowéj, wyraża to współczesne mu cofanie się człowieka w głębie wewnętrzne ducha; styl gotycki wzywa, by wstąpić we wnętrze budynku, bo zewnętrzna jego strona jest tylko szatą strojną, łupiną treści wewnętrznéj. O téj charakterystyce, również jak o innych cechach gotycyzmu, mówić będziemy obszerniéj przy innéj sposobności; tutaj zważmy tylko, że styl pałacowy wenecki, zwany gotyckim, ma cechę wręcz odwrotną onemu cofaniu się w siebie. Okna, lodzie, dziergania, wystawa ściany, są raczéj otwieraniem się na zewnątrz; jest to raczéj występowanie treści wewnętrznéj na świat jawny. Druga zaś cecha tych pałaców jest następująca. Wiadomo nam, że w ścisłym gotycyzmie widzimy filary potężne, dźwigające sklepienie, ale filar takowy jest rozczłonkowany, niby jest zbiorem lasek, wałków, kolumn cieńkich, śmigłych, a mianowicie jakby pękiem lasek cieńkich, które w przedłużeniu swojém u góry zamieniają się w żyły, w żebra, sklepienia i ostrołuki. W gotycyzmie weneckim, wręcz odwrotnie, widzimy kolumny okrągłe, nie rozczłonkowane, podpierające galerye, lodzie i t. d. Prawda, że i w innych krajach widujemy niekiedy w architekturze gotyckiéj kolumny zamiast filarów; to jednak dzieje się bardzo rzadko i wyjątkowo, i działo się zwykle w pierwszych epokach gotycyzmu. Wiemy, że w stylu gotyckim najprzód idzie kolumna, co na kapitelu swoim dźwiga laski, wałki, które w przedłużeniu swojém rozchodzą się żebrami, żyłami, a tak stają się jakby szkieletem sklepienia. Późniéj te wałki okrągłe już są przyparte do kolumny, a jeszcze tak daleko są od siebie, że między niemi widać jako rdzeń ową kolumnę; — tak jeszcze w téj epoce nie ma organicznego połączenia między temi wałkami, laskami a kolumną macierzą! Dopiéro późniéj następuje to organiczne zrastanie się tych części z rdzeniem, będące filarem iście gotyckim. Przecież o tém późniéj mówić będziemy.

Tutaj atoli, korzystając ze sposobnéj pory, uważmy jak silny a potężny przecież jest w naturze człowieka pierwiastek negacyi a barbarzyństwa! Dochodzą nas w téj chwili pewne wiadomości z Wenecyi, że się znalazło dwóch szczególniéj architektów, pokładających w tém chwałę swoją, by się okazali wrogami tego stylu maurytańsko-gotyckiego, będącego, jak rzekłem, charakterystyczną cechą Wenecyi. Ci panowie psują, paczą, niweczą owe prześliczne zabytki średnich wieków i przemocą chcą je przerobić na style Palladia; więc murem zapełniają łuki lodżyi dziergane; więc powlekają pokostem kosztowne marmury, więc tynkują, przerabiają, gwałcą świętokradztwem gburowatém owe wdzięczne, przecudne formy stare. Odzywają się tam wprawdzie głosy, wznoszące się przeciw tym wandalizmom; ale one zbyt słabe, by je obroniły od zapamiętałości ślepookiéj.

Pierwsze piętro. Tu już w środku lodżia o ośmiu arkadach, przedzielonych od siebie jedynie kolumną wysmukłą. Te ośm arkad od spodu połączone razem balustradą wspólną i zdobną. Po obu stronach lodżyi po dwa okna, między któremi ściana znacznéj szerokości. Te arkady wszystkie, podobnie jak poziemia, są ostrołukie, wywijane, w środku zaś owe trójliście fantastyczne; i tutaj wyrósł ów kwiat gotycki, strojący szczyty, i tutaj łuki obrąbione onym sznurkiem kamiennym, lekkim. Lecz tu nie ma jeszcze dziergania w marmurach, bo pierwsze piętro jeszcze skromne, domaszne. Za to jednak spotykamy ozdóbkę wielce oryginalną i świeżą, nadającą osobliwszy urok całości. Jakoż, od góry i z boków cała lodżia zamknięta jakby w ramy prostokątne; albowiem wązka listewka bieży od góry wysoko nad kwiatami, więc równolegle do gzymsu, a ona łączy się z listewkami, ciągnącemi się pionowo, prosto od dołu do góry lodżyi. W takie ramki czworograniaste oprawne są i pojedyńcze okna, znajdujące się po obu jéj stronach. „Listewka“, to wyraz niedokładny, bo to jest raczéj sznur cieńki, skręcony, marmurowy.

Otóż, jak wedle mojego uczucia, te ramki małym zachodem niezmiernie wiele dodają wdzięku temu budowaniu, bo czynią z lodżyi i z każdego pojedyńczego okna całość odrębną. Prawda, że to szczera fantastyczność romantyzmu czystéj krwi, bo trudnoby było te sznurki wytłómaczyć rozumowo z techniki i architektonicznéj potrzeby. Przecież to arcy zgrabne i odpowiednie swojemu czasowi, a wiemy już, że fantastyczności główka nie boli o zachowanie reguł. Gzymsem leciuchnym odgranicza się piętro pierwsze od drugiego.

Niechaj teraz czytelnik zwróci uwagę na drugie piętro, co jest ogniskiem przepychu i bogactwa. Tutaj fantazya wysadziła się, by wystroić, ozdobić świetlice, co za dawnych lat błyszczały wystawnością zamożną i hardą. Jakoż to piętro, będąc najgłówniejszém, jest wyższe od trzeciego i od pierwszego, które znów jest wyższe od poziemia. Rozporządzenie odpowiada zupełnie pierwszemu piętru; bo lodżia ośmiołukowa stanęła nad lodżią piętra pierwszego, a każde okno pojedyńcze nad odpowiedniém oknem jego. Lubo i tutaj spotykamy te ramki ładne; przecież krom tego, między temi ośmiu ostrołukami lodżyi, czyli raczéj nad niemi, pysznią się jeszcze owe olbrzymie koliste pierścienie, a w nich rozety czwórlistne ogromne, na wylot przezroczyste, a tak szerokie jak samo oddalenie kolumn od siebie. I okna pojedyńcze, będące po obu stronach, mają odpowiednie przezroczyste tkanki kamienne. I tutaj gzyms skromny pokazuje granice między tém piętrem drugiém a piętrem trzeciém.

Piętro trzecie. W środku lodżia; przecież ona już mniéj długa, bo tylko o czterech łukach. Po obu jéj stronach, na szerokość jednego okna, ściana gładka, — potém po obu stronach okno, które tedy odpowiada skrajnéj arkadzie, skrajnemu łukowi lodżyi pierwszego piętra. Daléj jeszcze po obu stronach dwa okna odpowiednie



oknom dwóch dolnych pięter. Tak lodżia jak i okna pojedyńcze tego trzeciego piętra stroją się w wyrabiania na wylot, choć już mniejsze i wedle innego wzoru wykonane. Wszelako i tutaj spostrzegamy owe ramki w kręcony sznurek. Patrząc się na te trzy piętra i na poziemie, widzimy jak te części są rozmaite, a przecież ściśle do siebie się nadają; są to waryacye na jeden i ten sam temat.

Dość spojrzéć na stosunek wzajemny tych pięter do siebie, podziwiać ten istny artystyczny zmysł, żyjący w téj budowie. Bo pomijając już szczęśliwe rozmiary wysokości tych pięter, baczmyż jedynie na stopniowanie ich form. Piętro drugie, jakeśmy rzekli, najbogatsze, i spuszczając się poniżéj widzimy, jak to pierwsze piętro jest przejściem szczęśliwém do poziemia; to pierwsze piętro jest ogniwem pośredniém między dołem tak skromnym, a przepychem zebranym w piętrze drugiém. I patrzmy znów na piętro trzecie; ono jest mniéj strojne, mniéj przezroczyste, a przecież tak lekkie, iż nie ciśnie na koronki przezroczyste drugiego piętra, a zarazem znowu odpowiada większemi przestrzeniami ścian swoich piętru pierwszemu i poziemiu.

Pod okapem piękny gzyms, w wsporniki ozdobny, tak zakończona całość od góry, jak ów potężny cokuł kończy ją od dołu. A jak każde piętro oddzielone od pięter gzymsem łagodnym, tak na saméj krawędzi pałacu, bo na rogach jego wznosi się, od dolnego gzymsu do wyższego, smukły, śmigły pilaster, z głowicą ubraną w liście. Tak całość jako i części zupełnie ukończone i zamknięte w sobie.

Widzimy jakto formy tego pałacu świątecznie wystrojone, jakto one lube choć tak wspaniałe, jakto one zdają się być wolne wszelkiej troski i wszelkiéj palącéj boleści; a przecież oplotły je, jakby flos passionis, wspomnienia pełne smętku a grozy. Bo to tak bywa w ziemskim żywocie, a ludzkich doczesnych sprawach; kędy zajaśnieje w sercu uśmiech i radość, tam znienacka przebiegną po uczuciach mrozy nieszczęścia, niby pająk ohydny po świeżych kwiatach. Z progów świątyni Pańskiéj występuje oblubieńców para, ubrana w barwne wonne bukiety; cała ich przyszłość roztacza się przed oczyma serca światem rajskich nadziei; dom ich, choć jeszcze doczesny, już odziany w niebiańskie uroki; a ochoczo, radośnie otacza ich ślubna drużyna; ziemia, niebo i natura cała, — to ich grajki weselne. Ale oblubieńców parze szczęśliwéj, ale weselnéj drużynie zachodzi drogę u wrót kościelnych smętny orszak śmierci i prawi jak przelotne, jak zdradne szczęście doczesne; — dziatki spłakane, ojciec pochylony pod brzemieniem gromu, idą za trumną matki. Tym sierotom tak pusto i głucho na świecie, serce im w piersiach umarło —, a tak śmiertelno i grobowo teraz w ich domu, że się im zdaje, jako już nie ma czego wracać pod własną strzechę, co niedawno była tak błogą, ukochaną i lubą. Owdzie znowu, w cichéj izbie urodziło się dziecię, co rozkoszą rodzinie, ojcu nadzieją; a na licach bladych matki wykwitł kwiatem Bożym rumieniec szczęścia i nieskończonéj

macierzyńskiéj miłości — a znów o sąsiedzką ścianę kona samotnik; on sam jeden umiera, sam tylko Bóg słyszy ostatnie jego westchnienia. Lecz boleśniejsza jeszcze, okropniejsza ironia, gdy sprzeczność szczęścia i boleści zbiorą się w jedném i tém samém sercu, gdy na róży rozkwitłéj miłością, zamiast kropelki rosy niebiańskiéj, błyszczy łza rozpaczy i żalu; gdy na tych samych skroniach, w wieniec laurowy chwały — wplotą się ciernie bolesnéj korony.

Te sprzeczności a dysharmonie doczesnego świata znajdują dopiéro ukojenie w najgłębszém zapatrywaniu się na życie a przeznaczenie wyższe człowieka.

Przecież ze względu na rzeczy ziemskie, widać, iż w najbliższém sąsiedztwie z tą dysharmonią rodzi się pojęcie wzniosłości, i że z tém pojęciem znowu najściśléj jest w związku tragiczność sama.

Uczucie „wzniosłości“ wtedy chwyta za serce nasze, gdy wśród bied doczesnych a ułomności życia obaczysz potęgę, która tak niby wzrasta po nad rzeczy skończone, która się dźwiga do tak zawrotnéj wysokości, do tak niezmierzonego ogromu, iż się zdaje, że jéj już z niczém porównać nie możesz, bo ją mierzysz a mierzysz, ale zmierzyć nie zdołasz, gdyż miary zabraknie; żadna miara nie wystarcza, bo ona jest skończona, a potęga owa bezmierna zdaje się jakby była nieskończona, jakby była samą nieskończonością. Jednak z tego już poznajemy, iż czyli się wzniosłość w życiu, czyli w sztuce, czyli w naturze pojawi, zawsze ona złoży się z dwóch pierwiastków, bo raz z onéj potęgi urosłéj niby w nieskończoność, powtóre z miary skończonéj, która nie wystarcza owéj potędze, nie mogącéj być zmierzoną. Uważmy również, jak o téj potędze mówimy: *iż się zdaje, jakoby była nieskończoną!* ztąd widać, że jéj nieskończoność uważamy jedynie za pozorną. Inaczéj być nie może, bo sam jeden tylko Bóg jest nieskończonym, więc wiekuistym. Wszystko zaś, co powstaje, co się rodzi, co stworzone jest, ma granice swoje, zatém może przybrać tylko nieskończoności pozory.

Stajesz przed wspaniałym ogromem katedry gotyckiéj, a widok jéj form uskrzydla uczucia twoje; ona się wznosi nad ziemskie poziomy, nad nizkie strzechy mieszkań ludzkich, i po nad nędzotki doczesne; ona cię wznosi ku wysokościom, kędy powiewa oddech nadziemskiéj dziedziny. Ta katedra, dzieło wielu pokoleń, „wzniosłością“ cię oczynia; radbyś mierzyć własnemi jéj szczegółami to niebolotne jéj budowanie, i te wieże strzelające w obłoki. Lecz owe wszystkie iglice i kwiatony, i wieżyczki, i strzałki, słowem owe wszystkie szczegóły architektoniczne nie zdołają być tu miarą; one malują w porównaniu z całością, która rośnie jakby w nieskończoność; te szczegóły wszystkie nikną, giną obok niéj. Rozpuść oczy po szerokiéj morza przestrzeni, co nie ma granic, co nie ma końca, ona się niby szerzy w nieskończoność; szczegółowe bałwany to się wzdymają, to przepadają w głębi, to spinając się, stają dęba, potrząsając kędziorne piany, to rzucają się w przepaści; lecz samo tło wodnych topieli zawsze trwa, jest zawsze jedno i to samo, i nie przemija wśród téj bijącéj bałwanów gry. Powstaje fala za falą, za tą znowu drugie, a daléj znów inne a inne; lecz te fale nie zdołają być miarą całego morskiego ogromu, one mierzą a mierzą morskie rozłogi, a nie zdołają ich zmierzyć. Choć zgroza i lęk cię chwyta gdy patrzysz na to dzikie żywiołów rozhukanie, przecież ten widok jest „wzniosły“ i potęguje własnego ducha twojego, bo ci nieskończoność przypomina.



Lecz i katedra, i jéj wieża — owa obłoków sąsiada — choć jest arcydziełem budowniczéj sztuki, i owa bezmierność mórz i bałwanów gry, choć znowu są natury arcydziełem, przecież istotnie nie są nieskończone; one mają swoje granice, ich nieskończoność jest pozorną; lecz właśnie dla tego one przypominają nieskończoność i dla tego są „wzniosłe“.

Podobnie atoli dzieje się w dziedzinie ducha ludzkiego. Im zamożniejszéj treści wewnętrznéj jest człowiek, im wyższéj potęgi wola w nim robi, tém on téż silniejszém pragnieniem party będzie, by tę treść swoją, mocą swojéj woli, czynem w świecie objawił, by ją wprowadził w rzeczywistość żywą, obecną. Lecz zważ! Dla człowieka cały świat rzeczywisty, cały jego ogół jest jedynie zbiorem ułamków, zbiorem szczegółów. On nie zdoła całego świata ani geniuszem, ani wolą, ani czynem swoim ogarnąć; człowiek słyszy jedynie szczegółowe, pojedyńcze, a to nawet przygłuszone tony wszechrzeczy; samemu tylko Bogu grają w pełni harmonie wszechświatów przez niego stworzonych. Człowiek tedy winien pod każdym względem ograniczyć się i miarkować wolę swoją i działanie swoje, bo on, jestestwem stworzoném będąc, sam jest objęty w szrankach a granicach.

Stać się atoli może, że człowiek zapomni o tych szrankach swoich. Wtedy on, oddając się w całości jednéj myśli, w niéj skupia całe brzemię swojéj istoty, na tę jedną ideę, na tę jedną myśl on ciśnie całą potęgę olbrzymią swojéj woli; on wszystkie zasoby geniuszu swojego téj jednéj myśli w służby oddaje; on, wszystkim głosom własnego serca nakazując milczenie, wszystkie chęci, skłonności, pragnienia, tęsknoty, wszystkie inne idee duszy swojéj poświęca, składając je wszystkie na ołtarz ofiarny téj jednéj przez siebie wybranéj idei. Ztąd téż człowiek takowy dźwignie się ponad siebie samego, dźwignie się wysoko ponad zwykłą ludzką naturę, wzniesie się jakby w nieskończoność. Bo mierzysz to wzniesienie jego miarą zwyczajnych ludzi, a ta miara maleje, znika; mierzysz to wzniesienie ilością poświęceń bez granic, które on składa w ofierze téj jednéj swojéj idei; lecz te poświęcenia wszystkie dla niego samego nie mają znaczenia, one nikną, nie są nawet już miarą żadną. Otóż człowiek takowy jest wzniosłości obrazem.

Widzimy tedy, że wzniosłość jest jednym z różnych rodzajów piękności, a różniącym się od owéj spokojnéj, czystéj, pełnéj prostoty

piękności właśnie w tém, że piękność czysta, prosta nie występuje bynajmniéj po za własną istotę swoją; ona, będąc w zgodzie i harmonii ze sobą samą, nie łamie się z sobą. Ona podobna do człowieka, co, uznając granice własnéj istoty swojéj, sam jest w zgodzie z sobą, bo miarkując wszystkie idee, będące treścią ducha jego, żyje wedle Bożych ustaw, odprawia wiernie a w ciszy tę robociznę przekazaną sobie na téj roli Pańskiéj. On, znając granice swoje, już tém samém, i właśnie dla tego, przeczuwa duchem dziedziny bez granic żyjące, płonące po za temi granicami jego własnéj ziemskiéj istoty; odblask tych światów zaświeci w myśli jego, odgłos ich żywota odezwie się echem w sercu jego. Piękność wzniosłości jest przeciwnie występowaniem po za granice własnéj istoty swojéj, jest jakimś dualizmem w sobie samym.

Z tego téż powodu piękność wzniosła łączy się, jakeśmy rzekli, najściślejszym związkiem z tragicznością samą.

Jakoż człowiek jest z istoty swojéj ujęty w przeznaczone jemu szranki a granice. Jeżeli tedy w myśli swojéj przełamuje te szranki potęgą swojéj woli, jeżeli chce urość w nieskończoność, już ta żądza jego stawia go w sprzeczności z własną jego istotą. Ta sprzeczność w oczach logiki jest nielogicznością, bo ten człowiek jest rzeczywiście czém inném, a czém inném jest w myśli a woli swojéj. Ta sprzeczność w obec obyczaju jest samolubstwem, zarozumiałością i pychą serca —, a w obec religii jest bezbożnością, bo kto się mieni być nieskończonéj mocy sam sobie oddaje najwyższe hołdy, bo sam tylko Bóg jest nieskończonym a wiekuistym w prawdziwém i ścisłém znaczeniu.

Ta sprzeczność jest przeto nie zdolna by się ostać mogła, ona sama sobie jest wrogiem, ona sama siebie zgubić winna. Ona ginie, niwecząc człowieka, który ją przedstawia. On skonem swym za winę płaci. I taka właśnie jest istota tragiczności (*).

Gdy atoli charakter tragiczny sam w sobie ma zaród swojéj zguby, zatém już i powody zewnętrzne, mające go zgruchotać, same się przez się znajdują, a będą one wprost wpływem jego wewnętrznego usposobienia.

---

(*) Lubo już w innych miejscach mówiłem o tragiczności (np. ob. Listy z Krak. T. I, str. 174 i nast. T. II, str. 301 i nast.), zdawało mi się jednak, że nie od rzeczy będzie, jeśli, przy podającéj się porze, wskażemy związek tragiczności z pięknością wzniosłą.

Gdy zaś wywodzimy tragiczność z winy człowieka, który w zuchwalstwie swojém mniema, jakoby zdołał być nieskończonym, gdy to zarozumienie jego a pychę uważamy być grzechem i sprzecznością, gotującą koniecznie mu zgubę, więc czytelnik pojmie w jakiém znaczeniu mówimy niekiedy o nieskończoności, o wiekuistości przebywającéj w człowieku. Te wyrażenia nasze znaczą, że w człowieku mieszka dusza, któréj przeznaczenie i zadanie *nie kończy się* ze śmiercią jego ziemską, że przeznaczeniem jéj jest wieczność, bo nieśmiertelność. Może to tłómaczenie takich naszych wyrażeń jest zbyteczne, bo samo się przez się rozumie; położyłem je atoli tutaj, aby uniknąć wszelkich wątpliwości.



Jakoż gdy on jedną wyłącznie ideę aż do ostateczności chce wprowadzić w świat, tém samém potrąca o inne idee, które również tak samo mają prawo do istnienia w świecie, a które także mają wagę i znaczenie w przekonaniu innych ludzi. A tak postać tragiczna wywołuje na siebie wrogie potęgi; więc zewsząd budzą się zawistne moce, dźwigają się olbrzymem, i zderzają się z nim walką na zabój, stając się wykonawcami sprawiedliwości odwiecznéj. Postać tragiczna nie cofa się przed tą walką, nie nawraca, bo jéj cechą jest właśnie moc woli nieprzełamana, więc ona raczéj ginie i przepada. Zrozumiemy, iż tragiczność jeszcze się wzmaga, gdy te potęgi, które na siebie biorą sprawiedliwości wymiar, same odziewają się w postaci tragiczne, również obłożone winą. Gdy tedy każda z tych postaci, podobnież opanowaną będąc jedną wyłącznie ideą, takową doprowadza do ostateczności, a mocą swojéj nieprzemożonéj woli wzmaga ją jakby w nieskończoność; z tego wynika, że te wszystkie figury tragiczne nie mogą się ostać obok siebie, bo każda inną przedstawia ideę, a każda tę własną ideę za jedyną, za samą prawdę uważa, wszystkie inne za nic sobie mając. Tak tedy wszystkie a różne idee w postaciach różnych figur na siebie uderzają, gotując sobie nawzajem zagładę i śmierć.

Jakież atoli są te idee, które, owładnąwszy duszą człowieka, stają się jego pathos, to jest potęgą, która, silniejsza od niego, przego niewstrzymanie do czynu a działania? — Uważmy, iż bez względu na treść tych idei, każda z nich winna ściśle łączyć się z wolą nieprzełamaną, bo wola wiotka, słaba zatrzyma się na pół drogi i nie przejdzie w ostateczność. Otóż ta potęga woli sama przez się, bez względu na cele jéj a treść, może się stać wzniosłą, tragiczną, i poruszyć widza do żywego, jeżeli się ona wzniesie do wysokości zawrotnéj, niedosiężnéj dla zwyczajnych ludzi. Z tego widzimy, że wola, choćby miała treść nie prawdziwą, nawet złą, jeszcze może zadziwić wzniosłością swoją, jeszcze może być tragiczną (Makbeth, Ryszard III, Gliński). Przecież w takich razach sama figura tragiczna odziewa nawet dla siebie saméj własne żądze a działanie swoje jakimś blichtrem słuszności, jakimś sprawiedliwości pozorem, kłamiąc sama sobie. Bo, mimo wiedzy, przeczucie instynktem prawi w sercu każdego człowieka, iż to, co niesprawiedliwe, niesłuszne, utrzymać się nie zdoła w świecie, gdyż nie ma podstawy dla siebie, gdyż jest właśnie rozwodem od prawd ogólnych, odwiecznych (*).

---

(*) Np. Ryszard III w Szekspirze jest charakterem z gruntu demonicznym; lecz on, na samym wstępie tragedyi, sam przed sobą tłómaczy się ze swoich zbrodniczych zamiarów, mówiąc, że natura go upośledziła jakby macocha zawistna, że na jego postać ohydną (garbatą, kulawą i t. d.) „psy szczekają“, że tedy postanowił mścić się za te krzywdy swoje na ludziach, co używają radości światowych. Ryszard jest zresztą wielkich zdolności, jest odważny i mężny. Te zalety wznoszą go w oczach jego nad innych członków królewskiéj rodziny, bliżéj tronu będących.

Przecież ta wola sama przez się może się stać również ideą, bo ideą wykonywania téj woli swojéj bez granic w świecie; — może się stać tedy *żądzą władzy*. Ta żądza jest właśnie téż dla tego potęgą najczęściéj występującą w dziejach historyi, jak i w dziejach sztuki. Przypisywanie sobie samowolności bez granic w działaniu, prowadzi samo przez się do chęci bezuzdnych, a więc właśnie do szału zuchwalstwa i zwichnienia myśli, a tak ginie, roztrącając się o potęgi rzeczywistego świata (*). — Miłość, pragnienie wiedzy, społeczności ład, honor, przywiązanie rodzinne, i tyle innych idei, żyjących pełną siłą w sercu człowieka, bywają również często ową patetyczną mocą, wstępującą w ludzi i porywającą ich do działania bez miary. Wszak wszystkie te figury tragiczne mają prawdę za sobą, ale jedynie prawdę szczegółową, bo jedną z pośród wielu prawd. Ztąd każda grzeszy wtedy, gdy występuje po za granice swoje, gdy za nic sobie ważąc inne prawdy, sama siebie jedyną a całą, bezwzględną prawdą być mniema. Nie dziw tedy, że nawet niekiedy sprawy dzielne, podjęte wolą zacną, szlachetną, do tragicznego rozwiązania prowadzą.

Ztąd téż świat widzów przejęty jest do dna losem tragicznego charakteru. Bo idea, która owładnęła wskróś takową figurą, przebywa także w widzu samym, zatém budzi w sercu jego głębokie współczucie.

Z jednéj strony, patrząc na otchłań, do któréj tragiczną postać prze niepohamowanie owa idea, czujemy, że te jéj koleje smętne rożnią się wręcz od świata naszego powszedniego, w którym żyjemy, że te losy tragiczne są czémś dla nas obcém, cudzém; w samolubstwie serca sami sobie powtarzamy, jako te postacie tragiczne płacą za własną winę swoją, gdyż nie umiały miarkować się w uczuciach swoich; pieścimy się myślą, żeśmy się rozsądkiem, rozwagą odgrodzili od podobnych ciemnych losów jakby twierdzą nieprzebytą, za którą bezpiecznie żyjemy, niby w domu spokojnym. Lecz z drugiéj strony coś nam w piersiach gada i szepcze, że w nas żyją pełném życiem te same idee, też same uczucia; że te uczucia a idee mają swoje uprawnienie w świecie, i we własném wnętrzu naszém. Więc znowu zgroza nas przejmuje na myśl, że te moce, te idee przyczaiły się tylko milczkiem w naszych piersiach, trzymane na uwięzi niepewnéj, że one przy danéj sposobności mogą się zerwać, zrzucić pęta swoje i jako pathos owładnąć podobnie i naszą całą istotą! Strachy nas mrożą na samą myśl, że ta twierdza opiekuńcza, która nas niby odgradza od tragicznego świata, runąć może, i że owe potęgi tragiczne, przełamawszy wszelkie tamy, rzucą się w naszą obecność,

---

On pragnie panowania — a wiedząc, że go nikt kochać nie będzie, chce, aby się go bano, aby widok jego przejmował trwogą i strachem.

(*) Makbeth, Foscari, Aleksander Macedoński, Cezar i t. d.



i porwą i uniosą nas samych straszliwą namiętności powodzią. Ztąd się tedy rodzi głębokie zajęcie, którém do nas przemawia tragedya.

Takowe to pomysły przeszły przez duszę moją od owéj chwilki, gdym powyżéj pierwszy raz skreślił imię „Foscari“. A lubo, potrącony będąc widokiem pałacu téj rodziny, skréślałem z wierzchu i pobieżnie charakter owéj maurytańsko-gotyckiéj architektury, przecież postacie Foscarich, boleści pełne, smętne i żałobne, przemykały się jak przeze mgłę poprzed oczy moje; a tak się stało, choć to może było mniéj na porze, że jakby mimowolnie rozwiodłem się nad tragicznością ludzkich kolei. Tą również okolicznością powodowany, wspomnę pokrótce o tych dziejach doży Franciszka Foscari, przypadłych w środku XV stulecia, a wspomnę o nich tém chętniéj, że zdarzenia te, przechowane przez historyą, ową starą ksienię przeszłości upłynionéj, za naszych czasów zmartwychwstały na zawołanie poezyi i sztuki pięknéj, owéj wskrzesicielki umarłych. Wszakto tak bywa zawsze, że postacie, co dawno przebolały męki swoje, i co oddawna pogrzebione w kostnicy stuleciów, roztwierają trumny swoje, gdy usłyszą wołanie piękności geniusza; wtedy one występują z za grobów odziane ciałem — ciałem, co promieni nadziemskim sztuki wdziękiem; więc napowrót stają wśród ludzi żywych, i żyją same po śmierci życiem nadzmysłowych ideałów.

Gdy atoli wielkiéj części czytelników moich znane są zapewne te dzieje rodziny Foscari, zatém ograniczę się na ulotnym ich przebiegu.

Było to na wiosnę roku 1423, gdy doża Tomasz Mocenigo; ośmdziesięcio-letni starzec, zaprosiwszy do pałacu najpoufalszych sobie senatorów, oświadczył uroczyście, że, czując się być blizkim zgonu, rad z nimi pomówić o sprawach rzeczypospolitéj i wyborze następcy na krzesło książęce. Wymienił im mężów najświetniejszych zasług, polecając, aby jednego z nich wynieśli na najwyższe dostojeństwo ojczyzny; lecz błagał i zaklinał aby nie myśleli o Franciszku Foscari, bo ten lekko-duchy „młody prokurator“, pała zapamiętałą chęcią wojny — a wojna zuboży państwo i podda rządców Wenecyi pod przewagę żołnierstwa, opłacanego własném ich złotem (*).

W kilka dni po téj przemowie, dzwon z wieży Ś-go Marka (Campanile) tonem głębokim, uroczystym głosił Wenecyi, że jéj doża skonał. W sali wyborów (Sala dello Scrutinio) gromadzi się czterdzie-

---

(*) *Daru* w dziele swojém „Histoire de la Republique de Vénise“, na którém się głównie opieram w opowiadaniu tych zdarzeń, czyni trafną uwagę: że gdy Mocenigo nazywa blizko 50-cio letniego Franciszka Foscari „młodym prokuratorem“, już tém samém wyrażeniem swojém dowodzi, jak wysokiéj powagi w Wenecyi był wiek podeszły, okryty bielą starości. Ta historya rodziny Foscari dość już często jest powtarzana, będzie tedy, jak powyżéj rzekłem, znaną zapewne znacznéj części moich czytelników. Jest ona atoli tak charakterystyczną, iż sądzę, że mi jéj nie przystoi opuszczać, rozprawiając nieco obszerniéj o tém nadzwyczajném państwie weneckiém, i o duchu, który w niém zamieszkał.

stu jeden wyborców, by radzić i głosować, kto ma zasiąść na złocistém krześle książęcém.

Występuje w szranki szereg kandydatów, z których każdy szczycił się zacnie świetnemi zasługami, wielkim talentem i prawością nieskażoną. Więc stanęli w zawody: Contarini, Leonard Mocenigo, Cavallo, Bembo; a lubo oni wszyscy jaśnieli wysokiemi zaletami, przeszedł ich jednak wszystkich Piotr Loredan. On — Turków pogromca, on — uwieńczył się dopiéro świeżym laurem zwycięzkim a okrył wojenną chwałą republikę. Kończył poczet kandydatów Franciszek Foscari; jego zasługi nie urosły do miary współubiegających mężów; zdawało się przeto niepodobieństwem, aby on mógł zdobyć sobie złotą mitrę księcia Wenecyi; a nadto przestrzegający duch dopiéro co zmarłego doży stanął jakby wróg jego między nim a zuchwałą nadzieją dostąpienia najwyższéj w państwie godności. Przecież Franciszek Foscari był trawiony palącém pragnieniem władzy, chęcią znaczenia i przyszłéj sławy; on ufał sobie, a ta ufność była jego potęgą i rękojmią wygranéj. A jak wrodzona bystrość wskazywała mu środki do celu, tak butna odwaga jego nie lękała się i najśmielszych środków, byle stanąć u wytkniętéj mety.

Sześć dni trwały tajemne narady wyborców. Już dziewięć razy głosowano, i co było rzeczą niesłychaną w dziejach Wenecyi, dziewięć razy kreskowano bez skutku. Sala brzmiała mowami, co roztaczały zalety każdego z kandydatów na księztwo. Najświetniéj z pomiędzy wszystkich zajaśniało imię admirała Piotra Loredana. Nikt nie ośmieli się zaprzeczyć ogromnych zasług jego. Byli atoli tacy, co, oddając hołdy wielkiemu imieniu, zwrócili uwagę rady, jak właśnie wybór jego na dożę, pozbawiając państwo tak wielkiego wodza, byłby klęską publiczną, — i to było całym zarzutem przeciw wyborowi jego. Tak ważyły się losy i czarne i białe, taką była skryta walka stronnictw i pasowanie się zacięte, uporne.

Głosowano po raz dziesiąty.

Dzwon z wieżycy Ś-go Marka zabrzmiał, ogłaszając Wenecyi, że na stolicy książęcéj zasiadł — Francesco Foscari.

Od domu do domu, od pałacu do pałacu, po ulicach i rynkach prawiono, szeptano sobie, że wybór doży jest dziełem intryg, że Foscari, będąc prokuratorem republiki, groszem publicznym zjednał sobie przyjaciół i zwolenników, będących już ślepém narzędziem jego żądzy, znaczenia i władztwa.

Gdy Foscari, na szczycie potęgi i świetności, wraz z rodziną wprowadza się do pałacu dożów, — w pałacu Loredanów zrodził się demon wrogiéj niechęci i zawiści.

Ziściły się wróżby konającego doży Mocenigo. Przez trzydzieści lat, pod rządami Franciszka Foscari, srożyła się wojna. Bitwy krwawe na lądach i morzach czasem tylko umilkły, aby kilkomiesięcznem zawieszeniem broni szał wojny się rozbudził spotęgowaną srogością.



Foscari własnego ducha wojennego i sławy tchnął w radzców państwa. Wenecya, rozpalona chęcią chwały i podbojów, dzielnie stanęła przy doży swoim — i nie były daremne jéj wysilenia, nie daremne talenta i moc duszy Foscarego. Oręż zwycięzki wzniósł wysoko potęgę Wenecyi; księztwo Rawenny, tak bogate i przemożne, stało się jéj dzielnicą, a Brescia, Bergamo, Crema zhołdowane ukorzyły się przed Lwem Św. Marka. Wszak cała Lombardya miała już pójść w poddaństwo dumnéj rzeczypospolitéj. Francesco Foscari uczynił ojczyznę swoją przeważniejszą, niż którykolwiek z dożów poprzedników jego. Imię Foscari ściśle się splotły z jasną chwałą Wenecyi. Lecz ów mąż, co niegdyś w sile wieku wstąpił na stolicę książęcą, w ciągłém łamaniu się i poświęceniu za dobro i zdrowie rzeczypospolitéj, wcześnie się okrył starości siwizną.

Im atoli świetniejszą sławą biło panowanie Franciszka Foscari, im bujniéj rozwijały się wawrzyny jego, tém liczniéj mnożyły się zastępy jego skrytych nieprzyjaciół, tém gorącéj paliła nienawiść serce rodziny Loredanów. Kiedy się zdarzała pora, przy sposobności każdéj, to tajemnie, to jawnie Loredanowie występowali przeciw Foscaremu; — kędy zwrócił myśl a wolę swoją, tam ich znalazł jako nieużytych, nieprzebłaganych wrogów.

Foscari, oddawna pragnąc uśmierzyć tę nieprzyjaźń srogą, rozdzielającą oba domy, wyprawił w téj myśli poufnych sobie do admirała Piotra Loredano, ofiarując mu córkę swoją dla jednego z jego synów. Ofiarowanie takowe było zuchwale odrzucone. Więc teraz straszniéj jeszcze, niż kiedykolwiek dawniéj, rozpłomieniła się nienawiść, jątrząca serca Loredanów i Foscarów.

Zdarzyło się, że w chwili nieopatrznéj z ust doży wypadły niebaczne słowa: jako się nie uzna być istnym księciem, póki żyć będzie Piotr Loredano. Nieszczęściem, nie długo po tém wyrzeczeniu, po krótkiéj i niespodziewanéj słabości, umarł admirał. Nie było tedy już miary oszczerstwu. Śmierć Piotra przypisywano na głos Foscaremu; a utwierdziły się złe mowy, gdy po krótkim czasie zeszedł i Marek Loredano, brat Piotra. Lubo nie było choćby najdrobniejszego poszlaku dokonanéj zbrodni, wyryto jednak na grobowcu admirała, jako zginął niecnie otruty.

Wtedy Jakób Loredano, syn admirała, prowadzący, podobnież jak wielka część patrycyuszów weneckich, obszerny handel, wziął swoją księgę kupiecką, w któréj się zapisywały wierzytelności i długi osób, z któremi miewał czynności handlowe, a rozłożywszy tę księgę, w miejscu, kędy jeszcze były karty białe, napisał u góry imię: Francesco Foscari, a na lewéj stronicy zanotował: „Winien za śmierć mojego ojca i za śmierć mojego stryja!...“

Lecz wśród gromów wojen i bitew, wśród cięższéj walki z zawiścią domową, doża, będąc już starcem prawie siedmdziesięcioletnim, doczekał się jeszcze uroczystości, co rozpromieniła, choć na jedną chwilkę, weselem i dumą ojcowską zasępione czoło. Było to w roku

1441, gdy syn jego, Jakób Foscari, zaślubił sobie córę jednéj z najświetniejszych rodzin państwa. Cała Wenecya gotowała się oddawna, aby, dla uczczenia swojego doży, odprawiła te gody weselne z niesłychanym dotychczas przepychem. Wszystek lud cieszył się myślą zabaw i biesiad hojnych, które go czekały, a patrycyusze Wenecyi, mimo dumy tak hardéj i zuchwałéj, pragnęli dodać blasku tym uroczystościom ślubnym. Więc wystroili turnieje na placu Św. Marka, których wystawność przyćmiła wszelkie podobne igry rycerskie, wyprawiane w krajach ościennych. Kwiat niewiast, lśniących urodą i wdziękiem, pojawił się w lamach bezcennych, w złotogłowach bogatych; młodzież goniła i kruszyła kopie przybrana w zbroje a rynsztunki, uczynione na wzór ich ojców krzyżowców, co niegdyś walczyli o grób Zbawiciela. A zewsząd cisnęli się goście najwyższego znaczenia; więc przybył i Franciszek Sforza, książę Medyolanu, i margrabia d'Este z Ferrary, i tłum możnych zagranicznych panów i panków. Tam kędy dziś Fabrica Nuova, tam stało wzniesienie bogato zdobne, na niém siwizną okryty doża Francesco Foscari, małżonka jego i cudnych wdzięków synowa, i w koło damy lśniące bogactwem i historycznem imieniem. Młody Jakób Foscari, na wezwanie margrabiego Ferrary, gonił z nim na ostre, i powalił przeciwnika; więc dank dzielności a klejnot wziął z ręki swojéj młodéj i pięknéj małżonki.

Trwały ochotne igry, uczty i biesiady weselne, na placu Św. Marka, przez dziesięć dni i dziesięć nocy; bo aby już nie było przestanku w zabawach, więc, jak prawią kronikarze, od każdego wieczora do ranka, tysiące a tysiące pochodni woskowych, żarzyło się na placu Św. Marka i przyświecało radości trzydziestu tysięcy gości.

Atoli jad demonicznéj zawiści tak zatruwał serce doży, że już w rok po tych blaskach a świetnościach weselnych uroczyście oświadczył się z myślą zestąpienia z godności książęcéj. Wszak on był już i dawniéj pragnął złożyć mitrę tak cisnącą i cierpień pełną; jak atoli dawniéj, tak i teraz, za powtórnym razem, zrzeczenie się jego nie było przyjęte.

Im zachodził w późniejsze lata Foscari, tém sroższe katusze szarpały uczucie starca znękanego wiekiem. Dotknęli go wrogowie w najświętsze, w najtkliwsze miejsca duszy. Zaledwie cztery lata upłynęły od onych tak błyskotnych, tak świetnych weselnych godów Jakóba Foscari, na których doża, ojciec jego, tak sutą i hojną gościnnością uraczył cały lud i podejmował patrycyuszów Wenecyi; gdy jakiś Florentczyk, bawiący w Wenecyi na wygnaniu, oskarżył tegoż Jakóba Foscari, jakoby miał przyjąć datek od Filipa Wisconti księcia medyolańskiego, co było przekroczeniem równie niezaszczytném, jak wbrew przeciwném wyraźnéj ustawie państwa. Obwiniony stawiony był przed straszliwy sąd „dziesięciu“, któremu przewodniczył własny ojciec. Po indagacyach dany był na srogie męki;



po katuszach okropnych uznano go za winnego. Na pełném zgromadzeniu, w sali Wielkiéj Rady, doża zasiadł na tronie pod baldachinem złotogłowym. Sekretarz na klęczkach podaje mu wyrok, i nieszczęśliwy młodzieniec z ust własnego ojca słyszy: „że jest wypędzony z kraju, skazany na wygnanie do Romanii na życie całe.“ (Stało się to 29 Lutego 1444 roku, więc w sam rok potrzeby warneńskiéj).

Jakób Foscari był ostatnim synem doży; trzech starszych synów jego poległo w wojnach, dając życie za Wenecyą.

Okręt, niosący nieszczęśliwego wygnańca, rozbił się; pozwolono mu tedy mieszkać w Treviso, zagrażając atoli karą gardłową, jeśliby się ośmielił opuścić to miejsce wygnania swojego; rozkazano mu również, aby codzień osobiście stawiał się przed gubernatorem.

Pięć lat Jakób Foscari przemieszkał w tém zaciszu odsadzoném od świata, gdy stolicę przeleciała wieść, że naczelnik rady „dziesięciu“ znaleziony był zamordowany na jednéj z ulic weneckich. Podejrzenie téj zbrodni padło na wywołańca. — Sprowadzony do Wenecyi, stawiony przed sąd, oddany na straszliwe tortury, srogo męczony, mimo cierpień i boleści okrutnych, sercem męzkiém i niezłomném stał przy niewinności swojéj. Trybunał „dziesięciu“ upatrując w téj stałości upór zacięty, twardy i sztuczki czarnoksięzkie, skazuje go wyrokiem na straszniejsze wygnanie, bo do odludnéj, pustéj Canei.

Niezadługo człek znany powszechnie jako rozbójnik i bandyta, złożony niemocą na łożu śmiertelném, przed skonem oświadcza, że był onego morderstwa sprawcą. Jakób Foscari, powziąwszy wiadomość, że się już wyświeciła niewinność jego, udaje się z prośbą do rady „dziesięciu“, błagając o złagodzenie losu jego. Prośby wszelkie i przedstawienia przepadły bez skutku. I bez skutku zostały listy, które pisał do ojca, do rodziny, zaklinając aby się ujęli za nim i wyrobili ulżenie kary. Postrach, którym ciążyła na wszystkich inkwizycya państwa, zamknął usta przyjaciołom i krewnym.

Wtedy nieszczęsny wywołaniec, party niepohamowaną rozpaczą, i bez granic tęsknotą do żony, dzieci i rodziców, pisze w zapamiętaniu list do nowego księcia Medyolanu Sforzy, błagając by się za nim wstawił do senatu weneckiego.

Nie wiedzieć dokładnie, jak się rzecz miała z tym nieszczęsnym listem; jedni mówią, że jakiś kupiec, któremu Jakób Foscari powierzył to pismo, sam miał list ten wręczyć radzie „dziesięciu“, bo go zdjęły trwogi na myśl niebezpieczeństwa, grożącego mu za podjęcie się pośrednictwa tego; — inni twierdzą, że szpiegi niecne téj stookiéj rady przejęły pisanie, a inni znowu mniemają, że wygnaniec, miotany rozpaczą i trawiony tęsknotą i żądzą obaczenia drogich mu osób, postanowił choćby życiem opłacić jedno ich uściśnienie; rozumieją tedy, iż napisawszy ów list, o którym z góry wiedział, że mu będzie poczytany za zbrodnią, złożył go z umysłu w takiém miejscu,

że już wątpić nie mógł, iż go dostrzegą szpiegowie; a tak czekał póki go siepacze nie poprowadzą do Wenecyi.

Tak się też stało. Znowu ciemiężcy rozsrożyli się w okrutne męki, zadane nieszczęśliwemu; ale katusze najokropniejsze zdołały jedynie wymódz z niego wyznanie: że ten list pisał w zamiarze, aby, poprowadzony do stolicy, mógł się wypłakać w objęciu rodziców, małżonki i dzieci — i znowu — znowu ponawiały się męki wymyślne i tortury piekielnych boleści i cierpień — lecz zawsze i zawsze Jakób Foscari powtarzał wyznanie swoje. Nieszczęśliwy umierał w ręku srogich oprawców.

Wyrok zapadł, aby wrócił na to samo wygnanie, z tém atoli zaostrzeniem kary, że miał wprzód odbyć rok jeden w więzieniu. Wrogowie nie mogli wprawdzie mu wzbronić obaczenia się z rodziną tak dla niego drogą, jednak pozwolenie swoje zaprawili nowém okrucieństwem. Nie na ustroniu dalekiém od obcych oczu, nie w komnatach domowych, ani nawet w samotném więzieniu miał Jakób Foscari przycisnąć do serca najdroższe mu na świecie osoby; ale, konający prawie z doznanych mąk, był prowadzony do ogromnéj sali przepełnionéj widzem. Tam stał ośmdziesięcio-letni ojciec, matka o złamaném sercu, młoda małżonka drżąca, na pół omdlała, i dzieci jego. Z ran nieszczęśliwego ciekła krew, a członki powykręcane, zwichnione świadczyły o okropnościach, których się stał ofiarą. Wśród jęku i płaczu swoich, Foscari rzuca się im do stóp, wyciąga z wysileniem ramiona poszarpane, omdlałe i błaga i zaklina rzewnie ojca, by wyprosił złagodzenie strasznego losu. Lecz doża z drgającemi usty i rozdartém sercem rzecze: „Jakóbie, bądź posłuszny wyrokom téj ziemi i nie miéj już pragnień żadnych“. Na te słowa nieszczęśliwy opuścił głowę na piersi i zamilkł.

Tak duszno i wstrętno na sercu, czytając o tém postępowaniu doży, że nam je trudno sprawiedliwie ocenić. Wierzymy atoli, że w tych wyrazach ojca słychać konanie ostatniéj dzielności ducha, że w nich odzywa się zawrotny obłąd myśli znękanéj cierpieniem, ogłuchłéj w sobie, więc niemogącéj się opamiętać ani z życiem, ani ze światem, ani z sobą. To jedynie przypuszczenie tłómaczy w zacniejszy sposób owo zachowanie się ojca względem syna. Nie przypuszczając tego wyjaśnienia, słowa doży byłyby raczéj heroizmem nikczemności i trwogi, niż mocą niezłamaną ducha i cnotą obywatelską. Bo kłamstwem jest, aby człowiek miał prawo uważania jednéj tylko ze wszystkich powinności swoich za świętą, z poniewieraniem wszelkich innych. Na ziemi, w życiu doczesném wszystko jest względne: same tylko Boże prawdy są prawdą jedyną, bezwzględną, nieznającą granic.

Jakób Foscari nie przeczekał swojego roku więzienia — umarł w kaźni.

Doża, złamany wiekiem i okrutném cierpieniem, osierociały po czterech synach, już po stracie ostatniego cofnął się do samotnych komnat swoich: tam cały oddał się boleściom, które mu wyżerały serce. Już był niewidzianym od ludzi, nie pokazywał się na radach państwa, zaniechał spraw publicznych.



Wtedy Jakób Loredan podszczuwa senatora Barberigo, by wystąpił z oskarzeniem doży. Gdy jadowite intrygi już dojrzały, sam Loredan w długiéj, pełnéj goryczy mowie wykazuje niby upadek państwa a zamęt i nieład, wkradający się w sprawy publiczne, z przyczyny zgrzybiałości naczelnika rzeczypospolitéj i kończy temi słowy: „Książę nasz jest naszém dziełem, i jak sądzimy o przymiotach jego wynosząc go na panowanie, tak mamy również prawo sądzić o nieudolności jego. Wierzajcie, że sam lud przyjmie z radością złożenie doży z dostojeństwa. Bo choć lud nie ma prawa sądzić o czynach naszych, o czynach panów swoich, — ale jednak te życzenia jego uważam być od Opatrzności udzielonym mu instynktem.“

Jedynie słabe i mdłe przedstawienia odpowiadały na mowę Loredana. Nikt nie ośmielił się stawić czoła wnioskom tego groźnego naczelnika „rady dziesięciu“, nikt z tajnych przyjaciół doży nie poważył się podnieść głosu w jego sprawie choć było na czém się oprzéć; bo poprzednio, w obu razach, gdy Foscari chciał złożyć dobrowolnie władzę, takowe zrzeczenie nie było przyjętém przez radę, która wtedy trzymała się zasady, że dostojność doży jest dożywotnia, że nie ma żadnéj ustawy stanowiącéj o odwołalności doży, chyba w razie zdrady głównéj.

Po długich naradach wyprawiono do Franciszka Foscari poselstwo, którego był rejem Loredan. Loredan sam przeczytał starcowi wyrok, na mocy którego doża uwolniony od przysięgi i dostojeństwa dla nieudolności późnego wieku — i oświadczył mu, jako rada państwa przeznacza mu z łaski tysiąc pięćset dukatów rocznéj pensyi, polecając aby w przeciągu trzech dni opuścił pałac dożów.

Na to rzekł Foscari, patrząc pogardliwie na wroga swojego: „Byłbym niewdzięcznym synem Wenecyi, gdybym ze szkodą państwa chciał dłużéj zatrzymać władzę najwyższą; oddawszy atoli tak długie życie moje sprawie publicznéj, pragnąłem też poświęcić jéj ostatnie chwile moje.“

Te wyrzekłszy słowa, Franciszek Foscari zwłókł z siebie oznaki książęce — złożył mitrę — zdjął pierścień, który go był niegdyś zaślubił z falą Adryatyku. — Ten pierścień w jego obecności zgruchotano.

Foscari postanowił już następnego dnia opuścić z rodziną i ze służbą swoją pałac dożów. Rada przewidując nieukontentowanie ludu, kazała ogłosić uchwałę, zakazującą pod karą śmierci wszelkiéj oznaki współczucia. Uchwała ta odczytaną była ludowi zgromadzonemu na Piazzetta, z onéj cudownéj koronkowéj kolumnady pierwszego piętra, co tak wdzięcznie i radośnie patrzy się na świat. Jeszcze dziś poznajemy kolumny, między któremi stał czytający uchwałę; bo

one różnią się swoją barwą czerwoną od wszystkich innych. To miejsce zawsze już było przeznaczone na ogłaszanie uchwał i rozkazów władz najwyższych.

Gdy nadeszła chwila, w któréj doża miał pożegnać przybytki, kędy przeżył długie trzydzieści pięć lat chwały i cierpień, jeden ze sekretarzy radził mu, żeby zeszedł ukrytemi schodami dla uniknienia tłumów zgromadzonego ludu. Foscari atoli odrzekł, iż zestąpi tą drogą z pałacu, którą do niego niegdyś wstąpił. Zatém po głównych schodach marmurowych, po tych schodach mających imię „olbrzymich“, wznoszących się z takim przepychem na dziedzińcu pałacowym, — schodził zwolna, uroczyście doża okryty bielą głowy i brody, wspierając się na kulach. Gdy zeszedł ze schodów, raz jeszcze spojrzał się na okazałość pałacu i rzekł: „Zasługi moje tu mnie wezwały, złość wrogów ztąd mnie wyprowadza“.

Lud stał w milczeniu i patrzał smętnie na tę boleści scenę. Jednak, mimo zakazu, tu i owdzie odezwał się żal i rzewne współczucie. Foscari, przybywszy do rodzinnego domu, poleca swoim, by nie pamiętali krzywd wyrządzonych mu od nieprzyjaciół.

Rada natychmiast zajmuje się nowym wyborem. W kilka dni późniéj znów zabrzmiał dzwon i obznajmił stolicy i wodom Adryatyku, że Paschalis Malipieri jest dożą Wenecyi.

Głosy dzwonu przypłynęły do pałacu Foscari — usłyszał te tony starzec — zadygotał — padł i — skonał.

Rzeczpospolita uchwaliła, aby go pochować z taką czcią pośmiertną, jak gdyby umarł na dostojeństwie swojém. Sprzeciwiała się temu zacna wdowa i rzekła: że gdy mu wydarto za życia koronę, więc stracono prawo uważania go za księcia. Oświadczyła, że lubo zmarły poświęcił mienie swoje służąc rzeczypospolitéj, ona odda posag własny, by złożyć małżonkowi ostatnią cześć.

Wbrew jednak jéj woli i oświadczeniu, Foscari był pochowany z urzędu z całym okazałym przepychem i ze wszelkim przepisanym ceremoniałem. Malipieri, nowo obrany doża, szedł za trumną ubrany jeszcze w skromne szaty prokuratora Wenecyi.

Wtedy Jakób Loredano roztwiera księgę swoją — i w miejscu, w którém przed laty napisał był wrzekomy dług Franciszka Foscari, dodał słowa: „l'ha pagato“ (zapłacił).

Sto siedemnaście lat minęło od tych wypadków tak smętnych, gdy (w r. 1574) ten sam pałac Foscari wystrojony lśniącym przepychem, odnowiony zbytkiem oryentalnym, błyszczał i świecił w całéj okazałości swojéj. Pałac Foscari oczekiwał gościa, co także zrzekł się korony, gościa co przybywał z dalekiéj północy.

Doża Ludwik Mocenigo, senatory państwa, wszystka szlachta, wszystek lud, gotują uroczyste, świeciste przyjęcie dla obcego przychodnia. Bucentaur, ów statek dumny, co się pojawiał jedynie w najwyższe święto uroczyste, teraz nanowo powleczony świeżą pozłotą, lśnił snycerstwem wyrabianém i figurami, co błyszczały niby



godła sławy i wielmożności Wenecyi. Na statku olbrzymi sztandar z purpury o haftach złotych unosił się poważnie kołysany powiewem; a wnętrze Bucentaura, wszystkie jego komnaty i świetlice wysłane, obite w aksamity, jedwabie, złotogłowy, gotowe przyjąć w gościnę potomka długiego królów szeregu. Statek ten, jakby złocisty pałac pływający, ruszył z patryarchą i dożą do Lido, jednéj z wysp w lagunach weneckich, a otaczał go świetnym dworem cały tłum gondoli, ubranych w sztandary bogato wyszywane i w kwiaty, a brzmiących muzyką i śpiewem. — I znów tysiące widzów płynęło na łodziach większych, wystrojonych świecisto, świątecznie. W téj chwili ze strony morza także przepyszny wspaniały galar zbliżał się do Lido, niosąc upragnionego gościa.

Gdy ten gość z jednéj strony, a arcybiskup z dożą z drugiéj wysiedli na Lido, wtedy zabrzmiały dzwony, zahuczały działa i ręczna broń strzałami gęstemi, i uderzyły bębny i kotły i trąby i krzyk witający nieprzeliczonych tłumów. Obcy książę szedł pod baldakinem ze złotéj lamy, noszonym przez sześciu prokuratorów Św. Marka, otoczonym przez kapitułę całą. Przyjęła go brama tryumfalna naumyślnie dla niego wzniesiona geniuszem sławnego Palladio, i znów czekała go kaplica, również w tym celu postawiona; tam zaśpiewała wzniosła ambrozyańska muzyka. Potém gość wstępuje na Bucentaur, i zwolna płynie ku stolicy uroczyście ubrany, a jak daleko okiem zasięgnął, widział gondole i barki, sztandary i chorągwie, widział patrycyusze i lud Wenecyi. Więc w tém towarzystwie, tak strojném i wspaniałém, zanosi go Bucentaur wzdłuż wielkiego kanału aż do pałacu Foscari. Pałac, okryty w makaty kosztowne, wschodnie kobierce, uśmiecha się kwiatów zwojami, grzmi muzyką i pieśnią, — a w tym gmachu, niesłychanym zbytkiem błyszczącym, czekało na księcia trzystu młodzieńców weneckich, co, wybrani z rodzin historycznych państwa, przeznaczeni byli na dwór świetny a honorową służbę gościa. A każdy dzień zradzał nowe festyny, zabawy zapustne, zawrotne, tak, że cały czas pobytu jego był jedném nieprzerwaném świętem. Wenecya sadziła się na przepych i okazałość, by uczcić obcego pana. A wśród festynów wyprawiano regatę — owe wyścigi wodne. Książę atoli uprosił sobie u senatu, aby się ta ochota odbyła jego kosztem — i arcy wspaniale i hojnie też sypał złotem, choć pożyczoném od samychże Wenecyan.

Regata się rozpoczęła a świetny gość stał w przepysznéj lodżyi znanego nam drugiego piętra; otoczony swoim świetnym dworem przypatrywał się ciżbom ciekawych i gonitwom gondoli. Może wtedy przechodziło mu przez duszę wspomnienie, co się z nim samym działo dopiéro przed kilku tygodniami, gdy on tą drobną furtką, zwróconą ku kościołowi OO. Bernardynów, wysuwał się z cicha, tajemnie, wśród nocy z murów zamku Krakowskiego — a dosiadłszy tureckiéj klaczy, sam, bo z jednym tylko dworzaninem pędził cwałem ku Szlązkiéj granicy, oglądając się ciągle po za siebie, czyli go nie

dosięga pogoń z polskiéj stolicy. — I wygrał na tych polskich wyścigach Henryk Walezyusz — uszedł, i przez Włochy dążył do Francyi i dosięgnął korony francuzkiéj; ale i jego dognał mord i dosięgnął fanatyczny nóż Jakóba Clément.

Tak ten pałac Foscari po wielekroć był gościną koronowanych przychodniów, co nawiedzali w różnych epokach Wenecyą, tę wodną boginią mórz. Bo pałac ten, sam przez się już tak wspaniały i kipiący przepychem, stanął jeszcze na Canal Grande, właśnie w miejscu, gdzie pełne okazałości szerzą się fale jego.

I znowu od chwili, gdy były król polski a przyszły francuzki opuścił pałac Foscari, przepłynęło z górą półtrzecia wieku, a pałac ten doczekał się naszych czasów. Dopiéro kilka lat temu, gdy w jego świetlicach, tchnących niegdyś bogactwem i dumną zamożnością, roztoczył się dramat smętny, żałobny. Ktoś, co niedawno zwiedzał te przestrzenie staréj sławy i świetności, dziwne nam rzeczy o nich prawi. W całym pałacu cicho jak w grobie — szerzy się rząd komnat — roztwierają się sale po salach, a wszędzie pusto, głucho, nie widać sprzętów ani śladów ludzi; ze ścian szmatami wiszą dawne, bogate, spróchniałe adamaszki, makaty; pyłem porosły zblakowane pozłoty. Tu milczenie cmentarza — słychać jedynie rozlegający się odgłos własnych kroków po marmurowéj posadzce. W ostatniéj izbie tylko zamieszkały dwie siwe niewiasty; strop téj izby niegdyś złocisty, ściany niegdyś ozdobne w obrazy malowane, teraz odymione kopciem czarnym. W izbie szczątki złamanych sprzętów, niegdyś świecących bogactwem i artystycznym zbytkiem, a te niewiasty tak biedne, iżbyś rzekł, że one najuboższe żebraczki; one wiekiem późnym i nieszczęściem złamane, one w téj izbie od wielu lat z nędzy konają, a umrzéć nie mogą; te dwie biedne kobiety — to są dwie ostatnie Foscari.

Niedaleko od pałacu tego, także na kanale wielkim, widać jeden z pałaców rodziny Mocenigo, w którym mieszkał ów wielki poeta, co tragedyą swoją uczcił smętne losy Franciszka i Jakóba Foscari. Poeta ten, co jest tak dziwném przeciwieństwem owych dwóch ostatnich cór z domu Foscari, odział pamięć ich przodków promienistą szatą poezyi: był to ów Lord-poeta Byron — on zepsutém dzieckiem nieba i ziemi. Niebo wlało weń geniusz wieszczy i dało gwiazdę natchnienia posagiem w życie, a ziemia udzieliła mu już z urodzeniem harde stanowisko w kraju własnym, a otaczając go zamożnością, uczyniła go niezawisłym od ludzi.

Jednak serce śmiertelne rzadko kiedy przeniesie na sobie bez szwanku zbyt szczęśliwe losy..! — Wszak one wypiastowały w duszy Byrona sprzeczności wbrew sobie przeciwne i wrogie; uczucia jego były już tkliwe i rozstopne niby niewiasty młodéj, już zuchwałe jak tytany niebo szturmujące, a dumne i harde jak owe pyszne upadłe anioły. Geniusz unosił wieszcza nad ziemię, pod same gwiazdy, pokazując mu na wielkie Boże wymiary i na ludzkie sprawy i wszechstworzenia dziwy i na świata historyą; lecz zaledwie znów Byron dotknął się ziemi, już, już go chwycił demon sceptycyzmu i czczości bezdennéj, a oddając go na pastwę grubéj zmysłowości, oszargał orgią niegodną. Więc téż poezya jego to sadza ród ludzki na tronie najwyższéj godności, to odziera go z majestatu, pogardliwie nim pomiatając. Duch tego wieszcza już tonie w abstrakcyach nadświatnych, już znowu gorącą barwą maluje z mistrzowska wielkie sceny natury i burze namiętne, kołyszące uczuciem człowieka; — umysł jego to kocha bez granic, to w nienawiści nie zna miary. Więc najboleśniejsze sprzeczności wprowadził Byron samowolnie we wnętrze istoty swojéj; bo owa dzikość rozpustna obyczajów, owe zapamiętałe żądze zmysłowe bez spoczynku, bez przerwy łamały się ze szlachetną wzniosłością natury jego; — a nadto on nie umiał zająć tak potężnego ducha swojego życiem pełném treści, nie umiał nadać mu kierunku właściwego, coby odpowiadał sile jego geniuszu, — przeto téż w piersiach jego wylęgło się bolesne uczucie przeciwieństwa między życiem jego rzeczywistém a chybioném własném przeznaczeniem, między tém, co on rzeczywiście z siebie uczynił, a myślą, czémby istotnie mógł być, gdyby był chciał dokonać w całéj pełni zadania swojego na ziemi. Bo takowe to jest zawsze lęgowisko każdego byronizmu; czy on się objawia w prawdziwych i wzniosłych, czyli téż w kłamanych wrzekomych talentach, zawsze on jest karą za zwichnięcie się umysłu, za niedopełnienie powołania w życiu. A im wyższy będzie talent lub geniusz, tém i ta sprzeczność sroższa, tém okropniejsze gorycze, tém straszniejsza czczość wewnętrzna; tém więc mniéj podoła temu rozdwojeniu umysł człowieka. Byron dochodząc najwyższych promienistych szczytów swojéj potęgi wieszczowéj — umarł.

Pałac Mocenigo i mieszkający w nim Byron, co tak z mistrzowska sam siebie maluje w swoim Don Juanie, przywodzą mimowolnie na myśl obraz zacnéj niegdyś niewiasty z domu Mocenigo i innego Don Juana, co przed laty także broił po Wenecyi! Wszak August II, będąc jeszcze młodym elektorowiczem saskim, nie śniąc tedy nawet jeszcze o polskiéj koronie, ani o Szwedach, ani o Stanisławie Leszczyńskim, wyprawiony był przez ojca na wojaż w celu „ostatecznego wykształcenia“. Więc się niby kształcił, więc hulał, swawolił po Hiszpanii, po Francyi, aż w końcu przybył i do Włoch i długo bawił w Wenecyi. I czytelnik mój i ja obejdziemy się bez opowiadania jego awantur miłosnych — warto jednak wspomnieć, iż jego elektorowiczowska mość sprzykrzywszy sobie zwykłe a zbyt łatwe galanckie konszakty, zaprószył sobie oczko widokiem prześlicznéj pani senatorowéj weneckiéj Mocenigo; a tém nieosobliwsze były te jego sentymenta, iż doświadczał wiele uprzejmości i poważania ze strony jéj małżonka. Długo, długo stroił daremnie zalecanki swoje, ufając atoli sztuczkom gachowskim nie tracił nadziei; więc pewnym razem, przy wielce sposobnéj porze, retorskim talentem jął

prawić damie o swoich afektach gorących, o admiracyi jéj piękności, o bezseniach swoich, o biedném znękaném sercu; więc sypały się przysięgi, zaklęcia i inne podobne adaggia. Z razu pani Mocenigo słuchała tych andronów z uśmiechem, obracając rzecz całą w żart; ale gdy on rozkochaniec dosadzając uklęknął przed nią, gdy natarczywie błagał i zapamiętale niedorzeczności prawił, wtedy zacna niewiasta wielce grzecznie i gładko powiedziała kilka słów prawdy, a mianowicie wspomniała o poważaniu, jakie nawet winien samemu sobie i przyszłemu powołaniu swojemu. Doświadczył tedy na sobie elektorowicz, że nie ma już wyższego majestatu jak godność kobiety, umiejącéj siebie szanować. Trudno téż bez uśmiechu czytać (w „la Saxe Galante"), jak August skonfundowany podniósł się z ziemi i nie z pyszna wrócił do domu.

Wszak on sam, będąc już królem Polskim, także wysłał syna swojego, późniejszego Augusta III, na wojaż, — i ten bawił w Wenecyi, ale dość niezabawnie i smutnie; bo jak jego biograf prawi: młody królewicz w Wenecyi odbył ospę! — (Mittag w „Leben und Thaten Friedrich Augusti III", Lipsk 1737).

Po kilku minutach uniosła nas gondola przed pałac *Pisani* (a San Paolo); i on jest architektury z epoki pałacu Foscari, i ona ubrana krojem maurytańsko-gotyckim, tutaj lodżye obu pięter przezroczyste, napowietrzne, i one u góry dziergane na wylot w rozety olbrzymie, i tutaj poziemie prostoty pełne — a okna po obu stronach lodżiów znacznie oddalone są od siebie i przedzielone gładką ścianą. I tutaj nakoniec okna podobnie wzięte w prostokątne ramy przez listwę w sznurek skręconą. Lecz bogate gzymsy, oddzielające piętra od siebie, zdobne pilastry, wznoszące się wzdłuż rogów pałacu, a nadewszystko szlaki kamienne, bogate, wieńczące okół w rustykę zbudowany, świadczą wyraźnie, że w téj architekturze odzywają się poczucia o zbliżającym się renesansie, że nadchodzi epoka, w któréj rodzina artystyczna *Lombardi* stworzy w Wenecyi nowy styl budowania.

Przed bramą pałacu na wspaniałych wschodach kilka sług w liberyi, wśród nich jakiś personat, z tuszą poważną w czarnym fraku, coś rozprawia i niby udziela rozkazy. Kto to? pytam gondolierów. — „To służba państwa Pisani, a ten czarny pan to marszałek domu." — Serdecznie mi było miło, że ten pałac przecież nie pusty, nie głuchy, że w nim mieszkają dziedzice z dawnych lat. Więc pytam: czyliby nie można obaczyć wnętrza pałacu? — Odpowiadają „Dla czego nie! owszem!" Więc już jesteśmy w sieni wspaniałéj, obszernéj, zdobnéj w piękne kolumny — a z niéj również okazałe wschody unoszą się do pięter, a to strojne, marmurowe wschody; na każdym ich ustępie lśnią mozaiki w kobierzec ułożone. Otworzyły się szerokie podwoje do świetlic obszernych, wysokich. Najprzód roztacza się galerya, któréj całe ściany ubrane w owe zwierciadła weneckie dawnéj sławy; te ściany powtarzają więc bez końca sprzęty bogate po galeryi rozstawione i powtarzają same siebie bez końca, mizdrząc się do siebie, — więc galerya ciągnie się w nieprzejrzaną dal. Na posadzkach komnat, sal błyszczy świecista kosztowna mozaika w prześliczne wzory i wzorki; na ścianach porozwieszane obrazy szkoły weneckiéj. Meble i sprzęty rokoko, przecież nie nowe ale z dawnych lat, mnóstwo zbytkowych drobiazgów, cacek kosztownych, przypominających życie codzienne, domowe, powszednie, łagodzą hardość i dumę tych sal i komnat rozłożystych, wysokich i nadają im jakąś cechę poufałą, domaszną, swojską. Pan marszałek, ów statysta w czarnym fraku, pragnąc zapewne wzbudzić w nas o ile można najwyższe wyobrażenie o znakomitości rodziny, któréj raczy służyć, zaprowadził nas aż do komnaty sypialnéj, i polecał naszemu podziwieniu, krom mnóstwa przedmiotów, namiot olbrzymi rozpięty nad łożem, i obstawał przy tém, byśmy koniecznie wzięli do ręki jego atłas bajecznéj ciężkości, i ciągle powtarzał, że ten namiot kosztował aż tysiące dukatów!



Był to pierwszy pałac wenecki, którego wnętrze widziałem, i wyznaję, żem sobie był wielce rad, żem tutaj wstąpił; to jednak pewna, że to nie dla tych świecistości i zwierciadeł lub atłasów i innych błyskotek kosztownych, bo tych gdzieindziéj, a nawet w kraju naszym widzieć można na nierównie większą miarę; a zresztą, samo przez się bogactwo i zamożność nie łatwo zdoła zaimponować; lecz cieszyłem się, żem miał sposobność rozpatrzenia się w ścianach, kędy od tylu wieków zamieszkał duch rodziny, co łamała się i pracowała tak zacnie, by się zasłużyć publicznéj sprawie, by się skwitować z życiem i nie zejść milczkiem ze świata. Obok dziejów takiéj rodziny miło téż marzyć w jéj ścianach o jéj życiu domowém, o tych cichych dramatach, co przez tyle wieków tu przędły się naprzemiany to radością i smutkiem, to nadzieją ochotną, to boleścią serdeczną.

Wspomniałem, że ściany tutaj pokryte arcypięknemi obrazami, jednak perłą ich wszystkich jest dzieło *Pawła Weroneńskiego* (Paolo Caliari) (*), przedstawiające rodzinę Daryusza, co przyklękła przed młodym macedońskim królem w namiocie jego. Dla samego tego obrazu szerokiéj sławy godzi się odwiedzić pałac Pisani! (**). — To arcydzieło zaprawdę świetnie wyobraża tę szkołę malarską, co jest istną córą Wenecyi, co jest krwią z jéj krwi, duchem z jéj ducha. Chcesz-li wiedzieć, jak ta świetna stolica Adryatyku zapatrywała się na świat, chcesz podsłuchać jéj marzenia senne, jéj tęsknoty, jéj przeczucia, lub pragniesz z nią się rozmówić na żywe słowa; wtedy utoń myślą i sercem w obrazach malowanych jéj szkoły, a one ci

(*) *Paolo Caliari*, zwany od miasta rodzinnego *Veronese*, spadkobierca wspaniałéj sztuki Tycyana, ur. 1528 † 1588 r. — St.

(**) Obraz powyższy obecnie już się nie znajduje w Wenecyi; nabytym on został za summę 14,000 funtów szterlingów przez galeryą narodową (National Galery) w Londynie i zdobi jéj ściany. — St.

rozwiążą wszystkie wątpienia i dopowiedzą o czém zamilkła sama nawet historya.

Nie wiem czyli już jest lud jaki, wiek jaki, coby miał sztukę wyrażającą wierniéj jego uczucia, jego pulsy tajemne. To malowanie mistrzów weneckich tak prześwietne i promieniejące przepychem, tak strojne i błyszczące — one, obok jakiéjś dumnéj grandezzy, tak tchną uszlachetnioną zmysłowością, takiém ciepłém uczuciem a fantazyą gorącą, wrzącą, iżbyś rzekł, że to świat wprawdzie ziemski, że te postacie wprawdzie w doczesności zrodzone, że ten atoli świat i postacie uniesione są wysoko nad ziemię, w dziedzinie nigdy niezamąconéj szczęśliwości i opromienione na wieki radosném weselem, nieznającém co kłopoty i biedy tuteczne. Albo, jeżeli wolimy, możem odwrotnie widzieć w tych obrazach niebian, którzy, uprzykrzywszy sobie wysokości Olimpu, zstąpili na ziemię, i tutaj, niby dla odmiany, żyją po ziemsku, po ludzku; a choć ich dotkną biedki, przykrostki doczesne, toć tylko zlekka i z wierzchu; te bogi nie biorą ich sobie zbytnie do serca, bo byle zechcieli, w każdéj chwili unieść się mogą do promienistéj ojczyzny, kędy nie ma żałości serdecznéj, kędy nie dochodzą ziemskie krzywdy; słowem, w tych obrazach weneckiéj szkoły tchnie duch jakby dawnego greckiego świata: jest to uduchowniona zmysłowość, cielesność zidealizowana wdziękiem.

Nie ma się zatém czemu dziwić, że ta szkoła wenecka błyszczy barwą najwyższego przepychu, że ci artyści przemawiają kolorytem, nad który już nie ma świetniejszego, on pełny i potężny, a przytém tak przezroczysty i lśniący, że się zdaje, jakoby pod farbami temi płótno gorzało i biło jasnością.

Te wszystkie cechy tu przelotnie i z lekka przez nas wspomniane, znajdziemy i w tym obrazie Pawła Caliari. Wszak to scena niby smutna, więc, też wyraz twarzy niby rzewny, żałośny — a przecież piękność tych figur niewieścich jest znów tak uśmiechającą się, tak wzniesioną nad troski ziemskie, iż się zdaje, że choć się one szczerze smucą i prawdziwie boleją, po lada chwilce przypomną sobie wiekuistą naturę swoją, wyswobodzą się z pod ziemskiéj cisnącéj, bolesnéj niedoli — i rozradowawszy się nieskończoném weselem, wrócą do olimpijskiego żywota.

Dobrze mi się jakoś udało, że pierwsze dzieło, które mi podało sposobność wspomnienia o malarstwie szkoły weneckiéj jest obrazem Pawła Weroneńskiego, a do tego jeszcze jedném z arcydzieł jego. Wszakto on z Tycyanem stanął na przyczołach téj szkoły; to mianowicie oni obaj, choć tak różni od siebie, nasuwają się duszy naszéj, gdy mowa o weneckiém malowaniu.

Byleśmy spojrzeli na tego Aleksandra Wielkiego, a już widać, że ten Macedon na włoskiéj ziemi zrodzony, że to nie ów prawdziwy syn wykrętnego Filipa, to nie ów bohater nizkiego wzrostu, o twarzy pełnéj, o rysach prawie niewieścich a włosach jasnych, jak go



nam opisuje tradycya a przedstawiają starożytne rzeźby; ten młodzieniec, co go na obrazie widzimy z obliczem brunatném, ciepłém, o ślicznych, kruczych choć nie długich kędziorach — to zaprawdę jakiś nobile wenecki z dawnych lat. I zgadliśmy — nasz czarny sensat zapewnia, iż za macedońskiego króla przebrał się jeden z Pisanich. Było mu czego powinszować, jeżeli iście był podobnym do téj postaci malowanéj; jakoż, niewymowna szlachetność rozlana na téj arcypięknéj twarzy, co tak wdzięczna, choć męzka i dzielna. Zachwycająca jest rzewność tkliwa, głęboka, którą się on zwraca do niewiast, do żony i cór zwyciężonego króla królów a pana Wszech Azyj; ta postać jego pełna zacności, ona od głów do stóp jest duszą. A wdzięczne i prześliczne są też postaci tych niewiast młodych, a mianowicie jedna z tych córek Daryuszowych, podobno średnia, jest przecudnych uroków.

Tutaj atoli znać, jakto artyści dawniejsi mało się troszczyli o anachronizmy; bo w téj scenie, odbywającéj się w głębokiéj Azyi, a to trzy wieki przed erą chrześcijańską, spostrzegamy szczegóły czysto europejskie, które się pojawiły dopiéro po ośmnastu stuleciach.

Sam jeden Aleksander przypomniał sobie, że jest przecież człekiem starożytnéj daty, a choć nie ubrał się ani z macedońska, ani nawet z grecka, wystroił się jednak po starorzymsku; za to już jego towarzysz wziął na siebie zbroję średniowiekowego rycerza. A cóż dopiéro te piękne panie perskie — one w pełnych a bogatych toaletach dam weneckich, ich szaty z atłasów i aksamitu przypominają krojem ową epokę, gdy urocze córy Adryatyku czarowały wdziękiem swoim naszego Walezyusza, co to także lubił składać cześć wszechmocności Natury, zwłaszcza, gdy się pojawiała w pięknéj kobiecie, niby w arcydziele przyrody.

Więc też i budowania, będące tylném tłem obrazu, stylem przypominają Prokuracye placu Św. Marka; podobnie i mnóstwo osób, zaludniających scenę, nowym strojem a krojem otaczają namiot. Ale te usterki i wolnostki swawolne wielkiego mistrza maleją, nikną obok piękności całego dzieła; a wyznaję też, że cudne wdzięki jego tak mnie urzekły, żem się dopiéro późniéj mógł upamiętać i postrzedz te anachronistyczne wadki. Tak to wiele wolno geniuszowi, co nie uchodzi łokietkowym geniuszkom lub talencikom codziennym.

Na stoliku jakaś niby szafeczka szklana — w niéj popiersie woskowe, peruka pudrowana, oczy szklane, świecące a umarłe; spłowiały dawne farby powlekające niegdyś wosk, więc też ten wystąpił już barwą żółtawą, właściwą sobie; ztąd wyraz cały trupi, nieznośny. Wszak wiemy wszyscy, jak odrażające są figury woskowe, choćby świeże; bo one kłamią życie kształtem i barwą, a to ich życie, śmiercią będąc, jest raczéj wydrzeźnianiem żyjących — a cóż dopiéro, jeżeli, jak tutaj się stało, twarz woskowa jest dawna i samym wiekiem podstarzałą! — Kto to? pytamy. „To dziad naszego pana“

odpowiedział jegomość w czarném ubraniu. „Ten Pisani był przy skonaniu rzeczypospolitéj członkiem onéj okropnéj inkwizycyi państwa!“ Pan marszałek, uważając zapewne, że mu wypada wyrazić całą ohydę, która go przeraża na samo wspomnienie onéj inkwizycyi, wstrząsł się w sobie, jak gdyby mu oko w oko stanął grzechotnik.

Wyznaję, iżbym się trudno na to pisał, bym chował w izbie mojéj taką głowę, co jest najszpetniejszém memento mori, na jakie się tylko zdobyć można. I patrzą na was te szklane oczy, i uśmiechają się te sine usta, — brwi tylko czarne, wyraziste. To wszystko razem nie bardzo miłe. Ale czém ta twarz dla nas, dla obcych, tém pewnie nie jest dla swoich, dla syna, dla wnuków. Ten inkwizytor może był, mimo swojego urzędu, człowiekiem łagodnym a w domu kochanym i kochającym, więc miłość jego potomków upiększa w ich oczach to oblicze, mili tę twarz martwą; bo i miłość jest artystką, ona magią swoją idealizuje wdziękami to, co dla obojętnych jest wstrętne i odrażające.

Wystąpiłem przez te lodżie, z maurytańska wykrojone, na balkon. Bo warto było kanał wielki obaczyć z góry i z piętra. I cudnie mu też było z tém morskiém zwierciadłem, którego ramy wysadzone w przepyszne pałace i wspaniałe świątynie. Opierając się o te lodżie tak wdzięczne a fantastyczne, mając za sobą te świetlice i komnaty, przechowujące wzniosłe dzieła sztuki, widząc pod sobą faliste igry wód, a nadto otoczeni ze wszech stron przepychami architektury Wenecyi, możemy przeczuwać te wszystkie głosy, co się niegdyś odzywały w sercach dziedziców dawnych; — możemy sobie wywróżyć jak to otoczenie wkoło nastrajało właściwym tonem nawet zacisze domowe, życie powszednie, rodzinne. Jakoż, obok tych mocy historycznych, poruszających tutaj umysł ku sprawom publicznym, ten świat Wenecyi nawet już sam z siebie budzi całą potęgę fantazyi i wzniosłéj poezyi w każdych piersiach, co nie umarły z obojętności a przesytu. Ten świat Wenecyi jest iście ogrodem, w którym wiecznie kwitną romantyczne uczucia, tęsknoty niewymowne i te wszystkie marzenia młode, co żyją wdziękiem i świeżością, póki na nich jeszcze świeci poranna rosa niebiańska a więdnieją, gdy je ogarnia upał namiętności wrzących.

Zaledwie wróciliśmy do gondoli naszéj, gdy zwróciłem oczy ku pałacowi, co mnie oddawna nęcił kształtem swoim, a stanął po prawym brzegu wielkiego kanału; znać, że ten pałac wyrósł w końcu XVI stulecia, bo się wystroił w późniejszy renesans: on taki wspaniały, świąteczny, że było niepodobieństwem nie spytać się o imię jego. „To pałac *Grimani*, dzisiejsza poczta“, odpowiada gondolier (*).

(*) Dziś poczta już się nie mieści w pałacu Grimani, lecz w osobnym budynku w bliskości placu Św. Marka. — St.



Wszak przybywszy do Wenecyi pisałem do domu, więc może znajdę listy z Krakowa. Nie bawiąc się tedy już rozpatrywaniem się krytyczném w téj architekturze, prosiłem gondolierów, aby czém rychléj a prędzéj płynęli do pałacu Grimani, co jest może najokazalszą, najartystyczniejszą pocztą w Europie całéj. Już śpieszyłem do biura, w którém oddają przybyłe listy, o nich tylko myśląc, gdy znienacka stanąłem wstrzymany widokiem sieni nad wyraz wspaniałéj. Sień ta (Atrium) tém jest okazalszą, iż pałac, zwracając główny front do kanału wielkiego, a bok do kanału mniejszego, ma dwa wchody, więc dwie sienie, stanowiące atoli jedną sień rozłożystą, olbrzymią, któréj styl jest arcy poważny, uroczysty — strop wspierają kolumny parami połączone; gzymsy, głowice kolumn ciepłe, bogate. Więc całość uderza również swoim rozłogiem i wysokością wzniosłą jak architekturą szlachetną i zamożną. Zaiste, zdało mi się w téj chwili, żem nie widział nigdzie w świecie sieni piękniejszéj, — i powiedziano mi, że to najwspanialsze Atrium w całéj Wenecyi — i wierzę.

Czytelnik zapewne sam z doświadczenia wié, z jakiém to upragnieniem każdy, będąc oddalony od swoich, oczekuje wiadomości z domu! Zrozumié tedy, jak długie zdawały mi się te chwile, zanim staruszek, mający listy przybyłe pod swoją opieką, wytarł okulary, zanim z wielką flegmą przystąpił do przegródki oznaczonéj literą K, zanim z uwagą przerzucił po jednemu wszystkie listy, to wielkie, to małe, szerokie i wązkie, to z napisami ściśle kaligraficznemi, to znów pisane hieroglifami, to z genialném niedbalstwem, i zanim znalazł list do mnie adresowany... ba! było ich dwa! już koperty rozerwałem, a po listach oczy przelotem przebiegły. Więc wszyscy zdrowi! więc w Krakowie nie było nowéj klęski, więc i z dala o niczém złém nie słychać! a co się tyczy innych szczegółów, te sobie już w gondoli odczytamy wygodnie.

Czytelnik mi przyzna zapewne, że tém chciwiéj pragniemy wiadomości z domu, im większy przedział nas od niego rozłącza; podobnie jak owa sprężyna, co im daléj od siebie jéj końce rozpięte, tém chciwiéj rada je napowrót zbliżyć do siebie. Wiemy wszyscy, że przedział, co wzmaga w nas tęsknotę, nie tylko może być wielką przestrzenią, albo długim czasem, ale też staje się i wtedy niezmiernie wielkim, gdy mnóstwo zajmujących przedmiotów, gdy treść bogata wsunie się między chwilę obecną a ową chwilę, gdyśmy się żegnali z domem; taka treść staje i za długość przestrzeni i za długość czasu. A w tém położeniu ja się właśnie znajduję. — Każdy dzień w téj podróży strawiony, a mianowicie już w Wenecyi przebyty, jest tak bogaty w osnowę, że się zdaje być tygodniem lub miesiącem zwyczajnego życia. To doświadczenie przypomina mi zacnego ś. p. *Franciszka Szopowicza* († 1839), tak wielce zasłużonego professora naszego na uniwersytecie Jagiellońskim; on uczył nas wprawdzie matematyki; lecz obok niéj wpajał jeszcze wiele zasad

życia: np. przedstawiał, jako każdy samowolnie piętnuje się bezcześcią, kto nie dba o poznanie własnego języka, kto się nim władać nie nauczy; więc fukał i burczał nas nie lada, gdy dostrzegł jakiego zwichnienia mowy lub niewłaściwego w niéj zwrotu, i stawiał nam na żywą duszę bezmózgłość tych niedowarzeńców, co mniemają, jakoby czystość języka zasadzała się li na unikaniu wyrazów nieswojskich, a nie baczą, że to właśnie zwroty i budowa zdań są przedewszystkiém wyrazem rodzinnego ducha każdego języka. Przy każdéj też sposobności prawił nam o *Śniadeckich*, polecając, byśmy się rozpatrzyli w tym krystalicznym ich języku. Świeć mu za to Panie! — Daléj, często wpajał w nas różnicę między próżniakiem a człekiem pracowitym „co nie darmo kaszę na świecie jada“, jak się wyrażał Szopowicz; więc mawiał, jako próżniakowi każda chwila obecna, każda obecna godzina niezmiernie długą się być wydaje, a człekowi pracowitemu godziny, dnie mijają piorunem. Gdy atoli rok upłynie, a pracowity spojrzy wstecz za siebie, gdy się rozpatrzy w nieprzebranéj treści tych przebytych dwunastu miesięcy, gdy się przejrzy w ich dorobku umysłowym, w tych przelicznych swoich sprawach, myślach i łamaniach, trudno mu zrazu uwierzyć, że ten rok był tylko jednym rokiem. Odwrotnie, próżniak, jak powiadał daléj Szopowicz — próżniak, gdy się zwróci na ten rok zeszły, gdy obaczy w nim brak osnowy i pustki głuche, pochwytać się nie może i radby wierzyć, że ten rok był tylko tygodniem jednym. Kończył też Franciszek Szopowicz te uwagi apostrofą, wystawując, jaka to rzecz straszna a nad wyraz okropna, gdy się próżniak zestarzeje, i gdy mu się całe własne życie upłynione pustynią być wydaje, gdy się spostrzeże, że był umarłym za życia.

Teraz naprędce rzucimy kilka słów o facyacie pałacu *Grimani*. Trudno pomyśléć, aby można już genialniéj rozdzielić na części całość architektoniczną i szczęśliwiéj te części napowrót zestroić, jak to uczynił *Sanmicheli* (*) w tym tu pałacu, który jest dziełem jego. Tutaj poziemie jest wyższych wymiarów niż pierwsze piętro, a piętro pierwsze znów wznioślejsze niż drugie, a poziemie to również zdobne bogate jak te piętra. Proporcye wzajemne są tak utrafione z mistrzowska, iż nie tylko w kierunku pionowym, to jest nie tylko co do stosunku wzajemnego pięter, widzimy harmonią cudną; lecz ten zestrój wdzięczny iści się i pod względem kierunku linii poziomej, bo idąc od jednéj ręki ku drugiéj widzimy, jak to znów części szczegółowe jednego i tego samego piętra cudnie się z sobą wiążą. Jakoż, okna i odrzwia o łukach okrągłych poprzedzielane są od siebie oknami prostokątnemi, a kolumny korynckie, umieszczone to pojedyńczo, to parami między oknami i na dwóch końcach wystawy całéj, niby rozłączają części od siebie, a przecież znów je godzą, czyniąc z nich

(*) *Michele San Micheli*, ur. 1484, um. 1559 r.



całość artystyczną. Pomyślmy sobie jeszcze ubranie świąteczne téj architektury; więc te smukłe kolumny o głowicach korynckich w liście zdobnych, o żłobkowanych trzonach; więc wdzięczne płaskorzeźby, więc meandry łamiące się kapryśną a gracyjną wstęgą, więc mnogie ozdoby prześlicznie wyrobione, więc gzymsy i balustrady; łatwo sobie wystawimy, jak to ten pałac uroczysty, świąteczny! Zdaje się, że on marmurowym tryumfem, bo przypomina zaiste owe architektury, postawione na cześć wielkiego pogromcy świata, czyli raczéj wielkiego człowieka, co się stał dobroczyńcą ludzkiego rodzaju.

Ogrom tego pałacu, a mianowicie już te wspaniałe sienie nadają całéj jego architekturze wejrzenie, które jest nadzwyczajne w budowaniu tutejszém. Bo gdy Wenecyanie zniewoleni byli każdą piędź fundamentów zdobywać sobie na morzu, bijąc pale obok palów, więc już wszędzie w architekturze weneckiéj widać to oszczędzanie miejsca, i dla tego najgłówniéj wynagrodzono sobie brakujący obszar przestrzeni zbytkiem i kosztownością materyałów i wyrobieniem ich misterném. Pałac Grimani odznacza się przeto nad inne budowania obszernością miejsca, ale za to jego fundamenta pochłonęły summy bajeczne; bo pale, na których on postawiony, są hebanowe. Ta okoliczność groziła zniszczeniem pałacowi całemu, bo właściciele, jak słychać, pragnąc spieniężyć pale, mieli już rozebrać to arcydzieło architektury; ale rząd kupił ten pałac Grimani dla urzędu pocztowego, a tak uratował ten cudnie piękny pomnik od zburzenia (*).

Warto też wspomnieć, że w tym pałacu Grimani mieszkał królewicz Władysław (IV), w czasie kilkotygodniowego pobytu swojego w Wenecyi, podejmowany wystawnie i świetnie przez zamożną republikę morską (**).

Teraz, po żwawém uderzeniu wioseł, tuż przed nami wzniósł się białym marmurowym łukiem *Ponte Rialto*, co jest najcelniejszym mostem w Wenecyi; a pewnie jednym z najświetniejszych mostów w Europie całéj.

Ponte Rialto! Spojrzawszy na mój plan Wenecyi, widzę, że on dopiéro w środku kanału wielkiego — owszem za tym mostem snuje się część kanału, co jeszcze dłuższą jest niż ta, którąśmy dotychczas odbyli, poczynając od Dogana di Mare. A opis mój dotychczasowy

(*) Obacz M. Wiszniewskiego T. I. Wszak w ostatnich czasach Anglicy zaczęli zakupywać pałace weneckie i, rozebrawszy je, ładowali na okręty, by te dzieła, wykwitłe pod niebem włoskiém, postawić w mgłach angielskich. Na szczęście atoli, rząd wdał się w tę sprawę i zakazał podobnych wandalicznych frymark.

(**) Prawda, że Wassenberg (w Gest. Glor. et Invict. Vlad. IV. 1641) twierdzi, jakoby królewicz mieszkał w pałacu Donatów, ale Stefan Pac (Obraz Dworów Europ.) który przecież osobiście towarzyszył Władysławowi w podróży, powiada: „przyjechaliśmy do Wenecyi i prostośmy szedli do pałacu Krymaniego na Wielkim Kanale, który dla królewicza był zgotowany“.

lubo lekki, lubo się tylko dotknął powierzchownie maluchnéj jedynie cząstki tego, coby było godne wspomnienia, przecież tak urosł, że może znękał cierpliwość choćby najcierpliwszego czytelnika.

Zatém tylko jeszcze słów kilka wspomnę przelotem o téj drugiéj a większéj części kanału, w to tylko trącając, bez czegoby się nie obeszło, mając jaki taki wzgląd na historyę sztuki, która nad ten kanał wielki wysłała tak zacnych wyobrazicieli różnych stylów kolejnego rozwoju swojego.

Więc najprzód sam *Ponte Rialto*. Kanał, co snuje się wprawdzie wszędzie jakby szeroką wspaniałą rzeką, tutaj w środku swoim nagle się ściska, zwęża, i tu właśnie przerzucił się przez niego ten most. Lecz choć kanał niby wązki, przecież most nie lada jaki, bo zuchwały śmiałek, będąc o jednym tylko łuku, sunął tą jedną arkadą na ośmdziesiąt trzy stopy! Bo taka w tém miejscu odległość obu brzegów; każdy przyzna, że to nie mała rzecz, zwłaszcza, gdy wysokość największa téj arkady dochodzi tylko stóp trzydziestu. Otóż z tego już widzim, jaka w tém budowaniu technika doskonała. Trzeba też było oprzéć końce jego na 12,000 palów.

Gondola nasza przybiła. Wstępujem po moście na schodach. W samym środku mostu jest miejsce równe, niewielkie, poczém znów schody sprowadzają po moście na drugi jego koniec. Szerokość mostu tego jest jakby połową jego długości, na nim stanęły wzdłuż we dwa rzędy sklepy złotnicze i jubilerskie — tak tedy trzy są ulice zawieszone nad wodą. Ruch żwawy, hałaśny, krzykliwy na tych ulicach, na schodach; chodzą, gadają, śmieją się i śpieszą, wszędzie gwar i krzątanina wesoła; ta ruchawość przypomina plac Św. Marka, zwłaszcza w chwilach wieczornych. Przecież na Rialto lud wenecki jakoś więcej z pierwszéj ręki; tu on gospodarzem, tu mniéj tużurków i paletotów, a za to zawiesiste, czerwone czapki w pełném prawie swojém. Lubo w tych sklepach nie obaczysz już dawnego bogactwa, ani uderzającéj zamożności starych lat, jednak i teraz w nich nie jedna świeci, wabi pokusa błyskotna; a mianowicie owe złote łańcuszki drobniuchne, do cienkiego sznurka podobne, utrzymują prababczyną sławę swoją; bo to, co odznacza się wdziękiem albo misterném techniczném wykonaniem, zawsze dostoi mężnie fochom kapryśnéj, zmiennéj mody.

Z obu stron mostu ulice, place oryginalnie zbudowane, natłoczone ludem, ruchem, głośną wrzawą, mogłyby być istnym wzorem dla weneckich Stachowiczów i Piwarskich.

A już zajmujące i arcy zabawne, zwłaszcza dla nas ludzi zrodzonych daleko od morza, są te rybie targi. Dużoby mi przyszło prawić, gdybym wam chciał opisać tych dziwaków morskich, co tu po koszach przekupnich, po straganach, zebrały się na mimowolne sejmy. Jedne byłyby potworném straszydłem, gdyby były nie tak drobne, inne istne djabliki, drwiące sobie ze wszelkiéj estetyczności; tu olbrzymie raczyska się gramolą i jak pająki ruchają ogromnemi



członkami, mizdrząc się do siebie wypukłemi czarnemi ślepiami. Któż zdoła spisać inwentarz tych konceptów dziwacznych natury! Ot zwyczajnie, gdy stare morze śpi, lub marzy napoły śpiące, wtedy sobie roi widziadła, a te mary i kaprysy senne są to ryby, ślimaki, raki, mięczaki, skorupiaki, dziwaki o fantastycznych kształtach, te oryginały wykrzywiające ci się bezczelnie, zuchwale — równie straszne jak komiczne.

Opuściwszy gwar i wstąpiwszy znowu do gondoli, która sobie spoczęła w cieniu, rozpatrzyłem się w formach tego mostu. Prawda, że on wspaniały, bogaty; znać jednak, że on już renesansem najpóźniejszym i już zupełnie przekwitłym. Jakoż, budował go podobno *Jan da Ponte* (Jakób?) (*) około roku 1590. — Lubo prawda, że i w téj późnéj epoce umiano jeszcze czuć co piękne w architekturze, jak tego dowodzi pałac Grimani. Mimo najżyczliwszéj woli, trudno bronić przed estetyką tego mostu. Bo najprzód ten łuk jego jest wdzięczny, lotny i lekki, a co na łuku, to ciężkie, posadziste, niby mury forteczne lub więzienne. A potém, przynajmniéj wedle mojego uczucia, dziwny tu zamęt i dysharmonia linij; jakoż od spodu linia krągła, powyżéj balustrada w linię prostą, ale łamiąca się, potém linie krągłe ślepych arkad odznaczających sklepy; a te sklepy unoszą się coraz wyżéj a wyżéj, niby stopniami; pod arkadami znowu gzymsy, które znowu mają inny kierunek, bo równoległy do poziomu. W środku, na szczycie mostu, brama wielka. Uważmy, co się tedy dzieje z temi przeróżnemi, niesfornemi, kłócącemi się z sobą liniami — a te arkady i pilastry takie podsadziste, a duszne, a pękate!

A mimo tego, Rialto ten niewypowiedzianie hardy i majestatu pełen; on cały z marmuru: i łuk i sklepy i balustrady i schody, wszystko z marmuru. Jeżeli nam się styl jego nie zdaje, toć zapewne dla tego, że Wenecya rozpieściła nam smak, stawiając wszędy na oczy taki nieprzebrany tłum prawdziwie mistrzowskiéj architektury. A kto wie? — bo i ta myśl mnie przechodzi — może właśnie ta lekkość łuku a ciężkość budowy na nim wystawionéj, może właśnie ta sprzeczność jest tutaj tą potęgą ukrytą, co tak silnie, tak przeważnie uderza na naszą fantazyę?

Śpieszmy jednak, choćby z jałowém wyliczaniem, choćby tylko tych budowli, co ciężéj ważą w historyi sztuki, a przedewszystkiém tych, które są tuż przy Rialto. Więc z góry pyszny pałac *de' Camerlinghi* jest artystyczną i wielce wesołą pięknością. Jest to wczesny renesans, przypominający Prokuracye Stare, tylko strojniejszy, zdobniejszy; nad arkadami lekkiemi pierwszego i drugiego piętra i nad poziemiem ciągną się wieńce i zwoje kwiatów. A wprost naprzeciw rozwinął się długi gmach, który zowią *Fondaco de' Tedeschi* (r. 1506).

---

(*) Ur. 1512, um. 1597 r.

Na długiéj zewnętrznéj jego ścianie, niegdyś, bo w epoce gdy Wenecya szczyciła się największą zamożnością a wielkimi mistrzami, Tycyan i uczniowie jego roztoczyli czarodziejskie malowania swoje. Dziś już nie ma śladu tych dziwów, które same przez się stanęłyby za najkosztowniejszy pałac na świecie. Nieco daléj, na lewym brzegu kanału, rozwinęła się architektura zwana *Fabriche Vecchie* (z roku 1520), więc z pięknéj epoki renesansu; do niéj w trzydzieści pięć lat późniéj Sansovino dobudował *Fabbriche Nuove*, a potężny to gmach, bo stanął długością 250 stóp, a mistrz ustroił poziemie jego w rustyk potężny, poważny, drugie piętro w pilastry silne, we fryz dorycki pełen grozy, prostoty; a przecież mimo téj prostoty i grozy, żyjącéj w całém budowaniu, umiał tchnąć życie, ruch, muzykę w nieme, martwe kamienie. Następnie po prawém pobrzeżu pałace *Michieli delle Colonne* i *Sagredo* pewnieby były godne bliższego rozbioru, lecz daremnie! nas prze pośpiech, a nadto przeważnie nęci i wabi pałac *Casa d'oro*.

*Casa d'oro*, czyli jak ją téż w skróceniu zowią *Ca' d'oro*, byłaby jedynie prześliczném cackiem, gdyby nie było po niéj tak wyraźnie znać, że się zrodziła z prawdziwego artystycznego natchnienia; tyle w niéj wieszczowego czucia, tak w niéj całość jest z mistrzowska zestrojona —, że wyraz „cacko“ byłby zaprawdę niedowcipnie zastosowanym i krzywdzącym. Ca' d'oro należy do znanego nam już dobrze stylu maurytańsko-gotyckiego, co, jak wiemy, gęsto często się w Wenecyi powtarzając, nadaje jéj tę cechę czarodziejskiego Wschodu. Lecz mimo tego Ca' d'ora tak znów w sobie oryginalna, tak znowu się odznacza od wszystkich innych budowli tego stylu, iż sama stanowi styl dla siebie, a który tylko w niéj saméj żyje przecudnym wzorem. Nie przeczę, że téj architektury podstawą są zasady gotyckiego budowania; idąc atoli za własném uczuciem, ośmieliłbym się wbrew przeważnym znawcom powiedzieć, że wrażeniu, którém nas uderza widok tego pałacu, który jest zupełnie oryentalny, brakuje tylko palm a rzekłbyś, że to Hafiz wyśpiewał sobie takowe mieszkanie, marząc o wyspie rajskiéj, odsadzonéj daleko od zabiegów powszedniego ludzkiego żywota, na któréj wybranym płynie bez końca niezamącona szczęśliwość i rozkosz najwyższa.

Prawda, że obok arabszczyzny są tu jeszcze różne style i smaki; one tu wszystkie dziwnie się zbiegły i złożyły się w całość najoryginalniejszą na świecie, a przecież splatają się najcudowniejszą harmonią. Zatém nie tylko same linie i mnóstwo szczegółów przypominają tutaj Wschód, lecz właśnie ta sama swawola genialna, dobierająca sobie tak różnych stylów a umiejąca je tak z mistrzowska zestroić i związać, jest właśnie córą oryentalnéj fantazyi. Zapewne, czytelniku mój, zdarzyło ci się choć raz w życiu widzieć kobietę, co, będąc uroków i wdzięków pełną, była téż w stroju, w smaku, w obyczaju wskróś oryginalną i wyjątkiem żywym od wszelkich reguł, przyjętych w świecie. Żadna z kobiet nie ośmieliłaby się ani tak



się ubierać, ani tak mówić i tak się zachowywać; a jednak wszystkie wyznają, że téj jednéj to wszystko wielce do twarzy; że jéj jednéj z tém ślicznie i wdzięcznie, że ona właśnie tém czaruje, że to właśnie niewypowiedziana magia jéj natury. Taka jest właśnie Casa d'oro. Ona murowanym dowodem przekonywającym od tylu wieków, że wolno fantastycznie kaprysić i grymasić byle z gracyą a wdziękiem, że wolno żartować sobie z prawideł zwykle przyjętych, byle być samemu genialną regułką dla siebie. Niechaj mi tedy nie będzie poczytaném za gadulstwo, iż prawiwszy wam już tyle o tym stylu gotycko-maurytańskim i przy pałacu dożów, i przy pałacu Foscari i Pisani, jeszcze lekkim zarysem pióra wyjaśnię wam *Casa d'oro*, Ca' d'oro, która właśnie zagrywa sobie fortissime arabszczyzny weneckiéj. Jéj wizerunek przedstawia nam fig. 9 *a* i *b*.

Poziemie. W środku pięć arkad, wspierających się na kolumnach okrągłych, — kapitele tych kolumn wielce sute; więc tutaj liście, ślimacznice i t. d. Po każdéj stronie téj kolumnady okno wywijane, ujęte (jak pałac Pisani) w ramki cienkie prostokątne, — po tém oknie z każdéj strony jednostajna ściana z małém tylko okienkiem czworograniastém, umieszczoném wprost pod gzymsem tego poziomu, — okno to otoczone rzeźbioną ramą. Daléj znów po obu stronach, tuż przy obu rogach pałacu, drugie okna; ten róg zaś wzdłuż całéj krawędzi jakby obszyty plecionką marmurową. U góry kończy poziemie gzyms lekki, najwyższym atoli wdziękiem wyrzeźbiony; iście to wyrobienie jego tak misterne, jakby wyszło z rąk złotnika! Na tym gzymsie po rogach pałacu siedzą lewki, opierające się na krawędzi (!) Widzicie tedy jak sobie ta wystawa rozpoczyna, jaka ona będzie. To jéj poziemie wróży czém się stanie całość: jest to uwertura do czarodziejskiéj opery, jest to pączek, otulający sobą całą kompozycyę dzieła.

Pierwsze piętro. Nad trzema środkowemi arkadami poziemia stanęło tu sześć arkad, jako lodzia właściwa; te łuki strojnie wyrabiane spoczywają na okrągłych kolumnach o arcy bogatych głowicach, bo te ich kapitele niby pączki stulone; widzisz tam świat cały liści kędziornych, jednak one trzymają się jeszcze siebie, potrzeba tylko promyka słońca by się roztworzyły i rozwinęły całą pięknością swoją. A dopiéro nad temi głowicami rozpoczynają się te hafty przezroczyste, te rozety i kwiaty na wylot niby robotą brabancką dziergane. Jak zaś bogate są owe mieniące koronki, już z tego widzieć możemy, że te kolumny, wraz ze swojemi kapitelami, nie mają téj wysokości, jaką ma owa nad niemi spoczywająca ściana przezroczysto wyrabiana. Rzekliśmy atoli, że ta lodzia, więc te sześć arkad pierwszego piętra stanęły tylko nad trzema z pięciu arkad poziemia; zostały tedy nam jeszcze na dole dwie arkady skrajne. Otóż, jak na naszym obrazku widać, nad każdą z tych arkad umieszczono na pierwszém piętrze potężne okno. Te okna są wielce ozdobne; łuki ich, wywijane niby serce do góry zwrócone, unoszą na szczycie

kwiat gotycki; ramy marmurowe bogato w listwy wyrabiane, a wewnątrz ich łuku splatają się gałęzie, konary, róże, jak to bywa w oknach gotyckich. Uważmy jednak, że około tego kwiatu i łuku iest ścianka jednostajna, gładka, przerwana tylko dwiema okrągłemi tarczami, wyrobionemi po obu stronach kwiatu. I to jest myśl niezmiernie szczęśliwa, bo oko, znękane wyrabianiem migocącém się

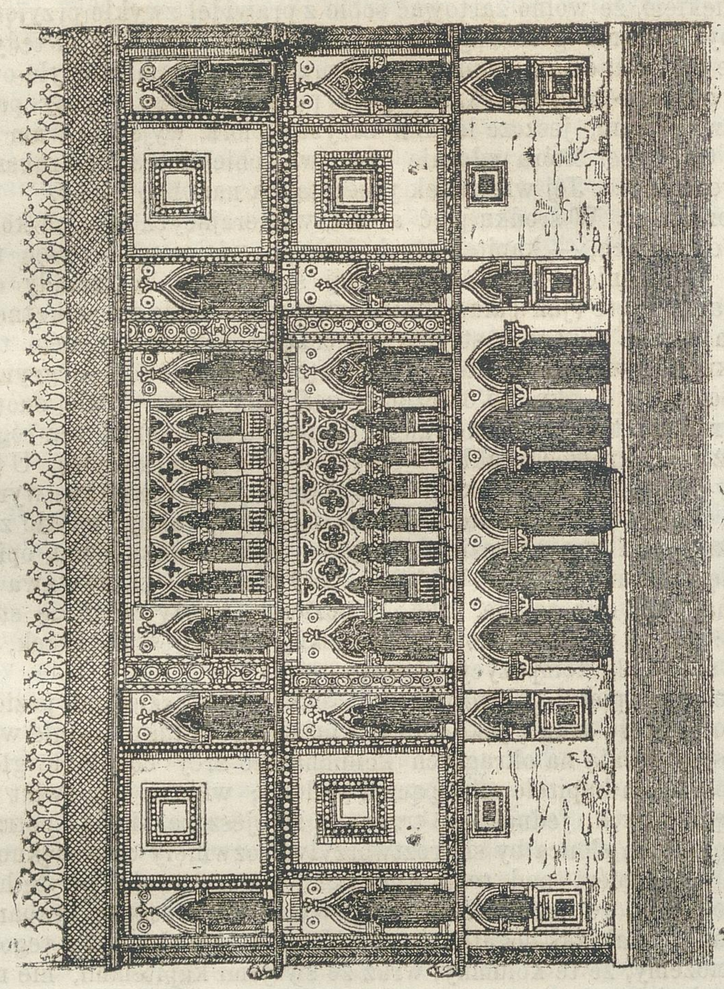


*Fig. 9 a.* **Palac Ca' d'oro** (wedhug pierwotnego planu).

nad lodżią, ma tu gdzie odpocząć na tém tle tak cichém choć drobném. Daléj, jak każde z tych dwóch okien oddzielone jest od lodżyi tylko filarem, tak każde z nich po drugiéj stronie ma pas, który ciągnie się pionowo przez całą wysokość piętra, bo od gzymsu poziemia do gzymsu piętra pierwszego. A ten pas jest niezmiernie oryginalną ozdobą. Rzekłbyś, że to miluchny wzorek, rysowany



wdzięcznym kaprysikiem uroczéj kobiety; bo ten pas — to niby wstęga, mająca po obu brzegach rąbek haftowany, a w środku rząd dużych okrągłych medalionów, połączonych przez mniejsze medalioniki. Na owych wielkich medalionach, ile dojrzéć mogłem, umieszczone jakieś inkrustowane barwne kwiatki, figurki, widoczki. Tak tedy jak lodżia sama tak i to okno (czyli raczéj drzwi, bo dochodzi od spodu aż do posadzki, więc od gzymsu) obwiedzione jest niby ramą, bo z jednéj strony ma lodżie, a z drugiéj graniczy z owym pasem uroczym; od góry zaś i od dołu zamknęły je gzymsy.

Za tym pasem z obu stron znowu okno, jednak już węższe (bo umieszczone nad oknem poziemia sąsiadującém z onemi arkadami dolnemi); przecież i to okno, lubo mniejsze, niższe i węższe, wielce bogate, i tu kwiatek, i tutaj ów splotek wewnątrz łuku, i tutaj tłem łuku ścianka jednostajna, i tutaj po obu stronach łuku wyrabiane kółko.

Te okna czyli drzwi (bo równie spuszczają się aż do posadzki i tam mają balustradę), mając z jednéj strony ów pas szeroki, z drugiéj mają szlaczek węższy, choć niby rysunek jego także do medalioników zbliżony. Za tym szlaczkiem (na obu stronach pałacu) ustęp gładki, owa tak charakterystyczna jednostajna ściana a jéj przestrzeń jest bardzo znaczna, w porównaniu do miejsca, które zajmują oba wspomniane okna wraz z onym pasem, odgradzającym je od siebie. Tutaj spoczęła sobie owa wdzięcznica architektura, zdrzémała się, aby się znów obudzić do nowych uroczych figlów poetycznych. Ale ba! Ona nie zasnęła na piękne. Bo ów węższy szlaczek nietylko odgranicza tę ścianę od okna, lecz obwodzi ją jeszcze w koło jakby ramą; bo ciągnie się i od dołu i od góry i od obu boków. A co więcéj, w środku tylko téj ściany równéj jest mały kwadracik, który znów listwami, szlaczkami jest wzięty w ramy, a tak nabiera kształtu niby obrazu zawieszonego w bogatych ramach na téj ścianie.

Po téj ścianie, czyli raczéj po tym wyższym jéj szlaczku, znów widać (po obu stronach) okno dochodzące do posadzki (z balustradą u dołu), będące zupełnie tych samych wymiarów jak owo już przez nas opisane, a sąsiadujące z lodżią; z tą tylko różnicą, że jest także oprawione w szlak prostokątny. Za tém oknem już róg budowli, więc kończy ją owa plecionka czyli liścianka szeroka rzeźbiona, obrębująca krawędzie pałacu.

Od góry, wzdłuż całego piętra, gzyms niezmiernie sztucznie wyrabiany. Na występach jego po obu krawędziach pałacu także siedzą lewki. Takie tu wszystko weselne, kochające i kochane — téj architekturze tylko żyć i rozkoszować.

Drugie piętro niższe od pierwszego, jednak zupełnie z tym samym rozkładem. Więc w środku lodżia na sześciu łukach, daléj po jedném oknie wielkiém z obu stron, potém ów pas szeroki; dalej z obu stron okno mniejsze; za niemi ściana jednostajna ze szlaczkiem

ze wszech stron, a w środku z tym kwadratem oprawnym w szerokie bogate listwy; a nakoniec znów okno wielkich rozmiarów; nareszcie plecionka; ta atoli kończy się tutaj już kapitelem bogatym; na gzymsie już nie ma onych lewków.

Nie trudno nam teraz wywróżyć sobie i harmonijny stosunek wszystkich piętr do siebie. Bo lodżie wraz z dwoma oknami po obu stronach odpowiadają pięciu dolnym arkadom poziemia; okno mniejsze oknom na dole; te gładkie ściany obu pięter, obwiedzione owym bogatym szlakiem, odpowiednie są równie takowym przestrzeniom dolnym, choć mniéj strojnym; nakoniec ostatnie okna obu pięter mają odpowiednie okna na dole; a owa strojna plecionka na krawędziach pałacu, lubo poprzecinana gzymsami, bieży od dołu do góry pod sam dach. Tak widzimy, że i wszystkie te piętra, że tedy i w kierunku pionowym części architektury zestrajają się z sobą, łączą się w jedność wspólnego kamertonu, lubo z drugiéj strony gzymsy, szlaki, oddzielając je od siebie, bronią od spływania ich, i jawnie je oznaczają jako części osobne (*).

Ukończmy sobie w wyobraźni cały rysunek, dodając najwyższą część pałacu. Nad szlakami, nad gzymsem drugiego piętra wznosi się mur złożony w kratki poprzeczne, a nad nim jakby to wyższe, to niższe pałeczki korony unoszą się w powietrze, wieńczą od góry to fantastyczne a tak prześliczne budowanie; a na samych końcach,

(*) My w tém skreśleniu Ca' d'oro uważamy, jakby ten pałac miał po obu stronach lodżyi zupełnie symetryczne części; tak jak gdyby np. każdéj ozdobie, każdemu łukowi, każdemu pasowi, będącemu po prawéj stronie lodżyi, odpowiadała takaż ozdoba, takiż łuk i takiż pas po lewéj jéj stronie i temu opisowi odpowiedni dodaliśmy wizerunek na naszéj figurze 9*a*. Lecz uważmy, że Ca' d'oro w rzeczy saméj nie była nigdy zupełnie wykończoną. Brakuje jéj części lewéj (lewéj dla nas patrzących się na nią), zaczynając od okna, które jest drugiém od lodżyi —, zatém w tym opisie, wedle istniejącéj prawéj części, dopełniałem lewą, a więc czyniliśmy obraz, jaki rzeczywiście istniał w duchu mistrza-budownika (*). I to właśnie jest rzeczą osobliwą, że gdy się zdarzy w Wenecyi budowa jaka, która nie jest skończona, prawie zawsze brakuje jéj części w kierunku pionowym, niby skrzydła pałacu, gdy w innych krajach najczęściéj niedokończenie pokazuje się brakującém piętrem wyższém. Słusznie uważano, że ta osobliwość w Wenecyi ztąd pochodzi, że niezmiernie trudno było o miejsce, mające być fundamentem i węgłem dla budowli, trzeba je było dopiéro stworzyć, bijąc pale. — Czytelnik zważy, cośmy rzekli, iż lubo gotycyzm wenecki wielce poślubił się ze Wschodem, tak już najmocniéj ze wszystkich budynków Wenecyi Ca' d'oro przypomina maurytańskie fantazye. I tak jak arabskie najświetniejsze dzieje są epizodem w epoce średniowiekowéj Europy, jak styl architektoniczny tych Maurów krewni się ze stylem gotyckim budowania średnich wieków (Listy z Krakowa L. XXVII i XXVIII) — tak też, jakby dla naszéj wielkiéj dogodności, obok pałacu Foscari, co jeszcze niby gotycki, staje Casa d'oro, co już prawie maurytanką czystéj krwi.

(*) Podajemy w niniejszém wydaniu dwa widoki pałacu d'oro, jeden przedstawia jego pierwotny plan, nie wykonany w rzeczywistości (Fig. 9a), drugi (Fig. 9b) podaje rzeczywisty pałac d'oro, jak był zbudowany i jak istnieje po dziś dzień. — St.



kędy już ustaje korona, siedzą znów lewki, jednak roślejsze niż owe umieszczone na gzymsach poziemia i pierwszego piętra.

Teraz powiążmy sobie w wyobraźni te piękności wszystkie, pomyślmy, że nawet najmisterniejsze szczegółki są cudnie wdzięczne, że nawet słupki marmurowe w balustradach, same przez się, są

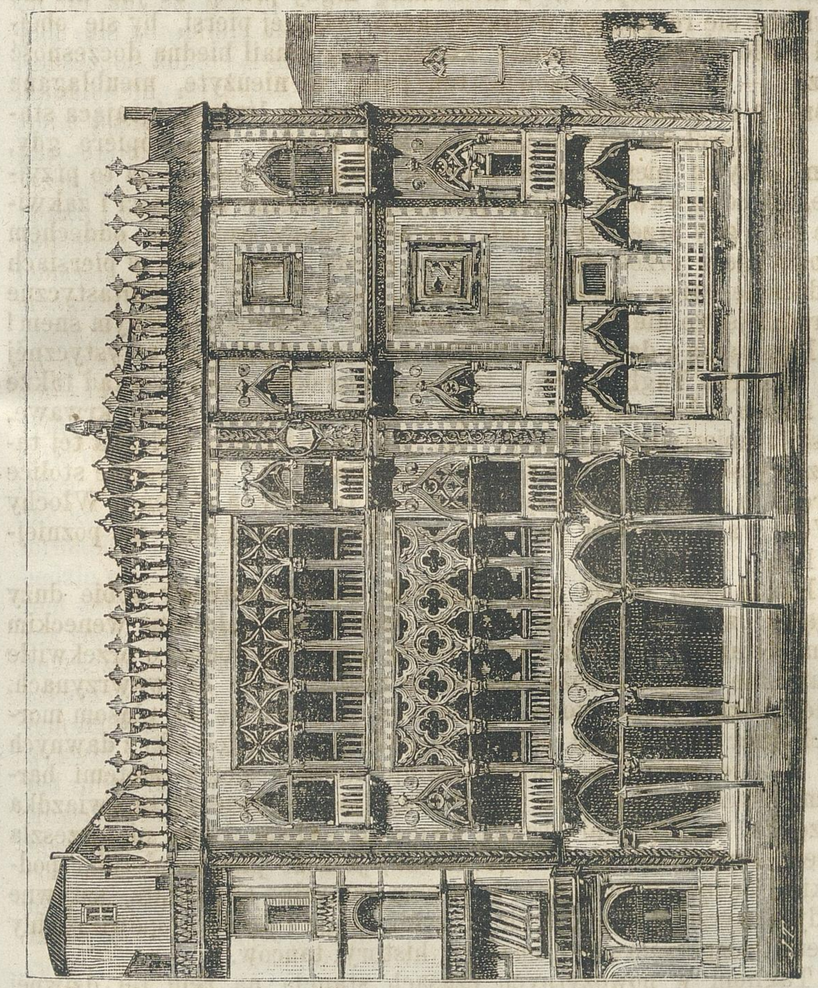


*Fig. 9b.* **Pałac Ca' d'oro (w rzeczywistości).**

arcydziełkiem prawdziwie mistrzowskiém, a przyznacie żem słusznie twierdził, jako ten pałac jest fantazyjką wschodniego poety, zrodzoną wśród swobody Arabii szczęśliwéj, a przeniesioną do szczęśliwéj a świetniejszéj jeszcze Wenecyi. Więc téż téj architekturze tutaj tak lubo i błogo; ona, przezierając się w zwierciadłach Adryatyku, cieszy się swojemi wdziękami i uśmiecha się do własnych nie-

wypowiedzianych uroków. Lecz przenieśmy sobie w myśli ten pałac w strony, kędy słotne szarugi a wielomiesięczne śnieżne zawieje i wszystkie moce zawistne materyi dławią życie w naturze i życie w duchu, — kędy biedny człek od poranku do wieczora twardym trudem, krwawym potem walczy o chleb powszedni, kędy tak boleśnie łamie i szarpie się z nieustanną nigdy pracą, że już nie ma chwili by się rozpatrzył w przybytkach własnéj piersi, by się obejrzał około siebie na te kwiaty, któremi Bóg umaił biedną doczesność naszą; — przenieśmy, mówię, ten pałac w nieużyte, nieubłagane strony, a ta architektura fantastyczna, bogata, lśniąca, igrająca stanie się cierpkim wyśmiechem i zatrutą ironią. Cóż dopiéro gdy, krom krzywd niesfornéj bezlitośnéj przyrody, jeszcze na to przyjdzie, że co krwawym znojem posiejesz, wyrośnie w boleści i zakwitnie łzą; gdy przez życie całe nie odetchniesz szerokim oddechem a posiwiejesz przed czasem; gdy za młodu pogrzebiesz w piersiach najdroższe serca ochoty — powiedz, czyli wtedy to fantastyczne czarodziejstwo nie będzie bajką wierutną, złowrogim nocnym snem!

Dziś panią a dziedziczką téj Ca' d'oro, téj ślicznostki artystycznéj jest tancerka Taglioni (*) — ta córa zamorskich krajów, zkąd także idą innym ludom mroźne zawieje a zkąd im poszły burze krwawe, klęski i śmiertelne wywroty. Bo, jak może wiecie, kolebka téj tanecznicy stała w onéj smętnéj pamięci Szwecyi. Wszystkie stolice Europy, a mianowicie Paryż, głosiły jéj tryumfy, a w końcu Włochy i Wenecya ofiarowały jéj cichy przytułek a pokój luby na późniejsze lata.

Panna czyli raczéj pani Taglioni, wytańcowawszy sobie duży majątek, zakupiła podobno aż trzy czyli cztery pałace na weneckim Canal Grande. Ona dziś (w r. 1852), mniéj już dbając o przekwitłe a zawodne młodości róże, odpoczęła mądrze sobie na wawrzynach, co jéj rodziły złote owoce. Tutaj ona przypatruje się pląsom morskich igier dekoracyom, co je roztoczyły poety-budowniki z dawnych lat, a co je codzień na świeżo maluje italskie słońce złotemi barwami. Życzmy jéj z serca, by jéj długo jeszcze świeciła ta gwiazdka szczęścia, bo Taglioni zrobiła swoje na świecie, i ona nie przeszła daremnie przez życie. Wszak to ona, jeszcze piętnastoletnim podlotkiem będąc, wywróciła z kretesem teatralne skostniałe, sztywne mody, i wyrzuciła na śmiecie zatęchłe stroje i przedpotopowe reguły baletu i rozpoczęła nową epokę w historyi tańców.

Taglioni w nowożytnych czasach stanęła na reju téj dziwnéj sztuce, w któréj człowiek sam mistrzem i zarazem sam własném dziełem artystyczném, w któréj on zarazem jest treścią i formą, bo przepromienia własnym duchem własną postać i ruchy, nadając im rytm i dźwięk.

(*) Marya *Taglioni*, ur. 1804 r. w Sztokholmie; w r. 1832 wyszła za mąż za hrabiego de Voisins, a od r. 1847 opuściwszy scenę żyła we Włoszech.— St.



I tańce mają swoje miejsce w świecie artystycznéj piękności! A jakże nie! — Bo jeżeli prawda, że każdy rodzaj sztuki pięknéj jest uzmysłowieniem nieskończonéj idei we formach materyalnych, toć i taniec zdoła być tém uzmysłowieniem idei; a to może tém więcéj, że przecież w żywém ciele ludzkiém już sama przez się przemieszkuje nieskończoność i idea, co wié o sobie; bo to ciało jest duszy nieśmiertelnéj przybytkiem, która wié o wiekuistości swojéj. Tak taniec już znajduje gotową formę, bo postać cielesną, znajduje już gotową treść téj formy, bo duszę, bo uczucia, bo myśli jéj. Chodzi tedy jedynie jeszcze o to, aby treść ta przeniknęła formę, aby ciało stało się idealném, aby się stało wyrażeniem ducha i uwidomieniem jego.

Lekkość, lotność rusałki, sylfidy, oznaczające panią Taglioni, już jawnie świadczą, że w tańcu ciężkość materyi jest pokonaną duchem, że idealność przezwyciężyła moce ziemskie. Ztąd téż ta rozkosz, to wesele wewnętrzne, gdy widzimy na oczy zmysłowe ową apoteozę postaci śmiertelnéj, co już uskrzydlona, już ulotna, choć jeszcze na ziemi, choć jeszcze za życia.

Przecież ta lekkość a panowanie duszy nad ciałem, same przez się wzięte, są dopiéro jedynie przymiotem ujemnym, bo dowodzą tylko władztwa ducha nad cielesnością, nie wystarczą tedy w tańcu, o ile on jest prawdziwie sztuką piękną; bo w sztuce nie dość, aby duch pojawił wyższość swoją nad materyą, lecz winien jeszcze okazać czém on jest, winien całą treść swoją idealną wyrazić w tych formach ciała swojego. Gdy tego dokaże, wtedy dopiéro tanecznik będzie mistrzem, wtedy postać jego stanie się przezroczem, w którém zaświeci duchowość człowieka właściwym sobie wyrazem. Gdy zaś tego nie dopnie, gdy tylko zdoła okazać wprost władztwo ślepe ducha nad materyą, wtedy on, mając jedynie przymiot ujemny, nie będzie artystą ale skoczkiem; wtedy sztuka jego zejdzie na sztuczność, na sztukę łamaną, a za całą zaletę stanie tylko mechanizm, wprawa, rzemiosło techniczne. Taki wrzekomy artysta będzie uważał tę wprawę a technikę za cel, a ona przecież, jak widzimy, jest środkiem tylko. W tém skręceniu wyobrażeń właśnie będzie wina i poniżenie takowych niby artystów.

Atoli każdy rodzaj sztuki ma swoją stronę li techniczną, mechaniczną, któréj mistrzowi lekce ważyć nie godzi się; bo się bez niéj nie obejdzie, a ta strona jednak zawsze jest tylko środkiem a nie celem. Wszak wartoby było rozebrać, zkąd się to bierze, że w naszych czasach właśnie dwie owe sztuki — taniec i muzyka, — bardziéj niż wszystkie inne rodzaje sztuki tak się często wyradzają w mechanizm i w jakieś kunsztyki łamane. Rozwiązanie téj zagadki tém więcéj zaiste byłoby zajmującém, że obie te sztuki, choć tak spokrewnione z sobą, przecież znów są niby wręcz odwrotne; bo jak taniec jest sztuką zewnętrzną, tak muzyka tonami gra we wnętrzu czło-

wieka, i jak tamten odnosi się do oczu, tak ta wiąże się ze słuchem naszym.

To nadużycie obu tych rodzajów sztuki jest tém osobliwszém zjawiskiem, że w obu przecież nie brakło wzorów szlachetnych; bo i pani Taglioni i inne tancerki pewnie zasługują na imię artystek w najwyższém znaczeniu; wszak i muzyka szczyci się prawdziwie wielkimi mistrzami. Gdy atoli, mimo tych zacnych przykładów, w obu tych rodzajach sztuki ciągle a ciągle pojawiają się rzemieślniki, którym sztuka jest kuglarstwem niegodném; gdy, co jeszcze gorzéj, my sami dziś jeszcze poklaskujemy chętnie i rzęsisto sponiewieraniu sztuki prawdziwéj; toć zaiste dowodzi, ile jeszcze na dnie naszego wrzekomo cywilizowanego wieku jest rubaszności i barbarzyństwa.

I popłynęła sobie morzem Ca' d'oro; bo raz na jawie, a drugi raz w wizerunku wodnym, drgającym, rozpłynnym. A jeżeli już gdzie, to w obec téj czarodziejki umocnisz w sobie przekonanie, że architektura weneckich pałaców żąda koniecznie morskich fali, by miała w czém się przeglądać, by jako wdzięczyć się do siebie; a rzekłbym, że owo budowanie maurytańsko-gotyckie, niby kwiat morskiéj toni, z dna Adryatyku wyrósł. Ta architektura zostałaby zagadką niezrozumiałą wśród ludów, wśród skał lub sosien ciemnych, poważnych, wśród smętnéj biedy.

Lecz ujechaliśmy daleko, bo prawie naprzeciw Ca' d'oro, na lewym brzegu kanału dźwignął się niesłychaném bogactwem *pałac Pesaro*. On tak przepyszny a zamożny, tak sobie nie żałował na wystawność, że iście one budowania, co w innych krajach pałacami zowią, w porównaniu z nim mają minę niewymownie głodną i chłodną, szaraczkową. I nie mogło być inaczéj. Pesarowie nie sknerzyli, gdy sobie raz powiedzieli, że trzeba się światu z pańska pokazać; więc z ich dłoni otwartéj płynęły strumienie złota. A gdy architektem był właśnie ów już znany nam *Longhena* (*), ów mistrz tak błyskotnie paradujący, co wystawił S. M. della Salute, więc zrozumiecie, jakto on i tutaj umiał świecić i stroić i ubierać. Wszak świetność a dekoracye w pałacu Pesaro, to nie blichtry kłamliwe, to nie dekoracye kulisowe, co zmyślając wspaniałość, kędy iście raczéj pyszka z biedą się pobrała. Pałac Pesaro jest zaiste całemi usty wielkim panem — on jest zaprawdę tém, za co się udaje. Pesarowie w nim pokazali, na co ich stać, a Longhena po swojemu pokazał, jakto on rozumie okazałość, świetność i przepych prawdziwy.

Bujał też i pozwalał sobie po swojemu Longhena. Więc w roku 1650 stanął ten pałac jako jeden z najwspanialszych w Wenecyi, a nawet we Włoszech całych. Przecież ta jego architektura jest już przywiędłym renesansem; pod niesłychaną wystawnością a pa-

(*) Zob. powyżéj str. 185.



radą widać, jak już mdleje i obumiera prawdziwe estetyczne uczucie, jak piękność rzetelna poświęcona ozdobie przesadnéj.

Oto sam dół już świadczy, jak się zuchwaliła pycha i wytworność. Podmurowanie tego pałacu ubrało się w tłumy misternie bogate rzeźbionych dziwaków; strach patrzéć, jakie to stworzenia nie boskie się wylęgły z tych ciosów i obsadziły je sobą w okół; kędy spojrzysz — gmerzą, ruszają się larwy, brzydaki, ohydki, potworne gęby; jakieś maszkary, szatanki przebrały się w formy zwierzęce i odprawiają piekielne wesela. Rzekłbyś, że tu hulała imaginacya ongi miss *Anny Radcliff* (*), co tak lubiła wieczorem pożywać ciężkie niesforne potrawy, by sobie do kompanii przywołać sny gorączkowe, pełne strasznych, szalonych marzeń; więc też w tych jéj snach nawiedzały ją rozhukane widziadła fantazyi i bujały swawolą obłąkańców, wydrzéźniających się zapustnym demonicznym szałem. A gdy strachy piekielne, waryackie zagrały już fortissime — wtedy budzi się miss Anna, i szczęśliwa, co tchu się zrywa z łóżka, i błyskawicą pędzi jéj pióro po papierze — a co napisze, tém już częstuje czytelnika swojego. Widzicie, że ciężki, tłusty plum-pudding jest także receptą na poetyckie natchnienia. Nie dziw tedy, że ta zacna dama ze swoich romansów nasyłała nam za młodości naszéj febralne majaki, co zrazu zasnąć nie dały, a potém na dobitek wydrzéźniały się i straszyły we śnie, wybijając na piękne z głowy grammatykę łacińską.

Nie wdajemy się w bliższe opisy tego pałacu Pesaro, bo nam przecież nie o sam przepych chodzi; a nadto już z ukosa przez kanał, więc po prawym brzegu jego rozwinęła się nam zacna architektura, co warta, abyśmy jéj cześć naszą złożyli, bo ona z piękności prawdziwéj i z wieszczego natchnienia ród swój wiedzie; jest to *pałac Vendramin-Calergi*.

Pałac Vendramin, niegdyś Loredan, jeszcze przez Sansovina, co przecież nie lada znawca, był policzony między cztery najpiękniejsze pałace Weneckie. Powyżéj skreśliłem wam jako-tako obrazek dwóch z tych czterech pałaców, bo *Cornaro* i *Grimani* (a S. Luca); teraz jeszcze powiemy kilka wyrazów o trzecim z nich, bo o Vendramin; a te trzy architektury wystarczą nam sowicie; czwarty mimo siebie puścimy, bo on już mniéj jest przedstawcą pewnéj osobnéj epoki, więc już nim nie myślę trudzić czytelnika mojego.

Pałac Vendramin jest kompozycyi *Piotra Lombardo*. Ten Piotr był czołem a zacnym przodkiem całéj rodziny mistrzów-budowników w Wenecyi (**); on był architektem oraz rzeźbiarzem, a kwitnie w drugiéj połowie XV wieku; zgadujecie przeto, że już nawet dla tego warto się przypatrzyć dziełom jego, iż one jawią nam pierwszą

(*) Anna *Radcliff*, znana powieściopisarka angielska, ur. 1764 † 1823 r. — St.
(**) Zob. powyżéj str. 149.

epokę przebudzonéj fantazyi — więc owe czasy, w których świat artystyczny, wyzwolony z pod jęctwa wieków średnich, świeżą myślą, odmłodnioném uczuciem zwrócił się do sztuki starożytnéj, studyując zabytki i okruchy klassyczne staréj Romy. A tak jest głównym wyobrazicielem architektury renesansowéj w Wenecyi.

*Marcin Lombardo*, także znakomity artysta, był krewnym Piotra (*), a ten miał trzech synów, z których każdy promienił świetnemi talenty — a zwali się oni *Tullio*, *Antonio* i *Giulio;* na tém jednak nie dość jeszcze, bo Giulio miał syna *Sante*, który również wyszedł na arcymistrza wielkiéj chwały. Byli inni jeszcze artyści Lombardo w Wenecyi, a przecież nie są już krewnymi tamtych. A małaż to rzecz, gdy w jednéj familii zrodzi się aż sześciu wielkich mistrzów! Takto bywa czasem na świecie! Gdy anioł opiekuńczy łaskaw na jakąś rodzinę, to i bardzo łaskaw, a nie żałuje jéj wieńców świeżych i coraz świeżych. Wszak i dziś Francya szczyci się Vernetami, co od kilku pokoleń odradzają się nowym a świetnym talentem. I my mamy naszych Kochanowskich, i tuszymy sobie nadzieją, że talenta, co się pojawiły w jednéj z naszych rodzin muzykalnych, nie zawiodą naszego oczekiwania. Najczęściéj atoli inaczéj bywa; zwykle geniusz, wysiliwszy się w ojcu, odpoczywa sobie w synie i zasypia w nim. Więc ten skazany, by o wątłych siłach dźwigał przez życie brzemię wielkiego imienia. A biedaczysko tém serdeczniejszego pożałowania wart, że bez téj niedogodnéj dla niego sławy ojcowskiéj uchodziłby często za wcale niepośledniego człowieka. Jednak, cóż się dzieje! publiczność mierzy syna sławą ojcowską, więc téż w okamgnieniu wzrost jego kurczy się w karła i przymioty jego stają się w oczach ludzkich niepoczesne i tuzinkowe.

Lecz nawróćmy do naszego pałacu *Vendramin-Calergi*. Czytelnik zechce unaocznić sobie ogół téj budowy *widokiem głównéj facyaty, którą tu przedstawia nasza fig. 10* (str. 249).

Najprzód — cechą charakterystyczną a przeważną całéj wystawy głównéj (facyaty) jest ogrom okien, co o prześlicznych wymiarach spuszczają się do saméj podłogi każdego piętra (więc to niby drzwi, jak to zwykle bywa we Włoszech). Te okna są u góry o łukach krągłych, które spoczywają na kolumnach; każdy z tych łuków obejmuje w sobie dwie mniejsze arkadki tegoż rysunku, a spierające się w środku samego okna na kolumnie wspólnéj, która rozdziela całe okno niby na dwie części. Miejsce próżne między łukiem wielkim a temi dwoma pomniejszemi, zajęte jest przez koło, niby wielki pierścień, który przeto, jak widzicie, dotyka od góry wewnętrznéj strony owego wielkiego łuku, a od spodu spoczywa na stronie zewnętrznéj owych dwóch mniejszych arkad. Tak tedy z rzeczy saméj wynika, że po obu stronach tego pierścienia powstaje rodzaj trójkąta o bokach kulistych. Te trójkąty, podobnie jak i pierścień, są na wylot rzeźbione. Wszak to wszystko przypomina nam rozdział

(*) Niektórzy historycy sztuki sądzą, że *Martino Lombardo*, kwitnący około 1480 roku, jest *ojcem* Piotra, dla tego, że ten ostatni nazywanym bywa *Pietro di Martino*. — St.



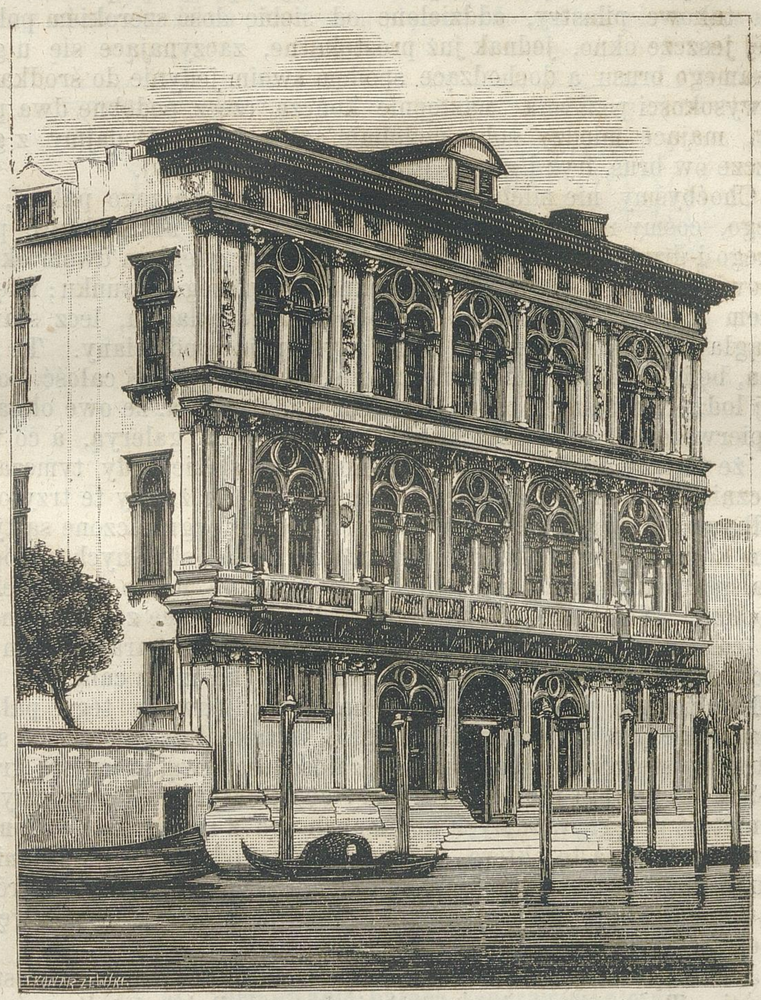


*Fig. 10.* **Pałac Vendramin-Calergi.**

w oknach gotyckich, atoli w tym pałacu łuki są krągłe a nie ostrołukie. Widzimy tedy w nich czas pierwszego renesansu obok wspomnień z epoki gotyckiéj.

Teraz rozkład.

A najprzód poziemie. — W środku brama o krągłéj arkadzie; ona jest ogniskiem całéj téj dolnéj kompozycyi. A gdy dalsze części te architektoniczne są z obu stron takie same, więc co o jednéj stronie powiemy, tyczyć się będzie i drugiéj. Tak tuż obok bramy pilaster z kapitelem korynckim; potém okno jak powyżéj opisane; daléj dwa takowe pilastry, oddzielone od siebie dość szerokiém polem; daléj jeszcze okno, jednak już prostokątne, zaczynające się u góry od samego brusu a dochodzące spodem swoim jedynie do środka całéj wysokości poziemia; następnie kończą rzecz podobne dwa pilastry, mające między sobą podobnie takie pole. Dodajmy z góry jeszcze ów brus, fryz i gzyms prześlicznych proporcyj.

Choćbyśmy nie mieli przed sobą wizerunku naszego pałacu, już z tego, cośmy rzekli, łatwobyśmy złożyli sobie architekturę pierwszego i drugiego piętra. Jakoż bramie i przyległym dwóm oknom odpowiadają na obu piętrach trzy okna powyższego rysunku; między oknem a oknem już nie ma onego płaskiego pilastru, lecz stanęła okrągła koryncka kolumna, silnie występująca od ściany. Te trzy okna, będąc blizko siebie umieszczone, składają jakąś całość, bo rodzaj lodżyi; a jedność téj całości tém wydatniejsza, że owe okna są, na pierwszém piętrze nawet, połączone wspólną galeryą, a co więcéj, że te trzy okna lodżyi są bardzo blizko siebie, gdy tymczasem znacznie oddalone są od okien następnych. Jakoż, gdy te trzy okna środkowe, tworzące niby główne ciało piętra, rozgraniczone są tylko jedną kolumną, przeciwnie między każdém z okien skrajnych téj lodżyi a dalszém oknem widzimy dwie kolumny, które nadto przedzielone są polem. Następnie widzimy, że te okna, kończące z obu stron pałac, całe są również tych samych wymiarów, i że para kolumn korynckich, oddzielonych takiémże polem, zamyka rzecz całą.

Nie trudno wyobrazić sobie harmonią i powagę tego pałacu. Mianowicie już te olbrzymie okna, i te tak silnie a przecież szlachetnie występujące gzymsy nadają całości osobliwą, uroczystą grozę. A obok téj powagi nie brak téż i gry architektonicznéj; zważmy np. rozmaitość potęgi w samych kolumnach, bo z rzeczy saméj wynika, że innéj miary są te, które oddzielają okno od okna, a innéj miary te, na których spoczywają arkady okien. Wszak widzimy, jak różną falą biją arkady, z których jedne wielkie a drugie o połowę są mniejsze, bo po dwie w tamtych objęte.

Jest więc tutaj nielada ruch i życie obok poważnego majestatu całości. Ten ruch gra i potęguje się jeszcze silniéj, jeżeli porównywać będziesz piętro z piętrem; bo lubo co do ogólnego charakteru oba piętra a nawet poziemie są wielce do siebie nastrojone i podobne, przecież i one w tém podobieństwie unikają jednostajności i ckliwego powtarzania. Najprzód, pierwsze piętro, jako najcelniejsze, jest wznioślejsze od drugiego, a tém bardziéj wyższe niż poziemie. I w poziemiu i w obu piętrach jest wprawdzie zachowany tak strojny i bogaty porządek koryncki, lecz na pierwszém piętrze kolumny



(czyli raczéj półkolumny) są żłobkowane, a nadto, wszystkie kapitele są nawzajem między sobą połączone zwojami kwiatów; tymczasem na poziemiu widzimy, zamiast kolumn czyli półkolumn, pilastry; a zwoje kwiatów łączą te tylko pilastry, które parami stanęły obok siebie. Daléj — gdy powyżéj wspomniane pola, rozdzielające kolumny od siebie, są na pierwszém piętrze zdobne jedynie w obwódkę,



*Fig. 11.* **Belkowanie pałacu Vendramin-Calergi.**

a w środku mają kółko rzeźbione, téż pola na drugiém piętrze, jako wyższém, lżejszém, świecą właściwym strojem, bo niby na wstędze zawieszony okrągły medalion z głową lwią, a późniéj jeszcze maską. Spostrzegamy również, że na poziemiu jako dźwigającém, więc poważniejszém, te pola, przedzielające dwa przyległe pilastry, są tylko obwiedzione rąbkiem i nie mają nawet onego kółka w środku wyro-

bionego. Wspominam o tych niby małych rzeczach, dla tego, że, choć nie pozorne, świadczą o misternym takcie i uczuciu artystycznem mistrza.

Fryz pierwszego piętra ma za jedyną ozdobę swoją wyrabiane kwadraciki, niby strojne ramy, a przypadające po jednemu nad każdą główną arkadą. Fryz (nadbrusie) poziemia ubrany w bogate sporniki; a tymczasem fryz nad drugiém piętrem szeroki, silny, ustroił się szeregiem różnych niezwykłych a trochę dziwacznych figur. Między niemi przeważają orły, bo jest ich aż dziewięć umieszczonych symetrycznie nad kolumnami; a krom tego, dwa pędzące jednorożce (!), dwie urny (!!) i dwa skrzydlate serca (!!!).

Przecież, jeżeli temu belkowaniu (brusowaniu) na figurze naszéj bliżéj się przypatrzymy, trudno nie widzieć artystycznego instynktu w tych formach arcy szczęśliwych. Rozpoczynając od dołu, widzimy jak wdzięcznie rozczłonkowany brus główny (architraw); tu przystrojów prawie żadnych nie widać, cała piękność we wzajemnych proporcyach. Nad tym brusem głównym staje druga część całego brusowania, bo nadbrusie czyli fryz, który tak wielkich wymiarów, a na którym właśnie pysznią się owe orły i inne figury, a kończy całość trzecia część brusowania, bo gzyms (krajnik, wieniec). Wszak członki tego gzymsu są wielce szlachetne, szczęśliwie dobrane. Tak tedy całe brusowanie, a w szczególności trzy jego części, główny brus, fryz i gzyms stanowią kompozycyą zacną a pełną harmonii.

Trzy okna pierwszego piętra są, jak się rzekło, połączone wspólną, jednostajną galeryą, więc wspólną balustradą; galeryą własną opatrzone téż jest każde z dwóch okien osobno umieszczonych. Tych balustrad atoli nie ma na drugiém piętrze.

Uważmy jeszcze, że z pięknością architektoniczną łączy się tu błyskotne bogactwo samego materyału. Kolumny z marmuru greckiego wykładane we verde antico, wysadzane serpentynem, porfirem, obok uroczystości linij swoich i kształtów szlachetnych, ubierają całą wystawę strojem równie kosztownym, jak pełnym smaku.

Wpatrując się w ogół téj architektury, tak poważnéj i majestatu pełnéj, chętnie przyznajemy, że pałac Vendramin liczy się słusznie do najpiękniejszych w całéj Wenecyi a może i we Włoszech. Lecz z drugiéj strony dziwnie nas uderzają szczegóły i ozdoby niezwykłe. Tak np. owe jednorożce, serca i t. d. i cała owa ozdoba fryzu jakaś dziwaczna, jakaś osobliwa, nie swoi się z naszém uczuciem artystyczném, wykształconém na starożytnych wzorach. Możeby także jaki krytyk surowszy krzywił się widząc, że na poziemiu i na pierwszém piętrze i na drugiém piętrze zachowany jest w płaskosłupach (pilastrach) i kolumnach porządek koryncki, co przecież tak lekki i strojny, że mu raczéj do twarzy stawać na innych porządkach, niż dźwigać ciężkie brzemię architektoniczne, do czego porządek dorycki daleko stosowniejszy. Tak podobnie pilastry poziemia zdają się zbyt misterne, zbyt słabe w porównaniu kolumn pierwszego pię-



tra. Jakoż nasza *figura 12*, przedstawia nam część głównéj bramy, więc część wyższą jéj węgaru (podwój) czyli pilastru, na którym wznosi się arkada bramy (nałęcz, archiwolta) i cząstkę téj arkady. Wszak to formy miłe i wielce wdzięczne, wykonane strojnie i ozdobne; wszak nawet te armatury wyrzeźbione na pilastrze są tutaj wielce stosowne. One nie tylko stosowne są z treści, bo to ładnie patrzy, gdy na wstępie do domu zawieszone zbroje i oręż, lecz one również rysunkiem się nadają do pilastru, bo nie psują w nim wyrazu dźwigania, podpierania, bo one wiszą, mają się pionowo; ten takt nie zawsze widujemy w architekturach wczesnego renesansu, ani też w naszych czasach. Lecz za to przyznajemy, że i ten pilastr i ta archiwolta jest zbyt wązka, zbyt delikatna, misterna, a tak mniéj odpowiada przeznaczeniu swojemu, zwłaszcza, iż się znajduje na poziemiu, więc z istoty swojéj, jako część dźwigająca, winna miéć formy silniejsze i cięższe. Cała ta delikatność i słabowitość tego pilastru i archiwolty będzie jeszcze dla czytelnika wydatniejszą, jeżeli naszą figurę 12 porównywać zechce z fig. 10, a tak okaże się, jako ten płaskosłup jest wysoki, jak nałęcz jest ogromnym łukiem w porównaniu z ich małą szerokością.

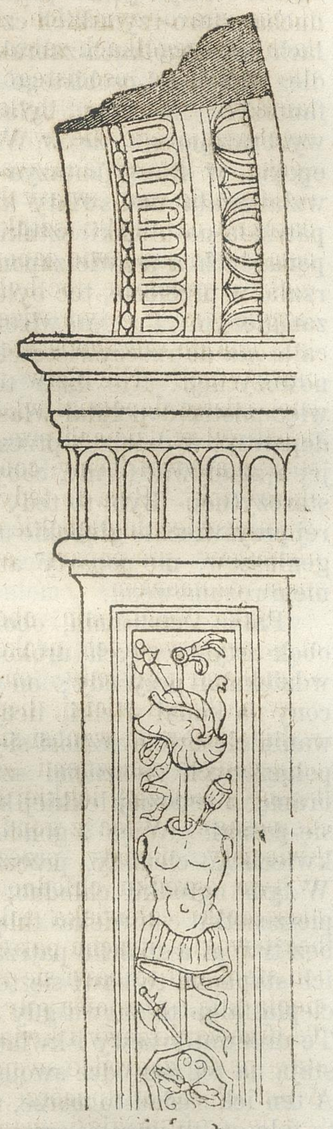


*Fig. 12.* **Nałęcz i Węgar z pałacu Vendramin-Calergi.**

Te zagadki atoli rozwiąże nam cyfra, bo rok 1481, w którym Lombardo skomponował ten pałac. Był to, jakem rzekł, czas, w którym świat dopiéro przetarł oczy po onym lat tysiącu przebytym w średniowiekowych ćmach i zaczął uczyć się wzorów starożytnych. Te kształty wspaniałe, uroczyste, staro-rzymskie, które widywał włoski mistrz na ojczystéj ziemi swojéj, potrąciły fantazyą jego, podniecając do twórczości świeżéj, odmłodnionéj. Lecz brakło jeszcze umiejętnego rozpatrzenia się w tych zabytkach sztuki, niedostawało wiadomości, mogącéj wyjaśnić zwroty klassycznéj fantazyi, i jéj różne epoki.

Mistrz radził się tedy li samego instynktu artystycznego i szczęśliwego natchnienia; za tém poszło, iż własny geniusz jego podał mu ogólne formy, pełne piękności i uroczystéj powagi, przypominające ducha staro-rzymskich czasów. Z drugiéj strony atoli w szczegółach i szczegółkach zabrakło mu jeszcze wątku; więc je tworzył wedle własnego osobistego smaku lub z tradycyi średniowiekowéj fantazyi. Słowem, była to epoka najwcześniejszego renesansu, wyobrażającego się w Wenecyi przez rodzinę Lombardów; była to epoka, w któréj fantazya nowoczesna, rozpiąwszy skrzydła swoje, wzlatywała nad światy klassycznéj piękności, i jakby rozkochana, patrzała na ułomki sztuki staréj, zostawione nam w upominku od pomarłych a prawie zapomnianych ludów. Przecież, czego ona dojrzała w przelocie, toć było jedynie jeszcze wizerunkiem rozpłynnym, zamglonym; i z tym wizerunkiem, z tym obrazem rozwiewnym wracała ona do rzeczywistości współczesnéj, czyniąc go wzorem sztuki nowożytnéj. Nie dziw tedy, że wzór takowy jéj nie wystarczał; więc mistrz dopełniał własnym pomysłem, czego się był jeszcze nie dopatrzył w dziejach przeszłości; więc śledził i szukał w duszy swojéj a zgadywał formy, coby mogły nadać się do ogólnéj modły sztuki starożytnéj. Była to tedy epoka doświadczania się, uczenia się, któréj przyświecało głębokie uczucie artystyczne i którą wodził instynkt geniuszów, nie poparty atoli jeszcze umiejętną wiedzą i przekonaniem rozumowém.

Pałac Vendramin, obok potężnych wymiarów swojego obszaru, obok artystycznych uroków swojéj architektury, umaił się jeszcze wdziękami przyrody; on przytulił do boku swojego ogród, co zwrócony na kanał wielki, licuje z jego główną facyatą. Na podmurowaniu ciosowém wznosi się nad morzem szereg filarków kamiennych, połączonych żelaznemi sztachetami; w środku ich od wody widać bramę z żelaznéj lekkiéj kraty, na pobocznych jéj filarkach unoszą się posągi. Więc z gondoli, więc z morza widzisz ten raik zielony, kwiecisty, cienisty, przezierający się w wodzie wiecznie ruchawéj. W tym ogródku chłodno, domaszno a lubo. Te dzieci Flory, te pieszczotki człowieka tulą się a swoją do niego; więc jemu ufając bez trwogi a strachu patrzą się na to dziejowładne morze, co tuż pod ich stopkami to bawi się teraz i igra niby dziecię pluskając drobną, ciepłą falą, to znowu gdy się zgniewa, tak się rzuca, ciska i sroży. Te drzewa, krzewy i kwiaty takie skromne i lube, one chętnie przestają na téj zagródce swojéj, na tém państewku drobném, skromném. A ten ich sąsiad to morze, ma całą kulę ziemską za ojcowiznę swoją; te fale, co tu igrają i swawolą, one zarazem bieżą w daleki — daleki świat! One biją i trojańskie pobrzeża i przyjmują do siebie olbrzymie toczące się rzeczne wody obojéj Ameryki, one słuchają bajek, co im prawi Egipt stary. Wszak to morze niegdyś zwierciadliło gwiazdę Betleemską, a dźwiga grody lodowe na biegunach świata; jemu powierzają Indye tajemnice swoje, ono się patrzy od lat tysiąców na skostniałe chińskie dziwaki.



---

Pałac Vendramin-Calergi jest dziś własnością księżny Berry (*).

Mówiono mi, że wolno oglądać ten palac i że wielce warto go widzieć. Nie dziw tedy, żem zwrócił uwagę na dwóch silnych lokajów, co błyszcząc czerwonemi inexpressiblami, dumali oparłszy się o kolumny bramy pałacowéj. Gondolierowie podpłynęli pytając, czyliby w téj chwili można obaczyć wnętrze. — „Custode wprawdzie wyszedł z domu“, odpowiadają „jednak co chwila z powrotem spodziewany; jeżeli tedy państwo zechcą się zatrzymać, doczekają się go niebawem“.

Wstępujemy tedy do sieni, co wielka, wspaniała, jakie rzadko spotykamy po pałacach weneckich. W końcu sieni po prawéj nie wielkie drzwi, te nam otworzono, zachęcając uprzejmie, byśmy weszli do onego ogrodu, by nam się nie przykrzyło czekanie. Lecz zaledwie widzieliśmy się wpośród tego zielonego wdzięcznego zacisza, gdyśmy zapragnęli, by pan Custode nie tak wielce śpieszył się z powrotem swoim.

Zostawiono nas samych, więc tém swobodniéj było nam zebrać się w sobie i oddać się téj przyrodce lubéj, miluchnéj, co tu wkoło wdzięczyła się barwą, kształtem, wonią i cieniem. Oleandry, laury, cyprysy, magnolie, figi, pomarańcze, cytryny i ten cały roślinny ludek, co u nas na północy taki trwożny, lękliwy i skurczony zimnem, tutaj sobie buja i patrzy swobodnie około siebie, rad sobie i niebu swojemu.

Tutaj zaiste przekonać się można, jako sztuką nadrobić możesz szczupłe przestrzenie. Jakoż boczna ściana pałacu, obejmująca sześć dość sporych, znacznie od siebie oddalonych okien, stanowi głębokość ogródka; a szerokość jego ciągnie się wzdłuż przybudowania, niby oficyn, co mieści w sobie dziewięć takich okien. Widzimy tedy, że choć, jak na Wenecyą, obszar taki wcale nie drobny, bo go trzeba było ogromną pracą na morzu zdobyć, tak znowu, wedle naszych wyobrażeń, ogródek to wcale maluchny, miniaturowy; ale rozłożenie mądre i dowcipne kląbów, prowadzenie szczęśliwe ścieżek, korzystnie z każdego miejsca nadaje temu ogródkowi pozór nierównie większych rozmiarów. A przecież nie widać tutaj drobiazgowego smaku, cackającego się niepoczesnemi wymysłami.

Niewypowiedziany to dla nas urok na téj długiéj drodze, na wielkim kanale, zatrzymać się w téj ciszy i patrzyć się na tę grę barw liści, co tu w promieniach słonecznych świecą odcieniem głębo-

---

(*) Po śmierci księżny Berry w r. 1870, pałac Vendramin-Calergi przeszedł na własność jéj syna hrabiego Chambord, księcia Bordeaux, pretendenta na tron francuzki. — St.

kim i jasnym, przezroczystym i złocistym. A kędy się krzewy, drzewa roztulą, przez liście, przez cień, przez sztachety widać, jak hula zlekka i pląsa morska fala; niekiedy to z daleka, to z blizka przemyka się gondola lub barka, słychać wołanie gondolierów, flisów — i znów wszystko na dworze, na kanale ucichło; w koło nas szczebiocą tylko ptaszki, ukryte w klatkach po gęstwinie kwitnącéj, i lekkie a lekkie fale, uderzając o podmurowanie sztachetów, wybijają takt do myśli twych, niby zegar natury, co daje znać o sekundach uciekających żyjącemu światu.

Więc tutaj mieszka księżna Berry, któréj życie jakby ustęp z czasów romantycznych rycerskich, któréj los obecny tak nastrojony do obrazu téj dzisiejszéj Wenecyi...!

W ogródku tym altanka splotem kaprykornu okryta, w niéj kanapka kamienna; tu spoczywając w zaciszy, trudno nie cofnąć się w głąb' wspomnień owych, co nam na myśl przywodzą najważniejsze epoki życia księżny Berry.

Wszakto ona była córką następcy neapolitańskiéj korony, późniejszego Franciszka I. Ona urodzona wśród czarodziejskiéj sycylijskiéj natury w Palermo (r. 1798) — lubo się jéj szczęście od kolebki uśmiechać zdawało, przecież już w dziecięcych latach była dotkniętą najokropniejszém nieszczęściem, które spaść może na młodość i na cały kierunek żywota; bo utraciła matkę swoją. Wychowana przez panią de Latour, Francuzkę, już od pierwszéj młodości spokrewniła się całém sercem z Francyą. Te jéj skłonności ziściły się w r. 1815; bo wtedy Ludwik XVIII posyła do Neapolu, prosząc o rękę młodéj księżniczki dla synowca swojego księcia Berry, drugiego syna hr. Artois (późniejszego Karola X). Księżniczka całą duszą zezwala na to małżeństwo, bo ono miało ją przenieść na tę ziemię, o któréj już oddawna na jawie i we śnie marzyła.

Księżniczka neapolitańska przybywa do Marsylii. Brak wszelkiéj dumy i sztywności dworskiéj, wesołość nieprzymuszona z serca pochodząca, nieudana łagodność, prostota obyczajów, dobroczynność i otwartość zniewoliły dla niéj wnet wszystkie umysły. Więc nie ma się czemu dziwić, że podróż jéj z Marsylii do Fontainebleau stała się podobną do pochodu tryumfalnego; wszędzie witano ją ze szczerą, niezmyśloną radością. Ta podróż może była najpomyślniejszą chwilą jéj życia, — nadzieje przyszłego szczęścia świeciły jeszcze jéj losom całą poświatą młodéj wyobraźni.

We Fontainebleau czekała na narzeczoną rodzina królewska. Król Ludwik wyjechał naprzeciw przyszłéj synowicy swojéj, która 17 Maja 1816 r. była zaślubioną w Notre-Dame w Paryżu.

Księztwo Berry, znawcy sztuki, wspierali ją całą siłą; niejeden młody artysta zachętą i pomocą ich hojną wyrósł na mistrza. Sztuka pod opieką młodego małżeństwa nabierała we Francyi swobodnego, śmiałego polotu. Ta miłość do dzieł artystycznych jak była najzacniejszą rozkoszą młodéj pary, tak była zaletą jéj, któréj nawet



niezaprzeczała niechęć dość cierpka w owoczesném cierpkiém nastrojeniu politycznem.

Dnia 21 Września 1819 r., urodziła się księżnie córka Marya Ludwika d'Artois (dzisiejsza księżna Parmy). Było to ostatnie szczęście, co jéj zaświeciło na ziemi francuzkiéj.

W kilka miesięcy późniéj, bo dnia 13 Lutego 1820 r., oboje księztwo udają się do teatru opery. Wśród gry ks. Berry, spostrzegając znużenie swojéj małżonki, zachęca ją by pojechała do domu na spoczynek. Z kilku dworzanami towarzyszy jéj do karety; uścisnąwszy jéj rękę wraca na operę; w bramie teatralnéj jeszcze raz obrócił się do księżny, mówiąc: Żegnam cię Karolino! Podniesiono stopnie karety, już miano zamknąć drzwiczki, gdy z boku przypada jakiś człowiek i jedną ręką przytrzymując księcia, drugą zadaje śmiertelną ranę. Książę Berry, widząc w piersiach swoich puginał po rękojeść utkwiony, woła: „Zamordowano mnie“! — Księżna, słysząc te słowa, rzuca się z karety i dosięgła małżonka swojego w chwili, gdy ten upada ogarniony śmiertelną niemocą.

Wśród rozpaczy swojéj małżonki, książę skonał następnego poranku, polecając troskliwości księżny dziecię, którego się miała stać matką — i prosząc króla Ludwika XVIII o przebaczenie dla mordercy. Zabójcą był Louvel, siodlarczyk.

Księżna Berry, pragnąc uczcić pamięć małżonka, zbudowała w Rosny obszerny gmach na cześć S-mu Karolowi Boromeuszowi. Środek był kaplicą poświęconą Patronowi jéj małżonka. Jedno skrzydło gmachu zostało przeznaczone na szpital dla chorych ubogich, drugie na dom wychowania dzieci ubogiego ludu.

Francya oczekiwała rozwiązania księżny tém ważniejszego dla państwa, gdyż książę Angoulème, starszy brat księcia Berry, nie miał dzieci. Dnia 20 Maja, Gravier i Bouton, dwóch ludzi nieznanych, podsunąwszy się pod pawilon Flory w Tuileryach, kędy mieszkała księżna, wysadzili z wielkim łoskotem maron, aby zniweczyć oczekiwania ogólne. Schwytanych sprawców skazano na śmierć. Księżna uprosiła króla o ułaskawienie ich; Ludwik XVIII zmienił rodzaj kary. Dnia 28 Września urodził się jéj syn Karol Ferdynand, książę Bordeaux, dzisiejszy hrabia Chambord. Niezadługo teść księżny hrabia Artois jako Karol X wstąpił na tron.

Następne lat dziesięć księżna, daleka od polityki, oddawała się wychowaniu swoich dzieci, opiekowaniu się sztuką a mianowicie sztuką dramatyczną. Tak nadszedł pamiętny rok 1830. Niepoczesne ministerstwo — Polignac włada Francyą. Na początku tego roku wyprawiają w Tuileryach ów głośny „bal historyczny“ (niby kostiumowy. — Księżna Berry przebrana była za Maryą Stuart (!) a książę Chartres (po roku 1830 książę Orleański), najstàrszy syn ówczesnego księcia Orleanu (późniejszego króla Ludwika Filipa) cieszył się serdecznie i szczycił, że mu wolno było przebrać się za Franciszka II, małżonka królowéj Szkockiéj i służyć w parę księżnie

Berry. Dużo wtedy w stolicy prawiono o téj parze pięknéj, która iście wtedy nie rokowała sobie najbliższych a tak smętnych losów.

Tymczasem ciemne chmury, gromami brzemienne, gromadziły się nad Tuileryami; a choć nikt jeszcze nie przewidywał, że burza tak blizka, przecież wszyscy czuli, że atmosfera gęsta, ciężka, duszna.

Nie dziw tedy, że na mnie, będącym naówczas młodzieńcem a bawiącym w Paryżu, głębokie wrażenie uczynił widok rodziny królewskiéj, gdym ją przypadkowo obaczył otoczoną świetnością ówczesnego dworu.

Było to w święto Bożego Ciała, a zatém właśnie na kilka tygodni przed wypadkami Lipcowemi. Już od wielu dni czyniono przygotowania dla mającéj się odbyć uroczystéj processyi; wystawiono ołtarze strojne i bogate. Celował nad wszystkie ołtarz w bramie Louvru na pobrzeżu, będącéj wprost Pont des Arts. Do niego prowadziły wysokie na prędce zbudowane schody, dosięgające prawie okna pierwszego piętra. Ztąd, wzdłuż pobrzeża, aż do rogu Louvru, a od tego rogu aż do głównéj bramy jego, naprzeciw starego kościoła tak historycznego Saint-Germain-l'Auxerrois, sporządzono z obu jéj stron ściany drewniane z łat i pozawieszano na nich gobeliny. Rozumie się, że trzeba było wyczerpać cały zapas kobierców dworskich, aby wystarczyć tak długiéj ulicy. Dla tego też zrazu widać było gobeliny nowe, świeże, lśniące barwami; potém coraz więcéj zblakowane; późniéj zaś, gdy nie dostawało już kobierców ze scenami z Pisma Ś-go, nadstawiano dywanami, na których błyszczały dzieje niezawsze budujące z mitologii greckiéj. Bądź co bądź, prawie wszystkie były kopiami arcydzieł malarskich; więc nastręczały niemałą treść dla uwagi, skracając chwile ckliwego czekania. W sam poranek święta, wiedziony ciekawością właściwą młodemu, przyłączyłem się do jednéj ze znanych mi rodzin, i zawczasu stanęliśmy pod Louvrem ze strony kościoła St.-Germain-l'Auxerrois. — Ulica z gobelinów, wysypana piaskiem, zasłana kwiatami i ziołem pachnącém. Z jednéj i z drugiéj strony stanął szpaler ówczesnéj gwardyi królewskiéj. Trzeba było nam dość długo czekać, ale w koło nas nie brakło konceptów mniéj więcéj dowcipnych, przecież zawsze przyzwoitych. Processya się zbliża — więc szeregi dziewczątek w bieli, z wieńcami, sypiących kwiaty — duchowieństwo — Baldakin pyszny i celebrujący arcybiskup Paryża — za baldakinem cała rodzina, ale postępująca w dość znacznéj odległości od siebie, wedle większego albo bliższego swojego oddalenia od tronu. Miałem tedy dość sposobności przypatrzenia się dokładnie każdéj w szczególności z osób, a to tém więcéj, iż cały pochód przesuwał się około nas zaledwie o trzy kroki. Tuż za baldakinem Karol X w bogato haftowanym mundurze, starzec 73-letni, wysoki, wysmukły; a lubo siwy, lubo chwiejący się, przecież nieco tylko pochylony; a choć z postawy niepodobny do brata swojego Ludwika XVI, przecież trudno nie poznać profilu rodziny. Po téj twarzy o przygasłych oczach, o dolnéj



wardze nieco zwieszonéj nie było znać, że Karol X, podobnie jak ów nieszczęśliwy brat jego, był jednym z tych ludzi, którzy w zwykłych okolicznościach zachowują się biernie do świata, do otoczenia swojego; atoli w twardych i ciężkich chwilach wydobywają z siebie z nienacka moc duchową, męztwo i odwagę. Wszak kto tylko go bliżéj znał, już bez trudności uwierzył, gdy w kilka miesięcy słychać było, z jaką godnością i siłą opuszczał brzegi Francyi, z jaką odwagą zbliżał się do statku, co go miał unieść na ziemią obcą, by na niéj złożył stare kości swoje, a tłumny lud w koło, choć niechętny, milczeniem uszanował nieszczęście w starcu. Podobnie największym dniem w życiu Ludwika XVI był dzień jego skonu, jak się wyraża w liście niedawno ogłoszonym kat ówczesny, wykonawca krwawych wyroków.

Za królem, więc blizko baldakinu, szedł syn jego książę Angoulème; zdawał mi się wielce podobny do ojca; przecież twarz jego, choć młoda, prawie tak przygasła, jak siwego ojca; fizyognomia bez wydatnych zarysów. Nierównie więcéj zajmującą była jego małżonka, boć to córka Ludwika XVI i nieszczęśliwéj a tak cudnie pięknéj Maryi Antoanetty. Wszak to ona za dziecięcego wieku dzieliła więzienie w Temple z rodzicami swojemi. Mogłem też spostrzedz, że grono kobiet z ludu, niedaleko od nas stojące, wielce się nią zajmowało; a z kilku rzuconych słów widać było, iż choć pod powierzchownością szorstką w sercu niewieściém, byle wolném od namiętności, nie braknie nigdy współczucia dla obcych a wielkich cierpień. Księżna Angoulème odznaczała się prawdziwie pięknym profilem, przypominającym matkę jéj, królowę Maryą Antoanettę; a na tém obliczu jéj świecił głęboki wyraz przebolałych dziejów, ułagodzony wewnętrznym pokojem i rezygnacyą. Pazie w strojach z czasów Franciszka I nosiły ogony od sukni księżny Angoulème i tuż przy niéj idącéj księżny Berry. Księżna Berry, nierównie od niéj młodsza, bo miała wtedy dopiéro lat 32, była atoli mniéj piękną, profil jéj mniéj prawidłowy; za to jednak w całéj postawie, ruchach i na twarzy uśmiechał się jakiś wdzięk i świeżość ochocza, naturalna. Zdawało się, że jéj tylko żyć na tém świecie, że patrzy całą ufnością na przyszłość swoją. Obok niéj szedł dziesięcioletni książę Bordeaux i Marya Teressa, córka jéj, mająca naówczas lat 13.

Po znacznym ustępie zbliżała się młodsza linia Burbonów — na czele książę Orleański Ludwik Filip (późniejszy król) i małżonka jego — daléj najstarszy syn, książę Chartres, i Ludwika Marya (przyszła królowa Belgijska). Potém inne a inne osoby rodziny — daléj ministrowie a na czele ich prezydent ministerstwa — Polignac, co w szalonéj, ryzykownéj grze stawił losy pana swojego na hazard — i przegrał.

Po dniach Lipcowych książę Orleanu został królem, a księżna Berry na tułactwie w angielskim zamku, ponurym Holy-Rood. Tak

się skończył dla niéj rok 1830, rozpoczęty w kostiumie Maryi Stuart.

W końcu Kwietnia 1832, wśród burzy straszliwéj, księżna Berry występuje na ląd francuzki tuż pod Marsylią. Wśród wichrów i ulewy, wśród gołego pola pod skałą, otulona grubym płaszczem, przebyła całą noc ciemną, głuchą, a przebyła ją sama jedna. Oddala od siebie dwóch towarzyszy, aby nie być poznaną — i sama jedna, wziąwszy sobie za przewodnika włościanina, który się jéj z przypadku nawinął, śpieszy ustroniami, drożynami pobocznemi i przybywa do Tuluzy. Tutaj, jak gdyby była królową francuzką, przyjmuje przez kilka godzin najspokojniéj stronników swoich. A potém siada do otwartego powozu i jedzie do Bordeaux. I w tém mieście, z tą samą niesłychaną odwagą, daje publiczne posłuchanie swoim przyjaciołom politycznym i odbywa z nimi długie narady. Późniéj, bawiąc na zamku Saint-Jean-Angely, pisze tłum listów do Paryża, a co więcéj rzuca proklamacye do Wandei, wzywając do powstania.

Toczy się walka krwawa w Wandei. Wśród świstu kul, wśród jęku umierających Szuanów, księżna opatruje rannych; kilkakrotnie już ma być pojmana, a przecież zawsze uchodzi cudem z rąk ścigającéj ją ówczesnéj władzy. Po rozproszeniu jéj przyjaciół, ona sama tropiona, śledzona, niepokojona dniem i nocą ucieka w przebraniach przeróżnych; to sypia w jarach, to pod krzewem, po gęstwinach. Nakoniec w ubiorze wieśniaczki, piechotą, boso, nogi zawalane błotem gościńca — dostaje się do Nantes, do samotnego mieszkania panien du Guigny.

Tu dla niéj przygotowana kryjówka pod dachem, do któréj przystęp przez kominek, zasuwany z tyłu żelazną blachą. Bezecny Deutz, Żyd chrzczony, polecony oddawna księżnie, będący powiernikiem wszystkich jéj tajemnic — sprzedał ją. Władza, mając wskazany sobie przez niego dom, w którym była księżna ukryta, otoczyła go i przepatrzyła od piwnic do dachu, przetrząsnęła wszystkie zakątki, ale naprożno — nie znaleziono księżny. Bo ona ukrytą była za ową blachą żelazną, nieznaną Deutzowi. Tam przez trzydzieści godzin siedziała księżna w najstraszliwszym stanie; tutaj wytrwała przez długie trzydzieści godzin bez pokarmu, bez napoju, bez ruchu, bez snu, narażona na ulewy i słoty wpadające kominem. A byłaby może jeszcze uszła szczęśliwie, gdyby nie ogień rozniecony na kominku. Blacha rozpalona piekła, parzyła; jednak księżna przez długie godziny, uporném męztwem i zrzeczeniem się siebie, znosiła te męki; — aż wreszcie, gdy już suknie się tliły, gdy w rękach poparzonych, popieczonych wzmagały się nieznośne boleści dopiéro wystąpiła z okropnéj kryjówki i poddała się jenerałowi Dermoncourt, który dowodził żandarmami i przepatrzeniem domu.

Odwieziono księżnę Berry do twierdzy Blaye. Tam póty była trzymana w jęctwie, aż nie była osobistém położeniem zniewoloną do



wyznania zamężcia swojego z hr. Luchesi Palli. Żądano późniéj, aby to wyznanie uczyniła aktem urzędowym, bo forma takowa poszła w rym owym wszystkim, którzy radzi byli, że się im udało sławą niewieścią kupić korzyści dla siebie. W skutek onego aktu, dnia 8 Czerwca 1833, księżna Berry wypuszczona na wolność, odbiła od brzegów Francyi, zabierając z sobą smętne przekonanie, że jędze wojny domowéj, przez siebie roznieconéj, gorzko opłaciła trzynastu miesiącami trwogi, cierpień i niepokojów, a co więcéj narażeniem się na gadaniny nieszlachetne, niezacne, będące również charakterystyczną, lecz niepolecającą cechą naszego grubego czasu. Towarzyszył księżnie na téj przeprawie do Palermo generał Bugeaud i adjutant jego, ówczesny porucznik de Saint-Arnaud (który umarł marszałkiem).

Siedząc na téj ławeczce marmurowéj w ogródku pałacu Vendramin, jeszcze oczyma wspomnień widziałem przed sobą ową świetną processyą. Większa część osób tego błyszczącego pochodu, tak z linii starszéj jako i z młodszéj, umarła za granicą. Wszak nawet ów pełen nadziei książę Orleanu, co będąc jeszcze księciem Chartres służył księżnie jako Franciszek II na onym „balu historycznym“, zgruchotał sobie czaszkę na bruku gościńca. I dziś cicho w téj rodzinie jak w zgliszczach spalonego domu. Nie wiem jak długo jeszcze byłbym chodził po tym świecie marzeń, co niby knieja zaczarowana tak nas wabi i nęci i łudzi; lecz Custode pojawił się w ogrodzie oświadczając, że gotów pokazać nam wnętrze pałacu.

Rad byłem żem się znów obaczył wśród tych odwiecznych ścian z pradziadowych czasów. Schody wspaniałe; w pierwszéj sali wizerunki osób z rodziny księżny. We wszystkich pokojach sprzęty i ustrojenie pełne smaku, wygód i komfortu, jednak bez zbytku i wykwintu a czczéj przesady. A jeżeli obaczysz gdzie kosztowne ozdoby, toć już co się zowie kosztowne; tak np. w jednéj sali są dwie kolumny podpierające strop, — te kolumny świecą i błyszczą, ale nie blichtrem udanym; bo proszę sobie wystawić, one są z szczerego jaspisu; rozumie się, że pochodzą z dawnych lat i były razem z pałacem nabyte.

Daléj, wysokiéj ceny i wysokiéj szlachetności jest inny przystrój tego pałacu, bo zbiór arcy ważnych obrazów; za każdy prawie z nich mógłbyś zakupić gratów lśniących tyle, iżby ich nie brakło na umeblowanie długiego szeregu dzisiejszych pokoi. Trudno mi się dotknąć tych wszystkich arcydzieł; więc tylko polotem wspomnę o tém, co najsilniéj mnie uderzyło i w pamięci zostało. Otóż jeden z obrazów *Jana Belliniego* (*)! Jest to Święta Rodzina, tak święta i luba jak widziadełko senne młodéj przeczystéj dziewczyny. Obok tego obra-

(*) *Giovanni Bellini*, jeden ze znakomitych mistrzów szkoły weneckiéj, nauczyciel Tycyana, ur. 1426, um. 1516. — St.

zu spotykamy jeszcze inną Rodzinę S-tą przez *Pordenone* (*), i znów inną przez *Andrea del Sarto* (**). Tu widzimy na nasze oczy cielesne, jak to jeden i ten sam przedmiot niebiański, wedle właściwéj fantazyi różnych mistrzów, promieni się indywidualną jéj cechą; — a przecież te wszystkie wizerunki przenajświętszéj Rodziny tak są pełne nadświatnego wdzięku, że się zdaje jakoby się im Anioł przyśmiechał; więc też widok ich goi rany i usypia w sercu namiętności wywrotne. Obok nich atoli zawieszony obraz wielkich wymiarów; w nim mistrz jego *L. Giordano* (***) stawia cię przed męczeństwem Św. Piotra. Święty męczennik głową na dół zwieszony — nogi związane — ręce rozpięte — wszystko to straszne, a tém więcéj, że figura w postaci naturalnéj. Wolałbym widzieć ten obraz w jakiéj pokutnéj kaplicy — ale w salonie! Dla salonu, kędy każdy lubi jakoś odetchnąć i pomówić o życiu powszedniém, codziennem, postać Apostoła jest świadkiem za nadto okropnym. Tak mnie się zdaje; może przesadzam; kto wié czyli nie można nawyknąć i do tego widoku. Oderwałem oczy od okrutnych mąk świętego męża; aby im pofolgować zwróciłem je do sąsiedniego malowania, dzieła onego genialnego Hiszpana *Giuseppe Ribera*, co go *Spagnoletto* zowią (****). Ale i tu nerwy widza nie znajdują ochłody. Straszna rzecz co się tu w tych ramach dzieje. Jest to Kato zadający sobie śmierć. W prawéj ręce trzyma jeszcze puginał, a palce lewéj ręki włożył do rany, którą sobie rozdziera. Patrząc się na tę głowę, na te usta, na tę fizyognomią, słyszysz jak on krzyczy z boleści — istny brzydak. Tak sobie nie wystawiam Katona, bo to raczéj brawo włoski. Tu nie ma ani śladu szlachetnéj wzniosłości rzymskiéj. To nie ten cichy pokój, przenikający niegdyś skonania tych synów staréj Romy, co się z partesu nauczyli sztuki umierania. Lada gladyator konał na arenie z większą godnością, niż ten tu Kato. Mistrz chciał stworzyć widok straszny, okropny, przenikający nas dreszczem zgrozy, a stworzył szpetność. Rzekłbym, że ten Kato jest nawet śmiesznym, a co większa komicznym, bo jest w sprzeczności sam z sobą. Jakoż sam dobrowolnie utopił w sobie nóż zabójczy, a potém tak okropnie hałasi i wykrzywia się. Trzeba było albo wcale się nie zabijać, albo téż, zabiwszy się, nie tak się rzucać i dokazywać. Ta sprzeczność człowieka z samym sobą jest właśnie jednym z warunków komiczności, jak nas uczy estetyka. Przecież ten Kato z drugiéj strony jest za nadto ohydnym, aby mógł być naprawdę komicznym. A jednak Spagnoletto jest mistrzem, a doprawdy bardzo wielkim mistrzem — ! On nie darmo wyuczył się od weneckiéj szkoły sztuki obchodzenia się z farbami; więc téż koloryt jego tak cudowny, czysty i przezroczysty, pełny i ciepły. A potém, cóż to za prawda, za wierność dochowana naturze! Jakto ten Spagnoletto podpatrzył przyrodę, jak ją wytropił w najcichszych jéj tajemnicach, w skrytych jéj pulsach i oddechach! On tak się poswatał z naturą, iż sam jest naturą. Te zalety jego i owe wady tłómaczą się, gdy przypomnimy czas, w którym żył a kwitnął Spagnoletto. Wszak on umarł w r. 1656. Chciejmy przywieść sobie na pamięć budowania, wspomniane powyżéj a należące do tegoż czasu; chciéjmy sobie przypomnieć cośmy przy téj sposobności o architekturze téj epoki powiedzieli; a zgadniemy, że dech nadchodzącéj choroby, co miała ogarnąć cały żywot sztuki, zaraził i malarstwo. Ribera liczy się do tak zwanéj szkoły naturalistów, o których kiedyś więcéj sobie powiemy. Cośmy powyżéj o jego obrazie rzekli, wystarczy jak na teraz, aby się na oczy przekonać, że za czasów téj szkoły idealność dawniejszych mistrzów uniosła się z ziemi, zostawując świat zmysłowéj naturze i oddając go pod władztwo doczesnym potęgom. Więc téż ten świat zrubaszniał, zdziczał we wszystkich dzielnicach duchowych, a to u wszystkich ludów i państw Europy. Gdy Ribera we Włoszech malował swojego Katona, Wojna Trzydziesto-letnia rozzwierzęcała, rozhukała północ całą.

Wystaw sobie, żeś widział około siebie sceny bezuzdnéj srogości, żeś patrzał jak to demony cielesnéj żądzy opadały ludzi, opajając je szałem niegodnym istoty człowieka, i pomyśl, że po tych scenach, że po tych widokach schroniłeś się do odsunionéj od świata lubéj zaciszy domowéj, że cię tam w koło otoczył z miłością obyczaj święty, nieskalany, i wspomnienia z własnéj szczęśliwéj bo niewinnéj młodości; pomyśl, żeś pod tą twoją strzechą słyszał modlące się w spokojności pacholę — i wyznaj czyli wtedy nie ukołysze się i nie ukoi rozburzone i zranione serce twoje? — Otóż podobnego doznasz uczucia, gdy oderwawszy zmysły od dzieł mistrzów, jakim jest *Ribera* lub *Caravaggio*, zwrócisz się okiem i duszą do przenajświętszéj Rodziny *Belliniego* lub Andrzeja *del Sarto*, co tak pełne wdzięku i ciszy niebiańskiéj, jakby żywe wiekuiste niezabudki Boże.

W tym samym salonie, bliżéj okna, więc bliżéj morza, zawieszony w szerokich ramach wizerunek jakiéjś damy w naturalnéj wielkości. Postać jéj stojąca, w czarnéj sukni, rękawy bufiaste, jak to było modą w szesnastém stuleciu, rękę położyła na bukiecie kwiatów. Urocza to i przepyszna kobieta — ona w pełnym kwiecie swoich hardych wdzięków, a przecież tak się czegoś głęboko zadumała, ciężko coś waży i mierzy w duszy. Jest to jedna z tych piękności, co nęci ku sobie a trwoży, co do miłości tęskni a dumna, co czaruje uśmiechem, ale w tym uśmiechu oczynia niby wąż grzechotnik. Ona

(*) Giovanni *Regillo*, zwany od miejsca rodzinnego *Pordenone*, ur. 1483, um. 1539 r. Należał także do szkoły weneckiéj. — St.

(**) Andrea *Vanucchi*, zwany *del Sarto*, mistrz ze szkoły florenckiéj, ur. 1488, um. 1530. — St.

(***) *Luca Giordano*, znany ze swéj powierzchowności i prędkości w malowaniu i dla tego zwany Luca *fa presto* (Łukaszu rób prędko!) należał do przedstawicieli naturalizmu w końcu XVII wieku; ur. 1630, um. 1705. — St.

(****) Jose *Ribera*, zwany dla małego wzrostu *małym Hiszpanem* (lo Spagnoletto), był uczniem Caravaggia i jednym z główniejszych mistrzów szkoły naturalistycznéj w Neapolu; ur. 1588, um. 1656. — St.

tak tkliwa, rzewna, gotowa siebie za kochanie bez granic poświęcić; a kiedy zechce, taka mroźna, że i najzuchwalszy Don Juan w obec niéj języka w ustach zapomni i stanie jakby studencina, który się lekcyi nie nauczył. Taką mnie się przynajmniéj zdawała ta dama! Ale któż ona jest? „To jest *Bianca Capello* malowana przez sławnego *Tinelli*“ odpowiada Custode. Teraz pojmuję! Więc to owa przegłośna Bianka najawanturniejszéj pamięci. O téj damie jeszcze innym razem powiemy. O *Tinellim* nie wspominałbym wcale; bo lubo on nie jest poślednim malarzem, przecież nieraz może, dla braku miejsca, przemilczéć mi przyjdzie o nie jednym z jego kolegów wyżéj w sztuce stojących. Skoro jednak on, za przyczynieniem pani Bianki, zaszedł nam w drogę, warto mu oddać, co mu się słusznie należy.

*Tinelli* należy do szkoły weneckiéj, a lubo nie liczy się wcale, jak rzekłem, do pierwszych jéj gwiazd, przecież on nie ladajako maluje, co tém więcéj idzie mu na wyższą zasługę, iż żył w czasie już nie nader lubym i wdzięcznym dla sztuki, bo umarł dopiéro w roku 1637. On zdobył sobie zacne imię, zwłaszcza portretami swojemi; jakoż umiał duszą swoją utonąć w duszy ludzi; on uczucia żywych swoich wzorów czuł własném sercem, on myślał ich myślą; więc co było tajemnicą, kryjącą się w ich piersiach, to wykwitło na jaw w tych malowanych jego obliczach.

Wszędzie nas oprowadzał Custode, pokazał nawet budoarek księżny. Rozumie się samo przez się, że w nim nie brakło wizerunku drugiego jéj małżonka, hrabiego Luchesi Palli. Lecz nie dziw, że bliższym jéj serca jest hrabia Chambord. Gdzie spojrzysz, i na ścianach i na biurku i na stolikach, i w większych i w mniejszych formatach widać portrety jego: jedne olejne, drugie akwarellą, inne w miniaturze, inne rytowane; a każdy z innych lat życia młodego księcia. Zacząwszy od pierwszych dziecięcych lat, widać jak się rozwinął w latach pacholęcych, aż nie urósł i dojrzał w sobie. Znać, że serce matki mierzyło własne życie swoje życiem syna; on w każdym wieku był wyobraźnikiem i ogniskiem jéj uczuć, jéj losów i nadziei.

Nie będę wam rozprawiał o cackach i drobiazgach, pięknostkach błyszczących w téj świetliczce, bo ich rzadko gdzie brakuje w gotowalni dam; a pomnę tylko, iż na posadzce stała rozproszona cała kompanijka piesków, wiewiórek, królików, wielce zgrabnie z marmuru wyrobionych, których urzędowanie takie: wszystkie drzwi w pokojach tym trybem są urządzone, iż same się przymykają; gdy tedy wypadnie, aby stały otworem, trzeba przysunąć do nich takie stworzeńko, a ono je wiernie przytrzyma. Podobne koncepciki nie są nadzwyczajne w domach włoskich. Coś podobnego nawet widziałem późniéj w mieszkaniach starożytnych przed dwoma tysiącami prawie lat zasypanego a dziś zmartwychwstałego miasta Pompei. Znać, że w téj mierze damy włoskie nie zmieniły smaku swojego.

Świątecznie i wspaniale roztoczył się widok na Canal Grande, gdym wystąpił na galeryą. Wenecya w téj stronie tak milcząca,



poważna, uroczysta jak wdowa po wielkim człowieku, to jest, po człowieku, co się zacnemi sprawami zasłużył ludzkiemu rodowi, co nadał zwrot szczęśliwy duchowi dziejów. Ta architektura w koło — to jakby arfa Ossyana, śpiewająca o czasach, co dawno przeminęły, o dawno pomarłych bohaterach. Stare czasy, bohatery mieczosławne przemykają się niby postacie w mgle przeszłości, rozwiewne, obłoczne, rozlotne.

Wróciłem do gondoli, aby dokonać téj wodnéj pielgrzymki po epokach upłynionych historyi i sztuki weneckiéj. Przecież, tu pomniki nie mają końca; ten kanał wielki — to zaiste Panteon! Te jego pałace i kościoły, te wszystkie pomniki jego patrzą na nas, jakby grobowce przeszłych stuleciów, co dawno umarły ciałem, lecz duchem są nam obecne, przytomne po wszystkie czasy. Jakoż, zaledwo wystąpiłem po za progi pałacu Vendramin, a tu prawie naprzeciwko, bo po lewym brzegu, duma budowanie długie o arkadach niezwykłéj, niepospolitéj formy. Smętno jakoś w piersiach tych głazów, bo one pamiętają bardzo, bardzo dawne lata. Ten budynek prawie rozsypiskiem: zioła, trawy, nawet krzewy i drzewka hulają po wierzchowinach jego, i zagęściły się jakby u siebie na tych ciosach przedwiecznych. Takto zawsze bywa; człek chętnie wojuje naturę, puszcza się z nią na walki uporczywe; więc niweczy, podbija i męczy roślinność, i, aby miał gdzie orać i siać, karczuje puszcze, wycina knieje — ojcowiznę leśnego zwierza, a z pradziadowych dębów i sosien buduje statki, mieszkania i pałace; on tnie, kraje, strzyże w szpalery wedle swoich fochów a konceptów krzewy i drzewa. Lecz niechaj-no na chwilę od dzieła swojego się odwróci, niechaj cofnie od niego opiekuńczą rękę, a natura nawzajem wet za wet odpłacając się, wyśle na jego dzieła żywioły swoje, co zabiorą się żwawo, upornie, by zniweczyć krwawe jego trudy; słoty, mrozy, skwary, wichry na wyścigi pracują, by zetrzéć i zgładzić robotę ludzi, a co one napoczną, dokonywa owa zgwałcona, obrażona roślinność, co silna, bujna, co korzeniem rozpiera ciosy rzeźbione i cegły złożone misternie, i póty się rozdyma i póty się sadzi, aż nie dokaże swojego, i póki nie zamieni zacnych form architektury w nory a legowiska dla bezrozumnego zwierza. Wszak wrogie moce natury bliżéj są nas, niżbyś zrazu mniemał; wszak to one własném ciałem naszém! Chciéj-no ustawy natury obrazić w cielesności twojéj, a wiész, co cię czeka? — choroba, skon!... albo odwrotnie, pozwól bujać téj fizyczności twojéj, popuść jéj cugłów, a obaczysz jak górę weźmie nad duchem twoim, jak wytępi w tobie co zacne i jak, w ruinę obróciwszy co wielkie i piękne, uczyni twoje ciało legowiskiem bezrozumnych żądzy. Lecz dość o tém. Ten gmach, co teraz zwaliskiem, niegdyś był pałacem wspaniałym, a zowie się dziś *Fondaco dei Turchi* (*), lubo on dopiéro

(*) W nowszych czasach gmach ten odbudowano w dawnym stylu. — St.

od XVII-go stulecia dostał się Turkom na gospodę i po nich otrzymał dzisiejszy przydomek swój. Przecież on arcy starowieczny, a styl jego arcy ważny, bo to styl romański.

Romańska architektura dawniejsza w całéj Europie, niż styl gotycki; więc téż Wenecya wcześniéj budowała się z romańska, niż zrodziła z siebie owe kształty maurytańsko-gotyckie, co nas tak serdecznie zachwycają w tym grodzie morskim. Znać przeto, że styl romański stanowi jedną z najwyższych epok w dziejach sztuki, a to nie tylko chrześcijańskiéj, lecz i powszechnéj; — on przeszedł się po całéj prawie Europie, a kędy stąpił, wszędzie po sobie zostawił pomniki pełne artystycznéj treści, a głębokiego mistrzowskiego uczucia. Więc téż z nich, jakby z ksiąg, wyczytać możesz, co się działo w sercu onych starych wieków.

Otóż na Canal Grande dochowały się dwa pałace, bo pałac *Farsetti* i *Loredan*, mające na sobie cechę romańskiego stylu. One zapewne razem powstały z pałacem Fondaco dei Turchi, i są współczesne bardzo starym wypadkom w historyi europejskiéj; do nich doleciały wieści o „Magna Charta“ angielskiéj, o czwartéj wyprawie krzyżowéj, o zdobyciu Konstantynopolu; za ich czasów żył Ludwik Św. król francuzki i polscy Leszkowie Biały i Czarny. Nie wspominałem wam atoli o tych pałacach, bo przykładów daleko przeważniéj uczących nas stylu romańskiego spotkamy dużo i gęsto po Włoszech; a przecież nam głównie o to chodzi, aby rozświecić teraz w Wenecyi te epoki i rodzaje sztuki, które pełnym kwiatem rozwinęły się na łonie téj dziwnéj stolicy. A nadto, w saméj Wenecyi spotkamy może jeszcze inne budowanie, będące czystym a nierównie dokładniejszym wzorem romańskiego stylu.

I zwolna, zcicha gondola nasza już teraz sama jedna dobiegała końca kanału. Nie daleko ujścia, po prawéj, jak gdyby na ostatnie akordy naszéj pielgrzymki dzisiejszéj, stanęła nad wodą architektura stylu baroko, bogata a wykrygowana, kosztowna a wymuszona: jest to kościół *degli Scalzi*. On to świadectwem głośném, jakto ci republikanie starzy a hardzi, skąpiąc przestrzenią a drogim okupem zdobywając na falach węgły dla budynków swoich, wynagradzali szczupłość miejsca bezmierną kosztownością i bogactwem przesadném. Zaiste, kościół degli Scalzi przestrzegając prawi, jak to trudno, aby człek, choćby z najświetniejszym talentem, zdołał wyrość nad czas swój a wiek. Ta architektura, co taka dumna i błyszcząca, tak lśniąca i błyskotna, poczęła się we fantazyi *Longheny*, więc tego samego mistrza, co stworzył owe wspaniałe kontury kościoła della Salute. Lecz jak na jesień najprzód zwijają się, więdnieją liście, choć w gałęziach, konarach i pniu tętni jeszcze życie; tak w Salute, jako w dziele dopiéro poczynającego się barokizmu, jeszcze prawie cały ogół piękny i okazałości pełny, tylko szczegóły skręcone i spaczone. Wszak w Salute, jakeśmy powiedzieli, grzechem tajemnym, ukrytym, rodzącym wszystkie inne z siebie, jest żądza popisywania się wystawnością, jest ochota bezuzdna paradowania, mniéj sobie ważąca godność sztuki pięknéj, istniejącéj dla siebie i niemającéj innego celu, prócz prawdziwych artystycznych wdzięków. Ta żądza a ochota, znieważająca powołanie sztuki, zemściła się okrutnie na fantazyi samego mistrza; coraz więcéj a więcéj się w nim rozjadając, uczyniła go służalcem zepsutego czasu. Longhena przez długie lata długiego życia swojego gonił za efektem, i nie pytał co wielkie, co zacne w piękności dziedzinie, ale dbał jedynie o oklask tłumu; a tak, zachodząc w lata, wypaczał a wypaczał fantazyą swoją; aż w pięćdziesiąt lat po Salute, wystawił Scalzi, będący uzupełnionym, wykończonym w sobie stylem baroko. Wszak baroko w tym kościele zwraca ku nam najbiedniejszą stronę swoją, bo widzieliśmy, mówiąc o Dogana di Terra i o Salute, że baroko nawet może mieć swoje nielada polecające go przymioty, godzące nas niekiedy z dziwaczeniem się jego. Przecież ten kościół Scalzi raczy nas właśnie niemal wszystkiémi grzechami swojego stylu, nie wynagradzając ich prawie żadnemi jego zaletami.



Facyata ma niby dwa piętra, u góry kończy się szczytem, a cała ta wystawa główna, więc i poziemia i pierwszego piętra, jest jedynie zbiorem niż głębokich i kolumn, które parami między niżami stanęły; daléj cokuły ogromne, występujące gzymsy i chowające się kapryśnym trybem, nakoniec figury po niżach, po rogach, na szczycie. Na tym szczycie jedne figury stoją, drugie położyły się wygodnie, inne balansują; są tam po krawędziach i muszle i kapitele, kółka i już nie wiedzieć co — słowem, cała ta facyata przypomina szafeczki z palisandru, lub z hebanu, albo z różowego, lub z innego rzadkiego drzewa, a wykładane złotem, srebrem, perłową macicą, słoniową kością, jak je to czasem widzieć można na wystawach europejskich, okazujące najwyższy szczyt roboty stolarza lub hebanisty. Słowem, jest to styl, który tak często i u nas się zawadza w kościołach, stawianych w 17-tém i 18-tém stuleciu. Pomyślcie atoli, że ta wystawa degli Scalzi uczyniona cała z najkosztowniejszego marmuru kararyjskiego, a wykonanie techniczne, choć nie dowodzi mistrza, świadczy wszakże o najdoskonalszych, najcierpliwszych majstrach. To nie architektura, lecz rzemiosło; to nie utwór sztuki, ale wyrób rękodzielnika. Te drogie marmury, te kolumny, niże, cokuły, figury i gzymsy tak silnie występujące, tak grymaśnie się łamiące, — świecą i błyszczą i mienią się najświetniejszym blaskiem; każdy szczegół architektoniczny tutaj pcha się naprzód, radby na siebie zwrócić wyłączną uwagę, zapominając, że on jest z istoty swojéj tylko częścią, i że mu byłoby najwłaściwiéj, a więc najpiękniéj, gdyby się chciał stosować do harmonii całości, i stać się tylko jednym tonem spływającym we wspólne akordy.

Z téj facyaty, co zarazem tak dziwaczna a tak kosztowna i lśniąca, już łatwo wróżyć możemy, co nas czeka we wnętrzu samém. I zaiste, trudno sobie wystawić hojniejsze zmarnowanie bogactw,

wyższe wysilenie się w pracy mrówczéj! Marmury najdroższe, świat mineralny z całą swoją wielobarwnością, z całém błyskotaniem czarodziejskiém zebrał się tutaj, i sadzi się i sili, żeby zdumieć i olśnić przepychem. Czego się górnik dobrał w tajemniczych ziemi przepaściach, a co żeglarz przywiózł z dalekich zamorskich krajów, toć wszystko niemym kamiennym przepychem złożyło się w mozaiki nad wyraz kosztowne. A te mozaiki haftują się po ścianach, dokazują cudów lśniących, wielobarwnych, stroją fioszki i kosztowne a miłe dziwactwa po ścianach i gzymsach. Utkały kobierce w kwiaty, w zwoje, w szlaki i w linie misterne. Wszędzie pełno tych robotek wysokiéj ceny, nieprzebranéj hojności; kędy wstąpisz, rozlane krocie; kędy spojrzysz, widzisz dzieło pracy, doskonałéj techniczności a wykonania sumiennego, co nie przykrzyły sobie w robocie misternéj, ckliwéj, drobiazgowéj.

Nie daleko od degli Scalzi, także nad wodą, jest kościół *Św. Łucyi*, wręcz tamtemu przeciwny, bo jest klassykiem, bo jest dziełem *Palladiusza*, człeka wielkiego imienia (*). Ale o stylu Andrzeja Palladio innym razem pomówimy. A teraz wielki czas dokonać podróży naszéj na tym Canale Grande, co zmysły i myśli tak ciężko przyległ samemi cudami a uroczemi dziwami swojemi. Więc zaiste prawie nam miło się stało na sercu, gdy, minąwszy dworzec kolei żelaznéj, przypłynęliśmy pod mur *Św. Klary*, która stanęła na straży u kończyn kanału. Odetchnąłem szeroko, głęboko, jakby po ukończonéj pracy miłéj, zajmującéj, ale treściwéj i ważnéj.

---

*Weneccya.*

(D a l s z y  c i ą g.)

Człowiek, party żądzą wiedzy, wznosi oczy i myśl ku owym przestrzeniom bez granic, kędy chodzą gwiazdy, kędy się rodzą i umierają słońca; on liczy, waży i mierzy tych światów kroczenie i rachunkiem kreśli ich płonące ścieżki po niebie, i wié po ilu dniach, latach lub stuleciach, ten lub ów świecący świat, jakby skazówka ognista niebiańskiego zegaru, znów wróci na miejsce dziś mu obecne. Wśród tych formuł i kalkułów jego, powiewy od gwiazd mrożą go dreszczem, bo miarą jego — to miliony mil, liczbą jego — to lat tysiące! I mnoży się i mnoży ta miara, aż do niéj cyfer nie staje, aż ona sama ginie w niezgłębionych gwiazd przepaściach, kędy nawet nie dolatuje przeczucie, kędy omdlewa najzuchwalsza wyobraźnia,

---

(*) *Andrea Palladio*, znakomity wskrzesiciel klassycznego budownictwa, ur. w Vicenzy 1518 r. um. w Wenecyi 1580 r. — St.



kędy myśl, chwycona zawrotem, sama się traci. I znów człowiek liczy i rachuje pulsy w listku, kwiatku, i czyta na nim tajemnicze barwne pisma, i liczy dygotania w jednodniówce — żyjątku, którego niedowidzisz gołém okiem; i to żyjątko, ów pyłek drgający, jest pierwszym szczeblem poczynającego się zwierzęcego świata; i szkłem i myślą wpatruje się w te coraz doskonalsze rozwoje życia, które wzmaga się z każdym dalszym stopniem natury. Co na niższym stopniu zapowiedziane wróżbą nieśmiałą, to iści się w pełni w jestestwie następnego, wyższego stopnia, a tak wyżéj a wyżéj nieznękanie spina się umiejętność po szczeblach żyjącéj natury. Ona spotyka w téj drodze swojéj i dziwadła fantastyczne i straszne wymysły i przepych form i potęgę wspaniałą, aż nie stanie na ostatnich przyczołach fizycznego świata, kędy postać człowieka już świeci duchem siebie świadomym. I znowu myśl się zwraca ku innym dzielnicom przyrody, śledząc prawa jestestw bezżywotnych, niby martwych; lecz i tutaj, wśród głuchoty, ślepoty budzą się ruchy chemiczne; i tutaj prawem jest miłość i wstręt, i ślubią się ciała kochaniem, a odpychają nienawiścią. Wśród téj wzajemnéj tęsknoty i walki rozkładają się dawne kształty, a rodzą się nowe, i nie ma spoczynku w naturze; ona ciągle a ciągle się przekształca, ciągle roztacza się nowém życiem, ona wiecznie młoda, wiecznie odradza się siłą i potęgą — ona nigdy nie jest tém, czém była przed chwilką. Czyliż mam jeszcze rzucić wejrzeniem w inne dzielnice przyrody i w inne silenia się około niéj myśli człowieka?... Wszak wszędzie i wszędzie znajdziesz w niéj posłuszne wykonywania ustaw danych przez miłość i mądrość Bożą. A człek, ucząc się téj natury, zdobywając jéj tajemnice, korzy się Panu i modli się miłości i mądrości Jego, która tutaj zewsząd na niego promieni.

Te badania są wprawdzie jakby pierwszą kąpielą dla myśli człowieka; te wszechnatury zjawiska są wprawdzie jakby pismem żywém; one ciągle i wiecznie wznoszą uczucia do Wszechmocy a mądrości tronu; przecież, cała ta wiedza, któréj się człowiek dosługuje wśród fizycznego świata, jeszcze nie wystarczy wszystkim pragnieniom jego, ona nie ukoi jego serca. Ztąd też wśród tych rzeczy materyalnych, przemijających, przelotnych, niewymownie mu tęskno na duszy; umiejętność jego wśród nich jest jakby tęskną pieśnią słowika, co śpiewa samotnie wśród ciemnéj nocy. Jestestwa przyrody powstają, rozwijają się i znikają, wedle praw odwiecznie im nadanych; lecz one tych praw nie mają w sobie, bo one nie wiedzą o tym zakonie swoim. Dla tego też człowiek, dla ukoju własnéj istoty, ku sobie samemu się zwraca. Wszak to na niego Bóg w miłości nieskończonéj zlał bezmierne łaski, i odsłonił mu na jaw prawa, wedle których ma żyć, działać i umierać, by się stał niebiańskiéj ojcowizny szczęsnym dziedzicem. Nie dziw tedy, że wszystko, co ludzkie, że wszystko, co do człowieka należy, tak gorąco nas obchodzi! Roztwiera się przeto nowa dziedzina pięknych a przeróżnych umiejętno-

ści. W nich człowiek podsłuchuje własnych uczuć głosy i rozbiera tworzenie się mimowolne swoich wyobrażeń, i patrzy na pracowanie tajemnicze swojéj fantazyi i rozświeca ciemnice własnych piersi, kędy się lęgną namiętności zgubne, lub majaczące senne postaci; to znowu wydobywa z ruchów myślenia prawa własnéj myśli swojéj. Albo, zwróciwszy się ku innéj stronie duchowego świata, śledzi zasady sprawiedliwości i obyczaju, lub zgłębia warunki wzajemnych ludzkich stosunków, lub mierzy i ocenia węgły, na których oparte społeczności brzemię.

Lub innym razem, stając przed mogiłą, dawnym wiekom daje posłuchanie, albo ze zbutwiałych pergaminów lub zwietrzałych napisów zbiera podań okruchy, by z nich mozaiką złożył wizerunek dawnych lat. Bo choć dziwnie wieją na badającą myśl tchy od gwiaździstych przestrzeni, dziwniéj jeszcze na historyka tchnie życie z zamglonych wieków, oddech zmarłych ludów. Wszak groby, rozsypiska a duchy starych dziejów uczą go dumania i zagłębiania się w sobie; więc puszcza się nurkiem w tonie myśli swojéj, i doświadcza, o ileby też zdołał sam z siebie wysnuć ową przędzę praw, co go wiążą z nadzmysłową dziedziną.

Wyznajmy atoli, że lubo tak wielce bogata, tak nieprzebrana jest treść, którą uposażony jest duch człowieka, lubo więc tak niewyczerpany jest umiejętności poczet, które między sobą rozdzieliły prace około rozwoju téj treści duchowéj, przecież najwdzięczniejszą ze wszystkich tych umiejętności jest owa, która się rodzi w chwili, gdy człowiek, przykładając rękę do gorących piersi swoich, sam siebie pyta, zkąd mu się bierze, że to serce jego, dopiéro co chore i bolejące, orzeźwia się, unosi zachwyceniem wzlotném, radośném, gdy na smętném życia pustkowiu zajdzie mu drogę piękność, ze świata ideałów zesłana.

I, zaprawdę — któż nie zgodzi się na zdanie, tylekroć przez nas powtarzane, że na widok dzieła piękności, téj wdzięcznicy o wieńcu gwiaździstym — i w duszy naszéj wdzięczno i gwiaździsto! Wiemy téż wszyscy, że w dziele sztuki, choć śmiertelną ręką dokonaném, widzimy własny nasz pierwiastek duchowy, bezśmiertny, w kształty zmysłowe odziany. Lecz prawda takowa, lubo niezaprzeczona, niezwalczona, jest jeszcze nie zupełną, bo jest ogólnikiem. By ta prawda stała się dla ciebie rzeczywistością, treścią, by wzięła na się ciało i kości, potrzeba, byś ją obaczył w jéj rzeczywistych objawach, a takiemi są właśnie jéj formy szczegółowe; więc potrzeba, byś się jéj przypatrzył w dziele architektoniczném, i rzeźbioném, i malowaném, a mianowicie, byś dokładnie poznał odmiany, które każdy z tych trzech rodzajów sztuki przechodzi w kolejach wieków i epok historycznych.

Więc niechaj się nie ckliwi czytelnikowi wśród tych opisów architektonicznych dzieł. Opisy te, z istoty swojéj zaprawdę suche i postne, nabiorą znaczenia, nabiorą duszy, zadrgają życiem, gdy je



później pojmiemy w związku z sobą, gdy się nauczymy patrzéć na nie, jako na konieczny wykwit swojéj epoki, gdy odgadniemy tych epok wzajemny stosunek i wątek; bo wtedy iście dosłuchamy się szeptów, któremi duchy stuleciów powierzały sobie tęsknoty swoje, odgadniemy o czém marzyły serca ludów w dziejach świata. A lubo i teraz już, o ile sposobna pora, przy dziełach sztuki wspominamy o tych okresach sztuki i głównych jéj cechach, toć przecież te lekkie natrącania nie wystarczą, bo one wszystkie są zbyt przelotne i z wierzchu rzeczy brane, a zresztą, jako od przypadku i niby z łaski trafu nastręczone, są ułamkowe, nie mogą więc być jeszcze powiązane z sobą w całość, ani roztoczyć się jednolitym wątkiem; więc téż te ułamkowe wiadomostki nie okazują mienia się mistrzów do swojego wieku, a społczesności swojéj.

Zanim atoli, choć w ogólnych i z wierzchu rzuconych zarysach, skreślimy taką całość rozwoju sztuki i jéj dzieje po sobie zrodzone, przychodzi nam wprzód przypatrzéć się dziełom sztuki, należącym do różnych okresów historyi, wypada nam nazbierać wprzód wiele faktów, które dopiéro staną się osnową a materyałem do złożenia z nich późniéj całości zupełnéj a zaokrąglonéj w sobie. A lubo takowy nasz rozwój historyi sztuki rozsnuje się jedynie na pomnikach italskiéj ziemi, przecież ta praca nasza rozświeci nam jasno pochód sztuki przez wszystkie wieki a europejskie ludy. Tuszę więc sobie, że to, co sobie w téj książce powiemy, wystarczy już naszym młodszym a ciekawszym czytelnikom, by zrozumieli znaczenie sztuki starożytnéj klassycznéj, by poznali, co to styl bazyliki, a co styl bizantyński, co istotą romańskiego, a co znów wschodniego, by pojęli w ogólności, na czém oparty gotyk, a na czém renesans, i jak się późniéj urodził na świat ów dziwaczny barokizm, a rozwój takowy uzupełnimy, ile sił naszych, okazując mienie się tych różnych epok architektury do okresów innych rodzajów sztuki, a mianowicie do rzeźby i malarstwa. Bo i dzieła skulptury i malowane obrazy, choć z razu dorywczo opisane, następnie związą się w całości różnych szkół i epok, aż w końcu wszystkie te szkoły i epoki, w jedność zebrane, okażą swoje wzajemne siebie dopełnienie, a tém samém cały wątek dziejów sztuki.

---

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg.)

Ma przyszłość swoich proroków — oni słyszą klujące się w łonie historyi kiełki, co kiedyś wykwitną, zawiążą się w ziarno, i rozsypią się siejbą dziejorodną; ma atoli i przeszłość swoje wróżbity. Jedni z nich z literki zbladłéj na strzępku starym, z monety wytartéj, z mogił i okopów przeoranych wiekami, ze szczerbców praojcowych

wskrzeszają z martwych ducha dawno zapadłego ludu; drudzy pytają podziemne kruchty i zuzelice wypalonych wulkanów o cierpienia, których doznała natura, gdy rodziła z siebie dzisiejszy nam współczesny świat żyjący; i znów są inni, co w okruchach posągów, w rzeźbach strzaskanych, w malowidłach miast zapadłych dosłuchali się bicia serca dawnéj sztuki. Nakoniec są nawet i tacy, co ze zwalisk chaotycznych, z rozsypanych świątyń i grodów, z ułamków kolumn, ze sterczących, ziołem porosłych sklepień i łuków, nie tylko odgadnąć zdołają całe przedwieczne architektury i odbudować je w myśli lub rzeczywistości, lecz nawet tak się przejmują uczuciem artystyczném starych mistrzów, tak się napoją oddechem tych gruzów, które dziedzictwem na nas spadły, że z głębi swojéj fantazyi stworzą formy, o którychbyś rzekł, że się zrodziły z natchnienia architektów starorzymskich, choć nie są wcale kopią ich pomysłów. Te formy służą nowym potrzebom, nowemu wiekowi, a przecież w nich z miłością przemieszkuje duch sztuki dawnéj.

Takie uwagi mimowolnie nasuwają się każdemu, co, odwiedzając tutejszą akademią sztuk pięknych, przechadza się po jéj dziedzińcu. Bo tutaj złożył świadectwa geniuszu swojego wielki *Andrzej Palladio* (*). Jeżeli już kto na świecie, to on i *Bramante* (**), jest tym prorokiem przeszłości klassycznéj, on wyobraźnikiem epoki właściwego jéj odrodzenia w nieskalanéj przezroczystéj formie; lubo każdy z nich po swojemu, a trybem sobie właściwym, odradza starożytność, stwarzając arcydzieła architektury.

Palladio rozmówił się poufnie z duchem dawnych budowników starego Rzymu, a oni też uczynili go dziedzicem ich artystycznego geniuszu, powierzając mu tajemnice klassycznéj fantazyi. Palladio atoli, zamieniwszy ich serca na serce własne, nie stracił oryginalności sobie właściwéj; on został samym sobą, bo potęgą własnego ducha umiał przyswoić sobie fantazyą owych starych mistrzów; a przecież wzmógł się samodzielną, samoistną potęgą, więc twórczością swoją wywoływał formy architektoniczne, odpowiednie nowym czasom, nowożytnym potrzebom i innym zupełnie religijnym uczuciom. On, stawiając kościoły chrześcijańskie, tak wzniesione świętością swoją nad bożnice pogańskie, lub budując pałace dla ludzi prywatnych, lub zakłady państw nowoczesnych, tak wielce odbiegłych od obyczajów, potrzeb, smaku starorzymskich senatorów, konsulów, umiał wszystkie te dzieła swoje stworzyć w formie odpowiedniéj nowemu stuleciu; a przecież, z drugiéj strony, tchnął w nich ducha i uczucia wspaniałych i czystych form klassycznych.

Jak się kształcił, czém duchowo tak urósł Palladio? Na to trudno odpowiedzieć; wiemy atoli, że się urodził w Vicenzy w r. 1518. Zresztą tryb jego kształcenia, lata jego pacholęce i młodzieńcze są dla nas zagadkową mgłą pokryte. On sam o sobie powiada, że Vitruvius był jego nauczycielem. Ten Vitruvius, co żyjąc za czasów Juliusza Cezara i Augusta, zatém wśród eleganckiéj i wymuskanéj społeczności rzymskiéj, sam był jałowym i oschłym, a wierząc tylko w cyrkiel i w cyfry, i w arytmetykę, napisał swoją książkę o architekturze, również pedancką i chudą, jak sama dusza autora (*). A przecież w téj martwéj książce Palladio zdołał znaléźć ocieplenie duszy swojéj!

Zdaje się atoli, że silniéj niż ta stara książka, działały na umysł młodego Palladio zapatrzenia się na gruzy dawnego Rzymu; — bramy tryumfów, termy, świątynie bogów umarłych, teatra i amfiteatra krwawéj morderczéj pamięci, grody, kędy się czaiły na ród ludzki światożercze rzymskie imperatory, były jego nauczycielami; a geniusz jego stał mu obok i tłómaczył mowę dawnych głazów. Przedewszystkiém już miasto rodzinne Palladiusza, Vicenza, bogato się ustroiło w kompozycye swojego zacnego syna. Nie braknie atoli téż jego szlachetnych dzieł i po innych miastach włoskich; liczne wille wiejskie, kościoły tłumami rodziły się z jego fantazyi. I miasta, i wiejskie gminy, i duchowni, i książęta, i pany, i podpanki — słowem, kto jeno pragnął budować, cisnął się do Andrzeja Palladio po rysunek. Wszak nie jeden, co ani marzył o nowym domu, porwany prądem a zachwyceniem ogólném, jął się stawiać, ile go stać było. A miał téż po co; bo podobno nie znajdziesz już w historyi sztuki nikogo, coby głębiéj czuł harmonią a proporcyą wymiarów, coby już wyższym geniuszem umiał zestroić architektoniczne części w całość zupełną. Palladio prawdziwie muzyczną fantazyą zagrał na martwych kamieniach! A przytém, jakem rzekł, on tak twórczy, on tak swobodnie rozpina skrzydła fantazyi swojéj, a przecież jest wiernym przez życie całe swojéj kochance, sztuce klassycznéj, któréj już na wieki się zaślubił miłością i geniuszem swoim.

Patrząc na dzieła Palladia widać, że to nie gołe kopie, uniesione pamięcią ze wzorów starożytnych rzymskich, lecz wyjaw własnego ducha i fantazyi wolnéj i swobodnéj. Choć, z drugiéj strony, zaprzeczyć nie można, że ta jego swoboda ztąd się bierze, że klassycznością się przeniknął, że jéj się oddał, że studya głębokie nad światem starorzymskiéj architektury stały się jego uczuciem a duszą, i że stosując te formy staréj klassyczności do nowych potrzeb swojego wieku musiał kombinować, myśléć, a tak znów niekiedy chłód zimnéj rozwagi ostudził dzieła jego, nadając im jakąś trzeźwość i prozę wyrozumowaną. Co więcéj, obaczymy przy innéj sposobności, jak to trudno wiązać dawne formy do nowych myśli a potrzeb nowych;

(*) Zob. powyżéj str. 268.

(**) *Donato Lazzari*, zwany *Bramante*, pierwszorzędny budowniczy, twórca tak zwanéj szkoły rzymskiéj XV-go wieku, ur. 1440 † 1514. — St.

(*) Pismo Vitruviusa *De architectura* wydał ostatnio Rose w r. 1867. — St.

przekonamy się na samych dziełach Palladia, jak nie zawsze się udaje powiązanie tych sprzeczności, choćby się ich jął tak wielki geniusz, jakim był ten mistrz na stopę olbrzymią.

Przyznajemy nakoniec, że od Palladia upłynęły światem prawie trzy stulecia, przyznajemy, że ten długi wątek lat wiele nauczył ludzi, że przedewszystkiém okazał im na oczy piękność wyższą od starorzymskiéj, będącéj krynicą natchnienia dla Palladia; bo nas obeznał ze wzorem wyższéj klassyczności, bo ze sztuką grecką, z onemi pomnikami dawnéj Hellady, co jeszcze tak urocza, choć w grobie, co tak wdzięków pełna, choć oddawna w pośmiertném rozsypaniu.

Przecież trudno zaprzeczyć, co twierdzą istni znawcy, że Palladio był mistrzem nad wszystkie mistrze, gdy chodziło o to, aby zawładnąć przestrzenią, więc gdy się jął ołówka, by skreślić plany gruntowe, lub przekroje pałaców i świątnic. Więc, lubo prawda, cośmy rzekli o chłodzie jego budynków, o téj grozie a trzeźwéj powadze i uroczystości ich, o trudności zespolenia starego i nowego świata, przecież niepodobna nie być poruszonym tą przeczystą choć hardą pięknością jego kompozycyi, więc téż całém sercem zawtórujemy Göthemu, gdy zachwycony duchem Palladia woła: „Otóż ten mistrz z własnych wewnętrznych głębin swoich wyrósł na wielkiego człowieka!... On umiał przemódz ową tak twardą trudność połączenia kolumn i murów, a tak właśnie rozwiązał owo zadanie, co tak upornie staje na zawadzie nowoczesnym mistrzom budownikom. Bo, zaiste, to powiązanie artystyczne murów i kolumn będzie na zawsze sprzecznością.“ Palladio atoli tak te sprzeciwieństwa zestroił, tak je organicznie splótł, iż zupełnie o nich zapominamy, patrząc się na dzieła jego. „Budowania przez niego stworzone tak nam imponują,“ powiada daléj Göthe, „iż w nas niby wmawiają, jakoby w nich nie było sprzeczności żadnéj. Zaiste, w dziełach jego tchnie jakiś bóstwa żywioł, podobny do formy artystycznéj wielkiego poety, który z kłamu i prawdy stwarza trzeci pierwiastek, co nas czaruje, unosi swojém ułudném, pożyczaném istnieniem“ (*).

Wstąpmy w Wenecyi na dziedziniec gmachu sztuk pięknych; on, dawniéj klasztorem będąc, zwał się *Carita*, a dziś zamieniony na *Academia delle belle arti*, a znajdziemy się w obec geniuszu wielkiego Palladia. Jeżeli zaś tutaj pełnym nurtem przez duszę przepływają wszystkie wspomnienia o promiennym mistrzu, tém sroższy żal rozbiera serce, że w téj budowli znajdziesz jedynie same ułamki ułamków jego natchnienia. Bo Palladio dokonał tylko drobnéj części całego gmachu, a te ledwie zawiązujące się początki dzieła jego uszkodził jeszcze i w niwecz obrócił późniejszy pożar.

(*) Göthe, Italienische Reise. Vicenza. d. 19 Sept.



Wspomnę atoli o jednéj stronie dziedzińca, która nam się w całości dostała.

Poziemie przypomina nam poziemie biblioteki Św. Marka, owego dzieła Sansovina. Brus (architraw) dźwigają kolumny; między każdą ich parą widzisz arkady krągłe, wspierające się na kolumnach pomniejszych. Te mniejsze i owe większe kolumny łączą się i wiążą harmonijnie we wspólny filar. Poziemie to jest doryckie, a fryz (nabrusie) jego ubrany w draperye i w czaszki zwierzęce; i to cały tutaj strój a ozdoba.

Pierwsze piętro unosi się podobnym rysunkiem jak poziemie, i bieży w podobne arkady; ale tu wdzięczy się już porządek joński, co tak lekki, luby i uroczy. Drugie piętro zaś nie ma już arkad; tu tylko ściana, w niéj okna o szlachetnych rozmiarach a umieszczone odpowiednio nad arkadami pierwszego piętra i poziemia. Okna takowe odgrodzone przez pilastry, co bogatsze, bo z koryncka strojne. Na wysokości wieńczy całość gzyms cudnie pięknego profilu. Ogół jest budowany z cegieł.

Rzeknie może kto, że to wszystko przecież tak skromne a niewymyślne, tak proste i potulne; zkądże więc téj architekturze ten urok i wdzięk? Otóż w tém właśnie tajemnica geniuszu, że jego pomysł tak prosty, tak skromny a przecież jest niebiańskim pojawem dla duszy widza. Potęgą sercowładną jest tutaj harmonia i proporcya wymiarów; a ową mistyczną magią, która oczynia i chwyta dusze, jest zestrój linij i powierzchni w arkady muzykalne.

Mógłbym wprawdzie pokazać czytelnikowi i inne części téj akademii, kędy znać jeszcze geniuszowe ślady naszego mistrza, przecież to tylko okruchy całości. Wolimy się przeto zachować dla innych jego dzieł, których nie braknie nam jeszcze w Wenecyi; bo nie braknie nam na sposobnéj porze, by oddać hołdy nasze jego świetnéj pamięci. Teraz raczéj poprowadźmy się do wnętrza akademii, bo to w niéj wiernie są przechowane malarskie arcydzieła onych wielkich mistrzów weneckiéj szkoły. Zaiste ta akademia, będąc zacną strażnicą ulubieńców najwyższéj piękności, jest jako arka przymierza, co wiąże ziemię z niebem. Te malowane obrazy są wcieloném świętém przeczuciem, że nie tyle tylko człowieka, ile jego doczesnego żywota, że powyżéj tęsknych dolin tutecznych woła na niego świat duchów jasności.

---

Wyznaję wam szczerze, że jakaś nieśmiała groza, jakiś lęk pada w téj chwili na myśl moją, gdy mi przychodzi teraz po raz pierwszy pomówić choć z wierzchu, choć z lekka o dziejach *malarskiéj* sztuki. Bo to przecież nielada rzecz poufalić się z oną artystyczną pięknością, z któréj dźwiga się ludom chwała bezśmiertna i hołdy późnych pokoleń; to nielada rzecz uczcić ową piękność, co ci na jaw stawia żywot artystyczny, twórczy ducha ludzkiego. A przybytek każdy,

gdzie, jak w téj akademii, zebrały się arcydzieła sztuki, staje się już świątnicą, w któréj na doczesne oczy widzisz promienienie nadzmysłowego pierwiastku ludzkości w formie zmysłowéj, materyalnéj. A ona przyrodzona groza a lęk tém potężniéj mi się wzmaga w sercu, że jeszcze w literaturze polskiéj nie bardzo liczne grono poprzedników poszło przedemną tą drogą, i że ja sam nie jestem namaszczeńcem sztuki, lecz jedynie nieśmiałym jéj chwalcą a pokornym czcicielem. Przecież tuszę, że chęć czysta a uczciwa przysłużenia się młodszéj braci w umiejętności doda mi mocy potrzebnéj i udatnych wyrazów, bym się mógł przecież jako tako wywiązać z założonego zadania; a przytém niechaj mi świeci gwiazdą przewodniczą przekonanie, że lubo moja ta praca będzie ułomna i wiotka, stanie jednak za szczebelek dla późniejszych a lepszych odemnie. Dość mojéj zasługi, gdy po swojemu zgotuję ścieżki dla wyższych talentów, co po mnie przyjdą a których, ufać Bogu, nie zabraknie (*).

Lecz wstąpmy już do téj świątnicy malarskich dzieł.

W pierwszych salach akademii stanęły, jakby gospodarze witając przychodnia, najstarsze dzieła malowane.

---

(*) Zgodzicie się zemną, czytelnicy moi, że podobno dobrze sobie pocznę, jeżeli w tym zarysie wycieczki mojéj przez Włochy, mając prawić o jakiéj szkole szczegółowéj malarskiéj, zajmować się nią będę najczęściéj w tém mieście, kędy ona miała główną kolebkę swoją, albo ognisko a stolicę przeważną. Bo wiecie, że mistrzów sztuki, podobnie jak wieszczów, zrozumieć tylko można w ojcowiźnie ich a na gruncie ich rodzinnym. Jak bowiem zrozumiesz mowę kwiatu i gaju i dąbrowy, gdy je obaczysz wśród gór a dolin i wód ojczystych —, tak znowu ta natura cała, choć niby niemowna i bezduszna, jest komentarzem dzieł sztuki i wyjawia owe ciche, niedosłyszane natchnienia, co szepcą w duchu mistrzów. Bo jeżeli już każde serce ludzkie żyje jakby pod lekkiém zaklęciem otaczającego je świata, cóż dopiéro duch mistrza, co czuje co myśli i cierpi za wszystkich.

Przecież nie mam zamiaru, ani téż mogę, trzymać się zawsze i wszędzie ściśle onego prawidła. Zaiste niedobrzebym sobie radził, gdybym, rozszerzając się o szkole właściwéj jakiemu miastu, pomijał milczkiem arcydzieła innych szkół a znajdujących się w jego ścianach. Co więcéj, przewiduję że mi wypadnie może dość często, prawiąc o jednéj ze szkół, odbyć się i z drugą, właściwą zupełnie innym stronom Italii. Jakoż niekiedy, z istoty swojéj, jedna szkoła zrozumianą być może gdy od razu pomówimy i o drugiéj; czasem znowu jedna z nich nie jest dość ważną aby z osobna o niéj rozprawiać; niekiedy zaś tak mi uczynić wypadnie już to dla samego przebiegu téj mojéj przelotnéj wycieczki, już to dla tego, abym, nie rozdrobniając zbyt przedmiotu, oszczędził sobie miejsca w téj książce, a czytelnikowi czasu.

Tuszę sobie, że wszelkie odstąpienia od powyższego założonego sobie przezemnie prawidła czytelnik mi przejrzyć zechce; boć téż ta podróż nie rości sobie prawa, aby miała być ścisłą, co się zowie, historyą sztuki.

Rozumie się atoli, że same takowe dzieje pojedyńczych szkół malarzy włoskich, dotknięte po różnych a rozrzuconych miejscach, byłyby luźnemi ułamkami bez wspólnego tła i dna. Czytelnik nie zgadłby z takowych rozsypanych okruchów wzajemnego stosunku i działania na siebie tych różnych szkół. Przypominam atoli, jako, mówiąc dopiéro powyżéj przy sposobności o dziełach architektury z różnych epok, przyrzekłem że rozwinę w téj wycieczce, choć naprędce, nietylko różne epoki architektury, malarstwa i rzeźby, ale nawet, gdy przyjdzie na to czas, zbiorę w jeden obraz dzieje tych różnych rodzajów sztuki i choć przelotnie roztoczę jednym wizerunkiem historyą ogólną sztuki pięknéj.



Napatrzyliście się ze mną już dostatecznie tym postaciom z mozaiki, co na tle złocistém, świecistém błyszczą i promienią się i zewnątrz i wewnątrz bazyliki Św. Marka. One stanęły na wysokościach kościelnych, i tą twarzą brunatną, ciemno spoglądają na pokolenie żywe o krwi ciepłéj, co oddycha, uwija się, śmieje się i płacze tam w głębi pod ich stopami. Te postaci tak obojętne, bezserce dla świata i ludzi, skostniały, oniemiały; one milczą w smętnym przepychu swoim a w ponurym, nieużytym majestacie. One samotne, bez świata; bo owo tło złote, promienne, toć dla nich światem całym; około nich nie widać uroków natury, wywołanych czarodziejstwem pędzla; nie widać kwiatów ani gór, ani krzewów lub strumieni, ani obłoków złocistych — ; w koło nich wymarło, oniemiało życie ziemskie, doczesne; około nich pusto, głucho jakby już było po sądzie ostatecznym. A przecież, jakeśmy już rzekli, i to malowanie ma ogromne i wielkie znaczenie swoje; w niém usymbolizowane uczucia co pożegnały doczesność, co zerwały z ziemią, więc one tak ciche i spokojne! Wierzą i w spokoju czekają, póki ich nie zbudzi i nie wezwie zmartwychwstania głos.

Przyjdzie nam może pora, w któréj szerzéj jeszcze sobie powiemy o tém bizantyńskiém mozaikującém malarstwie, które się, jak wiecie, zrodziło w Carogrodzie za cesarzów greckich — a zarazem wyświecimy sobie i strony znakomite téj dziwnéj sztuki.

Ten sam styl malarski był prawie wyłącznie panującym przez wiele, wiele stuleciów po świecie chrześcijańskim i stanowił, bez mała, pierwszą epokę jego sztuki. Wszak i dziś spotykacie styl ten na starych obrazach po kościołach naszych, boć to nie obca rzecz dla Polski.

Lubo, jak już rzekłem, to malowanie wschodnie rozgospodarowało się i na zachodzie, i tu rozpierało się wyłącznie aż dobrze do połowy wieku XIII, — toć dłużéj jeszcze, niż po innych miastach italskich, gościło w Wenecyi; bo ten gród Adryatyku w ciągłych a ciągłych był stosunkach z Konstantynopolem; więc ztamtąd przez morze płynął mu smak, ztamtąd wraz z bogactwem Wschodu przybywali mu artyści-malarze, czyli raczéj artyści technicy. Jakoż w tym czasie, gdy spotęgowana Wenecya najtłumniéj sprowadzała sobie artystów z Bizancyum, już nawet biédne ostatki słabych pulsów zatrzymywały się w téj sztuce. A jak z istoty swojéj a z urodzenia samego te figury bizantyńskie były bez ciepłego życia, bez ruchu; tak teraz i sama sztuka malowania umarła i stężała śmiercią. Więc téż całą zasługą tych techników było kopiowanie na oślep tych samych typów, ze zrzeczeniem się niewolniczém własnéj osobistéj swobody a wszelkiéj fantazyi. Nie była to już praca sztuki, lecz raczéj wprawa i wyćwiczenie. Rozumie się, że niedostatki, które były właściwe i wcześniejszym epokom sztuki bizantyńskiéj (jeżeliby je właściwie epokami nazwać można), znajdą się i w ostatnim okresie. Zawsze i wszędzie napotkasz to samo techniczne wykonanie. Np.

owe soczyste głębokie barwy (laki), owe silne twarde kontury, a ostre fałdy, ową karnacyą (ciało) w dziwne zielonkowate cienie; a najczęściéj też obaczymy i ową sutość złota; bo i tło pozłacane, i gwiazdy złociste, i suknie przystrojone złotem; a ono tak grubo, tak gęsto nałożone, że aż garbi się, wystając od powierzchni, a przytém najczęściéj karbowanie rytowane w desenie.

Choć w téj sali pierwszéj rzędem uszykowały się obrazy owego stylu, jakby poselstwo do nas od dawnego świata, od starych lat —, przecież nie damy im posłuchania, bo znamy już ten styl z mozaik Św. Marka, a nadto widzieliśmy owo Pala D'oro, co istnym, litym wzorem bizantynizmu, jego stylem z pierwszéj ręki.

Rzekłem wam, że styl ten jak był stylem pierwotnych malarzy i mozaistów w Wenecyi, tak też w niéj mieszkał upornie, bo półtysiąca lat z okładem. Bo gdy na południe Wenecyi już przemagało wianie wiosenne; gdy w onéj błogorodnéj Florencyi dzieła malowane *Cimabue'go* i *Giotta* (*), niby pierwiosnki a wonne fijołki, dały znać, że na świat duchów przyszło zmartwychwstanie, że w sercu ludzi cuci się nowa epoka dziejów i że skowronki Boże już zaśpiewały na swobodę a wyzwolenie artystycznéj fantazyi —; wtedy zwolna, zcicha posłannik niebiański nowéj sztuki stanął i w dożów stolicy. Inaczéj też być nie mogło. Bo wiecie, jak się to dzieje, gdy wiosna tchnie na sąsiednie od południa łąki, dąbrowy, gdy rozchucha liście i kwiaty; wtedy też i na dalszéj północy pękają lody i spływają strumieniem; wtedy już radośny ruch daje się widzieć w naturze, a jéj serce puka rozkoszném weselem, jakby na zbliżanie się upragnionego oddawna kochanka.

A jest-to, wierzajcie, rzeczą wielce zajmującą, przypatrzyć się jak-to wówczas w Wenecyi przychodziła sztuka do nowego odrodzonego życia, jak-to ona budziła się z bezprzytomnego omdlenia, po ckliwéj bizantyńskiéj zimie. A tego ocknienia fantazyi tutejszych artystów weneckich nauczyć się możesz, jeżeli się weźmiesz chodzić z uwagą po téj akademii tak bogatéj, tak szczęśliwie zebranéj a umiejętnie ustawionéj (**).

Widzisz ten obraz poważny, sędziwy —, on jakby pierwszym porannym dzwonkiem, co o szarym jeszcze świcie głosił zmartwychwstanie i zwoływał na jutrznią młodą, różową, złocistą. Ten obraz jest dziełem syna weneckiego, *Mikołaja Semitecolo*, który kwitnął od roku 1367 do 1394. Ten obraz jeszcze ze staroświecka urządzony: we

(*) Giovanni *Cimabue* ur. 1240, um. 1300 r., stoi na czele nowoczesnéj sztuki jako nauczyciel *Giotta di Bondone*, ur. 1276, um. 1336, właściwego wskrzesiciela téj sztuki. — St.

(**) Mimo tego umiejętnego ładu w umieszczeniu obrazów czynię uwagę, iż obrazy niekiedy zmieniają miejsce i numer swój. Radziłbym tedy podróżującym ziomkom, aby, zwiedzając tę galeryą jak i inne włoskie, trzymali się najnowszych wydań spisu galeryi lub najnowszych przewodników.



środku malowidło większe, a po obu bokach jego po cztery mniejsze obrazki, dwa od góry, dwa od dołu. Na wierzchu całość ustrojona w rząd szczytów trójkątnych, gotyckich, ostrych. Z tych szczytów wyrastają kwiaty, floresy gotyckie; a tak dzieło malowane ubrało się w architekturę bogatą. Ów środkowy wizerunek przedstawia koronacyą Najświętszéj Panny, ale on jest robotą *Stefana Pivano*, innego weneckiego mistrza, co także z onych czasów starych. Wszystkie zaś ośm bocznych obrazków roztaczają żywot Zbawiciela, a są dziełem samego Mikołaja Semitecolo. Włosi, prawiąc o tym malarzu, mówią jako po nim znać, że jeszcze żył w atmosferze dusznéj twardego stylu Bizantyńskiego państwa.

I prawda, że na tym jego obrazie często gęsto wysypują się na jaw cechy oryentalnego stylu; bo i tu nie brak nawet owych cieniów zielonych na twarzach i rękach, nie brakuje owych farb właściwych temu wschodniemu malowaniu; a nadewszystko już rysunek sztywny i twardy daje znać, że te figury jeszcze dyszą ciężko pod przewagą sztuki bizantyńskiéj. Zaiste, w niém odbywa się już, choć nieznacznie, metamorfoza artystycznéj fantazyi. Poczwarka zasklepiona zwolna roztula grób swój, i już dobrze widać, choć zlepione jeszcze, skrzydełka motyla, co niezadługo lekki, promienny, migotny w tęczę złocistą uleci, kędy go czekają z miłością tęskne kwiaty niebiańskie. Wyznaję chętnie, że tu rysunek arcylękliwy, bo niewprawny, nieradny; ale żyją tu pomysły tak lube, dziecięce, jakby pacholęcia, co gwarzyć zaczyna. Np. na pierwszym zaraz obrazku widać Narodzenie Pana Jezusa: z jednéj strony klękła Ś-ta Dziewica, z drugiéj Św. Józef — oboje modlą się rzewnie. Nad samą główką Zbawiciela, na promieniu zawieszona gwiazdka, a obok jéj głowa wołu i łebek osiołka, — a oba bez kadłubów, obie głowy unoszą się na powietrzu: tak dana symbolem część za całość. Jest-to może oznaka przyrodzonego wstrętu owoczesnéj sztuki do figur zwierzęcych. Jakoż podobnie za klęczącemi królami, co się ubrali w korony, widać dwie wyciągnięte szyje wielbłądów; ale czworonożni właściciele tych szyi i główek także się gdzieś ukryli. W drugim obrazku chrzest Pana Jezusa. Zbawiciel stanął w Jordanie po piersi; malarzowi się jednak zdawało, że wypada uczynić wodę na pół przezroczystą; więc kontury ciała wyraźnie przez wodę widać. Tak całe pojęcie rzeczy wielce miluchne i naiwne, niby kolendy przez prostaczków a pacholęta śpiewane.

Lecz puszczając mimo siebie te wszystkie szczegóły, zwrócę uwagę waszą na znamiona, co już z cicha przepowiadają nowy zwrot sztuki. Jakoż, niektóre główki są tutaj tak serdeczne, tak tkliwe i lube, iż radością dopatrzyć się możesz wyzwolenia się z pod głuchoty bezdusznéj bizantyńskiego stylu. Zewsząd poczuwasz tu wróżby, że weneckie malowanie wrychle się rozciepli, rozgrzeje romantyczną fantazyą — tą fantazyą, będącą posagiem ludów chrześcijańskich, którym serce rozwarło się szeroko jak wieczność.

Lubo przeto te oblicza o wykwitającém w nich głębokiém uczuciu są zaprawdę najgłówniejszém znamieniem, że Semitecolo stanął na początku epoki przejścia, warto jednak nie pominąć i tych cech, co choć z siebie mało znaczące a li tylko zewnętrzne, po swojemu atoli poświadczają zetknięcie się z sobą dwóch różnych okresów fantazyi. Jakoż, gdy te ośm obrazków ujęte są ramami, co, krągłe od góry, sklepiąc się niby w arkadki, przypominają ciężką budowę bizantyńskich czasów; to przeciwnie owe wspomniane szczyty ostre, floresy i stroiki gotyckie są również wysłannikami nowéj epoki. Bo wiecie, że czysta gotycka architektura właśnie urodziła się wśród tych wieków Europy, co się już były wyzwoliły z pod wspomnień bizantyńskiego świata; więc téż w połowie średnich wieków, a zwłaszcza na północnéj Europie uczucia świeże, z najgłębszéj krynicy duszy płynące, te sentymentalne, rycerskie muzyki serca, przetłómaczone na formy architektoniczne, najradziéj, najchętniéj przemawiały stylem gotyckim. I dlatego nawet po ziemiach italskich, w owéj ojcowiźnie klassyczności, przyjmowały się one niekiedy, choć rzadziéj, a puszczały się po swojemu i właściwemi sobie kwiaty.

Żal mi, że nas pośpiech prze i nagli, bobym wam prawił jeszcze o innym obrazie, co, również będąc kosztowną ozdobą téj pierwszéj sali, jeszcze mocniéj a wyraźniéj, niż dzieło M. Semitecolo, okazuje te cechy przeistoczenia się malarskiego stylu. Jest to praca zacnego *Lorenzo Veneziano*. Jest to wielki obraz, którego środek i skrzydła budują się niby we dwie kondygnacye. Owa część środkowa jest wizerunkiem pozdrowienia Najświętszéj Panny przez posłannika Bożego, a u góry błogosławiący świat Chrystus Pan. W obu bocznych częściach, w niżach i przedziałkach gotyckiéj architektury, stanęły postaci święte, w których już bardzo znacznie a wyraźnie, jakby rumieńcem niebiańskim, występuje rzewność i gorąca serdeczność sztuki nadchodzącego okresu. Żal mi powtarzam, że mi nie staje czasu, rozmówienia się bliższego z czytelnikiem o téj lubéj pracy. Powiem tylko jeszcze tyle, że ten Lorenzo Veneziano i drugi, współczesny pobratymczy mu w malarstwie artysta *Niccolo di Pietro*, żyli w Wenecyi po roku 1350. Na ich obrazach niby dziwna dwoistość czasów; bo przyszłość, która się już wykluwa ku słońcu, ku jawie, a przeszłość, co, omdlewając, żegna martwém spojrzeniem świat. Fantazya tych artystów podobna do panienki-podlotka, co już nie jest dziecięciem, lecz równie nie jest jeszcze panną; więc biédna nie wié, jak się miéć na świecie. Panny, rozkwitłe w pełną różę dziewiczości swojéj, jakoś nie uznają jéj za równiennicz kę swoją; a ona sama zbyt wiele siebie waży, by się miała swoić do igraszek i chichotek dziecięcych.

Choć nam nagle, choć nam tak śpieszno, przecież zatrzymajmy się jeszcze choć na chwilkę przed klejnotem malarskim *Michała Giambono*, co również zasłynął jako mozaista znakomity i żył w pierwszéj połowie XV wieku. Obraz jego, który mamy przed



oczyma, jest Chrystus Pan i czterech Świętych, po dwóch z każdéj strony. Każda z tych pięciu figur umieszczona w niży osobnéj, kończącéj się u góry w łuk śmiały i w szczyt gotycki, z całym przystrojem a przyrządem odpowiednim stylowi temu. Lecz w tych architektonicznych oprawach nie widać już śladu bizantyńskich smaków; tak téż i same święte postaci jaśnieją swobodą, któréj nie znało malowanie onego odrętwiałego wschodu. One tak miękkie i rzewne, tak lube i tęskne, a wyraz ich oblicza tak muzykalny, rozpłynny, że te postacie jakby przezroczyste, pokazują ci we wnętrzu swojém serce mistrza, pełne tkliwości rzewnéj. Chrystus Pan jest oblany godnością a ciszą świętą niezamąconego pokoju. A lubo cały odziany płaszczem przepysznym niebiańskiego majestatu, lubo jedną ręką trzyma berło światem władnące, a w drugiéj księgę wiekuistych prawd; przecież nieskończona słodycz a lubość rzewna rozpłynęła na postaci i obliczu jego. Co do mnie, z pomiędzy tych czterech świętych, dałbym może pierwszeństwo Ś-mu Michałowi; jest to figura młodzieńcza niewypowiedzianego wdzięku. U stóp jego powalony smoczy potwór, wylęgły w młaku grubéj chuci; Archanioł przepasany mieczem potęgi, co karze i broni; tuż przy tym mieczu zgrozy zawieszone szale, na których ważą się ciężkie i lekkie sprawy ludzi. Smętny Archanioł, pochylił szlachetne oblicze i duszą tonie w rzewnych uczuciach.

Przecież ta rzewność i słodycz niewymówna, ta głęboka serdeczna liryczność i miękkość tkliwa u weneckich mistrzów najwdzięczniéj się odzywa w pracy dwóch artystów, co dziwném zrządzeniem założyli na Murano, na jednéj z dalszych wysp Wenecyi, pracownią swojego geniuszu i chwały. Jeden z nich zwał się *Giovanni Alemanno* (d'Allemagna, Alemanus) może z pochodzenia Niemiec; a drugi zaś z pewnością weneckiego rodu, imieniem *Antonio Vivarini*. Obadwaj poślubieni przyjaźnią i miłością dla sztuki, więc téż wspólnie mają przydomek *Muranesów*, a zaświecili pełną jaśnią swojego południa w samym środku XV wieku. Antonio nadto był przodkiem całéj rodziny artystów Vivarinich, co dziedziczyła z miłości Bożéj zacne imię i geniusz swojego dziada *).

---

(*) Są, którzy Andrzeja Vivarini da Murano (który był starszym od Antoniego), mienią być przodkiem artystycznym rodziny Vivarinich; nie wchodząc w bliższy rozbiór téj wątpliwości, wspominamy, że, krom Andrzeja i Antoniego, znajdujemy jeszcze Ludwika (starszego), Bartłomieja i Ludwika (Antoniego) Vivarinich. Oni wszyscy spokrewnieni z sobą. Do Muranesów należy jeszcze ów Alemanus; ale ten, jak rzekłem, podobno należy już do téj rodziny Jana (Lanzi jest zdania, że Giovanni nie jest Vivarini, ale raczéj jedną i tą samą osobą z owym Janem d'Allemagna, który był współpracownikiem Antoniego, ale nie jego krewnym).

Jest zaiste rzeczą mniejszéj wagi, a dla mnie nawet trudną, abym się rozwodził nad wszystkimi mistrzami znaczniejszymi każdéj szkoły; dla tego wymienię tutaj tylko jeszcze *Michała Onorio*, kwitnącego w drugiéj połowie XVI wieku. Zaś

Nie chciéjmy się bałamucić lekko-duchym przykładem wędrownych różno-języcznych gości, którzy, gnani demonem niecierpliwości, gromadkami gęstemi przemykają koło nas i około tych starych obrazów, a nie raczą nawet cisnąć oczkiem na prace dawnych lat; bo te niby tak zczerniały, a posępne i staroświeckie! Więc gwarząc, harmiderując śpieszą do świetnych arcydzieł szesnastego stulecia, o których im gada i prawi wodzący rej sroczka-Cicerone. Ledwie się jedni przesunęli, a już przelatuje drugie i trzecie stadko, a wszyscy pędzą od sali do sali, w żadnéj długo nie popasając; bo oni radzi odrobić czémprędzéj, czém rychléj tę pańszczyznę na gruncie sztuki pięknéj. Oniby się może nawet nazawsze odrzekli i tych obrazów i tych artystów, gdyby ich nie piekła obawa, że po powrocie do domowego gniazda, może ktoś z ukosa naprzykrzyć się niedogodném pytaniem. Niechaj sobie śpieszą, niechaj lecą, dokąd ich prowadzą puste a drwiące z nich bożki światowe; ale my jeszcze przez chwilkę jedną popatrzmy ze sercem otwartém w duszę Muranesów, która, przeistoczywszy się w obraz malowany, została z nami na ziemi, dla ochłody a pociechy naszéj duchownéj. A nadewszystko uważmy, że jeżeli nasze zabawienie się około tych mistrzów staréj weneckiéj szkoły zdawaćby się mogło przydługie, zwłaszcza w porównaniu z późniejszymi rozprawami, które poświęcić myślę świetnym geniuszom Tycyanów, Giorgionów, Tintorettów, Pawłów z Werony — toć ja to czynię z umysłu; bo wielkie imiona już rozeszły się po świecie, są ciągle a ciągle we wszystkich ustach; warto tedy zwrócić uwagę czytelnika i na imiona mniéj popularne, a przecież tak wysokiéj wagi.

Patrzcie co za olbrzymi obraz! Na nim figury większych niż przyrodzonych wymiarów. Widzimy salę otwartą, bez stropu, niby dziedziniec; wspaniała architektura jéj niby z gotycka a troszkę fantastycznie przystrojona. W środku téj okazałéj, bogatéj świetlicy, na tronie złotym, misternie wyrobionym, zasiadła Dziewica Przenajświętsza; na jéj głowie światów korona, od ramion spływa wspaniały płaszcz królewski. Bo Marya święta, co była córą ziemskiéj biedy, tutaj mistrzynią niebiańskich gwiazd a panią wszech duchów stworzonych. Na jéj łonie pacholę, co Zbawicielem światów. Po bokach tronu czterech aniołów, w szatach kościelnych, trzymają laski strojne, na których baldakin zawieszony nad Bożą Rodzicą. Po jednéj stronie Maryi, w pewnéj od niéj odległości ŚŚ. Hieronim i Grzegorz; po drugiéj ŚŚ. Ambroży i Augustyn. U stóp tronu drobnémi literkami napisano: że malarze Jan i Antoni z Murano dokonali tego obrazu w roku 1446. Więc to obadwaj ci szlachetni towarzysze a współmistrze obchodzą zrękowiny swoich talentów w tém zacném dziele.

---

do wysłanników kierunku Muranesów należą *Jacobello de Flore* (około roku 1434) i *Fra Antonio da Negroponte*.



Lubo czynią zwykle dziełu temu może słuszny zarzut szorstkiego i troszkę twardego wykonania; jednak za to ujmuje na wskróś rzewna powaga, pełna tkliwéj słodyczy tych świętych postaci, co tak serdeczne, tak łagodne! Najświętsza Panna, lubo nieco wymuszonéj postawy, przecież ochuchana niebiańską lubością. Na jéj uśmiechu rozpłynął smętek cichy, głęboki. Zdaje się, że ona duma nad boleścią nieskończoną, że patrzy na straszliwe widziadło Golgoty i na wszystkie męki, które przechodzi ludzki ród, — a zarazem tonie duchem w tryumfach niebiańskich wiekuistego słowa, które się na ziemi ciałem stało. Dzieciątko święte, na Matki kolanach, zwróciło oczy ku Niebu, ku Ojcu, i prawą ręką podnosi na ofiarę granat; bo ten owoc o soku purpurowym jest godłem owéj miłości nieskończonéj, płomiennéj, co daje krew własną purpurową za kochanie swoje.

Z pomiędzy czterech mężów świętych, najpotężniéj do serca mi przemówiła postać owego wielkiego papieża Grzegorza Ś-go. Troista korona na skroniach, krzyż w ręku wzmaga jeszcze głębokie znaczenie téj wyrazistéj twarzy, co pełna uroczystéj grozy a dziejorodnych myśli. Znać, że to te myśli światowładne, obok potęgi woli, dźwignęły gród niewzruszony na węgłach Piotrowych. Aleć, na ramieniu prawém świętego męża siadła gołębica biała — ona nachyla się do ucha jego i powierza mu prawdy, które mają być piastą historyi i pulsem ludzkości.

Patrząc na te oblicza, widzimy, jak się już w nich sztuka ślubi z naturą; bo te rysy zaiste są wzięte z rzeczywistości obecnéj, są to wizerunki z ludzi żywych, współczesnych, którzy byli mistrzom wzorem, a wierną modłą. Więc téż z twarzy i z rąk zniknęły owe kłamliwe cienie; a natomiast karnacya świéża, czysta, rzetelna i koloryt jéj pełny i ciepły wróżą, że ten wdzięk niewidziany jeszcze nigdy barw stanie się kiedyś chlubą i wieńcem sławy dla weneckich artystów. Ten nawrót do natury i zakochanie się w niéj okazuje się téż i innym trybem; bo tu pojawia się już ciche państwo roślin, choć jeszcze lękliwie a nieśmiało. Za ścianami téj sali, wspaniale ubranéj, rosną krzewy i drzewa, bo je widać przez okna otwarte. Wszak nawet co wyższe drzewa przerosły ściany świetlicy, i, wybujawszy powyżéj nich, powiewają wesołą koroną bogatą w liście, nasadzoną owocem złocistym, rumianym; więc cieszy się ten światek roślinny młodym odrodzonym żywotem, po tak długich, martwych mrozach bizantyńskiego czasu. Wszak nawet na przedniém tle cisną się od ziemi gęsto, bujnie, trawy, zioła i kwiaty.

Z jakąż to pieczołowitą, staranną miłością wyrobione są te wszystkie, choć najmisterniejsze, szczegóły: włosy na brodzie i głowie, i przystroje i ozdóbki téj architektury; drzewa, jabłuszka, liście wykończone do ostatka, jakby pracą ofiarną na cześć Maryi Przenajświętszéj. Nie cniło się widać tym artystom, téj zacnéj czeladzi Bożéj, gdy chodziło oddać pokłon Bogarodzicy a zarazem i chwale ich sztuki ukochanéj.

Jest tu i drugi obraz tychże dwóch mistrzów, także poświęcony Przeczystéj Dziewicy. Na tronie wzniesionym na wysokich kolumnach króluje Matka Zbawiciela. Obok niéj Chrystus Pan, wkładający jéj koronę wiecznéj chwały. Powyżéj Bóg Ojciec, na piersiach jego Duch Święty, który „gdzie tchnie, głos jego słyszysz, a nie wiesz zkąd przychodzi, albo dokąd idzie“.

Jest-to więc *koronacya Boga Rodzicy* przez Trójcę Świętą. Po prawéj i lewéj stronie Matki Bożéj liczny tłum świętych mężów i niewiast, którzy świadczą o podwyższeniu Maryi. Pod tronem, między kolumnami, grono aniołów-pacholąt, trzymających godła boleści męczeńskich.

I w tym obrazie spotykamy te znamiona, które w tamtym cechowały naszych dwóch Muranesów; i tutaj owo zamiłowanie prawdy i natury, i ta czerstwa, czysta karnacya, i to sumienne, misterne, prawie miniaturowe wykonanie szczegółów; a mianowicie urok i pełnia głęboka kolorytu. Uderza nas atoli ugruppowanie figur, umieszczonych po obu stronach tronu, w różnych od niego oddaleniach, w różnych wysokościach. Dziwna albowiem w tém ich ustawieniu architektoniczna symetrya a geometryczność. Po jednéj stronie zupełnie ten sam szyk a ład świętych męczeńskich postaci, który znajdujemy i po drugiéj. Każdemu szeregowi figur z jednego boku prawie całkiem odpowiada rząd ich na drugim. Tu i tam liczne gruppy budują się w piramidę. Ta architektoniczność, przewodząca tutaj wśród pełnego a ciepłego żywota, to jakieś jęctwo a wymuszenie dławiące, duszące przypomina jeszcze, choć dalekim odgłosem, ową niewolę w bizantyńskiém malowaniu. Prawda, że i w tamtym pierwszym obrazie widzimy także tę symetryą nie tylko w architekturze świetlicy, ale nawet w ustawieniu czterech świętych mężów; lecz tam, dla szczupłéj liczby figur, ten układ mniéj uderza, mniéj razi.

Mimo jednak tego geometrycznego ugruppowania, mimo szorstkości nieużytéj rysunku, który w niniejszym obrazie tu i ówdzie spotykamy, cieszy nas przecież znowu owa tkliwość serdeczna i topliwość uczuć, co wnet, bo w najbliższych następcach obu tych mistrzów, zaintonuje im psalmem niewinności anielskiéj. Co więcéj, sztywność wymuszoną w rozkładzie figur w tym obrazie sowicie nam wynagradza ów orszak niebiańskich pacholąt, co stanęły między kolumnami tronu. Ta istna dziatwa nadobłocznéj dziedziny, te pacholęta nie mają szat na sobie, lecz za to ubrały się w wdzięk i w swobodę nieskończoną; tyle w nich gracyi, iżbyś rzekł, że to proroczki młode owéj rodzącéj się już najwyższéj piękności sztuki weneckiéj.

Teraz wystarczą nam te przykłady mistrzów staro-weneckiéj szkoły. Pokazałem czytelnikowi niektóre z ich dzieł, aby się w nich dopatrzył téj cichéj a nieznacznéj pracy ducha, mającéj się ku przeistoczeniu sztuki. Dążność takowa malarstwa w téj epoce jawna nawet dla nas nie artystów.



W obrazach albowiem tego okresu wyraźnie spostrzegamy jeszcze jakąś chudziznę, często oschłą i jałową, widzimy jakieś postaci długie i wązkie; często téż razi brak łagodniejszego przejścia ze świateł mocnych jaskrawych, wysokich, w cienie głębokie, przepaściste; nadto widać, że ugruppowanie figur nie poszło tym mistrzom z natchnienia, lecz jest raczéj owocem rozsądkowego wymysłu i chłodnego kalkułu, któremu głównie chodzi o układanie symetryczne figur, a wynajdywanie, ile być może, rozmaitości w ich postawach, aby niby nie znękać jednostajnością ckliwą. Z drugiéj strony atoli ta naiwność i lubość rozlana po tych obrazach, te postaci tchnące serdeczném rozrzewnieniem a miękkiém, roztropném uczuciem, i owe wszystkie przymioty, powyżéj wspomniane, są również znamieniem przeważném téj epoki przejścia, wiążącéj malowanie bizantyńskie ze światem promiennéj piękności, która zrodzić się miała na łonie XVI wieku.

Może zatrzymałem cierpliwego czytelnika zbyt długo przed tą sztuką staro-wenecką, mimo że nas do siebie nęciły czarodziejskim wabem arcydzieła późniejszéj epoki, królujące po innych salach Akademii. Jednak nie ostatnie téż są korzyści, któreśmy wynieśli z téj pierwszéj sali; bo w niéj, jakem rzekł, widne łamanie się geniuszu sztuki, by się wydobył z długiego odrętwienia i dosięgnął najwyższych piękności szczytów. A gdy prawie i każda z innych szkół malarskich odbywała tę twardą epokę przejścia, zanim stanęła na wysokościach jéj właściwych; więc téż to wszystko, czegośmy się teraz nauczyli od starych Wenecyan, zdołamy bez mała zastosować i do każdéj innéj włoskiéj szkoły.

Wróćmy do historyi weneckich mistrzów, w któréj już jasno dnieje epoka przyszła, pełna sławy i potęgi.

Wiecie, jakie to były zrodzenia się greckich bogów. W pierwszym okresie kultury helleńskiego ludu, póki nim jeszcze miotały moce ślepe i żądze zmysłowe, póty téż i te bogi jego były jeszcze wyobraźnikami potęg natury, co pieszczą uśmiechem schlebnym, to znowu straszą trwogami a zemstą gniewną. Tak tedy w téj pierwiastkowéj, początkowéj mitologii Greków wszechradny i wszechniweczący czas i powietrze, ocean, słońce i ognie ziemskie, a siła płodna ziemi, i borów tajemnice, i wszystkie żywioły przyrody, wziąwszy na się postać do ludzkiéj podobną, stały się bogami. One to zasiadły na czołach górskich, leśnych, wśród dymów a chmurnych wyziewów, i gospodarzyły na ziemi, wstrząsając sercem śmiertelném i szczując namiętności a chuć człowieka, by się również stał jak owe ślepo-okie, głuche żywioły. Nie dziw atoli, że lubo te bogi wzięły na się postać ludzką i stały się niby osobą, przecie to uosobienie ich jeszcze nie było ukończone w sobie i było mdłe i wiotkie. Bo postać człowieka jest arcydziełem owéj arcymistrzyni natury; więc ta postać już nie może bez ubliżenia godności swojéj, bez spaczenia a zwichnienia własnéj istoty, wyobrażać niższe od siebie sto-

pnie fizycznego świata; to ciało ludzkie tak szlachetne, będąc najwyższym wykwitem mądrości przyrody i akordem najgłębszym wszystkich a wszystkich jéj tonów, nie zdoła już cofnąć się do głuchoty, do abstrakcyi pustéj, i stać się wyrażeniem żywiołów i ślepych potęg przyrodzonych. A co więcéj, ta postać cielesna człowieka, właśnie dla tego, iż jest najmisterniejszém wysileniem natury, więc też stanęła na przyczółkach doczesnego świata, na których schodzi się niebo z ziemią, i kędy się myśl myśląca, bezśmiertna poczęła z Bożego nasłania a łaski.

Lecz myśl myśląca, bezśmiertna, co ogniskiem siebie jest, co jest wiedzącą o sobie, jest osobą — a osobą zaś sam tylko duch być może, bo on sam może być sobie obecny i przytomny. Tak przeto owe bezduszne natury moce a żywioły bezmyślne, będące jedynie grubą bezwładną osnową, na których spoczął materyalny świat, nie zdołają zaiste pojawić się przed oczy ludzkie w kształcie osoby. Ztąd też tu uosobienie tych pierwotnych greckich bogów tak rozlotne, niepewne, mgliste. Ztąd też owe powieści i mity o nich tak potworne i w dziwaków wykrzywione. Te bogi z chaotycznych nizin materyi wylęgłe, są wiecznie na dwoje rozdarte; to niby działają, mówią, żyją jako osoby, jako jestestwa rozjaśnione ducha płomieniem; to znowu, potwornem przeistoczeniem się a dziwacznym zwrotem, stają się same ślepą, głuchą siłą przyrody, a bezmyślnym żywiołem.

Im widniéj atoli lud Hellenów dojrzał w sobie wzmagające się światło duchowe istoty swojéj, im silniéj zadygotało w nim poczucie osobowości człowieka, tém mniéj wystarczały mu te pierwotne bogi, zrodzone z grubéj osnowy natury zmysłowéj i z równie tak dzikiéj materyalnéj fantazyi starych przodków jego. Tak tedy Olimpem zatrzęsły od czasu do czasu wywroty, a spadały ze stolicy bóstwa dawne; tak tedy nadświatne ich państwa mają również epoki, a z każdą nową epoką nowe bogów pokolenia rodzą się na wysokościach, a powstawszy siłą ducha, strącają ze stolicy światowładnéj pierwotne przestarzałe rządce. Więc za każdym wywrotem w nadgwiazdnéj dziedzinie, zasiadają nowi bogowie, świecący coraz jaśniejszą siłą duchową. Aż w końcu Zeus, ziemią i niebem władnący pan, jest już ducha greckiego najzacniejszém uosobieniem. Na czole jego promieni myśli majestat, brwi jego wstrząsają światów posadą, a na ustach niewymowna dobroć rozpłynęła łaską słodyczy pełną. Widzimy tedy, jak-to wewnętrzna historya duszy Hellenów uwidomiła się w epoki bogorodne na niebie; błękity czyste Olimpu były zwierciadlanym obrazem uszlachetniających się uczuć człowieka i wzmagającéj się jasności ludzkiego ducha. Wnętrze było niby rozświeconą czarnoksięzką latarnią; najgłębsza i najzacniejsza treść duszy, najcichsze zadrgania serca pojawiały się na niebie w uroczych postaciach bogów nieśmiertelnych, odzianych magicznym wdziękiem poezyi.



Dla tego Grek szczęśliwy widział w swoich bogach własne uczucia i własne pulsa duszy, co ziściły się na wysokościach promiennych Olimpu. Czyliż tedy dziwno, że te bogi, co były krwią i kością jego, co były nim samym, już tęskniły za miłością niewiast ziemskich, i że nawzajem greckie młodzieńcy, zuchwałe śmiałki, marzyły o kochaniu nadobłocznych niebianek?

Jakim trybem u Greków roztaczały się dzieje bogów, takąż samą drogą zwykle przebiegała historya sztuki u różnych ludów, mianowicie już u ludów nowożytnych, a przedewszystkiém we Włoszech. I sztuka ubiera rzewne duszy tęsknoty w widome formy, i ona przeczucia niebiańskie, co kwilą w serca zaciszy, uzmysławia w dziele artysty. Więc też wśród walki twardéj a boleści rodzenia pracowały te ludy, by w pojawach sztuki obaczyć uśmiéch własny nieśmiertelnéj istoty swojéj, opromienionéj przeczuciem nadzmysłowych światów. Więc łamał się człowiek z mocami własnéj natury cielesnéj, z popędem namiętności zmysłowych, by wydobrzał w sobie, by wyzwolił anioła Bożego, co jeszcze złożony niemocą, spętany od żądzy materyalnéj, tęsknił na dnie duszy jego; — więc pasował się człowiek z naturą zewnętrzną, chcąc ją poddać sobie; by te jéj postaci i kształty, te jéj barwy, światła, cienie i tony, by te dźwięki i marmury jéj, i żywe słowo, stały się czeladzią potulną sztuki; by te wszystkie moce natury służyły mu wiernie do wyrażenia tego, czém go natchnął w szczęśliwych światłorodnych chwilach ów geniusz wewnętrzny, z krainy ideałów wysłaniec.

A każde nowe zwycięztwo odniesione nad naturą zewnętrzną, każdy tryumf, zdobyty na własnéj doczesnéj istocie swojéj, oznaczał świat nową ale wyższą już epoką w sztuce; bo za każdą epoką takową duch strącał z siebie jedną z tych szat, któremi go oblekła ziemska tutteczność, niby ciężkiém brzemieniem. A gdy tak z kolei spadały z niego te zwłoki grube, nieprzejrzyste, już jaśniéj a jaśniéj promieniła się światłość od ducha bijąca.

Więc też z każdą takową epoką wewnętrznego odrodzenia, nawzajem i natura zewnętrzna chyliła się korniéj a korniéj przed duchem człowieka, jako przed światło-okim panem swoim. Tak cała rzeczywistość, co dawniéj przez długie wieki milczała upornie, z każdym dalszym ducha rozwojem roztwierała mu nowe tajemnice swoje. Tak tedy tłómaczyła mu cuda magiczne świateł i barw, i dziworodną piękność kształtów żyjących, i sztukę czarnoksięzką tonów i dźwięków; tak natura wskazywała mu jak poskromić twarde jéj ciosy kamienne, jak dłótem zakląć marmury a oczynić farby, jak malować i rzeźbić słowami.

Tak rósł duch człowieka z siebie i wzmagał się w sobie i wyzwalał się z pierworodnéj winy zmysłowéj natury, aż nie dopiął najwyższego przyczoła, co promienił całą światłością fantazyi, aż nie stanął na wzniosłém państwie artystycznéj twórczéj potęgi. Wtedy w głębiach tajemniczych własnego ducha, jakby w jasnych przezroczach

błękitów promiennych, obaczył obraz przeczystéj piękności — najwyższy ideał. A co w sobie samym, w tych wewnętrzuych tajnikach obaczył, to już iściło się w świecie zewnętrznym, w rzeczywistości, bo się stało dziełem sztuki. Bo wszystka rzeczywistość, bo natura cała, oddawszy się mu w wierną służbę, była mu wyrobnicą chętną, potulną. Wtedy też na tych wysokościach słonecznych artystycznéj fantazyi zakwitnęła dla Grecyi wiosna duchowa, brzmiąca pełném wdzięku weselem, tchnąca wonią radosną, świecąca wszechbarwami szczęścia, upajająca rozkoszą błogiéj, bo uwieńczonéj miłości młodéj.

Zaiste, człowiek w dziełach mistrzów swoich samego siebie obaczył, obaczył w nich siebie w promieniach najwyższéj zacności, nieprzyćmionego biédą i ziemską skazą, więc widział i znajdywał siebie w tém dziele, a przecież uznał różnicę siebie a dzieła tego. A ta jedność, ta różnica a dzielność, to wzajemne widzenie się w drugim, to uznanie własnéj, a przecież rozpromienionéj treści w drugiéj istocie, jest miłości szczęściem; są to słoneczne duszy gody, co tém są wyższém szczęściem, im czystsze, im wznioślejsze uczucia w sercu płoną. To kochanie nadziemskie, te uciechy, błogiego wesela a szczęścia pełne, były całym żywiołem Grecyi dawnéj. Bo lud Hellenów był przez sztukę na ulubieńca jéj wybrany; zatém jego bóstwem jest olimpijski wdzięk bogów uroczych.

U ludów nowożytnéj Europy zaś chwile takowe rozkochania się w piękności sztuki były tylko jasném, przelotném zaraniem nowoczesnéj historyi. Wszak owe piękności lube widziadła pojawiły się ludziom w końcu piętnastego stulecia; lecz one zaledwie przeżywszy wiek XVI umarły z żalu nad ówczesnym nanowo dziczejącym światem. Prawda, że ten świat późniéj znów się podniósł, znowu urósł kulturą, znów zaświécił godnością; jednak sztuka nie dosięgła już owych jasnych wysokości, w których żyła wśród XVI wieku. Dla czego? Bo dzieje ludów chrześcijańskich nie są historyą pogańskiéj Grecyi. W Grecyi uczucie piękności było wprost wypływem jéj żywotnych warunków; gdy tedy Hellada umarła, skonała także sztuka jéj właściwa. Lecz w dziejach ludów chrześcijańskich żyje wyższy pierwiastek nieśmiertelny, co je chroni od śmierci; każdy naród chrześcijański ma w sobie nieskończoności wątek, który może wprawdzie się przyćmić, ale nie zgaśnie nigdy na zawsze. Ludy chrześcijańskie mają, krom sztuki, inne jeszcze a nieskończenie wyższe powołanie; ich sztuka może omdléć, lecz ich dzieje, mimo to, rozwijać się będą ciągle a ciągle, by ziścić zadanie istotnego uczłowieczenia ludzi, by w jawną rzeczywistość wprowadzić miłość prawdziwie chrześcijańską.

Wysłannikiem owéj epoki, pełnéj świetności i chwały, stał się dla Wenecyi *Jan Bellini* (*). A pierwiosnek rodzącéj się epoki, któ-

(*) Polecamy czytelnikom naszym jeszcze ustęp o malarzach weneckich, znajdujący się w dziele *Selvatico*: „Storia Estetico-Critica delle Arti del Disegno. Venezia 1851. (Co do Belliniego zobacz powyżéj.)



ry już był obecny, choć jeszcze w pączku stulony, rozwija się u niego pełnym, cudownym kwiatem. Co więcéj, Bellini, gwiazdą geniuszu swojego wiedziony, nie tylko odkrył nowe piękności światy, ale zarazem stał się przeczuciem zacnych potomków po duchu; bo on jest iście rodzicem właściwéj szkoły weneckiéj. W jego malowaniach najpierwéj pojawiają się te właśnie cechy, które już nazawsze zostały świetną a wyłączną zaletą weneckich mistrzów, różniącą ich od artystycznych szkół innych italskich miast. Jaka zaś jest ta cecha szkoły weneckiéj, świecącéj tak zacnie wśród innych, to zaprawdę przetrudno opisać słowami, bo słowa wiecznie martwe i blade obok pełnego żywota sztuki. Gdy obraz na istne oczy obaczysz, wtedy uderzą na cię wszystkie czary jego, a uderzą razem, niby grom niebiański. Więc ile strun duszy twojéj, tyle w niéj zbudzi się tonów, a mistrza duch, jakby na lutni, wygrywa na nieśmiertelnéj istocie twojéj akordy i pieśni swoje. Bo w jednéj i téj saméj chwili biją na ciebie barwy i światła, kompozycya i myśl obrazu, sytuacya i wyraz figur jego, i rytm i harmonia, a chwytają cię te wszystkie geniusze sztuki i unoszą z sobą fantazyą twoją w światy nieznane, w światy obce powszedniemu życiu. Gdy zaś tylko słyszysz opis tych cudów, lub gdy je widzisz ujęte tylko na papierze głoskami biednémi, wtedy te wszystkie geniusze, te wszystkie potęgi dzieła sztuki, jakby cienie bezśmiertne, bez ciała i krwi o zeszkloném wejrzeniu, po jednemu i zwolna stają przed prozą myśli twojéj, a rozum chłodny, co kombinuje, waży i mierzy, daje tym nieboszczykom posłuchanie. Bo potęgi, żyjące w każdém dziele sztuki prawdziwéj, zaiste umierają i stają się jako nieboszczyki, jeżeli je przeistoczysz na prozę mowy ludzkiéj, i będą jako pierwiastki niegdyś żywéj istoty, rozebrane po jéj śmierci w retorcie chemika.

Jednak, mimo tych praw wszystkich, nie uchodzi abym, niemożnością się składając, puszczał mimo siebie poczet wszystkich świetnych znamion, które już na wieki wzniosły malarstwo weneckie do szczytu chwały i zrodziły szkołę, która jest jedyną, niepowtarzającą się już nigdy więcéj w dziejach sztuki. Lecz gdy raz już przy weneckich artystach pokuszę się o bliższe wytknięcie cech ich malowania, nie obejdzie się abym i na przyszłość, rozprawiając o dziełach innych, a najgłówniejszych pod względem sztuki, italskich miast, nie zwrócił również baczenia czytelnika na charakter, będący głównem piętnem każdéj z tych szkół malarskich.

Aby zaś zrozumieć właściwe pulsa sztuki w Wenecyi, uważmy, że jéj szkoła jest jakby dopełnieniem, jakby trzecim tonem do współczesnéj szkoły florenckiéj i padewskiéj. Wszystkie te trzy szkoły w onéj epoce, zacném choć bezświadomém sobie przymierzem, siłą

się by wyzwolić fantazyą artystyczną z tak ciasnego, dusznego jęctwa dawnych lat; każda atoli z tych szkół pracuje po swojemu, pracuje we właściwym sobie trybie i kierunku. Albowiem Bóg, stwarzając ludy, ducha każdego z nich rozświecił promieniem innéj barwy, by uznały jako żaden z nich nie jest całością osobną, i że dopiéro one wszystkie razem złożą jasną tęczę przymierza, co łączy cały ludzki ród ze światłodawczym Ojcem niebieskim.

Tak szkoła florencka, przez wielkiego *Cimabue* a większego jeszcze *Giotto* potrącona (*), wyuczyła się natury, odgadła tajemnice jéj form, i poszła już za natchnieniem z góry sobie daném, a oblewając te postaci, przez siebie stworzone, uroczystą powagą, godnością szlachetną, dała im, jakby duszę, głęboką treść poetyczną a wielkiéj wagi znaczenie. W kompozycyach genialnych roztacza obrazem malowanym wzniosłe niebolotne myśli i oddaje cześć chwale ojczystych tryumfów. Ona to z wysokości, nad doliny ziemskie wzniesionych, patrzyła na dzieje doczesne i na niebios historyą, ona wiązała oba te światy wspólną harmonią, bo przeczuwała ich mienie się do siebie i tajemnicze ich pokrewieństwo. Ztąd, gdy stajemy przed obrazami tych mistrzów, wyczytujemy z nich, jakby ze świętéj powieści, jakby z legendy lub z epopei, dzieje ludzkie i nadziemskie. Te malowania prawią nam iście historyą o tém, co się wielkiego stało wśród ludzi, lub wśród niebian jasnego żywota. A wzajemne stosunki tych postaci są tak głębokie a na wielką stopę pojęte, tak poetyczne a zarazem tak łatwe i jawne, że potrącają treść widza, by sam utonął w sobie i słuchał w toniach własnych historyi duchowéj.

Ta dążność Florencyi już się jawi, gdy w XV stuleciu pod rodziną Medyceuszów zapromienił poważny a pełen grozy *Masaccio*, tudzież szlachetny i głęboki Dominik *Ghirlandajo* (**) obaj wieszczemalarze, pełni wysokiéj poezyi. Pomijam innych świetnych robotników téj szkoły; bo Florencya, będąca tą cudnie uroczą matką tylu i tylu wiekopomnych geniuszów, znajdzie późniéj szeroką rozprawę, którą jéj złożymy późniéj w należnéj ofierze; jednak za to szkołę padewską odprawimy już tutaj przy Wenecyi. Bo ta szkoła już jest mniéj ważną dla naszych czytelników, więc nie wymaga osobnéj dla siebie rozprawy; kilka słów przeto wystarczy, aby oznaczyć jéj charakter a cechy. Z tego téż powodu, lubo droga nasza w téj włoskiéj wędrówce poprowadzi nas na Padwę, nie zabawimy atoli zbyt długo w téj starosławnéj stolicy nauk, chowając się z naszym czasem dla innych siedzib sztuki włoskiéj wyższego znaczenia.

---

(*) Zob. powyżéj str. 278.

(**) Tomasz *Guidi*, zwany *Masaccio* (gruby, ociężały Tomasz), stoi na czele szkoły florenckiéj XV wieku; ur. 1402, um. 1443. — Znakomite miejsce w téj szkole zajmuje po nim *Dominico Curradi*, z przydomkiem *Ghirlandajo* od złotych wianków (ghirlande), które ojciec jego jako złotnik wyrabiał. Ur. 1449, um. około 1495 r. — St.



Wiemy, jak-to często bywa na ziemi: niekiedy na niéj pojawiają się dusze, co rano wstawszy, już na dobre sobie przetarły oczy, gdy inne milionami w koło jeszcze smacznie śpią snem duchowym; a im bliżéj świat się ma do jakiéjś wielkiéj epoki historycznéj, tém gęściéj rodzą się owe umysły, co, same wczas się obudziwszy, rozbudzą i inne ze śpiączki głębokiéj. Podobnie się stało w roku 1394, gdy w mieście S. Antoniego przyszedł na świat chłopczyna, co się zwał *Francesco Squarcione*. On również był jednym z tych rannych ptaków, co zwiastował wiosnę umysłową wtedy, gdy jeszcze w koło niego zima duchowa zalegała umysły. Ten Francesco od małego już kochał się w sztuce; więc rysował, więc malował. Na szczęście swoje był on synem zamożnych rodziców, więc mu nie trzeba było szarpać się z ludźmi a losem o kawałek powszedniego chleba. Mógł się tedy, choć z amatorska, oddać pełném sercem, dokąd wzywała go przyrodzona miłość jego do sztuki.

Gdy wyrósł na młodzieńca, Padwa, choć tak uczona i mądra, zdawała mu się duszną i dławną; przeto, instynktem wiedziony, chciał odetchnąć z całéj głębi piersi i obaczyć, co się dzieje na świecie po za rodzinną dzwonnicą. Puścił się tedy w podróż przez Włochy i z rozkoszą a miłością najwyższą wpatrywał się w wielkie wzory zapadłéj sztuki klassycznych czasów. Lecz na patrzeniu i niemém podziwieniu nie kończył zwykle Squarcione; bo, kędy tylko mógł, zbierał, kupował posągi starożytne, płaskorzeźby, torsa (kadłuby), ornamenta, wazony; a skupował je jak się zdarzyło, to w całości, to w okruchach, a czego nie mógł nabyć, to rysował skrzętnie i przechowywał po tekach swoich. Lecz im więcéj widział pomników, przekazanych od téj dawnéj Grecyi i Romy, tém silniéj parł go duch, w niemych tych ułamkach zamknięty, by coraz więcéj a więcéj rozpoznawał się w świetnéj przeszłości dziełach; a im liczniejsze gromadził dla siebie skarby sztuki, tém gorętsza go brała ochota, żeby ich posiadł więcéj a więcéj. Zatém wsiada na statek i płynie do Hellady. I w téj Grecyi znowu kąpie duszę w morzu rozkoszy. Jakoż, ułamki z rzeźby cudownéj piękności, sterczące kolumny świątnic zapadłych, rozsypiska dawnych miast, choć chwastem zarosłe, choć często od rozbójników, od dzikiego zwierza lub od wężów strzeżone, stawały się dla młodego Francesco rajem uciechy przeczystéj. Rozumie się, że i tu nie szczędził ojcowskiego mieszka, a choć ubywało brzęczących zasobów, za to przybywały paki i skrzynie ogromnych wymiarów a napełnione ułamkami starożytnéj rzeźby.

Aż i wrócił Squarcione do Padwy. Tam zakłada szkołę, czyniąc się jéj mistrzem. W szerokiéj, obszernéj pracowni jego, rozstawione, ułożone, rozwieszone szlachetne łupy, które uniósł z dalekich podróży. Squarcione niewoli uczniów swoich, by roztworzyli oczy na piękności sztuki starożytnéj i pilnuje ich by wiernie, poczciwie i z całą grozą kopiowali te wzory. Więc oni téż pracują i łamią

się póki się nie nauczyli rysować tych form, z całą pewnością, z całą ścisłością. A ścisłość ta była tak surową, że się ona u uczniów Franciszka niekiedy przeradza w jakąś surowość twardą, nieużytą.

Tak przeto Francesco czuł się być wielbicielem staréj sztuki już wtedy, gdy jeszcze daleko było światu do epoki pełnego odrodzenia, to jest do czasu, który zawołał na zmartwychwstanie starożytnych wzorów. Więc podobno mieliśmy słuszność mówiąc, że dusza jego rano wstała i była wcześnym ptaszkiem co zapowiedział światu wiosnę artystyczną.

Squarcione był może mniéj świetnym malarzem, ale za to dzielnie i wybornie z całém wylaniem uczył drugich. Prawda, że mu zarzucają jakąś niezgodę z samym sobą. Powiadają — a zapewne słusznie — iż zarazem pragnął trzymać się wiernie antyków, bo wzorów starożytnych, a zarazem pałał chęcią naśladowania natury rzeczywistéj, obecnéj, żywéj. Lecz antyki te, przecież, postaci a arcydzieła piękności, to istne mieszkańce idealnych światów; one żyją i oddychają olimpijskim promieniem, a ludzie rzeczywiści karmią się chlebem ciężkim, powszednim; te ziemskie syny nie wyżyłyby poezyą nadniebną. Tak tedy się działo, że w utworach Franciszka i uczniów jego widać obok siebie idealizm i realizm, poetyczność i prozę codzienną. Te sprzeczności nie są nawet stopione z sobą, owszem one żyją tuż obok siebie; często nawet widzieć je można w jednéj i téj samej figurze, niedbające bynajmniéj o siebie.

Mimo tego, że Padwanów trudno obronić z tego zarzutu, należy się jednak cześć mistrzowi Squarcione; bo on przecież sumiennem działaniem i uczciwą pracą położył ogromne zasługi. I nie darmo doczekał się późnéj starości, bo go utrzymywała przy życiu doczesném miłość sztuki i serdeczne dla niéj poświęcenie się. Więc przeżywszy lat ośmdziesiąt i dokonawszy swojego na świecie, umarł w 1474 r., gdy już ze wszech stron pełnym potokiem spływała na Włochy jasność, co im miała przyświecać w nastającéj już epoce, a któréj Squarcione był jednym z pierwszych wróżbitów a sprawców zacnych.

Rozumie się, że on wszerz i wzdłuż italskich ziem rozsiał uczniów swoich (*), a miał ich blizko 140!

---

(*) Dla wiadomości czytelników naszych wspominamy co ważniejsze imiona z téj szkoły padewskiéj. W Toskanii odznaczał się *Piero della Francesca*, w Ferrarze *Cosimo Tura*, *Stefano de Ferrara*, *Franceso Cossa*, a mianowicie już *Lorenzo Costa*. Przecież wielce świetnym stronnikiem téj szkoły był *Melozzo da Forli* († około 1493), a we Vicenzy odznacza się arcy zaszczytnie *Bartolommeo Montagna* (kwitnie mniéj więcéj od 1489 do 1522). W Medyolanie *Vinzenzio Foppa*, *Ambrogio Fossano*, zwany *Borgognone*, zasługują również na wspomnienie. Pomijając już innych zwolenników tego kierunku, nie chciéjmy zapomnieć, że w saméj Wenecyi młodsi członkowie owéj artystycznéj rodziny Vivarinich kształcili się wedle padewskiego trybu; a mianowicie wspomniany powyżéj Bartolommeo Vivarini, młodszy krewny znanego już nam Antoniego, i późniejszy jeszcze Luigi Vivarini.



Miéjmy na pamięci, że to on, ten Francesco Squarcione, jest założycielem szkoły padewskiéj.

Najświetniejszym atoli jego następcą był *Andrea Mantegna*; on także rodzi się pod Padwą, ale już 37 lat późniéj niż jego mistrz, bo przyszedł sztuce na świat w roku 1431. Co Francesco rozpoczął, to spotęgował Mantegna. Jego obrazy tak są pełne natury a tak tchną prawdą, że się zdaje, że na nich figury ruszają się i żyją. Zdaje się, że polotem błyskawicznym jednego spojrzenia umiał przeniknąć wskróś indywidualność każdego człowieka, wyraz jego twarzy, ułożenie i postawę i giesta; a co bystrością oczu schwycił, to się stało u niego obrazem. On bowiem jak się dopatrzył tajemnicy cielesnego żywota, organizmu i anatomii, tak również i wydobył na jaw skrytszą jeszcze, tajniejszą pracownią duszy, co ciągle robi, co ciągle działa i miota się, kipi aż nie stworzy sobie i wyrobi odpowiedniéj postaci i oblicza. Więc téż malowania jego — to istny ten świat obecny, przytomny, co się rodzi, żyje i umiera milionami przed oczyma naszemi.

Żal mi wielce, że nam czasu braknie, abym kilka słów dorzucił o żywocie Andrzeja Mantegna, a zaprawdę byłoby o czém i o kim prawić; bo zważcie, ten wielki mistrz pasał za młodu bydło, a gdy go dorostkiem do miasta przyprowadzono, Squarcione, z całéj duszy pokochawszy młodzieńca, przysposobił go sobie za syna. Stało się tedy, że były pastuszek tak się wzniósł wysoko, dobił się tak świetnéj chwały w sztuce, że się dosłużył zaszytów obywatelskich wielce na one czasy znakomitych (że się stał „di vilissima nascità Cavaliere, per la sua virtu“ powiada z pokłonem stary Vasari) (*).

Mantegna, jako artysta sam wykonywający sztukę, przerósł nad miarę swojego mistrza a dobrodzieja; jeżeli tamten był założycielem szkoły, to wielki mistrz Andrzéj słusznie uchodzi za głównego jéj wyobraziciela a wzorodawcę. A potém umarł także starcem, bo pożegnał się ze światem dopiéro w roku 1506, — więc w czasie, gdy ten świat właśnie co witał epokę świéżą, rozkwitającą już w całéj pełni dziewiczych uroków.

Puszczając już dalsze rozwody nad mistrzem Andrzejem, wolimy jeszcze nieco bliżéj oznaczyć charakter téj szkoły padewskiéj. Wiel-

---

(*) Vasari, Vite de' piu eccellenti Pittori, Scultori e Architetti. Tomów jedenaście — pierwsze wydanie we Florencyi 1568; ile wiem ostatnie w Medyolanie 1807. To dzieło jest jedném z najgłówniejszych źródeł historyi malarstwa włoskiego. Często téż z niego korzystam. Niemieckie tłómaczenie w sześciu częściach a ośmiu tomach 1832—1849 odznacza się wybornemi przypisami pp. Schorn i Förster. (*Giorgio Vasari* ur. 1512 † 1574 roku. Cenne dzieło jego wyszło w nowém wydaniu w 14 tomach we Florencyi 1846 — 1870 r. Tłómaczenie francuzkie *L. Leclanché* w 10 tomach Paryż 1839 — 42. — St.)

ka szkoda atoli, że lubo dwa razy z uwagą przeszedłem spis bogaty téj akademii weneckiéj, nie znalazłem w nim żadnego dzieła ani Franciszka Squarcione, ani Andrzeja Mantegna (*), na którymbym, jako na obecnéj modle, mógł naocznie wytknąć o co głównie chodziło tym zacnym artystom. Przyrzekam wszelako czytelnikom, iż przy pierwszéj sposobności pokażę im dzieło Andrzeja, będącego, jak mówiłem, główniejszym wyobrazicielem téj szkoły. Zanim jednak z téj obietnicy uiścić się zdołam, niechaj go tymczasem zastąpi Bartolommeo Montagna (**), którego kilka obrazów przechowuje ta galerya wenecka. Bo choć ten mistrz już był owiany późniejszym wpływem Jana Belliniego, przecież, gdy miał dawniéj nauczycielem swoim Andrzeja Mantegna, zachował niemało cech tych poważnych Padwanów. Więc on nam stanie za przykład, zwłaszcza jeżeli w jego dziele tu obecném głównie trzymać się będziemy śladów téj padewskiéj szkoły.

Widzimy wśród przysionka staro-rzymskiéj architektury N. M. Pannę. Ona trzyma na prawém kolanie święte pacholę. Po prawéj jego ręce stanął Św. Szczepan na poły obnażony, przywiązany do słupa, przeszyty mnóstwem strzał. Po lewéj zaś stronie Boga-Rodzicy widać Św. Hieronima.

Ani przeczę, że ten obraz jest ogromnego wrażenia, niezmiernie imponujący a hardy. W nim znać tę dumę uczciwéj pracy i głębokich studyów, co pogardza umizgiem do widza, lecz pracuje sumiennie i nie pyta o oklaski powszedniéj gawiedzi. Ztąd téż w całém tém malowaniu tchnie jakaś posępność ponura a uroczystość. Więc téż i prostotę poważną widać tutaj nawet w drobnych szczegółach. Ornamentyka przypomina staro-rzymską strojność, jest atoli jeszcze pełną prostoty. Posadzka i strop sali, tron sam i szaty Panny są o tyle tylko ozdobione, by nie zdawały się biedne i ubogie; a do tego w ubraniu architektury przeważają takie przystroje, które zradzają się z linij geometrycznych, więc to niby wstęgi proste a łamane, gwiazdy, koła i t. d. Wszak te ozdoby to niby mała rzecz, przecież i do nich przeniknął duch całego dzieła.

Wedle mojego zdania, na obliczu M. Panny spłynęła dusza dwóch szkół, bo onéj padewskiéj i szkoły późniejszéj Belliniego. Jest-to uśmiech luby na tém obliczu, jednak znać, że go wstrzymuje jeszcze ciężka groza onego Andrzeją Mantegna. Za to przecież rysunek wszystkich figur wyborny. Święty Szczepan, będąc jedynie około bioder przewiązany lekką draperyą, świadczy o głębokich studyach

(*) Galerya Akademii w Wenecyi zbiera głównie dzieła szkoły *weneckiéj*. Pomimo to posiada obecnie jeden piękny obraz Andrzeja *Mantegna*, przedstawiający Ś-go Jerzego, a pochodzący z galeryi *Manfrin*. — St.

(**) Bartolomeo *Montagna*, nazwany w pierwszém wydaniu *Podróży do Włoch* kilkakrotnie przez pomyłkę *Mantegna*, ur. 1489 † 1522 r. — St.



mistrza nad ciałem ludzkiém. A jeżeli jeszcze zwrócimy baczność uważną na oblicza tych postaci, to już widać, jak te studya z natury były grozy pełne. Św. Hieronim jest starcem o długiéj śnieżnéj brodzie, który widział, jak rzeką przepływały mnogie pokolenia, co się rodziły i znikały z kolei. Na tych rysach posępnych jakaś grandeza i moc wspaniała, co dostała mężnie licznym gromom światowym. Lecz mimo tego nie jest to bynajmniéj głowa idealnie piękna; owszem zdaje się, że mistrz, napotkawszy podobne oblicze w rzeczywistym świecie, wśród ludzi sobie współczesnych, przeniósł je na obraz, nie idealizując go wcale. Tak i głowa Św. Szczepana nie jest otulona żadnym idealnym urokiem poezyi, mimo że również pełna prawdy i głębokiéj boleści.

Tak tedy i pod tym względem spotykamy studya z natury i realizm z pierwszéj ręki.

Szaty, odziewające Najświętszą Pannę, i suty obszernością płaszcz Św. Hieronima, są przepysznym wzorem drapowania. W każdym załamku, w każdém zagięciu, w każdym fałdzie, zwłaszcza w szacie Św. Hieronima, widać styl arcy poważny i jakieś pojmowanie rzeczy na wielką stopę. Nie ujrzysz nigdzie drobiazgowości, ani malizny misternéj. Święty mąż podtrzymuje suknie ręką, spoczywającą na piersiach; więc ta draperya jego, poważna i okazała, spadając bije w fałdy, jakby w głębokie uroczyste tony.

Zdaje się, że całe takowe udraperowanie, które jest samo z siebie kunsztem tak misternym i trudnym, przyszło téj szkole z ćwiczenia się na antykach, bo na posągach starożytnéj sztuki.

Bliższe atoli rozpatrzenie się w szatach tych figur, jak z jednéj strony potwierdza domniemanie, że pod tym względem zaiste szkoła padewska trzymała się rzeźb klassycznych, tak z drugiéj strony przekonywa, jak niebezpieczne jest pomięszanie dwóch odrębnych rodzajów sztuki, i że przenoszenie naprzykład w dziedzinę malarstwa tych form, które jedynie są właściwe skulpturze, jest grzechem tak ciężkim przeciw estetyce, jak gdy rzeźbiarz, zapragnąwszy dłutem malować, udaje na płaskorzeźbie widoki kraju, perspektywy, skrócenia, drzewa, obłoki i inne wymysły, które znajdują miejsce sobie właściwsze w malarstwie; a takie nadużycie skulptury jest znów takim grzechem, jak gdy muzyk, podrzucany swawolną chętką, wdaje się w zakres mowy i tonami opowiada bitwy, pochód wojsk, to jazdy, to piechoty, to huk dział, lub sili się, by dźwiękami wyraził szumy morskich bałwanów, wichry i pioruny, krzyk majtków i inne podobne koncepta.

Jakoż, te draperye na tym obrazie są zaiste uroczyste i arcy zacnie pojęte; mają atoli to do siebie, iż się zdają być kamienne, marmurowe. Z czego widzimy raz, że mistrz miewał przed oczyma arcydzieła rzeźbione, co mu idzie na zaletę, ale powtóre zarówno poznajemy, że wpływ rzeźby jest tu zanadto przeważny. I baczmy, że nawet sama treść całego obrazu wyjawia tę zbytnią przewagę

skulptury. Bo prawda, że każda z tych figur, z osobna wzięta, jest doskonale rysowana, a mianowicie już postać Św. Szczepana, pełna znajomości anatomii, jest zupełnie plastyczną, bo jakby dziełem dłuta znakomitego rzeźbiarza. Mimo to wszelako uderza nas jakiś brak duchowego związku między figurami tego obrazu. Mienie się ich wzajemne do siebie jest tylko zewnętrznem; jest to niby symetryczne ich ustawienie w wspólnéj przestrzeni, wszakże nie jest kompozycyą prawdziwą. Każda z tych postaci jest zupełnie odosobnioną całością, zachowującą się obojętnie do drugich. Każda z nich mogłaby stanowić osobny obraz a niebyłoby znać braku tamtych figur; każda z nich patrzy w inną stronę. Ś-te Pacholę ma wprawdzie oczy zwrócone ku Ś-mu Szczepanowi, ale, jak się zdaje, nie patrzy wcale na niego. Są to trzy figury, nie zaś gruppa z trzech figur. Są to jakby trzy posągi, trzy dzieła plastyczne, umieszczone obok siebie w jakiéjś galeryi skulptury. Słusznie zaprawdę rzekłem, że to są skulptury a istne posągi; bo właśnie rzeźba z istoty swojéj radziéj się zabiera do pojedyńczych osobnych postaci, niż do grupp; a gdy zaś jéj przyjdzie złączyć w jedność wiele figur, mających wspólnie opowiadać dzieje ziemi lub niebios, wtedy udaje się do płaskorzeźby; ale płaskorzeźba właśnie już jest przejściem skulptury do sztuki malowania. Jakoż dramatyczność a przedstawienie dziejowe, o ile się zwraca do oczu, jest raczéj sprawą malarstwa niż rzeźby.

Wyspowiadałem się tedy z mojego zdania o tym obrazie, słów jednak moich za wyrocznię bynajmniéj nie uważając. Com rzekł, posłuży przecież, byśmy, choć kilku rzutami, ostatecznie teraz skreślili charakterystykę téj szkoły padewskiéj. Niechaj się czytelnikowi nie przykrzy, że mu tak długo o niéj prawię, bo te uwagi nasze pewnie nam się przydadzą na przyszłość; a wątpię téż wielce, czyli, w dalszym ciągu naszéj wycieczki, nadarzy nam się pora do dłuższego zabawienia się z tymi prawymi a wielce szanownymi mistrzami staréj Padwy.

Zatém, krótko mówiąc, cechą téj szkoły były bystre oczy, umiejące się jasno patrzyć na rzeczywistość, a tym oczom służyła niechybna ręka i sumienna, nigdy nie ckliwiąca sobie praca. Ztąd rysunek niemylny i ścisły tak w konturach, jak i w cieniach i światłach, ztąd modelowanie całe doskonałe. Z jednéj strony widać pilną wyćwikę na wzorach rzeźbionych starożytnego świata, a z drugiéj realizm, idący od kopiowania żywych modeli. Nauka takowa, doprowadzona tutaj do ostateczności swojéj, prawie do zbytku przeważająca w żywocie tych artystów, zradza jakąś plastyczność ich figur; więc téż takowe stają się raczéj podobniejsze, jak już rzekłem, do dzieł rzeźbionych, niż do malowanych obrazów. Te figury atoli, z drugiéj strony, są jakby rzeczywiste, jakby z życia powszechnego wzięte; bo bez idealności, bez poezyi wyższéj, lotnéj. Pracowitość téj drużyny padewskich artystów, ich nieznękana sumienność, jest



powodem, że i najdrobniejsze szczegóły, a mianowicie ornamentyki, są wykonane u nich z najwyższém ukończeniem. Oni lubią ornamentykę, przecież takową najczęściéj pożyczają z równie poważnych starorzymskich wzorów. Ta właśnie groza w robocie tych Padwanów, ta ich sumienność, nie na żarty biorąca powołanie swoje, dbająca jedynie o prawdę a nie o szumne oklaski i huczne brawa często znarowionéj publiki, niekiedy wyradza się w jakąś szorstkość twardą i nieużytą a pedancką jałowiznę.

Widząc tedy, jakie to są główne zalety téj szkoły padewskiéj, już sobie wróżyć można, że w niéj nie ma czego śledzić mistrzowskich kompozycyj o wysokiéj poetycznéj treści. W téj szkole, jak wiemy, nie znajdziesz téj duchowéj wstęgi, co łączy wszystkie figury jednego obrazu w całość idealną; za to jednak zawsze prawie spotykamy zbiór figur odosobnionych, a nie widujemy jedności o wielu figurach.

Jednak cieszmy się z serca temi zaletami Padwanów, które im są właściwe, a nie żądajmy po nich przymiotów, które, jak wyżéj rzekłem, są raczéj posagiem szkoły florenckiéj. Jakoż, już powiedziałem, że to jest rzeczą Florencyi owo opowiadanie obrazami dziejów nieba i ziemi; jéj to mistrze umieją zagrać, jakby dramatem, głęboką artystyczną kompozycyą; florenckie malowanie, napełniając ogromną treścią idealną swoje dzieła, zarazem roztacza w nich jawnie i jasno stosunki wzajemne owych potęg duchowych, co są wszechmożnemi choć niewidnemi świata czynnikami.

Tak tedy wyświeciliśmy, choć po swojemu, tętna, stanowiące tajniki żywota i szkoły padewskiéj i florenckiéj, a poznaliśmy, choć powierzchownie, jakąto każda z nich idzie drogą, przekazaną im geniuszem, właściwym ich mistrzów. Późniéj zobaczymy, czém inne szkoły przyczyniły się do rozwoju całéj a pełnéj sztuki.

Lecz ta odrębność i prawie wyłączność cech, rozróżniająca wkrós owe, tu już wspomniane, szkoły między sobą, sama przez się już budzi w nas domysł, że winna pojawić się trzecia szkoła, co uznała być powołaniem swojém wykształcenie téj strony sztuki malarskiéj, do któréj się nie poczuwali ani padewscy, ani florenccy mistrze. Zgadujemy przeto, iż obok tamtych dwóch, prawie sprzecznych sobie kierunków, znajdzie się trzeci, będący dopełnieniem a ostatecznym zestrojem.

Cóż atoli jest niedostatkiem wspólnym obu tamtych szkół mimo ich różnicy? — Koloryt! — Koloryt nie był potęgą najwyższą ani malarzy florenckich, ani padewskich; tamci celują w kompozycyi a Padwanie w rysunku. Koloryt atoli bierze na siebie, jako zadanie żywotne swoje, szkoła mistrzów weneckich.

Jakoż, prócz tylu świetnych zalet, które już nazawsze będą chwałą artystów Wenecyi, krom innych znamion, wykwitłych z tajemnic ich serca — nadewszystko przecież zmysł dla czarodziejstwa barw uczynił ich pod tym względem najwyższym wzorem sztuki.

Któż słowami opisać zdoła to mienienie się i świecenie barw, i przepych tonów co grają, dźwięczą farbami na obrazach weneckich? — Z daleka patrząc na to malowanie, zdaje się, iż widzisz olbrzymi, wspaniały bukiet z kwiatów uzbieranych świeżo po rajskich ogrodach. A gdy bliżéj przystąpisz, już bukiet przeistoczył się w grona radośnych, szczęśliwych ludzi, wybrańców piękności i szczęścia, odzianych w szaty lśniące bogactwem, w lite, kosztowne, świecące materye; a otacza ich w koło natura urocza, wdzięczna, co ich ojcowizną błogą, lub obstępuje ich architektura wspaniała a przecież wdzięku pełna.

Patrz, jak promienią te szaty, jak migocą i mienią się barwą i złotem. A dopiéro ciała tych figur! One tchną cudną, ciepłą karnacyą; upały życia i pulsa tętnią w tém ciele, oblaném tchem złocistéj poświaty. Zaiste, nie wiedzieć jak się to dzieje, lecz patrząc na ten koloryt wenecki, zdawałoby się, iż na samém tle obrazu płoną słońca gorące, co biją przez farby, przeświecając je jasnością, niby krystaliczne przezrocze. Więc te farby same tu żyją, błyszczą i oddychają światłem dziwném, cudownem. Te barwy tak pełne i świetne, tak wysokie i znów zapadające w cieniach głębokich, te barwy tak są różne i wbrew odwrotne, a przecież nie rażą, a przecież nie są jaskrawe. One tak z sobą zestrojone, tak spływają dziwną harmonią, że w nich niby słyszysz słuchem oczu panujący ton, do którego wszystkie te różne dźwięki nastrojone; słyszysz ton, co jest mistrzem ich wszystkich i wszechwładnym kontrapunktem.

Pytacie może, jakimże trybem ci malarze dostąpili tych rządów w tém zagadkowém państwie barw? jakichże się oni trzymali prawideł w dokonaniu tych dziwów zachwytnych a upajającéj rozkoszy? — Ba! gdybyśmy to znali tę receptę na koloryt wenecki, gdyby to można zkąd nauczyć się tych formuł czarnoksięzkich na zaklęcie onego czarodziejskiego królestwa barw — jużby téż wenecki koloryt nie był jedyném zjawiskiem w całéj historyi sztuki; jużby on był własnością wszystkich szkół, wszystkich malarzy; nikt z nich nie straszyłby ludzi mętną, oszarganą farbą. A łamanie się dzisiejszych artystów, zwłaszcza francuzkich, byłoby najwyższym uwieńczone skutkiem.

Gdybyśmy nie znali dziwnéj potęgi geniuszu, moglibyśmy powiedzieć, że koloryt Wenecyan zaiste zrodził się jakby jakimś cudem na ziemi. Bo kto zgadnie, kędy pod wieczór chodzą gwiazdy, by zapalić różnobarwne kaganki swoje, kędy rodzą się tęcze lub gdzie mieszka owa czeladka Boża, co maluje niebo zachodu purpurą. Rzekłbyś, że te farby, które widzimy na obrazach Wenecyan, świeciły kiedyś rzeczywiście na młodéj ziemi, gdy ona po swojém stworzeniu obchodziła pierwszą szczęsną wiosnę swoją. Rzekłbyś, że dziś te barwy w rzeczywistości omdlały, przygasły, przypalone biedą i ułomnością ludzką.



Jeżeli prawda jest, że jeszcze *Semitecolo*, *Giambono* (*) i inni artyści owéj epoki przejścia są jakby przeczuciem skromném, cichém, ledwie dostrzeżoném tych wszystkich czarów, które kiedyś stać się miały duszą sztuki weneckiéj; jeżeli następnie już w Muranesach mocniéj a mocniéj odzywają się wielkiéj przyszłości wróżby, gdy zwłaszcza ich koloryt jest jakby wysłańcem, zapowiadającym nadchodzące jasne sławy; toć już *Jan Bellini* jest ostatnim z poprzedników najświetniejszéj epoki malarstwa w Wenecyi. Duch jego, usamowalniając do reszty sztukę z pod średniowiekowéj nocnéj ćmy, na rozcież rozgarnął obłoki poranne, niby bramy tryumfalne dla słońca Giorgionów, Tycyanów, Tintorettów i Pawłów z Werony.

Było to jakoś jeszcze w ostatniéj ćwiartce XV wieku, gdy cała Wenecya brzmiała chwałą jednego ze swoich malarzy; obrazy jego tak były barwy świetlistéj, błyszczącéj, farby tak połyskujące, soczyste, że już niepodobna było obaczyć nic śliczniejszego na świecie. A co które nowe malowanie wyniesiono z jego pracowni, to zdawało się jeszcze a jeszcze świetniejszém; więc téż podziwieniu nie było końca. Cisnęli się tłumnie nobili weneckie, co same błyszczące, połyskujące i świeciste. Cisnęły się damy cudnéj urody, o licu przezroczystém a oku palącém, o ustach niby dumnych a uśmiechających się miłością. Cisnął się kto jeno mógł do szczęsnego malarza, a schlebiając jedwabném słówkiem, zamawiał obrazy dla siebie. A lubo nikt nie zdołał odgadnąć sposobu tego nowego trybu malowania, wszyscy unosili się nad tém dziwem; więc każdy, co świecił zamożnością lub rodem w adryatyckim grodzie, uważał sobie za szczęście zazdrości godne, by ściany pałacowych świetlic jego przystroiły się choćby jednym z tych dziwnych a uroczych obrazów. Wszak nawet ten uwieńczony, upieszczony artysta utworzył dla kościoła Św. Kassynna, jednéj z parafij weneckich, obraz, co znów stał się przedmiotem oklasków całéj Wenecyi. Płynęło tedy pełnym strumieniem złoto do skrzyni artysty, ale nie gościło w niéj długo, bo malarz wyprawiał sobie festyny huczne, i uczty i tańce, bo miał serce ochotne a krew wcale nie chłodną.

Otóż zdarzyło się, że pewnego poranku przed mieszkanie hulającego malarza podpłynęła gondola. Z niéj wyskoczył jakiś suty nobile wenecki; szumiały na nim sajety, aksamity, błyszczał łańcuch złoty na szyi, migotały się klejnoty na szpadzie, powiewało piórko na czapce. Oczywiście znać, że ten elegant jednym z celnych panków weneckich. I wstąpił do izby malarza, prosząc by uczynił wizerunek jego. W okamgnieniu, bez targów dobił zgody. I już artysta maluje. Gość był jakoś rozmowny a admirator obrazów, więc dużo prawił o sztuce malowania i sypał pytanie za pytaniem, na które odpowiadał uprzejmie mistrz, choć z tém trudną miał spra-

(*) Zob. str. 278 i 280.

wę; bo wielce szkoda, że temu obcemu panu, co tak grzeczny i uprzejmy, brakło nawet najdrobniejszego pojęcia o malarstwie; bo co usta otworzył już wylatywały jakieś niestworzone rzeczy, jakieś herezye przeciw sztuce, budzące uśmiech na licach mistrza. Ale za te grube niewiadomości wynagradzał ten świecisty pan wielką pilnością; bo żadnego razu nie chybił na posiedzenie — i zaledwie od placu Ś-go Marka przypływał głos zegaru, dając znać, że już nadeszła umówiona godzina, jużci przed oknami malarza słychać było plusk wioseł gondoli świecistego magnatka.

Już, już dogorywała liczba tych posiedzeń, już, już wizerunek miał być skończony, gdy nagle gdzieś zniknął nobile; a chociaż już był za obraz zapłacił, nie posłał nawet po niego, i przepadł gdzieś bez śladu.

Teraz przyda się powiedzieć, że ten malarz zwał się *Antonello d'Antonio*, znany skróconém imieniem *Antonello da Messina;* a tym elegantem złocistym jest *Giovanni Bellini* — malarz przebrany za weneckiego panka.

Rzecz z *Antonello da Messina* tak się miała: — on, jak z przydomku widzicie, rodził się w Sycylii i jak się zdaje, około r. 1414. Już on w mieście rodzinném był nie ostatnim artystą i wcale znakomicie rysował i malował. Gdy atoli król Alfons I wrócił na państwo swoje i osiadł w Neapolu, przybył tam i Antonello; bo w stolicy było dworno i szumno, i nie brakło zbytku i smaku i ochoty do sztuki i piękności; więc i artystom łatwiéj się tam było chować i hodować, trzymając się klamki dworskiéj. Więc i nasz malarz rysował i malował skrzętnie w Neapolu — i dosłużył się nawet niezgorszego imienia, gdy nagle po mieście całém gruchnęła wieść, że król Alfons otrzymał z dalekiéj mglistéj północy, bo z Niderlandów, jakiś obraz, jeszcze niewidzianéj, niesłychanéj ślicznoty barw, co cały połyskujący, mieniący, bo malowany jakimś nieznanym sposobem. Na te odgłosy Antonello już nie spoczął ani sypiał po nocach; bo go ciskała gorąca, niepohamowana żądza widzenia tego obrazu. On o tém tylko marzył i śnił i myślał, aby się jakoś do pałacu królewskiego dostać. Jak się tedy jął chodzić i starać, tak i na swojém postawił. Gdy atoli w świetlicach królewskich ujrzał ten obraz cudny, dziwny, zadrżał w zachwyceniu; — niezadługo też, nikomu się nie sprawiając, ruszył do Niderlandów, by poznać owego mistrza o czarodziejskich farbach.

I miał po co i miał do kogo się śpieszyć Antonello da Messina; bo w Niderlandach żyło wtedy dwóch braci malarzy nazwiskiem *Van Eyck*, z których starszy zwał się *Hubert* a młodszy *Jan* nierównie przewyższający geniuszem brata (*). Otóż ten Jan, którego

(*) Bracia *van Eyck*, Hubert ur. 1366 † 1426 i Jan ur. 1390 † 1441 r., są założycielami tak zwanéj staroflandryjskiéj szkoły malarstwa. Nowsi historycy oddają pierwszeństwo w sztuce *Hubertowi*, wykazując, że Jan pracował przy boku starszego brata i rozwijał tylko jego pomysły. Hubertowi także przypisują wynalazek olejnego malowania. Zob. *Hotho*, Die Malerschule Huberts van Eyck, 2 tomy, 1858, oraz *Görling*, Geschichte der Malerei, 1866 T. I, str. 240 i nast. — St.



Włosi od miasta, w którém pracował, zowią Giovanni da Bruggia, był głową szkoły znanéj pod imieniem staro-flandryjskiéj; a co więcéj, on to wynalazł kunszt olejnego malowania, a tém samém stworzył ogromny zwrot w sztuce, która najczęściéj malowała *alla tempora* (*). Radbym go z serca uczcić kilką rysami jego żywota i wysokich zasług, ale wiecie jak nam śpieszno, i że w téj wycieczce po Włoszech ledwie dotkniemy się słówkiem artystów włoskich; tém mniéj tedy czasu, by rozszerzać się nad innymi, zwłaszcza nie włoskimi malarzami. Dość na tém, że Antonello przybywa do zacnego Van Eycka, a tak mu się umiał zasługiwać, zalecać, że go ten wielce polubił, — a gdy nasz Włoszek darował mu jeszcze cały zbiór rysunków, gdy z miłością a uwielbieniem przytulił się do Jana, już ten, zdjęty życzliwością dla ucznia, pokazał mu, jak to się maluje olejno. Antonello, wróciwszy do Włoch, przybywa do Wenecyi. Zaledwie stanął w tym grodzie czarodzieju, gdy go oczyniła Wenecya rozkoszami swojemi, bo to było miasto oddane ochotnéj zabawie i wszystkim przyjemnostkom życia; lubiła się śmiać i śpiewać, tańczyć i radować się, a nadewszystko już była bogata w dusze kochane a kochające. Bo dobrze wam wiedzieć, że mimo morzo-władnego Neptuna, w Wenecyi wodziła rej owa rodzona matka kupidynowa. To wszystko przypadło w rym naszemu Antonello, który, jak wam wspominałem, także miał temperament miłosny, a serce nie z bibuły. Więc postanowił pozostać już do śmierci w Wenecyi i w niéj żyć podług swojego „gustu“ *(secundo il suo gusto*, powiada Vasari).

Rozumiemy już tedy, jako *Jan Bellini*, zaczaiwszy się na Antonella w sukniach błyszczących nieświadomego nobili, podpatrzył kunszt o farbach olejnych. Powiecie zapewne, że to nie było wcale ładnie z jego strony, iż tak zdradą podszedł mistrza. Nie ma co mówić — ale kto wié, czyli to wszystko i prawda! Bo lubo stary Ridolfi, żyjący bliżéj tych czasów, pierwszy (o ile wiem) wspomina o tym podstępie Belliniego (**), są jednak inni, którzy zapewniają, że Antonello nie taił się przed nikim ze sztuką swoją, i że z całą otwartością udzielał jéj innym artystom; co być łatwo może, bo, jak wiadomo, hulacze o ciepłéj krwi zwykle bywają życzliwego i chę-

(*) *Alla tempora* albo *in tempora*, sposób malowania, którego obok fresco używano przed czasami Cimabuego aż do XVI wieku, więc w epoce od 1200 do 1500. Malowanie takowe zależy na tém, iż powlekano deskę, płótno tłem z gipsu, na którém dopiéro malowano farbami zaprawionemi żółtkiem z jaj i niektóremi żywicami (np. łodygami z figi), co przyśpieszało schnięcie farb. Wszak długo jeszcze artyści używali zarazem sposobu in tempora i farb olejnych, jak np. sam Bellini.

(**) W „Le Maraviglie dell' Arte overo le Vite degli' Illustri Pittori Veneti in Venetia“ 1648, in 4-to. Ta ważna książka jest jedném ze źródeł, z których tu czerpiemy.

tnego dla innych serca. Lecz w najgorszym razie, choćby i tak było, to przecież Belliniego nie wolno mierzyć miarą powszednich, codziennych ludzi; bo artyści mają jakieś pewne przywileje; im nie jedno do twarzy, co nie uchodzi nam prozaicznym ludziom — rozumie się, byleby nie nadużywali tych przywilejów i byleby byli prawdziwymi, a nie na żarty, artystami. Alboż my wiemy, lub wiedzieć możemy, jaki niepokój palił duszę Belliniego, ile się z sobą nałamał, ile bezsennych nocy strawił, zanim się dowiedział o tym nowym i tak wielkim, świetnym kunszcie malowania? Otóż na dowód, że te domysły nie puste, ani obrane z prawdy historycznéj, powiem, co się stała za zbrodnia szkaradna właśnie z powodu tego malowania olejnego, a która właśnie wykonana była na jednym z uczniów Antonella.

Jakoż, nasz Antonello udzielił był tajemnicę swoją *Dominikowi Veneziano* (*), co mu się stał najmilszym uczniem a przyjacielem od serca. Więc téż Dominik, bawiąc późniéj we Florencyi, wzbudził uwagę całego miasta dziwnie pięknem malowaniem swojém. Byle kto ucha nadstawił, już słyszał chwałę obcego artysty, bo smak do sztuki a zamiłowanie w umiejętności było chlebem powszednim téj zacnéj stolicy. Przecież w tym czasie żył także we Florencyi wśród mnogich artystów i *Andrea del Castagno*, będący zaiste jednym ze znakomitszych malarzy owego okresu (ur. 1406 um. 1480), lecz za to był człekiem, co zaprzedał duszę demonowi pychy i zazdrości. Więc łasi się Dominikowi, nadskakuje mu udaną przyjaźnią a judaszowym uśmiechem, aż się wśliznął w serce zacne weneckiego malarza. Dominik, człowiek z duszą ciepłą, pełną życzliwości dla ludzi, zwiedziony chytrą obłudą, przywiązał się cały szczerze do zdrajcy. Więc pewnego razu, w chwili przyjacielskiego wylania, wyjawił mu cały tajemny proceder olejnego malarstwa. Mimo tego dowodu szczeréj doznanéj przyjaźni, zazdrość, zawiść miotała sercem Andrzeja del Castagno. On w dobroczyńcy swoim widział tylko niebezpiecznego, bo pełnego talentu rywala; więc był miotany chucią, by on sam stał się jedynie dziedzicem tajemniczego kunsztu. Tak od dnia do dnia zły duch silniéj a silniéj rozpierał się w ciemnéj duszy Andrzeja, a nakoniec szepnął mu myśl, aby się pozbył współzawodnika i sam jeden jaśniał we Florencyi chwałą, którą dotychczas dzielił z Dominikiem. Ta myśl, raz ogarnąwszy złośnika, stanęła w nim niezłomnym, niezwrotnym wyrokiem. Chodziło mu tylko o to, aby omajaczyć uwagę miasta, a nie chybić nadającéj się do zamysłu godziny. Więc ciągle już żyje w kłamanéj przyjaźni z towarzyszem swoim, niby kochając go jak brata i wszystkie zabawy i prace z nim podzielając. Obaj razem malowali w kościele Santa

(*) Domenico di Bartolomeo, zwany *Veneziano* albo da Venezia ur. 1408 1464 r. — St.



Maria Nuova, obaj razem mieszkali i wspólnie jadali i przechadzali się; — co więcéj Andrzéj wtórował Dominikowi na lutni, gdy ten wyprawiał po nocach serenadki swoim damom. A przecież nie było już dwóch ludzi tak niepodobnych do siebie, jak obaj ci koledzy a przyjaciele. Dość spojrzéć na wizerunek Andrzeja, umieszczony przy żywocie jego w Vasarim, by w téj twarzy o ustach grubych, w tych oczach, z ukosa patrzących, wyczytać naturę drapieżną, duszę zdradną jadem przejętą. Nie dziwimy się téż, gdy nam prawią, że, mimo wielu zalet jego obrazów, przecież z nich straszy jakaś ponura posępność, że się w nich czai jakiś złośliwy, odpychający demon. Przeciwnie Domenico Veneziano był człekiem lekkim, wesołym, żyjącym w zgodzie z każdym, lubionym od wszystkich; a nadto, śpiewał pięknie i grał po mistrzowsku na lutni, co mu także niewoliło serce nie jednéj piękności.

Pewnego razu, gdy się już dobrze pod noc miało, Dominik bierze lutnię i, wybierając się na serenadę, zaprasza z sobą przyjaciela swojego. Andrzéj żałuje, że mu dziś towarzyszyć nie może, zajęty będąc pracą około rysunków wymagających pośpiechu. Lecz zaledwie wyszedł Dominik, gdy Castagno, troszkę poczekawszy, okrywa się płaszczem, bierze w garść ogromny kawał ołowiu i cichaczem śpieszy za nieszczęśliwym. Znając cel drogi, zasadził się na rogu jakiéj ulicy. — Z daleka, w pośród spokojnéj nocy, słyszy kroki już zbliżającego się towarzysza i wesołe jego nócenie. Andrzéj rzuca się na niego i sztuką ołowiu uderza go w skronie, a powtórzywszy ciosy mordercze, przekonany, że dokonał swojego, znowu kocim chyłkiem, krytym sztychem niedopatrzony wraca do mieszkania w S. Maria Nuova, i, zamknąwszy się w izbie, siada napowrót do rysunków swoich. Wkrótce potém słychać na schodach łoskot, krzyk, narzekanie i zgiełk — to słudzy, co śpieszą z doniesieniem o okropném zamordowaniu przyjaciela jego. Castagno, niby przelękniony, w najstraszniejszéj rozpaczy, biegnie ze sługami na miejsce zbrodni. Tam już grono ludzi obstąpiło konającego Dominika. Więc Andrzéj, udając rozpacz i kłamiąc okropną boleść, klęka obok przyjaciela i, biorąc krwią zalanego w objęcie swoje, woła: „o bracie mój! o bracie mój drogi!“ Niezadługo Dominik na rękach własnego mordercy wyzionął ducha.

Wnet rozpoczęło się dochodzenie zbrodni — wiele osób uwięziono napróżno. Morderca przepadł bez śladu. Bo nikt nie przypuszczał, aby Andrzéj mógł być jéj sprawcą. A okropna tajemnica nie byłaby się nigdy odsłoniła światu, gdyby nie własne zeznanie Andrzeja. Jakoż, on jeszcze wiele, wiele lat przeżywszy na świecie, i doczekawszy się późniéj starości, w obec skonu i Bożego sądu, na łożu śmierci wyznał zbrodnię, która mu była okrutném piekłem wśród długiego żywota, a szatanem ścigającym przez wszystkie lata, i dniem i nocą nieużyczającym nigdy pokoju.

Powiedzmy sobie, czyli tedy, obok haniebnego czynu Andrzeja

Castagno, koncepcik Jana Belliniego, choć nieco podstępny, nie maleje na lekki figiel, co mu pewnie nie pójdzie na karb śmiertelnego grzechu; a to tém mniéj, iż on w sztuce rozwinął się na pociechę i chwałę ojczyzny swojéj, a nam późnym pokoleniom na istne duchowe wesele.

Otóż imię „Bellini“ zamknęło w sobie znowu jedną z tych szczęśliwych artystycznych rodzin. Bo ojciec Jana, zowiący się *Jacopo Bellini* (ur. 1400, um. 1470) był także malarzem, choć nie osobliwym, mimo tego, że miał nauczyciela znanego już nam Franciszka Squarcione (*), a potém wielce słynnego *Gentile da Fabriano* (**). O tym Gentile nie wypada mi tutaj rozprawiać, bo on do szkoły toskańskiéj należy, a przecież my, lubo bawimy w Wenecyi, zaledwie dotknąć możemy najznamienitszych jéj artystów. Dość na tém, że Fabriano jest malarzem tchnącym tak lubą, wdzięczną słodyczą, że jego fantazya zdaje się być niby uśmiechającym się aniołkiem, co wié wszystko, co się w niebie dzieje i te powieści nadziemskie swoje rozpowiada farbami na obrazie malowanym. Lubo atoli Jacopo Bellini nie dopiął się jasnych wysokości mistrza swojego, chował go jednak w tak wdzięcznéj pamięci, iż na jego cześć synowi swojemu starszemu dał imię *Gentile* (ur. 1421, um. 1501), — i ten syn jego był także malarzem, a nawet wielce świetnym malarzem. Przewyższał atoli i tego brata i ojca syn drugi *Giovanni Bellini*, zwykle Gianbellino przez skrócenie zwany; otóżto on, nasz dawny znajomy a mistrz rejowodny nowéj epoki artystycznego świata.

Długi żywot był, jak się zdaje, błogosławieństwem téj rodziny, bo gdy ojciec Jacopo dożył 70-go roku, a Gentile 80-go, wielki Giovanni podobno jeszcze w 90-ciu leciech życia był czynnym z pędzlem a paletą w ręku. Rzekłbyś, że duchowość idealna, wnosząca zwłaszcza tego mistrza nad życie zmysłowe cielesne, umiała go téż obronić przez długie lata naturze materyalnéj własnego ciała. Co więcéj, ten Giovanni, który i w późnéj jeszcze starości przemagał wrogie wszystkim ludziom potęgi natury, wyswobodził równie, jak wiecie, do reszty sztukę z ciężkiéj średnio-wiekowéj niewoli, która, jakby ślepe, głuche moce przyrody, ciążyła na duchu ludzkim. On geniuszem swoim wykupił piękność, wyzwolił ją z pod czarów materyi, wionął na nią życie młode wiosenne; jak ów rycerz w bajce, co ucałowaniem miłości pełném, co wyrzeczoném słówkiem wyzwolił kochankę z pod oczynienia czarownicy złowrogiéj.

Zaprawdę, w tym Bellinim fantazya artystyczna odetchnęła całemi pełnemi piersiami; ona tak lekka, swobodna, uskrzydlona, że wedle woli swojéj to wzbija się w górę i w niebo zagląda, to znów

(*) Zob. powyżéj str. 291.

(**) *Gentile da Fabriano*, zwany także *Marc Ancona*, urodzony około 1360, um. 1450. — St.



schodząc w tuteczne poniża, rozświeca tęskne, mgliste ćmy naszego żywota. Ta fantazya wielkiego mistrza jest wyrozumiałą na ludzkie uczucia, lecz je uzacnia, uszlachetnia.

Jakoż ową swobodę fantazyi lekko-skrzydlatéj, ten jéj oddech, co zjednał téż mistrzowi Belliniemu ową ciszę błogą a pokój, niezamącony ziemską biedą, widzisz równie w świętych jego postaciach. Uczucia czyste, nieskalane owiały duszę jego, zwłaszcza w chwilach, gdy malował Madonny swoje. Rzekłbyś, że one tchną wonią wiosennych bożych fijołków: tak ci lubo i niebiańsko a rzewnie, gdy staniesz przed jednym z tych wizerunków Boga-Rodzicy! Atoli wielki ten mistrz wzbijał się już lotami natchnienia do najwyższych naniebnych wysokości, gdy mu przychodziło przedstawiać ludziom śmiertelnym oblicze i postać ich Zbawiciela. Wszystko, co tylko szlachetne, nadziemskie, co wiekuiste, tutaj staje się psalmem widomym. Przecież ten Jan Bellini jest jeszcze weneckim malarzem, więc mu nie obce są, jak rzekłem, ziemskie uczucia, ziemskie radości i doczesne wesela; więc je téż rozświetla jasnością wdzięków czarownych, a tak uzacnia i wznosi nawet życie codzienne. On jest weneckim malarzem, zatém i koloryt już u niego pełny i przepyszny, w czém go jedynie jeszcze przewyższyli, wielcy uczniowie a następcy jego.

Zamiast atoli prawić z pamięci o cechach mistrza Belliniego, chciéjmy raczéj idąc zwykłym trybem naszym, naocznie się przypatrzyć charakterystycznym cechom tego mistrza na własnych jego pracach.

Akademia przechowuje niektóre z nich, jako kosztowne klejnoty sztuki weneckiéj. Najprzód znajdziemy tutaj Najświętszą Pannę królującą światu. Ten obraz był niegdyś przeznaczony do kościoła Św. Hioba, a jest tém więcéj zajmujący, iż to było podobno pierwsze dzieło, które Bellini olejno malował.

Przestrzeń architektoniczna przedstawia jakby niżę wielkiego ołtarza (jak to bywa w kościołach stylu romańskiego), ujętą z przodu łukiem krągłym, spoczywającym na dwóch zdobnych pilastrach stylu lombardzko-romańskiego. U góry niży udane mozaiki. Zdaje się, że to malowane budowanie odpowiada rzeczywistéj architekturze kościoła, dla którego było przeznaczone i jest jakby dalszym jéj ciągiem. W środku niży N. Panna, na prawéj ręce trzyma Bożego Syna, lewą podniosła jakby przemawiała do świata o wiekuistéj sprawie odkupienia ludzkiego rodu. Po jéj stronie prawéj najbliżéj stanął Św. Franciszek z Assyżu, przy nim Św. Jan Chrzciciel, daléj Hiob. Po lewéj ŚŚ. Sebastyan, Augustyn i Dominik. U stóp tronu trzech aniołków przygrywających na lutniach i skrzypcach. Prawda, że Matka Boża pełna słodyczy i rzewnéj lubości niebiańskiéj; ona daleka od sztywnego, twardego wymuszenia, które cechuje jéj wizerunek u dawniejszych a znanych nam już szkół — prawda, ale, mimo tego, trudno zrazu pojąć czém się dzieje, że jéj postać na

tym obrazie Belliniego, mimo téj lubości miękkiéj, mimo nawet braku najwyższéj idealnéj piękności, jest przecież tak wzniosłego, dziwnego majestatu. Ta zagadka ci się rozwiąże, gdy się bliżéj rozpatrzysz w całéj kompozycyi. Poznasz albowiem, że wszystkie jéj szczegóły, wiążąc się w całkowitą organiczną jedność, a nawzajem się potęgując i uzupełniając, nadają tę moc i znaczenie wysokie postaci Boga-Rodzicy jako głównéj figurze tego obrazu, jako jego sercu a ognisku.

Najprzód otoczenie architektoniczne, lubo pędzlem stworzone, prześlicznie zamyka i niżą i łukiem, i pilastrami tę gruppę; a tak już zewnętrznie łączy wszystkie figury w całość harmonijną a wysokiéj treści.

Następnie Pacholę Ś-te, choć jeszcze dzieciątkiem, patrzy jakby wieczności oczyma — tak spojrzenie i oblicze Jego uroczyste a grozy pełne. Daléj, te aniołki, co siadły na stopniach, są przecudnéj piękności dzieci, lubo mistrz, z mądrością rodzącą się z prawdziwego natchnienia, nie udzielił im téj uroczystości niebnéj, co jaśnieje rzewnością na obliczu Pana Jezusa; są to dzieci, zrodzone w nadgwiazdnych edenach, igrające i śpiewające całém sercem na chwałę onemu pacholęciu, co samą jest ofiarą a zarazem kapłanem ofiarnym za winy świata. Nakoniec uzupełniają kompozycyą święci mężowie, stojący dworem około Pani nieba i ziemi. Nic cudniejszego nad tę postać Św. Sebastyana! Męczennik bez sukni, biodra tylko odziane lekką draperyą; zatém wdzięk cały téj postaci zwiastuje, jakim to Bellini był mistrzem w stwarzaniu przyrodzonych uroków ludzkiego ciała. Tu nie ma tych twardych kolorów, konturów szorstkich lubo bezchybnych, co stanęły za chwałę szkole padewskiéj. Św. Sebastyan tutaj zjawia się nam młodzieńcem rozkwitłéj pełnéj wiosny żywota swojego. Z mistrzowska znowu naprzeciw niego Bellini postawił Hioba, onego męża prawego co trwał w ufności do Boga, którego tak ciężko ręka Pańska nawiedziła. Hiob jest bez szat, boć to on rzekł: „Nagim wyszedł z łona matki, nagim się do niego wrócę! Pan dał, Pan wziął! Niech będzie imię Pańskie błogosławione!“ — Lubo tutaj widzisz ciało starca, lubo po jego całéj postaci jakby uwidomione słowa, że „człowiek narodzony z niewiasty dni krótkich jest i pełen kłopotu“, że on „wyrasta jako kwiat i bywa podcięty jako trawa, a ucieka jako cień i nie ostoi się“ *(Hiob XIV)*; przecież na tém ciele znękaném od strachu, miotaném boleścią, rozlana lubość dziwna i cudny wdzięk. Mistrz dokazał arcysztuki. że omdlenie sił fizycznych, że zwiędniałe życie zdołał wznieść do piękności uroczéj, nadziemskiéj, i że tak zarazem pocieszając przypomniał, że Pan przyjął Hioba oblicze po mękach i katuszach ziemskich i błogosławił go, że Hiob odrodził się nowym żywotem, bo się odrodził w Bogu.

Otóż, całą tę kompozycyą razem ująwszy w jedność, już zrozumiemy na tym obrazie, zkąd w postaci Boga-Rodzicy owa uroczystość majestatu pełna. Bo, jakem rzekł, dopiéro całość kompozycyi a wszystkie szczegóły, nawzajem się dopełniające, potęgują wrażenie tych figur, a tém samém nadają głębsze znaczenie głównéj postaci, bo saméj Pannie Przenajświętszéj. Łatwo ztąd poznać możesz, że te figury nie dadzą się rozłączyć od siebie, jak to zwykle mogło mieć miejsce w dziełach padewskiéj szkoły; bo postaci Belliniego są muzykalnie zestrojone z sobą, więc im téż przygrywają anieli niebiańską harmonią, co śpiewa u stóp Pani światem władnącéj. Prawda, że tutaj widzimy jeszcze pewną symetryą w ustawieniu tych figur; jednak ona, o ile mnie się zdaje, jest wypływem saméj istoty obrazu, co, będąc przeznaczony dla kościelnego ołtarza, wymaga uroczystości i grozy. Mimo tego atoli, ta symetryczność bynajmniéj nie jest owém ustawieniem posągowém, które nas uderzało w obrazach szkół dawniejszych. Jakoż Bellini jest już istnym malarzem; on już wyswobodzony z dusznego jęctwa Padwanów; on już nie dłutem, lecz pędzlem stwarza swoje obrazy.

Znać nawet wyraźnie, że ten wielki mistrz odprawiał w duchu swoim epoki artystycznego rozwoju, gdyż im późniejsze są jego dzieła, tém wyższa lotność a swoboda jego twórczéj fantazyi. Abyście się o tém przekonali, dość nam spojrzéć na inny obraz, co urósł w następnym okresie wzmagającego się jego geniuszu. I tutaj widzimy, wśród grona świętych postaci, Bożą Matkę z dziecięciem Zbawienia na rękach; ona atoli teraz już nie usiadła na tronie, nawet nie jest wzniesieniem posadzki odosobnioną od świętych osób co jéj towarzyszą. Jakaś luba, niebiańska poufałość, jakaś serdeczność wzajemna łączy tę wszystką czeladź Bożą z Królową wszech światów. Te figury otoczyły Rodzicę Zbawiciela, stając z nią nawet na jédném i tém samém tle; a lubo jedne z nich się modlą, drugie patrzą na Matkę i dziecię z rozrzewnieniem i czcią, przecież nie ma w nich lęku ani grozy, bo one wszystkie tchną samą miłością; jedném ich wszystkich wspólném sercem jest miłość bez granic a tkliwe uwielbienie dla Bożéj Matki. Tutaj nawet nie ma cienia symetryi wymyślonéj; bo lubo te postaci stanęły pięknie i prawdziwie artystycznie się gruppują, to się jednak zdaje, że one tak stanęły przypadkiem szczęśliwym, wcale o nim nie myśląc.

Nie ma tedy dziwu, że swoboda, słodycz, że woń nadziemskiego spokoju opłynęła atmosferą to grono całe, i że widz ssie oczyma duszy z tych światów nadgwiazdnych cichotę przeczystą, a pokój święty, co utula i ukaja w sercu człowieka ckliwości ziemskie i bolejące biedy.

Nie skończyłbym w rychłe tych rozpraw moich, gdyby mi wypadło choć przelotnie pomówić o innych obrazach Belliniego, co, jakby w piękności skarbnicy, przechowują się w akademii weneckiéj; a mniéj mi podobno starczy czasu, abym wam przy sposobności jakiéj prawił o innych arcydziełach naszego Jana, które tak suto

jeszcze znajdują się po kościołach Wenecyi (*). Jest ich niezbyt mało i po innych miastach włoskich a nawet w za-italskich stolicach Europy. Wszak jeden z obrazów Belliniego niezbyt dawno jakieś zaoceańskie Amerykany ze sobą uniosły.

Amerykanie! Co tym ludziom po dziełach sztuki a zwłaszcza po Bellinim! Niechby już przestali na tych grubych dollarach, któremi tak się chlubią; lecz niechaj nas, synów Europy, nie obierają z arcydzieł arcymistrzów naszych. Nie dośćże już nam na tych pankach i podpankach angielskich, co wykupują ze stałego lądu całéj naszéj części świata słynne dzieła sztuki, a to aby je więzić przed światem w zamkach i zameczkach niedostępnych, zaklętych, a to jedynie dla parady i dla dogodzenia czczéj pysze. Bo one wrzekome amatory sztuki jak najczęściéj nie mają uszu muzykalnych, tak zwykle nie mają oczu dla obrazów i posągów. Dopiéro Amerykany! — co im do mistrzów naszéj Europy? która tak krwawym trudem, tak długowiekowém łamaniem się zapracowała sobie na te rajskie kwiaty swojego geniuszu. Te dzieła są naszą, są Europy własnością; do tych dzieł nic wcale nie przyczyniła się kupcząca Ameryka. A potém, czyliż te dzieła wielkich mistrzów włoskich, oderwane z pod ojczystego nieba, od rodzinnéj ziemi, rozwiedzione od swojéj historyi, będą zrozumiane wśród kupczących handlarzy? Czyliż atmosfera, w któréj prosperuje niewola murzynów a kaci frymark na istoty ludzkie, jest atmosferą dla ducha Belliniego, co tak jasny, przeczysty, niebiański jako cherubinów śpiew, jak gwiazdka co dopiéro uleciała z dłoni miłości wiekuistéj?

Lecz widzę, że mnie uniosły nieco gniewne a zbyt jaskrawe żale; więc wracam do Bellinich, a mianowicie już do *Gentile Bellini*, który, jak wiecie, był starszym bratem Jana (**). Na czole jego zaiste już nie świeciła owa jasność płomienna geniuszu, co jakby aureolą uwieńczyła głowę brata; jednak zaprawdę i on jest także wielce znakomitym mistrzem, a co mu brakło geniuszu, dosadził uczciwie pilną pracą i sumiennėm ćwiczeniem. I dla tego Gentile Bellini wzrósł do świetnéj chwały i okazał, że to nie bajka owo stare przysłowie, że praca wytrwała a cierpliwość nieznękana jest istnym talentem. Ztąd téż obaj bracia, połączeni krwią po ojcu, poślubili sobie jeszcze pokrewieństwo po sztuce; a choć losy rozniosły ich daleko od siebie, oni przecież ciągle byli razem z sobą, byli sercem braterskiém nawzajem sobie obecni. Bo nie małe to były podróże zwłaszcza na ową epokę, które odprawił Gentile, — wszak nawet bawił i w Turczech. Bo Sułtan Mahomet II, którego raz przypadkiem naszła ochota posiadania portretu swojego, upraszał senat wenecki, by mu przysłał jakiego z celujących malarzy wizerunków. Senat wybrał Gentilego, który téż pojechał do Stambułu, i tak gracko się sprawił, tak z mistrzowska odmalował sułtana, że się wszystkim Turczynom zdawało, że Gentile cudu dokonał; bo nikt z nich nie wierzył, żeby człek śmiertelny miał taką moc Boską w sobie, żeby zdołał przedstawić rzeczy przyrodzone jako żywe. Więc Gentile odbierał hojnie i pochwały bisurmańskie, a sułtan, obsypawszy go bogatemi darami, najpiękniéj i jak tylko mógł najciepléj polecił go względom rzeczypospolitéj weneckiéj. Są atoli pisarze, co inną, wręcz przeciwną, opowiadają historyą; bo mówią, że sułtan, widząc obraz Belliniego przedstawiający ściętą głowę Św. Jana, jął się krytyki, a mianowicie wytknął błędy w rysowaniu szyi. Gentile wątpił o słuszności zarzutu. Więc sułtan, dla przekonania artysty, kazał zawołać greckiego niewolnika i temu biédakowi, dobywszy szabli, jednym zamachem ściął głowę. Tym dowodem zupełnie przekonany odszedł malarz i, nie żegnając się zbytecznie z Turkami, krytym sztychem udawszy się na okręt, wrócił do Wenecyi.

(*) Np. w kościele Św. Jana i Pawła, Św. Zacharyasza, Św. Jana Chryzostoma, we Frari, w Salvatore, i t. d. i t. d. (Piękna Madonna Belliniego w *S. Giovanni e Paolo* spaliła się w pożarze, który 15 Sierpnia 1867 nawiedził ten kościół. — St.)

(**) Zob. powyżéj str. 304.



Akademia wenecka posiada dwa wielce słynne obrazy Gentilego, a oba odnoszą się do cudu, który się przytrafił z krzyżem świętym w Wenecyi. Była bowiem tradycya, że w XIV wieku krzyż, należący do bractwa Św. Jana, wpadł w wodę kanału właśnie w czasie, gdy bractwo odbywało processyą do kościoła Św. Wawrzyńca. Otóż, lubo ten krzyż, choć był z drogich kruszców i kosztownie figurkami ozdobiony, zatém wielce ciężki, przecież nie poszedł na dno, ale pływał po wierzchu wody. Mnóstwo osób z bractwa i pobożnych towarzyszy wskoczyło w morze aby go ratować; atoli co który z nich wyciągnął rękę, już krzyż cofał się od niéj unikając spotkania. Aż w końcu Vendramin, starszy w bractwie, sam skoczył w wodę; jemu téż, jako mężowi wielce pobożnemu, krzyż ująć się pozwolił. Wynosi tedy z wody Vendramin świętą relikwię, przy odgłosie okrzyków radości bractwa i tłumu ludu. I tę chwilę właśnie przedstawił Gentile. Wielką tu widać pracowitość w wyrobieniu tych nieprzeliczonych małych figur i znajomość niepospolitą perspektywy; przecież widać jeszcze jakąś bojaźń, znać brak ruchu i brak rozmaitości w ugruppowaniu ludu; figury zanadto jednostajne, niektóre z nich stoją rzędem lub klęczą obok siebie. Za to jednak wielce, wedle mnie, zajmujące są domy otaczające w koło tę scenę. To istna dawna Wenecya! Te domy są wprawdzie o lodżyach, one atoli jeszcze, jak się zdaje, w stylu czysto romańskim; obok nich inne domowstwa, które tak wskróś mają fizyognomie wschodnie, jak gdyby je ów olbrzym-ptak Skała w jednéj z „tysiąca nocy“ poprzenosił wprost z Arabii.

Drugi obraz Gentilego przedstawia processyą, która także z powodu tegoż Św. Krzyża odbyła się na placu Św. Marka. I tutaj znać znakomitą umiejętność naszego artysty i wielką prawdę, będą-

ca skutkiem jego pracowitości sumiennéj; widać jak on studyował naturę, jak umiał doskonale rysować, jak rozporządzać gruppami, jak je ustawiać. I ten obraz jest jakby okienkiem, przez które zaglądać możesz w dawno upłynione czasy. Długim rzędem ciągnie processya. Tataj istne średnie wieki w ubraniu figur i zachowaniu się dygnitarzy republiki weneckiéj w uroczystościach publicznych,— a nadto, widać jakie miał wejrzenie naówczas plac Św. Marka. Pałac dożów, którego część w oddaleniu widać, jest ten sam co dziś, ale pałac Nowych Prokuracyj jeszcze pokazuje się innym kształtem, wieża zegarowa nie istnieje jeszcze. Lecz za to kościół Św. Marka świeci gęstym przepychem, lśnią złotem kopuły, mozaiki, szczyty i błyszczą jakby w sennéj ułudnéj powieści. Ta pozłota kosztowna i jéj blaski dziś omdlały; wyjedzone od żywiołów trawiących przez długie lata w części zniknęły bez śladu.

Wiécie, jak to geniusz, gdy wstąpi wśród ludzi, pojawieniem swojém potrąca całe świetne grono znakomitych talentów, co już, grzejąc się w promieniach wielkiego człowieka, idą wytkniętym szlakiem, który im zostawiły stopy jego. Tak Gianbellino (Jan Bellini) udarował świat piękności liczną a zacną czeladzią, co pracowała świetnie w służbie sztuki, jako ukochanéj pani swojéj. Wśród nich prowadzi réj *Giambatista Cima*, zwany od miejsca rodzinnego *da Conegliano*. Nie wiedzieć kiedy się Cima urodził, wiadomo tylko, że jeszcze żył w r. 1517. Mają w téj akademii piękne rzeczy jego ręki: np. Madonnę na tronie, w koło sześciu świętych, a u stóp tronu dwóch aniołków grających a przybranych w długie fałdziste szaty. Nad tronem cały wieniec anielskich główek, co unosząc się na powietrzu, przysłuchują się téj muzyce starszych braciszków. To wszystko wielce lube, choć poważne i uroczyste — barwy kwitną blaskiem, rysunek trafny, choć ugruppowanie jakieś nieśmiałe i bojaźliwie. Żal mi tylko, że nie staje czasu na przywodzenie imion innych mistrzów, którzyby zaiste godni byli obszerniejszéj rozprawy; pamiętajmy sobie atoli choć celujących, jakimi są: *Girolamo di santa Croce*, *Vincenzio Catena*. Tego Catenę wyobrażają w galeryi dwie postaci wielkiéj piękności, bo ŚŚ. Hieronim i Augustyn. Nie zapominajmy téż, że znakomitego pędzla był *Marco Marcone*, którego niektórzy także liczą do zwolenników Gianbellina (*).

Prócz tych naczelnych a wiernych uczniów wzorodawcy swojego, odznaczało się współcześnie grono artystów, którzy nie uszli potężnego wpływu jego, choć w ich dziełach jeszcze szepcą odgłosy szkoły padewskiéj; takim był np. już znany nam *Bartolommeo Montagna* (**), który uczuł wdzięk Belliniego, choć, jak wiemy, był silnie

(*) Krom tych, choć znakomici, mniejszéj atoli wagi są: Bissolo, Pennachi, Martino da Udine, Antonio Previtali i t. d.

(**) Zob. powyżéj str. 294.



przejęty Padwą. Wszak jeden z jego obrazów już powyżéj rozebraliśmy. Potém staje w szeregu *Francesco Morone*, talent iście świecący, niby gwiazdka wśród innych współczesnych. Daléj występuje szanowny *Girolamo dai Libri*, tak nazwany po ojcu, malarzu książek i t. d.

Przecież nie rozumiejmy jakoby Gianbellino już się stał samowładzcą wszystkich mu współczesnych malarzy w Wenecyi, owszem byli tacy, którzy, choć nie zdołali uniknąć duchowego z nim związku, przecież śmiało stawali w szranki, walcząc o prym z jego sztuką. Takim współzawodnikiem Belliniego był *Vitore Carpaccio*, którego talent waży na ciężki kamień. Mało znamy żywot jego, wiemy tylko, że w r. 1522 już był starcem siedmdziesięcioletnim, i że wiele z jego najznakomitszych dzieł, będących ozdobą kosztowną pałacu dożów, razem z nim spłonęło w r. 1576. Lecz i te prace jego, które spadły na nasze czasy, są oczywistym dowodem wielce świetnego talentu. W akademii baczność naszą zwraca przedewszystkiém obraz jego, przedstawiający również cud krzyża świętego. Na jednéj z wodnych ulic Wenecyi widzisz bez liczby tłumne figury; to z blizka, to z dala, to na bruku, to na galeryach, na moście ruszają się ciżbą senatory, dygnitarze i pospólstwo weneckie, a uwija się liczne stado gondoli, co jeszcze staroświeckim krojem pod namiotkiem otwartym niosą jakiego poważnego sensata; a wszędzie pełno tych gondoli — jedne są tuż przy nas na przedniém tle, inne troszkę daléj, inne znowu przesuwają się w ostatniéj głębi obrazu. Dziwnie téż zgrabnie Carpaccio umiał połączyć sceny i postawy, wzięte z życia powszedniego, z jakąś uroczystą niedzielną powagą. A gruppowanie jego wielce umiejętne; z razu widzisz jakby lik nieprzebrany figur, lecz wnet gdzieś znika ten pozorny chaotyczny, bałamutny nieład; bo rozdziela się z łatwością na gruppy pojedyńcze, pomniejsze, które, razem wzięte, znowu zrastają się w wielką organiczną jedność. A otoczenie całe odpowiada téż tutaj ruchawości i życiu tych figur; te domy, to istne domy staréj Wenecyi, jaką ona była temu trzysta lat z górą. Budowanie najczęściéj romańskiego stylu; niektóre okna a nawet takie, które są po wyższych piętrach, zawarowane w kraty żelazne; a nad domami, nad dachami wzlatują kominy kieliszkowate, podobne do tych, które dziś jeszcze tutaj widzimy; przecież te na obrazie jeszcze fantastyczniejsze; jakieś one kręte a ubrane we floresy, liście i inne awanturki, przypominają w ogóle minarety wschodnich meczetów.

Istotnie, patrząc na płodną, niewyczerpaną fantazyę, z jaką Carpaccio stwarza te przeróżne figury, te fizyognomie, te charaktery, a mianowicie bacząc na to jego zdrowe, bystre pochwycenie natury i rzeczywistości, już bez sporu wierzymy, że nasz malarz był ulubieńcem weneckiego ludu; wierzymy chętnie, że ten lud z serdecznem zajęciem wpatrywał się w każdą jego malowaną pracę, ciesząc się, że się znalazł przecie taki mistrz, co go tak na wylot zrozumiał

i podpatrzyć zdołał wszystkie jego uczucia. Ztąd też zapewne słuszne jest zdanie, prawie ogólnie przyjęte, że Carpaccio miał prawdę w sercu.

Nie przeczymy, że on może był pierwszym historycznym malarzem weneckim, że jego historyczne obrazy mają jakiś charakter niby powieściarski, że one, zamiast być malowaną epopeją, krojąraczéj na *genre*, na obraz obyczajowy; temu wszystkiemubym się nie sprzeciwiał, ale przystać bezwarunkowo nie mogę na to, jakoby ten jego tryb obchodzenia się z obrazami historycznemi nadał z góry kierunek całemu dziejowemu malarstwu w Wenecyi, i jakoby ten wpływ Carpaccia stał się już tak stanowczym, że nawet wielcy mistrze, po nim idący, nie zdołali się uwolnić od tego kierunku malarstwu przez niego nadanego; ztąd są, co twierdzą, że właśnie z tego powodu znajdujemy w obrazach ich historycznych cechy obyczajowego malarstwa. Może znajdziemy jeszcze zręczność zastanowić się czyli ten brak ścisłego rozróżnienia istoty malarstwa historycznego od obyczajowego, który spotykamy w późniejszych malarzach weneckich, zrodził się z przykładu danego przez Carpaccio, czyli też rzeczony brak tkwił głębiéj, bo w samém nawet usposobieniu Wenecyi.

Miłe mi było wielce porównanie powyższéj historycznéj pracy tego mistrza z innym jego obrazem treści religijnéj, a będącym również własnością téj kosztownéj galeryi. Widzimy tu rodziców Bożéj Matki: Ś-go Joachima i Ś-tą Annę, obejmujących się rzewném uściśnieniem; bo już jest na spełnieniu proroctwo, jako ze świętéj matrony narodzić się ma światu przeczysta Dziewica, ponad wszystkie niewiasty od Boga ukochana, wybrana. Obok téj świętéj pary, lecz jakby w odosobnieniu, stanął po jednéj stronie Ludwik Ś-ty król francuzki, a po drugiéj Urszula Ś-ta. Obie postaci wielce znaczące i pewnie w szczęśliwéj chwili artystycznego widzenia poczęte. Po-za figurami, jakby na średniém tle, wznoszą się domy mieszkalne w bardzo szlachetnym stylu skomponowane, bo w takich architektonicznych otoczeniach Carpaccio był mistrzem. Przecież na tymże samym obrazie mamy dowód, że on również celował w pejzażach; bo w głębi jego roztacza się prześliczny widok natury: z razu drzewa, daléj jakieś miasto, a na ostatniém tle rysują się zlekka góry błękitne. I w całém tém dziele widzimy wiele prawdy, żyjącéj nietylko w rysunku figur, lecz nawet w ubraniu ich; jak np. szaty króla Ludwika pokazują nielada studya historyczne. A architektura i widoki kraju wielce mile pojęte i dzielnie wykonane; zwłaszcza ta jego wdzięczna natura jest istną malowaną sielanką. Choć koloryt świeży, soczysty i pełny jawnie dowodzi, że ten obraz jest dziełem weneckiéj szkoły, nie wiem atoli czylibym się poważył potakiwać zdaniu tych, którzy twierdzą, jakoby ten obraz można brać za robotę Gianbellina, gdyby Carpaccio nie był go oznaczył swojém imieniem!

Może właśnie co do kolorytu więcéj się do G. Belliniego zbliża



*Marco Basaiti*, co równie, jak Carpaccio, chciał pójść z owym wielkim mistrzem o lepsze (um. także w pierwszéj ćwierci XVI-go stulecia). Jeden z jego obrazów osobliwie zwrócił moją uwagę, bo jakoś przypomina nasz ukochany grojec krakowski, wyrzeźbiony mistrzowską ręką Wita Stwosza. Basaiti skomponował niby obraz w obrazie: arkada krągła na filarach graniastych, przed nią posadzka marmurowa, na któréj po dwóch stronach stanęło dwóch świętych modlących się zakonników. Przez arkady, jakby przez ramy, widać grojec — skała niewielka, na niéj drzewa z liścia obrane, pod któremi klęczy Pan Jezus —, pod skałą trzech z jego uczniów złożonych snem, w oddaleniu na górze wieżaste miasto Jerozolima, zkąd kilku siepaczy przybiega stromą ścieżką. To wszystko tak naiwnie pojęte, tak pełne prostoty, a przecież tchnie żywą a swobodną fantazyą. Trudno nie uśmiechnąć się, patrząc jakto Basaiti skomponował sobie tych tak smącznie śpiących uczniów. W nich nie ma idealnéj piękności, za to jednak jakaś uczciwość, jakieś niewymuszenie i prostota, jak gdyby w świętéj powieści dziatwie opowiadanéj.

Może nie bez krzywdy czytelnika i mojéj własnéj tak rychle odbyłem tak znakomitego malarza, jakim jest Basaiti; lecz gdybym się z artystami jego miary dłużéj zabawiał, cóżby mi pozostało już dla wielkich artystów, co nam się pojawić mają w następującéj epoce; a nadto myślę, że dość już na dziś téj galeryi obrazów. Patrzenie się długie na dzieła sztuki upaja, odurza i nęka. Wszak com dotychczas prawił czytelnikom moim jest owocem nie jednych odwiedzin uczynionych w téj akademii; widziałem ją za wielu nawrotami.

Gdy tedy sam, dla własnéj dogody, rozdzieliłem sobie na wiele dni ten przegląd sztuki weneckiéj, słusznie abym i ja był również wyrozumiałym dla czytelników moich i zachował się na inny dzień z dalszym ciągiem téj podróży po akademii. Czytelnik, odpocząwszy sobie i wydobrzawszy z utrudzenia, z świeższym umysłem raczy mi towarzyszyć, gdy się obaczymy w obec najwyższych dzieł arcymistrzów Wenecyi. A rozpoczniemy od nowéj epoki malowania weneckiego, więc od tych mistrzów, co, lubo byli także uczniami Gianbellina, przecież samowładztwem swojego geniuszu roztworzyli na oścież bramy do nowéj, najświetniejszéj epoki sztuki.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

# TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO

## PODRÓŻY DO WŁOCH.

**Przedmowa.** — Str. VII.
**Odjazd z Krakowa.** Głosy dzwonów krakowskich i wspomnienia młodości. — Jaki cel téj podróży. — Str. 13.
**Szczakowa.** — Str. 27.
**Mysłowice.** Przypadek na kolei. — Str. 29.
**Raciborz.** Dzisiejszy styl w budowaniu. — Utylitarność a estetyczność lasów. — Wspomnienie o dawnych Piastach szlązkich. — Henryk IV Wrocławski oblega Raciborz. — Henryk godzi się z biskupem Tomaszem. — Henryk V i Pakosław. — Tryumfy cywilizacyi. — Str. 31.
**Wiedeń.** Mozaika z Wieczerzy Pańskiéj Leonarda da Vinci. — Strauss I-szy i Strauss II-gi. — Wpływ takiéj muzyki na młode umysły. — Jaki cel w uczeniu młodzieży muzyki? — Muzyka jest sztuką najwięcéj odpowiednią duchowi chrześcijańskich ludów. — Znaczenie prawdziwe dla nas téj sztuki. — Muzyka jest ważnym pierwiastkiem domowego obyczaju i wychowania. — Powołanie matek a społeczność dzisiejsza. — Śpiewy religijne i muzyka domowa. — Str. 40.
**Z Wiednia do Tryestu.** Przeprawa przez Semering. — Droga z Mürzzuschlag. — Widoki na naturę styryjską. — Natura uczy jak malować widoki kraju. — Zmiana oświecenia zmienia barwy. — Harmonia w pejzażu malowanym. — Korzyść z patrzenia na naturę przez szkła różnobarwne. — Główna cecha prawdziwie artystycznie wykonanego krajobrazu. — Wzmianka o perspektywie powietrznéj. — Rozsypiska starych zamków po górach styryjskich. — Średnie wieki a czas dzisiejszy. — O felonach przeszłości. — Poezya i proza. — Powieść styryjska. — Sto-

sunek fantazyi gminnéj do poezyi artystycznéj. — Zkąd poszła głuchota prawdziwa klassycznéj tragedyi francuzkiéj. — Wrzekome a prawdziwe geniusze, talenta. — Jak wzajemnie zachowują się do siebie zdarzenia rzeczywiste, poezya ludowa, i dzieło artystyczne. — Powieść o słowiańskiéj Ines de Castro. — Agnieszka Bernauerin. — Marya Malczewskiego. — Bracia de Reichenburg. — Str. 53.

**Lublana.** Unikajmy ostateczności. — Str. 92.

**Kras.** Opisanie tych pustkowiów natury. — Negacya w naturze i negacya w sercu człowieka i w poezyi. — Str. 96.

**Obczyna.** Morze. — Str. 100.

**Tryest.** Jego dworki i pałacyki wiejskie. — Locanda Grande. — Pokój Nr 10 i sala jadalna. — Morderstwo wykonane na Winkelmanie. — Charakterystyka Winkelmana. — Nastrój jego duszy odpowiedni starożytnemu klassycznemu światu. — Młodość Winkelmana. — Czasy starożytnéj klassyczności a czasy nowożytne. — Winkelman i Göthe. — Geniusz bakałarzem w szkółce elementarnéj. — Winkelman przechodzi do wiary katolickiéj. — August III, król polski, elektor saski wysyła swoim kosztem Winkelmana do Rzymu. — Pobyt Winkelmana w téj stolicy świata. — Jego prace i zaszczyty. — Odwiedza Niemcy, jego przeczucia o grożącém nieszczęściu. — Winkelman w Tryeście poznaje się z mordercą swoim. — Dokonanie morderstwa. — Słowa Göthego o Winkelmanie. — „O sztuce u dawnych czyli Winkelman polski“ przez Stanisława Potockiego. — Braciszek Siekierka. — Str. 102.

**Wenecya.** Czarodziejstwo pierwszego widoku Wenecyi. — Piazetta widziana ze statku parowego. — Biblioteka Św. Marka jest dziełem Jakóba Sansovina a najcudniejszym przykładem późniejszego renesansu. — Opisanie téj budowy. — Z drugiéj strony Piazetty. — Pałac dożów jest gotycyzmem weneckim, bo ochuchany tchem fantastyczności wschodniéj. — Opisanie jego. — Jego architekt Filippo Calendario powieszony. — Wjazd do Wenecyi, tylna strona pałacu dożów i most westchnień. — Table d'hôte w Wenecyi, p. cirerone Bulgari. — Str. 131.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Plac Św. Marka. — On cały jest dziełem sztuki. — Fabrica Nuova już późnym renesansem. — Charakterystyka stylów innych dzieł architektonicznych na tym placu Św. Marka. — Przelot dziejów weneckich. — Cechy tego ludu i jego upadek. — Duchowe ideały Wenecyi usymbolizowane architekturą na placu Św. Marka. — Kościół Św. Marka. — Pala d'oro. — Ona jest modlitwą z drogich kamieni. — Słowo o głębszém znaczeniu bizantyńskiego malowania. — Trzy maszty przed kościołem Św. Marka. — Podnóża masztów dzieło Aleksandra Leopardi, jako przykład stylu dekoracyjnego w epoce renesansu. — Kara za zniewagę zabytków historycznych. — Str. 145.



**Wenecya** (dalszy ciąg). Plac Św. Marka wieczorem. — Str. 169.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Pierwsze zetknięcie się z gondolierami. — Wyprawa na Canal Grande. — Wspomnienia Napoleona I. — Pani Sand. — Rada nieśmiała dana mistrzom i poetom, zwłaszcza niektórym powieściarzom. — Dogana di Mare jako dzieło barokizmu. — O jednéj z zalet tego stylu. — S. Maria della Salute, jako drugi przykład tegoż lubo jeszcze niespełna rozwiniętego stylu. — Niechybna pokuta artysty, gdy, mizdrząc się do smaku współczesnych, staje się niewiernym sztuce prawdziwéj. — Stosunek sztuki pięknéj do natury i do całéj rzeczywistości (w przypisku). — Czasy rycerskie i gotycko-arabski pałac *Giustiniani*, co dziś oberżą. — Pałac Cornaro. — Władysław IV na balu w pałacu Cornaro. — Magia widoków na Canal Grande. — Powód upadku dawnych rodzin Wenecyi. — Pałac Balbi i uroczystości wyprawiane niegdyś na uczczenie Władysława IV. — Bajeczki arabskie i pałac Foscari. — Fantazya romantyczna średnich wieków krewni się z fantastycznością Wschodu. — Kilka słów o właściwości gotycyzmu pałaców weneckich, różniącéj go od stylu prawdziwie gotyckiego. — Ogólna modła tych pałaców (w przypisku). — Opisanie pałacu Foscari. — Wspomnienia dziejowe pałacu Foscari. — Źródło wszelkiéj tragiczności w ułomkowéj istocie człowieka. — Cecha ogólna prawdziwéj tragiczności. — Doża Foscari i syn jego. — Henryk Walezyusz mieszka w pałacu Foscari. — Pałac Mocenigo i lord Byron. — Zkąd się tak często lęgną sprzeczności w duszy znakomitego człowieka? — Jego saska elektorowiczowska mość, późniejszy August II, król polski a pani senatorowa Mocenigo. — Pałac Pisani i jego architektura. — Obraz Pawła Caliari. — Lekkie, bo tymczasowe wspomnienie o cechach malarstwa weneckiego. — Poezya dziejów i natury w Wenecyi. — Pałac Grimani (poczta). — Listy z kraju — wspomnienia o Franciszku Szopowiczu. — Architektura pałacu Grimani. — Zbudowany na palach hebanowych. — Władysław (IV) królewicz polski w pałacu Grimani. — Ponte Rialto. — Morskie ryby, morskie sny. — Casa Doro. — Ona istną wysłannicą oryentalnéj fantazyi. — Opis architektoniczny tego pałacu. — Ta szczęsna uśmiechająca się fantastyczność bywa i złowrogiém marzeniem. — Właścicielką Casa Doro jest pani Taglioni. — Znaczenie tańca jako prawdziwéj sztuki pięknéj. — Architektura wenecka wymaga właściwéj sobie miejscowości. — Pałac Vendramin-Calergi. — Rodzina Lombardo rodziną artystów. — Facyata tego pałacu stawianego w roku 1481 jawnie świadczy o istocie wczesnego renesansu. — Kwiaty i sąsiad ich morze. — Księżna Berry

dziś właścicielką pałacu Vendramin. — Smutne koleje jéj życia. — Wspomnienie processyi około Luwru na Boże Ciało w roku 1830. — Dalsze losy księżnéj. — O niektórych obrazach znajdujących się w pałacu. — Obraz męczeństwa Św. Piotra p. L. Giordano a salon wesoły. — Obraz Katona przez Spagnoletto. — Szpetność, komiczność a śmieszność o ścianę z sobą graniczą. — Bianca Capello malowana przez Tinelli. — Walka zawistna mściwéj natury z dziełami człowieka. — Fondaco dei Turchi i styl romański. — Kościół degli Scalzi. — Jak to czasem długie życie artysty szkodzi jego sławie. — Św. Łucya i Św. Klara; — koniec kanału Grande. — Str. 177.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Bez wróżby duchowéj o opatrznéj miłości nie zrozumiemy ani natury, ani historyi, ani sztuki. — Myśl główna, która nas wiedzie w tym opisie pomników italskich. — Str. 268.

**Wenecya**. Różne tryby zgadywania przeszłości. — Wróżbitą zapadłéj sztuki staréj był Andrzéj Palladio. — Tymczasowa charakterystyka jego geniuszu. — Accademia delle belle arti. — Przegląd téj galeryi obrazów wedle epok po sobie następujących. — Bizantyńskie obrazy. — Charakterystyka ich. — Mistrze staréj weneckiéj szkoły. — Malarze z wyspy Murano. — Wspomnienie sztuki starogreckiéj; zrodzenia i śmierć greckich bogów na Olimpie. — Tryumfy odniesione nad naturą. — Jan Bellini pierwiosnkiem weneckiego malarstwa. — Różnica obrazu malowanego a martwego opisu. — Szkoła wenecka trzecim pierwiastkiem dopełniającym szkołę florencką i padewską. — Szkoła padewska. — O ludziach co rano wstają w dziejach; Franciszek Squarzione. — Przerósł go uczeń jego Andrzéj Mantegna. — B. Mantegna. — Charakterystyka szkoły padewskiéj. — Wenecka szkoła odgadła barw tajemnice. — Jan Bellini i Antonello da Messina; — figiel podstępny malarza. — Figiel choć nie bardzo skrupulatny, przecież lepszy niż zbrodnia. — Historya o Andrzeju del Castagno i Dominiku Veneziano. — Morderstwo z powodu tajemnicy farb olejnych. — Rodzina Bellinich. — Niektóre z dzieł Jana Belliniego. — Przykład kompozycyi. — Kupcząca Ameryka obiera Europę z dzieł jéj mistrzów. — Gentile Bellini. — Bisurman i malarz. — Rzecz o innych malarzach weneckich téj epoki. — Str. 271.

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA Nr 6022/II w Białymstoku CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH

Miejska Biblioteka Publiczna 6593 Białystok

913 sz.
Kremer
Podróż do Włoch. T. 2
6022
XIX

DZIEŁA

I. KREMERA

6